



MISTER

The Royal Borough of Kensington and Chelsea

CHELSEA EMBANKMENT, SW

EL James

Autorka Pięćdziesięciu twarzy Greya

*M***ISTER**

E L James

*M***ISTER**

Z języka angielskiego przełożyły
Violetta Dobosz, Daria Kuczyńska-Szymała,
Katarzyna Petecka-Jurek



Tytuł oryginału: *The Mister*

Copyright © 2019 by Erika James Limited

Copyright © 2019 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2019 for the Polish translation by Violetta Dobosz, Daria Kuczyńska—Szymala, Katarzyna Petecka—Jurek (under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt okładki i zdjęcie: Erika Mitchell

Zdjęcie na okładce użyte dzięki uprzejmej zgodzie Royal Borough of Kensington and Chelsea Zdjęcie na tyle okładki: © Kwangmoozaa/Shutterstock

Adaptacja okładki: Monika Drobnik—Słocińska

.Redakcja: Katarzyna Wiśniewska

Marta Chmarzyńska, Aneta Iwan, Iwona Wyrwisz

ISBN: 978—83—8110—840—9

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o. ul. Fitelberga 1, 40—588 Katowice tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e—mail: info@soniadraga.pl www.soniadraga.pl

www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga

www.facebook.com/50TwarzyGreya

Katowice 2019 (N619)



Dla Tii Elby dziękuję Ci za Twoją mądrość, siłę, dobry humor i rozsądek, ale przede wszystkim za Twoją miłość.

DOCHODZĄCA — GOSPOSIA, KTÓRA NIE MIESZKA Z PRACODAWCĄ, TYLKO
PRZYCHODZI CODZIENNIE DO PRACY.

PROLOG

NIE. NIE. NIE. Tylko nie ta czerń. Nie ta dławiąca ciemność. Nie ten plastikowy worek. Ogarnia ją panika, która wyciska powietrze z płuc. Nie mogę oddychać. Nie mogę oddychać. W gardle narasta metaliczny posmak strachu. Muszę to zrobić. To jedyny sposób. Nie ruszaj się. Zachowaj spokój. Oddychaj wolno. Oddychaj płytko. Tak jak powiedział. Niedługo będzie po wszystkim. Skończy się i wtedy będę wolna. Wolna. Wolna.

Rusz się. No już. Biegnij. Biegnij. Biegnij. Naprzód.

Biegnie co sił w nogach, najszybciej jak może, ale nie spogląda za siebie. Strach gna ją naprzód, kiedy szukając drogi ucieczki, wymija tych nielicznych, którzy wybrali się na późnowieczorne zakupy. Szczęście jej sprzyja: automatyczne drzwi są otwarte. Przemyka pod jaskrawymi świątecznymi dekoracjami i dociera na parking. Biegnie, wciąż biegnie. Między zaparkowanymi samochodami, potem do lasu. Biegnie wąską ścieżynką. Chce przeżyć. Przedziera się przez krzaki jeżyn, małe gałązki uderzają ją w twarz. Biegnie, aż rozsadza jej płuca. *Naprzód. Naprzód. Naprzód. Nie zatrzymuj się.*

Zimno. Zimno. Za zimno. Zmęczenie mąci jej umysł. Zmęczenie i zimno. Wiatr zawodzi w gałęziach drzew, wdziera jej się pod ubranie, przenika do szpiku kości. Dziewczyna kuli się pod krzakiem, zgrabiętymi rękoma buduje wokół siebie gniazdo z opadłych liści. Spać. Potrzebuje snu. Kładzie się na zimnej, twardej ziemi, zbyt zmęczona, by się bać, zbyt zmęczona, by zasnąć. tamte? Czy im się udało? Zamyka oczy. Dały radę uciec? Oby były wolne. Oby było im ciepło...

Jak doszło do tego wszystkiego?

Budzi się. Leży między kubłami na śmieci owinięta gazetami i kartonami. Cała dygocze, tak bardzo jest jej zimno. Ale musi iść dalej. Ma adres. Dziękuje za niego Bogu, w którego wierzyła jej babcia. Drżącymi palcami rozwija karteczkę. Tam musi iść. Teraz. Teraz. *Teraz.*

Krok za krokiem. Iść. Tylko tyle może zrobić — iść. Iść. *Iść*. Śpi w jakiejś bramie. Budzi się i idzie dalej. *Iść*. Pije wodę z kranu w McDonalddie. Jedzenie pachnie tak kusząco.

Jest jej zimno. Skręca ją z głodu. Idzie, wciąż idzie, kierując się mapą. Skradzioną. Skradzioną z jakiegoś sklepu. Sklepu, w którym migały lampki i grała świąteczna muzyka. Ledwo udaje jej się utrzymać w ręku skrawek papieru. Jest zniszczony i podarty po wielu dniach chowania go w bucie. Jest zmęczona. Zbyt zmęczona. Brudna. Potwornie brudna i przerażona. To miejsce jest jej jedyną nadzieją. Unosi drżącą rękę i naciska dzwonek.

Magda już na nią czeka. Napisała do niej matka i wszystko wyjaśniła. Kobieta wita ją z otwartymi ramionami. Zaraz jednak się cofa. *Jezu, dziecko. Co się z tobą działo? Spodziewałam się ciebie w zeszłym tygodniu!*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

BEZMYŚLNY SEKS. — wiele za nim przemawia. Żadnych zobowiązań i oczekiwań, zero rozczarowań. Muszę tylko zapamiętać ich imiona. Jak się nazywała ta ostatnia? Jojo? Jeanne? Jody? Nieważne. Była jakąś bezimienną dupą, która non stop jęczała, w łóżku i poza nim. Leżę, gapiąc się na falujące refleksy Tamizy odbijające się na suficie. Nie mogę spać. Jestem zbyt niespokojny, żeby zasnąć.

Dzisiaj to była Caroline. Nie mieści się w kategorii bezimiennych dup. Nigdy się w niej nie znajdzie. Co ja, do cholery, miałem w głowie? Zamykam oczy, próbując uciszyć uparty głosik, który w kółko mnie pyta, czy pójście do łóżka z najlepszą przyjaciółką — i to nie pierwszy raz — było dobrą decyzją. Caroline, pogrążona w drzemce, leży obok mnie, ze smukłym ciałem skąpanym w srebrzystym blasku styczniowego księżyca. Długie nogi splotła z moimi, głowę oparła na mojej piersi.

Źle robimy, bardzo, bardzo źle. Pocieram twarz, usiłując zetrzeć z niej obrzydzenie do samego siebie, a Caroline się wierci, wybudzając ze snu. Wymanikiurowanym paznokciem sunie po mięśniach na moim brzuchu i zatacza kółka wokół pępka. Chwytam jej rękę i podnoszę do ust.

— Chyba dość narozrabialiśmy jak na jedną noc, Caro?

Całuję każdy palec po kolei, żeby nieco złagodzić gorycz odrzucenia. Jestem zbyt zmęczony i zniechęcony dokuczliwym, nieprzyjemnym poczuciem winy, które mnie zżera. Na miłość boską, przecież to Caroline, moja najlepsza przyjaciółka i żona mojego brata. To znaczy była żona.

Nie. Nie była żona. Wdowa po nim.

To takie smutne i tragiczne słowo. I smutne i tragiczne okoliczności.

— Och, Maximie, proszę cię. Chcę zapomnieć — szepcze i składa ciepły, wilgotny pocałunek na mojej piersi. Odrzucając z twarzy jasne

włosy, spogląda na mnie spod długich rzęs, a w jej oczach malują się niedosyt i smutek.

Potrząsam głową, ujmując w dłonie jej uroczą twarz.

— Nie powinniśmy.

— Przestań. — Ucisza mnie, przykładając mi palec do ust. — Proszę. Potrzebuję tego.

Wzdycham ciężko. Pójdę do piekła.

— Proszę — błaga mnie.

Niech to szlag. Już w nim jestem.

I tylko dlatego, że ja również cierpię — przecież też tęsknię za bratem, a Caroline jest ostatnim, co mnie z nim łączy — odnajduję ustami jej wargi i przewracam ją na plecy.

KIEDY SIĘ BUDZĘ, pokój skąpany jest w jaskrawym zimowym słońcu, tak ostrym, że muszę zmrużyć oczy. Obracam się i z ulgą spostrzegam, że Caroline wyszła, pozostawiając po sobie jedynie uczucie żalu — i liścik na poduszce.

Kolacja z Tata i Macochą?

Proszę, przyjedź.

Oni też są w zatobie.

Kocham Cię! Buziaki!

Ożeż.

Nie tego chcę. Zamykam oczy, wdzięczny, że jestem sam we własnym łóżku i, mimo naszych nocnych wyczynów, zadowolony, że zdecydowaliśmy się wrócić do Londynu już dwa dni po pogrzebie.

Jakim cudem, do cholery, to wszystko wymknęło mi się z rąk?

„Wypijmy jednego przed snem”, tak wczoraj powiedziała, a ja spojrzałem w jej wielkie, przepełnione smutkiem błękitne oczy i od razu wiedziałem, czego chce. Tak samo popatrzyła na mnie tamtej nocy, kiedy dowiedzieliśmy się o wypadku i śmierci Kita. Wtedy nie zdołałem jej się oprzeć. Wiele razy było już bardzo blisko, ale dopiero tamtej nocy poddałem się losowi i przeleciałem żonę mojego brata. Koniec końców i tak by do tego doszło.

A teraz zrobiliśmy to znowu, choć ledwie dwa dni temu złożyliśmy Kita do grobu.

Posyłam sufitowi grymas niezadowolenia. Bez dwóch zdań jestem żaloszną namiastką człowieka. Zresztą tak samo jak Caroline. Ona przynajmniej ma wymówkę: przechodzi żałobę, obawia się o własną przyszłość, a ja jestem jej najlepszym przyjacielem. Do kogo innego mogłaby się zwrócić w potrzebie? Ja za to posunąłem się zdecydowanie za daleko w „pocieszaniu” żałobnicy.

Marszcząc czoło, gniotę liścik i ciskam nim o drewnianą podłogę. Patrzę, jak turla się pod kanapę zawaloną moimi ubraniami. Nade mną falują wodniste cienie, jakby światło i ciemność się ze mnie naigrawały. Zamykam oczy, żeby ich nie widzieć.

Kit był dobrym człowiekiem.

Kit. Kochany Kit. Ulubieniec wszystkich, nawet Caroline, w końcu to jego wybrała. Przed oczami pojawia mi się niechciany obraz zmasakrowanego, pustego ciała Kita leżącego pod prześcieradłem w szpitalnej kostnicy. Biorę głęboki wdech, starając się odegnać to wspomnienie, a w gardle narasta mi gęstwa. Zasługiwał na kogoś lepszego niż Caro i ja — jego brat darmozjad. Nie zasługiwał na tę... zdradę.

Ożeż.

Kogo ja próbuję oszukać?

Caroline i ja jesteśmy siebie warci. Oboje tego chcieliśmy. Oboje się na to zgodziliśmy, a poza tym jesteśmy dorośli i, praktycznie rzecz biorąc, wolni. Ona to lubi. Ja też to lubię i właśnie to mi wychodzi najlepiej — pieprzenie chętnej, atrakcyjnej kobiety do białego rana. Tak przepieprzam cały wolny czas — pieprząc dziewczyny. Seks utrzymuje mnie w formie, a w trakcie namiętych uniesień dowiaduję się wszystkiego, co muszę wiedzieć o kobiecie. Co sprawia, że oblewa się potem. Czy krzyczy, czy płacze, kiedy dochodzi.

Caroline jest płaczką.

Caroline właśnie straciła męża.

Cholera.

A ja straciłem starszego brata, jedyny wzór do naśladowania, jaki miałem przez kilka ostatnich lat.

Cholera.

Kiedy zamykam oczy, znowu widzę bladą, martwą twarz Kita. Ta strata tkwi we mnie niczym wielka, ziejąca pustką dziura.

Niepowetowana strata.

Po jaką cholereę wybrał się na motor w taką ponurą, lodowatą noc? To przekracza moje granice rozumowania. Kit jest —*był*— tym rozważnym, odpowiedzialnym ucieleśnieniem zdrowego rozsądku. Z nas dwóch to właśnie on przynosił zaszczyt rodowemu nazwisku, stał na straży jego reputacji i zachowywał się jak należy. Pracował w City i jednocześnie zarządzał pokaźnym rodzinnym majątkiem. Nie podejmował pochopnych decyzji, nie prowadził samochodu jak wariat. Był tym odpowiedzialnym z naszej pary. Szedł naprzód, nigdy się nie cofał. Nie był marnotrawnym nieudacznikiem jak ja —jego całkowite

przeciwieństwo. Specjalizuję się w byciu czarną owcą w rodzinie. Nikt nie ma wobec mnie żadnych oczekiwań, jestem tego pewien. Zawsze tak było.

Podnoszę się. W jaskrawym świetle dnia mam raczej ponury nastrój. Pora udać się do siłowni w piwnicy. Oprócz seksu w formie utrzymują mnie bieganie i szermierka.

TANECZNA MUZYKA DUDNI MI W USZACH, a pot spływa po plecach; oddycham głęboko. Odgłos moich stóp uderzających o bieżnię oczyszcza mój umysł, kiedy zmuszam ciało do maksymalnego wysiłku. Gdy biegam, na ogół jestem skupiony i wdzięczny, że w końcu coś czuję — nawet jeśli jest to tylko ból rozpierający płuca. Dzisiaj nie chcę nic czuć, nie po tym koszmarnym tygodniu, który mam za sobą. Pragnę tylko fizycznego bólu wywołanego morderczym wysiłkiem. Nie bólu straty.

Biegnij. Oddychaj. Biegnij. Oddychaj.

Nie myśl o Kicie. Nie myśl o Caroline.

Biegnij. Biegnij. Biegnij.

Bieżnia spowalnia, ja także. Truchtem pokonuję ostatni odcinek mojego ośmiokilometrowego biegu, pozwalając, by powróciły rozgorączkowane myśli. Po raz pierwszy od dawna mam do załatwienia bardzo dużo spraw.

Zanim zmarł Kit, dni upływały mi na dochodzeniu do siebie po nocnych wyczynach i planowaniu rozrywki na nadchodzący wieczór. To by było tyle. Tak wyglądało moje życie. Nie lubię obnosić się ze swoim próżniactwem, ale w głębi duszy wiem, że jestem cholernie bezużyteczny. Skończywszy dwadzieścia jeden lat, uzyskałem dostęp do pokaźnego funduszu powierniczego, co oznacza, że nie musiałem przepracować ani jednego dnia. W przeciwieństwie do mojego starszego brata. Pracował ciężko, ale nie miał wyboru.

Dzisiaj natomiast będzie inaczej. Jestem wykonawcą testamentu Kita, co zakrawa na jakiś żart. Jestem pewien, że miał niezły ubaw, wybierając akurat mnie. Teraz jednak, kiedy jego ciało spoczęło w rodzinnym grobowcu, testament musi zostać odczytany i... no cóż, wykonany.

A Kit zmarł, nie pozostawiając spadkobierców.

Gdy bieżnia się zatrzymuje, przechodzi mnie dreszcz. Nie chcę myśleć o tym, co to oznacza. Nie jestem jeszcze gotowy.

Chwytam iPhone'a, zarzucam ręcznik na szyję i biegiem pokonuję schody do mojego mieszkania na szóstym piętrze.

Rozbieram się i rzucam ubranie na podłogę w sypialni, kierując kroki do łazienki. Myjąc pod prysznicem włosy, zastanawiam się, jak powinienem postąpić z Caroline. Znam ją od szkolnej ławy. Od razu rozpoznaliśmy w sobie bratnie dusze i zbliżyliśmy się do siebie — dwoje trzynastolatków z rozbitych rodzin, tkwiących w szkole z internatem. Byłem nowy, a Caroline wzięła mnie pod swoje skrzydła. Staliśmy się nierozłączni. To ona była i zawsze będzie moją pierwszą miłością, pierwszą dziewczyną, z którą poszedłem do łóżka... zresztą z kiepskim rezultatem. A po latach wybrała mojego brata, nie mnie. Mimo to udało nam się pozostać przyjaciółmi i trzymać ręce z daleka od siebie nawzajem — przynajmniej do śmierci Kita.

Cholera. To się musi skończyć. Nie chcę i nie potrzebuję żadnych komplikacji. Kiedy się gołę, z lustra patrzą na mnie poważne zielone oczy. Nie spieprz sytuacji z Caroline. Poza nią nie masz zbyt wielu bliskich. Jest twoją najlepszą przyjaciółką. Porozmawiaj z nią. Przemów jej do rozumu. Przecież wie, że do siebie nie pasujecie. Kiwam głową do swojego odbicia, czując pewną determinację, i wycieram pianę z twarzy. Rzucam ręcznik na podłogę i idę do garderoby. Zgarniam z półki czarne dżinsy i z ulgą odkrywam wiszące na wieszakach świeżo wyprasowaną białą koszulę oraz przyniesioną z pralni czarną marynarkę. Dzisiaj jem lunch z prawnikami naszej rodziny. Wsuwam buty i chwytam płaszcz. Na zewnątrz jest bardzo chłodno.

Cholera, przecież jest poniedziałek.

Przypomina mi się, że dzisiaj późnym rankiem przychodzi posprzątać Krystyna, moja dochodząca w matuzaleмовym wieku. Z portfela wyjmuję pieniądze i kładę je na konsolce w przedpokoju, po czym włączam alarm i wychodzę frontowymi drzwiami. Zamykam je na klucz i nie czekając na windę, zbiegam schodami.

Na Chelsea Embankment powietrze jest czyste i rześkie, tylko obłoczek mojego oddechu zakłóca jego przejrzystość. Spoglądam na drugi brzeg ponurej szarej Tamizy, na którym wznosi się Pagoda Pokoju. Mnie też marzy się pokój, ale pokój ducha, a tego mogę jeszcze długo nie zaznać. Liczę, że podczas lunchu uzyskam odpowiedzi na przynajmniej niektóre z moich pytań. Uniesioną ręką zatrzymuję taksówkę i każę się zawieźć do Mayfair.

W georgiańskim splendorze jednej z kamienic Brook Street mieści się siedziba firmy adwokackiej Pavel, Marmont i Hoffman, z której usług korzystamy od 1775 roku.

— Pora dorosnąć — mruczę do siebie i otwieram rzeźbione drewniane drzwi.

— Dzień dobry panu.

Młoda recepcjonistka uśmiecha się promiennie, a jej oliwkową cerę barwi lekki rumieniec. Jest śliczną, ale w nienachalny sposób. W normalnych okolicznościach po pięciu minutach rozmowy zdobyłbym jej numer telefonu, ale nie po to tu dzisiaj przyszedłem.

—Jestem umówiony z panem Rajahem.

— Pana nazwisko?

— Maxim Trevelyan.

Zerka na ekran komputera, potrząsa głową i marszczy brwi.

— Proszę usiąść.

Skinieniem wskazuje dwa skórzane fotele typu chesterfield ustawione

w wyłożonym boazerią holu. Opadam na ten, który stoi bliżej, i biorę poranne wydanie „Financial Times”. Recepcjonistka nieco nerwowo rozmawia przez telefon, a ja studiuję pierwszą stronę gazety. Nic z niej do mnie nie dociera. Kiedy podnoszę wzrok, widzę, jak przez podwójne drzwi z wyciągniętą ręką zmierza ku mnie sam Rajah.

Wstaję.

— Lordzie Trevethick, proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje z powodu pańskiej bolesnej straty — mówi, kiedy wymieniamy uścisk dłoni.

— Bardzo proszę, wystarczy Trevethick — odpowiadam. — Nie przywykłem jeszcze do tytułu brata.

Teraz już mojego.

— Oczywiście. — Pan Rajah przytakuje skinieniem głowy z uprzejmym poważaniem, które działa na mnie irytująco. — Pozwoli pan ze mną? Lunch jadamy w jadalni wspólników i muszę przyznać, że możemy się pochwalić jedną z najlepszych piwniczek w Londynie.

JAK ZACZAROWANY WPATRUJĘ SIĘ W tańczące płomienie ognia w kominku w moim klubie w Mayfair.

Hrabia Trevethick.

To teraz ja.

Niepojęte. I przerażające.

Jakże zazdrościłem bratu jego tytułu i pozycji w rodzinie, kiedy byłem młodszy! Rodzice, zwłaszcza matka, faworyzowali Kita od dziecka, ale w końcu to on był dziedzicem, a nie synem rezerwowym. Kiedy się urodził, otrzymał tytuł wicehrabiego Porthtowan, a w wieku dwudziestu lat, po nagłej śmierci ojca, został dwunastym hrabią Trevethick. Ja, mając teraz lat dwadzieścia osiem, jestem szczęśliwym numerem trzynastym. I

choć wcześniej pragnąłem tej godności i wszystkiego, co się z nią wiąże, teraz, kiedy już do mnie należy, czuję, jakbym wkraczał na terytorium brata.

Wczoraj pieprzyłeś jego hrabinę. To coś więcej niż wkroczenie na cudze terytorium.

Pociągam łyk whisky Glenrothes i unoszę szklanę.

— Za ducha — szepczę i się uśmiecham, rozbawiony ironią. Mój ojciec pijał właśnie glenrothes, podobnie jak mój brat, a od dziś ta butelka, rocznik 1992, należy do mnie.

Nie pamiętam, w którym momencie pogodziłem się z tym, że Kit odziedziczył wszystko, i przestałem się z nim kłócić, ale to musiało być krótko przed dwudziestką. On miał tytuł i dziewczynę, a ja musiałem to zaakceptować. Teraz to wszystko należy do mnie. Wszystko.

Nawet twoja żona. Cóż, przynajmniej ostatniej nocy była moja.

Ironia polega jednak na tym, że Kit nie zapisał Caroline niczego w spadku.

Niczego.

Właśnie tego się obawiała.

Skąd to zaniedbanie? Najnowszą wersję dokumentu sporządził cztery miesiące temu, ale jej nie zostawił niczego. Małżeństwem byli zaledwie od dwóch lat..

Co on sobie myślał?

Rzecz jasna, Caroline może podważyć testament. Nikt nie miałby jej tego za złe.

Pocieram twarz.

Co ja mam zrobić?

Mój telefon brzęczy.

Gdzie jesteś?

Wiadomość od Caroline. Wyłączam komórkę i zamawiam kolejnego drinka. Wołałbym się z nią dziś nie spotykać. Chcę się zatracić w kimś innym. Kimś nowym. Kimś, kto nie jest ze mną w żaden sposób związany. Może załatwię też sobie trochę koksu. Wyjmuję telefon i otwieram Tindera.

— No, No, MAXIM, jakie piękne mieszkanie!

Patrzy na mętne wody Tamizy, w której migoczą światła Pagody Pokoju. Biorę od niej zakiet i rzuca go na oparcie kanapy.

— Masz ochotę na drinka czy coś mocniejszego? — proponuję.

Nie zabawimy zbyt długo w salonie. Jakby czytając mi w myślach, odrzuca na plecy lśniące czarne włosy. Przygląda mi się uważnie brązowymi oczami podkreślonymi czarną konturówką.

— Coś mocniejszego? — dopytuje uwodzicielskim tonem, oblizując wargi i unosząc brew. — A ty co będziesz pił?

Ach... Nie zrozumiała aluzji, więc żadnej koki, ale i tak wyprzedza moje myśli. Podchodzę do niej na tyle blisko, żeby musiała unieść głowę, by na mnie spojrzeć. Pilnuję się, żeby jej nie dotknąć.

— Nie chce mi się pić, Heather — zniżam głos, zadowolony, że udało mi się zapamiętać jej imię. Przełyka ślinę i rozchyła wargi.

— Mnie też nie — mówi szeptem, a wymowny uśmiech odbija się w jej oczach.

— To na co masz ochotę?

Widzę, że patrzy na moje usta. To oczywiste zaproszenie. Zwlekam chwilę, żeby mieć pewność, że dobrze odczytuję jej intencje, po czym nachylam się i ją całuję, ledwie muskając wargi. Delikatny, niemal

zdawkowy dotyk

— Myślę, że wiesz, czego chcę.

Wplata palce w moje włosy i przyciąga mnie do swoich ciepłych i spragnionych ust. Wyczuwam w nich brandy i odrobinę papierosów. Ten smak mnie rozprasza. Nie pamiętam, żebym w klubie widział, jak pali. Mocno przyciągam Heather do siebie, jedną ręką przytrzymując ją w talii, a drugą przesuwając po bujnych krągłościach. Jest szczupła, ale ma duże, jędrne piersi, którymi teraz kusząco na mnie napiera. Zastanawiam się, czy w smaku będą równie dobre jak w dotyku. Ręką pieszczę jej plecy i całuję ją jeszcze namiętniej, rozkoszując się jej chętnymi ustami.

— To czego chcesz? — pytam, nie odrywając się od jej warg.

— Ciebie. — Oddech ma przyspieszony, głos zdradza podniecenie. Jest napalona. Zaczyna rozpinąć moją koszulę. Kiedy ściąga mi ją z ramion, stoję bez ruchu i pozwalam, by ubranie osunęło się na podłogę.

Mam ją wziąć tutaj czy w łóżku? Wybieram wygodę i biorę Heather za rękę.

— Chodź ze mną.

Ciągnę ją łagodnie, a ona posłusznie wychodzi za mną z salonu i idzie przez hol do sypialni.

W pokoju jest porządek, tak jak myślałem.

Dzięki Ci, Boże, za Krystynę.

Włączam lampki nocne i prowadzę Heather w stronę łóżka.

— Obróć się.

Robi, o co proszę, ale na chwilę traci równowagę w wysokich szpileczkach.

— Spokojnie.

Chwytam ją za ramiona i przyciągam do siebie mocno. Odwracam jej głowę, tak by móc spojrzeć jej w oczy. W pierwszej chwili wpatruje się w moje usta, zaraz jednak podnosi wzrok. Ma takie błyszczące oczy. Jasne. Skupione. Ale dość trzeźwe. Muskam wargami jej szyję, językiem smakując miękką, pachnącą skórę.

— Chyba powinniśmy się położyć.

Rozpinam zamek jej krótkiej czerwonej sukienki i zsuwam ją z ramion Heather. Zatrzymuję się na chwilę, kiedy moim oczom ukazuje się zarys piersi skrytych pod czerwonym stanikiem. Kciukami muskam koronkowy materiał. Heather jęczy i wygina plecy w łuk, wciskając mi biust w dłoń.

O, tak.

Wsuwam kciuki pod delikatną tkaninę i zataczam nimi kółka wokół jej twardniejących sutków, a ona sięga rękami do tyłu, szukając guzika przy moim rozporku.

— Mamy całą noc — mruczę i puszczając ją, cofam się o krok, by sukienka mogła opaść na podłogę.

Czerwone stringi podkreślają jej kształtną pupę.

— Odwróć się, chcę na ciebie popatrzeć.

Obraca się, odrzucając włosy na plecy, i zerka na mnie pożądliwie spod opuszczonych rzęs. Piersi ma naprawdę wspaniałe.

Uśmiecham się. Ona też.

Zapowiada się niezła zabawa.

Chwyta za pasek moich dżinsów i pociąga tak gwałtownie, że jej cudowne cycki znowu przywierają mocno do mojej piersi.

— Pocałuj mnie — odzywa się niskim, pełnym pożądania głosem.

Przesuwa językiem po górnych zębach, a moje ciało reaguje, napinając mięśnie krocza.

— Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, pani.

Ujmuję w dłonie jej głowę, wplatam palce w jedwabiste loki i całuję ją, tym razem już znacznie gwałtowniej. Ona w odpowiedzi chwyta mnie za włosy, a nasze języki się splatają. Przerywa i spogląda na mnie z lubieżnym błyskiem w oczach, jak gdyby dopiero teraz zobaczyła mnie pierwszy raz i ten widok jej się spodobał. Po chwili jej usta znów wpijają się w moje.

Rany, ona naprawdę tego chce.

Zwinne palce odnajdują guzik przy moich dżinsach i szarpią go. Ze śmiechem chwytam jej dłonie i popycham ją delikatnie, aż oboje lądujemy na łóżku.

HEATHER. MA NA IMIĘ HEATHER i śpi obok mnie jak zabita. Zerkam na budzik przy łóżku. Piętnaście po piątej. Jest niezła w łóżku, bez dwóch zdań. Ale teraz chcę, żeby już sobie poszła. Jak długo muszę tu jeszcze leżeć i słuchać jej miękkiego oddechu? Może powinniśmy byli pójść do niej, wtedy mógłbym wyjść, kiedy tylko bym chciał. Ale moje mieszkanie było bliżej, a żadne z nas nie chciało dłużej czekać. Wpatrując się w sufit, odtwarzam w myślach przebieg wczorajszego wieczoru, próbując sobie przypomnieć wszystko, czego się o niej dowiedziałem — jeśli w ogóle coś mi powiedziała. Pracuje w telewizji — czy też „tele”, jak ją nazywa — i rano musi być w pracy, a to oznacza, że niedługo powinna stąd wyjść, prawda? Mieszka w Putney. Jest seksowna. I chętna. O tak, bardziej niż chętna. W czasie stosunku lubi leżeć na brzuchu, dochodzi po cichutku i ma utalentowane usta, które doskonale wiedzą, jak pobudzić do życia wykończonego mężczyznę. Na to wspomnienie mój penis się porusza i przez chwilę rozważam, czy nie obudzić jej na jeszcze jedną rundę. Ciemne włosy ma rozrzucone na poduszce, a jej twarz we śnie przybiera błogi wyraz, który wzbudza we mnie ukłucie zazdrości. Ignoruję je i zastanawiam się, czy gdybym poznał ją lepiej, nadal odnajdywałbym w

niej ten sam spokój.

Och, do kurwy nędzy, niech sobie wreszcie pójdzie.

„Masz problem z bliskością” — słyszę w myślach zrządzenie Caroline.

Caroline. Cholera.

Moje džinsy leżą zmięte na podłodze. Z tylnej kieszeni wyjmuję telefon i odkrywam trzy płaczliwe SMS—y i kilka nieodebranych połączeń, które mnie wkurzają. Zerkam na śpiącą obok mnie dziewczynę — nie, nie wierci się — i czytam wiadomości od szwagierki.

GDZIE JESTEŚ?

ZADZWOŃ DO MNIE!

<FOCH>

Co z nią jest nie tak?

Wie, w czym rzecz; wystarczająco długo mnie zna. Szybkie bzykanko nie zmieni tego, co do niej czuję. Kocham ją... na swój sposób, ale tylko jako przyjaciółkę, dobrą przyjaciółkę.

Twarz wykrzywia mi grymas złości. Nie zadzwoniłem do niej. I nie chcę tego robić. Nie wiem, co mam jej powiedzieć.

Tchórz, szepcze moje sumienie. Muszę z tym zrobić porządek. Nade mną znów podskakuje i migocze odbicie Tamizy, tym razem wolnej i spokojnej. Kpi sobie ze mnie, przypomina, co straciłem.

Wolność.

A co mam teraz?

Odpowiedzialność.

Cholera.

Obezwładnia mnie poczucie winy, obce i nieprzyjemne uczucie — Kit zostawił mi w spadku wszystko. *Wszystko*. A Caroline została z niczym. Jest żoną mojego brata. Pieprzyliśmy się. Nic dziwnego, że czuję się winny. W głębi duszy wiem, że ona też ma z tym problem. Właśnie dlatego wyszła w środku nocy, nie budząc mnie i się nie żegnając. Szkoda, że dziewczyna, która teraz leży obok mnie, nie zrobiła tego samego.

Szybko odpisuję Caro.

Dużo pracy dzisiaj. U Ciebie okej?

Jest piąta rano. Caroline na pewno śpi. Jestem bezpieczny. Zajmę się tym dzisiaj, ale trochę później... albo jutro.

Heather porusza się i otwiera oczy.

— Cześć. — Uśmiecha się do mnie nieśmiało. Odpowiadam tym samym, ale wtedy jej twarz gaśnie. — Powinam już iść — mówi.

— Iść? — Czuję, jak budzi się we mnie nadzieja. — Nie musisz iść. — Udaje mi się powiedzieć to w miarę szczerze.

— Nie, naprawdę muszę. Ta czerwona sukienka do pracy raczej się nie nadaje. — Siada, skromnie otulając swoje krągłości jedwabną kołdrą. — To było... przyjemne, Maximie. Jeśli zostawię ci swój numer, zadzwonisz do mnie? Wolę rozmawiać przez telefon, niż pisać na Tinderze.

— Jasne — kłamię bez mrugnięcia.

Przyciągam ją do siebie i czule całuję. Uśmiecha się zawstydzona. Kiedy wstaje, owija się szczelnie kołdrą i zaczyna zbierać swoje ubrania z podłogi.

— Wezwać ci taksówkę? — pytam.

— Pojadę uberem.

— Mogę to załatwić.

— Okej, dziękuję. Jadę do Putney.

Podaje mi adres, ja wstaję, wciągam porzucone džinsy i zabierając ze sobą telefon, wychodzę z sypialni, żeby dać jej nieco prywatności. To, jak niektóre kobiety zachowują się po wszystkim, jest takie dziwne: są cichutkie i zawstydzone. Heather w niczym nie przypomina lubieżnej, wyuzdanej syreny, jaką była w nocy.

Zamawiam samochód i czekam, spoglądając na ciemną rzekę. Kiedy w końcu wychodzi z sypialni, podaje mi skrawek papieru.

— Mój numer.

— Dzięki. — Wsuwam karteczkę do tylnej kieszeni spodni. — Taksówka będzie za pięć minut.

Stoi niepewnie, kompletnie pogrążona we wstydzie po minionej nocy. Cisza staje się coraz bardziej nieznośna, a Heather rozgląda się po pokoju, byle tylko nie spojrzeć na mnie.

— Piękne mieszkanie. Takie przestronne — mówi, a ja wiem, że tą pogawędką próbuje zagłuszyć skrzypowanie. Zauważa mój fortepian i gitarę. — Grasz? — Podchodzi do fortepianu.

— Tak.

— Dlatego masz takie zręczne palce — mówi i natychmiast marszczy czoło, gdy orientuje się, co właśnie powiedziała. Jej policzki spływają uroczym rumieńcem.

— A ty grasz? — pytam, nie zwracając uwagi na jej ostatnie słowa.

— Nie, w drugiej klasie grałam trochę na flecie, ale nic poza tym. — Na jej twarzy maluje się ulga, pewnie dlatego, że zignorowałam jej uwagę na temat moich palców. — A to? — Ręką wskazuje na konsolety i iMaca, które stoją na biurku w kącie pokoju.

— Bawię się w didżejkę.

— O?

— Kilka razy w miesiącu w klubie w Hoxton.

— Dlatego masz tyle winyli! — Patrzy na półki wzdłuż ściany, na których trzymam swoją kolekcję płyt.

Kiwam głową.

— Jesteś też fotografem? — Gestem wskazuje na czarno—białe krajobrazy, które wiszą w wielkich ramach w salonie.

— Owszem. Czasem staję nawet po drugiej stronie aparatu.

Patrzy na mnie, wyraźnie nie rozumiejąc.

— Zajmuję się modelingiem. Pozuję głównie do sesji *high—fashion* dla magazynów.

— Aha, teraz rozumiem. Naprawdę jesteś bardzo złożonym facetem.
— Uśmiecha się, teraz już nieco bardziej pewna siebie. I dobrze. Jest prawdziwą boginią.

— Człowiekiem renesansu — odpowiadam z przesadną skromnością, a ona przestaje się uśmiechać i robi zakłopotaną minę.

— Coś się stało? — pyta.

Stało? O czym ona, do cholery, mówi?

— Nie, nic. — Rozlega się brzęczenie mojego telefonu; to SMS informujący, że taksówka już podjechała.

— Zadzwoń do ciebie — mówię i pomagam jej włożyć zakiet.

— Nie, nie zadzwonisz. Ale nie przejmuj się. Po to właśnie masz Tindera. Przynajmniej dobrze się bawiłam.

— Ja też. — Nie będę się z nią spierał. — Odprowadzić cię na dół?

— Nie, dziękuję. Jestem już duża, dam sobie radę. Do widzenia, Maximie. Miło było cię poznać.

— I nawzajem... Heather.

— Dobra, robota. — Promienieje, zadowolona, że zdołałem zapamiętać jej imię. Nie sposób nie odwzajemnić jej uśmiechu. — Tak lepiej — mówi. — Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz. — Wyciąga szyję i całuje mnie szybko w policzek. Odwraca się i idzie do windy, stawiając chwiejne kroki w tych swoich szpilkach.

Ze zmarszczonym czołem spoglądam za jej oddalającą się postacią, podziwiając zgrabny tyłeczek poruszający się pod czerwoną sukienką.

Znajdę to, czego szukam? Co to, do cholery, miało znaczyć?

Przecież wszystko mam. Właśnie miałem cię, jutro będzie jakaś inna. Czego mi jeszcze trzeba?

Z jakiejś nieznaney mi przyczyny jej słowa mnie irytują, ale wyrzucam je z głowy i wracam do łóżka, zadowolony, że sobie poszła. Kiedy jednak zdejmuję dżinsy i wślizguję się pod kołdrę, wciąż słyszę jej prowokujące słowa.

Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz.

Skąd jej się to, do cholery, wzięło?

Właśnie odziedziczyłem ogromne posiadłości w Kornwalii, Oxfordshire i Northumberland, a oprócz tego jeszcze nieduży kawałek Londynu — ale za jaką cenę?

Przed oczami staje mi blada, pozbawiona życia twarz Kita.

Cholera.

Odpowiadam teraz za tylu ludzi, zbyt wielu, zdecydowanie zbyt wielu:

rolników, których najmujemy, pracowników w moich posiadłościach, służbę w czterech domach, budowlańców w Mayfair...

Cholera.

Niech cię szlag, Kit. Musiałeś umierać?

Zamykam oczy, próbując powstrzymać łzy, których dotąd nie uрониłem, i ze słowami Heather wciąż dzwoniącymi w uszach zapadam w niebyt.

ROZDZIAŁ DRUGI

ALESSIA WPYCHA RĘCE głębiej do kieszeni starej kurtki Michała, na darmo próbując ogrzać zziębnięte palce. Wtulona w szalik brnie w lodowatej zimowej mżawce w stronę apartamentowca przy Chelsea Embankment. Jest środa, jej drugi dzień bez Krystyny, i właśnie zmierza do wielkiego mieszkania z fortepianem.

Pomimo okropnej pogody jest zadowolona, bo udało jej się przeżyć podróż zatłoczonym pociągiem bez uczucia niepokoju, które towarzyszyło jej do tej pory. Zaczyna rozumieć, że Londyn właśnie taki jest. Za dużo ludzi, za dużo hałasu, za dużo ruchu na ulicach. A najgorsze jest to, że tutaj nikt się do nikogo nie odzywa, poza szybkim „przepraszam”, kiedy kogoś potrąci, albo „proszę się przesunąć do przodu wagonu”. Wszyscy chowają twarze za darmowymi gazetami, słuchają muzyki przez słuchawki albo gapią się w swoje telefony i e—booki, unikając jakiegokolwiek kontaktu wzrokowego.

Dzisiaj rano Alessii się poszczęściło, bo znalazła w pociągu miejsce siedzące, ale kobieta obok niej prawie cały czas wydzieriała się do telefonu, rozprawiając o wczorajszej nieudanej randce. Alessia nie zwracała na nią uwagi i czytała gazetę, żeby szlifować angielski, ale wolałaby włożyć słuchawki i słuchać muzyki, a nie głośnego zawodzenia jakiejś kobiety. Kiedy przeczytała wszystko, zamknęła oczy i marzyła o majestatycznych górach pokrytych połaciami śniegu i pastwiskach, na których powietrze pachniało tymiankiem i rozbrzmiewało brzęczeniem pszczoł. Tęskni za domem. Tęskni za ciszą i spokojem. Tęskni za matką i za swoim fortepianem.

Porusza palcami w kieszeniach, gdy przypomina sobie wprawki, na których ćwiczyła; wyraźnie słyszy w uszach nuty, widzi dokładnie, jak rozbłyskują kolorami. Kiedy ostatni raz grała? Na myśl o fortepianie, który czeka na nią w mieszkaniu, jest coraz bardziej podekscytowana.

Wchodzi do wiekowego budynku i kieruje się do windy, ledwo

panując nad ogarniającym ją podnieceniem, kiedy wjeżdża na najwyższe piętro. Przez kilka godzin w poniedziałki, środy i piątki to cudowne miejsce, te wielkie, przestronne pokoje z ciemnymi drewnianymi podłogami i salonowym fortepianem należą wyłącznie do niej. Otwiera drzwi i chce wyłączyć alarm, lecz ku swemu zdumieniu zauważa, że nie słychać sygnału ostrzegawczego. Może alarm się zepsuł albo nikt go nie włączył. Albo... *Nie*. Z przerażeniem uświadamia sobie, że w takim razie właściciel mieszkania musi być w domu. Nasłuchuje uważnie, próbując wyłapać jakieś oznaki życia. Stoi w ogromnym holu, otoczona wielkimi czarno—białymi zdjęciami przedstawiającymi różne krajobrazy. Nic nie słyszy.

Mirë.

Nie. „Dobrze”. *Angielski. Myśl po angielsku.* Ktokolwiek tu mieszka, musiał wyjść do pracy i zapomniał o włączeniu alarmu. Nigdy tego człowieka nie spotkała, ale musi mieć dobrą pracę, bo mieszkanie jest gigantyczne. Jak inaczej byłoby go na nie stać? Alessia wzdycha. Musi być bogaty, ale przy tym okropny z niego flejtuch. Była tu już trzy razy, z czego dwa z Krystyną, i za każdym razem w mieszkaniu panował potworny bałagan. Trzeba było je sprzątać i pucować godzinami.

Przez świetlik na końcu holu sączy się szare światło dnia, więc Alessia naciska włącznik i ogromny kryształowy żyrandol nad jej głową budzi się do życia, zalewając korytarz blaskiem. Dziewczyna zdejmuje szalik i razem z kurtką wiesza go w szafie przy drzwiach. Z plastikowej siatki wyjmuje stare trampki, które dostała od Magdy, i, ściągawszy przemoczone botki i skarpetki, wsuwa je, szczęśliwa, że jej zmarznięte stopy się w nich ogrzeją. Cienki sweterek i T—shirt nie nadają się na to zimno. Szybko pociera sobie ramiona, żeby pobudzić w nich krążenie, i przez kuchnię idzie do pralni. Tam rzuca na blat swoją siatkę. Wyciąga z niej nylonowy fartuch od Krystyny, który zupełnie na nią nie pasuje, i wkłada go, a głowę obwiązuje bladoniebieską chustką, chowając pod nią swój gruby warkocz. Z szafki pod zlewem wyjmuje pojemnik z przyborami do sprzątania, znad pralki bierze kosz na brudne rzeczy i idzie prosto do jego sypialni. Jeśli się pospieszy, posprząta mieszkanie przed czasem i przez chwilę będzie miała fortepian dla siebie.

Otwiera drzwi, ale nieruchomieje w progu.

Jest tutaj.

Ten mężczyzna!

Śpi kamiennym snem, zupełnie nagi, rozwalony na wielkim łóżku. Alessia, wstrząśnięta i zafascynowana jednocześnie, stoi jak zamurowana i gapi się na niego. Mężczyzna zajmuje całą długość łóżka, zaplątany w kołdrę, ale jest nagi... zupełnie nagi. Twarz ma zwróconą w jej stronę, lecz zasłaniają ją rozczochrane brązowe włosy. Jedną rękę ma wsuniętą pod poduszkę, na której wspiera głowę, drugą trzyma skierowaną ku Alessii. Ma szerokie, pięknie wyrzeźbione ramiona, na bicepsie widać skomplikowany tatuaż, częściowo ukryty pod pościelą. Plecy musnęło słońce, lecz opalenizna blednie w miejscu, gdzie biodra zwięzają się na wysokości dołeczków i białych, jędrnych pośladków.

P o ś l a d k ó w!

Jest nagi!

Lakuriq!

Zot!

Jego długie, muskularne nogi giną pod splątaną szarą kołdrą i jedwabną srebrzystą narzutą, chociaż jedna stopa sterczy poza krawędzią materaca. Nagle mężczyzna się porusza, jego plecy się naprężają, a powieki trzepoczą i unoszą się na chwilę, ukazując nieprzytomne, intensywnie zielone oczy. Alessia wstrzymuje oddech, przekonana, że gospodarz wścieknie się, bo go obudziła. Ich spojrzenia się spotykają, on jednak znowu zmienia pozycję, odwraca od niej twarz i ponownie zasypia. Alessia oddycha z ulgą.

Shyqyr Zotit!

Zmartwiała, na palcach wycofuje się z sypialni i przez długi hol ucieka do salonu, gdzie zostawia koszyk i zaczyna zbierać porozrzucane

ubrania.

Jest tutaj? Jak to możliwe, że jeszcze leży w łóżku? O tej porze?

Na pewno spóźni się do pracy.

Zerka na fortepian — czuje się oszukana. Dzisiaj zamierzała pograć. W poniedziałek nie miała odwagi, a tak bardzo o tym marzy. Dzisiaj zrobiłaby to po raz pierwszy! W głowie słyszy Preludium c—moll Bacha. Gniewnie wystukuje palcami nuty, a melodia rozbrzmiewa w jej głowie jaskrawą czerwienią, żółcią i pomarańczem, stanowiąc idealny akompaniament jej niezadowolenia. Utwór dochodzi do punktu kulminacyjnego w chwili, kiedy Alessia wrzuca do kosza na pranie ciśnięty byle jak T—shirt.

Czy on musi tu być?

Zdaje sobie sprawę, że jej gniew jest irracjonalny. W końcu to jego dom. Ale skupienie się na tym uczuciu pomaga jej nie myśleć o n i m. Jest pierwszym mężczyzną, którego widziała nago; na dodatek ma takie intensywnie zielone oczy w odcieniu spokojnej, głębokiej wody rzeki Drin w letni dzień. Alessia marszczy czoło, bo nie chce wspominać domu. Mężczyzna popatrzył prosto na nią! Dzięki Bogu, że się nie obudził. Dziewczyna bierze kosz na pranie i na palcach podchodzi do uchylonych drzwi sypialni, gdzie przystaje, żeby sprawdzić, czy pan domu dalej śpi. Słyszy dobiegający z łazienki szum wody.

Już wstał!

Zastanawia się, czy nie uciec z mieszkania, choć wie, że to idiotyczny pomysł. Potrzebuje tej pracy, a gdyby teraz wyszła, mężczyzna mógłby ją zwolnić.

Ostrożnie otwiera drzwi szerzej i słyszy, jak mężczyzna nuci coś zupełnie niemelodyjnego pod prysznicem. Z walącym sercem wpada do sypialni, zbiera jego ubrania rozrzucone po całej podłodze i biegiem wraca do bezpiecznej pralni, nie rozumiejąc, czemu serce bije jej tak szybko.

Robi głęboki, uspokajający wdech. Była naprawdę zaskoczona, kiedy natknęła się na niego w sypialni. Tak W tym właśnie rzecz. I tylko w tym. Nie ma to nic wspólnego z faktem, że widziała go nagiego. Tak jak nie mają tu nic do rzeczy jego przyjemna twarz, prosty nos, pełne usta, szerokie ramiona i... muskularne barki. Absolutnie nic. To był tylko szok. Przez myśl jej nie przeszło, że mogłaby spotkać właściciela mieszkania, i to na dodatek w takich okolicznościach. To ją tak zdenerwowało.

Tak. Jest bardzo przystojny.

Cały. Ma piękne włosy, ręce, nogi, pośladki...

JEST NAPRAWDĘ PRYZSTOJNY. I spojrział wprost na nią tymi jasnymi, zielonymi oczami.

Powraca zdecydowanie mroczniejsze wspomnienie z domu: lodowatoniebieskie oczy ciskające w nią gromy gniewu i wściekłości.

Nie. Nie myśl o nim!

Zasłania twarz rękami i pociera czoło.

Nie. Nie. Nie.

Uciekła. Jest tutaj. Jest w Londynie. Jest bezpieczna. Już nigdy więcej go nie ujrzy.

Przykłęka i przekłada brudne ubrania z kosza do pralki. Sprawdza kieszenie czarnych dżinsów i wyjmuję z nich trochę drobnych i, już tradycyjnie, prezerwatywę. Wygląda na to, że mężczyzna nosi je w każdej parze spodni. Z tylnej kieszeni wyjmuję strzępek papieru z nagryzmołonym numerem telefonu i imieniem Heather. Razem z drobnymi i prezerwatywą chowa go w kieszeni fartucha, a do bębna pralki wrzuca kapsułkę piorącą i włącza maszynę.

Następnie opróżnia suszarkę i nastawia żelazko. Dzisiaj zacznie od prasowania, ukrywając się w pralni do czasu, aż on sobie pójdzie.

A jeśli nigdzie się dzisiaj nie wybiera?

I dlaczego Alessia się przed nim chowa?

Jest jej pracodawcą. Może powinna się przedstawić. Poznała już wszystkie panie, dla których pracuje, i żadna nie sprawia problemów poza panią Kingsbury, która chodzi za nią krok w krok i krytykuje jej metody sprzątania. Alessia wzdycha. Pracuje wyłącznie u kobiet — on jest wyjątkiem. A ona woli unikać mężczyzn.

— Na razie, Krystyno! — woła mężczyzna, odrywając ją od myśli i od kołnierzyka koszuli, który właśnie prasuje. Drzwi wejściowe zamykają się z głuchym odgłosem i zapada cisza. Poszedł sobie. Została sama. Z ulgą wzdycha nad deską do prasowania.

Krystyno? Czy on nie wie, że Alessia zajęła jej miejsce? Koleżanka Magdy, Agatha, załatwiła jej tę pracę. Nie poinformowała go o zmianie sprzątaczkę? Alessia postanawia, że wieczorem upewni się, czy właściciel mieszkania o niej wie. Kończy prasować kolejną koszulę, wieszka ją na wieszaku i idzie do holu, żeby sprawdzić, czy na konsolce są dla niej pieniądze. Są. To chyba znaczy, że on już nie wróci?

Dzień natychmiast nabiera kolorów i Alessia ochoczo wraca do pralni po świeżo wyprasowane ubrania, które zanoszą do sypialni pana domu.

Główna sypialnia jest jedynym pomieszczeniem w mieszkaniu, w którym nie dominuje biel: same szare ściany i ciemne drewno. Nad największym łóżkiem, jakie w życiu widziała, wisi ogromne złoczone lustro. Na ścianie naprzeciw — dwie czarno—białe fotografie kobiet zwróconych do obiektywu nagimi plecami. Alessia odwraca się od nich i spogląda na kompletnie zabałaganiony pokój. Szybko odwiesza koszule do garderoby — która jest większa od jej sypialni — a złożone rzeczy układa na jednej z półek. Tu także panuje chaos, ale tak było od pierwszego dnia, kiedy przyszła do mieszkania z Krystyną. Tamta sprzątaczką nigdy nie zwracała na to uwagi i chociaż Alessia chętnie zrobiłaby tu porządek, nie ma teraz czasu na tak wielkie przedsięwzięcie, zwłaszcza jeśli chce choć przez chwilę pograć na fortepianie.

Wraca do sypialni i rozsuwa zasłony. Przez ogromne okna, sięgające od podłogi do sufitu, patrzy na Tamizę. Przestało padać, ale dzień jest bury; ulica, rzeka i drzewa w parku na drugim brzegu mają barwę przytłumionej szarości, zupełnie inaczej niż w domu.

Nie. Dom jest teraz tutaj. Nie zwraca uwagi na ogarniający ją smutek i wyklada rzeczy znalezione w kieszeniach spodni na tackę na stoliku nocnym. Potem zaczyna sprzątać.

Na samym końcu opróżnia kosz na śmieci. Stara się nie patrzeć na zużyte kondomy, kiedy przesypuje jego zawartość do czarnego worka. Gdy robiła to po raz pierwszy, przeżyła szok, i właściwie nadal go doznaje. Jak jeden mężczyzna może zużywać tyle prezerwatyw?

Fuj!

Alessia krząta się w mieszkaniu, myjąc, odkurzając i polerując, unika jednak pokoju, do którego ma zakaz wstępu. Rozmyśla przez chwilę, co też może się ukrywać za zamkniętymi drzwiami, ale nawet nie próbuje ich otwierać. Krystyna wyraźnie powiedziała, że do tego pokoju wchodzić nie wolno.

KIEDY WRESZCIE KOŃCZY SZOROWAĆ PODŁOGĘ, zostaje jej pół godziny wolnego. Znosi do pralni pojemnik ze środkami do czyszczenia, przekłada wyprane ubrania z pralki do suszarki. Zdejmuje fartuch i niebieską chustkę, którą chowa w tylnej kieszeni dżinsów.

Czarny wór ze śmieciami stawia obok drzwi wejściowych. Wyniesie go na śmietnik w alejce za domem, kiedy będzie wychodzić. Nerwowo otwiera drzwi i rozgląda się po korytarzu. Nigdzie nie widać mężczyzny. Może to zrobić. Kiedy za pierwszym razem przyszła tu sama, nie zdobyła się na odwagę. Bała się, że gospodarz wróci. Ale skoro wyszedł i powiedział „do widzenia”, zaryzykuje.

Niemal biegnie do salonu i siada przy fortepianie. Na chwilę zastyga bez ruchu, rozkoszując się chwilą. Lśniący czarny instrument stoi

skąpany w świetle rzucanym przez wiszący nad nim ogromny żyrandol. Alessia muska palcami złocone logo w kształcie liry i widniejący pod nim napis „Steinway & Sons”.

Na podpórce na nuty leży ołówek i ta sama niedokończona kompozycja, która jest tutaj od dnia, kiedy Alessia po raz pierwszy zjawiała się w mieszkaniu. Dziewczyna czyta zapis, a nuty rozbrzmiewają w jej głowie odcieniami bladego błękitu i szarości: smutny lament przepełniony melancholią, nierozwiązany i niezakończony.

Alessia próbuje jakoś powiązać tę wzniosłą i refleksyjną muzykę z leniwym, ale przystojnym nagim mężczyzną, którego widziała rano. Może jest kompozytorem. Zerka na stojące w kącie po drugiej stronie szerokiego pokoju antyczne biurko z komputerem, syntezatorem i czymś, co przypomina dwa miksery dźwięku. Tak, zdecydowanie wyglądają, jakby należały do kompozytora. No i jeszcze te zajmujące całą ścianę półki ze starymi płytami, które Alessia musi odkurzać; właściciel mieszkania bez wątpienia jest zapalonym kolekcjonerem muzyki.

Odsuwa te myśli od siebie i spuszcza wzrok na klawiaturę. Ile czasu minęło, odkąd ostatni raz grała? Tygodnie? Miesiące? Nagle to bolesne uczucie udręki zapiera jej dech. Dziewczyna zachłystuje się, a do oczu napływają jej łzy.

Nie. Nie tutaj. Tutaj się nie rozklei. Przytrzymuje się fortepianu, próbując stłumić rozdzierające serce ból i tęsknotę za domem. Uświadamia sobie, że minął ponad miesiąc, odkąd miała okazję grać. Tyle się wydarzyło od tamtej pory...

Wzdryga się i wzdycha głęboko, na siłę przywołując spokój. Prostuje palce i gładzi klawisze.

Czerń. Biel.

Już sam ich dotyk działa kojąco. Pragnie smakować tę drogocenną chwilę i zatracić się w muzyce. Łagodnie naciska klawisze, uderzając w tonację e—moll. Dźwięk jest czysty i silny, barwy soczystej, bujnej

zieleni, koloru oczu pana. Serce Alessii wypełnia się nadzieją. Fortepian jest doskonale nastrojony. Zaczyna grać swoją wprawkę, *Le Coucou*; klawisze poruszają się łatwo i gładko, zupełnie płynnie. Jej palce szybko biegają po klawiaturze, a stres, strach i smutek ostatnich tygodni bledną, aż w końcu znikają, gdy ona zanurza się w kolorach muzyki.



JEDEN Z DOMÓW NALEŻĄCYCH DO TREVELYANÓW znajduje się przy Cheyne Walk, z mojego mieszkania można tam dojść szybkim spacerem. Zbudowany w 1771 roku przez Roberta Adama Trevelyan House był domem Kita od śmierci naszego ojca. Mnie kojarzy się z wieloma wspomnieniami z dzieciństwa — czasem szczęśliwymi, czasem nieco mniej — a teraz należy do mnie i mogę z nim zrobić, co tylko uznam za stosowne. Cóż, w końcu powierzono mi go w testamencie. Po raz kolejny uświadamiając sobie nową rzeczywistość, potrząsam głową i podnoszę wyżej kołnierz płaszcza, by osłonić się przed przenikliwym chłodem, który zdaje się pochodzić nie z powietrza, lecz z mojego wnętrza.

Co, do cholery, mam zrobić z tym domem?

Caroline widziałem dwa dni temu i wiem, że jest na mnie wściekła, ale prędzej czy później będę musiał się z nią zmierzyć. Zatrzymuję się na progu, rozważając, czy mogę użyć własnego klucza. Mam go od zawsze, ale wydaje mi się, że wtargnięcie do środka bez uprzedzenia byłoby naruszeniem czyjejs prywatności.

Robię głęboki wdech i pukam dwa razy. Po krótkiej chwili drzwi się otwierają i staje w nich Blake, nasz lokaj, który służył u nas, jeszcze zanim się urodziłem.

— Lordzie Trevethick — mówi, pochylając łysiejącą głowę i otwierając drzwi szerzej.

— Czy to naprawdę konieczne, Blake? — pytam i wchodzę do holu.

Blake milczy, biorąc ode mnie płaszcz. — Jak się miewa pani Blake?

— Doskonale, milordzie. Choć wielce ją zasmuciły ostatnie wydarzenia.

— Jak nas wszystkich. Czy Caroline jest w domu?

— Tak, milordzie. O ile mi wiadomo, lady Trevethick przebywa w salonie.

— Dziękuję. Sam do niej pójde.

— Naturalnie. Czy napije się pan kawy?

— Poproszę. Aha, Blake, jak już wspominałem w ubiegłym tygodniu, „proszę pana” w zupełności wystarczy.

Blake waha się przez sekundę, po czym kiwa głową.

— Tak, proszę pana. Dziękuję panu.

Najchętniej wywróciłbym teraz oczami. W tym domu byłem czcigodnym Maximem Trevelyanem, do którego zwracano się „panie Maximie”. „Lordem” był wyłącznie mój ojciec, a po nim mój brat. Minie trochę czasu, zanim przywyknę do nowego tytułu.

W drodze do salonu muszę pokonać wysokie schody i hol na piętrze. Poza tapicerowanymi kanapami i eleganckimi meblami w stylu królowej Anny, pozostającymi w rodzinie od pokoleń, pokój jest w zasadzie pusty. Łączy się z oranżerią, z której rozciąga się spektakularny widok na Tamizę, molo Cadogan i most Alberta. W tym ogromnym pomieszczeniu znajduję Caroline, skuloną w fotelu i otuloną kaszmirowym szalem. Siedzi wpatrzona w okno. W ręce ściska małą niebieską chusteczkę.

— Cześć — mówię, wchodząc do środka.

Caroline zwraca ku mnie zalaną łzami twarz z zaczerwienionymi, spuchniętymi oczami.

Ożeż.

— Gdzie ty się, do ciężkiej cholery, podziewałeś? —wybucha.

— Caro... — mówię, gotowy, by ją ułagodzić.

— Nie zaczynaj, idioto — warczy i podnosi się z fotela z zaciśniętymi pięściami.

Cholera. Naprawdę jest wściekła.

— Co tym razem zrobiłem?

— Dobrze wiesz co. Dlaczego nie odbierałeś moich telefonów? Nie odzywałeś się przez dwa dni!

— Musiałem sobie dużo przemyśleć. Poza tym byłem zajęty.

— Ty? Zajęty? Maximie, nie wiedziałbyś, co to znaczy być zajęтым, nawet gdybyś się potknął i wsadził w to pojęcie swojego kutasa.

Blednę, po czym parskam śmiechem, wyobraziwszy sobie tę scenę.

Caroline odrobinę się rozluźnia.

—Nie rozśmieszaj mnie, kiedy jestem na ciebie wściekła. — Wydyma wargi obrażona.

— Potrafisz mieć niewyparzony język. — Rozkładam ramiona, a ona podchodzi, żeby się przytulić.

— Dlaczego nie zadzwoniłeś? — pyta, kiedy mnie obejmuje. Już zapomniała o złości.

— Trochę tego wszystkiego za dużo — szepczę, tuląc ją do siebie. — Potrzebowałem czasu, żeby to sobie poukładać.

— Sam?

Nie odpowiadam. Nie chcę kłamać. W poniedziałek byłem z, hm... Heather, a wczoraj z... jak ona miała na imię? Dawn.

Caroline prychna i wyswobadza się z moich objęć.

— Tak właśnie myślałam. Za dobrze cię znam, Maximie. Jaka była?

Wzruszam ramionami, kiedy przypominam sobie usta Heather obejmujące mojego penisa.

Caroline wzdycha.

— Straszny kurwiarz z ciebie — mówi z właściwą sobie pogardą.

Jak mógłbym zaprzeczyć?

Nikt lepiej od Caroline nie wie o moich nocnych przygodach. Dysponuje całą kolekcją epitetów, którymi mnie opisuje, i bez przerwy ruga mnie za rozwiązłość.

Mimo to poszła ze mną do łóżka.

— Ty rzniesz się na prawo i lewo, żeby zagłuszyć żalobę, a ja musiałam samotnie przeżyć lunch z tatusiem i Macochą. Było okropnie — sili się na żart. — A wczoraj wieczorem byłam taka samotna.

— Przepraszam — mówię, ponieważ nic innego nie przychodzi mi do głowy.

— Widziałeś się z prawnikami? — zmienia temat, spoglądając prosto w moje oczy.

Kiwam głową i muszę przyznać przed samym sobą, że to kolejny powód, dla którego jej unikałem.

— O nie — jęczy. — Co za ponura mina. Nic nie dostałam, prawda? — Oczy ma ogromne z przerażenia i żalu.

Kładę dłonie na jej ramionach i mówię najłagodniej, jak potrafię:

— Wszystko powierzono mnie jako dziedzicowi.

Caroline wyrywa się szloch. Zastania usta dłonią, a łzy napływają jej do oczu.

— Niech go szlag — szepcze.

— Nie martw się, coś wymyślimy — mruczę i znowu ją obejmuję.

— Kochałam go — odzywa się cichym, cienkim głosem podobnym do mowy dziecka.

— Wiem. Oboje go kochaliśmy.

Ale wiem też, że ona równie mocno jak mojego brata kochała jego tytuł i majątek.

— Ale nie wyrzucisz mnie z domu?

Biorę od niej chusteczkę i wycieram jej oczy.

— Nie, oczywiście, że nie. Jesteś wdową po moim bracie i moją najlepszą przyjaciółką.

— Ale nic poza tym? — Posyła mi łzawy, przepełniony goryczą uśmiech, a ja w odpowiedzi całuję ją w czoło.

— Pańska kawa. — Z progu oranżerii dobiega głos Blake'a.

Natychmiast opuszczam ramiona i odsuwam się od Caroline. Lokaj wchodzi z kamiennym wyrazem twarzy, niosąc tacę z dwiema filiżankami, mlekiem, srebrnym dzbankiem pełnym kawy i moimi ulubionymi herbatnikami w czekoladzie.

—Dziękuję, Blake — mówię, próbując nie zwracać uwagi na rumieniec z wolna wypełzający mi na szyję.

Nie daj się.

Blake stawia tacę na stoliku przy kanapie.

— Czy to wszystko, proszę pana?

— Na razie tak, dziękuję — mówię to tonem ostrzejszym, niż zamierzałem.

Blake wychodzi, a Caroline nalewa kawę. Rozluźniam się, kiedy lokaj znikną. Słyszę w głowie słowa mojej matki: „Nie przy służbie”.

Wciąż trzymam wilgotną chusteczkę Caroline. Spoglądam na nią i marszczę brwi, bo przypomina mi się sen, który miałem ubiegłej nocy — a może to było już rano? Jakaś młoda kobieta, czyżby anioł? A może to Dziewica Maryja albo zakonnica w błękitnym habicie stała w drzwiach mojej sypialni i przyglądała mi się, kiedy spałem.

Co to, do cholery, może znaczyć?

Przecież nie jestem religijny.

— Co się stało? — pyta Caroline.

Potrząsam głową.

— Nic — bąkam i biorę od niej filiżankę z kawą, przy okazji oddając chusteczkę.

— Mogę być w ciąży — mówi Caroline.

Co takiego? Krew odpływa mi z twarzy.

— Z Kitem. Nie z tobą. Ty za bardzo się pilnujesz.

Święta racja.

Mam wrażenie, że ziemia pod moimi stopami się poruszyła.

Dziedzic Kita!

Czy sytuacja może się jeszcze bardziej skomplikować?

— Cóż, jeśli faktycznie jesteś w ciąży, znajdziemy rozwiązanie — odpowiadam, przez chwilę myśląc z ulgą, że cała odpowiedzialność może spaść na dziecko Kita. Rów nocześnie znów ogarnia mnie żal.

Godność hrabiowska jest moja. Na razie.

Cholera. Da się to wszystko jeszcze bardziej pogmatwać?

ROZDZIAŁ TRZECI

SIEDZĘ W TAKSÓWCE WIOZĄCEJ MNIE DO BIURA, kiedy dzwoni mój telefon. To Joe.

— Brachu — mówi. — Jak leci?

Głos ma poważny, więc się domyślam, że pyta, jak sobie radzę po śmierci Kita. Nie widzieliśmy się od pogrzebu.

— Jakoś żyję.

— Co powiesz na mały sparing?

— Z chęcią, ale nie dam rady. Przez cały dzień mam spotkania.

— Hrabiowskie gówno?

Śmieję się.

— Otóż to. Hrabiowskie gówno.

— To może w tygodniu? Moja szpada zaczyna rdzewieć.

— Bardzo chętnie. Albo chodźmy się napić.

— Jasne. Sprawdzę, czy Tom da radę przyjść.

— Super. Dzięki, Joe.

— Spoko, brachu.

Rozłączam się i popadam w ponury nastrój. Chciałbym znów móc robić tylko to, na co mam ochotę. Dawniej, kiedy mnie naszło, żeby poćwiczyć szermierkę w środku dnia, nic nie stało na przeszkodzie. Joe jest moim partnerem do sparingów i jednym z najbliższych przyjaciół. A ja muszę teraz iść do biura i dla odmiany zająć się cholerną robotą.

Kit, to wszystko twoja wina.



W LOULOU DUDNI MUZYKA. Czuję, jak klatka piersiowa rezonuje mi od basów. To właśnie lubię. Hałas ogranicza zbędną rozmowę. Przedzieram się przez tłum do baru. Marzę o drinku i ciepłym, chętnym ciecie.

Ostatnie półtora dnia upłynęło mi na uciążliwych spotkaniach z dwoma dyrektorami funduszu, którzy nadzorują okazały portfel inwestycyjny Trevethicków oraz nasz fundusz charytatywny, z administratorami posiadłości w Komwalii, Oxfordshire i Northumberland, z agentem zajmującym się nieruchomościami w Londynie i wreszcie z deweloperem, który kieruje przebudową trzech kamienic w Mayfair. Razem ze mną uczestniczył w nich Oliver Macmillan, główny asystent i prawa ręka Kita. Poznali się i zaprzyjaźnili w Eton, razem studiowali w Londyńskiej Szkole Ekonomii, dopóki Kit nie rzucił uczelni, żeby wypełnić swój arystokratyczny obowiązek po śmierci ojca.

Oliver jest drobnym facetem, ma burzę niesfornych blond włosów i nijakiego koloru oczy, którym nic nie umyka. Nigdy się do niego nie przekonałem. Jest bezwzględny i ambitny, ale zna się na arkuszach kalkulacyjnych i doskonale sobie radzi z licznym personelem, który podlega hrabiemu Trevethick.

Nie mam pojęcia, jak Kitowi udawało się to wszystko ogarniać i jeszcze być dyrektorem funduszu w City. Ale był z niego bystry i przebiegły drań.

I zabawny.

Brakuje mi go.

Zamawiam grey goose z tonikiem. Może Kit tak świetnie sobie radził, bo miał Macmillana. Nie wiadomo tylko, czy Oliver będzie równie lojalny

wobec mnie, czy raczej wykorzysta moją naiwność, zanim nauczę się wszystkiego, czego wymagają ode mnie nowe obowiązki. Nie mam pojęcia, jak to się ułoży, ale wiem, że mu nie ufam. Zapamiętuję sobie, by zawsze mieć się przy nim na baczności.

W ciągu tych dwóch minionych dni spotkała mnie tylko jedna miła rzecz: zadzwoniła moja agentka z wiadomością, że w przyszłym tygodniu mam sesję zdjęciową. Z wielką przyjemnością poinformowałem babsztyla, że w najbliższej przyszłości nie będę dyspozycyjny.

Czy będzie mi tego brakowało?

Trudno powiedzieć. Praca w modelingu potrafi być nudna do bólu, ale kiedy wywalili mnie z Oksfordu, tylko dzięki niej miałem powód, żeby wstać z łóżka. Poza tym zmuszała mnie do utrzymania formy. No i spotykałem mnóstwo chudych, napalonych lasek.

Pociągam łyk drinka i rozglądam się po sali. W tej chwili właśnie na to mam ochotę: na napaloną laskę, wszystko jedno, czy wychudzoną, czy nie.

Mamy czwartek i pora kogoś przelecieć.

Jej ochrypy śmiech przyciąga moją uwagę i nasze spojrzenia się spotykają. Widzę w jej oczach podziw i rzucone mi wyzwanie, co sprawia, że mój penis budzi się do życia. Dziewczyna ma piękne orzechowe oczy i długie, lśniące brązowe włosy. Pije shoty. Na dodatek wygląda oszałamiająco w skórzanej mini i sięgających ud kozaczkach na szpilce.

Tak. Nada się.

O drugiej nad ranem wchodzimy do mojego mieszkania. Biorę od Leticii płaszcz, a ona natychmiast się odwraca i zarzuca mi ramiona na szyję.

— Chodźmy do łóżka, eleganciku — szepcze i całuje mnie gwałtownie. Żadnych wstępów.

Wciąż jeszcze trzymam jej płaszcz i muszę oprzeć się o ścianę, żebyśmy oboje nie upadli. Jestem zaskoczony jej atakiem. Może jest bardziej pijana, niż mi się wydawało. Smakuje szminką i jagermeisterem — intrygujące połączenie. Wplątam palce w jej włosy i odciągam ją od swoich ust.

— Powoli, kochanie — mityguję ją. — Pozwól chociaż, że odłożę twój płaszcz.

— Pieprzyć mój płaszcz — odpowiada i znowu mnie całuje. Ma bardzo nachalny język.

Wolę pieprzyć ciebie.

— W tym tempie nie dotrzemy do sypialni. — Chwytam ją za ramiona i delikatnie odsuwam.

— W takim razie chcę obejrzeć twoje mieszkanie, ty modelu— fotografie—didżeju — mówi kpiąco, a jej miękki irlandzki akcent kompletnie się kłóci z bezpośrednim zachowaniem.

Idąc za nią w stronę salonu, zastanawiam się, czy w łóżku też będzie taka prostolinijna. Jej obcasy stukają o drewnianą podłogę.

— Bawisz się też w aktorstwo? A tak w ogóle, piękny widok — mówi, spoglądając na Tamizę przez szklaną ścianę. — Ładny fortepian — dodaje i odwraca się do mnie z oczami błyszczącymi od podniecenia. — Pieprzyłeś się już na nim?

Rany, co za niewyparzony język.

— Nie, ostatnio nie. — Rzucam jej płaszcz na kanapę. — I teraz też chyba nie mam ochoty. Wolę mieć cię w łóżku.

Nie zwracam uwagi na to, jak kpi sobie z mojego braku stałego zajęcia. Nie powiedziałem jej, że zarządzam całym imperium.

Uśmiecha się. Szminka jej się rozmazała, więc ja też na pewno mam trochę pomadki na ustach. Odrzuca mnie ta myśl, więc wycieram wargi

palcami. Leticia podchodzi do mnie i chwyta za klapy marynarki, przyciągając mnie do siebie.

— W porządku, eleganciku, pokaz mi, co potrafisz.

Kładzie mi ręce na piersi i sunie paznokciami po mostku.

Cholera! To prawie boli. Nie ma paznokci, tylko czerwone szpony w identycznym odcieniu jak szminka. Zsuwa mi z ramion marynarkę, pozwalając, by spadła na podłogę, i zaczyna rozpinać guziki koszuli. Jest tak napalona, że cieszą mnie jej dosyć powolne ruchy. Mogłaby po prostu zerwać ze mnie koszulę, a tę akurat lubię! Ubranie spada na ziemię, a ona wbija mi paznokcie w ramiona. Celowo.

— A! — syczę z bólu.

— Fajny tatuaż — mówi, przesuwając dłońmi po moich ramionach coraz niżej, w kierunku paska dżinsów, zostawiając na skórze ślady swoich paznokci.

Auć! Rany, ale ona jest agresywna.

Łapię ją za ręce i przyciągam do siebie, żeby pocałować jej usta.

— Chodźmy do łóżka — mówię, przyciskając wargi do jej warg, i zanim zdąży coś powiedzieć, prowadzę ją do sypialni. Tam z kolei to ona ciągnie mnie w stronę łóżka i znowu drapie paznokciami po brzuchu, dobierając się do moich spodni.

No, no! Lubi na ostro.

Krzywię się i unieruchamiam jej nadgarstki w żelaznym uścisku. Tak naprawdę robię to po to, by się przed nią obronić.

Chcesz się ostro bawić? Też tak potrafię.

— Bądź grzeczna — ostrzegam. — I ty pierwsza! — puszczam ją i odsuwam od siebie, by móc na nią popatrzeć. — Rozbieraj się. No już! — rozkazuję.

Odrzuca włosy przez ramię i wydyma z rozbawieniem usta, opierając ręce na biodrach.

— No, dalej — ponaglam ją.

Widzę, jak ciemnieją jej oczy, gdy nieruchomieje.

— Poproś — mówi szeptem.

Uśmiecham się złośliwie.

— Proszę.

Parska śmiechem.

— Uwielbiam twój arystokratyczny akcent.

— To czysty przypadek, że urodziłem się w takiej, a nie innej rodzinie, złotko. Butów nie zdejmuj — dodaję.

Odwzajemnia mój pełen wyższości uśmieszek, sięga do tyłu i nonszalancko rozpiną obcisłą, skórzaną sukienkę. Poruszając biodrami na boki, zsuwa ją z siebie po wysokich cholewkach butów. Uśmiecham się. Wygląda niesamowicie. Szczupła, z małymi, jędrnymi piersiami, w czarnych francuskich majteczkach, staniku do kompletu i sięgających ud kozakach. Uwalnia się z ubrania i zbliża do mnie z kuszącym, seksownym wyrazem twarzy. Chwyta mnie za ramiona i ze zdumiewającą siłą pociąga w stronę łóżka. Opiera ręce na moim torsie i popycha mnie tak gwałtownie, że ląduję jak długi na narzucie.

— Zdejmuj je — rozkazuje, pokazując na moje spodnie. Stoi nade mną z szeroko rozstawionymi nogami.

— Sama to zrób — mówię bezgłośnie, jedynie poruszając ustami.

Nie trzeba jej dwa razy powtarzać. Wpełza na łóżko i siada na mnie okrakiem, miażdżąc mi krocze. Skrobiąc paznokciami po moim brzuchu, sunie dłonią w stronę rozporka.

Au!

Kurwa mać! Ona jest niebezpieczna.

Gwałtownie siadam, czym kompletnie ją zaskakuję, i przewracam dziewczynę na plecy. Siadam na niej, chwytam ją za nadgarstki i przytrzymuję jej ręce nad głową. Walczy, próbując się uwolnić.

— Hej! — protestuje, wbijając we mnie wściekłe spojrzenie.

— Chyba muszę cię związać. Jesteś niebezpieczna — odzywam się łagodnie, obserwując jej reakcję.

To się może różnie skończyć.

Oczy jej się powiększają, a ja nie wiem, czy ze strachu, czy raczej z podniecenia.

— A ty? — pyta szeptem.

— Czy jestem niebezpieczny? Ja? Nie. A na pewno nie tak jak ty.

Z szuflady nocnego stolika wydaję długą jedwabną szarfę i parę skórzanych kajdanek.

— Chcesz się zabawić? — pytam, pokazując jej oba przedmioty. — Co wybierasz?

Patrzy na mnie, a źrenice ma ogromne z pożądania i lęku.

— Nic ci nie zrobię — uspokajam ją. To nie moja bajka. — Po prostu muszę nad tobą zapanować. — Tak naprawdę jednak martwię się, że to ona zrobi coś mnie.

W kącikach jej ust pojawia się kpiący, uwodzicielski uśmiezek.

— Jedwab — mówi.

Uśmiecham się i rzucam kajdanki na podłogę: dominacja jako forma

samoobrony.

— Wybierz bezpieczne słowo.

— Chelsea.

— Dobry wybór.

Zawiązuję jedwabną szarfę wokół jej lewego nadgarstka, przeplatam ją przez szczelki zagłówka, po czym, chwytając jej prawą rękę, zwinnie obwiązuję ją drugim końcem. Unieruchomiona wygląda fantastycznie. I nie dosięgnie mnie swoimi paznokciami.

— Jak będziesz niegrzeczna, zasłonę ci też oczy —mruczę.

Wierci się.

— Dasz mi klapsa? — pyta ledwie dosłyszalnym szeptem.

— Jeśli będziesz się ładnie bawić.

Rany, zapowiada się niezła zabawa.

DOCHODZI SZYBKO I GŁOŚNO. Krzyczy i szarpie jedwabne więzy.

Ze śliskimi, wilgotnymi ustami siadam między jej udami, przewracam ją na brzuch i wymierzam jej klapsa w pupę.

— Nie ruszaj się — mamroczę i naciągam prezerwatywę.

— Szybciej!

Cholera, wymagająca jest!

—Wedle życzenia — odpowiadam gardłowo i wbijam się w nią.

PATRZĘ, JAK JEJ PIERSI WZNASZĄ SIĘ I OPADAJĄ PRZEZ SEN. Zgodnie ze swoim zwyczajem próbuję sobie przypomnieć wszystko, co wiem o kobiecie, którą właśnie przeleciałem. I to dwukrotnie. Leticia. Prawniczka specjalizująca się w prawach człowieka, seksualnie agresywna. Starsza ode mnie. Lubi, kiedy się ją wiąże. I to bardzo. Ale tak na ogół jest w przypadku bezpośrednich, asertywnych kobiet, o czym nieraz miałem okazję się przekonać. Lubi kąsać, w czasie orgazmu krzyczy. Wygadana. Zabawna... Wyczerpująca;

Budzę się nagle. We śnie szukałem czegoś ulotnego, wizji, która pojawia się i znika, eterycznej zjawy w błękicie. I kiedy już ją prawie widzę, wpadam w czarną, głęboką otchłań. Przeszywa mnie dreszcz.

O co w tym, do cholery, chodziło?

W bladym zimowym świetle odbicie Tamizy tańczy na suficie. Co mnie obudziło?

Leticia.

Rany, prawdziwa z niej kocica. Nie ma jej obok mnie na łóżku, spod prysznicza też nie dochodzi żaden dźwięk. Może już wyszła. Uważnie wsłuchuję się w odgłosy mieszkania.

Panuje cisza. Uśmiecham się. Przynajmniej obeszło się bez krępujących pogaduszek. Dzień jawi się w miłych barwach, dopóki nie przypominam sobie, że jestem umówiony na lunch z matką i siostrą. Z jękiem naciągam kołdrę na głowę. Będą chciały rozmawiać o testamencie.

Jasna cholera.

Matrona, jak mawiał o niej Kit, jest przerażającą kobietą. Czemu, do diabła, nie wróciła do Nowego Jorku? Naprawdę nie mam pojęcia. Jej życie toczy się tam, nie tu.

W głębi mieszkania rozlega się jakiś stukot. Podnoszę się.

Szlag. Leticia wciąż tu jest.

A to oznacza konieczność rozmowy. Niechętnie zwlekam się z łóżka, naciągam na siebie leżące najbliżej dżinsy i wychodzę, żeby się przekonać, czy w jasnym świetle dnia jest równie szalona jak po ciemku.

Na bosaka idę przez hol, ale ani w kuchni, ani w salonie nikogo nie ma.

Co jest, w mordę?

W drzwiach kuchni odwracam się i zamieram. Spodziewam się ujrzeć Leticję, tymczasem zamiast niej widzę drobną młodą kobietę, która stoi w holu i wpatruje się we mnie. Oczy ma wielkie i ciemne, przez co przypomina przestraszoną sarenkę; nosi paskudny niebieski fartuch i błękitną chustkę skrywającą włosy.

Nie odzywa się.

— Cześć. Kim, do cholery, jesteś? — pytam.

ROZDZIAŁ CZWARTY

ZOT! JEST TUTAJ I JEST ZŁY.

Alessia zamiera w bezruchu, gdy z jej spojrzeniem spotykają się jego płonące zielone oczy. Wysoki, szczupły, półnagi — góruje nad nią. Na głowie ma nieokiełznaną kasztanową czuprynę ze złotymi refleksami, które połyskują w świetle żyrandola w korytarzu. Jest tak barczysty, jak go zapamiętała, ale tatuaż na ramieniu wydaje się znacznie bardziej skomplikowany niż ten w jej pamięci; udaje jej się rozpoznać tylko skrzydło. Delikatny zarost na klatce piersiowej tworzy trójkąt, który zwięża się ku dołowi i ginie na jędrnym brzuchu. Potem pojawia się znowu pod pępkiem i wędruje w dół, niknąć w dzinsach. Napięta czarna tkanina jest rozpruta na kolanie. Ale to zaciśnięte, pełne wargi i oczy koloru wiosny wyglądające z przystojnej, nieogolonej twarzy każą jej odwrócić wzrok. W ustach jej zasycha, nie wie, czy to z nerwów, czy... czy... na jego widok.

Jest taki pociągający!

Zbyt pociągający.

I do tego półnagi! Ale dlaczego jest taki zły? Czyżby go obudziła?

O *nie!* Każe jej odejść z mieszkania z fortepianem.

Spanikowana wbija wzrok w podłogę, myśląc, co powiedzieć, i ściska trzonek od miotły, jakby nie mogła ustać o własnych siłach.



CO TO, DO DIABŁA, ZA PŁOCHLIWA ISTOTA STOI W MOIM KORYTARZU?

Kompletnie nic nie rozumiem. Czy już ją kiedyś widziałem? Obraz z zapomnianego snu wyłania się w mojej pamięci jak świeżo zrobione zdjęcie z polaroidu; anioł w błękicie unoszący się przy moim łóżku. Ale to było kilka dni temu. Czy to mogła być ona? A teraz jest tutaj, stoi jak wryta w moim korytarzu z pobladłą twarzą małej psotnicy i spuszczonej oczami. Kostki palców aż jej bieleją, gdy coraz mocniej ściska trzonek od miotły, jakby to była kotwica przytrzymująca ją na ziemi. Chustka na głowie skrywa jej włosy, drobna sylwetka tonie w za dużym, staromodnym nylonowym fartuchu. Wygląda, jakby spadła tu z księżycy.

— Kim jesteś? — pytam znowu, ale łagodniejszym tonem, nie chcąc jej wystraszyć.

Wielkie oczy koloru mocnego espresso w oprawie najdłuższych rzęs, jakie w życiu widziałem, podnoszą się na mnie, ale po chwili znów studiują podłogę.

Cholera!

Jedno krótkie spojrzenie jej ciemnych, przepastnych oczu i jestem... niespokojny. Jest ode mnie co najmniej o głowę niższa, ma może metr sześćdziesiąt pięć przy moim metrze osiemdziesiąt siedem. Rysy ma delikatne: wysokie kości policzkowe, zadarty nos, jasna, gładka skóra i blade usta. Wygląda, jakby przydało jej się kilka dni na słońcu i naprawdę porządny posiłek.

To oczywiście, że przyszła posprzątać. Ale dlaczego ona? Dlaczego tutaj? Czyżby zastąpiła moją starą dochodzącą?

— Gdzie jest Krystyna? — pytam, sfrustrowany już trochę jej milczeniem. Może to córka Krystyny — albo wnuczka.

Przez cały czas wpatruje się w podłogę ze zmarszczonymi brwiami. Równymi białymi zębami przygryza górną wargę, ale odmawia spojrzenia mi w oczy.

Popatrz na mnie, próbuję ją zmusić siłą woli. Chcę wyciągnąć rękę i

podnieść jej brodę, lecz w tej chwili ona, jakby czytając mi w myślach, sama zadziera głowę. Jej wzrok spotyka się z moim, język wysuwa się z ust i nerwowo oblizuje górną wargę. Całe moje ciało się spina, czując gorący, mocny przypływ pożądania, które uderza we mnie jak kula do wyburzeń.

Ja pierdzielę!

Mrużę oczy, bo tuż za pożądaniem szybko kroczy rozdrażnienie. Co, do cholery, jest ze mną nie tak? Dlaczego kobieta, której nigdy nie spotkałem, tak na mnie działa? To irytujące. Jej oczy pod delikatnymi lukami brwi robią się wielkie, a ona sama cofa się o krok, siłując się z miotłą, która wylatuje jej z rąk i ze stukotem upada na podłogę. Dziewczyna schyla się po nią z niewymuszonym, bezpretensjonalnym wdziękiem, a kiedy znowu stoi wyprostowana, wbija wzrok w trzonek, na jej policzki powoli wypływają rumieńce, z ust zaś dobywa się niezrozumiałe mamrotanie.

Jasna cholera! Czyżbym onieśmiał tę nieszczęsną dziewczynę?

Nie mam takiego zamiaru.

Jestem zły na siebie. Nie na nią.

Chyba że powód jest inny.

— Może mnie nie rozumiesz — mówię bardziej do siebie niż do niej i przeczesuję palcami włosy, przywołując do porządku swoje ciało.

Znajomość angielskiego Krystyny sprowadzała się do „tak”i „tutaj”, przez co często musiałem się uciekać do gestykulacji, gdy chciałem, żeby zrobiła coś, co wykraczało poza codzienne porządki. Ta dziewczyna też pewnie jest Polką.

—Jestem sprzątaczką, *mister*— szepcze z oczami ciągle wbitymi w podłogę i rzęsami rozkładającymi się jak wachlarze nad mocno zarumienionymi policzkami.

— Gdzie jest Krystyna?

— Wróciła do Polski.

— Kiedy?

— Zeszły tydzień.

To coś nowego. Dlaczego, do cholery, nic o tym nie wiem? Lubiłem Krystynę. Sprzątała u mnie od trzech lat i znała wszystkie moje brudne sekreciki. Nawet nie mogłem się z nią pożegnać.

Może to chwilowe rozwiązanie.

— Wróci? — pytam.

Bruzdy na czole dziewczyny się pogłębiają, ale nic nie mówi. Jej wzrok przenosi się na moje stopy. Z jakiegoś nieokreślonego powodu wprawia mnie to w skrępowanie. Z rękami opartymi na biodrach robię krok w tył, a moja konsternacja wzrasta.

— Jak długo tutaj jesteś?

Wstrzymując oddech, odpowiada ledwo słyszalnym głosem:

—W Anglii?

— Spójrz na mnie, proszę — mówię do niej. Dlaczego tak bardzo nie chce podnieść wzroku?

Szczupłe palce zaciskają się znów wokół trzonka od miotły, jakby zamierzała zamachnąć się nią niczym bronią, po czym dziewczyna przełyka ślinę, podnosi głowę i przypatruje mi się wielkimi, lśniąco-brązowymi oczami. Oczami, w których mógłbym utonąć. W ustach mi zasycha, a ciało znów się spina.

No żeż w mordę!

— Jestem w Anglii przez trzy tygodnie.

Jej głos brzmi mocniej i czyściej; słyhać w nim akcent, którego nie rozpoznaję. Mówiąc, buntowniczo wysuwa brodę w moją stronę. Wargi ma teraz różowe, dolną pełniejszą ód górnej, po której znowu przesuwa językiem. *Cholera!*

Znów czuję podniecenie. Odsuwam się od niej jeszcze o krok.

— Trzy tygodnie? — bełkoczę, zdumiony swoją reakcją.

Dlaczego tak się dzieje?

Co ona w sobie ma?

Jest zajebiście piękna, zawodzi w mojej głowie spokojny głosik.

Tak. Jak na kobietę ubraną w paskudny nylonowy fartuch jest naprawdę pociągająca.

Skup się. Nie odpowiedziała na moje pytanie.

— Nie. Chodziło mi o to, jak długo jesteś w moim mieszkaniu.

Skąd ta dziewczyna pochodzi? Wyteżam umysł. Pani Blake załatwiła mi Krystynę przez jakichś swoich znajomych. Ale zastępczyni Polki znów milczy.

— Znasz angielski? — pytam, próbując zmusić ją do mówienia. — Jak się nazywasz?

Marszczy brwi, patrząc na mnie jak na kretyna.

— Tak. Znam angielski. Nazywam się Alessia Demachi. Jestem w pańskim mieszkaniu od godziny dziesiątej rano.

No, no! Naprawdę zna angielski.

— No tak. Cóż. Dzień dobry, Alessio Demachi. Ja nazywam się... — *Co powinienem powiedzieć? Trevethick? Trewelyan?* — Maxim.

Odpowiada krótkim skinieniem głowy i przez chwilę wydaje mi się, że ma zamiar dygnąć, ale stoi nieruchomo, ściskając miotłę i rozbierając mnie do naga niespokojnym spojrzeniem.

Nagle mam wrażenie, że ściany korytarza zacieśniają się wokół mnie, i czuję, że się duszę. Chcę uciec od tej nieznajomej i jej spojrzenia przeszywającego mnie na wskroś.

— Cóż, miło mi cię poznać, Alessio. Wobec tego lepiej zacznij sprzątać.
— Po chwili namysłu dodaje: —Prawdę mówiąc, mogłabyś zmienić pościel w moim łóżku. — Macham ręką tam, gdzie znajduje się sypialnia.
—Wiesz, gdzie trzymamy świeże poszewki i prześcieradła, prawda?

Znowu kiwa głową, ale nadal nie rusza się z miejsca.

— Idę do siłowni — mruczę pod nosem, choć sam nie wiem, dlaczego jej się tłumaczę.

ODWRACA SIĘ I IDZIE PRZEZ KORYTARZ W STRONĘ SYPIALNI, a Alessia opiera się ciężko o miotłę i oddycha głęboko z wielką ulgą. Patrzy, jak napinają i rozluźniają się mięśnie na jego plecach — aż do dwóch dołeczków widocznych tuż nad paskiem dżinsów. Widok jest rozpraszający — bardzo rozpraszający. Idąc, pan pobudza jej wyobraźnię nawet bardziej niż wtedy, gdy leżał w łóżku. Znika w swoim pokoju, a ona zamyka oczy i czuje, jak ogarnia ją przygnębienie.

Nie kazał jej odejść, ale może zadzwonić do Agathy i poprosić, żeby znalazła mu kogoś innego do sprzątania. Wydawał się wściekły, że zakłóciła mu spokój, a potem rozzłościł się jeszcze bardziej.

Dlaczego?

Alessia marszczy brwi i próbuje powstrzymać narastającą panikę, zaglądając do salonu i patrząc na fortepian.

Nie. Nie może do tego dojść. Jeśli trzeba, będzie go błagała, żeby

pozwolił jej zostać. Nie chce odchodzić. Nie może odejść. Fortepian to dla niej jedyna ucieczka. Jedyne źródło radości.

No i jest jeszcze on, *mister*. Jego idealny brzuch, bosc stopy i świdrujące oczy rozpalają jej wyobraźnię. Ma twarz anioła, a ciało... no cóż... Rumieni się. Nie powinna myśleć o takich rzeczach.

Jest taki przystojny.

Nie. Przestań. Skup się.

Zabiera się do pracy, niespokojnymi ruchami kontynuuje zmiatanie z podłogi nieistniejącego brudu. Będzie musiała okazać się najlepszą sprzątaczką, jaką kiedykolwiek zatrudniał, a wtedy nie będzie chciał jej nikim zastąpić. Pełna determinacji przechodzi do salonu, żeby zmiatać, porządkować i polerować.

Dziesięć minut później, strzepując poduchy czarnej narożnej kanapy, słyszy trzaśnięcie drzwi wejściowych.

Dobrze. Poszedł sobie.

Idzie prosto do jego sypialni, żeby zdjąć pościel. W pokoju jak zwykle panuje bałagan — ubrania i jakieś dziwne kajdanki na podłodze, na wpół rozsunięte zasłony i skotłowana pościel. Alessia szybko zbiera porozrzucane rzeczy i zdejmuję poszewki. Zastanawiając się, dlaczego do wezgłowia przywiązana jest szeroka jedwabna wstążka, odwiązuje ją i kładzie na jego szafce nocnej obok kajdanek. Zakłada świeże prześcieradło i zadaje sobie pytanie, do czego te rzeczy służą. Nie ma pojęcia i nie chce nawet zgadywać. Kończy sianie łóżka i zabiera się za sprzątanie łazienki.

BIEGNĘ JAK NIGDY W ŻYCIU. W rekordowym czasie pokonuję osiem kilometrów na bieżni, ale nie mogę przestać odtwarzać w myślach rozmowy z moją nową dochodzącą.

Szlag. Szlag. Szlag.

Pochylam się i opieram dłonie na kolanach, próbując złapać oddech. Biegnę, żeby oddalić się od mojej pieprzonej dochodzącej — sprzątaczkii, czy jak ona się tam zwie — i uciec od jej wielkich brązowych oczu.

Nie. Uciekam od swojej reakcji na jej obecność.

Te oczy będą mnie prześladować przez cały dzień. Prostując się, ocieram pot z czoła, a przed oczami wbrew mojej woli staje jej obraz, klęczącej przede mną w tej chustce na głowie.

Ciało mi się napręża.

Znowu.

I wystarczy, że tylko o niej pomyślę.

Kurwa.

Ze złością wycieram ręcznikiem twarz, i postanawiam zafundować sobie trening siłowy. Tak. To powinno mi pomóc przestać o niej myśleć. Wybieram dwoje najcięższych hantli i zaczynam ćwiczyć.

Trening oczywiście nie zaprzęta bez reszty moich myśli. Szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego tak na nią reaguję. Nie przypominam sobie, bym spotkał kiedyś dziewczynę, która aż tak by na mnie działała.

Może to stres.

Tak. To najbardziej logiczne wytłumaczenie. Przechodzę żałobę po Kicie i staram się uporać z jej następstwami.

Łajdak z ciebie, Kit, że obarczyłeś mnie taką odpowiedzialnością.

To przytłaczające. *Cholernie przytłaczające.*

Odsuwam od siebie wszystkie myśli o Kicie i o n i e j, koncentrując się na ćwiczeniu i licząc powtórzenia.

Za dwie godziny jem lunch z matką.

Cholera.

ALESSIA JEST W PRALNI, przekłada pranie do suszarki, gdy znowu rozlega się trzaśnięcie drzwi.

O nie! Wrócił.

Zadowolona, że ukryła się w najmniejszym pomieszczeniu w całym mieszkaniu, ustawia deskę, bierze żelazko i zaczyna prasować te kilka rzeczy, które już wyschły. Na pewno tutaj nie wejdzie. Kiedy kończy piątą koszulę, raz jeszcze słyszy, jak zamykają się drzwi, i wie, że znowu jest sama. Drażni ją, że nie zawołał „do widzenia”, jak wtedy, gdy myślał, że ona to Krystyna, ale otrząsa się z rozdrażnienia i pośpiesznie kończy prasowanie.

Raz jeszcze wchodzi do sypialni, żeby sprawdzić, czy nie zostawił bałaganu. No jasne, strój z siłowni wala się po podłodze. Ostrożnie podnosi rzecz za rzeczą. Wszystkie są wilgotne od potu, ale ze zdziwieniem stwierdza, że nie budzi w niej to takiej odrazy jak wtedy, gdy go jeszcze nie znała. Wkłada ubranie do kosza na brudy i sprawdza łazienkę. W powietrzu unosi się świeży, czysty zapach jego mydła. Zamyka oczy, wdycha go i nagle znów jest wśród wysokich iglastych drzew otaczających dom jej rodziców w Kukës. Upaja się zapachem, nie bacząc na ściskającą za serce tęsknotę za domem. Jej domem jest teraz Londyn.

Wyciera umywalkę i kończy pracę pół godziny przed czasem. Biegnie prosto do salonu i zasiada do fortepianu. Jej palce pieczą klawisze, a dźwięki Preludium C—dur Bacha wypełniają mieszkanie, nuty jak rozedrgane barwy tańczą w kątach pokoju i koją jej znękaną duszę.

WCHODZĘ DO ULUBIONEJ RESTAURACJI MOJEJ MATKI przy Aldwych. Jestem za

wcześnie, ale głównie mnie to obchodzi. Muszę się napić, nie tylko po to, żeby zapomnieć o spotkaniu z moją nową dochodzącą, ale też żeby wzmocnić się nieco, zanim stanę oko w oko z matką.

— Maxim!

Odwracam się i widzę jedyną kobietę w moim życiu, którą uwielbiam. Maryanne, moja młodsza o rok siostra, idzie przez hol. Jej oczy, tego samego koloru co moje, rozbłyskują, gdy się do niej odwracam, ręce oplatają moją szyję, a rude włosy opływają mi twarz, bo Maryanne jest ode mnie tylko o kilka centymetrów niższa.

— Cześć, M.A., stęskniłem się za tobą — mówię, kiedy ją obejmuję.

— Marie. — Głos więźnie jej w gardle.

Cholera. Nie tutaj.

Obejmuję ją mocniej, żeby tylko nie płakała, i ku swemu zdziwieniu czuję, jak w gardle pieką mnie niekontrolowane emocje. Maryanne pociąga nosem, a jej oczy, kiedy ją puszczam, mają czerwone obwódki. To do niej niepodobne. Zazwyczaj przypomina naszą matkę, a ta zawsze trzyma emocje na wodzy.

— Wciąż nie mogę uwierzyć, że go nie ma — mówi, ściskając papierową chusteczkę.

— Wiem. Ja też. Usiądźmy i zamówmy drinka.

Ujmuję ją za łokieć i idziemy za hostessą do wielkiej, wyłożonej boazerią sali. Ma klasyczny, staromodny wystrój: mosiężne lampy, ciemnozielona skórzana tapicerka, wykrochmalone białe obrusy i połyskujące kryształły na stołach. W powietrzu unosi się szum rozmów biznesmenów i pobrękiwanie sztućców o delikatną porcelanę. Koncentruję się na zgrabnym tyłeczku hostessy obleczonym w wąską ołówkową spódnicę i na dźwięku jej szpilek stukających o wyłożoną polerowanymi kaflami podłogę, kiedy prowadzi nas do stolika. Podsuwam Maryanne krzesło i oboje siadamy.

— Dwie krwawe mary — mówię do hostessy, która wręcza nam karty dań i posyła mi nieśmiałe spojrzenie, na które nie odpowiadam.

Może i ma fajną dupę i słodki uśmiech, ale nie jestem w nastroju do zabawy. Spokoju nie daje mi starcie z moją dochodzącą i wspomnienie jej niespokojnych ciemnych oczu. Marszczę brwi, opędzając się od tej myśli, i skupiam uwagę na siostrze, a hostessa opuszcza nas, zawiedziona i nadąsana.

— Kiedy wróciłaś z Kornwalii? — pytam.

— Wczoraj.

— Jak się miewa Hrabina Wdowa?

— Maxim! Wiesz, że nie znosi tego określenia.

Westchnąłem teatralnie.

— Okej, jak się miewa Pani Matka?

Maryanne przez chwilę piorunuje mnie wzrokiem, ale po chwili twarz jej smutnieje.

Cholera.

— Przepraszam — mamroczę przywołany do porządku. — Jest naprawdę wstrząśnięta, ale trudno to zauważyć. Wiesz, jaka jest. — Oczywiście Maryanne pochmurnieją; wygląda na strapioną. — Myślę, że czegoś nam nie mówi.

Kiwam głową. Wiem o tym doskonale. Moja matka rzadko pozwala zajrzeć pod swoją lśniącą zbroję. Na pogrzebie Kita nie płakała; w tej tragicznej sytuacji była wcieleniem wdzięku. Oschła, ale uprzejma, jak zawsze. Ja też nie płakałem. Za bardzo byłem zajęty walką z gigantycznym kacem.

Przełykam ślinę i zmieniam temat.

— Kiedy wracasz do pracy?

— W poniedziałek — odpowiada Maryanne, wykrzywiając lekko usta w smutnym grymasie.

Ze wszystkich dzieci Trevelyanów tylko Maryanne odniosła naukowy sukces. Po liceum Wycombe Abbey rozpoczęła studia medyczne na Corpus Christi w Oksfordzie i teraz jest rezydentką w szpitalu Royal Brompton. Specjalizuje się w kardiochirurgii. Podążyła za powołaniem zrodzonym w dniu, w którym nasz ojciec doznał rozległego zawału i umarł. Miała wtedy piętnaście lat i chciała go uratować. Śmierć ojca wstrząsnęła każdym z nas na inny sposób, a najmocniej uderzyła w Kita, który musiał rzucić studia i przejąć hrabiowskie obowiązki. Ja zaś straciłem jedyne rodzica, który mi naprawdę sprzyjał.

— Jak się czuje Caro? — pyta.

— Rozpacza. Wkurza się, że Kit nie zapisał jej nic w spadku, głupi sukinsyn — warczę.

— Kto jest głupim sukinsynem? — pyta rzeczowy głos z brytyjsko—amerykańskim akcentem.

Rowena, hrabina wdowa Trevethick, stoi nad nami. Kasztanowowłosa, zadbana, w nieskazitelnym granatowym kostiumie od Chanel i w perłach.

Podnoszę się.

— Roweno — mówię i cmokam ją od niechcenia w nadstawiony policzek, po czym podsuwam krzesło, żeby usiadła.

— Czy tak się wita pogrążoną w żałobie matkę, Maximie? — bezta mnie Rowena, siadając, i odkłada torebkę Birkin na podłogę. Wyciąga rękę nad stołem i ściska dłoń Maryanne. — Witaj, moja droga, nie słyszałam, jak wychodziłaś.

— Musiałam się trochę przewietrzyć, mamó — odpowiada Maryanne,

odwzajemniając uścisk matki.

Rowena, hrabina Trevethick, zachowała tytuł pomimo rozwodu z naszym ojcem. Większość czasu dzieli pomiędzy Nowy Jork, gdzie mieszka i lubi się bawić, a Londyn, gdzie redaguje „Dernier Cri”, ekskluzywny ilustrowany magazyn dla kobiet.

— Poproszę lampkę chablis — mówi do kelnera, który przyniósł akurat do stolika dwie krwawe mary. Z dezaprobatą unosi jedną brew, widząc, jak oboje pociągamy ze szklanek długie łyki.

Nadal jest niemożliwie szczupła i niemożliwie piękna, zwłaszcza gdy patrzy się na nią przez dno szklanki. Była ucieleśnieniem marzeń swojego pokolenia i stała się muzą wielu fotografów, w tym mojego ojca, jedenastego hrabiego Trevethick. Był jej oddany, a ona wyszła za niego tylko dlatego, że uwiodły ją jego pieniądze i tytuł; gdy go rzuciła, nigdy się już nie podniósł. Cztery lata po rozwodzie umarł ze złamanym sercem.

Przyglądam jej się spod przymrużonych powiek. Twarz ma gładką jak niemowlę — zapewne za sprawą niedawnego peelingu chemicznego. Kobieta ma obsesję na punkcie zachowania młodości i jedyne odstępstwo od rygorystycznej diety złożonej z soków warzywnych albo tego, co w danym momencie jest jej żywieniową fanaberią, stanowi wypijana co jakiś czas lampka wina. Moja matka bez wątpienia jest piękna, a jej obłuda tej oszałamiającej urodzie dorównuje — mój biedny ojciec słono za to zapłacił.

— Spotkałeś się, jak rozumiem, z Rajahem? — zwraca się wprost do mnie.

— Tak.

— I? — Ciska we mnie pioruny wzrokiem krótkowidza, zbyt próżna, by nosić okulary.

— Został mi powierzony w zarząd cały majątek.

— A Caroline?

— Nie dostała nic.

— Rozumiem. Cóż, nie możemy pozwolić, żeby biedaczka głodowała.

— My? — pytam.

Rowena oblewa się rumieńcem.

— Ty — mówi lodowatym tonem. — To ty nie możesz pozwolić, żeby biedaczka głodowała. Z drugiej strony ma własny fundusz powierniczy, a gdy jej ojciec zejdzie z tego świata, odziedziczy fortunę. Kit mądrze wybrał pod tym względem.

— Chyba że macocha ją wydziedziczy — odparowuję i pociągam kolejny bardzo mi potrzebny łyk krwawej mary.

Matka sznuruje wargi.

— Może dasz jej pracę? Na przykład przy projekcie w Mayfair? Ma oko do wnętrza i dobrze by było, gdyby zajęła czymś myśli.

— Moim zdaniem to Caroline powinna zdecydować, co chce robić.

Nie udaje mi się powstrzymać urażonego tonu. Matka jak zwykle w arbitralny sposób próbuje ustawiać rodzinę, którą wiele lat temu porzuciła.

— Podoba ci się to, że nadal mieszka w Trevelyan House? — pyta, nie zważając na mój ton.

— Roweno, nie mam zamiaru pozbawiać jej dachu nad głową.

— Maximilianie, zechciałbyś zwracać się do mnie „mamo”!

— Kiedy zaczniesz się zachowywać jak mama, wezmę to pod rozwagę.

— Maxim — ostrzega mnie Maryanne, a jej oczy rozbłyskują wściekłą

zielenią.

Czując się jak zbesztane dziecko, zaciskam wargi i zaczynam wpatrywać się w kartę, zanim powiem coś, czego będę żałować.

Rowena mówi dalej, ignorując moją nieuprzejmość.

—Będziemy musieli do końca omówić szczegóły uroczystości żałobnej. Myślałam, że mogłaby się odbyć krótko przed Wielkanocą. Zlecę komuś z moich najlepszych redaktorów napisanie przemowy, chyba że...

Głos jej się łamie i matka milknie, a Maryanne i ja zaskoczeni podnosimy wzrok znad naszych kart. Oczy jej wilgotnieją i pierwszy raz, odkąd pochowała swoje najstarsze dziecko, zaczyna wyglądać na swój wiek. Ścisza chusteczkę z wyhaftowanym monogramem i podnosi ją do ust, próbując się uspokoić.

Szlag by to.

Czuję się jak kanalia. Straciła najstarszego syna... swoje ukochane dziecko.

— Chyba że? — podpowiadam.

— Któreś z was mogłoby się tym zająć — szepcze, posyłając nam nietypowe dla niej błagalne spojrzenie.

— Pewnie — mówi Maryanne. — Ja ją napiszę.

— Nie. Ja powinienem to zrobić. Rozbuduję mowę, którą napisałem na pogrzeb. Zamówimy lunch? — pytam, pragnąc zmienić temat i czując się niezręcznie w obliczu tak niecodziennego jak na matkę pokazu emocji.

ROWENA DŁUBIE WIDELCEM W SAŁATCE, podczas gdy Maryanne sztuczkami przesuwa po talerzu ostatni kawałek omletu.

— Caroline powiedziała, że być może jest w ciąży —obwieszczam, biorąc kolejny spory kęs chateaubrianda.

Rowena szybko podnosi głowę i mruży oczy.

— Rzeczywiście, mówiła, że się starają — potwierdza Maryanne.

— Cóż, jeśli to prawda, to może być jedyna szansa na to, bym została babcią, a rodzina przez jeszcze jedno pokolenie zachowałaby hrabiowski tytuł. — Rowena rzuca nam obojgu pełne wyrzutu spojrzenie.

—Zostałabyś babcią — rzucam cierpko, zbywając milczeniem drugą część jej uwagi. — Jak by na to zareagował twój najnowszy przystojniak z Nowego Jorku?

Rowena słynie ze skłonności do młodych mężczyzn, czasem młodszych od jej najmłodszego syna. Patrzy na mnie gniewnie, gdy biorę kolejny kęs steku, ale wytrzymuję jej spojrzenie, czekając, aż coś powie. Dziwne, pierwszy raz w życiu czuję, że mam nad matką przewagę. To coś nowego; dorastając, tak bardzo starałem się zyskać jej aprobatę, ale nigdy mi się to nie udawało.

Maryanne spogląda na mnie z niezadowoleniem. Wzruszam ramionami, odkrawam następny kawałek pysznego steku i biorę go do ust.

— Ani ty, ani Maryanne nie wykazujecie najmniejszej chęci ustatkowania się, a Boże broń, żeby majątek przeszedł w ręce brata waszego ojca. Camerona można równie dobrze spisać na straty.

Rowena marudzi, woląc nie komentować mojego bezczelnego zachowania. Na myśl, zupełnie nieproszone, przychodzi mi spotkanie z Alessią Demachi i marszczę brwi. Spoglądam na Maryanne, która robi to samo i wpatruje się w niedokończone jedzenie.

O?

— A co z tym młodym człowiekiem, którego poznałaś na nartach w

Whistler? — zwraca się do Maryanne Rowena.

WRACAM DO MIESZKANIA O ZMIERZCHU. Jestem wykończony i lekko pijany po iście sądowym przesłuchaniu prowadzonym przez moją matkę, dotyczącym statusu wszystkich posiadłości, londyńskiej dzierżawy i nieruchomości na wynajem, a także przebudowywanych apartamentów w Mayfair, nie wspominając już o wartości inwestycji Trevethicków. Chciałem jej przypomnieć, że to nie jej zasrany interes, ale teraz wypełnia mnie nieznane mi dotąd poczucie dumy, że byłem w stanie szczegółowo odpowiedzieć na każde z jej pytań. Nawet Maryanne była pod wrażeniem. Oliver Macmillan dobrze mnie we wszystko wprowadził.

Kiedy padam na kanapę przed ogromnym telewizorem w nieskazitelnie czystym, pustym mieszkaniu, moje myśli wracają — tak jak przez cały dzień — do rozmowy, którą odbyłem rano z ciemnooką dochodzącą.

Gdzie teraz jest?

Jak długo zostanie w Anglii?

Jak wygląda bez tego bezkształtnego fartucha?

Jakiego koloru ma włosy? Czy są tak ciemne jak jej brwi?

Ile ma lat? Wygląda na młodą. Może zbyt młodą.

Zbyt młodą na co?

Wiercę się niespokojnie na kanapie i skaczę po telewizyjnych kanałach. Może moja reakcja na nią była jednorazowa. Przecież wyglądała jak zakonnica. Może kręca mnie zakonnice? Śmieję się sam do siebie z tej niedorzeczności. Odzywa się mój telefon — to SMS od Caroline.

Jak było na lunchu?

Męcząco. Hrabina Wdowa była jak zwykle sobą.

Sama nią zostanę, jeśli się ożenisz.

Dlaczego mi to mówi? Zresztą nie mam żadnego interesu w tym, żeby się żenić z kimkolwiek. No... przynajmniej nie teraz. Przychodzi mi na myśl tyrada matki na temat wnuków i kręcę głową. Dzieci. Nie. Po prostu nie. W każdym razie jeszcze nie.

W najbliższym czasie mi to nie grozi!

To dobrze.

Co robisz?

Siedzę w domu przed TV.

Wszystko u ciebie w porządku? Mogę przyjechać?

Ostatnie, czego mi teraz trzeba, to Caroline mieszająca mi w głowie czy jakiegokolwiek innej części mojej anatomii.

Niewinne kłamstewko.

Ciągle się puszczasz, jak widzę. :P

Znasz mnie na wylot. Dobranoc, Caro.

Wpatruję się w telefon, czekając na jej odpowiedź, ale ustrojstwo milczy, więc wracam do telewizora po to tylko, by stwierdzić, że nie ma niczego, co chciałbym obejrzeć. Wyłączam go.

Niespokojny siadam przy biurku i otwieram pocztę na iMacu. Znajduję kilka maili od Olivera dotyczących spraw majątkowych, którymi nie chcę się zajmować w piątkowy wieczór. Mogą poczekać do poniedziałku. Patrzę na zegarek i dziwię się, że jest dopiero ósma wieczór, za wcześnie, żeby wyjść. Zresztą perspektywa zatłoczonego klubu nie wydaje mi się teraz kusząca.

Czuję się jak w więzieniu, ale nie mam ochoty wychodzić z

mieszkania, więc podchodzę do fortepianu i siadam. Na pulpicie stoi zapomniana kompozycja, którą zacząłem tworzyć sześć tygodni temu. Śledzę nuty, w głowie odtwarzając muzykę, i zanim się spostrzegę, palce zaczynają uderzać w klawisze i wygrywać melodię. W moich myślach pojawia się obraz ubranej w błękit młodej dziewczyny rozbierającej mnie do naga ciemnymi, bardzo ciemnymi oczami. Nowe nuty suną jak lawina i improwizuję, zaczynając tam, gdzie wcześniej utknąłem.

Jasna cholera!

W niezwykłym przypiływie ekscytacji przerywam, wydaję z kieszeni telefon i znajduję aplikację dyktafonu. Włączam nagrywanie i zaczynam od nowa. Dźwięki niosą się po pokoju. Sugestywne. Melancholijne. Poruszające. Inspirujące.

Jestem sprzątaczką, mister.

Tak. Znam angielski. Nazywam się Alessia Demachi.

Alessia.

Kiedy spoglądam na zegarek, jest po północy. Wyciągam rękę nad głowę i patrzę na rękopis. Jest skończony. Napisałem cały utwór i obezwładnia mnie poczucie sukcesu. Jak długo próbowałem tego dokonać? A wystarczyło spotkanie z nową sprzątaczką. Kręcę głową i choć raz kładę się do łóżka wcześniej i bez towarzystwa.

ROZDZIAŁ PIĄTY

ALESSIA Z DRŻENIEM OTWIERA DRZWI DO MIESZKANIA Z FORTEPIANEM. Ogarnia ją przygnębienie wywołane niepokojącym milczeniem alarmu. Cisza oznacza, że budzący jej onieśmienie zielonooki pan jest w domu. Nawiedza jej sny, odkąd go ujrzała wyciągniętego nago na łóżku. A podczas weekendu, gdy tylko miała chwilę spokoju, była w stanie myśleć jedynie o nim. Nie rozumie dlaczego, choć to pewnie przez tamto krótkie, świdrujące spojrzenie, którym ją obdarzył, górując nad nią w korytarzu, albo dlatego, że jest taki przystojny i wysoki, i szczupły, i ma dołeczki na plecach nad umięśnionym, atletycznym tyłeczkiem...

Przestań!

Jej krnąbrne myśli nie pozwalają nad sobą zapanować.

Po cichu zsuwa z nóg mokre botki i skarpety, przemyka korytarzem i dalej przez kuchnię. Na blacie walają się butelki po piwie i pudełka po jedzeniu na wynos, lecz Alessia zmyka do bezpiecznej pralni. Stawia buty na grzejniku, obok kładąc skarpety w nadziei, że przed jej wyjściem zdążą wyschnąć.

Zdejmuje mokrą czapkę i rękawiczki i wiesza je na haczyku obok bojlera, po czym ściąga podarowaną przez Magdę kurtkę. Zawiesza ją na tym samym haczyku i marszczy brwi, widząc, jak na wyłożoną kafelkami podłogę kapie woda. W ulewnym deszczu przemokły jej nawet dzinsy. Dygocze, zdejmując je i próbując założyć fartuch, szczęśliwa, że w reklamówce przynajmniej on nie zmókł. Podomka kończy się poniżej kolan, więc nie musi się niczego wstydić, nie mając na sobie spodni. Zagląda do kuchni, by się upewnić, że pana tam nie ma. Pewnie jeszcze śpi. Alessia wrzuca przemoczone dzinsy do suszarki. Przynajmniej one będą suche. Zacerwienione stopy śwędzą ją od zimna, więc chwytając suchy ręcznik ze sterty czystego prania i rozmasowuje je energicznie, przywracając czucie w palcach. Gdy się już nieco rozgrzeją, zakłada tenisówki.

— Alessio?

Zot!

Pan się obudził! Czego chce?

Tak szybko, jak tylko pozwalają jej zmarznięte palce, wyciąga z siatki chustkę i zawiązuje ją na głowie, czując, że splecione w warkocz włosy też ma mokre. Robi głęboki wdech, wychodzi z pralni i spotyka pana w kuchni. Oplata się ramionami w próbie rozgrzania reszty ciała.

— Hej — mówi pan i się uśmiecha.

Alessia spogląda na niego. Oszłamiający uśmiech rozświetla przystojną twarz i szmaragdowe oczy. Odwraca wzrok, oślepiona urodą pana i zawstydzona rumieńcem, który zakrada się na jej policzki.

Ale przynajmniej jest jej trochę cieplej.

Musiał być naprawdę zły, gdy go ostatnio widziała —co tak bardzo odmieniło jego nastrój?

— Alessio? — powtarza.

—Tak, *mister?* — odpowiada ze spuszczonego wzrokiem. Tym razem pan przynajmniej jest ubrany.

— Chciałem się tylko przywitać. Hej.

Zerka na niego, ale nie rozumie, czego od niej chce. Jego uśmiech nie jest już taki szeroki, a na czole widać głębokie bruzdy.

— Hej — mówi niepewna, czego od niej oczekuje.

Pan kiwa głową i przestępuje z nogi na nogę, jakby się wahał. Wydaje jej się, że chce coś jeszcze powiedzieć, ale zamiast tego odwraca się i wychodzi z kuchni.

ALEŻ ZE MNIE KRETYN! Sam siebie przedrzeźniam, bezgłośnie powtarzając „hej”. Przez cały weekend myślałem o tej dziewczynie, a teraz jedyne, na co mnie stać, to „chciałem się tylko przywitać”?

Cholera, co jest ze mną nie tak?

Wracam do sypialni i zauważam szlaczek mokrych śladów na podłodze w korytarzu.

Czyżby szła boso w deszczu? Niemożliwe!

W moim pokoju panuje półmrok, a widok na drugą stronę Tamizy wydaje się szary i nijaki. Na dworze leje deszcz. Wczesnym rankiem stukał o szyby, hałasując tak, że mnie obudził. *Cholera*. Na pewno szła pieszo w tę paskudną pogodę. Znowu się zastanawiam, gdzie mieszka i jak długą drogę musi przebyć. Miałem nadzieję zachęcić ją dziś rano do rozmowy i poznać te szczegóły, ale widzę, że ją peszę.

Czy chodzi o mnie, czy o mężczyzn w ogóle?

Ten pomysł mnie niepokoi. Może to ja się peszę. Ostatecznie w zeszłym tygodniu wypędziła mnie z mieszkania i myśl, że udekiem przed nią, wprawia mnie w zakłopotanie. Postanawiam, że więcej się to nie zdarzy.

Faktem jest, że mnie zainspirowała. Zanurzyłem się w muzyce na cały weekend. Dzięki temu mogłem przestać myśleć o nowej, niemile widzianej odpowiedzialności, jaka na mnie spadła, i znaleźć ukojenie w żalu — a może raczej znalazłem sposób, by dać mu odpowiedni upust... Nie wiem. Skończyłem trzy utwory, mam załączek pomysłu na dwa kolejne i kusi mnie, by do któregoś z nich napisać tekst. Ignorowałem telefon, skrzynkę mailową —wszystko! Pierwszy raz w życiu znalazłem pociechę we własnym towarzystwie. To niesamowite. Kto by pomyślał, że mogę tak wydajnie pracować? Nie rozumiem tylko, dlaczego ta dziewczyna tak na mnie działa, skoro zamieniliśmy zaledwie kilka słów. Nie ma to dla mnie sensu, ale nie zamierzam się nad tym za długo zastanawiać.

Biorę z szafki nocnej komórkę i spoglądam na łóżko. Pościel jest w kompletnym nieładzie.

Jasna cholera, ale ze mnie flejtuch.

Szybko ścielę łóżko. Z hałdy ubrań rozrzuconych po kanapie chwytam czarną bluzę z kapturem i zakładam ją na koszulkę. Jest chłodno. Z przemoczonymi stopami ona pewnie też marznie. Na korytarzu przystaję i o kilka stopni podkręcam termostat. Nie chcę myśleć, że może jej być zimno.

Wychodzi z kuchni, niosąc pusty kosz na pranie i plastikowy pojemnik pełen środków czystości i szmat. Ze zwieszoną głową mija mnie w drodze do sypialni. Patrzą za jej oddalającą się sylwetką w bezkształtnym fartuchu: długie, blade nogi, lekkie kołysanie bioder... czyżby przez nylon prześwitywały jaskraworóżowe majtki? Spod chustki wypęła gruby, ciemny warkocz, spływa po jej plecach i kończy się tuż nad prześwitującą różową materią, kołysząc się z boku na bok z każdym krokiem dziewczyny. Wiem, że powinienem odwrócić wzrok, ale spokoju nie daje mi jej bielizna. Zakrywa jej całą pupę i sięga aż do pasa. To chyba największe majty, jakie zdarzyło mi się widzieć u kobiety. A moje ciało wariuje, jakbym był trzynastoletnim chłopcem.

Ożeż! Jęczę w duchu, czując się jak zboczeniec, i walczę z chęcią pójścia za nią. Zamiast tego ruszam do salonu, gdzie siadam do komputera, żeby przejrzeć maile od Olivera i zapomnieć o żądzy i o mojej dochodzącej, Alessii Demachi.

ALESSIA JEST ZASKOCZONA, widząc, że łóżko zostało posłane. Za każdym razem, gdy była w tym mieszkaniu, w pokoju właściciela panował okropny bałagan. Na kanapie znowu zalega sterta ubrań, ale wygląda schludniej niż zwykle. Dziewczyna rozsuwa do końca zasłony i spogląda na rzekę.

— Tamiza.

Wypowiada to słowo głośnym szeptem, jej głos lekko się łamie.

Jest ciemna i szara, tak jak bezlistne drzewa na jej drugim brzegu... nie to co Drin. Nie to co u niej w domu. Tutaj żyje w mieście, wielkim i zatłoczonym, bardzo zatłoczonym. W domu otaczały ją żyzne pola i ośnieżone szczyty gór. Odsuwa od siebie bolesną myśl o rodzinnych stronach. Jest tutaj po to, żeby pracować — i chce tej pracy, bo wiąże się z nią premia w postaci fortepianu. Zastanawia się, czy pan będzie tu cały dzień, i ta myśl nie daje jej spokoju. W jego obecności nie będzie mogła zagrać swoich ulubionych utworów.

Ale z drugiej strony... przynajmniej go widuje.

Mężczyznę, który opanował jej sny.

Musi przestać o nim myśleć. *Natychmiast*. Z ciężkim sercem zaczyna wieszac niektóre z rozrzuconych rzeczy w jego garderobie. Te, które jej zdaniem trzeba wyprać, wkłada do kosza.

W łazience unosi się woń iglastych drzew i sandałowego drewna. Przyjemny, męski zapach. Daje sobie chwilę, żeby odetchnąć głęboko i nacieszyć się nim tak jak poprzednio. Na myśl przychodzą jej jego niezwykle oczy... i szerokie barki... i płaski brzuch. Spryskuje lustro płynem do szyb i energicznie wyciera.

Przestań! Przestań! Przestań!

Jest jej pracodawcą, nigdy nie będzie nią zainteresowany. Przecież ona jest tylko jego sprzątaczką.

Na koniec pracy w sypialni musi jeszcze opróżnić kosz na śmieci. Z niedowierzaniem odkrywa, że jest pusty. Nie ma zużytych prezerwatyw. Stawia go z powrotem obok szafki nocnej, a myśl o tym, że nic w nim nie znalazła, z jakiegoś powodu wywołuje na jej twarzy uśmiech.

Zabierając rzeczy do prania i środki czystości, patrzy przez chwilę na

dwa czarno—białe zdjęcia na ścianie. Oba to akty. Na jednym klęczy kobieta o bladej, niemal przezroczystej skórze. Widać spody jej stóp, pośladki i wdzięcznie wygięte plecy, gdy podtrzymuje zebrane na głowie blond włosy; kilka zbłąkanych kosmyków pieści jej szyję. Modelka, przynajmniej oglądana na fotografii, jest piękna. Drugie zdjęcie to zbliżenie pokazujące zarys szyi kobiety, jej zaczesane na bok włosy i luk kręgosłupa od kilku pierwszych kręgów aż po pupę. Hebanowa skóra lśni pieszczona światłem. Jest oszałamiająca. Alessia wzdycha. Sądząc po fotografiach, pan musi lubić kobiety; dziewczyna zastanawia się, czy jest profesjonalnym fotografem. Może któregoś dnia mógłby zrobić jej zdjęcie. Kręci głową nad swoimi mrzonkami i wraca do kuchni, by stanąć do walki z chaosem złożonym z butelek po piwie, pudełek po jedzeniu na wynos i brudnych naczyń.

ODŁOŻYŁEM NA BOK WSZYSTKIE LISTY i maile z kondolencjami, na które mogę odpowiedzieć później — jeszcze nie jestem gotów się z nimi zmierzyć. I, w mordę, jak ten Kit dawał radę ogarniać wszystkie te rolnicze dotacje, hodowlę i inne bzdury towarzyszące uprawie i wypasaniu zwierząt na tysiącach hektarów ziemi? Na ułamek sekundy pożałowałem, że nie studiowałem zarządzania gospodarstwem rolnym albo czegoś związanego z biznesem zamiast muzyki i sztuki.

Kiedy umarł nasz ojciec, Kit studiował ekonomię. Zawsze był posłusznym dzieckiem, zrezygnował więc z tych studiów, by podjąć naukę na kornwalijskim uniwersytecie, gdzie uczył się rolnictwa i zarządzania majątkiem. Teraz, gdy mam w perspektywie nadzór nad dwunastoma tysiącami hektarów, rozumiem, że to była rozsądna decyzja. Kit zawsze był rozsądny, nie licząc tego razu, gdy w środku zimy wybrał się na przejażdżkę motocyklową po zamarzających drogach posiadłości Trevethicków. Chowam głowę w dłoniach, przypominając sobie jego zmasakrowane ciało w kostnicy.

Dlaczego, Kit, dlaczego? pytam tysięczny raz.

Coraz gorsza pogoda za przeszkloną ścianą odpowiada mojemu nastrojowi. Wstaję i podchodzę, żeby popatrzeć. Rzeką w obu kierunkach

płyną barki, na wschód zmierza policyjna łódź, a do mola Cadogan przybija rzeczny autobus. Marszczę brwi, widząc tę scenę. Od tak dawna mieszkam tuż przy przystani, a jeszcze nigdy nie płynąłem rzeczny autobusem. Jako dziecko zawsze miałem nadzieję, że matka zabierze mnie i Maryanne w taki rejs, ale się nie doczekałem. Zawsze była zbyt zajęta. Zawsze. I nigdy nie poleciała żadnej z naszych niań, żeby to zrobiła. To jeszcze jeden powód mojego żalu do Roweny. Kita oczywiście już wtedy z nami nie było —uczył się w szkole z internatem.

Kręcąc głową, obchodzę fortepian i spoglądam na nuty, nad którymi pracowałem przez cały weekend. Widok zapisanych kart poprawia mi nastrój, więc robię sobie przerwę od komputera i siadam, żeby pograć.

SPOŚRÓD TRZECH KUCHNI, które sprząta Alessia, ta jest jej ulubioną. Ściana, dolne szafki i blat pokryte są warstwą bładoniebieskiego szkła, które łatwo się czyści. Wszystko jest lśniące i niezagracone — tak różne od chaosu panującego w wiejskiej kuchni w domu jej rodziców. Zagląda do piekarnika, na wypadek gdyby pan postanowił coś upiec, ale widzi, że wciąż jest nieskazitelnie czysty. Alessia podejrzewa, że nigdy nie był używany.

Wyciera ostatni talerz, gdy zaczyna rozbrzmiewać muzyka. Nieruchomieje, natychmiast rozpoznając melodię. Pochodzi z rękopisu, który już tyle razy widziała na jego fortepianie, ale muzyka płynie dalej niż do miejsca, w którym kończył się zapis, a łagodne, smutne dźwięki opadają wokół niej w żałobnych błękitach i szarościach.

Musi to zobaczyć.

Cicho i ostrożnie odkłada talerz na blat i wykrada się z kuchni do salonu. Zagląda i widzi go przy fortepianie. Mężczyzna z zamkniętymi oczami wczuwa się w muzykę, a każdy dźwięk odmalowuje się w wyrazie jego twarzy. Gdy mu się tak przygląda — jego zmarszczonemu czołu, odrzuconej w tył głowie, rozchylonym wargom — zaczyna brakować jej tchu.

Jest zauroczona.

Nim.

Muzyką.

Mister ma talent.

Utwór jest smutny, pełen tęsknoty i żalu; gdy tak patrzy, dźwięki odbijają się echem w jej głowie w subtelniejszych już odcieniach. To naprawdę najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego w życiu widziała. Jest przystojniejszy nawet od... *Nie!*

Wpatrują się we mnie lodowatoniebieskie oczy. Rozwścieczone.

Nie. Przestań myśleć o tym potworze!

Odpycha to wspomnienie. Jest zbyt bolesne. Skupia się na panu, a pełna melancholii melodia dobiega końca. Zanim ją zauważy, Alessia na palcach wraca do kuchni — nie chce, żeby się na nią znowu złościł, gdy ją przyłapie na tym, że podgląda go, zamiast pracować.

Kończąc zmywanie blatu, odtwarza w myślach jego kompozycję. Teraz został jej do sprzątnięcia tylko salon — a tam jest pan.

Zebrawszy się na odwagę, chwyta pastę do mebli w sprayu i ścierkę, gotowa stawić mu czoła. Zatrzymuje się na chwilę w wejściu, podczas gdy on wpatruje się w komputer. Mężczyzna podnosi wzrok, a gdy ją zauważy, na jego twarzy odmalowuje się przyjemne zaskoczenie.

— Czy mogę, *mister*? — pyta Alessia i macha pojemnikiem z pastą, wiodąc ręką wokół pokoju.

— Jasne. Wejdz. Rób, co masz do zrobienia, Alessio. I mam na imię Maxim.

Posyła mu szybki uśmiech i zaczyna od kanapy, poprawia poduchy i ręką zmiata na podłogę pojedyncze okruszki.

ALEŻ TO ROZPRASZAJĄCE...

Jak niby mam się skupić, gdy ona jest tak blisko? Udaję, że czytam poprawiony całościowy kosztorys przebudowy apartamentowców w Mayfair, ale tak naprawdę przez cały czas ją obserwuję. Porusza się z takim niewymuszonym, zmysłowym wdziękiem; pochyla się nad kanapą, wyciąga giętkie, sprężyste ręce i delikatnymi dłońmi o długich palcach zmiata z siedziska okruszki. Przechodzi mnie dreszcz, w całym moim ciele nagle zaczyna szumieć rozkoszne napięcie wywołane jej obecnością w pokoju.

Czy może być coś bardziej zakazanego? Jest tak blisko, a pozostaje taka nieosiągalna. Zaczyna poprawiać czarne poduchy na kanapie, a fartuch opada jej w przód i naciąga się na pośladkach, zdradzając obecność różowej bielizny pod spodem.

Oddycham coraz płycej i muszę powstrzymać jęk. *To już pieprzone zboczenie.*

Kończy z kanapą i wędruje wzrokiem w moją stronę. Choć ze wszystkich sił staram się wyglądać na pochłoniętego trzymanym w rękę arkuszem, czuję, jak podnoszą mi się włoski na karku. Biorąc pastę w sprayu, spryskuje trzymaną przez siebie ściereczkę i rusza do fortepianu. Raz jeszcze rzucając mi przelotne, niespokojne spojrzenie, zaczyna powolny proces polerowania instrumentu, żeby lśnił jak diament. Wyciąga się nad nim, a rąbek fartucha wędruje nad kolana.

O Boże!

Niespiesznie, w równym tempie dopracowuje każdy fragment powierzchni, polerując i pucując, a jej oddech staje się szybszy i cięższy od wysiłku. To istna tortura. Zamykam oczy i wyobrażam sobie, jak mógłbym u niej wywołać taką samą reakcję.

Cholera. Zakładam nogę na nogę, żeby ukryć naturalną odpowiedź własnego ciała. To się już robi śmieszne. Przecież ona tylko czyści mi

pieprzony fortepian.

Zaczyna ścierać kurz z klawiatury, a robi to tak, że klawisze nie wydają najmniejszego dźwięku. Znowu biegnie do mnie jej spojrzenie, a ja szybko spoglądam na liczby na arkuszu, które zdają się rozplýwać na papierze, nie mając dla mnie żadnego sensu. Gdy ośmielam się na nią spojrzeć, pochyla się z zamyśleniem na twarzy i zdaje się przyglądać badawczo nutom na pulpicie. Patrzy na moją kompozycję ze zmarszczonym czołem, jakby się mocno koncentrowała.

Czyzby znała się na nutach?

Czyżby czytała mój rękopis?

Podnosi wzrok i napotyka moje spojrzenie. Jej oczy robią się wielkie ze wstydu, z ust wymyka się język, żeby oblizać górną wargę, a na policzki wypływa delikatny rumieniec.

Ożeż.

Odwracając spojrzenie, znika za fortepianem, zapewne żeby zetrzeć kurz z drewnianych nóg albo z taboretu.

Nie mogę tego znieść.

Dzwoni mój telefon, a ja podskakuję. To Oliver.

— Halo — rzucam chrypliwie, wdzięczny jak nigdy za to, że mi przeszkodził. Muszę wyjść z salonu.

Cholera, obiecałem sobie, że nie pozwolę się jej znowu przepędzić.

— Hrabia Trevethick?

— Tak, Oliverze. O co chodzi?

— Mam tu problem z projektem i chyba powinien pan o nim wiedzieć.

Sztywnym krokiem wychodzę na korytarz, a Oliver nadaje o

podsufitkach i ścianach nośnych na budowie w Mayfair.

GDY PAN WYCHODZI Z POKOJU, Alessia ma takie uczucie, jakby jakaś burza przetoczyła się jej nad głową i poszła ścieżką zniszczenia gdzieś indziej — może na korytarzu. Oddycha głęboko z ulgą, wdzięczna, że sobie poszedł. Słyszy, jak rozmawia przez telefon niskim, lecz melodyjnym głosem. Chyba jeszcze nigdy nie była tak mocno świadoma czyjejś obecności.

Musi przestać o nim myśleć i skupić się na sprzątanii! Kończy odkurzanie fortepianu, choć nie może pozbyć się dziwnego wrażenia, że przez cały czas, gdy czyściła instrument, on ją obserwował.

Nie. To niemożliwe.

Po co miałby mnie obserwować?

Może sprawdza, czy umie sprzątać, tak jak to robi pani Kingsbury. Alessia uśmiecha się na tę niedorzeczną myśl i zdaje sobie sprawę, że jest jej o wiele cieplej niż tuż po przyjściu. Nie jest pewna, czy to przez temperaturę w pokoju, czy raczej przez tę bijącą z jej wnętrza.

To jego obecność mnie rozgrzała.

Idiotyczna myśl wywołuje na jej twarz kolejny uśmiech. Korzystając z tego, że nie ma go w pokoju, wybiega po odkurzacz. Pan stoi na końcu korytarza i opiera się o ścianę, a Alessia widzi tylko długie nogi i tupiącą niespokojnie stopę. Rozmawia przez telefon zniżonym głosem, ale patrzy za nią, kiedy idzie do kuchni.

Alessia wchodzi z odkurzaczem do salonu i zastaje go znowu przy biurku wciąż rozmawiającego. Widząc ją, wstaje.

— Zaczekaj chwilę, Oliver. Rób swoje — mówi do niej i macha w stronę pokoju, dając zgodę na odkurzanie, a sam znowu wychodzi.

Rozpiął czarną bluzę z kapturem. Pod spodem Alessia widzi szarą koszulkę z trójkątnym dekoltem, nadrukowanym czarnym uskrzydłym

wieńcem i napisem „LA 1781”. Rumieni się, dostrzegając włoski wystające nad obrębienie wycięcia pod szyją. W głowie słyszy głos matki karcącej ją swoim zwyczajowym tonem:

Alessio! Co robisz?

Patrzę na mężczyznę, mamo.

Na mężczyznę, który mi się podoba.

Na mężczyznę, przy którym w żyłach płynie mi gorętsza krew.

Wyobraża sobie zgorszenie malujące się na twarzy matki, co wywołuje jej uśmiech.

Och, mamo, tu, w Anglii, wszystko jest takie inne. Mężczyźni. Kobiety. Ich zachowanie. Ich relacje.

Myśli Alessii wędrują w bardziej mroczne miejsce. Do niego.

Nie. Nie myśl o tamtym mężczyźnie.

Jest teraz bezpieczna, tu, w Londynie, z panem. I musi się skupić na tym, by utrzymać tę pracę.

Odkurzacznik jest marki Henry. Na obudowie ma namalowane dwoje wielkich oczu i uśmiech. Ilekroć widzi Henry'ego, sama nie może się powstrzymać przed chichotem. Podłącza go do gniazdka i zaczyna odkurzać dywan i drewnianą podłogę. Po piętnastu minutach salon jest posprzątnięty.

Pana nie ma w korytarzu, gdy Alessia ciągnie Henry'ego z powrotem na miejsce jego odpoczynku w szafce w pralni. Głaszcze odkurzacznik po przyjacielu, zanim zamknie szafkę, po czym rusza do kuchni.

— Hej — mówi pan, wchodząc zaraz po niej. — Muszę wyjść. Twoje pieniądze są na konsolce w przedpokoju. Potrafisz zamknąć drzwi i włączyć alarm?

Kiwa głową, tak oślepią ją jego promiennym uśmiechem, że musi spuścić wzrok. W środku jednak czuje radość, która oplata jej serce niczym powój, bo pan wychodzi, a ona będzie mogła pograć na fortepianie.

Pan waha się przez chwilę, po czym wyciąga w jej stronę rękę z dużym czarnym parasolem.

— Możesz go pożyczyć. Na dworze wciąż leje jak z cebra.

Jak z cebra?

Alessia jest zdumiona. Spogląda przelotnie na twarz Maxima, a serce zamiera jej na moment w reakcji na ciepły uśmiech i szczodry gest. Bierze parasol.

— Dziękuję — szepcze.

— Nie ma za co. Do środy, Alessio — mówi pan i zostawia ją samą w kuchni.

Po dłuższej chwili słychać trzask zamykanych drzwi.

Alessia wpatruje się w parasol. Staromodny, z drewnianą rączką i złotym pierścieniem. Dokładnie tego potrzebuje. Dziwi się szczodrości pana, wchodzi do salonu i zasiada do fortepianu. Opiera parasol u jednego końca klawiatury i na cześć okropnej pogody zaczyna grać *Preludium deszczowe* Chopina.



ROZKOSZUJĘ SIĘ I UPAJAM WYSZEPTANYM PRZEZ ALESSIĘ „DZIĘKUJĘ”. Jestem idiotycznie z siebie zadowolony. W końcu mogłem jej pomóc jednym małym gestem. Nie przywykłem do spełniania dobrych uczynków — choć pewnie moja dobroć miała swój ukryty motyw, którego nie chcę w

tej chwili zbyt roztrząsać, bo mogłoby się okazać, że jestem dokładnie takim płytkim pieprzonym sukinsynem, za jakiego się uważam. Mimo wszystko cieszę się ze swojego gestu — to dla mnie coś nowego.

Czując przypływ energii, mijam windę i zbiegam głównymi schodami na parter. Nie mam ochoty wychodzić, ale mam spotkanie z Oliverem i różnymi wykonawcami na budowie w Mayfair. Spoglądam na swoje ubranie — mam nadzieję, że nie oczekują ode mnie garnituru. To zwyczajnie nie mój styl.

Nie. To był styl Kita, to on miał garderobę pełną szytych na miarę garniturów z Savile Row. Na zewnątrz, umykając przed kroplami deszczu, przywołuję taksówkę.

— MYŚLĘ, ŻE DOBRZE TO WYSZŁO — mówi Oliver.

Potakuję, kiedy idziemy razem przez wyłożone wapieniem atrium jednego z przebudowywanych apartamentowców będących częścią rezydencji. Robotnicy w odblaskowych kurtkach i żółtych kaskach uwijają się wokół nas, gdy zmierzamy w stronę zasłoniętego deskami frontu budynku. Unoszący się w powietrzu kurz drażni mi gardło. Muszę się napić.

— Ma pan do tego talent, hrabio Trevethick. Wykonawcy chyba spodobały się pańskie sugestie.

— Oliverze, mam na imię Maxim. Proszę, mów mi po imieniu. Tak jak dawniej. Przed tym.

— Oczywiście, milordzie.

— No jasna cholera!

— Maximie. — Oliver posyła mi krótki uśmiech. — Będziemy musieli zatrudnić projektanta wewnątrz, żeby zamówił meble do pokazowego apartamentu, pewnie w ciągu najbliższego miesiąca. Mam listę trzech osób, z których usług lubił korzystać Kit.

Kit? Kit był dla niego Kitem. Dlaczego ja nie mogę być Maximem?

— Caroline może się sprawdzić — mówię.

— O? Lady Trevethick?

— Moja matka ją zaproponowała.

Oliver się jeży.

O? Co Oliver ma przeciwko Caroline? A może to myśl o Rowenie tak go irytuje? Matka często tak działa na ludzi.

— Porozmawiam z Caroline, ale prześlij mi tamte nazwiska i jakieś przykłady ich projektów — odpowiadam.

Oliver kiwa głową, a ja zdejmuję kask i mu go oddaję.

— Do jutra — mówi i otwiera przede mną rozklekotaną furtkę w tymczasowym drewnianym ogrodzeniu zakrywającym fasadę budynku.

Deszcz przestał wreszcie padać, ale jest ciemno. Stawiam kołnierz kurtki i czekam na taksówkę, w międzyczasie próbując zdecydować, czy jechać do klubu, czy do domu.

OBCHODZĄC SALONOWY FORTEPIAN, myślę o Alessii wyginającej się nad nim i polerującej heban na wysoki połysk. Lśni teraz w świetle żyrandola. Kto by pomyślał, że tak mnie będzie pociągać kobieta w nylonowym fartuchu i wielkich różowych majtkach?

W jaki sposób udało jej się opanować moje myśli w tak krótkim czasie? Nic o niej nie wiem poza tym, że jest zupełnie inna od wszystkich kobiet, jakie dotąd znałem. Dziewczyny w moim życiu są śmiałe i pewne siebie, wiedzą, czego chcą, i umieją o to poprosić. Ona taka nie jest. Skromna i bez reszty skupiona na pracy, Alessia jakby w ogóle nie chciała mieć ze mną do czynienia... jakby pragnęła być niewidzialna. Wprawia mnie w zakłopotanie. Przypominam sobie, z jaką nieśmiałością

przyjęła parasol, i się uśmiecham. Była taka zaskoczona i wdzięczna, że zastanawiam się, jak musi wyglądać jej życie, skoro prosty gest wywołał aż taką reakcję.

Siadam na taborecie przy fortepianie i przeglądam swój rękopis, wspominając jej twarz zapatrzoną w nutowy zapis. Może zna się na nutach. Może nawet gra. Jakaś część mnie pragnie się dowiedzieć, co sądzi o mojej kompozycji. Ale dociera do mnie, że to tylko moje domysły. Jediną pewną rzeczą w tej chwili jest tępy ból, który czuję w kroczu.

Pieprzyć to. Idź i przeleć jakąś łaskę.

Zostaję jednak przy fortepianie i w kółko gram po kolei wszystkie swoje piosenki.

ALESSIA LEŻY NA MAŁYM SKŁADANYM ŁÓŻKU, na którym sypia w maleńkim pokoiku w domu Magdy. Myśli jej się kłębią, tak wiele ma do zrobienia, a jednak znowu staje jej przed oczami zielonooki pan. Widzi go przy fortepianie. Zamknął oczy, zmarszczył brwi i rozchylił usta, wczuwając się w muzykę — a potem to jego ciepłe spojrzenie, gdy podaje jej parasol. Ma rozczochrane włosy, a pełne wargi układają się w pełen zachęty uśmiech. Ciekawe, jak by to było, gdyby ją pocałował.

Jej dłoń przesuwa się w dół po ciele, po piersiach. Mógłby ją pocałować tutaj.

Dyszy, ulegając fantazji, jej dłoń przesuwa się coraz niżej i Alessia wyobraża sobie, że to jego dłoń błądzi po jej skórze.

Dotyka jej.

Tutaj.

Zaczyna się pieścić, tłumiąc jęki, świadoma, jak cienkie są ściany pokoju.

Myśli o nim, a jej ciało odpowiada.

Czuje podniecenie.

Coraz większe.

Jego twarz.

Jego plecy.

Jego długie nogi.

Podnieca się jeszcze bardziej.

Jego jędrne pośladki.

Jego płaski brzuch.

Szczytując, jęczy i wycieńczona zasypia.

Tylko po to, by o nim śnić.

PRZEWRACAM SIĘ W ŁÓŻKU WE ŚNIE.

Stoi w drzwiach. Zjawia w błękicie.

Wejdz. Połóż się przy mnie. Pragnę cię.

Ale ona się odwraca i jest w moim salonie. Poleruje fortepian.

Na sobie ma tylko różowe majtki.

Wyciągam rękę, żeby jej dotknąć, ale znika.

A ja się budzę.

O, w mordę.

Mam wzwód. I to bolesny.

Cholera. Muszę częściej wychodzić.

Szybko sam przynoszę sobie ulgę.

Kiedy ostatnio byłem do tego zmuszony? Muszę przelecieć jakąś laskę. Jutro. Tak zrobię. Przekręcam się na drugi bok i zapadam w niespokojny sen.



PO POŁUDNIU OLIVER ZAPOZNAJE MNIE Z KSIĘGOWOŚCIĄ WSZYSTKICH SKŁADOWYCH NASZEGO MAJĄTKU. Nasze biura mieszczą się zaraz przy Berkeley Square, w georgiańskim domu, który mój ojciec w latach osiemdziesiątych przerobił na mały biurowiec. Budynek należy do majątku Trevethicków, a górne piętra wynajmują dwie inne firmy.

Próbuję się skupić na liczbach, które omawiamy, ale przez cały czas myślę o uchylonych drzwiach do gabinetu Kita. To mnie rozprasza. Nie potrafię się jeszcze zmusić, żeby tutaj pracować. Słyszę go niemal, jak rozmawia przez telefon, śmieje się z któregoś z moich kiepskich dowcipów albo opieprza Olivera za jakieś grzeszki. Oczekuję prawie, że zaraz wpadnie tu z ulicy. Z taką swobodą poruszał się po świecie interesów i tak doskonale panował nad całym majątkiem. Wydawało się, że nie wymaga to od niego żadnego wysiłku.

Ale wiem, że zazdrościł mi wolności.

Ty, Rezerwowy, możesz sobie szaleć po Londynie, bzykając wszystko, co się rusza. Ale ktoś musi zarabiać na życie.

Stoję nad pozbawionym życia, zmasakrowanym ciałem Kita z lekarką z SOR—u.

Tak, to on, potwierdzam.

Dziękuję, lordzie Trevethick, odpowiada zniżonym głosem.

Pierwszy raz ktoś mnie tak zatytułował...

— Uważam zatem, że możemy zostawić wszystko tak, jak jest, przez następny kwartał i wtedy dokonać analizy —mówi Oliver, zmuszając mnie do powrotu do rzeczywistości. — Choć naprawdę należałoby pojechać i obejrzeć posiadłości.

— Tak. Należałoby.

Kiedyś...

Mam niewielką wiedzę o najnowszej historii naszych trzech majątków, ale wiem, że dzięki sprawnemu zarządzaniu mojego dziadka, ojca i brata wszystkie przynoszą zyski. W przeciwieństwie do wielu innych arystokratów Trevelyanowie nie muszą się martwić o pieniądze.

Angwin House położony w Cotswolds w Oxfordshire świetnie prosperuje. Jest otwarty dla zwiedzających, ulokowano w nim wielkie centrum ogrodnicze, plac zabaw dla dzieci, minizoo, herbaciarnię, a na nieogrodzonych pastwiskach każdy może miło spędzić czas. Tyok w Northumberland jest wynajęty ze wszystkim, co do niego przynależy, bogatemu Amerykaninowi, który wyobraża sobie, że jest lordem. Kit i Oliver często się zastanawiali, dlaczego nie kupił sobie jakiegoś pałacu na własność, a teraz ja zadaję sobie to samo pytanie. Tresyllian Hall w Kornwalii jest z kolei jedną z największych organicznych farm w Wielkiej Brytanii. John, mój ojciec, był pionierem w dziedzinie rolnictwa organicznego; wszyscy jego rówieśnicy szydzili wtedy z jego inicjatywy. Niedawno zaś, żeby różnicować stan posiadania Trevethicków i podnieść przychody, Kit wymyślił i zbudował na obrzeżach posiadłości osiedle luksusowych domów wypoczynkowych. Cieszą się sporym zainteresowaniem, szczególnie latem.

— Musimy jeszcze pomówić o tym, w jaki sposób od teraz będą użytkowane posiadłości i ilu będzie potrzebnych pracowników.

— Ach tak?

Ogarnia mnie przygnębienie i staram się skoncentrować, a Oliver monotonnie mówi dalej. Moje myśli jednak się błakają. Jutro znów przyjdzie Alessia. To jedyny pracownik, jaki mnie w tej chwili interesuje, i to z samych niewłaściwych powodów. Karny trening dzisiejszego ranka w siłowni nie bardzo mi pomógł osłabić fascynację jej osobą.

Jestem pod urokiem dziewczyny, której nawet nie znam. Odzywa się mój telefon — to SMS od Caroline. Czytając jej słowa, czuję mrowienie na głowie i ucisk w gardle.

Nie jestem w ciąży.;'(

Nic mi nie zostało po Kicie.

Nawet jego dziecko.

Cholera! Wypełnia mnie smutek, pojawia się znikąd i kompletnie mnie zaskakuje.

— Oliverze, chyba musimy na dziś skończyć. Coś mi wypadło.

— Oczywiście — odpowiada Oliver. — A jutro?

— Tak Może przyjedziesz do mojego mieszkania, tak około południa?

— Dobrze, lor... Maximie.

— W porządku. Dziękuję.

Wystukuję odpowiedź dla Caroline.

Jadę do Ciebie.

Nie. Chcę gdzieś wyjść. Upijmy się.

Okej. Gdzie?

Jesteś w domu?

Nie. W biurze.

Okej. Dołączę do Ciebie w mieście.

Loulou?

Nie. Soho House. Greek Street. Mniej znajomych.

Do zobaczenia na miejscu.

PRYWATNA SALA KLUBOWA JEST ZATŁOCZONA, ale udaje mi się znaleźć stolik na piętrze w pobliżu płonącego kominka. Wolę intymną atmosferę 5 Hertford Street, który uważam za swój klub, ale w Soho House też mam członkostwo, podobnie jak Caroline. Siadam i nie muszę na nią długo czekać. Wygląda na zmęczoną, przygnębioną i wychudzoną. Kąciki jej ust opadają, oczy są smutne i opuchnięte, a ostrzyżone na boba blond włosy matowe i nieuczesane. Ubrała się w džinsy i sweter. Sweter Kita. Nie jest to tryskająca życiem Caroline, jaką znam. Serce mi się kraje, kiedy podchodzi. Widzę wyryty na jej twarzy mój własny smutek.

Wstaję, ale się nie odzywam, gdy podchodzi i wtula się w moje ramiona, a ja mocno ją obejmuję.

Pociąga nosem.

— Hej — szepczę jej we włosy.

— Życie jest do dupy — mruczy.

— Wiem. — Mam nadzieję, że mój głos brzmi kojąco. — Chcesz usiąść? Jeśli będziesz naprzeciwko mnie, nikt nie zobaczy, że jesteś smutna.

— Aż tak źle wyglądam? — Brzmi, jakby poczuła się urażona, ale i troszkę rozbawiona.

Widzę przebłysk Caroline, którą znam. Całuję ją w czoło.

— Skądże, moja droga Caro.

Uwalnia się z moich objęć.

— Ależ z ciebie czaruś. — Ma to być wyrzut, ale widzę, że wcale się nie gniewa. Siada w aksamitnym fotelu naprzeciwko mnie.

— Czego się napijesz?

— Soho mule.

— Dobry wybór.

Przywołuję kelnera i zamawiam.

— Zachowywałeś się w ten weekend jak pustelnik — mówi Caroline.

— Byłem zajęty.

— Sam?

— Tak — odpowiadam i cieszę się, że nie muszę kłamać.

— Co się dzieje, Maxim?

— A co masz na myśli? — Posyłam jej spokojne spojrzenie oznaczające „nie wiem, o czym mówisz”.

— Poznałeś kogoś? — pyta.

O cholera!

Mrugam, gdy przed oczami staje mi obraz Alessii pochylającej się nad moim fortepianem w samych różowych majtkach.

— Poznałeś! — mówi zaskoczona Caroline.

Wiercę się w fotelu i kręcę głową.

— Nie — zaprzeczam kategorycznie.

Caroline unosi brew.

— Kłamiesz.

Ożeż. Nie dość kategorycznie.

— Skąd wiesz? — pytam, jak zwykle onieśmielony tym, z jaką łatwością mnie przejrzała.

— Nie wiedziałam, ale łatwo cię rozgryźć. Opowiadaj.

A niech to!

— Nie ma o czym. Spędziłem weekend sam.

— To już mówi samo za siebie.

— Caro, każde z nas radzi sobie ze stratą Kita na swój własny sposób.

— A... o czym nie zamierzasz mi opowiedzieć?

Wzdycham.

— Naprawdę chcesz, żebym o tym mówił?

— Tak — odpowiada, a ja dostrzegam szelmowski błysk w jej oku, który przypomina mi, że prawdziwa Caroline wcale nie jest tak daleko.

— Jest pewna dziewczyna. Ale ona nawet nie wie o moim istnieniu.

— Serio?

— Tak. Serio. To nic wielkiego. Zwykłe zauroczenie.

Caroline marszczy brwi.

— To do ciebie niepodobne. Twoje... zdobycze nigdy cię tak nie

absorbują.

Nie mogę powstrzymać nieszczerego śmiechu.

— Ona nie jest moją zdobyczą... nawet sobie tego nie wyobrażam.

Ledwo jest w stanie na mnie spojrzeć!

Zjawia się kelner z naszymi drinkami.

— Kiedy ostatnio coś jadłaś? — pytam.

Caroline wzrusza ramionami, a ja kręcę głową.

— Pewnie doprowadzasz panią Blake do szału. Zjedźmy coś. Poprosimy o karty — zwracam się do kelnera, który odpowiada skinieniem i szybko odchodzi.

Podnoszę szklankę i wznoszę toast.

— Za ukochanych nieobecnych. — Mam nadzieję, że uda nam się zmienić temat.

— Za Kita — szepcze Caroline i uśmiechamy się smutno do siebie, połączeni miłością do tego samego człowieka.

JEST DRUGA NAD RANEM, GDY WRACAMY PIJANI do mojego mieszkania. Caroline nie ciągnie do domu. „Nie chcę tam wracać. Bez Kita to nie jest dom”.

Nie umiem się jej sprzeciwić.

Zataczając się, oboje wchodzimy na korytarz, a ja wprowadzam kod alarmu, uciszając ciągle pikanie.

— Masz jakąś kokę? — bełkocze Caroline.

— Nie. Nie dziś.

— A co masz do picia?

— Chyba już dosyć wypić.

Posyła mi krzywy pijacki uśmiech.

— Czyżbyś się o mnie troszczył?

— Zawsze się o ciebie troszczę, Caro. Przecież wiesz.

— To zaproś mnie do łóżka, Maxim. — Zarzuca mi rękę na szyję, nadstawia twarz, jakby na coś czekała, i wbija wzrok zamglonych oczu w moje wargi.

Ożeż. Chwytam ją za barki, żeby nie upadła.

— Nie, p o ł o ż ę cię do łóżka.

— Co masz na myśli? — dąsa się Caroline.

— Jesteś pijana.

— I?

— Caroline. To się musi skończyć. — Całuję ją w czoło.

— Dlaczego?

— Wiesz dlaczego.

Twarz jej się marszczy, a do oczu napływają łzy, gdy uwalnia się z moich rąk.

Jęczę.

— Nie. Proszę, nie płacz. — Biorę ją z powrotem w objęcia. — Nie możemy już tego robić.

Od kiedy to skrupuły powstrzymują mnie przed bzykaniem?

Miałem dzisiaj wyjść i znaleźć sobie chętną, namiętną kobietę.

— Czy to dlatego, że kogoś poznałeś?

— Nie.

Tak.

W którymś momencie nocy materac się ugina, a Caroline wchodzi do łóżka i kładzie się obok mnie. Czując ulgę, że mam na sobie spodnie od piżamy, biorę ją w ramiona.

— Maxim — szepcze i słyszę w jej głosie zachętę.

— Idź spać — mamroczę i zamykam oczy.

Nie ma dla mnie znaczenia to, że była żoną mojego brata. Jest moją najlepszą przyjaciółką i kobietą, która zna mnie jak nikt inny. Znajduję pocieszenie w ciepłe jej ciała, tak jak ona opłakuje Kita — ale pieprzyć się z nią już więcej nie będę.

Nie. Koniec z tym.

Kładzie głowę na mojej piersi, a ja całuję jej włosy i natychmiast zasypiam.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ALESSIA NIE JEST W STANIE ZAPANOWAĆ nad podnieceniem. Ściska parasol i wchodzi do jego mieszkania. Dziś jest zadowolona, że alarm się nie odzywa.

On tu jest!

W nocy na swym wąskim łóżku znów o nim śniła —o jego malachitowych oczach, promiennym uśmiechu i tej wyrazistej twarzy, kiedy pochłonięty muzyką grał na fortepianie. Obudziła się zdyszana i przepełniona pożądaniem. Gdy go ostatnio widziała, był tak dobry, że pożyczył jej parasol, który nie pozwolił jej zmoknąć w drodze do domu i przez cały wczorajszy dzień. Niewiele zaznała dobroci, odkąd przyjechała do Londynu, oczywiście z wyjątkiem tej, której doświadczyła od Magdy, więc jego gest znaczył naprawdę wiele. W przedpokoju zdejmuje buty z cholewkami i zostawia parasol, po czym spieszy przez kuchnię. Nie może się doczekać, żeby go zobaczyć.

Staje w progu.

O nie!

W kuchni stoi kobieta ubrana tylko w męską koszulę — j e g o koszulę — i robi kawę. Podnosi wzrok i posyła Alessii zdawkowy, lecz ciepły uśmiech. Alessia odzyskuje zdolność ruchu i idzie przez kuchnię do pralni ze spuszczoną głową i w szoku.

— Dzień dobry — mówi kobieta.

Wygląda, jakby dopiero co wstała z łóżka.

Z jego łóżka?

— Dzień dobry pani — mruczy pod nosem Alessia, kiedy ją mija.

Wszedłszy do pralni, stoi przez chwilę, usiłując ogarnąć myślą ten druzgocący zwrot wydarzeń.

Kim jest ta kobieta o wielkich niebieskich oczach?

Dlaczego ma na sobie jego koszulę? Koszulę, którą nie dalej jak w zeszłym tygodniu Alessia sama wyprasowała...

Ta kobieta z nim jest. Na pewno. Inaczej dlaczego snułaby się po mieszkaniu w jego koszuli? Musi ją z nim łączyć coś bardzo intymnego.

Intymnego.

Oczywiście, że kogoś ma. Kogoś pięknego.

Takiego jak on.

Marzenia Alessii legły w gruzach. Twarz jej chmurnieje, a serce ściska rozczarowanie. Wzdychając, zdejmuje czapkę, rękawiczki i kurtkę i zakłada fartuch.

Czego się spodziewała? On nigdy się nią nie zainteresuje — jest tylko jego sprzątaczką. Dlaczego miałby jej pragnąć?

Maleńka bańka radości, z którą obudziła się tego ranka — pierwsza od bardzo dawna — pękła. Alessia zakłada tenisówki i rozstawia deskę do prasowania. Wcześniejsze podekscytowanie staje się mglistym wspomnieniem po tym, jak musiała stawić czoło rzeczywistości. Wyjmuje z suszarki jego wyprane rzeczy i wrzuca do kosza. Tu jest jej miejsce. Do tego została wychowana: do prowadzenia domu i dbania o mężczyznę.

Nadal może go podziwiać z daleka, tak jak to robi, odkąd zobaczyła go nagiego na łóżku. Przed tym nic jej nie może powstrzymać.

Zniechęcona wypuszcza głośno powietrze i uzupełnia wodę w żelazku.

ALESSIA STOI W DRZWIACH. ZJAWA W BŁĘKICIE.

Powoli ściąga chustkę i uwalnia kołyszący się warkocz. Rozpuść dla mnie włosy.

Uśmiecha się.

Wejdz. Połóż się przy mnie. Pragnę cię.

Ale ona się odwraca i jest w moim salonie. Pucuje fortepian. Wpatruje się w moje nuty.

Ma na sobie tylko różowe majtki.

Wyciągam rękę, żeby jej dotknąć, ale znika.

Stoi w przedpokoju. Ma wielkie oczy. Ściska miotłę. Jest naga.

Ma długie nogi. Chcę, żeby oplotła mnie nimi w pasie.

— Zrobiłam ci kawę — szepcze Caroline.

Jęczę, nie chcąc się obudzić. Znacznej części mojego ciała też podobał się ten sen. Na szczęście leżę na brzuchu, więc mój członek wciska się w materac, ukryty przed wzrokiem mojej bratowej.

— Nie masz nic do jedzenia. Pójdziemy gdzieś na śniadanie czy mam polecić pani Blake, żeby nam coś przyniosła?

Znowu jęczę, czym próbuję dać do zrozumienia, żeby się odpieprzyła i dała mi spokój. Ale Caroline jest uparta.

—Poznałam twoją nową dochodzącą. Jest bardzo młoda. Co się stało z Krystyną?

O cholera! Alessia tu jest?

Przewracam się i widzę, że Caroline siedzi na brzegu łóżka.

— Chcesz, żebym z powrotem tu wskoczyła? — pyta ze wstydliwym uśmiechem, kiwając głową w stronę poduszki.

— Nie — odpowiadam, patrząc na nią, piękną, lecz w nieładzie. — Robiłaś kawę w takim stroju?

— Tak — marszczy brwi. — A co? Nie podoba ci się moje ciało? Czy jesteś wkurzony, że założyłam twoją koszulę?

Znajduję w sobie dość przyzwoitości, by się roześmiać, wyciągam rękę i ściskam jej dłoń.

— Twoje ciało spodobałoby się każdemu, Caro. Przecież wiesz.

Ale Alessia wyciągnie błędne wnioski...

W mordę. Dlaczego mnie to obchodzi?

Caroline wykrzywia usta w ironicznym uśmiechu.

— Ale ty go nie chcesz — mówi cichszym nagle głosem. — Czy to dlatego, że kogoś poznałeś?

— Caro. Proszę. Nie mówmy już o tym. Nie możemy. Poza tym wspominałaś, że masz okres.

— Morze Czerwone wcześniej jakoś nie było dla ciebie problemem — szydzi.

— Dobry Boże, kiedy ci tak powiedziałem? — Ujmuję głowę w dłoń i z przerażeniem wpatruję się w sufit.

— Lata temu.

— Cóż, przepraszam za nadmierną szczerość.

Kobiety! Wszystko, kurwa, zapamiętają.

— I dlaczego, u diabła, musiałeś mi o tym przypomnieć? — Z jej

twarży całkowicie znika dobry humor, a jego miejsce zajmuje wcześniejszy smutek. Wpatruje się niewidzącym wzrokiem w okno, a jej głos brzmi cicho, chrypliwie i słychać w nim udrękę. — Przez dwa lata staraliśmy się o dziecko. Całe dwa lata. Oboje tego chcieliśmy. — Po policzkach zaczynają jej płynąć łzy. — A teraz jego nie ma, a ja straciłam wszystko. Nie mam nic. — Chowa twarz w dłoniach i zaczyna szlochać.

Kurwa. Kretyn ze mnie. Siadając na łóżku, biorę ją w ramiona i daję się wypłakać. Wyjmuję chusteczkę z pudełka na stoliku nocnym.

— Proszę. — Podaję ją Caroline. Ścisła ją tak, jakby zamknęła w niej sens swego życia, a ja mówię dalej głosem niskim, czułym i smutnym: — Nie możemy tego robić, gdy oboje przeżywamy śmierć Kita. To nieuczciwe względem nas obojga i względem niego. I nie straciłaś wszystkiego. Masz własne pieniądze. I nadal masz dom. Pomyślmy o jakiejś pensji dla ciebie z naszego majątku, jeśli będzie trzeba. Prawdę mówiąc, Rowena uważa, że powinnaś się zająć zaprojektowaniem wnętrz w apartamentowcach w Mayfair. — Całuję jej włosy. — Zawsze będę przy tobie, ale nie jako sposób na chwilę zapomnienia, Caro, tylko jako przyjaciel i szwagier.

Caroline pociąga nosem i wyciera go chusteczką. Odchyła się w tył i patrzy na mnie tymi swoimi rozdzierającymi serce, zażawionymi niebieskimi oczami.

— To dlatego, że wybrałam Kita, prawda?

Ogarnia mnie przygnębienie.

— Nie wracajmy znowu do tego.

— Czy może dlatego, że znalazłeś inną? Kim ona jest?

Nie mam ochoty na tę rozmowę.

— Chodźmy na śniadanie.

BIORĘ PRYSZNIC I UBIERAM SIĘ w rekordowym czasie. Czuję ulgę, gdy idąc z kubkiem po kawie do kuchni, widzę, że Caroline jest wciąż w gościnnym pokoju z łazienką. Serce przyspiesza mi jak rakieta na myśl o spotkaniu z Alessią.

Dlaczego się denerwuję? A może to podniecenie?

Ku memu rozczarowaniu w kuchni jej nie ma, więc idę do przyległej komórki, gdzie prasuje jedną z moich koszul. Przyglądam się jej niezauważony. Prasuje z tym samym zmysłowym wdziękiem, który dostrzegłem u niej tamtego dnia, wykonuje długie, swobodne ruchy, w skupieniu marszcząc brwi. Kończy koszulę i nagle podnosi wzrok. Oczy jej się rozszerzają, gdy mnie dostrzega, a policzki płoną różanym rumieńcem.

Rany, śliczna jest.

— Dzień dobry — mówię. — Nie chciałem cię wystraszyć.

Odstawia żelazko i wpatruje się w nie zamiast we mnie, a zmarszczki pomiędzy jej brwiami jeszcze się pogłębiają.

O co chodzi? Dlaczego nie chce na mnie spojrzeć?

— Zabieram bratową na śniadanie. — *Po co jej to mówię?*

Ale jej rzęsy trzepoczą, gdy mruga, i wiem, że przetwarza tę informację. Nie tracąc czasu, dodaję:

— Gdybyś mogła zmienić pościel w pokoju gościnnym, byłoby wspaniale.

Nieruchomieje, po czym kiwa głową, unikając mojego wzroku, podczas gdy jej zęby nie dają spokoju górnej wardze.

Oj... chciałbym poczuć te ząbki na swojej skórze.

— Pieniądze zostawię tam gdzie zwykle...

Podnosi głowę i posyła mi ciemne spojrzenie tych swoich wyrazistych, pięknych oczu, tak że słowa zasychają mi w gardle.

— Dziękuję, *mister* — szepcze.

— Mam na imię Maxim.

Chcę usłyszeć, jak wymawia moje imię z tym uwodzicielskim akcentem, ale ona stoi tylko w swoim okropnym fartuchu i milczy, obdarzając mnie jedynie skąpym uśmiechem.

— Maxim! — woła Caroline, po czym wchodzi do komórki, w której nagle zapanował tłok. — Witaj ponownie — zwraca się do Alessii.

— Alessio, to moja przyjaciółka i bratowa... hm... Caroline. Caroline, to Alessia.

Jest mi niezręcznie. To dziwne, że czuję się tak nieswojo, przedstawiając je sobie.

Caroline posyła mi zdumione spojrzenie, na które nie zwracam uwagi, do Alessii zaś kieruje życzliwy uśmiech.

— Alessia, urocze imię. Polskie? — pyta Caroline.

— Nie, proszę pani. Ono jest włoskie.

— O, jesteś Włoszką.

— Nie, ja jestem z Albanii. — Cofa się o krok i zaczyna się bawić luźną nitką fartucha.

Z Albanii?

Nie chce o tym mówić, ale tak mnie zaciekawiła, że brnę dalej.

— Jesteś daleko od domu. Studiujesz tutaj?

Kręci głową i zaczyna ciągnąć za nitkę, coraz bardziej się wycofując.

To jasne, że nie ma ochoty wdawać się w szczegóły.

— Maxim. Chodźmy — mówi Caroline, ciągnąc mnie za rękę i przez cały czas patrząc ze zdziwieniem. — Miło było cię poznać, Alessio — dodaje.

Waham się.

— Na razie — rzucam, nie mając ochoty się z nią rozstawać.

— NA RAZIE — SZEPCZE ALESSIA I PATRY NA NIEGO, gdy wychodzi za Caroline z kuchni.

Bratowa?

Kunata.

Wracając do prasowania, powtarza to słowo po angielsku i albańsku, a jego dźwięk i znaczenie wywołują uśmiech na jej twarzy. Ale to dziwne, że bratowa chodzi po jego mieszkaniu w jego rzeczach. Alessia wzrusza ramionami. Obejrzała dostatecznie dużo amerykańskich filmów w telewizji, by wiedzieć, że relacje pomiędzy kobietami i mężczyznami na Zachodzie są inne.

Później zdejmuje pościel w pokoju gościnnym. Sypialnia jest nowoczesna i elegancka, i tak jak reszta mieszkania urządzona na biało, ale najpiękniejsze jest w niej to, że w łóżku najwyraźniej ktoś spał. Z szerokim uśmiechem ulgi bierze z bieliźniarki świeżą pościel i ścieli pościel.

Od spotkania z Caroline jedna myśl nie daje Alessii spokoju. W sypialni pana ma sposobność zaspokoić ciekawość. Oplata się ramionami i ostrożnie podchodzi do kosza na śmieci. Robi głęboki wdech i zagląda.

Uśmiecha się szeroko.

Nie ma prezerwatyw.

Alessia zabiera się za sprzątanie i porządkowanie sypialni, czując znów odrobinę swojej wcześniejszej radości.

— CZY TO ONA? — PYTA CAROLINE.

— Słucham? — mówię lekceważąco, kiedy siedzimy w taksówce wiozącej nas na King's Road.

— Twoja dochodząca.

O cholera.

— O co ci chodzi?

— Czy to ona?

— Nie bądź śmieszna.

Caroline krzyżuje ręce na piersi.

— Nie zaprzeczasz.

— Nie zamierzam odpowiadać na tak niedorzeczne pytanie.

Przez zaparowane okno taksówki wyglądam na szare ulice Chelsea i czuję, jak w górę mojej szyi pełźnie zdradliwy rumieniec.

Co mnie zdradziło?

— Nigdy nie widziałam, żebyś poświęcał tyle uwagi pracownikom.

Spoglądam na nią chmurnie.

— Skoro o pracownikach mowa — zaczynam — czy to pani Blake załatwiła mi Krystynę?

— Chyba tak. A co?

— Cóż, trochę się zdziwiłem, że zabrała się i odeszła bez słowa pożegnania, a jej miejsce zajęła Miss Albania. Nikt mnie nie powiadomił.

— Maxim, jeśli ta dziewczyna ci się nie podoba, to się jej po prostu pozbądź.

— Nie o to mi chodzi.

— Cóż, zachowujesz się w związku z nią cholernie dziwnie.

— Nieprawda.

— Zresztą nieważne.

Caroline zaciska wargi w wąską kreskę i wygląda przez zamgloną szybę taksówki, pozostawiając mnie własnym myślom.

Jedyne, o co mi naprawdę chodzi, to informacje na temat Alessii Demachi. Przetwarzam w myślach, co wiem. Fakt numer jeden — jest Albanką, nie Polką. O Albanii wiem bardzo niewiele. Co ją sprowadza do Anglii? Ile ma lat? Gdzie mieszka? Czy z daleka musi co rano dojeżdżać? Czy mieszka sama?

Mógłbym śledzić ją w drodze do domu.

Stalker.

Mógłbym ją zapytać.

Fakt numer dwa — Alessia nie jest chętna do rozmów. A może niechętnie rozmawia tylko ze mną? Ta myśl jest dla mnie przygnębiająca, więc wpatruję się w smagane deszczem ulice, nadąsany jak nierozumiany nastolatek.

Dlaczego ta kobieta tak mi miesza w głowie?

Czy dlatego, że jest taka tajemnicza?

Że pochodzi z zupełnie innego świata?

Że dla mnie pracuje?

To oznacza, że nie wolno mi jej tknąć.

W mordę.

Prawda jest taka, że chcę ją przelecieć. Proszę bardzo. Przyznaję to sam przed sobą. Tego właśnie pragnę, a na dowód mam w spodniach parę obolałych jąder. Co gorsza nie wiem, jak sprawić, by do tego doszło, zwłaszcza że ona nie chce ze mną rozmawiać. Nie chce nawet na mnie patrzeć.

Czy budzę w niej odrazę?

Może tak właśnie jest. Zwyczajnie się jej nie podobam.

Do diabła, nie mam tak naprawdę pojęcia, c o o mnie myśli. Jestem na zdecydowanie gorszej pozycji niż ona. Ona może równie dobrze szperać w tej chwili w moich rzeczach, żeby dowiedzieć się o mnie jak najwięcej. Może przez cały czas mnie rozpracowuje. Krzywię się. Może dlatego właśnie mnie nie lubi.

— Wydaje mi się, że strasznie się ciebie boi — zauważa Caroline.

— Kto? — pytam, choć doskonale wiem, o kim mówi.

— Alessia.

— Jestem jej szefem.

— Jesteś na jej punkcie okropnie przewrażliwiony. Myślę, że ona się ciebie boi, bo szaleje za tobą.

— Słucham? Teraz to już masz halucynacje. Ledwo jest w stanie znieść moją obecność w pobliżu.

— O tym właśnie mówię. — Caroline wzrusza ramionami.

Patrzę na nią, marszcząc brwi.

Wzdycha.

— Nie może znieść twojej obecności, bo się jej podobasz i nie chce się z tym zdradzić.

— Caro, ona jest moją dochodzącą. Nikim więcej —mówię kategorycznie, usiłując sprowadzić Caroline na fałszywy trop, choć swoimi słowami wlała we mnie nadzieję.

Uśmiecha się znacząco, gdy taksówka zatrzymuje się przed Bluebird. Podaję kierowcy dwudziestkę, ignorując jej spojrzenie.

— Reszta dla pana — mówię, gdy wysiadamy z auta.

— To bardzo szczodry napiwek — mówi z niezadowoleniem Caroline.

Nie odpowiadam jej, zbyt zatopiony w myślach o Alessii Demachi. Otwieram tylko przed nią drzwi kawiarni.

— A więc twoja matka uważa, że powinnam wziąć się w garść i wrócić do pracy? — mówi Caroline, gdy obsługa prowadzi nas do stolika.

— Uważa, że jesteś bardzo utalentowana i że przyda ci się odmiana, taka jak praca przy projekcie w Mayfair.

Caroline zaciska wargi.

— Chyba potrzebuję czasu — szepcze, a jej oczy za—snuwa mgła smutku.

— Rozumiem.

— Pochowaliśmy go zaledwie dwa tygodnie temu. —Podnosi sweter Kita do nosa i robi wdech.

— Wiem, wiem — mówię i zastanawiam się, czy dzianina wciąż jeszcze kryje jego zapach.

Mnie też go brakuje. I tak naprawdę od pogrzebu minęło trzynaście dni.

Dwadzieścia dwa, odkąd zginął.

Przełykam piekącą twardą kluczę, która rośnie mi w gardle.

NIE POSZEDŁEM DZIŚ RANO NA SIŁOWNIĘ, więc susami pokonuję przynajmniej schody do mieszkania. Śniadanie potrwało dłużej, niż zakładałem, i lada moment spodziewam się Olivera. Ciągle też mam odrobinę nadziei, że zastanę jeszcze Alessię. Podchodząc do drzwi, słyszę dobiegającą z mieszkania muzykę.

Muzyka? Co się dzieje?

Wsuwam klucz do zamka i ostrożnie otwieram drzwi. To Bach, jedno z jego preludiów w tonacji G—dur. Może Alessia odtwarza muzykę z mojego komputera. Ale jak? Przecież nie zna hasła. A może zna? Może podłączyła telefon do systemu audio, choć sądząc po wyglądzie jej znoszonej kurtki, nie jest kimś, kto posiadałby smartfon. Nigdy nie widziałem, by go używała. Muzyka rozbrzmiewa w całym mieszkaniu, rozświetlając najciemniejsze zakamarki.

Kto by pomyślały że moja dochodząca lubi klasykę?

Oto jeden malutki elemencik układanki będącej rozwiązaniem zagadki Alessii Demachi. Po cichu zamykam drzwi, ale gdy stoję w korytarzu, dociera do mnie, że muzyka nie płynie z systemu audio. Wydobywa się z mojego fortepianu. Bach. Płynny i delikatny, grany z wprawą i zrozumieniem, jakie widywałem tylko u koncertujących pianistów.

Alessia?

Nigdy nie udało mi się wydobyć z tego fortepianu takiego brzmienia. Zdejmując buty, zakradam się korytarzem i zaglądam zza drzwi do salonu.

Siedzi przy fortepianie w fartuchu i chustce, kołysząc się lekko, kompletnie zatracona w muzyce, oczy zamknęła w skupieniu, a jej dłonie

przesuwają się po klawiszach z pełną wdzięku zręcznością. Muzyka przez nią przepływa, odbijając się od ścian i sufitu w bezbłędnym wykonaniu godnym najznamienitszego pianisty. Przyglądam się oniemiały, jak gra ze spuszczoną głową.

Jest cudowna.

Pod każdym względem.

A ja jestem kompletnie oczarowany.

Preludium dobiega końca, więc cofam się o krok do przedpokoju, lgnę do ściany, na wypadek gdyby podniosła wzrok, i boję się nawet oddychać. Jednak ona, nie przerywając ani na chwilę, od razu przechodzi do fugi. Opieram się o ścianę i zamykam oczy, nie mogąc się nadziwić artyzmowi i uczuciu, jakie wkłada w każdą frazę. Daję się porwać muzyce i gdy tak słucham, dociera do mnie, że Alessia nie ma nut. Gra z pamięci.

Dobry Boże. Mam przed sobą pieprzonego wirtuoza.

Przypominam sobie jej niesamowite skupienie, gdy przyglądała się mojemu rękopisowi podczas czyszczenia fortepianu. Najwyraźniej odczytywała nuty.

Cholera. Gra na takim poziomie i czytała moją kompozycję?

Fuga się kończy, a ona od razu przechodzi do kolejnego utworu. Znowu Bach. Preludium C—dur, jak mi się zdaje.

Czemu, do ciężkiej cholery, zajmuje się sprzątaniem, jeśli potrafi tak grać?

Rozbrzmiewa dzwonek u drzwi, a muzyka nagle cichnie.

Cholera.

Słyszę głośnie szurnięcie taboretu i nie chcąc, żeby przyłapała mnie na podsłuchiwanie, pędzę w skarpetach korytarzem i otwieram.

— Dzień dobry. — To Oliver.

— Wejź — mówię lekko zdyszany.

— Sam sobie poradziłem przy drzwiach na dole. Mam nadzieję, że to nie problem. Wszystko w porządku? — pyta, wchodząc.

Zatrzymuje się i wpatruje w Alessię, która stoi teraz w przedpokoju skąpana w świetle padającym z wejścia do salonu. Gdy otwieram usta, żeby się do niej odezwać, ucieka do kuchni.

— Tak, w porządku. Wejź dalej. Muszę tylko zamienić słówko z moją dochodzącą.

Oliver skonsternowany marszczy brwi, ale przechodzi do salonu.

Robię głęboki wdech i obiema dłońmi przeczesuję włosy, usiłując zapanować nad swoim... zaniepokojeniem.

Co, do diabła?

Wkraczam do kuchni, gdzie zastaję spanikowaną Alessię próbującą założyć kurtkę.

— Przepraszam. Przepraszam. Bardzo przepraszam — mamrocze, nie będąc w stanie na mnie spojrzeć.

Twarz ma bladą i napiętą, jakby starała się powstrzymać łzy.

Cholera.

— Hej, nic się nie stało. Proszę, pozwól, że ci pomogę — mówię łagodnym tonem, biorąc od niej okrycie.

Jest dokładnie tak tandetne, cienkie i paskudne, jak się wydaje. Na kołnierzu ma naszyte nazwisko: *michaljaneczek*. Michał Janeczek? Jej chłopak? Czuję mrowienie na skórze głowy, a na karku stają mi wszystkie drobne włoski. Może to dlatego nie chce ze mną rozmawiać. Ma chłopaka.

W mordę. Czuję autentyczne rozczarowanie.

Pomagam jej nałożyć kurtkę na ręce i ramiona.

A może zwyczajnie mnie nie lubi.

Otula się ciaśniej kurtką i odsuwa się ode mnie, jednocześnie walcząc z fartuchem, który wpycha do reklamówki.

— Przepraszam, *mister* — mówi znowu. — Więcej tego nie zrobię. Nie zrobię. — Głos jej się łamie.

— Alessio, na litość boską. To była przyjemność słuchać, jak grasz. Możesz to robić, kiedy tylko zechcesz.

Nawet jeśli masz chłopaka.

Wbija wzrok w podłogę, a ja nie mogę się oprzeć. Podchodząc bliżej, pozwalam, by mój kciuk przesunął się po jej pełnej dolnej wardze.

O Boże. Jaka delikatna.

Dotknięcie jej było błędem.

Moje ciało reaguje natychmiast. *Ożeż.*

Wciąga gwałtownie powietrze, a jej oczy robią się niemożliwie wielkie.

Opuszczam rękę.

— Przepraszam — szepczę przerażony, że zaczynam ją obmacywać.

Wracają do mnie słowa Caroline.

Podobasz się jej i nie chce się z tym zdradzić.

— Muszę iść — mówi Alessia i nie ściągając nawet chustki, mija mnie pędem i biegnie do drzwi.

Słyszę, jak się zamykają, i w tej samej chwili zauważam, że zostawiła botki. Biorę je do ręki, pędzę do drzwi i otwieram. Ona już jednak zniknęła. Patrzą na jej buty w swojej dłoni, obracam je i czuję smutek, widząc, jakie są stare i jakie mają zdarte podeszwy.

To stąd te mokre ślady.

Musi być bez grosza, skoro nosi takie coś. Z zasepioną miną zabieram buty do kuchni i wyglądam przez przeszklone drzwi prowadzące na schody przeciwpożarowe. Pogoda dzisiaj jest ładna, więc nawet w sportowym obuwiu stopy jej nie przemokną.

Co mnie, u licha, naszło, żeby jej dotknąć? To był błąd. Pocieram kciukiem o palec wskazujący i wspominam delikatność jej wargi. Z jękiem kręcę głową. Jestem wstrząśnięty i zawstydzony tym, że przekroczyłem przy niej granicę. Zaczerpnąwszy głęboko powietrza, ruszam do salonu i dołączam do Olivera.

— Kto to był?

— Moja dochodząca.

— Nie mam jej na liście pracowników.

— Czy to problem?

— Tak. W jaki sposób jej płacisz? Gotówką?

Co on, do ciężkiej cholery, sugeruje?

— Tak. Gotówką — odburkuję.

Oliver kręci głową.

— Jesteś teraz hrabią Trevethick. Trzeba ją będzie wciągnąć na listę płac.

— Dlaczego?

— Bo Urząd Skarbowo—Celny Jej Królewskiej Mości nie będzie patrzył przychylnym okiem na to, że płacisz komuś gotówką. Zaufaj mi, oni śledzą wszystkie nasze konta.

— Nie rozumiem.

— Wszyscy pracownicy muszą być zarejestrowani. Sam ją sobie załatwiłeś?

— Nie. Pani Blake mi ją znalazła.

— To na pewno nie będzie problemu. Potrzebuję tylko jej danych. Jest obywatelką Wielkiej Brytanii, czy tak?

— No nie. Mówi, że jest Albanką.

— O. W takim razie może być potrzebne pozwolenie na pracę, żeby mogła zostać... O ile nie studiuje, rzecz jasna.

O cholera.

— Zdobędę dla ciebie te dane. Możemy teraz pomówić o pozostałych pracownikach? — pytam.

— Jak najbardziej. Czy zaczniemy od tych zatrudnionych w Trevelyan House?

ALESSIA BIEGNIJE NA PRZYSTANEK AUTOBUSOWY, nie mając pewności, dlaczego i przed kim ucieka. Jak mogła być tak głupia, żeby dać się przyłapać? Powiedział, że nie przeszkadza mu to, że gra na fortepianie, ale nie wie, czy mu wierzyć. Może dzwoni właśnie do znajomej Magdy i mówi jej, żeby ją zwolniła! Z walącym sercem i mętlikiem w głowie Alessia siada na ławce, żeby poczekać na autobus, który zawiezie ją na stację Queenstown Road. Nie jest pewna, czy szybsze bicie serca to skutek jej szaleńczego biegu po Chelsea Embankment, czy tego, co zaszło w mieszkaniu pana.

Opuszkami palców pieści dolną wargę. Zamyka oczy i wspomina rozkoszny prąd, który poczuła, gdy jej dotknął. Serce raz jeszcze robi fikołka, każąc głośno wciągnąć powietrze.

Dotknął jej.

Tak jak w jej snach.

Jak w jej wyobraźni.

Tak delikatnie.

I czule.

Czy nie tego właśnie pragnie?

Może mu się podoba...

Raz jeszcze głośno wciąga powietrze.

Nie. Nie wolno jej tak myśleć.

To niemożliwe.

Niby jak mogłaby mu się podobać? Jest tylko jego sprzątaczką.

Ale pomógł jej założyć kurtkę. Nikt nigdy jeszcze tego nie zrobił. Wpatruje się w swoje buty.

Zot!

Dociera do niej, że zostawiła w mieszkaniu drugie buty. Czy powinna po nie wrócić? Nie ma innego obuwia poza parą tkwiącą teraz na jej nogach i tamtymi botkami, które wraz z kilkoma innymi rzeczami przyjechały z nią tutaj z domu.

Nie może wrócić. Pan ma jakieś spotkanie. Jeśli rozzłościła go swoją grą na fortepianie, to na pewno będzie jeszcze bardziej zły, jeśli mu teraz przeszkodzi. Widzi w oddali autobus i postanawia odebrać buty w piątek

—o ile nadal będzie miała tę pracę.

Przygryza zębami górną wargę. Potrzebuje tej pracy. Jeśli zostanie zwolniona, Magda może ją wyrzucić na ulicę.

Nie, nie dojdzie do tego.

Magda nie byłaby taka okrutna, zresztą Alessia sprząta jeszcze w domach pani Kingsbury i pani Goode, choć żadna z nich nie ma fortepianu. Ale to nie instrument jest potrzebny Alessii — tylko pieniądze. Magda i jej syn wyjeżdżają niedługo do Kanady. Dołączą do narzeczonego Magdy, Logana, który mieszka i pracuje w Toronto. Alessia będzie musiała znaleźć sobie inne lokum. Płaci Magdzie marne sto funtów tygodniowo za maleńki pokój, a robiąc rozeznanie na komputerze Michała, zorientowała się, że to naprawdę taniocha. Znalezienie mieszkania w Londynie za tak niewielkie pieniądze będzie wyzwaniem.

Ciepłej jej się robi na sercu na myśl o Michale. Nie skąpi jej swojego czasu ani komputera. Jej znajomość cyfrowego świata jest mizerna, bo w domu ojciec bardzo ograniczał korzystanie ze starego komputera. Z Michałem to zupełnie co innego. Pełno go we wszystkich mediach społecznościowych. Facebook, Instagram, Tumblr, Snapchat — Michał uwielbia je wszystkie. Uśmiecha się na wspomnienie selfie, które zrobił wczoraj im dwojgu. Michał lubi robić sobie zdjęcia.

Autobus podjeżdża, a ona wsiada, wciąż oszołomiona dotykiem pana.

— NO, TO PRZEGLĄD PRACOWNIKÓW MAMY ZA SOBĄ. Potrzebuję danych twojej dochodzącej, żeby móc ją wciągnąć na listę płac — mówi Oliver.

Siedzimy przy małym stole jadalnym w moim salonie, a ja mam nadzieję, że to już koniec naszego spotkania.

— A teraz chcę ci coś zaproponować — słyszę po chwili.

— Co?

— Uważam, że najlepiej by było, gdybyś wybrał się w podróż i dokonał porządnej inspekcji obu majątków, które są pod twoim bezpośrednim zarządem. Tyok możemy zostawić na później, jak najemca się wyprowadzi.

— Oliver, mieszkałem w tych posiadłościach w różnych momentach życia. Po co mi jakaś inspekcja?

— Bo jesteś teraz szefem, Maximie. To pokaże pracownikom, że ci zależy, że jesteś oddany im i dobru posiadłości.

Co? Moja matka kazałaby sobie podać moją głowę na tacy, gdyby było inaczej. Dla niej zawsze najbardziej liczyły się hrabiowski tytuł, rodowód i rodzina — co zakrawa na ironię, zważywszy, że sama ją porzuciła. Ale dopiero po tym, jak zaszczepiła w Kicie pasję do naszej historii i naszego dziedzictwa. Dobrze go wyszkoliła. Znał swoje obowiązki. I jak przystało na porządnego człowieka, jakim był, sprostał wyzwaniu.

Podobnie jak Maryanne. Ona też znała naszą historię.

A ja, cóż.... Już nie tak dobrze.

Maryanne dosłownie chłoneła wiedzę; była ciekawskim dzieckiem.

Ja zawsze byłem zbyt rozkojarzony i zagubiony we własnym świecie.

— Oczywiście, że jestem oddany pracownikom i posiadłościom — warczę.

— Oni tego nie wiedzą — mówi spokojnie Oliver. — A... cóż, twoje zachowanie, gdy byłeś tam ostatnim razem... — Jego głos milknie.

Wiem, że chodzi mu o wieczór poprzedzający pogrzeb Kita, kiedy wlałem w siebie znaczną część zawartości jego piwniczki w Tresyllian Hall. Byłem zły. Wiedziałem, co oznacza dla mnie jego śmierć. I nie chciałem brać na siebie tej odpowiedzialności.

No i byłem w szoku.

Bolała mnie jego strata.

Nadal boli.

— Opłakiwałem swojego pieprzonego brata — mruczę, czując się zepchnięty na pozycję obronną. — Wciąż go opłakuję. Nie prosiłem się o to wszystko.

Nie jestem gotów na tak ogromne zobowiązanie.

Dlaczego moi rodzice tego nie przewidzieli?

Matka nigdy nie dała mi odczuć, że może ze mnie wyrosnąć coś dobrego. Była skupiona na moim bracie. Dwójkę swych młodszych dzieci jedynie tolerowała. Może nawet na swój sposób kochała.

Kita zaś uwielbiała.

Wszyscy uwielbiali Kita. Mojego blondwłosego, niebieskookiego, inteligentnego, pewnego siebie, rozpieszczonego starszego brata.

Dziedzica.

Oliver podnosi ręce w pojednawczym geście.

— Wiem. Wiem. Ale masz do odbudowania kilka mostów.

— Cóż, może powinniśmy zaplanować taką wycieczkę w ciągu najbliższych kilku tygodni.

— Myślę, że powinna się odbyć raczej prędzej niż później.

Nie chcę wyjeżdżać z Londynu. Zrobiłem pewien postęp z Alessią i myśl, że mam jej nie widzieć przez kilka dni, jest... nieprzyjemna.

— Więc kiedy? — rzucam burkliwie.

— Najlepiej zaraz.

— Żartujesz.

Oliver kręci głową.

Niech to szlag.

— Pozwól, że się zastanowię — mruczę i wiem, że dąsam się jak rozpuszczone dziecko.

Jestem książkowym przykładem rozpuszczonego dziecka.

Dni, kiedy mogłem robić, co mi się żywnie podoba, naprawdę należą już do przeszłości.

Nie powinienem wyładowywać złości na Oliverze.

— Znakomicie. Zmieniłem swoje plany na najbliższe dni, by móc ci towarzyszyć.

No świetnie.

— Doskonale — odpowiadam mrukliwie.

— A więc jutro?

— Pewnie. Czemu nie. Wyruszymy królewskim orszakiem — cedzę przez zaciśnięte zęby.

— Maximie, wiem, że ostatnio wiele na ciebie spadło, ale odpowiednie zmotywowanie pracowników na pewno ci się przysłuży. Znają cię tylko z jednej strony. — Urywaj, a ja rozumiem, że chodzi mu o moją nie do końca nieskazitelną reputację. — Już sama rozmowa z zarządcami posiadłości na ich terenie wiele będzie dla nich znaczyć. Twoje spotkanie z nimi w zeszłym tygodniu było zbyt krótkie.

— Okej, okej, przekonałeś mnie. Przecież się zgodziłem, prawda?

Wiem, że jestem marudny, ale w głębi duszy nie chcę wyjeżdżać.

Cóż, nie chcę opuszczać Alessii.

Mojej dochodzącej.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

JEST ZIMNE I PONURE WTORKOWE POPOŁUDNIE. Wykończony opieram się o komin starej kopalni cyny i wpatruję w morze. Niebo jest ciemne i groźne, a przenikliwy kornwalijski wiatr siecze bezlitośnie. Nadchodzi burza, toń wody szaleje i uderza o klify pode mną z hukiem, którego echo rozchodzi się po zrujnowanym budynku. Pierwsze lodowate krople niesionego przez nawałnicę deszczu ze śniegiem spadają mi na twarz.

Jako dzieci Kit, Maryanne i ja bawiliśmy się w tych rumach i wokół nich. Stara kopalnia znajduje się na skraju posiadłości Trevethick. Kit i Maryanne zawsze byli dobrymi bohaterami, a ja tym złym. *No proszę*. Już wtedy wpasowywaliśmy się w swoje role. Uśmiecham się na to wspomnienie.

Kopalnie przynosiły spore zyski, a te przez stulecia trafiały do szkatuł Trevelyanów. Wydobycie przerwano jednak pod koniec XIX wieku, gdy przestało być opłacalne, a robotnicy wyemigrowali do takich miejsc jak Australia czy Afryka Południowa, gdzie przemysł górniczy rozkwitał. Przesuwam dłonią po zniszczonych kamieniach komina, który jest zimny i szorstki w dotyku, ale nadal tu stoi pomimo upływu stuleci.

Podobnie jak hrabiowie Trevethick...

Moja wizyta okazała się sukcesem. Oliver miał rację, gdy upierał się, żebym odwiedził oba majątki. Zacząłem zmieniać opinię o moim najbliższym współpracowniku, który cały czas prowadzi mnie we właściwym kierunku. Być może naprawdę leży mu na sercu los i pomyślność dóbr hrabiów Trevethick. Pracownicy majątków wiedzą już, że nie jestem ich wrogiem i że nie zamierzam wprowadzać radykalnych zmian. Odkryłem, że jestem gorliwym wyznawcą zasady „jeśli coś działa, to tego nie naprawiaj”. Uśmiecham się z żalem... Póki co jestem też zbyt leniwy, żeby zmienić podejście, ale prawda jest taka, że pod nadzorem i mądrym zarządem Kita majątki Trevelyanów rozkwitały. A ja mam nadzieję, że będę potrafił podtrzymać ten stan.

Zmęczyłem się byciem optymistycznym, wspierającym i nieustannie gotowym do wysłuchania każdego przez te ostatnie kilka dni. Nie jestem przyzwyczajony do emanowania taką pozytywną energią. Tutaj i w Angwin w Oxfordshire poznałem mnóstwo ludzi, którzy pracują w tych majątkach, a ja nigdy dotąd ich nie spotkałem. Przyjeżdżaliśmy do obydwu rezydencji, odkąd byłem dzieckiem, ale nigdy nie miałem najmniejszego pojęcia, ilu ludzi w nich pracuje. Te wszystkie spotkania mnie wyczerpały. Rozmowy, słuchanie, zapewnienia, uśmiechy — zwłaszcza że wcale nie mam ochoty się do nikogo szczerzyć.

Patrzę na ścieżkę, która prowadzi ku morzu, i myślę o tym, jak razem z Kitem jako mali chłopcy ścigaliśmy się, kto pierwszy dotrze na łagodną, piaszczystą plażę w dole. Kit zawsze wygrywał... Zawsze. Ale był ode mnie o cztery lata starszy. A potem, pod koniec sierpnia, wyposażeni w miski, wiadra i wszelkiego rodzaju pojemniki, we troje zbieraliśmy jeżyny z krzewów okalających ścieżkę, a nasza kucharka Jessie robiła na kolację jeżyny i jabłka pod kruszonką, ulubiony deser Kita.

Kit. Kit. Kit.

To zawsze był Kit.

Dziedzic. A nie Rezerwowy.

Cholera.

Dlaczego pędziłeś po oblodzonych uliczkach w mroźną noc? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

A teraz leży pod zimną, ciężką płytą w rodzinnej krypcie Trevelyanów.

Żal ściska mi gardło.

Kit.

Dość.

Gwiżdżę na psy myśliwskie Kita. Na mój sygnał Jen—sen i Healey, dwa setery irlandzkie, zawracają ze ścieżki, na której się bawiły, i biegną ku

mnie w podskokach. Imiona mają po samochodach. Kit miał obsesję na punkcie aut, zwłaszcza tych szybkich. Już jako dziecko potrafił rozebrać silnik na części i błyskawicznie złożyć go z powrotem.

Naprawdę był wszechstronny.

Psy skaczą na mnie, a ja czochram dwie pary uszu. Mieszkają w Tresyllian Hall w majątku Trevethick, a zajmuje się nimi Danny, gospodyni Kita. Nie. M o j a gospodyni, na litość boską. Rozważałem zabranie ich do Londynu, ale moje mieszkanie to nie najlepsze miejsce dla dwóch pracujących psów przyzwyczajonych do przemierzania kornwalijskich krajobrazów i dreszczyku polowań. Kit je uwielbiał, choć słabo się spisywały jako psy myśliwskie. A polować też uwielbiał.

Marszczę z niesmakiem nos. Polowania to dobry interes, który sprawia, że nasze domki wakacyjne są wynajmowane przez cały rok: bankierzy i menedżerowie funduszy hedgingowych szukają emocji w czasie sezonu myśliwskiego, a bogaci surferzy całymi rodzinami zjeżdżają tu od wiosny do jesieni. Surfing lubię. Strzelanie do rzutków też. Ojciec nauczył mnie strzelać, ale nie zostałem fanem zabijania bezbronnych ptaków. Mój ojciec, podobnie jak brat, uwielbiali to zajęcie. A ja nie mogę zapominać, że to dzięki polowaniom posiadłość przynosi zyski.

Stawiam kołnierz, wsuwam ręce głębiej do kieszeni płaszcza i ruszam w drogę powrotną do rezydencji. Brnę po mokrej trawie niespokojny i przygnębiony, a psy biegną tuż za mną.

Chcę być z powrotem w Londynie.

Chcę być z powrotem blisko niej.

Cały czas wracam myślami do mojej słodkiej sprzątaczkii, do jej ciemnych oczu, pięknej twarzy i niezwykłego talentu muzycznego.

Piątek, zobaczę ją w piątek, jeśli tylko całkiem jej nie odstraszyłem.

ALESSIA STRZEPUJE Z PARASOLA PŁATKI ŚNIEGU, który rozpadał się gwałtownie, gdy szła do apartamentu pana. Nie spodziewa się, żeby był w domu — w zeszłym tygodniu zostawił jej pieniądze także za dzisiaj. Ale i tak ma na to nadzieję. Tęskniła za jego niepokojącą obecnością. Tęskniła za jego uśmiechem. Cały czas o nim myślała.

Nabiera głęboko powietrza i otwiera drzwi. Cisza, która ją wita, niemal zwala z nóg.

Alarm się nie włącza.

On tu jest.

Wrócił.

Wcześniej.

Leżąca w korytarzu skórzana torba podróżna również świadczy o jego obecności, podobnie jak ślady błota na podłodze. Serce zaczyna jej bić w zawrotnym tempie. Jest podekscytowana. Znowu go zobaczy.

Ostrożnie wkłada parasol do stojaka przy drzwiach, żeby się nie przewrócił i nie obudził pana, jeśli śpi. Pożyczyła go w poniedziałek wieczorem. Nie zapytała pana o pozwolenie, ale uznała, że nie będzie miał nic przeciwko. Dzięki parasolowi nie zmokła w marznącym deszczu, kiedy wracała do domu.

Do domu?

Tak... Dom Magdy jest teraz jej domem. A nie Kukës. Stara się nie myśleć o dawnym domu.

Zdejmuje buty i na palcach przechodzi korytarzem przez kuchnię aż do pralni. Zakłada tenisówki i fartuch, wiąże chustkę na głowie i zastanawia się, od czego zacząć sprzątanie. Pana nie było od piątku, więc w mieszkaniu jest czysto. Nie ma prania ani prasowania, a w garderobie wreszcie panuje porządek, chociaż jest w niej za dużo rzeczy. Kuchnia

jest w tak idealnym stanie, w jakim zostawiła ją w poniedziałkowe popołudnie, niczego tu nie tknięto. Musi pozmywać podłogę w korytarzu, ale najpierw zetrze kurz z półek z płytami, a potem umyje okna w salonie. Szklana ściana balkonu wychodzi na Tamizę i znajdujący się po drugiej stronie Battersea Park. Alessia bierze płyn do mycia okien i ściereczkę z szafki i przechodzi do salonu.

Gwałtownie się zatrzymuje.

Mister tu jest. Pótleży na narożnej kanapie. Ma zamknięte oczy, rozchylone usta i zmierzwione, nastroszone włosy. Jest kompletnie ubrany, ma na sobie nawet płaszcz, choć rozpięty. Pod spodem widać sweter i džinsy. Stopy w brudnych butach opierają się o dywan. W jasnym świetle, które wpada przez szklaną ścianę, Alessia dostrzega ślady zaschniętego błota prowadzące aż od drzwi. Mówią jej wszystko, co trzeba.

Wpatruje się w niego jak urzeczona i podchodzi bliżej, pochłaniając go wzrokiem. Pan ma odprężoną, ale nieco pobladłą twarz i policzki porośnięte krótkim zarostem, a jego pełne wargi drżą leciutko przy każdym oddechu. Wygląda młodziej i gdy śpi, już nie wydaje się taki niedostępny. Gdyby miała śmiałość, mogłaby sięgnąć dłonią i pogłodzić zarost na jego żuchwie. Byłby miękki czy kłujący? Uśmiecha się na myśl o własnej głupocie. Nie jest na tyle odważna i choć to kusząca myśl, nie chciałaby go obudzić i znów rozgniewać.

Najbardziej martwi ją to, że jest mu niewygodnie. Zastanawia się przez moment, czy jednak nie wyrwać go ze snu, żeby mógł się położyć do łóżka, ale w tej samej chwili on się porusza, otwiera powieki i jego zaczerwienione z niewyspania oczy napotyka ją jej wzrok. Alessii zapiera dech w piersiach.

Pan mruga ciemnymi rzęsami, patrzy na nią półprzytomnymi oczami, uśmiecha się i wyciąga rękę.

—Tu jesteś — mruczy, a jego zaspany uśmiech popycha ją do działania.

Wydaje się jej, że chce, by pomogła mu wstać, więc podchodzi bliżej i bierze go za rękę. On nagle ciągnie ją na sofę, całuje szybko i otacza ramieniem tak, że leży teraz na nim, z głową przy jego piersi. Mamrocze coś niezrozumiale, a ona uświadamia sobie, że pan chyba nadal śpi.

— Tęskniłem za tobą — mruczy, a jego dłoń przesuwa się po jej talii, po czym zatrzymuje na biodrze, przytrzymując ją.

Czy on śpi?

Leży na nim sparaliżowana, z nogami pomiędzy jego udami, serce jej łomocze, a w drugiej dłoni nadal ścisza płyn i ścierkę.

—Tak wspaniale pachniesz. — Ledwo słysząc jego słowa. Głęboko wciąga powietrze, jego ciało się rozluźnia i pan zapada w głęboki sen.

On śni!

Zot! I co ona ma teraz zrobić? Leży na nim sztywna, przerażona i jednocześnie zafascynowana. A co, jeśli...? Jeśli on...? Przez głowę przelatują jej wszystkie możliwe koszmarne scenariusze, aż zamyka oczy, żeby zapanować nad strachem. Czy nie tego właśnie pragnie? Czy nie o tym marzy w swoich snach? Czy nie tego pożąda w sekrecie w chwilach, gdy jest sama? Wsłuchuje się w jego oddech. Wdech. Wydech. Wdech. Wydech. Jest równy. Spokojny. On naprawdę śpi. Opiera się o niego, zbierając myśli, i z upływem czasu zaczyna się rozluźniać. Spostrzega włoski na jego piersi w trójkątym wycięciu T—shirtu i swetra. Są takie prowokujące. Przykłada policzek do jego klatki piersiowej, zamyka oczy i wdycha znajomy zapach.

Jest niczym balsam.

Pachnie drzewem sandałowym i sosnami z Kukës. Pachnie wiatrem, deszczem i zmęczeniem.

Biedak.

Jest wykończony.

Ściąga usta i całuje leciutko jego skórę.

Jej tętno przyspiesza.

Pocałowałam go!

Nie pragnie niczego innego, jak zostać tu i napawać się tym nowym, ekscytującym doświadczeniem. Ale nie może. Wie, że to nie w porządku. Wie, że on tylko śni.

Zamyka oczy na ostatnią minutkę, czuje, jak jego pierś pod nią unosi się i opada. Pragnie otoczyć go ramionami i zwinąć się w kłębek. Ale nie może. Upuszcza płyn do mycia okien i ścierkę na sofę, a potem dotyka jego ramion i potrząsa nim delikatnie.

— *Mister* — szepcze.

— Hm... — mruczy w odpowiedzi on.

Potrząsa nim nieco mocniej.

— *Mister*, Niech mnie pan puści.

On unosi głowę zdezorientowany i otwiera zmęczone oczy. Zmieszanie na jego twarzy ustępuje miejsca przerażeniu.

— Niech mnie pan puści — powtarza Alessia.

Jego dłonie odsuwają się od niej i opadają.

— Cholera! — Natychmiast siada i wpatruje się przerażony w zeskakującą z niego dziewczynę. Ale zanim zdoła mu uciec, chwyta ją za rękę.

— Alessio!

— Nie! — krzyczy.

A on natychmiast ją puszcza.

— Przepraszam — mówi. — Myślałem... Myślałem... Ja... Musiało mi się coś śnić. — Wstaje powoli, na jego twarzy widać wyrzuty sumienia, unosi dłonie w geście uległości. — Przepraszam. Nie chciałem cię przestraszyć. — Przechesuje dłońmi włosy i pociera sobie twarz, jakby chciał się dobudzić.

Alessia trzyma się w bezpiecznej odległości, ale uważnie mu się przygląda i dostrzega, jak bardzo jest zmęczony.

Pan potrząsa głową, żeby zebrać myśli.

— Bardzo cię przepraszam — powtarza. — Jechałem całą noc. Dotarłem do domu o czwartej nad ranem. Chyba zasnąłem, gdy usiadłem, żeby rozwiązać sznurówki. — Oboje patrzą na jego buty i ślady zaschniętego błota wokół. — Ups. Przepraszam — mówi z nieśmiałym wzruszeniem ramion.

Alessia w głębi duszy współczuje temu mężczyźnie. Jest kompletnie wykończony, a przeprasza, że nabrudził w swoim własnym mieszkaniu? To nie w porządku. Do tej pory zawsze był wobec niej uprzejmy, dał jej swój parasol, pomógł założyć kurtkę, a gdy przyłapał ją przy fortepianie, pochwalił jej grę i bez wahania pozwolił jej ćwiczyć za każdym razem, kiedy u niego sprząta.

— Niech usiądzie — mówi, kierując się współczuciem.

— Słucham?

— Niech siada — powtarza bardziej zdecydowanie, a on wykonuje polecenie. Alessia przyklęka i zaczyna rozwiązywać mu sznurówki.

— Nie — mówi pan. — Nie musisz tego robić.

Alessia odpycha jego dłoń, ignorując go, i rozwiązuje buty, a później ściąga mu je ze stóp. Potem wstaje, już całkiem przekonana, że tak należało zrobić.

— A teraz śpi — stwierdza, bierze jego buty do jednej ręki, a drugą

wyciąga, żeby pomóc mu wstać.

Pan przenosi wzrok z jej oczu na jej palce i wyraźnie się waha. Po chwili chwytą jej dłoń, a ona pomaga mu podnieść się z kanapy. Prowadzi go delikatnie korytarzem do sypialni. Puszczą jego rękę, odsuwa kołdrę z łóżka i pokazuje na nie:

— Śpi — mówi i omija go w drodze do drzwi.

— Alessio! — woła pan, zanim ona wyjdzie z sypialni. Wydaje się jakiś przybity i niepewny. — Dziękuję — mówi.

Alessia kiwa głową i wychodzi, cały czas trzymając w ręku jego ubłocone buty. Zamyka za sobą drzwi sypialni i opiera się o nie plecami. Przykłada dłoń do szyi, by uspokoić emocje. Robi głęboki, oczyszczający wdech. W ciągu kilku minut przeszła od niepewności i zmieszania poprzez zachwyt i rozkosz aż do współczucia i zdecydowania.

A on ją pocałował.

I ona pocałowała jego.

Dotyka palcami warg. To było krótkie doznanie, ale całkiem przyjemne.

Nawet bardzo przyjemne.

Tęskniłem za tobą.

Robi kolejny głęboki wdech, żeby uspokoić łomoczące serce. Musi powrócić do rzeczywistości. On spał. Coś mu się śniło. Nie był świadomy tego, co mówi ani co robi. Na jej miejscu mógł być ktokolwiek. Otrząsa się z rozczarowania. Jest tylko jego sprzątaczką. Co miałby w niej dostrzec? Czuje się nieco przygnębiona, ale odzyskuje równowagę, podnosi skórzaną torbę pana i idzie do pralni, żeby wyczyścić mu buty i przejrzeć, co trzeba uprać.

OBSERWUJĘ ZAMKNIĘTE DRZWI SYPIALNI i czuję się jak największy głupek na świecie. Jak mogłem zachować się tak idiotycznie? Tylko ją wystraszyłem.

Cholera.

Nic z tego nie będzie.

Pojawiła się w moim śnie, zjawa w błękicie — i w tym koszmarnym fartuchu — więc zareagowałem.

Sfrustrowany pocieram twarz dłońmi. Wyjechałem z Kornwalii o jedenastej wczoraj wieczorem. Pięciogodzinna podróż mnie wykończyła. To była głupota. Kilka razy omal nie zasnąłem za kierownicą. Musiałem otworzyć okna, choć był mróz, i śpiewać razem z radiem, żeby nie usnąć. A najśmieszniejsze jest to, że przyjechałem do domu tylko po to, żeby ją zobaczyć. W prognozach pogody ostrzegano przed śnieżycą, a ja nie chciałem utknąć w Kornwalii na tydzień... Więc wróciłem wcześniej.

Kurwa.

Spieprzyłem to.

A ona uklękła u moich stóp, rozwiązała mi buty i zaprowadziła mnie do łóżka, jakbym był dzieckiem. Zaprowadziła mnie do łóżka, żebym położył się spać. Prycham. Żeby spać!

Kiedy ostatnio ktoś to dla mnie zrobił?

Nie pamiętam, żeby jakaś kobieta kiedykolwiek odprowadziła mnie do łóżka i w nim zostawiła...

Wystraszyłem ją.

Kręcąc głową z odrazy do samego siebie, ściągam ubranie i rzucam je na podłogę. Jestem zbyt zmęczony, żeby zrobić cokolwiek poza wpełznięciem pod kołdrę. Gdy zamykam oczy, przyłapuję się na tym, że wyobrażam sobie, jak ona całkiem mnie rozbiera i dołącza do mnie... tu, w łóżku. Jęczę, gdy przypominam sobie jej słodki, rześki zapach, zapach

róż i lawendy, i to, jak delikatna zdawała się w moich ramionach. Przygnębiony i pobudzony szybko zasypiam i ulegam jej w swoich snach.

BUDZĘ SIĘ NAGLE Z DZIWNYM POCZUCIEM WINY. Telefon brzęczy na nocnym stoliku. Ja go tam nie położyłem. Podnoszę go, ale zbyt późno. Nieodebrane połączenie od Caroline. Odkładam telefon na stolik i zauważam, że leży tam też mój portfel, drobne i prezerwatywa. Marszczę brwi i wtedy mi się przypomina.

O Boże. Alessia.

Rzuciłem się na nią.

Szlag by to.

Zamykam oczy, żeby złagodzić ogarniającą mnie falę zażenowania.

Do kurwy nędzy!

Siadam i sprawdzam. Oczywiście moje ubranie znikło. Musiała opróżnić kieszenie džinsów. To taka intymna czynność, grzebanie w czyichś rzeczach, jej palce na moich ubraniach, na należących do mnie przedmiotach.

Chciałbym poczuć jej palce na sobie.

To się nie stanie, idioto. Wystraszyłeś tę biedną dziewczynę.

A tak w ogóle to w ilu domach ona sprząta? W ilu kieszeniach grzebie? Nie podoba mi się ta myśl. Może powinienem zatrudnić ją na cały etat. Tylko że wtedy ten tępy ból w dole brzucha nie minąłby... dopóki... dopóki... Jest tylko jeden sposób, żeby się go pozbyć.

Cholera. To się nie stanie.

Zastanawiam się, która jest godzina. Na suficie nie odbijają się żadne błyski światła. Patrzą w okno, ale nie widzę nic poza ścianą bieli.

Nadeszła zapowiadana śnieżycą. Zerkam na budzik. Jest za piętnaście druga. Powinna jeszcze tu być. Zrywam się z łóżka, w garderobie naciągam na siebie dżinsy i koszulkę z długimi rękawami.

Alessia jest w salonie. Myje okna. W mieszkaniu nie ma śladu po moim spacerze w ubłoconych butach.

— Hej — mówię i czekam na jej reakcję. Serce mi łomocze. Czuję się jak piętnastolatek.

— Dobrze pan spał? — Rzuca mi krótkie, ale nieodgadnione spojrzenie, a potem skupia wzrok na ścierce.

— Tak, dziękuję i przepraszam za wcześniej. — Czując zażenowanie i wyrzuty sumienia, macham w kierunku sofy, na której popełniłem swój występki

Kiwa głową i obdarza mnie leciutkim uśmiechem, a jej policzki przybierają śliczny różowy kolor.

Spoglądam w okno. Widok przesłaniają wirujące płatki śniegu. To sam środek śnieżycy, na zewnątrz szaleje wichura.

— W Londynie rzadko pada taki śnieg — mówię i podchodzę, by stanąć obok niej przy oknie.

Naprawdę rozmawiamy o pogodzie?

Odsuwa się nieco w bok, bym nie mógł jej dosięgnąć, ale też wygląda przez okno. Śnieg jest tak gęsty, że niemal nie widać rzeki pod nami.

Alessia drży i obejmuje się ramionami.

— Gdzie mieszkasz? — pytam, martwiąc się, jak dotrze do domu w taką niepogodę.

— Zachodni Londyn.

— Czym dojeżdżasz?

Mruga kilka razy, przetwarzając moje słowa.

— Pociąg — odpowiada.

— Pociągiem? A skąd?

— Hm... Queenstown Road.

— Wątpię, żeby pociągi teraz jeździły.

Podchodzę do biurka w rogu pokoju, przesuwam myszką i iMac budzi się do życia. Na ekranie pojawia się zdjęcie Kita, Caroline, Maryanne i mnie razem z dwoma irlandzkimi seterami brata, a mnie ogarniają nostalgia i smutek. Potrząsam głową i sprawdzam ostatnie wiadomości o lokalnym transporcie.

— Hm... South Western Trains?

Kiwa głową.

— Zawiesili wszystkie połączenia.

— Za—wie—si—li? — Marszczy brwi.

Och, ona nie rozumie.

— Pociągi nie jeżdżą.

— Och. — Znowu marszczy brwi, a mnie się wydaje, że niemal słyszę, jak powtarza kilka razy po cichu „zawiesili”, odpowiednio układając usta.

— Możesz zostać tutaj — proponuję, starając się nie gapić na jej wargi i doskonale zdając sobie sprawę z tego, że nie przystanie na moją propozycję, zwłaszcza po tym, jak się zachowałem. Wzdrygam się i dodaję: — Obiecuję, że cię nie tknę.

Potrząsa głową. Zbyt szybko jak na mój gust.

— Nie. Muszę iść. — Ściska w dłoniach ścierkę.

— Jak dotrzesz do domu?

Wzrusza ramionami.

— Pójdę.

— Nie żartuj. Przemarznieš.

Zwłašzcza w tych butach i w tej żałosnej namiastce kurtki.

— Muszę wrócić do domu — upiera się.

— Zawiozę cię.

Co? Czy to mi się właśnie wymsknęło?

— Nie — odpowiada, kolejny raz mocno potrząsając głową i szeroko otwierając oczy.

— Nie przyjmuję odmowy. Jako twój... yyy... pracodawca nalegam.

Blednie.

— Właśnie tak. Tylko się ubiorę... — Zerkam na swoje stopy. — I idziemy. Proszę. — Wskazuję fortepian. — Jeśli chcesz pograć, to śmiało. — I odwracam się, żeby pójść do sypialni. Zastanawiam się, dlaczego zaproponowałem, że ją odwiozę.

Bo tak należało zrobić?

Bo chcę spędzić z nią więcej czasu.

ALESSIA OBSERWUJE GO, gdy wychodzi boso z salonu. Jest zdumiona. Odwiezie ją do domu?

Będzie z nim w samochodzie sama.

Czy to wypada?

Co powiedziałaaby jej matka?

Widzi ją przed sobą ze skrzyżowanymi ramionami i twarzą wyrażającą absolutną dezaprobatę.

A ojciec?

Instynktownie przytyka dłoń do policzka.

Nie, jej ojcu by się to nie spodobało.

Jej ojciec akceptował tylko jednego mężczyznę.

Okrutnego mężczyznę.

Nie. Nie myśl o nim.

Mister zabierze ją do domu. Cieszy się, że zapamiętała adres domu Magdy. Wciąż widzi niezgrabne pismo matki na skrawku papieru, który był jej kołem ratunkowym. Drży i raz jeszcze wygląda przez okno. Będzie zimno, ale jeśli się pospieszy, to wyjdzie stąd, zanim pan się przebierze, i nie będzie go kłopotać. Daleki marsz jej nie przeraża. Ma za sobą dłuższe wędrówki. Sześć czy siedem dni z ukradzioną mapą. Znowu drży. Wolałaby zapomnieć o tamtym tygodniu. Poza tym pan powiedział, że może pograć na fortepianie. Rzuca gorączkowe spojrzenie na *steinwaya*, składa z radości dłonie i biegnie do pralni, żeby błyskawicznie się przebrać. Chwyta kurtkę, szalik i czapkę i wraca szybko do instrumentu.

Odkłada kurtkę na krzesło, siada na taborecie i uspokaja oddech. Kładzie dłonie na klawiszach, napawając się znajomym chłodem kości słoniowej. Fortepian znaczy dla niej wszystko. To jej dom. Jej bezpieczne miejsce. Zerkając raz jeszcze przez okno, zaczyna *Les jeux d'eaux a la Villa d'Este*, swój ulubiony utwór Liszta, a muzyka wiruje wokół instrumentu i ponad nim, tańcząc w lśniących odcieniach bieli jak płatki śniegu na zewnątrz. Wspomnienie ojca, sześciu dni bezdomności i dezaprobaty

matki znikają w mroźnych, wirujących barwach muzyki.

OPIERAM SIĘ O FRAMUGĘ I OBSERWUJĘ JĄ OCZAROWANY. Gra fenomenalnie, każda nuta jest bezbłędna i odtworzona z ogromną precyzją i uczuciem. Jakby muzyka przepływała przez nią bez trudu... Jakby wręcz z niej wypływała. Najdrobniejsze niuanse odbijają się na jej pięknej twarzy i jednocześnie w muzyce, gdy z pasją gra kolejne frazy utworu. Utworu, którego nie znam.

Zdjęła chustkę. Zastanawiałem się, czy nosi ją z powodów religijnych, czy może tylko dla wygody podczas sprzątania. Włosy ma gęste i ciemne, prawie czarne. Gdy gra, kosmyk wysuwa się z warkocza i wije obok policzka. Jak wyglądałyby jej włosy, gdyby je rozpuścić i pozwolić, by opadły kaskadą na nagie ramiona? Zamykam oczy i wyobrażam ją sobie bez ubrania, taką jak w snach, pozwalając, by muzyka mnie pochłonęła.

Czy to mi się kiedykolwiek znudzi? Słuchanie jej? Otwieram oczy.

Obserwowanie jej. Jej urody. Jej talentu.

Gra z pamięci taki skomplikowany utwór. Ta dziewczyna jest geniuszem.

Gdy wyjechałem, zacząłem myśleć, że może upiększam sobie jej grę w wyobraźni. Ale nie. Ma idealną technikę.

Cała jest idealna.

Pod każdym względem.

Kończy utwór z nisko pochyloną głową i zamkniętymi oczami, a ja biję brawo.

—To było cudowne. Gdzie się nauczyłaś tak dobrze grać?

Rumieni się, gdy otwiera ciemne oczy, ale przez jej twarz przemyka nieśmiały uśmiech. Wzrusza ramionami.

— W domu — odpowiada.

— Opowiesz mi więcej w samochodzie. Gotowa?

Wstaje, a ja pierwszy raz widzę ją bez tego koszmarnego nylonowego fartucha. W ustach mi zasycha. Jest szczuplejsza, niż myślałem, a i tak linia jej ciała jest bardzo kobieca. Ma na sobie obcisły zielony sweter w serek — delikatny zarys jej piersi rozpycha wełnę i podkreśla wąską talię, a dopasowane dżinsy uwydatniają łagodnie zaokrąglone, szczupłe biodra.

Cholera.

Jest cudowna.

Szybko zdejmuje tenisówki, wrzuca je do plastikowej reklamówki i zakłada zniszczone brązowe botki.

— Nie nosisz skarpetek? — pytam.

Potrząsa głową i pochyla się, żeby zawiązać buty, ale jej policzki znów się rumienia.

Może w Albanii nie nosi się skarpetek?

Wyglądam przez okno zadowolony, że postanowiłem ją odwiedzić. Nie tylko spędzę z nią więcej czasu, ale dowiem się, gdzie mieszka, i uratuję jej stopy przed odmrożeniem.

Wyciągam rękę.

— Daj mi swoją kurtkę — mówię, a ona uśmiecha się do mnie nieśmiało, gdy pomagam jej ją założyć.

W tym przetartym łachu nigdy nie będzie jej ciepło.

Gdy odwraca się do mnie, zauważam złoty krzyżyk na jej szyi i plakietkę na swetrze — szkolną?

Szlag by to.

— Ile masz lat? — pytam ogarnięty nagłą paniką.

— Dwadzieścia trzy.

To wystarczy. Doskonale.

Z ulgą potrząsam głową.

— Idziemy? — pytam.

Przytakuje, chwytając reklamówkę i wychodzi za mną z mieszkania.

W milczeniu czekamy na windę, żeby zjechać na podziemny parking.

W windzie Alessia stara się stanąć jak najdalej ode mnie. Ona naprawdę mi nie ufa.

Czy mogę się temu dziwić po tym, jak się rano zachowałem?

Ta myśl mnie przygnębia i staram się wyglądać jak najspokojniej i najbardziej nonszalancko, ale silnie odczuwam jej bliskość. Bliskość jej ciała. Tu, w tej małej przestrzeni.

Może tu nie chodzi o mnie. Może ona po prostu nie lubi mężczyzn. Ta myśl jest jeszcze bardziej niepokojąca, więc szybko ją od siebie odsuwam.

Podziemny parking jest niewielki, ale ponieważ właścicielem budynku jest spółka należąca do naszej rodziny, mam aż dwa miejsca parkingowe. Nie potrzebuję tylu samochodów, ale i tak je mam, land rovera Discovery i jaguara F—Type. Nie jestem fanem motoryzacji jak Kit. On był zagorzałym kolekcjonerem, a teraz jego flota rzadkich starych bryk należy do mnie. Ja lubię auta nowe i bezproblemowe. Bóg jeden wie, co pocznę z kolekcją Kita. Będę musiał zapytać Olivera. Może je sprzedam? Albo przekażę do muzeum w imieniu brata?

Pogrążony w myślach naciskam pilota do discovery, a on wita mnie

światłami i otwiera zamki. Dzięki napędowi na cztery koła z łatwością da sobie radę z zasypanymi śniegiem ulicami Londynu. Dopiero w tym momencie zauważam, że samochód jest brudny, cały w błocie po mojej podróży do Komwalii, a gdy otwieram Alessii drzwi od strony pasażera, dostrzegam górę śmieci na podłodze.

— Poczekaj — mówię i zbieram puste kubki po kawie, torebki po chipsach i opakowania po kanapkach. Wpycham je do foliowej torby, którą znalazłem na siedzeniu, i wrzucam na tył.

Dlaczego jestem takim niechlujem?

Zawdzięczam to całemu życiu z nianiami, służącymi i w szkole z internatem.

Siląc się na zachęcający uśmiech, zapraszam Alessię do środka. Nie jestem pewien, ale mam wrażenie, że ukradkiem ona też się uśmiecha. Może ten bałagan ją rozbawił.

Oby.

Mości się na siedzeniu i szeroko otwiera oczy na widok deski rozdzielczej.

—Jaki adres? — pytam, włączając zapłon przyciskiem.

— Brentford, Church Walk czterdzieści trzy.

Brentford! Dobry Boże.

— Kod pocztowy?

—TW8 8BV.

Wpisuję dane do nawigacji i wyjeżdżam samochodem z miejsca parkingowego. Naciskam guzik na konsolce przy wstecznym lusterku i drzwi garażu otwierają się powoli, ukazując szalejący na zewnątrz biały żywioł. Śniegu napadało już niemal na dziesięć centymetrów i nadal intensywnie pada.

— Wow — mówię właściwie do siebie. — Nigdy czegoś takiego nie widziałem. — Zwracam się do Alessii: — W Albanii pada śnieg?

— Tak. Tam, skąd pochodzę, jest o wiele więcej śniegu.

— A gdzie to jest? — Wyjeżdżam na ulicę i ruszam ku jej wylotowi.

— Kukës.

Nigdy nie słyszałem tej nazwy.

— To małe miasto. Nie takie jak Londyn — wyjaśnia Alessia.

Rozlega się sygnał ostrzegawczy.

— Zapnij, proszę, pas.

— Och — jest zaskoczona. — Tam, skąd jestem, tego nie robimy.

— Cóż, takie tu mamy prawo, więc zapnij, proszę.

Przeciąga pas przez pierś i patrzy w dół, by znaleźć zapięcie.

— Proszę bardzo — mówi zadowolona z siebie i teraz to ja tłumię uśmiech. Może nie jeździ samochodami zbyt często.

— Nauczyłaś się grać na fortepianie w domu? — pytam.

— Mama mnie uczy.

— Czy gra tak dobrze jak ty?

Alessia potrząsa głową.

— Nie. — I przechodzi ją dreszcz. Nie wiem, czy jest jej zimno, czy też coś ją przestraszyło.

Podwyższam temperaturę i wyjeżdżamy na Chelsea Embankment. Światła Albert Bridge migają pośród wirującego śniegu.

— Ładny — mruczy Alessia, gdy mijamy most.

— Owszem.

Jak ty.

— Nie będziemy się spieszyć — dodaję. — Nie jesteście przyzwyczajeni do takiego śniegu w Londynie. — Na szczęście na drogach jest stosunkowo spokojnie, gdy zjeżdżamy z mojej ulicy. — To co cię sprowadziło do Londynu, Alessio?

Patrzy na mnie rozszerzonymi oczami, a potem marszczy brwi i spuszcza wzrok.

— Praca? — dopytuję.

Kiwa głową, ale zamyka się w sobie, jakby zeszło z niej powietrze.

Cholera. Dreszcz przechodzi mi po plecach. Coś tu jest nie tak. *Bardzo nie tak.*

Próbuję ją uspokoić.

—W porządku. Nie musimy o tym rozmawiać. — I pośpiesznie dodaję:
— Chciałem cię zapytać, jak to robisz, że pamiętasz te wszystkie utwory?

Unosi głowę i od razu widać, że lepiej się czuje z tym tematem rozmowy. Przykłada palce do skroni.

— Widzę muzykę. Jak obrazy.

— Masz fotograficzną pamięć?

— Fotograficzną pamięć? Nie wiem. Widzę muzykę w różnych kolorach. To kolory pomagają mi pamiętać.

— Wow. — Słyszałem o tym. — Synestezja.

— Syn—a—te... — Urywa, nie potrafiąc powtórzyć tego słowa.

— Synestezja.

Próbuje znowu z niewiele lepszym efektem.

— A co to jest? — pyta.

— Widzisz dźwięki jako kolory.

— Tak, właśnie tak — przytakuje z entuzjazmem.

— To miałoby sens. Słyszałem, że wielu wybitnych muzyków to synesteci. A inne rzeczy też widzisz jako kolory?

Wydaje się zaskoczona.

— Litery? Liczby?

— Nie. Tylko muzykę.

— Wow. To naprawdę coś. — Uśmiecham się do niej. — Mówiłem wtedy poważnie. Możesz korzystać z mojego fortepianu, kiedy tylko chcesz. Uwielbiam słuchać, jak grasz.

Uśmiecha się do mnie w tak cudowny sposób, że odczuwam to aż w kroczu.

— Okej — szepcze. — Lubię grać na pana fortepianie.

— A ja lubię słuchać. — Odwzajemniam uśmiech i zapadamy w przyjemne milczenie.

CZTERDZIEŚCI MINUT PÓŹNIEJ SKRĘCAM W ŚLEPY ZAUŁEK W BRENTFORD i zatrzymujemy się pod skromnym bliźniakiem. Zapadła już noc, ale w salonie ktoś odsuwa zasłonę i w świetle ulicznej latarni wyraźnie widać twarz młodego człowieka.

Jej facet?

Cholera. Muszę wiedzieć.

— To twój chłopak? — pytam, a serce zaczyna mi łomotać tak, że aż huczy mi w uszach, gdy czekam na jej odpowiedź.

Śmieje się łagodnym, dźwięcznym śmiechem, który sprawia, że się uśmiecham. Po raz pierwszy słyszę, jak się śmieje, i chcę to usłyszeć znowu... i znowu.

— Nie. To Michał, syn Magdy. Ma czternaście lat.

— Och. Wysoki jest!

— Tak. — Jej twarz się rozpromienia, a ja natychmiast czuję ukłucie zazdrości. Najwyraźniej go lubi. — To dom Magdy.

— Rozumiem. To twoja przyjaciółka?

— Tak. Jest przyjaciółką mojej matki. Piszą do siebie listy. Jak wy to nazywacie? *Pen friends*.

— Nie wiedziałem, że ktoś to jeszcze robi. A odwiedzają się?

— Nie. — Alessia zaciska usta i zaczyna wpatrywać się w swoje paznokcie. — Dziękuję, że odwiózł mnie pan do domu — szepcze, żeby zakończyć rozmowę.

— Cała przyjemność po mojej stronie, Alessio. Przepraszam za dziś rano. Nie miałem zamiaru tak się na ciebie rzucić.

— Rzucić?

— Hm... Skoczyć. Jak kot.

Znowu się śmieje, jej twarz promienieje pięknem.

Mógłbym przyzwyczać się do tego dźwięku.

— Coś się panu śniło — stwierdza.

Ty mi się śniłaś.

— Wejdzie pan na filiżankę herbaty?

Teraz moja kolej, żeby się roześmiać.

— Nie. Oszczędzę wam tego. I wolę kawę.

Marszczy brwi.

— Kawę też mamy — odpowiada.

— Wolę wracać. Trochę mi to zajmie przy takim stanie dróg.

— Jeszcze raz dziękuję za podwiezienie.

— Do zobaczenia w piątek.

— Tak. Piątek. — Uśmiecha się do mnie promiennie, a jej śliczna twarz jaśnieje. Całkiem tracę głowę.

Wysiada z samochodu i rusza do frontowych drzwi. Otwierają się ze skrzypieniem i na zasypaną śniegiem ścieżkę pada smuga łagodnego światła. W progu staje wysoki młody chłopak. Michał. Patrzy gniewnie w moją stronę, gdy włączam silnik.

Śmieję się.

To nie jej chłopak. Zawracam land roverem, pogłaśniam muzykę i z idiotycznym uśmiechem na twarzy jadę z powrotem do Londynu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

— KTO TO? — PYTA MICHAŁ CHŁODNYM, SPIĘTYM GŁOSEM, patrząc na auto przed domem.

Ma tylko czternaście lat, ale jest o wiele wyższy od Alessii. Ma niesforne czarne włosy i chude, nieporadne kończyny.

— Mój szef — odpowiada, zerkając przez frontowe drzwi na odjeżdżający samochód. Zamyka je za sobą i nie potrafiąc ukryć dobrego nastroju, szybko i spontanicznie ściska Michała.

— Okej. — Michał wyrywa się z jej objęć zarumieniony, a w jego brązowych oczach lśni jednocześnie zażenowanie i zadowolenie.

Alessia rozpromienia się, a jego nieśmiały uśmiech w odpowiedzi tylko potwierdza nastoletnie zauroczenie. Dziewczyna cofa się nieco, żeby czegoś niepotrzebnie nie zasugerować. Nie chciałyby zranić jego uczuć. Przecież on i jego matka są dla niej tacy dobrzy.

— Gdzie Magda? — pyta.

— W kuchni. — Mina mu rzednie, a głos cichnie. — Coś jest nie tak. Ciągłe pali.

— O nie... — Puls Alessii przyspiesza, bo ma złe przeczucia. Zdejmuje kurtkę, odwiesza ją na jeden z wieszaków w małym przedpokoju i przechodzi do kuchni. Magda trzyma w ręku papierosa i siedzi przy malutkim stoliku z laminatu. Dym spowija ją niczym opary mgły.

Kuchnia jest mała, ale przyjemna i jak zawsze czysta, a w tle słychać jakieś polskie radio. Magda podnosi wzrok i wyraźnie cieszy się na jej widok.

— Udało ci się dotrzeć do domu w tę śnieżycę! Martwiłam się. Miałaś udany dzień? — pyta Magda, lecz Alessia zauważa u niej wymuszony

uśmiech i napięte usta, gdy zaciąga się papierosowym dymem.

— Tak. Wszystko w porządku? A jak twój narzeczony?

Magda jest kilka lat młodsza od matki Alessii, choć zwykle wygląda, jakby różniła je co najmniej dekada. Jasnowłosa i krągła, ma orzechowe oczy, które lśnią od jej zwariowanego poczucia humoru. Uratowała Alessię. Ale dziś wygląda na zmęczoną, ma bladą skórę i zacięte usta. W kuchni cuchnie papierosami, czego Magda zazwyczaj nie znosi — choć sama pali.

Kobieta wydmuchuje dym.

— Tak. W porządku. To nie ma z nim nic wspólnego. Zamknij drzwi i usiądź — mówi.

Alessię przechodzi dreszcz. Może Magda poprosi ją, żeby się wyprowadziła. Zamyka drzwi do kuchni, przysuwa sobie plastikowe krzesło i siada.

— Byli tu dzisiaj jacyś ludzie z urzędu imigracyjnego i cię szukali.

Och, nie.

Alessia blednie i słyszy, jak krew huczy jej w uszach.

— Jak już wyszłaś do pracy — dodaje Magda.

— C—c—co... co im powiedziałaś? — Alessia jąka się, próbując zapanować nad drżeniem rąk.

— Ja z nimi nie rozmawiałam, tylko nasz sąsiad, pan Forrester. Zapukali do niego, bo nas nie było. Nie spodobali mu się i powiedział im, że nie ma pojęcia o twoim istnieniu. I że ja z Michałem jesteśmy w Polsce.

— Uwierzyli mu?

— Tak. Pan Forrester tak uważa. Poszli sobie.

— Jak mnie znaleźli?

— Nie wiem. — Magda się krzywi. — Kto wie, jak to wszystko działa?
— Znow zaciąga się papierosem. — Muszę napisać do twojej matki.

— Nie! — Alessia chwyta Magdę za rękę. — Proszę.

— Już raz do niej napisałam i powiadomiłam ją, że bezpiecznie do nas dotarłaś. A to było kłamstwo.

Alessia się rumieni. Magda nie zna całej historii jej podróży do Brentford.

— Proszę — mówi. — Nie chcę jej martwić.

— Alessio, jeśli cię złapią, zostaniesz deportowana do Albanii... —
Magda urywa.

— Wiem — szepcze Alessia i czuje, jak strużka potu spływa jej między łopatkami, a lęk ściska w gardle. — Nie mogę tam wrócić — szepcze.

— Wiesz, że ja i Michał wyjeżdżamy za dwa tygodnie. Musisz znaleźć sobie inne lokum.

— Wiem. Wiem. Coś znajdę. — Alessii przewraca się w żołądku ze strachu.

Każdej nocy leży w łóżku i rozważa wszystkie możliwości. Udało jej się dotąd oszczędzić trzysta funtów z pracy sprzątaczkii. Będzie ich potrzebować jako kaucji, żeby wynająć pokój. Michał jej pomoże i pożyczy laptop, żeby mogła coś znaleźć.

— Zajmę się kolacją — stwierdza Magda z westchnieniem i gasi papierosa. Dym unosi się z popielniczki i rozchodzi w gęstej atmosferze kuchni.

— To ja pomogę — odpowiada Alessia.

ALESSIA LEŻY SKULONA NA ŁÓŻKU POLOWYM i wpatruje się w sufit. Jej palce bawią się złotym krzyżykiem, który nosi na szyi. Światło ulicznej lampy wpada przez cienkie zasłony i oświetla starą, odłóżającą tapetę. Myśli wirują Alessii w głowie, ale stara się nie panikować. Wcześniej, po godzinie poszukiwań w internecie, znalazła pokój w domu w pobliżu stacji Kew Bridge. Magda powiedziała, że to niedaleko stąd. Alessia umówiła się, żeby go obejrzeć, na piątek wieczorem, kiedy wróci ze sprzątaniami u pana. Właściwie ledwo ją stać na to lokum, ale musi się przeprowadzić, zwłaszcza jeśli depcze jej po piętach urząd imigracyjny. Nie może zostać deportowana. Nie może wrócić do Albanii.

Nie może.

Odwraca się, żeby nie patrzeć w światło, i otula cienką kołdrą, by utrzymać jak najwięcej ciepła. Myśli nadal krążą w jej głowie, przytłaczając coraz bardziej. Chciałaby je powstrzymać.

Nie myśl o Albanii.

Nie myśl o tej podróży.

Nie myśl o innych dziewczynach... O Blerianie.

Zamyka oczy i natychmiast widzi pana, jak śpi na kanapie, z rozczochranymi włosami i rozchylonymi ustami. Pamięta, jak na nim leżała. Pamięta jego szybki pocałunek. Wyobraża sobie, że znowu jest na nim, wdycha jego zapach i całuje skórę, czując równe bicie jego serca przy swojej piersi.

Tęskniłem za tobą.

Wydaje z siebie jęk.

Myśli o nim każdej nocy. Jest przystojny. Więcej niż przystojny — jest piękny i dobry.

Uwielbiam słuchać jak grasz.

Odwiózł ją do domu. Nie musiał tego robić.

Mogłabyś zostać tutaj.

Zostać u niego?

Może mogłaby poprosić go o pomoc.

Nie. Jej sytuacja to jej problem. Nie przyczyniła się do niej, ale musi sobie z nią poradzić. Dawała sobie dotąd radę, mając do dyspozycji tylko własną pomysłowość. I nie ma mowy, żeby wróciła do Kukës. Nie do niego.

Mocno mną potrzebą. Przestań. Przestań natychmiast.

Nie. Nie myśl o nim!

To przez niego jest w Anglii. Oddaliła się na tyle, na ile mogła.

Myśl o panu. Tylko o panu.

Przesuwa dłoń w dół swojego ciała.

Myśl tylko o nim...

Jak ją nazwał? Jak to się nazywa?

Synestezja... Powtarza to słowo raz za razem, a jej dłoń porusza się coraz gwałtowniej i zabiera ją coraz dalej i dalej.

NASTĘPNEGO RANKA BUDZI SIĘ W CUDOWNEJ BIAŁEJ KRAINIE. Jest tak cicho. Warstwa skrzącego śniegu wyciszyła nawet odległy szum samochodów. Gdy wygląda z okna swojego pokoju, nadal opatulona kołdrą, czuje tę samą radość, którą zawsze odczuwała jako dziecko, kiedy w Kukës padał śnieg. I wtedy przypomina sobie, że dzisiaj sprząta u pani Kingsbury. Dobrze, że to w Brentford, niedaleko na piechotę. Gorzej, że pani Kingsbury chodzi za nią po całym domu i krytykuje sposób, w jaki sprząta. Ale Alessia podejrzewa, że pani Kingsbury tak zrzędzi, bo jest

samotną starszą panią i choć ciągle narzeka, to zawsze na koniec pracy częstuje ją herbatą i ciasteczkami. Stara się jak najdłużej zatrzymać dziewczynę na rozmowę. Alessia nie rozumie, dlaczego pani Kingsbury mieszka zupełnie sama. Widziała na kominku zdjęcia jej rodziny. Dlaczego się nią nie zajmą? Przecież Nana zamieszkała z jej rodzicami po śmierci dziadka... Może pani Kingsbury powinna przyjąć lokatorkę? Kogoś, kto by się nią opiekował. Miejsca ma dosyć, a Alessia też jest przecież samotna.

Ubrana tylko w powycierane spodnie od piżamy Michała ze SpongeBobem Kanciastoportym i jego starą koszulkę Arsenalu szykuje sobie strój na dziś i schodzi po schodach, żeby przez kuchnię wejść do łazienki.

Magda chętnie oddaje jej stare rzeczy Michała. Często narzeka, że syn za szybko rośnie. Alessia bardzo na tym skorzystała. Większość ubrań, które ma, kiedyś należała do niego. Poza skarpetkami — Michał robi w nich ogromne dziury. Alessia ma dwie pary swoich i to wszystko.

Nie nosisz skarpetek?

Alessia się czerwieni, gdy przypomina sobie pytanie pana. Nie była w stanie się przemóc, by powiedzieć mu, że nie stać jej na nowe skarpetki. Musi oszczędzać na wynajęcie pokoju.

Włącza bojler, który jest zamontowany nad wanną, i czeka, aż woda się nagrzeje. Rozbiera się, wchodzi do wanny i myje jak najszybciej pod wąską stróżką wody.

OPIERAM SIĘ O ŚCIANĘ PRYSZNICA. Dyszę, gdy spływa po mnie kaskada parującej wody. Po chwili spuszczam się w jej strugach... Znowu.

Cholera. Co się stało z moim życiem?

Dlaczego nie wyjdę na miasto i nie zaliczę jakiejś laski?

Jej oczy barwy ciemnego espresso zerkają na mnie spod długich rzęs.

Wydaję z siebie zduszony jęk.

To się musi skończyć.

Jest moją sprzątaczką, do cholery. Zeszłej nocy znowu rzucałem się i wierciłem w pustym łóżku. Jej śmiech raz po raz rozlegał się w moich snach. Była beztroska i szczęśliwa, grała dla mnie na fortepianie, nie mając na sobie nic oprócz tamtych różowych majtek, a jej długie i gęste włosy opadały na nagie piersi.

Ach...

Nawet wyczerpujący trening dziś rano nie pozwolił mi o niej zapomnieć.

Jest tylko jeden sposób.

Nigdy do tego nie dojdzie.

Ale ten uśmiech, którym mnie obdarzyła, gdy wysiadała z samochodu, daje mi nadzieję. No i zobaczę ją już jutro. Z tą przyjemną myślą zakręcam wodę i biorę ręcznik. Gdy się golę, sprawdzam telefon. Oliver do mnie napisał. Utknął w Kornwalii z powodu niepogody, a to znaczy, że mogę spędzić poranek na odpowiadaniu na maile z kondolencjami, a potem zjeść lunch z Caroline i Maryanne. A wieczorem wychodzę z chłopakami.

— NARESZCIE WYPEŁZŁEŚ ZE SWOJEJ NORY. Czy mam się teraz do ciebie zwracać „lordzie Trevethick”, czy wystarczy „milordzie”, brachu? — mówi Joe, wznosząc kufel z piwem Fullers.

— Właśnie. Nie wiem teraz, czy mówić do ciebie Trevethick, czy Trevelyan? — mamrocze Tom.

— Zareaguję na oba — odpowiadam ze wzruszeniem ramion. — I na

swoje imię też. Maxim, o ile jeszcze je pamiętacie.

— Od teraz powinienem mówić do ciebie Trevethick... Chociaż trudno będzie się do tego przyzwyczaić. Ale to teraz twój tytuł, a mój ojciec jest na tym punkcie strasznie wrażliwy!

— Dzięki Bogu nie jestem twoim ojcem. — Unoszę brew. Tom przewraca oczami.

— Bez Kita to już nie będzie to samo mruczy Joe, nagle poważniejąc, a jego czarne jak heban oczy lśnią w blasku płomieni.

— Tak, spoczywaj w pokoju, Kit — dodaje Tom.

Joseph Diallo i Thomas Alexander to moi najdawniejsi i najbliżsi kumple. Gdy wyrzucili mnie z Eton, ojciec wysłał mnie do Bedales i to tam poznałem Joego, Toma i Caroline. Z chłopakami zbliżyła nas muzyka oraz wspólna słabość do Caroline. Stworzyliśmy bandę, a Caro... Cóż, ona ostatecznie wybrała mojego brata.

— Spoczywaj w pokoju, Kit — mamroczę i dodaję szeptem: — Tęsknię za tobą, pieprzony draniu.

We trzech siedzimy w małej salce w Coopers Arms, przytulnym pubie niedaleko mojego mieszkania. To już nasza trzecia kolejka piwa przy płonącym kominku i zaczynam odczuwać lekki rausz.

— Jak się trzymasz, stary? — pyta Joe, przerzucając sięgające ramiona dredy na bok.

Joe, poza tym że jest fantastycznym szermierzem, robi też całkiem niezłą karierę jako projektant mody męskiej. Jego ojciec, imigrant z Senegalu, jest jednym z najlepszych menedżerów funduszy hedgingowych w Wielkiej Brytanii.

— Chyba okej. Ale nie wiem, czy jestem gotów wziąć na siebie taką odpowiedzialność.

— Rozumiem cię — mówi Tom.

Rudowłosa, o bursztynowych oczach, jest trzecim synem baroneta. Zgodnie z rodzinną tradycją wstąpił do wojska. Jako porucznik Coldstream Guards odbył kilka misji w Afganistanie, podczas których zbyt często oglądał śmierć towarzyszy. Dwa lata temu został zwolniony z armii z powodu ran odniesionych wcześniej w wybuchu miny pułapki w Kabulu. Lewą nogę ma teraz z tytanu, za to psychikę mocno osłabioną. Ja i Joe rozpoznajemy ten wojowniczy błysk w jego oczach i wiemy, kiedy lepiej zmienić temat albo wyprowadzić Toma na świeże powietrze. Na jego prośbę nigdy nie wspominamy o tamtym „incydencie”.

— Kiedy uroczystość żałobna? — pyta Tom.

— Rozmawiałem o tym na lunchu z Caroline i Maryanne. Myśleliśmy o Wielkanocy.

— Jak się ma Caroline?

Wiercę się nieco.

— Przeżywa żałobę. — Wzruszam ramionami, wytrzymując jego spojrzenie.

Tom przygląda mi się, mrużąc oczy. Jest wyraźnie zaintrygowany.

— Chyba coś przed nami ukrywasz?

Cholera.

Po „incydencie” Tom nie tylko jest bardzo wojowniczy, ale zrobił się też irytująco przenikliwy.

— No dalej, Trevelyan, nie kombinuj. O co chodzi?

— O nic. Nie ma o czym mówić. Co u Henrietty?

— U Henry? Ma się doskonale, dzięki, ale ciągle sugeruje, że mam się ogarnąć i poprosić ją w końcu o rękę — odpowiada Tom ze smętną miną.

Joe i ja uśmiechamy się szeroko.

— Masz przerąbane, brachu — stwierdza Joe i poklepuje Toma po plecach.

Z nas trzech tylko Tom pozostaje w stałym związku. Henrietta to prawdziwa święta. Opiekowała się nim, gdy dochodził do siebie, i wytrzymuje z całym tym jego głównem, stresem pourazowym i skrajnymi humorami. Mógł trafić o wiele gorzej.

Joe i ja wolimy skakać z kwiatka na kwiatek. Cóż, ja wołałem. Znów mimo woli przychodzi mi na myśl kruczowłosa Alessia Demachi.

Kiedy się ostatnio pieprzyłem? Marszczę brwi, bo nie pamiętam. Cholera.

— A Maryanne? — pyta Joe, wrywając mnie z zamyślenia.

— W porządku. Też przeżywa żalobę.

— Trzeba ją pocieszyć?

Tak jak ja pocieszyłem Caroline?

— Stary! — warczę ostrzegawczo.

Obowiązują pewne zasady. Siostry są nietykalne. Kręcę głową. Joseph wciąż ma słabość do mojej siostry. Mogłaby trafić na gorszego, to dobry facet, ale wolę od razu przekłuć balonik.

— Poznała kogoś na nartach w Whistler. Facet mieszka w Seattle. Psycholog kliniczny czy ktoś taki. Chyba ma się z nim wkrótce spotkać.

Joe przygląda mi się zdziwiony.

— Naprawdę? — Pociera swoją kozią bródkę, zamyślony. — Cóż, jak się tu pojawi, to będziemy musieli sprawdzić, czy się dla niej nadaje.

— Ma tu być w przyszłym miesiącu. Maryanne bardzo się cieszy.

— Wiesz, skoro zostałeś hrabią, to chyba teraz ty powinieneś zadbać o dziedzica i najlepiej też o rezerwowe potomstwo — stwierdza Tom.

— Tak, tak Ale mam jeszcze czas.

Tym właśnie zawsze byłem. Kit nawet przeżywał mnie Rezerwowym.

I okazało się, że tytuł i majątek rzeczywiście potrzebowały rezerwowego dziedzica.

—Taaa... Nigdy nie będziesz gotowy, żeby się ustatkować, chłopie. Jesteś takim samym etatowym jebaką jak ja. Potrzebny mi skrzydłowy — mówi Joe z szerokim uśmiechem.

—Daj spokój, Trevelyan, przeleciałeś prawie cały Londyn — kpi Tom, a ja nie wiem, czy stwierdza to z podziwem, czy z odrazą.

— Odpierdol się, Tom — mówię i wszyscy się śmiejemy. Właścicielka uderza w dzwonek wiszący nad barem.

— Zamykamy, panowie — woła.

— Może skoczmy do mnie? — pytam. Tom i Joe zgadzają się i we trzech dopijamy piwo. — Dasz radę iść? —pytam Toma.

— Odwal się. Jakoś tu przylazłem, nie?

— Wezmę to za potwierdzenie.

— Biegnę w kwietniu na pięć kilometrów, palancie. Unoszę dłonie w geście poddania. Ciągle zapominam, że fizycznie odzyskał całkowitą sprawność...

JEST POGODNIE I SŁONECZNIE, ALE PANUJE PRZENIKLIWY ZIĄB. Gdy Alessia idzie szybko wzdłuż Chelsea Embankment, z jej ust wydobywa się para. Na chodnikach nadal leżą spore łąty śniegu zbitego w zmrożone grudy, ale drogi zostały posypane piaskiem. Ruch wrócił już do normy, a życie w

Londynie toczy się swoim rytmem. Pociąg Alessii miał opóźnienie, więc dotrze do pracy chwilę po czasie. Ale byłaby gotowa przyjść z Brentford na piechotę, byle tylko zobaczyć jego.

Uśmiecha się. Dotarła do drzwi wejściowych apartamentu pana, swojego ulubionego miejsca na Ziemi. Wsuwa klucz do zamka i przygotowuje się na dźwięk alarmu, wita ją jednak cisza. Z ulgą zamyka drzwi i wyczuwa jakiś dziwny zapach. W mieszkaniu unosi się odór strawionego alkoholu.

Krzywiąc nos na tę niespodziankę, zdejmuje buty i bosy przechodzi do kuchni. Błaty zawałone są pustymi butelkami po piwie i zatłuszczonymi pudełkami po pizzy.

Alessia aż podskakuje, gdy spostrzega dobrze zbudowanego i atrakcyjnego młodego mężczyznę, który stoi przy otwartej lodówce i pije sok pomarańczowy prosto z kartonu. Ma ciemną skórę i długie, splątane włosy, a ubrany jest tylko w bokserki. Alessia wpatruje się w niego. Mężczyzna odwraca się i w szerokim uśmiechu ukazuje idealnie białe zęby.

— No cześć — mówi, a w jego oczach widać uznanie. Alessia rumieni się i odpowiada cicho:

— Cześć. — A potem ucieka do pralni.

Kim jest ten mężczyzna?

Ściąga kurtkę i wyjmuje z plastikowej reklamówki swój strój do sprzątanania. Na koniec wsuwa stopy w tenisówki.

Zerka zza drzwi pralni do kuchni. Pan stoi obok lodówki w czarnym T —shircie i porwanych dzinsach. Pije sok z tego samego kartonu.

— Właśnie wystraszyłem twoją bosonogą sprzątaczkę. Przeleciałeś ją już? Niezła jest.

— Odwal się, Joe. I wcale się nie dziwię, że ją wystraszyłeś. Nałóż coś

na siebie, pieprzony ekshibicjonisto.

— Przepraszam jaśnie pana. — Nieznajomy kłania się, udając, że unosi niewidzialny kapelusz.

— Odwał się — powtarza już łagodniej pan i pociąga kolejny łyk soku.
— Możesz skorzystać z łazienki.

Ciemnoskóry mężczyzna chichocze, a gdy się odwraca, zauważa obserwującą ich Alessię. Uśmiecha się do niej i macha, sprawiając, że pan też zerka w jej kierunku. Jego oczy rozjaśniają się, a na usta powoli wstępuje uśmiech. Alessia nie ma wyjścia i musi się pokazać.

— Joe, to jest Alessia. Alessio, to Joe. — W jego głosie pobrzmiwa ostrzeżenie, ale Alessia nie wie, czy jest skierowane do niej, czy do Joego.

— Dzień dobry, Alessio. Proszę wybaczyć mój negliż. — Joe kłania się przed nią teatralnie, a gdy się prostuje, w jego oczach lśnią przekora i rozbawienie. Ma szczupłe, muskularne ciało — tak jak pan. Wyraźnie widać każdy mięsień brzucha.

— Dzień dobry — szepcze Alessia.

Pan rzuca Joemu pochmurne spojrzenie, ale ten ignoruje go i mruga do Alessii, gdy wychodzi z kuchni, pogwizdując.

— Przepraszam — mówi pan, zwracając ku niej swe szmaragdowe oczy. — Jak się dziś miewasz? — Znów się uśmiecha.

Alessia rumieni się jeszcze mocniej, czując radość w sercu. Gdy tylko pyta o jej samopoczucie, choćby z grzeczności, od razu poprawia jej się humor.

— W porządku. Dziękuję.

— Cieszę się, że dotarłaś. Pociągi jeżdżą normalnie?

— Trochę się spóźniają.

— Dzień dobry. — Do kuchni wchodzi utykający mężczyzna o intensywnie rudych włosach i ze skrzywioną miną. Też ma na sobie tylko bokserki.

— Dobry Boże — mamrocze pod nosem pan i przeczesuje dłonią zmierzwiłone włosy.

Alessia przygląda się mężczyźnie, który do nich dołączył. Wysoki i przystojny, ma zgrabne kończyny i szokująco wyraźne blizny, które przecinają jego lewą nogę i lewy bok niczym skrzyżowanie torowisk.

Zauważa, że Alessia się w nie wpatruje.

— To z wojny — warczy.

— Przepraszam — szepcze Alessia i wbija wzrok w podłogę, żałując, że nie rozewrze się pod nią i jej nie pochłonie.

— Tom, napij się kawy? — pyta pan, a Alessii wydaje się, że próbuje w ten sposób złagodzić napiętą atmosferę.

— Pewnie. Potrzeba mi czegoś na tego piekielnego kaca.

Alessia wraca do pralni, by zabrać się za prasowanie. Przynajmniej nie będzie jej widać i nie obrazi już żadnego z przyjaciół pana.

WIDZĘ, JAK ALESSIA POSPIESZNIE WYCOFUJE SIĘ DO PRALNI, a długi warkocz kołysze się na boki, muskając jej talię.

— Kim jest ta ślicznotka?

— To moja dochodząca.

Tom kiwa głową z lubieżną miną. Cieszę się, że wróciła do swojej kryjówki, z dala od ciekawskich spojrzeń moich kumpli. Ich reakcja mnie denerwuje. Nagle i ku własnemu zaskoczeniu zrobiłem się zazdrosny. To nieznane mi uczucie. Nie chcę, żeby moi przyjaciele pożerali ją wzrokiem.

Jest moja. To znaczy, jest moim pracownikiem.

Jesteś teraz hrabią Trevethick. Trzeba ją zatrudnić legalnie.

Cholera.

Jest prawie moim pracownikiem. Muszę jak najszybciej uregulować jej status. Nie chcę, żeby Oliver albo urząd skarbowy wisieli mi nad głową.

— Co się stało z Krystyną? Lubiłem staruszkę — mówi Tom, pocierając dłońmi twarz.

— Wróciła do Polski. Możesz się w coś ubrać? Mamy tu damę, do cholery — warczę.

— Damę?

Tom blednie, gdy rzucam mu ostre spojrzenie i chociaż ten jeden raz ustępuje.

— Przepraszam, stary. Już idę się ubrać. Z mlekiem i bez cukru poproszę. — Wychodzi z kuchni i wraca do pokoju gościnnego. Łajam się za to, że zaprosiłem kumpli na noc, gdy Alessia u mnie pracuje. Nie powtórzę już tego błędu.

ALESSII PRZEZ WIĘKSZOŚĆ PORANKA UDAWAŁO SIĘ UNIKAĆ WSZYSTKICH PANÓW i cieszy się, gdy wreszcie wychodzą. Rozważała nawet ukrycie się w zakazanym pokoju, ale Krystyna była w tej kwestii bardzo zasadnicza. Nie wolno tam wchodzić pod żadnym pozorem.

Zebrała koce z kanapy w salonie i pościeliła łóżko w pokoju gościnnym. W jego sypialni panuje teraz porządek. Była zaskoczona i zadowolona, że w koszu nadal nie ma zużytych prezerwatyw. Może pozbywa się ich w inny sposób. Alessia stara się tego jednak nie roztrząsać — to by ją tylko przygnębiło. Wchodzi do jego garderoby, by odłożyć uprasowane rzeczy i zabrać brudne ubrania. Minęło zaledwie parę dni, a tu znowu jest bałagan.

Pan siedzi przy komputerze i chyba nad czymś pracuje. Alessia nadal nie ma pojęcia, jak on zarabia na życie. Przypomina jej się jego uśmiech, gdy zobaczył ją dziś rano. Ten rozpromieniony wyraz twarzy jest zaraźliwy. Szczercząc się jak wariatka, przegląda stos ubrań na podłodze garderoby. Przykłęka, bierze jedną z koszul, a potem szybko ogląda się na półprzymknięte drzwi. Upewniwszy się, że jest sama, przykładą koszulę do twarzy, zamyka oczy i wdycha jego zapach.

Jak dobrze.

—Tu jesteś — słyszy jego głos.

Alessia wstaje tak szybko, że aż się chwieje. Dwie silne dłonie łapią ją za ramiona i ratują przed upadkiem.

— Spokojnie — mówi pan i delikatnie ją podtrzymuje, gdy dziewczyna odzyskuje równowagę. Kiedy tylko jej się to udaje, z żalem odnotowuje, że pan ją puszcza, choć jej ciało cały czas czuje jego dotyk. — Szukam swetra. Jest pogodnie, ale chłodno. A tobie jest ciepło? — pyta.

Kiwa głową energicznie, próbując uspokoić oddech. W tym momencie, w tej ciasnej przestrzeni razem z nim, jest jej nawet za gorąco.

Pan przegląda stos ubrań na podłodze i marszczy brwi.

— Ale bałagan, wiem — mruczy z wyrazem skrępowania na twarzy.
— Jestem patologicznym bałaganiarzem.

— Pa—to—lo...

— Patologicznym.

— Nie znam tego słowa.

— Och.. Hm... Ono opisuje ekstremalne zachowania.

— Rozumiem — odpowiada Alessia, patrzy na ubrania i kiwa głową.
— Tak. Patologicznym. — Krzywi się lekko, a on się śmieje.

— Poukładam je — mówi pan.

— Nie. Nie. Ja to zrobię. — Alessia go odpędza.

— Nie powinnaś.

— To moja praca.

Uśmiecha się i sięga obok niej po gruby kremowy sweter leżący na jednej z półek. Jego ręka muska jej ramię, a ona zamiera, gdy tętno gwałtownie jej przyspiesza.

— Przepraszam — mówi pan i wychodzi z garderoby jakiś posmutniały.

Gdy go nie ma, Alessia odzyskuje spokój.

Czy on nie widzi, jak na mnie działa?

I na dodatek przyłapał ją na wączaniu jego koszuli. Alessia kryje twarz w dłoniach. Pewnie pomyślał, że jest kompletną idiotką. Zażenowana i zła na samą siebie opada na kolana i zaczyna sortować ubrania na podłodze, składając te, które nie wymagają prania, i odkładając brudne do kosza na bieliznę.

RĘCE MI SIĘ DO NIEJ KLEJĄ. Każda wymówka jest dobra.

Zostaw ją w spokoju, chłopie.

Gdy jej dotykam, zamiera. Wracam do salonu przygnębiony. Nie podobam się jej.

Jej pierwszej?

Tak mi się wydaje. Nigdy dotąd nie miałem problemów z kobietami. Zawsze były przyjemną rozrywką. Z pełnym kontem w banku, mieszkaniem w dzielnicy Chelsea, ładną buzią i arystokratycznym

pochodzeniem nigdy nie miałem z tym żadnego kłopotu.

Dopiero teraz.

Powinienem zaprosić ją na kolację.

Przydałby się jej porządny posiłek

A jak odmówi?

To przynajmniej będę wiedział.

Przechodzę wzdłuż okien w salonie i zatrzymuję się, by popatrzeć przez chwilę na Pagodę Pokoju i zapanować nad nerwami.

Dlaczego to takie trudne? I dlaczego akurat ona?

Jest piękna. I utalentowana.

I niezainteresowana.

Może na tym to po prostu polega.

Pierwsza kobieta, która powiedziała mi „nie”. Nie powiedziała „nie”.
Może da mi szansę.

Zaproś. Ją. Gdzieś.

Robię głęboki wdech i wychodzę na korytarz. Stoi przed moją ciemnią, trzymając kosz na bieliznę, i wpatruje się w drzwi.

— To ciemnia — mówię, idąc w jej kierunku.

Jej śliczne brązowe oczy spoglądają na mnie. Jest ciekawa. A ja pamiętam, że jakiś czas temu prosiłem Krystynę, żeby tam nie sprzątała. Sam dawno tam nie wchodziłem.

— Pokażę ci. — Cieszę się, że nie wycofuje się tak jak zwykle. —
Chcesz zobaczyć?

Kiwa głową, a gdy chwytam kosz na bieliznę, muskam jej dłoń palcami. Serce chce mi się wyrwać z piersi.

— Ja to wezmę. — Mój głos jest ochrypły, gdy próbuję uspokoić tętno. Odstawiam kosz na podłogę za mną, otwieram drzwi, włączam światło i odsuwam się, żeby ją przepuścić.

ALESSIA WCHODZI DO NIEWIELKIEGO POKOJU. Podświetla go czerwone światło i pachnie w nim tajemniczymi chemikaliami. Dziewczyna czuje zaduch nieużywanego pomieszczenia. Przy jednej ze ścian stoi rząd ciemnych szafek; na blatach leżą duże plastikowe tace. Wyżej wiszą półki pełne buteleczek, stosów papieru i zdjęć. Pod nimi ciągnie się pusty sznurek na pranie z kilkoma klamerkami.

— To tylko ciemnia — mówi pan i włącza przytłumione górne światło, a czerwona poświata znika.

— Fotografia? — pyta Alessia.

Pan kiwa głową.

— Takie moje hobby. Myślałem kiedyś, że zajmę się tym profesjonalnie.

— Te zdjęcia w mieszkaniu... To pan je zrobił?

— Tak. Wszystkie. Miałem kilka zleceń, ale... — urywa. *Krajobrazy i akty.* — Mój ojciec był fotografem. — Odwraca się do tyłu do przeszklonej szafki. Otwiera ją i wyjmuje jeden z aparatów. Alessia zauważa napis z przodu: *Leica.*

PODNOŚĘ APARAT DO OCZU i patrzę na Alessię przez obiektyw. Widzę wielkie, ciemne oczy, długie rzęsy, wyraźnie zarysowane kości policzkowe i pełne, rozchylone usta. Aż rozpiera mnie w kroczu.

— Jesteś piękna — szepczę i naciskam migawkę.

Usta Alessii jeszcze mocniej się rozchylają, ale kręci głową i zasłania twarz dłońmi, choć nie daje rady skryć uśmiechu. Robię kolejne zdjęcie.

— To prawda — mówię. — Spójrz. — Podstawiam jej tył aparatu pod oczy, żeby mogła zobaczyć ujęcie. Wpatruje się w swoją uchwyconą cyfrowo twarz w dużym zbliżeniu, a potem podnosi wzrok na mnie — i przepadłem. Zatracam się w magii jej głębokiego, ciemnego spojrzenia. —Widzisz — mówię. — Jesteś zachwycająca. — Sięgam dłonią, leciutko unoszę jej podbródek i nachylam się ku niej. Zbliżam się bardzo powoli, żeby miała czas się cofnąć, a potem muskam jej wargi ustami. Gwałtownie wciąga powietrze, a gdy się odsuwam, przykłada palce do ust, a jej oczy robią się okrągłe.

—To właśnie czuję — szepczę z łomoczącym sercem.

Spoliczkuj mnie? Ucieknij?

Wpatruje się we mnie. Eteryczne zjawisko w przytłumionym świetle ostrożnie unosi dłoń i przesuwa czubkami palców po moich ustach. Zamieram i zamykam oczy; od jej delikatnego dotyku całe moje ciało przechodzi dreszcz.

Nie śmiem oddychać.

Nie chcę jej wystraszyć.

Czuję jej leciutki jak piórko dotyk na całym ciele.

Wszędzie.

Ożeż.

I zanim zdołam się powstrzymać, obejmuję ją i przyciągam do siebie. Przywiera do mojego ciała, a ja czuję jego ciepło.

O rany, jak dobrze poczuć jej ciało.

Wsuwam palce pod chustkę i delikatnie zsuwam ją z jej głowy. Chwytam warkocz u nasady i pociągam lekko, wysuwając jej usta ku mnie.

— Alessio — szepczę i znów ją całuję, delikatnie i powoli, tak żeby jej nie przestraszyć. Nieruchomieje w moich ramionach, a potem unosi dłonie, by położyć je na moich bicepsach, i zamyka oczy, poddając mi się.

Pogłębiam pocałunek, mój język drażni jej wargi, a ona rozchyła usta.

Cholera.

Smakuje ciepłem, wdziękiem i uwodzicielską słodyczą. Jej język waha się i ustępuje mojemu. To porywające. I bardzo podniecające.

Muszę się pohamować. Nie pragnę niczego innego, jak zatopić się w tej dziewczynie — ale nie sądzę, żeby mi na to pozwoliła. Wycofuję się.

— Jak mam na imię? — mruczę tuż przy jej ustach.

— *Mister* — szepcze, gdy przesuwam kciukiem po jej policzku.

— Maxim. Powiedz „Maxim”.

— Maxim — odszeptuje.

— Tak. — Uwielbiam brzmienie mojego imienia z jej akcentem.

Widzisz, nie było wcale tak trudno.

Nagle rozlega się głośnie pukanie do drzwi wejściowych.

Kto to, do diabła, jest? Jak się dostał do budynku?

Niechętnie się cofam.

— Nigdzie nie odchodź — nakazuję, unosząc ostrzegawczo palec.

— Proszę otworzyć drzwi, panie Trev...an! — dobiega z zewnątrz czyjś

głos. — Urząd imigracyjny!

— Och, nie — szepcze Alessia i przykładą dłoń do szyi z oczami szeroko otwartymi ze strachu.

— Nie bój się.

Znów rozlega się głośnie pukanie.

— Panie Trev...yan! — Głos przybiera na sile.

— Zajmę się tym — mówię wkurzony, że ktoś nam przeszkodził. Zostawiam Alessię w ciemni i idę korytarzem.

Przez wizjer w drzwiach przyglądam się dwóm mężczyznom na klatce. Jeden jest niski, drugi wysoki, a obaj mają na sobie tanie szare garnitury i czarne kurtki. Nie wyglądają szczególnie oficjalnie. Waham się i zastanawiam, czy otworzyć. Ale chyba lepiej się dowiedzieć, dlaczego tu przyszli i czy to ma coś wspólnego z Alessią.

Na wszelki wypadek zasuwam łańcuch w drzwiach i otwieram je.

Jeden z mężczyzn próbuje wpakować się do środka, ale ja napieram na drzwi, a łańcuch mocno je trzyma.

To ten niski. Jest krępy i łysieje, a agresja dosłownie kipi z każdego pora jego skóry i wąskich, krzywych oczek.

— Panie, gdzie ona jest? — szczeka.

Wzdrygam się.

Co to za męty?

Partner łysola wychyla się z tyłu: chudy, milczący i groźny. Aż włoski na karku stają mi dęba.

— Mogę zobaczyć jakieś identyfikatory? — Mój głos brzmi równie groźnie.

— Proszę otworzyć drzwi. Jesteśmy z urzędu imigracyjnego i sądzimy, że ma pan w mieszkaniu osobę, której odmówiono azylu. — Ten krępy znowu się odzywa, a z wściekłości aż rozszerzają mu się nozdrza. Ma wyraźnie wschodnioeuropejski akcent.

— Potrzebujecie nakazu, żeby przeszukać to mieszkanie. Macie go? — syczę z władczością, która jest efektem życia pełnego przywilejów i kilku lat spędzonych w jednej z najlepszych prywatnych szkół w Wielkiej Brytanii.

Wysoki waha się przez moment, a ja wyczuwam tchórza.

Kim, do cholery, są ci ludzie?

— Nakaz, macie go? — pryham.

Łysol patrzy niepewnie na swojego kompana.

— Gdzie jest dziewczyna? — odzywa się wysoki i chudy.

— Jestem sam. A kogo szukacie?

— Dziewczyny...

— No to jak każdy — ironizuję. — A teraz odpieprzcie się i wróćcie z nakazem albo wezwę policję. — Wyciągam telefon z tylnej kieszeni spodni i go im pokazuję. — Ale żeby było jasne: tu nie ma żadnych dziewczyn, a tym bardziej nielegalnych imigrantów. — Kłamstwo przychodzi mi z łatwością, to również umiejętność nabyta podczas nauki w renomowanej placówce. — Mam zadzwonić po policję?

W tym momencie pani Beckstrom, która zajmuje mieszkanie obok, otwiera drzwi. Na rękach trzyma swojego pieska Herkulesa.

— Dzień dobry, Maxim — woła.

Wielkie dzięki, pani Beckstrom.

— Doskonale, panie Trev... Trev. — Ten człowiek nie potrafi wymówić

mojego nazwiska.

Dla ciebie Lordzie Trewethick, gnoju!

— Wrócimy z nakazem. — Odwraca się na pięcie, kiwa głową na kolegę i ruszają ku schodom, mijając panią Beckstrom, która obserwuje ich, a potem posyła mi uśmiech.

— Dzień dobry, pani B. — mówię, macham do niej i zamykam drzwi.

Skąd, do diabła, te typki dowiedziały się, że Alessia tu jest? Dlaczego jej szukają? Co takiego zrobiła? Przecież nie ma czegoś takiego jak „urząd imigracyjny”. Jest Straż Graniczna i tak się nazywa od lat. Głęboko wciągam powietrze, żeby odpędzić niepokój, i wracam do ciemni, gdzie spodziewam się znaleźć drżącą w kącie Alessię.

Ale jej nie ma.

Nie ma jej też w kuchni.

Mój niepokój przeradza się w panikę, gdy biegam po mieszkaniu, wołając jej imię. Nie ma jej w sypialniach ani w salonie. Wreszcie wpadam do pralni. Drzwi przeciwpożarowe są otwarte, a kurtki ani butów nie ma.

Alessia uciekła.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ALESSIA Z ŁOMOCZĄCYM SERCEM ZBIEGA PO SCHODACH PRZECIWPOŻAROWYCH. Jej ciało wypełniają adrenalina i strach. Gdy dociera na dół, orientuje się, że jest w bocznej alejce. Tu powinna być bezpieczna. Brama wychodząca na ulicę z tyłu budynku jest zamknięta od środka. Na wszelki wypadek dziewczyna przykuca między dwoma kontenerami, do których mieszkańcy apartamentowca pana Maxima wyrzucają śmieci. Opiera się o ceglana ścianę i wciąga powietrze do płuc, próbując wyrównać oddech.

Jak oni mnie znaleźli? *Jak?*

Natychmiast rozpoznała głos Dantego; wszystkie zepchnięte w niepamięć wspomnienia wypłynęły z przerażającą siłą z powrotem na powierzchnię.

Ciemność.

Zapach.

Strach.

Zimno.

Zapach. Fúj. Tamten zapach.

Łzy wzbierają jej w oczach, więc mruga, próbując je powstrzymać. Doprowadziła ich do niego! Wie, jacy są bezwzględni i do czego mogą być zdolni. Wydaje z siebie głośny szloch i wpycha sobie pięść do ust, kuląc się na chłodnej ziemi.

Mogą mu zrobić krzywdę.

Nie.

Musi to sprawdzić. Nie może uciec, jeśli coś mu się stało.

Myśl, Alessio. Myśl.

Jedyną osobą, jaką tu zna, jest Magda.

Magda!

Nie. Czy oni znaleźli też Magdę i Michała?

Co im zrobili?

Magda.

Michał.

Pan... Maxim.

Jej oddech staje się krótki i urywany, panika ściska ją w gardle. Ma wrażenie, że zaraz zemdleje, ale nagle coś przewraca jej się w żołądku. Alessia czuje, jak żółć podchodzi jej do gardła, i zanim zdąży zareagować, zgina się w pół i zwraca śniadanie na ziemię. Wstrząsana wymiotami przykłada dłonie do ceglanej ściany i podpira się, aż całkowicie opróżni żołądek. Ten wysiłek sprawia, że jest wykończona, ale trochę spokojniejsza. Ociera usta wierzchem dłoni, wstaje, choć kręci jej się w głowie, i zerka w alejkę, żeby sprawdzić, czy ktoś jej nie usłyszał. Nadal jest sama.

Dzięki Bogu.

Myśl, Alessio. Myśl.

Najpierw powinna sprawdzić, czy z panem wszystko w porządku. Robi głęboki wdech, wychodzi z kryjówki między kontenerami i wraca na schody przeciwpożarowe. Porusza się ostrożnie, jakby włączył jej się instynkt przetrwania. Musi wiedzieć, czy droga jest wolna, ale tamci nie mogą jej przy tym zobaczyć. To sześciokondygnacyjny budynek, na piątym piętrze jest już zdyszana. Wchodzi po ostatnich stopniach i zerka zza metalowej balustrady do penthouse'u na samej górze. Drzwi do pralni są zamknięte, ale może zajrzeć do salonu. Nikogo tam nie dostrzega, aż nagle do pokoju wpada pan i chyba chwytą coś z biurka,

a potem natychmiast wychodzi.

Jej ciało osuwa się i opiera o balustradę. Nic mu nie jest.

Bogu dzięki.

Zaspokoiwszy ciekawość, na chwiejnych nogach schodzi z powrotem po schodach przeciwpożarowych, bo wie, że teraz musi sprawdzić, czy Magda i Michał są bezpieczni.

Gdy jest już na dole, zmienia tenisówki na botki i rusza do bramy na tyłach apartamentowca. Wychodzi na boczną alejkę, nie na Chelsea Embankment. Waha się. Może Dante i Ylli będą tam na nią czekać? Ale chyba raczej stanęliby od frontu? Z sercem bijącym jak szalone otwiera bramę i wygląda na ulicę. Widać tylko przejeżdżający ciemnozielony sportowy samochód gdzieś w oddali. Ani śladu Dantego i jego kompana. Wyciąga z torby wełnianą czapkę, nakłada ją, wsuwa włosy pod spód i rusza w kierunku przystanku autobusowego.

Idzie szybkim krokiem, starając się nie biec, bo wie, że mogłaby w ten sposób zwrócić na siebie uwagę. Głowę trzyma spuszczoną, a ręce chowa głęboko w kieszeniach. Cały czas modli się do Boga, w którego wierzyła babcia, żeby nic się nie stało Magdzie i Michałowi. Powtarza błagania raz po angielsku, raz w ojczystym języku.

Ruaji, Zot.

Ruaji, Zot.

Boże, miej ich w swojej opiece.

STOJĘ JAK SPARALIZOWANY W KORYTARZU chyba przez całą wieczność. Czuję przerażenie i słyszę szum krwi w uszach.

Gdzie ona, do cholery, jest?

I w co się wplątała?

Co mam robić?

Jak ona ma sobie poradzić sama z tymi facetami?

Pierdolę. Muszę ją znaleźć.

Dokąd poszła?

Do domu.

W Brentford.

Tak.

Biegnę korytarzem do salonu i zabieram z biurka kluczyki do auta, a potem pędzę do drzwi i zwalniam tylko po to, by chwycić kurtkę.

Muli mnie w żołądku.

Nie ma mowy, żeby ci goście byli z „urzędu imigracyjnego”.

Gdy docieram do garażu, naciskam przycisk kluczyków, sądząc, że discovery się otworzy, ale to jaguar miga światłami.

Cholera. W pośpiechu pomyliłem kluczyki.

Pierdolę.

Nie mam czasu wracać na górę. Wskakuję do jaguara i włączam zapłon. Silnik zaskakuje z pomrukiem, a ja wyjeżdżam z miejsca parkingowego. Drzwi garażu otwierają się powoli, kieruję się w lewo i pędzę do wylotu ulicy, żeby znowu skręcić w stronę Chelsea Embankment. Ale na tym koniec. Utykam w korku, bo to piątkowe popołudnie, początek godzin szczytu. Tłok na drodze tylko zwiększa mój niepokój i wcale nie pozwala mi odetchnąć. Przypominam sobie szczegółowo moją rozmowę z tamtymi typkami, próbując zrozumieć, co się przydarzyło Alessii. Mieli wschodnioeuropejski akcent. Wyglądali groźnie. Alessia zwiąta — więc albo ich zna, albo wierzy, że są z „urzędu imigracyjnego”, co by oznaczało, że jest w Wielkiej Brytanii

nielegalnie. To mnie nie zaskakuje. Zawsze gwałtownie urywała rozmowę, gdy pytałem, co robi w Londynie.

Och, Alessio. Co zamierzasz?

I gdzie, do diabła, jesteś?

Mam nadzieję, że wróciła do Brentford, bo tam właśnie jadę.

ALESSIA SIEDZI W POCIĄGU I NERWOWO ŚCISKA MAŁY ŻŁOTY KRZYŻYK, który nosi na szyi. Należał do jej babci i pozostał jedyną pamiątką po kochanej Nanie. Jest dla niej bardzo cenny. W trudnych chwilach przynosi jej pociechę. Choć matka i ojciec nie są religijni, jej babcia była bardzo wierząca... Alessia bawi się teraz krzyżykiem i powtarza swoją mantrę.

Miej ich w swojej opiece.

Miej ich w swojej opiece.

Strach niemal ją paraliżuje. Znaleźli ją. Jak? Skąd dowiedzieli się o Magdzie? Musi sprawdzić, czy jej i Michałowi nic się nie stało. Zwykle lubi jazdę pociągiem, ale dziś straszliwie jej się dłuży. Gdy pociąg dociera do Putney, Alessia wie, że będzie w Brentford dopiero za kolejne dwadzieścia minut.

Szybciej, błagam.

Wraca myślami do pana Maxima. Przynajmniej on jest na razie bezpieczny.

Jej serce nagle gubi rytm.

Maxim.

Pocałował mnie.

Dwa razy.

Dwa razy!

I powiedział takie miłe słowa. O niej.

Jesteś piękna.

Jesteś zachwycająca.

Pocałował ją!

To właśnie czuję.

Gdyby okoliczności były inne, trwałaby teraz w ekstazie. Dotyka palcami ust. To był taki słodko—gorzki moment. Jej marzenia w końcu się ziściły, ale tylko po to, by Dante obrócił je w pył — po raz kolejny.

Nie może związać się z panem. *Nie*. Z Maximem. On ma na imię Maxim.

Sprowadziła na jego dom koszmarne niebezpieczeństwo. Musi go chronić.

Zot! Jej praca!

Straci ją. Nikt nie chce kłopotów we własnym domu, nikt nie chce, by grozili mu kryminaliści tacy jak Dante.

I co ona teraz pocznie?

Musi być ostrożna, gdy dotrze do domu Magdy. Dante nie może jej tu znaleźć.

Nigdy.

Alessia musi chronić też siebie.

Strach chwytą ją za gardło i aż przechodzi ją dreszcz. Obejmuje się ramionami, próbując zapanować nad lękiem. Wszystkie jej nadzieje i marzenia zostały zniszczone. W rzadkiej chwili żalu nad samą sobą Alessia kołysze się w przód i w tył, próbując znaleźć jakąś pociechę i

złagodzić obawy.

Dlaczego ten pociąg jedzie tak długo?

Skład zatrzymuje się na stacji Barnes i otwierają się drzwi.

— Szybciej, błagam, szybciej — szepcze Alessia, a jej palce znów chwytają złoty krzyżyk

PĘDZĘ DROGĄ A4 I PRZESKAKUJĘ MYŚLAMI Z ALESSII DO TAMTYCH TYPÓW, a potem do Kita, śmigając między samochodami.

Kit? Co ty byś zrobił?

On by wiedział, co robić. Zawsze wiedział.

Pamiętam ostatnie Boże Narodzenie. Kit był w takiej dobrej formie. Dołączyliśmy z Maryanne do niego i Caroline na festiwalu jazzowym w Hawanie. Kilka dni później poleciliśmy na Saint Vincent i łodzią przepłynęliśmy na wyspę Bequia, by spędzić święta w wynajętej willi. Później Maryanne pojechała na narty do Whistler, żeby spędzić noc sylwestrową z przyjaciółmi, a Caroline, Kit i ja wróciliśmy do Wielkiej Brytanii, by tam obchodzić początek nowego roku.

To był wspaniały tydzień.

A drugiego stycznia Kit zginął.

Albo się zabił.

Tak. Pomyślałem o tym.

Moje nigdy niewypowiedziane podejrzenie.

Cholera, Kit. Ty draniu.

A4 przechodzi w M4, a ja dostrzegam wysokościowce, które dominują

w krajobrazie Brentford, i wiem, że jestem niedaleko. Zjeżdżam z trasy szybkiego ruchu i wpadam na śliską drogę z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Zwalniam, ale na szczęście na skrzyżowaniu mam zielone światło, więc mijam je, ciesząc się, że wcześniej w tym tygodniu odwiozłem Alessię do domu i wiem, gdzie mieszka.

Sześć minut później parkuję przed budynkiem, wyskakuję z auta i biegnę ścieżką. Na trawie nadal leżą grudy śniegu oraz smutne pozostałości po bałwanie. Dzwonek przy drzwiach odzywa się gdzieś w środku, ale nikt nie odpowiada. Nikogo nie ma.

Cholera.

Gdzie ona jest?

Ogarnia mnie lęk. *Gdzie ona może być?*

Oczywiście! Przyjedzie tutaj pociągiem.

Mignęła mi tablica z nazwą stacji, gdy skręcałem w Church Walk. Biegnę z powrotem na ulicę, a potem skręcam w prawo na główną drogę. Dworzec jest dwieście metrów stąd, po lewej stronie.

Dzięki Bogu, że to tak blisko.

Gdy docieram na stację i pędzę schodami, widzę pociąg stojący na drugim peronie, ale on jedzie do Londynu.

Zatrzymuję się i próbuję skoncentrować. Są tu tylko dwa perony, a na ten, na którym jestem, przyjeżdżają składy z Londynu. Muszę tylko poczekać. Elektroniczna tablica wyświetla informację, że następny przyjedzie o 15:07. Jest 15:03.

Opieram się o jedną z białych żeliwnych kolumn, które podtrzymują dach dworca, i czekam. Ze mną stoi jeszcze kilka osób. Większość, jak ja, chroni się przed niepogodą. Obserwuję, jak mroźny wiatr unosi puste opakowanie po chipsach wzdłuż peronu i na drugą stronę torów, ale nie

skupiam na nim uwagi dłużej. Co kilka sekund zerkam na pusty tor, modląc się, by pociąg z Londynu wreszcie się zmaterializował.

No już. Nadjedź — ponaglę go w myślach.

Wreszcie pociąg wyłania się zza zakrętu, powoli — och, jak cholernie powoli — wjeżdża na stację i staje. Prostuję się i aż ściska mnie w żołądku z niepokoju, gdy drzwi się otwierają i wypuszczają pasażerów.

Jest ich dwanaścioro.

Ale Alessii nie ma.

Do jasnej cholery!

Gdy pociąg odjeżdża z peronu, sprawdzam ponownie tablicę elektroniczną. Kolejny skład ma nadjechać za piętnaście minut.

To nie tak długo.

To cholernie długo!

Do diabła.

Cieszę się, że mimo pośpiechu chwyciłem kurtkę, wybiegając z mieszkania. Jest cholernie zimno. Składam dłonie i chucham w nie, przytupuję w miejscu, stawiam kołnierz kurtki, żeby utrzymać ciepło. Wsuwam ręce głęboko do kieszeni i chodzę po peronie tam i z powrotem.

Mój telefon brzęczy i z jakiegoś szalonego powodu myślę, że to może być Alessia, ale ona przecież nawet nie ma mojego numeru. To Caroline. Czegokolwiek by chciała, może poczekać. Ignoruję połączenie.

Po nieznośnie dłużącym się kwadransie pociąg z 15:22 ze stacji Londyn Waterloo wyłania się zza zakrętu. Zwalnia, zbliżając się do dworca, a po trwającej wieczność minucie staje.

Czas jakby zamarł.

Drzwi się otwierają i pierwsza z pociągu wysiada Alessia.

No wielkie dzięki!

Czuję taką ulgę, że niemal uginają się pode mną kolana, sam jej widok przynosi mi spokój.

GDY ALESSIA GO WIDZI, ZATRZYMUJE SIĘ CAŁKOWICIE ZASKOCZONA. Inni pasażerowie mijają ich, a ona i Maxim wpatrują się w siebie nawzajem, chłonąc swój widok. Drzwi pociągu zamykają się z sykiem tłoczonego powietrza i skład powoli wyjeżdża ze stacji, zostawiając ich na peronie zupełnie samych.

— Cześć — mówi Maxim, przerywając milczenie i podchodząc bliżej.
— Wyszłaś bez pożegnania.

Twarz Alessii smutnieje, a jej oczy napełniają się łzami, które ciekną po policzkach.

JEJ BÓL AŻ MNĄ WSTRZĄSA.

— Och, skarbie — szepczę i otwieram ramiona. Dziewczyna zakrywa twarz dłońmi i zaczyna płakać. Nie wiedząc, co robić, zamykam ją w uścisku i trzymam z całych sił. — Jestem tu. Już dobrze — szepczę do jej zielonej wełnianej czapki. Pociąga nosem, a ja unoszę jej podbródek i delikatnie całuję ją w czoło. — Naprawdę. Już dobrze.

Oczy Alessii rozszerzają się i nagle odsuwa się ode mnie.

— Magda? — szepcze bardzo zaniepokojona.

— Idziemy. — Biorę ją za rękę i razem spieszymy po metalowych schodach, a potem na ulicę. Ma zimną dłoń. Nie pragnę niczego innego, jak zabrać tę dziewczynę w jakieś bezpieczne miejsce, ale najpierw muszę się dowiedzieć, o co tu chodzi. W jakie kłopoty wpadła.

Mam nadzieję, że otworzy się przede mną i wszystko opowie.

Idziemy szybko, w milczeniu. Przechodzimy przez ulicę i kierujemy się z powrotem pod adres Church Walk 43. Przy drzwiach Alessia wyjmuje z kieszeni klucz, otwiera je i oboje wchodzimy do środka.

Przedpokój jest malutki i zagracony dwoma kartonami stojącymi w kącie. Alessia zdejmuje czapkę i kurtkę, a ja odbieram je od niej i wiem na jednym z haczyków.

— Magda! — woła w górę schodów, podczas gdy ja też się rozbieram. Nikt nie odpowiada. Dom jest pusty. Idę za Alessią do maleńkiej kuchni.

Jezu, niewiele większa od pudełka po butach!

Stojąc w progu czystej, ale przestarzałej kuchni w stylu lat osiemdziesiątych, patrzę, jak Alessia napełnia czajnik. Ma na sobie obcisłe dzinsy i ten sam zielony sweter, w którym była u mnie ostatnio.

— Kawy? — pyta.

— Poproszę.

— Z mlekiem i cukrem?

Kręcę głową.

— Nie, dziękuję. — Nienawidzę kawy rozpuszczalnej i jestem w stanie ją wypić tylko czarną, ale teraz nie pora, by mówić o tym Alessii.

— Usiądź — mówi i wskazuje malutki biały stolik. Robię, co każe, i obserwuję, jak robi kawę. Nie mam zamiaru jej popędzać.

Dla siebie robi herbatę — mocną, z mlekiem i cukrem — a potem podaje mi kubek z napisem „Brentford FC” i logo jakiejś drużyny. Siada naprzeciwko mnie i wpatruje się w zawartość swojego kubka z logo Arsenalu. Zapada między nami niezręczna cisza.

Wreszcie nie wytrzymuję.

— Zamierzasz powiedzieć mi, co się dzieje? Czy mam zgadywać?

Nie reaguje, tylko przygryza górną wargę. W normalnych okolicznościach doprowadziłoby mnie to do szaleństwa, widząc jednak, jak się martwi, natychmiast przytomnieję.

— Spójrz na mnie.

Wreszcie jej wielkie brązowe oczy spoglądają w górę.

— Opowiedz mi. Chcę pomóc.

Jej oczy się rozszerzają, chyba ze strachu, i Alessia potrząsa głową.

Wzdycham.

— Okej. To zabawmy się w dwadzieścia pytań.

Wygląda na zdziwioną.

— Na każde odpowiadasz „tak” albo „nie”.

Jeszcze bardziej marszczy brwi i chwyta złoty krzyżyk, który nosi na szyi.

— Czy odmówiono ci azylu?

Alessia wpatruje się we mnie, a potem ledwo kręci głową.

— Okej. Jesteś tu legalnie?

Blednie, a to oznacza, że mam swoją odpowiedź.

— W takim razie nielegalnie?

Po chwili ponownie kręci głową.

— Straciłaś mowę? — Mam nadzieję, że dostrzeże nutkę humoru w moim głosie.

Jej twarz się rozjaśnia. Alessia posyła mi leciutki uśmiech.

— Nie — odpowiada, a na jej policzki powraca kolor. — Tak lepiej.

Pije łyk herbaty.

— Porozmawiaj ze mną, proszę.

— Powiesz policji? — pyta.

— Nie. Oczywiście, że nie. Tego się obawiasz?

Kiwa głową.

— Alessio, nikomu nie powiem. Masz moje słowo.

Kładzie łokcie na stole, łączy dłonie i opiera na nich podbródek. Na jej twarzy odbija się mnóstwo różnych uczuć. Milczenie się przedłuża i kuchnię wypełnia cisza. Trzymam język za zębami i w duchu błagam ją, by się w końcu odezwała. Wreszcie podnosi na mnie swoje ciemne oczy. Jest w nich determinacja. Prostuje się i składa dłonie na udach.

— Mężczyzna, który przyszedł do twojego mieszkania, ma na imię Dante. — Jej głos to pełen bólu szept. — Przywiózł mnie i kilka innych dziewczyn z Albanii do Anglii. — Spuszcza wzrok na swój kubek.

Dreszcz przechodzi mi po plecach i czuję, jak coś przewraca mi się w żołądku. Wydaje mi się, że wiem, co zaraz powie.

— Myślałyśmy, że jedziemy tu do pracy. Do lepszego życia. Życie kobiet w Kukës bywa ciężkie. Mężczyźni, którzy nas tutaj przywieźli... Zostałyśmy oszukane... — Jej delikatny głos zamiera, a ja zamykam oczy, bo czuję, jak żółć podchodzi mi do gardła. Gorzej być nie mogło.

— Handlarze ludźmi? — szepczę i obserwuję jej reakcję.

Kiwa głową z mocno zaciśniętymi oczami.

— Do seksu. — Prawie nie słyszę jej głosu, ale i tak wyczuwam w

nim wstyd i strach.

Rozpala się we mnie wściekłość, jakiej nigdy dotąd nie czułem. Zaciskam pięści, próbując zapanować nad gniewem.

Alessia jest blada.

Teraz już wszystko rozumiem.

Jej powściągliwość.

Jej lęk.

Przede mną.

Przed mężczyznami.

Kurwa. No kurwa mać.

— Jak uciekłaś? — pytam, starając się panować nad głosem.

Zaskakuje nas brzęk kluczy w drzwiach. Zaniepokojona Alessia zrywa się z miejsca, a ja też szybko wstaję, przewracając krzesło.

— Zostań tutaj — mówię i wychodzę na korytarz.

Stoi tam jasnowłosa kobieta po czterdziestce, która na mój widok wstrzymuje oddech.

— Magda! — krzyczy Alessia i omijając mnie, biegnie, by ją przytulić.

— Alessio! — wykrzykuje tamta i odwzajemnia uścisk. — Jesteś w domu! Myślałam... Myślałam... Przepraszam, przepraszam — bełkocze Magda przerażonym głosem i zaczyna płakać. — Oni znowu tu byli. Ci faceci.

Alessia bierze Magdę za ramiona.

— Powiedz mi. Powiedz mi, co się stało.

— Kto to jest? — Magda podejrzliwie zwraca ku mnie swoją zalaną łzami twarz.

— To... pan Maxim. To w jego mieszkaniu sprzątam.

— Przyszli do jego mieszkania?

— Tak.

Magda przełyka ślinę i przykłada dłoń do ust.

— Tak mi przykro — szepcze.

— Może Magda napije się herbaty, a potem opowie nam, co się stało — proponuję łagodnym głosem.

SIEDZIMY WE TROJE PRZY STOLIKU, A MAGDA ZAPALA PAPIEROSA. Nie znam jego marki. Odmawiam, gdy proponuje mi jednego. Ostatni raz, gdy zapaliłem, wywołałem reakcję łańcuchową, która doprowadziła do wydalenia mnie ze szkoły. Miałem trzynaście lat i zrobiłem to z miejscową dziewczyną na terenie Eton.

— Nie wydaje mi się, żeby naprawdę byli z urzędu imigracyjnego. Mieli zdjęcie Michała i ciebie — mówi Magda do Alessii.

— Co? Skąd? — pytam.

— Z Facebooka.

— Nie! — wykrzykuje Alessia i z przerażenia przykłada dłoń do ust. Patrzy na mnie. — Michał zrobił sobie ze mną takie selfie.

— Takie selfie? — pytam.

— Tak. Na Facebooka — odpowiada Alessia, marszcząc brwi. Szybko ukrywam rozbawienie.

Magda kontynuuje:

— Powiedzieli, że wiedzą, gdzie Michał chodzi do szkoły. Znali każdy szczegół. Wszystkie dane są na jego profilu na Facebooku. — Zaciąga się papierosem, którego trzyma w drżącej dłoni.

— Grozili Michałowi? — Twarz Alessii przybiera barwę popiołu.

Magda kiwa głową.

— Nie miałam wyboru. Byłam przerażona. Przepraszam. — Ledwo słysząc jej szept. — Nie miałam jak się z tobą skontaktować. Podałam im adres, pod którym pracujesz.

Cóż, przynajmniej to się wyjaśniło.

— Czego oni od ciebie chcą, Alessio? — pyta Magda.

Dziewczyna rzuca mi krótkie, błagalne spojrzenie, a ja uświadamiam sobie, że Magda nie zna wszystkich szczegółów jej podróży do Anglii. Przeczesałam dłonią włosy.

Co robić? W co ja wdepnąłem...

— Zgłosiliście to na policję? — pytam.

Magda i Alessia odpowiadają jednocześnie:

— Żadnej policji. — Są stanowcze.

— Jesteście pewne? — Rozumiem reakcję Alessii, ale nie Magdy. Może ona też jest tutaj nielegalnie.

— Żadnej policji — powtarza Magda, uderzając dłonią w stół i patrząc to na mnie, to na Alessię.

— Okej — mówię, unosząc ręce, żeby ją uspokoić. Nigdy dotąd nie spotkałem ludzi, którzy nie ufają służbom.

To oczywiste, że Alessia nie może zostać w Brentford, podobnie jak Magda i jej syn. Te męty, które pojawiły się w moich drzwiach, aż kipią agresją. Długo już jej nie wstrzymają. — Mieszkacie tu tylko we troje? — pytam.

Obie przytakują.

— A gdzie jest teraz twój syn?

— U kolegi. Bezpieczny. Zadzwoiłam do niego przed powrotem do domu.

— Wydaje mi się, że Alessia nie powinna tutaj zostać i ty też nie. Ci ludzie są niebezpieczni.

Alessia kiwa głową.

— Bardzo niebezpieczni — szepcze.

Twarz Magdy bieleje.

— Ale... moja praca... I szkoła syna... Mamy tu być jeszcze tylko przez dwa tygodnie, zanim wyjedziemy...

— Magda, nie! — Alessia próbuje ją uciszyć.

— Do Kanady — dokańcza kobieta, nie zwracając uwagi na protesty.

— Do Kanady? — Patrzą na Alessię, a potem z powrotem na Magdę.

— Tak. Michał i ja emigrujemy. Wychodzę ponownie za mąż. Mój narzeczony mieszka i pracuje w Toronto. — Uśmiecha się przelotnie z czułością.

Gratuluje jej, a potem zwracam się do Alessii:

— A ty co zamierzasz zrobić?

Zbrywa mnie wzruszeniem ramion, jakby miała wszystko pod

kontrolą.

— Znajdę sobie inne lokum. *Zot!* Dziś wieczorem mam nawet obejrzeć jeden pokój. — Zerka na zegar w kuchni. — I to zaraz! — Wstaje spanikowana.

— To raczej nie jest dobry pomysł — sprzeciwiam się. — I szczerze mówiąc, to w tym momencie powinno być twoje najmniejsze zmartwienie. — Jest w tym kraju nielegalnie, jak zamierza znaleźć sobie kwatery?

Siada z powrotem.

— Ci ludzie mogą wrócić w każdej chwili. Mogą porwać cię z ulicy. — Aż przechodzi mnie dreszcz. Oni chcą ją mieć.

Pierdolone łajdaki.

Co mogę zrobić?

Myśl. Myśl.

Moglibyśmy wszyscy zadekować się w Trevelyan House przy Cheyne Walk, ale Caroline zaczęłyby zadawać pytania, a ja nie mam na to ochoty — zbyt to wszystko skomplikowane. Mógłbym zabrać Alessię do mojego mieszkania, ale oni już tam byli. To może gdzieś indziej? Do Maryanne? Nie. Może mógłbym zawieźć ją do Kornwalii. Nikt by nas tam nie znalazł.

I gdy rozważam różne opcje, uświadamiam sobie, że nie chcę tracić jej z oczu.

Nigdy.

Ta myśl mnie zaskakuje.

— Chcę, żebyś pojechała ze mną — mówię do Alessii.

— Co? — wykrzykuje. — Ale...

— Znajdę dla ciebie lokum. Nie martw się tym. — *Jezu, przecież mam dość nieruchomości do dyspozycji.* — Tutaj nie jesteś bezpieczna. Powinnaś pojechać ze mną.

— Och.

Zwracam się do jej koleżanki:

— Magdo, myślę, że masz trzy opcje, skoro nie chcesz skontaktować się z policją. Możemy zabrać cię na razie do jakiegoś pobliskiego hotelu albo mieszkania w mieście. Mogę też zorganizować ochronę dla ciebie i twojego syna. Wtedy możecie zostać tutaj.

— Nie stać mnie na hotel. — Magda wpatruje się we mnie, a jej głos cichnie.

— Nie martw się o pieniądze — odpowiadam.

Przeliczam wszystko w głowie. To niewiele. A przynajmniej Alessia będzie bezpieczna.

To jest warte każdej sumy.

I może Tom dałby mi zniżkę. To w końcu mój kumpel. Magda przygląda mi się uważnie czujnym wzrokiem.

— Dlaczego to robisz? — pyta zdumiona. Odchrząkam i sam się nad tym zastanawiam. Bo to właśnie należy zrobić?

Nie. Nie jestem aż takim altruistą.

Bo chcę być sam na sam z Alessią? *Tak. To jest prawdziwy powód. Ale biorąc pod uwagę to, co przeszła, raczej nie będzie chciała ze mną zostać. Prawda?*

Przeczesałem dłonią włosy, czując się niezręcznie z własnymi myślami. Nie chciałbym za bardzo wnikać we własne pobudki.

— Bo Alessia to bardzo dobry pracownik — odpowiadam.

Tak. To brzmi przekonująco.

Magda przygląda mi się podejrzliwie.

— Pojedziesz ze mną? — pytam Alessię, ignorując pełen wątpliwości wyraz twarzy Magdy. — Będziesz bezpieczna.

ALESSIA CZUJE SIĘ PRZYTŁOCZONA. JEGO SPOKOJNE SPOJRZENIE JEST TAKIE SZCZERE. Oferuje jej wyjście z tej sytuacji —on, mężczyzna, który ledwo ją zna, a mimo to przyjechał tu aż z Chelsea, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Czekał na nią na stacji. Przytulił, gdy płakała. Nie pamiętała, by robił to ktokolwiek poza jej matką i babcią. Oprócz Magdy nikt w Anglii nie traktował jej tak dobrze jak on. To bardzo hojna oferta. Zbyt hojna. A przecież Dante i Ylli to jej problem, nie jego. Nie chce wciągać go w to bagno. Woli chronić go przed nimi, ale jest w Anglii nielegalnie. Nie ma paszportu. Trzyma go Dante, tak jak resztę jej rzeczy. Utknęła w martwym punkcie.

A Magda niedługo wyjeżdża do Toronto.

Mister Maxim czeka na jej odpowiedź.

Czego będzie chciał w zamian za pomoc?

Alessia tak słabo go zna. Nie ma nawet pojęcia, z czego się utrzymuje. Wie tylko, że prowadzi życie zupełnie inne niż ona.

— Robię to tylko po to, żebyś była bezpieczna. Bez żadnych zobowiązań.

Zobowiązań?

— Niczego od ciebie nie chcę — wyjaśnia pan Maxim, jakby czytał jej w myślach.

Żadnych zobowiązań.

Lubi go. Nawet więcej niż lubi. Trochę się w nim zakochała — ale ma świadomość, że to tylko zauroczenie. A mimo wszystko *mister* jest jedyną osobą, której opowiedziała, jak znalazła się w Anglii.

— Alessio, odpowiedz mi, proszę — nalega.

Jego twarz wyraża niepokój, oczy ma szeroko otwarte, a spojrzenie bardzo szczere. Wręcz emanuje troską. Czy może mu zaufać?

Nie wszyscy mężczyźni są potworami, prawda? — Tak — szepcze, zanim zdąży zmienić zdanie.

— Doskonale — mówi, a w jego głosie słychać ulgę.

— Co? — burczy Magda, patrząc na Alessię z zaskoczeniem. — Dobrze go znasz?

— Będzie ze mną bezpieczna — mówi Maxim. — Zaopiekuję się nią.

— Chcę pojechać, Magdo — szepcze Alessia.

Jeśli to zrobi, Magda i Michał będą bezpieczni.

Polka zapala kolejnego papierosa.

— A co wy chcecie zrobić? — Pan Maxim zwraca się teraz do Magdy, która zdezorientowana patrzy to na niego, to na Alessię.

— Nie powiedziałaś mi, czego ci ludzie chcą, Alessio — mówi Magda.

Alessia nie zdradziła jej szczegółów swojej podróży do Anglii. Nie mogła. Magda jest najlepszą przyjaciółką jej matki. Gdyby mama dowiedziała się, co się przydarzyło jej córce, byłaby zdruzgotana.

Alessia kręci głową.

— Nie mogę. Proszę — błaga.

Magda się krzywi.

— Chodzi o matkę? — pyta, zaciągając się papierosem.

— Nie może się dowiedzieć.

— No nie wiem.

— Błagam — prosi Alessia.

Magda wzdycha z rezygnacją i zwraca się do Maxima:

— Nie chcę opuszczać domu — stwierdza.

— Okej. Załatwię wam ochronę. — Wstaje, wysoki, szczupły i niemożliwie przystojny, i wyciąga iPhone'a z kieszeni dżinsów. — Muszę wykonać parę telefonów. — Wychodzi, a one patrzą za nim, gdy zamyka za sobą drzwi kuchni.

GDY TOM ALEXANDER ZOSTAŁ ZWOLNIONY Z WOJSKA, założył w centrum Londynu firmę ochroniarską, która obsługuje drogich i znanych klientów. A teraz i mnie.

— W co ty się wpakowałeś, Trevelyan?

— Nie wiem, Tom. Jestem pewien tylko tego, że potrzebuję całodobowej ochrony dla pewnej kobiety i jej syna. Mieszkają w Brentford.

— Brentford? Już dziś?

— Tak.

— Masz cholerny fart, że mogę ci pomóc.

— Wiem, Tom. Wiem.

— Sam tam przyjadę. Wezmę mojego najlepszego człowieka. To Dene Hamilton. Chyba go poznałeś. Służył ze mną w Afganistanie.

— Tak. Pamiętam go.

— Do zobaczenia za godzinę.

ALESSIA STOI W PRZEDPOKOJU W KURTCE SYNA MAGDY I Z DWIEMA REKLAMÓWKAMI W RĘKACH.

— To wszystko? — Nie potrafię ukryć zdumienia.

Nie wierzę, że to cały jej dobytek.

Alessia blednie i spuszcza wzrok.

Ta dziewczyna nie ma nic.

— Okej — mówię. — Ja to wezmę. Chodźmy. — Podaje mi obie torby, nadal nie patrząc mi w oczy. Jestem zaskoczony, że są takie lekkie.

— Dokąd jedziecie? — pyta Magda.

— Mam pewne miejsce w Kornwalii. Pojedziemy tam na kilka dni i zastanowimy się, co dalej.

— Czy zobaczę się jeszcze z Alessią?

— Mam taką nadzieję.

Ale nie ma mowy, żeby tu wróciła, póki te bandziory kręcą się po okolicy.

Magda zwraca się do Alessii:

— Do widzenia, słoneczko — szepcze.

Alessia mocno ją przytula.

— Dziękuję — mówi, a łzy płyną jej po twarzy. — Dziękuję, że mnie

uratowałaś.

— Cii, kochana — mruczy Magda. — Zrobiłabym wszystko dla twojej matki. Wiesz przecież. — Puszczą Alessię i odsuwa ją od siebie na odległość ramienia. — Jesteś dzielna i silna. Twoja matka będzie z ciebie dumna. — Bierze twarz dziewczyny w dłoń i całuje w policzek.

— Pożegnaj ode mnie Michała. — Łagodny głos Alessii jest pełen napięcia i troski. A mnie aż ściska w sercu.

Czy robię to, co należy?

—Oboje będziemy za tobą tęsknić. Może przyjedziesz kiedyś do Kanady i poznasz mojego cudownego faceta?

Alessia kiwa głową, ale jest zbyt wzruszona, żeby cokolwiek odpowiedzieć. Wychodzi, ocierając łzy. Idę za nią. W rękach niosę jej rzeczy.

Na ścieżce przed domem stoi Dene Hamilton i obserwuje ulicę. Wysoki, barczysty, z krótko przystrzyżonymi ciemnymi włosami wygląda o wiele groźniej, niż mógłby to sugerować jego elegancki szary garnitur. Czujna postawa zdradza wojskową przeszłość. Będzie pracował na zmianę z innym ochroniarzem, który przyjedzie tu rano. Ludzie Toma będą pilnować Magdy i Michała na okrągło, aż Polacy wyjadą do Kanady.

Zatrzymuję się, by uścisnąć Hamiltonowi dłoń.

— Zajmiemy się tym, lordzie Trevethick — mówi, a jego ciemne oczy lśnią w świetle ulicznej lampy, gdy mężczyzna bacznie spojrzeniem omiata ulicę.

— Dziękuję — odpowiadam. Nadal jestem zaskoczony, gdy ktoś zwraca się do mnie, używając tego tytułu. — Macie mój numer. Gdybyście czegoś potrzebowali, od razu dzwońcie.

— Tak jest, *sir*. — Hamilton kłania się, a ja ruszam za Alessią. Odwraca twarz, kiedy obejmuję ją ramieniem, może po to, by ukryć płacz.

Czy robię to, co należy?

Macham krótko stojącej w progu domu Magdzie i Hamiltonowi i prowadzę Alessię do jaguara. Otwieram auto i przytrzymuję jej drzwi od strony pasażera. Waha się z wyrazem napięcia na twarzy. Sięgam, by pogłodzić jej policzek wierzchem dłoni.

—Wszystko będzie dobrze — mówię łagodnym tonem, by ją zachęcić.
— Jesteś bezpieczna.

Alessia zarzuca mi ręce na szyję i mocno mnie ściska, zupełnie mnie tym zaskakując.

—Dziękuję — szepcze i zanim zdążę zareagować, puszcza mnie i wsiada do samochodu.

Ignoruję gulę w gardle i wrzucam obie reklamówki do bagażnika, po czym siadam za kierownicą.

—To będzie przygoda! — mówię, starając się poprawić nastrój, ale Alessia wpatruje się we mnie oczami pełnymi troski.

Przełykam ślinę.

Robię to, co należy.

Tak.

To właśnie czynię.

Ale chyba nie z właściwego powodu.

Wypuszczam głośno powietrze, wciskam zapłon i silnik ożywa z pomrukiem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

SKRĘCAM W LEWO W A4 I GNAM TRZYPASMOWĄ SZOSĄ. Alessia kuli się na siedzeniu pasażera, obejmując ciało ramionami. Przynajmniej tym razem pamiętała, żeby zapiąć pasy. Wpatruje się w migające za szybą budynki przemysłowe i salony samochodowe, ale od czasu do czasu wyciera rękawem twarz, domyślam się więc, że wciąż płacze.

Dlaczego kobiety płaczą tak cicho?

— Może się zatrzymamy i kupimy chusteczki? — pytam. — Niestety nie mam żadnych przy sobie.

Nie patrzy na mnie, tylko kręci przecząco głową.

Doskonale rozumiem, dlaczego jest wstrząśnięta. *Co za dzień.* Mnie wprowadził w osłupienie, ją musiał wykończyć. Najlepsze, co mogę teraz zrobić, to zostawić ją w spokoju, żeby mogła zebrać myśli. Poza tym jest późno, a ja muszę wykonać kilka telefonów.

Wybieram ikonkę słuchawki na wyświetlaczu i wyszukuję numer Danny. W samochodzie rozlega się echo sygnału. Kobieta odbiera już po drugim.

—Tresyllian Hall — mówi z tak dobrze mi znanym szkockim akcentem.

— Danny, mówi Maxim.

— Pan Maxim? To znaczy...

— W porządku, Danny, nie przejmuj się — przerywam jej, zerkając na Alessię, która też zwróciła wzrok w moją stronę. — Czy Kryjówka albo Strażnica są wolne na weekend?

— Wydaje mi się, że obie są dostępne, mi...

— A w następnym tygodniu?

— W kolejną sobotę i niedzielę Strażnica jest zarezerwowana na strzelanie do rzutków.

— W takim razie wezmę Kryjówkę.

Adekwatnie do sytuacji.

— Będę potrzebował — zerkam na bladą twarz Alessii — dwóch pokoi i proszę przynieść z dworu trochę moich rzeczy i dodatkowe przybory toaletowe.

— Nie zatrzyma się pan we dworze?

— Nie, póki co nie.

— Dwa pokoje, tak?

Miałem nadzieję na jeden...

—Tak, proszę. I niech Jessie zaopatrzy lodówkę na jutrzejsze śniadanie, przydałaby się też jakaś przekąska na dzisiaj. I trochę wina i piwa. Zresztą niech sama coś wymyśli.

—Oczywiście, milordzie. Kiedy możemy się pana spodziewać?

— Dzisiaj, późno w nocy.

— Oczywiście. Czy wszystko w porządku, proszę pana?

—Jak najbardziej. Och, i Danny, czy możemy nastroić pianino?

—Wszystkie zostały nastrojone wczoraj. Prosił pan o to podczas swojego ostatniego pobytu.

— Wspaniale. Dzięki, Danny.

— Nie ma za co, mi...

Rozłączam się, nie dając jej dokończyć.

— Chcesz posłuchać muzyki? — zwracam się do Alessii. Spogląda na mnie czerwonymi od płaczu oczami, a mnie ściska się serce. — Okej — mówię, nie czekając na jej odpowiedź.

Na ekranie odtwarzacza znajduję album, co do którego mam nadzieję, że podziela na nią kojąco, i wciskam przycisk „play”. Wnętrze samochodu wypełniają dźwięki gitary akustycznej, a Alessia odrobinę się rozluźnia. Mamy przed sobą długą drogę

— Kto to jest? — pyta.

— Piosenkarz i tekściarz Ben Howard.

Przez chwilę wpatruje się w ekran, a potem wraca do wyglądanego przez okno.

Myślami znów jestem przy moich dotychczasowych kontaktach z tą dziewczyną. Tym razem nowe światło rzuciły na nie dzisiejsze rewelacje. Już rozumiem, dlaczego zachowywała się wobec mnie z taką rezerwą, i na tę myśl robi mi się ciężko na sercu. W moich fantazjach wyobrażałem sobie, że kiedy w końcu znajdziemy się sam na sam, Alessia będzie wpatrywać się we mnie z uwielbieniem, roześmiana i beztroska. Rzeczywistość okazała się jednak zupełnie inna.

Zupełnie inna.

Mimo to... Nie mam nic przeciwko temu. Po prostu chcę z nią być.

Pragnę, żeby była bezpieczna.

Pragnę jej...

Taka jest prawda.

Nigdy się w ten sposób nie czułem.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, a ja wciąż nie mam pojęcia, czy

postępuję słusznie. Wiem tylko, że nie mogę jej zostawić na pastwę tych zwyrodnialców. Chcę ją chronić.

Ależ ja jestem rycerski...

Nachodzą mnie mroczniejsze myśli, gdy przed oczyma jawią mi się ponure wizje tego, co mogło się jej przytrafić i czego mogła być świadkiem ta młoda kobieta w rękach potworów.

Kurwa. Mocniej zaciskam ręce na kierownicy, czując w gardle gorzki posmak wściekłości.

Jeśli kiedyś ich dopadnę...

Czuję, że mógłbym ich zamordować.

Co oni jej zrobili? Chcę to wiedzieć.

Nie, wcale nie chcę.

Chcę.

Nie chcę.

Spoglądam na deskę rozdzielczą.

Cholera. Przekroczyłem prędkość.

Brachu, zwolnij, do cholery!

Zdejmuję nogę z gazu.

Spokojnie.

Robię głęboki, oczyszczający wdech.

Uspokój się.

Chciałbym ją zapytać, przez co musiała przejść. Co widziała. Ale to nie

jest odpowiednia chwila. Wszystkie moje plany, wszystkie fantazje na nic, jeżeli Alessia nie będzie w stanie przebywać z mężczyzną... jakimkolwiek mężczyzną.

Dociera do mnie, że nie wolno mi jej tknąć.

Jasna cholera.

ALESSIA NA PRÓŻNO PRÓBUJE POWSTRZYMAĆ ŁZY. Jest w szoku, szarpią nią emocje.

Strach.

Nadzieja.

Rozpacz.

Czy może zaufać siedzącemu obok mężczyźnie? Zawierzyła mu swoje życie. Z własnej woli. Wcześniej już raz tak postąpiła — z Dantem — i nie skończyło się to zbyt dobrze.

Nie zna pana Maxima. Prawie wcale go nie zna. Od pierwszego spotkania zaznała z jego strony jedynie dobroci — a dla Magdy zrobił więcej, niż można by oczekiwać od rozsądnego mężczyzny. Zanim Alessia spotkała Maxima, jedyną osobą w Anglii, której ufała, była Magda. Uratowała dziewczynie życie. Przyjęła ją pod swój dach, karmiła i ubierała, znalazła jej pracę za pośrednictwem Polek z zachodniego Londynu, które pomagają sobie nawzajem.

A teraz coraz większa odległość dzieli ją od tego bezpiecznego miejsca. Magda zapewniła ją, że na czas nieobecności Alessii ktoś ją zastąpi u pań Kingsbury i Goode.

Jak długo jej nie będzie?

Dokąd pan ją zabiera?

Napina się cała. A jeśli Dante ich śledzi?

Obejmuje się ciaśniej ramionami. Na myśl o Dantem przypomina się jej koszmarne podróże do Anglii. Nie chce o tym myśleć. Już nigdy więcej. Ale w chwilach spokoju i koszmarnych snach wszystko wraca i ją prześladowuje. Co się stało z Blerianą, Vlorą, Doriną i resztą dziewczyn?

Błagam, oby im też udało się uciec.

Bleriana miała tylko siedemnaście lat, była najmłodsza.

Alessia wstrząsa dreszcz. Piosenka w radiu opowiada o życiu w sidłach strachu. Dziewczyna z całej siły zaciska powieki. Żołądek skręca się jej ze strachu, z którym żyje od tak dawna, i łzy płyną od nowa.

Tuż po dziesiątej wieczorem zatrzymujemy się na stacji Gordano Services przy autostradzie M5. W Brentford Magda poczęstowała mnie kanapką z serem, ale od tego czasu zdążyłem już zgłodnieć. Alessia śpi. Czekam chwilę, żeby zobaczyć, czy się obudzi. W świetle halogenowych lamp na parkingu wygląda tak spokojnie i eterycznie — z łagodną krzywizną bladych policzków, ciemnymi rzęsami i niesfornym kosmykiem włosów wijącym się pod brodą. Rozważam, czy pozwolić jej drzemać, ale dochodzę do wniosku, że nie mogę zostawić jej samej w aucie.

— Alessio — odzywam się szeptem, a jej imię jest jak modlitwa. Kusi mnie, żeby pogłaskać ją po policzku, ale powstrzymuję się i jeszcze raz cicho wymawiam jej imię.

Budzi się gwałtownie i wielkimi oczami rozgląda wokół siebie. Nieruchomieje, kiedy jej wzrok pada na mnie.

— Hej, to ja. Zasnęłaś. Idę do toalety i po coś do jedzenia. Pójdiesz ze mną?

Mruga kilka razy, trzepocząc rzęsami. Oczy ma nieco nieprzytomne.

Jest taka piękna.

Pocierając twarz, rozgląda się po parkingu. Jej ciało spina się i wyczuwam, że jest przestraszona.

—Proszę, *mister*, niech mnie pan tu nie zostawia —odzywa się cichutko.

— Nie mam takiego zamiaru. Co się stało?

Z pobladłą twarzą potrząsa głową.

— Chodźmy — mówię.

Przeciągam się, czekając, aż wysiądzie. Dystans między nami pokonuje niemal biegiem i widzę, jak z przerażeniem rozgląda się wokół.

Co jej się stało ?

Wyciągam rękę w jej kierunku, a ona chwyta ją i mocno ściska. Po chwili, ku memu zachwytowi i zdumieniu, drugą dłońią łapie mnie za ramię i cała przywiera do mojego ciała.

—Wcześniej mówiłaś do mnie po imieniu — odzywam się w nadziei, że na jej twarzy pojawi się uśmiech. — Wolę „Maxim” niż *mister*.

Rzuca mi pełne niepokoju spojrzenie.

—Maxim — szepcze, ale wzrokiem nie przestaje omiatać parkingu.

— Alessio, nic ci nie grozi.

Nie wydaje się przekonana.

I chyba nigdy nie będzie.

Chwytam ją za ramiona.

— Alessio, co się dzieje? Proszę, powiedz mi.

Wyraz jej twarzy się zmienia, a w oczach goszczą udręka i strach.

— Proszę — błagam ją, patrząc, jak obłoczki naszych oddechów łączą się w mroźnym powietrzu.

— Uciekłam — szepcze.

Cholera! Dalszy ciąg historii — usłyszę ją tutaj, na parkingu przy M5.

— Mów dalej — zachęcam.

— To było w takim miejscu jak to. — Znowu się rozgląda.

— Słucham? Na stacji przy autostradzie?

Kiwa głową.

— Zatrzymali się. Chcieli, żebyśmy się umyły. Żebyśmy były czyste. Byli... eee... mili. Przynajmniej tak myślały inne dziewczyny. Miałyśmy na tym... eee... Jak to się mówi? Dobrze wyjść. Skorzystać! Miałyśmy skorzystać. Jeśli będziemy czyste, dostaną za nas lepszą cenę.

Kurwa. Zaraz się wścieknę.

— Wcześniej, w czasie podróży, słyszałam, jak o tym mówią. Po angielsku. O tym, po co nas wiozą do Anglii. Nie wiedzieli, że ich rozumiem. A ja byłam już pewna, co chcą z nami zrobić.

— Cholera jasna!

— Powiedziałam to pozostałym. Niektóre dziewczyny mi nie uwierzyły, ale trzy udało mi się przekonać.

Niech to szlag! Było ich więcej!

— Była noc, jak teraz. Jeden z nich, Dante, zaprowadził nas do łazienki. Uciekłyśmy. Wszystkie trzy. Nie mógł złapać żadnej. Było ciemno, pobiegłam do lasu. Biegłam i biegłam... Uciekłam mu. Nie wiem, co się stało z innymi. — W jej głosie słychać poczucie winy.

O Boże.

Dłużej tego nie zniosę. Przerażony tym, co musiała przeżyć, obejmuję ją i mocno tulę.

— Jestem przy tobie — szepczę zdruzgotany, zraniony i wściekły.

Stoimy na zimnym parkingu kilka sekund, a może minut — nie wiem, jak długo — aż wreszcie, nieśmiało i z wahaniem, ona też obejmuje moje ciało ramionami i przywiera do mnie, odwzajemniając uścisk. Co za cudowne uczucie. Nasze ciała pasują do siebie idealnie. Gdybym chciał, mógłbym oprzeć podbródek o czubek jej głowy. Podnosi na mnie wzrok i patrzy, jakby ujrzała mnie po raz pierwszy. Wzrok ma skupiony. Ciemne oczy spoglądają na mnie pytająco, maluje się w nich obietnica.

Oddech więźnie mi w gardle.

O czym ona myśli?

Spuszcza wzrok na moje usta i podnosi głowę, jasno dając do zrozumienia, czego chce.

— Mam cię pocałować? — pytam.

Kiwa głową.

Ożeż.

Waham się. Przysięgłem sobie, że jej nie tknę. Zamyka oczy i jest gotowa. A ja nie potrafię się oprzeć. Składam na jej ustach miękkie, niewinny pocałunek, a ona z jękiem mu się poddaje.

To wystarczy, by obudzić moje pożądanie. Z rozdzierającym westchnieniem spoglądam na jej rozchylone usta.

Nie.

Nie teraz.

Nie tutaj.

Nie po tym, co przeszła.

Nie na stacji benzynowej przy autostradzie.

Całuję ją w czoło.

— Chodź. Zjemy coś.

Zdumiony własną powściągliwością, biorę ją za rękę i prowadzę do środka.

UCZEPIONA KURCZOWO MAXIMA, Alessia idzie za nim przez wyasfaltowany parking. Myśli o pocałunku pana i o poczuciu bezpieczeństwa, jakiego doznała w jego objęciach, a nie o tym, co się wydarzyło, gdy ostatnio była w takim miejscu. Jeszcze mocniej chwyta się Maxima. Jest wdzięczna za to, że dzięki niemu może o tym wszystkim zapomnieć. Drzwi wejściowe się otwierają, ale coś każe jej się zatrzymać. Maxim także nieruchomieje.

Ten zapach. *Zot!* Ten zapach!

Smażonego jedzenia.

Słodocy.

Kawy.

Środków czyszczących.

Zaciska powieki, kiedy przypomina sobie, jak pędzono ją do łazienki. Nikt na stacji nie zwrócił uwagi, że dzieje się coś złego.

— Dobrze się czujesz? — pyta Maxim.

— Przypomina mi się.

Ściska jej rękę.

—Jestem przy tobie — mówi. — Chodź, naprawdę muszę zajrzeć do toalety. — Uśmiecha się do niej słabo.

Alessia przełyka ślinę.

—Ja też — odpowiada zawstydzona i idzie za nim.

— Niestety nie możemy tam wejść razem. — Przy drzwiach Maxim przechyliła głowę w bok. — Będę tu na ciebie czekał, kiedy wyjdiesz, dobrze? — mówi. — Idź.

Uspokojona Alessia robi głęboki wdech i wchodzi do środka, w ostatniej chwili oglądając się jeszcze na Maxima. Do kabin nie ma kolejki. Tylko dwie kobiety, jedna starsza, druga młodsza, myją ręce w umywalkach. Żadna z nich nie wygląda, jakby ktoś przemycał je z Europy Wschodniej.

Alessia beszta się w myślach.

Czego się spodziewała?

Starsza z kobiet, co najmniej pięćdziesięcioletnia, odwraca się w stronę suszarki do rąk, przy okazji napotykając spojrzenie Alessii. Uśmiecha się. Nieco uspokojona i już bardziej pewna siebie Alessia wchodzi do kabiny.

Gdy opuszcza toaletę, Maxim na nią czeka. Wysoki i muskularny, stoi oparty o ścianę, z jednym kciukiem zaczepionym o szlufkę przy spodniach. Włosy ma w nieładzie, zielone oczy spoglądają czujnie. Na widok dziewczyny jego twarz się rozchmurza. Wyciąga do niej rękę, a Alessia z radością ją ściska.

Kawiarnia należy do sieci Starbucks. Alessia ją rozpoznaje, bo wiele podobnych widziała w Londynie. Maxim zamawia dla siebie podwójne espresso, Alessia prosi o gorącą czekoladę.

— Co byś zjadła? — pyta.

— Nie jestem głodna — odpowiada.

Mężczyzna unosi brwi.

— U Magdy nic nie zjadłaś. Wiem, że u mnie też nie.

Alessia marszczy czoło. Nie powie mu, że zwróciła też śniadanie. Kręci głową. Dzisiejsze wydarzenia zbyt nią wstrząsnęły, by była w stanie cokolwiek przełknąć.

Maxim parska zdenerwowany i zamawia panini.

— Dwa razy poproszę — zwraca się do dziewczyny za ladą, zerkając z ukosa na Alessię.

— Za chwilę podam — odpowiada z kokieteryjnym uśmiechem ekspedientka.

— Poprosimy na wynos. — Maxim wręcza jej dwudziestofuntowy banknot.

Dziewczyna trzepocze zalotnie rzęsami.

— Oczywiście.

— Świetnie, dziękuję. — Nie odwzajemnia jej uśmiechu. Skupia uwagę na swojej towarzysze.

— Mam pieniądze — mówi Alessia.

Maxim przewraca oczami.

—Ja się tym zajmę.

Przechodzą na koniec kontuaru, żeby poczekać na zamówienie. Alessia zastanawia się, skąd weźmie fundusze na wynajem jakiegoś pokoju. Trochę zaoszczędziła, ale to wciąż za mało. Z drugiej strony *mister* obiecał, że pomoże jej coś znaleźć.

Myślał o pokoju w swoim mieszkaniu? Czy jednak gdzieś indziej?

Tego Alessia nie wie. Nie ma też pojęcia, ile czasu spędzą tam, dokąd się wybierają, ani kiedy będzie mogła znowu coś zarobić. Zapytałaby go, ale nie wypada jej kwestionować decyzji mężczyzny.

— Hej, pieniędzmi się nie przejmuj — odzywa się Maxim.

— Ja...

— Nie. Proszę — mówi z poważną miną.

Jest taki hojny. Alessia po raz kolejny zastanawia się, jak Maxim zarabia na życie. Ma wielkie mieszkanie, dwa samochody. Zorganizował dla Magdy ochronę. Jest kompozytorem? Czy kompozytorzy w Anglii dużo zarabiają? Alessia nie ma pojęcia.

— Widzę, że coś nie daje ci spokoju. O co chodzi? Może mnie zapytasz? Nie gryzę — mówi do niej.

— Chcę wiedzieć, gdzie pracujesz.

— Z czego się utrzymuję? — pyta z uśmiechem.

— Jesteś kompozytorem?

Parska śmiechem.

— Bywam.

— Tak właśnie myślałam. Podobała mi się twoja muzyka.

— Naprawdę? — Uśmiecha się jeszcze szerzej, ale jest też nieco skrępowany. — Bardzo dobrze mówisz po angielsku.

— Tak uważasz? — Alessia rumieni się w odpowiedzi na ten nieoczekiwany komplement.

— Owszem.

— Moja babcia była Angielką.

— Och. To wszystko wyjaśnia. Co robiła w Albanii?

— Pojechała tam w latach sześćdziesiątych ze swoją przyjaciółką Joan, matką Magdy. W dzieciństwie moja matka i Magda pisały do siebie listy i tak się zaprzyjaźniły. Mieszkają w różnych krajach, ale nigdy nie zerwały kontaktu, chociaż ani razu się nie spotkały.

— Ani razu?

— Ani razu. Choć mama bardzo by chciała kiedyś się z nią zobaczyć.

— Dwa panini z szynką i serem — przerywa im ekspedientka.

— Dzięki — Maxim bierze od niej papierową torebkę. — Chodźmy. Opowiesz mi więcej w samochodzie —zwraca się do Alessii, biorąc kubek z kawą. — Nie zapomnij swojej czekolady.

Alessia, trzymając się możliwie jak najbliżej, wychodzi za nim ze Starbucksa.

W samochodzie Maxim wypija espresso, wkłada puste naczynie do uchwytu na kubki i odwinąwszy połowę swojej porcji z papierka, odgryza wielki kęs.

Apetyczny zapach rozchodzi się we wnętrzu samochodu.

— Mmm... — mruczy Maxim z przesadnym zachwytem. Żując, zerka z ukosa na Alessię, która patrzy na jego usta i się oblizuje.

— Chcesz trochę? — pyta Maxim.

Kiwa głową.

— Proszę, częstuj się. — Podaje jej drugą kanapkę i z przebiegłym uśmiechem uruchamia silnik.

Alessia ostrożnie nadgryza panini i nagle dociera do niej, jak wściekle jest głodna. Zjada następny kawałek. Coś pysznego.

—Już ci lepiej? — pyta Maxim niskim głosem.

Uśmiecha się.

— Jesteś podstępny jak wilk.

— „Podstępny” to moje drugie imię — odpowiada Maxim bardzo z siebie zadowolony i Alessia mimowolnie się śmieje.

O RANY, JAK MIŁO TO SŁYSZEĆ.

Podjeżdżam pod dystrybutor wysokooktanowej benzyny.

— To zajmie tylko chwilkę. Jedz sobie. — Uśmiecham się do niej i wysiadam z samochodu, ale ona też gramoli się ze środka i z panini w ręce staje obok mnie.

— Już się stęskniłaś? — żartuję, żeby ją trochę rozweselić.

Wygina usta w coś na kształt uśmiechu, ale wzrokiem cały czas bada otoczenie. Jest wystraszona, a to miejsce wyraźnie pogarsza sytuację. Wlewam benzynę do baku.

— Ale drogo! — wykrzykuje Alessia, kiedy widzi sumę na wyświetlaczu.

— No, chyba tak. — Uświadamiam sobie, że nigdy nie zwracałem uwagi na cenę paliwa. Nie musiałem. — Chodź, pójdziemy zapłacić.

W kolejce do kasy Alessia stoi tuż przy mnie, podgryzając kanapkę. Patrzy na sklepowe półki i widzę, że jest zdziwiona.

— Chcesz coś? Gazetę? Przekąskę? Może coś słodkiego? — pytam.

Potrząsa głową.

— Tyle tu można kupić!

Rozglądam się, ale nie widzę nic nadzwyczajnego.

— W Albanii nie ma sklepów? — pytam żartobliwie.

Ściąga wargi.

— Oczywiście, że są. W Kukës jest dużo sklepów, ale nie takich.

— To znaczy?

— Tutaj jest czysto, wszystko jest poukładane. Bardzo tu porządnie. Patologicznie.

Szczerzę zęby.

— Patologicznie porządnie?

— Tak. Przeciwnieństwo ciebie.

Wybucham śmiechem.

— W Albanii sklepy nie są czyste?

— Nie w Kukës. Nie tak bardzo jak tutaj.

Przy kasie wsuwam kartę kredytową do czytnika, świadomy, że Alessia bacznie obserwuje każdy mój ruch.

— Twoja karta jest magiczna — zauważa Alessia.

— Magiczna?

Muszę się z nią zgodzić. Rzeczywiście jest. Nie kiwnąłem nawet palcem, by zarobić pieniądze, którymi płacę za benzynę. Dysponuję nimi tylko dlatego, że przypadkiem urodziłem się w akurat tej rodzinie.

— Owszem — bąkam pod nosem. — Jest magiczna.

Wracamy do samochodu. Kiedy już siedzimy w środku, zwlekam z

przekręceniem kluczyka w stacyjce.

— Co się stało? — pyta Alessia.

— Pasy.

— Zapomniałam. To jak z kiwaniem i kręceniem głową.

O czym ona mówi?

— W Albanii, kiedy chcemy powiedzieć „tak”, kręcimy głową, a na „nie” kiwamy — wyjaśnia.

— Rany. To musi być trudne.

— Trudno jest po waszemu. Magda i Michał musieli mnie uczyć.

Biorę drugą połowę mojej kanapki, uruchamiam silnik i wyjeżdżam na M5.

Więc myli się jej „tak” i „nie”? Może powinienem przypomnieć sobie nasze wcześniejsze rozmowy i przeanalizować je pod kątem tej informacji.

— Dokąd jedziemy? — pyta Alessia, wpatrując się w ciemność przed sobą.

— Moja rodzina ma dom w Kornwalii. To jeszcze jakieś trzy godziny drogi.

— Daleko.

— Z Londynu? Tak

Pociąga łyk czekolady.

— Opowiedz mi o swoim domu.

— O Kukës? To małe miasteczko. Niewiele się dzieje... Jest... hm... jak

to się mówi? Samotne?

— Na uboczu?

— Właśnie. Na uboczu. I... wiejskie. — Wzrusza ramionami. Najwyraźniej nie ma ochoty powiedzieć więcej.

— Kornwalia też jest wiejska. Sama zobaczysz. Wcześniej opowiadałaś mi o swojej babci.

Uśmiecha się. Ten temat chyba sprawia jej przyjemność. Tak to sobie właśnie wyobrażałem, kiedy po południu planowałem naszą ucieczkę: swobodną, spokojną rozmowę, w czasie której dowiem się o Alessii czegoś więcej. Odchyłam się na siedzeniu i zerkam na nią wyczekująco.

— Moja babcia i jej przyjaciółka Joan przyjechały do Albanii jako misjonarki.

— Misjonarki? W Europie?

— Tak Komuniści zakazali religii. Albania była pierwszym ateistycznym krajem.

— Och. Nie miałem pojęcia.

— Babcia przyjechała pomagać katolikom. Przeszmugłowała do Albanii książki z Kosowa. No wiesz, Biblię. To było bardzo niebezpieczne. A potem spotkała Albańczyka i... — przerywa, a jej twarz łagodnieje — zakochali się w sobie. Jak wy to mówicie? Reszta to historia.

— Niebezpieczna? — pytam.

— Tak. Od jej opowieści aż włos wstaje.

— Wstaje? Chyba raczej się jeży?

Uśmiecha się.

— Jeży.

— A matka Magdy?

— Pojechała dalej, do Polski, i tam wyszła za mąż —mówi, jakby to było oczywiste. — Były najbliższymi przyjaciółkami. Tak samo jak teraz ich córki.

— I dlatego po ucieczce poszłaś do Magdy?

— Tak Była dla mnie dobrą przyjaciółką.

— Cieszę się, że miałaś kogoś takiego.

A teraz masz mnie.

— Będziesz jadła drugą połówkę panini?

— Nie, dziękuję.

— Podzielisz się ze mną?

Alessia przygląda mi się przez chwilę.

— Dobrze — mówi w końcu, wyciąga kanapkę z torebki i mi ją podaje.

— Ugryź pierwsza.

Uśmiecha się i odgryza kęs, a potem przekazuje mi panini.

— Dziękuję. — Posyłam jej przelotny uśmiech. Cieszę się, że jest w lepszym humorze. — Puścimy muzykę?

Kiwa głową.

— Ty coś wybierz. Po prostu naciśnij ten guzik i przewijaj utwory.

Alessia uważnie wpatruje się w ekran i zaczyna przeglądać moją playlistę. Pochłaniają to całkowicie. W świetle wyświetlacza jej twarz jest poważna i skupiona.

— Nic z tego nie znam — mruczy.

Oddaję jej panini.

— Po prostu coś wybierz.

Dotyka palcem ekranu, a ja w uśmiechu szczerzę zęby, widząc, co wybrała.

Bhangra. Czemu nie?

Mężczyzna w radiu zaczyna śpiewać a cappella.

— Co to za język? — pyta Alessia, gryząc kanapkę. Stopiony kawałek mozzarelli ucieka jej kącikiem ust. Palcem wskazującym wpycha go z powrotem i oblizuje koniuszek do czysta. Na ten widok moje ciało budzi się do życia.

Chwytam mocniej kierownicę.

— Chyba pendzabski.

Reszta zespołu dołącza do wokalisty, a Alessia oddaje mi panini, kołysząc się w rytm muzyki.

— Nigdy czegoś takiego nie słyszałam.

— Czasem wykorzystuję ten kawałek, kiedy gram jako didżej. Chcesz jeszcze? — Podsuwam jej resztkę kanapki.

— Nie, dziękuję.

Zjadam więc resztkę, zadowolony, że udało mi się namówić Alessię do jedzenia.

— Jesteś didżejem? — pyta.

— No wiesz, w klubie. Dla ludzi, do tańca. Kilka nocy w miesiącu gram w Hoxton.

Patrzę na nią i widzę jej pusty wzrok.

Ona nie ma pojęcia, o czym mówię.

— Dobra, muszę cię kiedyś zabrać do klubu.

Dalej nie wie, o co chodzi, ale stopą wystukuje rytm. Kręcę z niedowierzaniem głową. W jakim świecie wychowywała się ta dziewczyna?

Biorąc pod uwagę to, co przeżyła, musiał to być okropny świat. Jaki koszmar ma za sobą? W głowie kotłują mi się ponure, przygnębiające myśli.

I wtedy przypomina mi się, co wyznała na parkingu. Uciekła.

Uciekła!

„Chcieli, żebyśmy byli czyste... bo wtedy dostaną za nas wyższą cenę”.

Wzdycham.

Mam nadzieję, że udało jej się uniknąć najgorszego, ale jakoś w to wątpię. Już sama podróż musiała być koszmarem. Próbuję ogarnąć rozmiar tego, co przeżyła i co zdołała osiągnąć. Uciekła. Znalazła mieszkanie. Pracę. A dzisiaj po południu znowu związała, tym razem z mojego mieszkania. Nie ma nic, a jednak jest niezwykle zaradną młodą kobietą: pomysłową, utalentowaną, odważną i piękną. Serce pęcznieje mi z nieoczekiwanej dumy.

— Naprawdę jesteś niezwykła, Alessio — szepczę, ale ona, wsłuchana w muzykę, w ogóle mnie nie słyszy.

JEST JUŻ PO PÓŁNOCY, kiedy wjeżdżam na zwirowany podjazd przed garażem Kryjówki, jednego z luksusowych domków wakacyjnych w posiadłości Trevethick. Nie chcę przytłaczać Alessii splendorem dworu — to może na razie poczekać. Poza tym chcę ją mieć tylko dla siebie. W

głównym domu jest za dużo służby, a ja nie wymyśliłem jeszcze, co im powiedzieć o Alessii ani jak jej wyjaśnić, gdzie jesteśmy. Póki co nie wie, kim jestem, co posiadam ani z czym wiąże się moje pochodzenie. I to mi się podoba... nawet bardzo.

Alessia śpi. Musi być wyczerpana. Patrę na jej twarz. Nawet w ostrym świetle garażowych lamp rysy ma miękkie i delikatne.

Śpiąca królewna.

Mógłbym na nią patrzeć godzinami. Robi lekki grymas, a ja zastanawiam się, czy coś jej się śni.

Może ja?

Myślę, czy zanieść ją na rękach do domu, ale szybko porzucam ten pomysł. Schody przed wejściem są strome, być może śliskie.

Mógłbym ją obudzić pocałunkiem. Tak właśnie powinna się obudzić, niczym księżniczka.

Zachowuję się jak krety. Poza tym przyrzekłem sobie, że jej nie dotknę.

— Alessio — szepczę. — Jesteśmy na miejscu. Otwiera oczy i spogląda na mnie sennie.

— Cześć — mówi.

— Cześć, ślicznotko. Przyjechaliśmy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ALESSIA MRUGA, ŻEBY ODPĘDZIĆ SENNOŚĆ, i wygląda przez przednią szybę. Dostrzega jedynie jaskrawe światło nad wielkimi metalowymi drzwiami i drewnianą furtką z boku. Reszta pogrążona jest w ciemności, z oddali dobiega przytłumiony huk. Maxim wyłączył już ogrzewanie w samochodzie i lodowate zimowe powietrze przenika do środka. Alessia wzdryga się z chłodu.

Jest tutaj. *Sam na sam z nim.*

Zerka na niego z niepokojem. Teraz, kiedy siedzi w ciemnościach z mężczyzną, którego ledwie zna, zaczyna się zastanawiać, czy dobrze zrobiła. Tylko dwie osoby widziały, jak z nim odjeżdża: Magda i ochroniarz.

— Chodź — mówi Maxim i wysiada.

Podchodzi do bagażnika, żeby wyjąć z niego reklamówki z jej rzeczami. Żwir chrzęści pod podeszwami jego butów.

Ignorując swój niepokój, Alessia również otwiera drzwi i staje na podjeździe.

Jest zimno. Dziewczyna kuli się w kurtce, a wiatr gwiżdże jej w uszach. Znów słyszy ten sam huk, tym razem głośniejszy. Zastanawia się, co to może być. Maxim obejmuje ją ramieniem, chyba po to, by ochronić ją nieco przed zimnem. Razem podchodzą do szarej furtki. Maxim przekręca klucz w zamku i ją otwiera, przepuszczając Alessię przodem. Naciska umieszczony w ogrodzeniu przełącznik Małe światełka wpuszczone w kamienne stopnie wyznaczają ścieżkę w dół, na dziedziniec.

— Tędy — mówi i razem schodzą po stromych schodach.

Przed nimi wyrasta imponujący nowoczesny dom oświetlony przez

ukryte w ziemi reflektory. Alessia jest zaskoczona pięknem budynku — tylko szkło i białe ściany skąpane w świetle. Maxim otwiera drzwi frontowe i prowadzi ją do środka. Naciska kolejny włącznik i dyskretne lampy w podłodze zalewają alabastrowe wnętrze miękkim blaskiem.

— Wezmę twoją kurtkę — zwraca się do niej, a ona zrzuca okrycie.

Stoją w otwartym holu. Tuż obok Alessia widzi olśniewającą ciemnoszarą kuchnię stanowiącą część ogromnego pokoju z drewnianą podłogą. Przy jego końcu stoją dwie turkusowe kanapy rozdzielone stolikiem kawowym, a za nimi widać półki zastawione książkami.

Książki! Alessia patrzy z zachwytem, przy okazji dostrzegając obok regałów kolejne drzwi.

Jaki wielki dom.

Klatka schodowa po drugiej stronie pomieszczenia jest przeszklona. Drewniane stopnie zdają się unosić w powietrzu, ale widać, że wspiera je ustawiony w środku masywny betonowy słup, który przechodzi przez wszystkie piętra budynku.

W życiu nie widziała tak nowoczesnie urządzonego wnętrza, ciepłego i przytulnego mimo oryginalnego wystroju.

Alessia zaczyna rozwiązywać sznurowadła, Maxim natomiast maszeruje do kuchni i kładzie jej reklamówki na blacie razem z płaszcami. Kiedy dziewczyna zdejmuje buty, ze zdumieniem stwierdza, że podłoga pod jej stopami jest ciepła.

— No to jesteśmy — mówi Maxim. — Witaj w Kryjówce.

— Kryjówce?

— Tak się nazywa ten dom.

Na drugim końcu kuchni rozciąga się część dzienna z białym stołem jadalnym na dwanaście osób i wielkimi popielatymi kanapami

ustawionymi przed smukłym kominkiem ze stali.

— Jest większy, niż wydaje się z zewnątrz — stwierdza Alessia przytłoczona ogromem i elegancją domu.

— Wiem, trochę to mylące.

Kto tu sprząta? Na pewno potrzeba na to wielu godzin.

— Ten dom należy do ciebie?

— Tak. To dom wakacyjny, który wynajmujemy gościom. Jest późno, a ty pewnie jesteś wykończona. Ale może przed snem coś byś zjadła albo się czegoś napiła?

Przez cały ten czas Alessia nie ruszyła się z miejsca.

To także należy do niego? Musi być bardzo wziętym kompozytorem.

Skinieniem głowy zgadza się na jego propozycję.

— Czy to znaczy: tak? — pyta z uśmiechem.

W odpowiedzi Alessia także promienieje.

— Wina? Piwa? Może coś mocniejszego? — pyta Maxim, a ona podchodzi bliżej.

Tam, skąd pochodzi, kobiety w zasadzie nie piją alkoholu, chociaż jej zdarzyło się ze dwa razy skosztować rakiję, ale tylko z okazji sylwestra. Ojciec jest przeciwny jej picciu.

Nie pochwała wielu rzeczy.

Babcia dała jej raz do skosztowania wino, ale Alessia za nim nie przepada.

— Piwo — mówi, ponieważ dotąd widziała, że piją je wyłącznie mężczyźni. W ten sposób chce się też sprzeciwić ojcu.

— Dobry wybór — uśmiecha się Maxim i wyjmuje dwie brązowe butelki z lodówki. — Może być jasne pełne?

Nie ma pojęcia, co to znaczy, ale kiwa głową.

— Ze szklanki? — pyta Maxim, zdejmując z butelek kapsle.

— Tak, poproszę.

Z innej szafki wyjmuje wysokie naczynie i sprawnie przelewa zawartość butelki.

— Twoje zdrowie — mówi, podając Alessii napój. Trąca swoją butelką jej szklankę i obejmując ustami szyjkę, pociąga spory łyk piwa. Przymyka oczy, rozkoszując się smakiem. Alessia z niewiadomego powodu musi odwrócić wzrok, gdy to dostrzega.

Jego usta.

— *Gëzuar* — szepcze.

Słyszając, że Alessia mówi coś w swoim ojczystym języku, Maxim unosi brwi. W ten sposób mężczyźni w jej kraju wznoszą toast, ale on nie może mieć o tym pojęcia. Alessia upija trochę piwa. Schłodzony bursztynowy płyn spływa jej do gardła.

— Mmm. — Przymyka oczy w zachwycie i pociąga kolejny spory łyk.

— Jesteś głodna? — pyta Maxim przytłumionym głosem.

— Nie.

NA WIDOK PROSTEJ PRZYJEMNOŚCI, JAKĄ DAJE JEJ PIWO, czuję przeszywający mnie dreszcz. Chyba po raz pierwszy w życiu brakuje mi słów. Nie wiem, czego ona oczekuje. To takie dziwne. Nie mamy ze sobą nic wspólnego, a bliskość, którą odczuwałem w samochodzie, teraz gdzieś znikła.

— Chodź, oprowadzę cię. — Podaję jej rękę i prowadzę do części
dziennej pomieszczenia. — Salon, pokój dzienny. .. chyba. Cała
przestrzeń jest otwarta. — Machnięciem ręki wskazuję pomieszczenie.

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

WCHODZĄC GŁĘBIJ, ALESSIA DOSTRZEGA PRZY ŚCIANIE LŚNIĄCE BIAŁE PIANINO.

Pianino!

— Możesz na nim grać, ile dusza zapragnie — mówi Maxim.

Z radości serce zaczyna jej bić szybciej. Alessia uśmiecha się
promiennie do Maxima, który wypuszcza jej dłoń z uścisku. Dziewczyna
podnosi klapę i widzi pod spodem słowo „Kawai”.

Nie rozpoznaje tej nazwy, ale w niczym jej to nie przeszkadza. Naciska
klawisz środkowego C i dźwięk złocistą żółcią rozlewa się po pokoju.

— *E përkryer*— mówi szeptem.

Idealnie.

— Tam jest balkon. — Maxim wskazuje szklaną ścianę na drugim
końcu pokoju. — Wychodzi na morze.

— Morze? — wykrzykuje Alessia i odwraca głowę, czekając na
potwierdzenie.

— Tak — odpowiada zdziwiony i rozbawiony jej reakcją.

Dziewczyna podbiega do okna.

— Nigdy nie widziałam morza — szepcze, usiłując coś dojrzeć w
nieprzeniknionej ciemności. Rozpłaszcza nos o zimną szybę w
rozpaczliwej próbie zobaczenia choćby błysku fali, ale ku jej

rozczarowaniu za barierką rozciąga się jedynie czarna noc.

— Nigdy? — pyta z niedowierzaniem Maxim, podchodząc do niej.

— Nie — mówi Alessia. Zauważa, że jej nos i oddech zostawiły smugi na szybie. Rękawem nasuniętym na dłoń stara się zetrzeć ślad.

— To jutro pójdziemy na spacer po plaży — proponuje mężczyzna.

Uśmiech Alessii przechodzi w ziewnięcie.

— Jesteś zmęczona. — Maxim patrzy na zegarek. — Już wpół do pierwszej. Chcesz iść do łóżka?

Alessia zamiera. Z przyspieszonym biciem serca patrzy na niego, a jego pytanie zawisa między nimi pełne niewypowiedzianych możliwości.

Do łóżka? Twojego?

— Zaprowadzę cię do twojego pokoju — mamrocze Maxim, żadne z nich nie rusza się jednak z miejsca. Wpatrują się w siebie nawzajem, a Alessia nie potrafi powiedzieć, czy odczuwa ulgę, czy raczej zawód. Chyba prędzej to drugie — choć nie jest pewna.

— Marszczysz brwi — szepcze Maxim. — Dlaczego?

Milczy, niezdolna, a może niechętna, by wypowiedzieć na głos to, co czuje i myśli. Jest ciekawa. On jej się podoba. Ale Alessia nie ma zielonego pojęcia o seksie.

— Nie — mówi Maxim jakby do siebie. — Chodź, zaprowadzę cię.

Zabiera jej reklamówki z kuchennego blatu i wchodzi po schodach. Alessia idzie za nim. Na górze znajduje się jasno oświetlony podest z dwojgiem drzwi. Maxim otwiera te znajdujące się nieco dalej i zapala światło.

Pokój, cały w bieli, jest duży i przestronny, z ogromnym łóżkiem pod jedną ścianą i wielkim oknem z boku. Pościel jest kremowa, zarzucona

poduszkami w kolorach wiszącego nad wezglowiem płótna z oształmającym morskim krajobrazem.

Maxim gestem zaprasza ją do środka i kładzie siatki na kolorowym haftowanym siedzisku u stóp materaca. Podchodząc do łóżka, Alessia widzi swoje odbicie w ciemnym oknie. Maxim podchodzi i staje za nią. Również widać go w szybie, wysokiego, smukłego i więcej niż przystojnego. Wygląda przy nim jak obdartus. Różnią się od siebie diametralnie, ale dopiero teraz Alessia dostrzega to w tak jaskrawych barwach.

Co on we mnie widzi? Jestem tylko jego sprzątaczką.

Przed oczami staje jej szwagierka Maxima, którą spotkała tamtego dnia w kuchni. Wyglądała elegancko i stylowo, chociaż miała na sobie tylko jego koszulę, zdecydowanie na nią za dużą. Dziewczyna odwraca głowę, żeby nie katować się dłużej własnym odbiciem w szybie. Tymczasem Maxim opuszcza jasnozielone rolety i pokazuje Alessii resztę pokoju.

— Tutaj jest twoja łazienka — mówi łagodnie, wskazując drzwi i odrywając swojego gościa od ponurych myśli.

Moja własna łazienka!

— Dziękuję — odpowiada, ale jej słowa brzmią wyjątkowo żałośnie w obliczu wszystkiego, co mu zawdzięcza.

— Hej — odzywa się Maxim, stając przed nią. W jego intensywnie zielonych oczach maluje się współczucie. — Rozumiem, że to wszystko wydarzyło się tak nagle, Alessio. Prawie się nie znamy, ale nie mogłem zostawić cię na pastwę tych ludzi. Musisz to zrozumieć. — Chwyta luźny kosmyk włosów, który wysmyknął się z warkocza, i delikatnie zakłada go za jej ucho. — Nie martw się. Tutaj jesteś bezpieczna. Nie zrobię nic, czego nie będziesz chciała.

Alessia wyczuwa jego zapach: woń sosny i drzewa sandałowego. Przymyka oczy, stara się trzymać emocje na wodzy.

— Potraktuj czas spędzony tutaj jako wakacje. Przemyśl sobie wszystko, zastanów się, zdystansuj od tych strasznych przeżyć. No i pozwól, żebyśmy się lepiej poznali.

Alessia czuje narastającą w gardle gulę i przygryza zębami górną wargę.

Nie płacz. Tylko nie płacz. Mos qaj.

— Gdybyś czegoś potrzebowała, mój pokój jest tuż obok. Zrobiło się już naprawdę późno i oboje musimy się trochę przespać. — Czule całuje ją w czoło. — Dobranoc.

— Dobranoc — odpowiada zachrypniętym, ledwie słyszalnym głosem.

Maxim odwraca się i wychodzi, a ona zostaje kompletnie sama w najpiękniejszej sypialni, w jakiej kiedykolwiek miała okazję spać. Patrzy na obraz, drzwi łazienki, wspaniałe łóżko i powoli osuwa się na podłogę. Obejmuje się ramionami i zaczyna szlochać.

WIESZAM NASZE PŁASZCZE W GARDEROBIE, BIORĘ Z BLATU SWOJE PIWO I POCIĄGAM DŁUGI ŁYK.

Co za dzień!

Z pomrukiem zadowolenia przypominam sobie nasz pierwszy pocałunek — tak gwałtownie przerwany przez tych cholernych zakapiorów — potem jej nagłe zniknięcie i szaleńczą jazdę do zapomnianej przez Boga dziury w zachodnim Londynie.

I jej wyznanie. *Handel ludźmi.*

Cholera. To był dopiero szok.

I tak znaleźliśmy się tutaj. Tylko we dwoje.

Pocieram twarz, próbując zrozumieć wszystko, co się wydarzyło. Po długiej jeździe i szaleństwach całego dnia powinienem być wykończony, ale czuję się jak nabuzowany. Spoglądam na sufit, w miejsce, gdzie, mam nadzieję, śpi spokojnie Alessia. To przez nią nie mogę się uspokoić. Z całych sił powstrzymywałem się, by nie chwycić jej w ramiona i... No właśnie, i co? Nawet po wszystkim, co mi powiedziała, wciąż jestem w stanie myśleć tylko tym, co poniżej pasa, jak jakiś pieprzony napalony uczeń.

Zostaw tę dziewczynę w spokoju.

Problem w tym, że jej pożądam, a moje przyrodzenie aż nadto wymownie mi o tym przypomina.

Niech to szlag. Po tym, co przeszła, Alessii należy się odrobina wytchnienia.

Na pewno na nic jej się zdadzą moje lubieżne myśli.

Potrzebuje przyjaciela.

Gnojek ze mnie. Dlaczego, do diabła, tak się zachowuję?

Opróżniam butelkę, po czym sięgam po szklanę Alessii. Prawie nic nie wypija. Sącząc piwo, przeczesuję ręką włosy. Doskonale wiem, co się ze mną dzieje.

Pragnę jej. I to bardzo.

Kompletnie mnie uwiodła.

Proszę bardzo, wreszcie się do tego przyznałem. Nawiedza moje myśli i sny od chwili, gdy ją ujrzałem.

Teraz też niemal płonę z pożądania.

Rzecz w tym, że we wszystkich moich fantazjach ona także mnie pragnie. Tak, chcę ją mieć, ale tylko wilgotną i chętną — chcę, by także mnie pragnęła. Wiem, że mogę ją uwieść, ale gdyby teraz przystała na

moją niecną propozycję, zrobiłaby to ze zgoła niewłaściwych pobudek.

Poza tym obiecałem nie zrobić nic bez jej pozwolenia.

Zamykam oczy.

Od kiedy to słucham sumienia?

W głębi duszy znam odpowiedź.

Paraliżują mnie dzielące nas różnice.

Ona nie ma nic.

Ja mam wszystko.

Kim będę, jeśli wykorzystam swoją przewagę? Na pewno nikiem lepszym od tych wschodnioeuropejskich drani. Przywiozłem ją do Kornwalii, bo chcę ją przed nimi uchronić — a teraz okazuje się, że muszę ją bronić także przed sobą.

Cholera.

To dla mnie nieznane wody.

Dopijam piwo, jednocześnie rozmyślając, co może się dzieć we dworze. Postanawiam, że dowiem się tego jutro, wtedy też zawiadomię Olivera, gdzie przebywam.

Wątpię, by miał na głowie jakieś pilne sprawy wymagające mojej obecności, zresztą nawet gdyby, na pewno się ze mną skontaktuje. Tutaj też mogę popracować. Mam przy sobie telefon, szkoda tylko, że nie zabrałem laptopa.

Ale w tej chwili zdecydowanie muszę iść spać.

Pustą szklankę i butelkę zostawiam na kuchennym blacie, gaszę światło i idę na górę. Przystaję pod drzwiami jej sypialni i nasłuchuję.

Cholera!

Ona płacze.

W ciągu ostatnich czterech tygodni miałem aż nadto do czynienia ze szlochającymi kobietami: Maryanne, Caroline, Danny, Jessie... Przed oczyma znów staje mi pozbawione życia ciało Kita. Zalewa mnie nieoczekiwana fala żalu.

Kit. Kurwa. Dlaczego?

Nagle ogarnia mnie ogromne zmęczenie. Może powinienem zostawić ją w spokoju i dać się wypłakać. Waham się. Jej szloch rozdziera na strzępy moje pogrążone w żałobie serce. Z westchnieniem zbieram się w sobie, pukam delikatnie i wchodzę do środka.

Alessia siedzi skulona na podłodze dokładnie w miejscu, w którym ją zostawiłem, i ukrywa twarz w dłoniach. Jej rozpacz jest odbiciem mojej.

— Och, nie, Alessio! — wykrzykuję i chwytam ją w ramiona. — Już dobrze, nie płacz — szepczę, a głos mi się załamuje.

Siadam na łóżku z Alessią na kolanach i wtulam twarz w jej włosy. Zamykam oczy, wdycham jej słodki zapach i zacieśniam uścisk, tuląc ją do siebie i łagodnie kołyszając.

— Jestem przy tobie — szepczę, chociaż gardło mam ściśnięte. Nie potrafiłem uratować brata przed demonami, które kazały mu pędzić motocyklem przez lodowatą noc, ale przynajmniej mogę pomóc tej pięknej, dzielnej dziewczynie.

Uspokaja się nieco i przykłada dłoń do mojego galopującego serca. Sam nie wiem, jak długo jej nie cofa. Wreszcie cichnie i rozluźnia spięte mięśnie.

Zasypia.

W moich ramionach.

Czuje się w nich bezpieczna.

To prawdziwy przywilej móc tulić w ramionach śpiącą królową.

Całuję ją czule we włosy, układam na łóżku i przykrywam. Jej warkocz wije się na poduszce, a ja przez chwilę mam ochotę go rozpleść. Alessia mamrocze coś w swoim języku i boję się, że mógłbym ją tym obudzić. Po raz kolejny zastanawiam się, czy śni o mnie, tak jak ja o niej.

— Śpij, moja śliczna — szepczę i wychodzę, gasząc po drodze światło. Szybko zamykam za sobą, żeby blask z holu jej nie obudził, i idę do siebie, zostawiając uchylone drzwi.

Na wypadek gdyby mnie potrzebowała...

Za pomocą przycisku opuszczam rolety, które zasłaniają wielkie okno wychodzące na morze. W garderobie zrzucam z siebie ubranie i znajduję piżamę, którą Danny przyniosła tu z głównego budynku. Zakładam tylko spodnie. W Londynie na ogół sypiam nago, ale tutaj, gdzie kręci się tyle służby, wolę nie ryzykować. Ubranie zostawiam na podłodze i kładę się do łóżka. Gaszę światło i leżę wpatrzony w nieprzeniknioną ciemność.

Jutro na pewno będzie lepszy dzień. Jutro będę miał uroczą Alessię Demachi wyłącznie dla siebie. Zastanawiam się, czy postąpiłem słusznie, zabierając ją z dala od wszystkiego, co zna. Nie ma środków do życia, żadnych przyjaciół i jest z tym wszystkim kompletnie sama. No, nie do końca, ma w końcu mnie, ale będę się musiał przyzwoicie zachowywać.

— Mięknie na starość — mamroczę sam do siebie i wyczerpany zasypiam, nie śniąc o niczym.

Budzi mnie dopiero jej przeraźliwy krzyk.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

CHWILĘ TRWA, ZANIM DOCIERA DO MNIE, ŻE COŚ SIĘ DZIEJE. Znów słyszę jej pisk.

Ożeż.

Alessia.

Napędzany adrenaliną wyskakuję z łóżka, już zupełnie rozbudzony. Zapalam lampy w holu i wpadam do drugiego pokoju. Alessia siedzi na łóżku. Pod wpływem światła i hałasu zaczyna rzucać głową, a oczy ma dzikie z przerażenia.

Z jej ust wydobywa się kolejny przeraźliwy krzyk

— Alessio, to ja, Maxim.

Z szybkością karabinu maszynowego wyrzuca z siebie słowa.

—*Ndihmë. Errësirë. Shumë errësirë. Shumë errësirë!*

Co?

Siadam obok niej, a ona rzuca się na mnie, niemal przewracając, i z całej siły chwyta za szyję.

— Hej. — Odzyskuję równowagę i próbuję uspokoić Alessię, tuląc do siebie jej ciało i gładząc włosy.

— *Errësirë. Shumë errësirë. Shumë errësirë* — powtarza w kółko szeptem i przywiera do mnie całą sobą, drżąc jak nowo narodzone źrebię.

— Po angielsku. Mów po angielsku.

— Ciemność — szepcze w moją szyję. — Nienawidzę ciemności. A tu

jest tak strasznie ciemno.

Rany, dzięki Ci, Boże.

Wyobrażałem sobie sceny rodem z horroru i byłem gotów walczyć z całą armią potworów. Oddycham z ulgą i zapalam lampkę nocną, nie wypuszczając Alessii z objęć.

— Lepiej? — pytam, ale na próżno. — Już dobrze, wszystko dobrze. Jestem przy tobie — powtarzam kilkakrotnie.

Dopiero po paru minutach Alessia przestaje dygotać i jej ciało znów się rozluźnia. Dziewczyna prostuje się i patrzy mi w oczy.

— Przepraszam — szepcze.

— Cii. Nie martw się, jestem tuż obok.

Patrzy na moją nagą pierś i powoli się rumieni.

— Tak, wiem, zazwyczaj sypiam nago, więc masz szczęście, że dzisiaj założyłem spodnie — zdobywam się na dowcip.

— Wiem — mówi i zerka na mnie spod opuszczonych rzęs.

— Wiesz?

— Tak. Wiem, że śpisz nago.

— Widziałaś mnie?

— Tak. — Niespodziewanie się uśmiecha.

— Nie jestem pewien, co o tym myśleć.

Uwolniła się od koszmaru, który dręczył ją w ciemnościach, ale jej oczy wciąż niespokojnie obserwują pokój.

— Przepraszam, nie chciałam cię obudzić — mówi. — Tak się bałam...

— Miałaś zły sen?

Kiwa głową.

— A kiedy otworzyłam oczy, było... było tak ciemno. — Wstrząsa nią dreszcz. — Nie wiedziałam, czy to sen, czy jawa.

— Myślę, że w takiej sytuacji każdy by krzyczał. W Trevethick jest inaczej niż w Londynie, nie ma tylu świateł i neonów, więc ciemność jest naprawdę... ciemna.

— Właśnie. Tak samo jak... — milknie i znowu zwiija się w kulkę.

—Jak? — szepczę.

W jej oczach zgasły żartobliwe ogniki, zastąpiły je udręka i napięcie. Spuszcza wzrok i wpatruje się w swoje kolana.

Wciąż milczy. Delikatnie głaszczę jej kark.

— Powiedz mi — proszę.

—W... Jak to się mówi... kamion... ciężarówce. W ciężarówce — mówi, przypominając sobie właściwe słowo.

Przełykam.

— W ciężarówce?

—Tak. W ten sposób przywieźli nas do Anglii. Była metalowa, wyglądała trochę jak skrzynka. Ciemna. I zimna. A do tego ten zapach... — Ledwo mogę dosłyszeć jej słowa.

— Cholera — mamroczę i znowu ją obejmuję. Tuli się do mnie teraz z nieco mniejszą rezerwą. Pewnie już wie, że nie zostawię jej samej.

Wciąż trzymając ją w objęciach, podnoszę się z łóżka i słyszę, jak Alessia, zaskoczona, wstrzymuje oddech.

— Myślę, że powinnaś spać ze mną. — I nie czekając na jej odpowiedź, zanoszę ją do swego pokoju. Stawiam ją ostrożnie na podłodze przy garderobie i podaję jej górę od piżamy.

— Możesz się przebrać w łazience. Spanie w dżinsach i szkolnym swetrze chyba nie jest zbyt wygodne. — Krzywię się do jej zielonego pulowerka.

Mruga gwałtownie oczami.

Cholera. Chyba trochę przesadziłem.

Ogarnia mnie nagłe skrępowanie.

— Chyba że wolisz spać sama.

— Nigdy nie spałam z mężczyzną — odzywa się szeptem.

Och.

— Nie tknę cię. Będziemy po prostu spali. W ten sposób będę tuż obok, kiedy znowu zaczniesz krzyczeć.

Oczywiście wolałbym, żeby krzyczała z zupełnie innego powodu.

Alessia waha się, spoglądając to na mnie, to na łóżko, aż wreszcie zaciska wargi. Chyba podjęła decyzję.

— Chcę spać tutaj, z tobą — oznajmia cicho i zdecydowanym krokiem wchodzi do łazienki, ale zamyka za sobą, dopiero kiedy znajduje włącznik światła.

Z ulgą wpatruję się w te zatrzaśnięte drzwi.

Ma dwadzieścia trzy lata i nigdy nie spała z mężczyzną? Nie będę o tym teraz myśleć. Minęła trzecia nad ranem i jestem naprawdę zmęczony.

ALESSIA PATRZY NA ODBICIE SWOJEJ BLADEJ TWARZY W LUSTRZE. Widzi wielkie podkrążone oczy. Z głębokim westchnieniem otrząsa się z resztek koszmaru: znowu była w kontenerze, lecz tym razem nie towarzyszyły jej pozostałe dziewczyny.

Była sama.

W ciemnościach.

W zimnie.

A ten zapach przewiercał jej nozdrza.

Drżąc, zdejmuje z siebie ubranie. Zapomniała, gdzie jest. Dopiero o n jej przypomniał.

Mister Maxim. Znowu ją uratował.

Jej własny *Skënderbeu*, albański bohater.

Zaczyna mu to wchodzić w krew.

A teraz ona będzie z nim spać.

Z mężczyzną, który nie pozwoli, żeby znowu zaatakowały ją złe sny.

Gdyby jej ojciec się o tym dowiedział, na pewno by ją zabił. A matka... Wyobraża sobie, jak kobieta mdleje na wieść, że Alessia śpi z mężczyzną. Mężczyzną, który nie jest jej mężem.

Nie myśl o Babie ani mamie.

Jej najukochańsza matka wysłała ją do Anglii w przekonaniu, że ratuje córcę życie.

Mylła się. Tak bardzo się myliła.

Och, mamo.

Póki co Alessia jest bezpieczna z panem Maximem. Siłuje się przez chwilę z górą od piżamy, która jest na nią o wiele za duża. Rozplata warkocz i potrząsa włosami. Próbuje je jakoś ułożyć palcami, ale szybko się poddaje. Bierze pod pachę swoje ubrania i otwiera drzwi.

Pokój pana Maxima jest większy od jej sypialni. Urządzono go także w bieli, meble są zaś z polerowanego drewna w tym samym odcieniu co ogromne łóżko, które dominuje w pomieszczeniu. Maxim stoi po drugiej stronie pokoju. Na widok Alessii rozszerzają mu się oczy.

— Jesteś — odzywa się zduszonym głosem. — Już chciałem wysłać misję ratunkową.

Alessia odrywa wzrok od jego błyszczących zielonych oczu i obserwuje tatuaż na jego ramieniu. Wcześniej widziała go tylko przelotnie i nie w całości. Dopiero teraz, nawet z tej odległości, dostrzega wszystkie szczegóły.

Dwugłowy orzeł.

Albania.

— O co chodzi? — Podąża za jej wzrokiem i również zerka na malunek na skórze. — Ach, to — mówi. — Młodzieńczy wyskok. — Brzmi, jakby był odrobinę skrepowany i wyraźnie zdziwiony jej nieskrywanym zainteresowaniem.

Alessia podchodzi do Maxima, nie odrywając wzroku od tatuażu. Mężczyzna podnosi nieco rękę, żeby mogła się lepiej przyjrzeć.

Rysunek zajmuje całą szerokość ramienia i przedstawia czarną tarczę z wizerunkiem dwugłowego orła w kolorze kości słoniowej, który unosi się nad pięcioma żółtymi kółkami ułożonymi w kształcie odwróconej litery V. Alessia odkłada swoje ubranie na siedzisko w nogach łóżka i sięga, by dotknąć ręki Maxima. Spogląda na mężczyznę w oczekiwaniu na pozwolenie.

WSTRZYMUJĘ ODDECH, KIEDY ALESSIA WODZI PALCEM PO MOIM TATUAŻU. Jej delikatny dotyk przeszywa całe moje ciało i dociera do krocza. Zduszam wyrywające mi się z gardła westchnienie.

— To jest symbol mojego kraju — mówi Alessia szeptem. — Na fladze Albanii jest właśnie dwugłowy orzeł.

Co za zbieg okoliczności!

Zaciskam zęby, nie wiedząc, jak długo dam radę znosić jej dotyk bez reakcji.

— Ale nie ma tych żółtych kółek — dodaje.

— To bezanty — odzywam się ochryple.

— Bezanty? — upewnia się Alessia.

— Tak. Przedstawiają monety.

— Racja, w Albanii nazywamy je tak samo. Dlaczego masz taki tatuaż? Co to znaczy? — Zerka na mnie oczami, którym nie sposób się oprzeć.

Co mam jej powiedzieć?

To fragment herbu mojej rodziny.

Nie mam ochoty o trzeciej nad ranem wdawać się w meandry rodzinnej heraldyki. Zresztą zrobiłem sobie ten tatuaż tylko po to, żeby wkurzyć matkę, która nie znosi malunków na skórze. Ale nie mogła przecież protestować przeciwko rodzinnemu herbowi.

— Jak mówiłem, to był młodzieńczy wyskok. — Mój wzrok przenosi się na jej usta. Przeliykam ślinę. — Jest późno, nie mówmy o tym teraz. Chodźmy spać. — Zrzucam kapę z łóżka i robię krok w bok, żeby Alessia mogła się położyć.

Robi to bez zbędnych protestów, odsłaniając smukłe długie nogi, do tej pory zakryte przez o wiele za dużą górę od pizamy.

Zadręczy mnie.

—Co to znaczy „wyskok”? — pyta, kiedy obchodzę łóżko, by położyć się z drugiej strony. Podpiera się na łokciu, a jej cudowne ciemne włosy kaskadą spływają na ramiona, miękko znacząc wypukłości piersi. Wygląda jak bogini, a ja nie mogę jej tknąć.

—W tym przypadku głupie zachowanie — objaśniam, kładąc się obok. Niemal prycham na myśl, że może też oznaczać szaleństwo.

A czy spanie obok tej pięknej dziewczyny nie jest właśnie szaleństwem?

— Wyskok — powtarza szeptem Alessia, kładąc głowę na poduszce.

Przytłumiam światło lampki nocnej. Nie chcę, żeby było zupełnie ciemno, gdyby Alessia znowu się obudziła.

—Właśnie. — Kładę się i zamykam oczy. — A teraz śpij.

— Dobranoc — szepcze cichym, słodkim głosem. —I dziękuję.

Wzdycham. To będą prawdziwe tortury. Obracam się na bok, plecami do niej, i zaczynam liczyć barany.

Leżę na trawie niedaleko wysokiego kamiennego muru, który otacza kuchenny ogród w Tresyllian Hall.

Na skórze czuję ciepło letniego słońca.

Wokół unoszą się woń lawendy rosnącej przy trawniku i słodki zapach róż pnących się po ścianie.

Jest mi ciepło.

Jestem szczęśliwy.

Jestem w domu.

Moją uwagę przykuwa dziewczęcy śmiech.

Odwracam głowę w stronę, z której dobiega, ale słońce mnie oślepia i widzę tylko zarys sylwetki dziewczyny. Wiatr rozwiewa długie kruczoczarne włosy. Dziewczyna jest ubrana w przezroczysty błękitny fartuszek, który wzdyma się wokół jej smukłego ciała.

Alessia.

Zapach kwiatów staje się mocniejszy, a ja przymykam oczy, by rozkoszować się słodką, oszałamiającą wonią.

Kiedy je otwieram, jej już nie ma.

Budzę się zniecka. Przez szczeliny w roletach do pokoju wlewa się światło poranka. Alessia przesunęła się na moją połowę łóżka i leży skulona pod moim ramieniem. Zaciśniętą w pięść dłoń opiera na moim brzuchu, a głowę na piersi. Nogi mamy splecione.

Dosłownie na mnie leży.

I śpi jak kamień.

Za to mój penis już się obudził i jest twardy jak skala.

— O Boże — szepczę, muskając nosem jej włosy. Lawenda i róże.

Oszałamiający zapach.

Serce wali mi jak szalone, kiedy w myślach układam listę możliwych scenariuszy: Alessia w moich ramionach. Gotowa. Niecierpliwa. Kusi mnie i nęci, jest tak blisko... zbyt blisko. Jeśli zmienię pozycję, przewrócę ją na plecy i wreszcie będę mógł się w niej zatracić. Leżę wpatrzony w sufit, modląc się, by mnie nie poniosło. Wiem, że najlżejszy ruch może ją obudzić, więc postanawiam, że pomęcę się jeszcze trochę, i trwam w bezruchu, rozkoszując się słodką torturą jej ciała. Biorę w palce kosmyk jej włosów, jestem zdumiony ich przypominającą jedwab miękkością. Alessia porusza się, rozluźnia rękę i prostuje palce na moim podbrzuszu, łaskocząc porastające je włoski.

Ożeż!

Jestem tak twardy, że marzę jedynie, by złapać jej rękę i zacisnąć ją na mojej erekcji. Gdybym tak zrobił, chyba z miejsca bym eksplodował.

— Mmm — pomrukuje, po czym otwiera oczy i patrzy na mnie sennie.

— Dzień dobry, Alessio. — Ledwie mogę oddychać.

Wciąga gwałtownie powietrze i nieporadnie się odsuwa, by być choć odrobinę dalej ode mnie.

— Miło, że odwiedziłaś mnie na mojej połowie łóżka — żartuję.

Z nieśmiałym uśmiechem i rumieńcem na policzkach naciąga kołdrę pod brodę.

— Dzień dobry — odpowiada.

— Dobrze spałaś? — pytam i kładę się na boku, by móc na nią patrzeć.

— Tak, dziękuję.

— Głodna?

Bo ja na pewno, choć nie o jedzenie mi chodzi.

Kiwa głową.

— Czy to na pewno znaczy „tak”?

Marszczy czoło.

— Wczoraj w samochodzie mówiłaś, że w Albanii jest na odwrót.

— Zapamiętałaś! — Jest zadowolona, ale i zdziwiona.

— Zapamiętałem wszystko, co mi mówiłaś.

Chętnie bym jej powiedział, jak ślicznie dziś wygląda, ale gryzę się w

język. Mam się przecież zachowywać.

— Dobrze mi się z tobą spało — mówi, zbijając mnie z tropu.

— Cóż, w takim razie jest nas dwoje.

— Nie miałam już koszmarów.

— Świetnie. Ja też nie.

Wybuchła śmiechem, a ja usiłuję sobie przypomnieć sen, który mnie obudził. Wiem tylko, że była w nim Alessia.

— Za to ty mi się śniłaś.

— Ja?

— Tak.

— To na pewno nie był koszmar? — pyta z lekką kpina.

— Zdecydowanie nie. — Szczerzę się do niej, a ona odpowiada tym samym.

Jej uśmiech jest ujmujący: idealnie białe zęby, lekko rozchylone różowe usta, jakby w geście zaproszenia.

— Jesteś niezwykle pociągająca — wrywa mi się.

Źrenice jej głębokich brązowych oczu się rozszerzają, co urzeka mnie jeszcze bardziej.

— Pociągająca? — pyta, wstrzymując oddech.

— Tak.

Spoglądamy na siebie w ciszy.

— Nie wiem, co mam zrobić — szepcze.

Zamykam oczy i przetykam ślinę, słysząc jej słowa odbijające się echem w mojej głowie.

Nigdy nie spałam z mężczyzną.

— Jesteś dziewicą? — pytam szeptem i znów na nią spoglądam.

Rumieni się.

— Tak.

Jej bezpośrednia odpowiedź działa na mnie niczym kubeł zimnej wody. Jak dotąd spałem tylko z jedną dziewcziną — Caroline. Dla mnie to też był pierwszy raz i skończył się tak katastrofalnie, że oboje niemal wylecieliśmy ze szkoły. Po wszystkim ojciec zabrał mnie do luksusowego burdelu w Bloomsbury.

Jeśli chcesz się pieprzyć z dziewczynami, najpierw naucz się, jak to robić.

Miałem piętnaście lat, a Caroline zapomniała o tym epizodzie...

Aż do śmierci Kita.

Jasna cholera.

Alessia ma dwadzieścia trzy lata i jest dziewicą? No pewnie, że jest. Czego się spodziewałem? Różni się od wszystkich znanych mi dotąd kobiet. Teraz patrzy na mnie wielkimi oczami, w których dostrzegam oczekiwanie. Znowu nachodzi mnie myśl, że przywiezienie jej tutaj było szaleństwem.

Marszczy czoło. Na jej twarzy maluje się niepokój.

Cholera.

Nachylam się ku niej i kciukiem muskam jej pełną dolną wargę. Alessia robi nagły, głęboki wdech.

— Pragnę cię, Alessio. Bardzo. Ale chcę, żebyś ty też mnie pragnęła.

Myślę, że powinniśmy się trochę lepiej poznać, zanim sprawy zajdą za daleko.

Proszę bardzo. Tak właśnie postępuje dorosły mężczyzna, prawda?

— Okej — mówi szeptem, ale nie wydaje się przekonana, a chyba raczej odrobinę zawiedziona.

Czego ona ode mnie oczekuje?

Wiem, że muszę trzymać się od niej z dala, żeby wszystko sobie w spokoju przemyśleć. Nie mogę się skupić, kiedy leży obok mnie w łóżku. Jest taka śliczna i nadąsana. Siadam i ujmuję dłońmi jej twarz.

— Cieszymy się wakacjami — mamrocze, a potem całuję ją i wstaję.

To nie jest dobra pora.

Nie zachowuję się w porządku wobec niej.

Ani wobec siebie.

— Wychodzisz? — pyta mnie Alessia, podnosząc się z poduszek. W jej wielkich oczach maluje się troska, a włosy niczym welon spływają po jej drobnym ciele. Jest niesamowicie seksowna w górze od piżamy, choć wcale nie stara się taka być.

— Idę wziąć prysznic, a potem przygotuję nam jakieś śniadanie.

— Umiesz gotować?

Parskam śmiechem na widok jej zaskoczonej twarzy.

— Trochę. No, potrafię zrobić jajka na bekonie. — Posyłam jej zawstydzony uśmiech i znikam w łazience.

Kretyn.

Znowu robię sobie dobrze pod prysznicem.

Woda zalewa mnie strumieniem, a ja, opierając się jedną ręką o marmurowe kafle, dochodzę szybko, cały czas myśląc o jej dłoni na moim brzuchu i palcach obejmujących mojego nabrzmiałego penisa.

Dziewica.

Marszczę czoło. Czemu tak się tym przejmuję? Przynajmniej tamci dranie jej nie zgwałcili. Na myśl o nich i o tym, że ją ścigają, ogarnia mnie niepoohamowana wściekłość, ale wiem, że w Kornwalii Alessia jest bezpieczna. A to już coś.

Może jest bardzo wierząca. Jej babcia była misjonarką, a Alessia nosi na szyi złoty krzyżyk. Może seks przedmałżeński to w Albanii temat tabu. Nie mam pojęcia. Myję włosy i ciało mydłem, które zostawiła dla nas Danny.

Nie to planowałem, kiedy wiozłem tu Alessię. Jej brak doświadczenia stanowi problem. Lubię kobiety, dla których seks jest przygodą i które wiedzą, co robią, czego chcą i kiedy mają dość. Pozbawianie kobiety dziewictwa to ogromna odpowiedzialność.

I trudne zadanie, ale ktoś musi je wykonać.

Równie dobrze mogę to być ja.

Gapię się na drania w lustrze.

Chłopie, pora dorosnąć.

Może Alessia szuka stałego związku.

Byłem już w dwóch takich, ale żaden nie przetrwał dłużej niż osiem miesięcy. To niezbyt długo. Charlotte była ambitna, więc szybko przerzuciła się na baroneta z Essex. Arabella jak na mój gust za bardzo lubiła narkotyki. Każdy od czasu do czasu lubi trochę zaszaleć, ale żeby codziennie? Nie ma szans. Jestem pewien, że w końcu wyłądownała na odwyku.

A na czym miałyby polegać związek z Alessią?

Zdecydowanie wybiegam myślami naprzód. Owijam się w pasie ręcznikiem i wracam do sypialni. Alessii nie ma.

Ożeż. Serce mi przyspiesza.

Uciekła? Znowu?

Pukam do jej drzwi. Cisza. Wchodzę i oddycham z ulgą, słysząc dobiegający z łazienki szum prysznic.

Do ciężkiej cholery, weź się w garść.

Wracam do siebie, żeby się ubrać.

ALESSIA MYŚLI, ŻE CHYBA NIGDY NIE WYJDZIE SPOD TEGO PRYSZNICA. W Kukës był co prawda natrysk, ale najprostszy z możliwych, a po każdej kąpeli trzeba było wycierać podłogę. U Magdy słuchawkę zamontowano nad wanną. Ten ma własną kabinę, a gorąca woda spływa kaskadą z największej deszczownicy, jaką Alessia kiedykolwiek widziała — większej nawet od tej w mieszkaniu pana Maxima. Dziewczyna nigdy wcześniej nie zaznała tak boskiej kąpeli. Alessia myje włosy i dokładnie goli całe ciało jednorazową maszynką, którą dostała od Magdy.

Szoruje się żelem, który przywiozła ze sobą. Przymyka oczy, namydlonymi rękami masując piersi.

Pragnę cię, Alessio. Bardzo.

Pragnie jej.

Jej dłoń przesuwa się coraz niżej.

Wyobraża sobie, że to j e g o ręka błądzi po jej ciele, dotykając najbardziej intymnych miejsc.

Ona także go pragnie.

Przypomina sobie, jakie ciepłe i silne było ciało Maxima, kiedy obudziła się w jego ramionach. Porusza ręką, czując, jak w jej brzuchu fruwały motyle. Szybciej. Szybciej. Jeszcze szybciej. Opiera się o rozgrzane płytki. Otwiera usta i gwałtownie łapie powietrze.

Maxim.

Maxim.

Och.

Jej mięśnie ściskają się i rozluźniają, kiedy Alessia szczytuje.

Dyszząc ciężko, otwiera oczy.

Tego właśnie chce... prawda?

Czy może mu zaufać?

Tak.

Niczym nie podważył zaufania, którym go obdarzyła. W nocy uspokoił ją po sennym koszmarze, był taki czuły i delikatny. Pozwolił jej spać ze sobą, żeby nie dręczyły jej złe sny.

Przy nim czuje się bezpieczna — po raz pierwszy od dawna. To miłe doznanie, choć wie, że Dante i Ylli wciąż gdzieś tam są i jej szukają.

Nie. Nie może o nich myśleć.

Żałuje, że tak niewiele wie o chłopakach. W Kukës mężczyźni i kobiety nie przebywają ze sobą tak jak Anglicy — spędzają czas osobno, w towarzystwie osób swojej płci. Tak było od zawsze. Alessia nie ma braci, a na rodzinnych spotkaniach jej kuzyni zawsze siedzieli osobno, więc jedyni mężczyźni, jakich w życiu poznała, to ci z uczelni — no i oczywiście ojciec.

Przesuwa rękami po włosach.

Pan Maxim w niczym ich nie przypomina.

Woda spływa jej po twarzy, a Alessia postanawia nie myśleć na razie o problemach. Dzisiaj, jak powiedział Maxim, są wakacje. Jej pierwsze w życiu.

Z ręcznika robi sobie turban na głowie, ciało owija prześcieradłem kąpielowym i wraca do sypialni. Słyszy, że na dole dudni muzyka, ale jakoś dziwnie niepasująca do znanego jej obrazu Maxima. Gdy przeglądała jego kompozycje, wyobrażała sobie człowieka spokojniejszego i bardziej refleksyjnego niż ten, który teraz puszcza muzykę na cały regulator, pozwalając, by niosła się po całym domu.

Rozkłada na łóżku swoje ubrania. Wszystkie, poza parą džinsów i stanikiem, dostała od Magdy i Michała. Marszczy brwi, żałując, że nie ma czegoś bardziej atrakcyjnego. Wybiera białą koszulkę z długimi rękawami —trochę powyciąganą, ale będzie musiała wystarczyć. Alessia nie ma nic innego.

Osusza włosy ręcznikiem, szczotkuje i pozwala, by swobodnie opadły na ramiona, a potem schodzi na parter. Przez szybę zamykającą klatkę schodową widzi Maxima w kuchni. Mężczyzna ma na sobie jasnoszary sweter i potargane czarne džinsy. Ze ścierką przerzuconą przez ramię stoi przy kuchence. Kołysze się w rytm muzyki, smażąc bekon, który pachnie wyśmienicie. Alessia mimowolnie się uśmiecha. Kiedy sprzątała w jego mieszkaniu, nic nie wskazywało na to, że potrafi gotować.

Tam, skąd pochodzi, mężczyźni nie gotują.

Ani w czasie gotowania nie tańczą.

Jak urzeczona wpatruje się w jego szerokie ramiona, wąskie biodra i białe stopy przytupujące do taktu. Czuje rozkoszny skurcz w dole brzucha. Maxim przeczesuje palcami wilgotne włosy i odwraca mięso na drugą stronę. Do jej ust napływa ślina.

Mmm... ten zapach.

Ten widok.

Maxim obraca się gwałtownie i rozpromienia, widząc ją na schodach. Uśmiecha się równie szeroko jak ona.

—Jedno jajko czy dwa? — pyta głośno, przekrzykując muzykę.

— Jedno — odpowiada Alessia i wchodzi do kuchni.

Obraca się do okna. Krajobraz rozciągający się za sięgającą od podłogi do sufitu szybą zapiera jej dech w piersiach.

Morze!

— *Deti! Deti! Morze!* — woła głośno, podbiegając do wielkich szklanych drzwi prowadzących na balkon.

ZMNIEJSZAM GAZ POD PATELNIĄ I BIEGNĘ ZA ALESSIĄ, która przeskakuje z nogi na nogę, nie posiadając się z emocji.

— Możemy pójść nad morze? — Oczy jej błyszczą z zachwytu. Dalej podskakuje jak dziecko.

—Jasne. Proszę bardzo. — Otwieram drzwi balkonowe. Zaskakuje nas silny powiew lodowatego wiatru. Mimo to Alessia wybiega na balkon, nie bacząc, że ma mokre włosy, bose stopy i jest ubrana tylko w cienką bluzeczkę.

Czy ta kobieta nie ma żadnych porządných ubrań?

Chwytam szary pled przerzucony przez oparcie kanapy i wychodzę za Alessią na balkon. Zarzucam na nią koc i obejmuję ją ramionami. Tulę do siebie, kiedy podziwia widok. Jej twarz rozpromienia zachwytem.

Kryjówka, tak jak pozostałe trzy domy wakacyjne, została wzniesiona na skalnym cyplu. Wąską, krętą ścieżką prowadzącą z ogrodu można zejść na plażę. Dzień jest jasny i słoneczny, ale hulający wiatr przyniósł

przenikliwe zimno. Morze koloru lodowatego błękitu naznaczają białe plamy pniących się fal. Słysząc, jak z obu stron zatoki z hukiem rozbijają się o klif. W świeżym powietrzu czuć smak soli. Alessia obraca się do mnie, kompletnie zafascynowana.

— Chodź, zjedzmy. — Nie zapominam, że na gazie wciąż gotuje się śniadanie. — Zamarzniesz tutaj na śmierć. Na plażę pójdziemy później. — Wchodzimy do środka i zamykam za nami drzwi. — Muszę tylko usmażyć jajka! — wołam, przekrzykując muzykę.

— Pomogę ci! — odkrzykuje Alessia i wciąż owinięta kocem idzie za mną do kuchni.

Ściszam muzykę przez aplikację w telefonie.

— Tak lepiej.

— Interesująca piosenka — zauważa Alessia tonem, który podpowiada mi, że nie jest nią specjalnie zachwycona.

— To koreański house. Czasem puszczam te kawałki, kiedy gram w klubie. — Sięgam do lodówki po jajka. — Dwa?

— Nie, jedno.

— Jesteś pewna?

— Tak.

— No dobra, to jedno. Ja zjem dwa. Możesz zrobić tosty. Chleb jest w lodówce, a toster stoi tam.

Kiedy pracujemy razem w kuchni, mam okazję, żeby ją poobserwować. Smukłymi, zwinnymi palcami wyławia grzanki z tosterka i smaruje je masłem.

— Gotowe. — Wyjmuję z podgrzewacza dwa talerze i stawiam na blacie. Z uśmiechem patrzy, jak serwuję nasze śniadanie.

— Nie wiem jak ty, ale ja konam z głodu.

Wrzucam patelnię do zlewu, biorę oba naczynia i prowadzę Alessię do stołu, do którego już wcześniej nakryłem.

Alessia chyba jest pod wrażeniem.

Dlaczego na ten widok czuję się, jakbym wreszcie coś osiągnął?

— Usiądź tutaj. Będziesz mogła podziwiać widok

— I JAK? SMAKOWAŁO? — PYTA MAXIM.

Siedzą przy ogromnym stole jadalnym. Alessia zajęła miejsce u szczytu, co nigdy wcześniej jej się nie zdarzyło. Podziwia rozciągający się za oknem widok na morze.

— Było pyszne. Jesteś człowiekiem o wielu talentach.

— Zdziwiłabyś się — odpowiada sucho, jakby miał lekką chrypkę. Z jakiegoś powodu jego ton i sposób, w jaki na nią patrzy, odbierają jej na chwilę dech w piersiach.

— Wciąż masz ochotę na spacer?

— Tak.

— Zgoda.

Maxim bierze telefon i wybiera jakiś numer, a Alessia zastanawia się, do kogo dzwoni.

— Cześć, Danny — mówi Maxim do słuchawki. — Nie, wszystko u nas w porządku. Czy mogłabyś przynieść suszarkę do włosów... Och, są tutaj? Świetnie, w takim razie będą mi potrzebne kalosze albo jakieś trampy... — Kieruje wzrok na Alessię. — Jaki rozmiar?

Nie ma pojęcia, o czym on mówi.

— Rozmiar buta — wyjaśnia.

— Trzydzieści osiem.

— To będzie, hmm... piątka, i skarpetki, jeśli jakieś masz. Tak, damskie... Nie ma znaczenia. Aha, i jeszcze jakąś porządną ciepłą kurtkę... Tak. Też damską. Szczupłą. Niewysoka. Możliwie jak najprędzej. — Słucha przez chwilę. — Fantastycznie — mówi i się rozłącza.

— Mam kurtkę.

— Ale nie dość ciepłą. Nie rozumiem też, o co chodzi z tymi albańskimi zwyczajami w kwestii skarpetek, ale na dworze jest naprawdę zimno.

Alessia czerwieni się ze wstydu.

Dante i Ylli zabrali cały jej bagaż, a kiedy dotarła do Brentford, Magda musiała spalić większość ubrań, które Alessia miała na sobie. Zupełnie nie nadawały się już do użytku.

— Kim jest Danny?

— Mieszka niedaleko — odpowiada Maxim i zaczyna zbierać puste naczynia ze stołu.

—Ja to zrobię — mówi Alessia, zszokowana, że mężczyzna sprząta. — I pozmywam. — Bierze od niego talerze i wkłada je do zlewu.

— Nie, ja się tym zajmę. W komodzie w twojej sypialni powinna być suszarka do włosów. Lepiej idź je wysuszyć.

— Ale...

Chyba nie zamierza po niej zmywać! Żaden mężczyzna tego nie robi!

— Żadnych ale. Zajmę się tym. Dość już po mnie posprzątałaś.

— Ale to moja praca.

— Nie dzisiaj. Jesteś moim gościem. No już, zmykaj. —Jego słowa brzmią szorstko. Surowo. Po plecach przebiega jej znajomy dreszcz. — Proszę — dodaje Maxim.

— Okej — szepcze Alessia i szybko wychodzi z kuchni. Nie ma pojęcia, czemu Maxim się na nią gniewa.

Proszę, nie złość się na mnie.

—Alessio! — woła za nią. Ze wzrokiem wbitym w podłogę dziewczyna przystaje u stóp schodów. — W porządku?

Alessia w odpowiedzi tylko kiwa głową i szybko wchodzi na górę.

Co jest, do cholery?

Co ja takiego powiedziałem? Gdy Alessia idzie po schodach, zauważam, że unika mojego wzroku.

Psiakrew!

Nie wiem, czym i w jaki sposób ją tak zdenerwowałem. Kusi mnie, żeby pójść za nią, ale rezygnuję z tego pomysłu i zamiast tego zaczynam wkładać naczynia do zmywarki.

Chwilę później, gdy odkładam na miejsce umytą patelnię, dzwoni domofon.

Danny.

Zerkam na schody w nadziei, że pojawi się na nich Alessia, ale na próżno. Wpuszczam więc gościa i wyłączam muzykę, bo wiem, że na pewno by się mu nie spodobała.

ALESSIA CZESZE WŁOSY POD CIEPŁEM SUSZARKI, a szum urządzenia dzwoni jej w

uszach. Z każdym pociągnięciem szczotki jej serce bije coraz wolniej.

Mówił zupełnie jak jej ojciec.

Zareagowała tak jak zawsze: zeszła mu z oczu. Baba nigdy nie wybaczył ani jej, ani matce, że jego jedyne dziecko okazało się córką. Większy ciężar tego gniewu niosła oczywiście biedna mama.

Ale *mister Maxim* w niczym nie przypomina jej ojca. *W niczym.*

Kończy suszyć włosy. Wie, że tylko w jeden sposób zdoła odzyskać równowagę i choć na chwilę zapomnieć o swojej rodzinie. Musi zagrać. Muzyka jest i zawsze była jej jedyną ucieczką.

Kiedy wraca na dół, pana Maxima tam nie ma. Zastanawia się, gdzie zniknął, ale palce aż ją swędzą. Siada przy małym białym pianinie, podnosi klawisz i bez żadnych wstępów zaczyna gniewne Preludium c—moll Bacha. Muzyka wiruje w pokoju jaskrawymi odcieniami pomarańcza i czerwieni i wypala wszystkie myśli o ojcu, dając Alessii poczucie wolności.

Kiedy otwiera oczy, widzi, że wpatruje się w nią Maxim.

— To było piękne — mówi szeptem.

— Dziękuję.

Maxim podchodzi do niej i wierzchem palca gładzi ją delikatnie po policzku, a następnie ujmuje ją pod brodę i unosi ku sobie jej twarz. Alessia zatracą się w jego magnetycznym spojrzeniu, podziwiając niesamowitą barwę jego oczu. Z bliska zauważa, że tęczęwki są ciemniejsze od zewnątrz — w kolorze rosnących w Kukës jodeł — a bliżej źrenicy jaśniejsze — jak paprocie wiosną. Kiedy Maxim się nad nią nachyla, Alessia myśli, że chce ją pocałować, ale nie robi tego.

— Nie wiem, czym cię tak zdenerwowałem — mówi tylko.

Przykłada mu palec do ust, żeby zamilkł.

— Nie zrobiłeś nic złego — szepcze.

Maxim całuje ją w opuszek palca, a ona cofa rękę.

— Cóż, gdyby jednak, to przepraszam. Więc jak, masz ochotę na spacer po plaży?

Uśmiecha się do niego radośnie.

—Tak.

— Świetnie. Tylko musisz się ciepło ubrać.

ALESSIA JEST NIECIERPLIWA. Niemal wrywa mi ramię ze stawu, ciągnąc mnie w dół kamienistej ścieżki. Wreszcie schodzimy na plażę, a dziewczyna zachowuje się, jakby oszalała. Puszczą moją rękę i pędzi w stronę gniewnego morza. Gubi czapkę, a wiatr rozwiewa jej włosy.

— Morze, morze! — krzyczy i kręci się w kółko z rozpostartymi ramionami.

Zapominając o wcześniejszej urazie, uśmiecha się szeroko, a na jej twarzy widać czystą radość. Idę w jej kierunku po szorstkim piasku i podnoszę porzuconą czapkę.

—Morze! — woła znowu, przekrzykując ryk wody, i jak szalona wymachuje ramionami, uradowana każdą falą rozbijającą się o brzeg.

Nie sposób powstrzymać uśmiechu na widok jej niepohamowanego entuzjazmu, pierwszego spotkania z morzem. To zbyt kuszący i zaraźliwy obraz. Uradowany patrzę, jak Alessia z piskiem ucieka przed nadbiegającymi falami. W za dużych kaloszach i zbyt obszernej kurtce wygląda prześmiesznie, twarz ma zaróżowioną, a nos zupełnie czerwony. Jest po prostu urzekająca. Serce mi się ściska.

Ciesząc się jak dziecko, podbiega do mnie i łapie za rękę.

— Morze! — krzyczy znowu i ciągnie mnie w stronę rozbuchanych fal.
Nie protestuję, dając się porwać radości.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

IDA, TRZYMAJĄC SIĘ ZA RĘCE, BIEGĄCĄ WZDŁUŻ BRZEGU DRÓŻKĄ I ZATRZYMUJĄ SIĘ PRZY STAREJ RUINIE.

— Co to za miejsce? — pyta Alessia.

— Opuszczona kopalnia cyny.

Alessia i Maxim opierają się o komin i patrzą na morze wzburzane grzywami białej piany. Między nimi gwiżdże zimny wiatr.

— Tu jest tak pięknie — mówi Alessia. — Tak dziko. Przypomina mi się dom.

Tylko że tutaj jestem szczęśliwsza. Czuję się... bezpieczna.

To dlatego, że jestem z panem Maximem.

— Ja też uwielbiam to miejsce. To tutaj dorastałem.

— W tym domu, w którym się zatrzymaliśmy?

Maxim odwraca wzrok.

— Nie. Mój brat zbudował go całkiem niedawno. — Wargi opadają mu w kącikach i wydaje się zagubiony.

— Masz brata?

— Miałem — szepcze. — Już nie żyje.

Wbija ręce głębiej w kieszenie płaszcza i wpatruje się w morze z ponurą twarzą przypominającą rzeźbę wykuta z kamienia.

— Przykro mi — mówi Alessia, a widząc jego zboląłą minę, domyśla

się, że śmierć brata musiała się wydarzyć niedawno.

Wyciąga rękę i kładzie dłoń na jego ramieniu.

— Tęsknisz za nim — mówi.

— Tak — szepcze Maxim, odwracając do niej twarz. — Tęsknię. Kochałem go.

Alessia jest zdumiona jego szczerością.

— Masz jeszcze jakąś rodzinę?

— Siostrę. Maryanne. — Uśmiecha się z czułością, ale bardzo przelotnie. — No i jest też moja matka. — W jego głosie pojawia się lekceważąca nuta.

— A ojciec?

— Ojciec zmarł, gdy miałem szesnaście lat.

— O. Przykro mi. A czy siostra i matka tu mieszkają?

— Kiedyś mieszkały. Teraz przyjeżdżają czasem z wizytą — odpowiada Maxim. — Maryanne mieszka i pracuje w Londynie. Jest lekarką. — Uśmiecha się z dumą.

— Ua. — Alessia jest pod wrażeniem. — A matka?

— Przeważnie jest w Nowym Jorku. — Jego odpowiedź brzmi szorstko. Nie chce o niej rozmawiać.

A ona nie chce rozmawiać o swoim ojcu.

— Niedaleko Kukës są kopalnie — mówi Alessia, żeby zmienić temat, i podnosi wzrok na kamienny szary komin. Wygląda jak ten przy drodze do Kosowa.

— Naprawdę?

— Tak

— Co się w nich wydobywa?

— *Krom*. Nie znam tego słowa.

— Chrom?

Wzrusza ramionami.

— Nie wiem, jak to się mówi po angielsku.

— Chyba powinienem zainwestować w słownik angielsko—albański — mówi cicho Maxim. — Chodź, przejdźmy się do wioski. Zjemy jakiś lunch.

— Do wioski? — Podczas spaceru Alessia nie dostrzegła żadnych zabudowań.

— Do Trevethick. To mała osada zaraz za wzgórzem. Lubiana przez turystów.

Alessia rusza u jego boku.

— Czy zdjęcia w twoim mieszkaniu są stąd? — pyta.

— Pejzaże. Tak. Są stąd. — Maxim się rozpromienia. — Spostrzegawcza jesteś — dodaje, a jego uniesione brwi mówią Alessii, że jest pod wrażeniem.

Posyła mu nieśmiały uśmiech, a on ujmuje jej obleczoną w rękawiczkę dłoń.

Schodzą z dróżki w ścieżkę tak wąską, że nie mogą iść obok siebie. Żywopłoty z obu stron są wysokie, ale przycięte od strony przejścia. W równo przystrzyżonych jeżynach i bezlistnych krzewach tu i ówdzie bieleją grudki śniegu. Idąc, Alessia i Maxim mijają szeroki zakręt i na końcu ścieżki ukazuje im się wioska Trevethick. Kamienne i bielone wapnem domki nie mogą się równać z niczym, co Alessia dotąd widziała.

Wydają się małe i stare, ale są urzekające. Cała wioska jest urocza i czyściutka — nigdzie nie widać brudu. Tam, skąd Alessia pochodzi, na ulicach zalegają śmieci i odpadki z placów budowy, a większość budynków jest z betonu.

Od nabrzeża ciągną się w morze dwie kamienne keje, niczym dwojgiem ramion obejmując port, w którym cumują trzy duże kutry. Przy nabrzeżu jest kilka sklepów — parę butików, ogólnospożywczy, mała galeria sztuki — i dwa puby. Jeden nazywa się Wodopój, a drugi — Dwugłowy Orzeł. Na zewnątrz wisi szyld przedstawiający znak, który Alessia rozpoznaje.

— Patrz! — pokazuje znak. — Twój tatuaż.

Maxim puszcza do niej oko.

— Jesteś głodna?

— Tak — odpowiada. — To był długi spacer.

— Dzień dobry, milordzie. — Z Dwugłowego Orła wychodzi starszy mężczyzna w czarnym szalu, zielonym impregnowanym płaszczu i kaszkiecie. Za nim podąża kudłaty pies nieokreślonej rasy ubrany w czerwony kubrak z imieniem Boris wyhaftowanym złotą nicią na grzbiecie.

— Ojciec Trewin! — Maxim ściska mu dłoń.

— Jak się trzymasz, młody człowieku? — Mężczyzna poklepuje Maxima po ramieniu.

— Dziękuję, dobrze.

— Miło mi to słyszeć. A kim jest ta urocza młoda dama?

— Ojciec Trewin, nasz pastor. Niech mi będzie wolno przedstawić Alessię Demachi, moją... przyjaciółkę z zagranicy.

— Witaj, moja droga. — Trewin wyciąga rękę.

— Dzień dobry — mówi Alessia, ściskając wyciągniętą dłoń, zaskoczona i uradowana, że bezpośrednio się do niej zwrócił.

— Jak ci się podoba w Kornwalii?

— Jest ślicznie.

Trewin posyła jej dobroduszny uśmiech i odwraca się do Maxima.

— Zapewne nie mogę mieć nadziei, że ujrzę was na jutrzejszym nabożeństwie?

— Zobaczymy, ojczec.

— Trzeba dawać przykład, synu. Pamiętaj o tym.

— Wiem, wiem — odpowiada Maxim z rezygnacją w głosie.

— Rzeński dzień! — zakrzykuje ojciec Trewin, zmieniając temat.

— To prawda.

Pastor gwizdże na Borisa, który usiadł i czekał cierpliwie, aż skończą z uprzejmościami.

— W ramach przypomnienia, niedzielne nabożeństwo zaczyna się punktualnie o dziesiątej. — Kłania się im obojgu i rusza ścieżką w górę.

— Pastor to taki ksiądz, tak? — pyta Alessia, gdy Maxim otwiera drzwi pubu i wpuszcza ją pierwszą do ciepłego wnętrza.

— Tak. Jesteś wierząca? — mówi, zaskakując ją tym pytaniem.

— N...

— Dzień dobry, milordzie — odzywa się potężny mężczyzna o rudych włosach i rumianej cerze, przerywając ich rozmowę.

Stoi za imponującym barem obwieszonym dla dekoracji dzbankami i

szklankami do piwa. Na jednym końcu sali w kominku płonie ogień, a na drugim wzdłuż ustawionych w jednej linii stołów stoją drewniane ławy o wysokich oparciach, przeważnie zajęte przez gości obojga płci — tutejszych czy turystów, tego Alessia nie wie. Pod sufitem zawieszono rybackie liny, sieci i inny sprzęt. Atmosfera jest ciepła i przyjazna. W głębi całuje się nawet jakaś para. Alessia zawstydzona odwraca wzrok i trzyma się blisko pana Maxima.

— HEJ, JAGO — MÓWIĘ DO BARMANA. — STOLIK DLA DWÓCH OSÓB NA LUNCH?

— Megan coś znajdzie. — Jago pokazuje odległy koniec sali.

— Megan?

Cholera.

— Tak, pracuje tu teraz.

Ożeż.

Spoglądam z ukosa na Alessię, a ona patrzy skonsternowana.

— Jesteś pewna, że chce ci się jeść?

— Tak — odpowiada Alessia.

— Szklanka Doom Bar? — pyta Jago, przyglądając się Alessii z przesadnym zachwytem.

— Tak, poproszę. — Staram się nie zabić go wzrokiem.

— A dla pani? — Głos Jaga mięknie, a oczy wciąż wpatrują się w moją towarzyszkę.

— Czego się napijesz? — pytam.

Alessia zdejmuje czapkę i uwalnia włosy. Policzki ma zaczerwienione

od zimna. — Takiego piwa jak wczoraj? — mówi.

Z rozpuszczonymi ciemnymi lokami opadającymi niemal do pasa, błyszczącymi oczami i promiennym uśmiechem wygląda jak egzotyczna piękność. Jestem urzeczony. Totalnie, absolutnie urzeczony. Nie mogę mieć do Jaga pretensji, że tak się w nią wpatruje.

— Małe jasne pełne dla pani — mówię, nie spoglądając w jego stronę.

— O co chodzi? — pyta Alessia i zaczyna rozpinąć zamek pikowanej kurtki Barbour należącej do Maryanne. Wiem już, że się na nią gapiłem.

Kręcę głową, a ona posyła mi nieśmiały uśmiech.

— Cześć, Maxim. Czy może powinnam teraz mówić „milordzie”?

Cholera.

Odwracam się, a przede mną stoi Megan z wyrazem twarzy tak mrocznym jak jej ciemne ubranie.

— Stolik dla dwojga? — pyta przesłodzonym tonem i z uśmiechem na twarzy.

— Prosimy. Jak się miewasz?

— Świetnie — odburkuje, a mnie robi się nieprzyjemnie i słyszę głos ojca rozbrzmiewający w mojej głowie.

Nie posuwaj miejscowych panienek, chłopcze.

Odsuwam się na bok, żeby przepuścić Alessię, i oboje idziemy za ponurą Megan. Prowadzi nas do stolika w rogu przy oknie wychodzącym na keje. To najlepsze miejsce w całym lokalu. Chociaż tyle.

— Może być? — pytam Alessię, z rozmysłem ignorując Megan.

— Tak. Jest ładnie — odpowiada, spoglądając z zakłopotaniem na nadąsaną kelnerkę.

Podsuwam jej krzesło, żeby usiadła. Jago przynosi piwo, a Megan odchodzi niespiesznie, pewnie po menu... albo kij do krykieta.

— Zdrowie. — Podnoszę swoją szklanę.

— Zdrowie — odpowiada Alessia. Bierze łyk, po czym mówi: — Megan chyba nie jest zadowolona, że cię widzi.

— Nie, raczej nie. — Wzruszam ramionami, żeby pokazać, jak mało mnie ten temat obchodzi. Naprawdę nie chcę rozmawiać z Alessią o Megan. — Ale zaczęłaś mówić o swojej wierze?

Przygląda mi się z powątpiewaniem, jakby zastanawiała się nad tym, co łączy mnie z tamtą dziewczyną, po czym mówi:

— Komuniści zakazali w moim kraju religii.

— Wspominałaś o tym wczoraj w samochodzie.

— Tak.

— Ale nosisz złoty krzyżyk.

— Menu — przerywa Megan i podaje dwie zalaminowane karty. — Zaraz wrócę, żeby przyjąć zamówienie. — Odwraca się na pięcie i rusza do baru.

Ignoruję ją.

— Odpowiesz mi?

Alessia podejrzliwym wzrokiem patrzy za odchodzącą Megan, ale nie komentuje ani słowem. Mówi dalej:

— Należał do mojej babci. Była katoliczką. Modliła się w tajemnicy. — Bierze w palce złoty krzyżyk

— Czyli w twoim kraju nie ma ludzi wierzących?

— Teraz, odkąd staliśmy się republiką, a komunizm upadł, już są, ale w Albanii to nie jest takie ważne.

— O, myślałem, że na Bałkanach religia jest wszystkim.

— Nie w Albanii. Jesteśmy... jak to się mówi? Państwem świeckim. Religia to bardzo osobista sprawa. No wiesz, pomiędzy jednostką a Bogiem. W moim domu jesteśmy katolikami. Większość ludzi w moim mieście to muzułmanie, ale nie przejmujemy się tym zbytnio — odpowiada i patrzy na mnie pytająco. — A ty?

— Ja? Cóż, chyba mogę powiedzieć, że należę do Kościoła anglikańskiego. Ale w ogóle nie jestem religijny.

Powracają do mnie słowa ojca Trewina.

Trzeba dawać przykłady synu.

Jasna cholera.

Może powinienem jutro pójść do kościoła. Kit, gdy tu przyjeżdżał, zawsze znalazł czas, żeby tam zajrzeć przynajmniej w jedną albo dwie niedziele w miesiącu.

Ja niekoniecznie.

Oto jeszcze jeden przeklęty obowiązek, który mi przyjdzie wypełniać.

— Wszyscy Anglicy są tacy jak ty? — pyta Alessia, wciągając mnie z powrotem w rozmowę.

— W sprawach wiary? Część tak. Część nie. Wielka Brytania to kraj wielu kultur.

— To wiem. — Uśmiecha się. — Kiedy jeździłam pociągiem w Londynie, słyszałam tak wiele języków.

— Podoba ci się? W Londynie?

— Jest głośno, tłoczno i bardzo drogo. Ale i ekscytująco. Nigdy wcześniej nie byłam w dużym mieście.

— Nawet w Tiranie? — Dzięki swojej kosztownej edukacji znam przynajmniej stolicę Albanii.

— Nie. Nigdzie nie podróżowałam. Nigdy nie widziałam morza, dopóki mnie tu nie przywiozłeś.

Spojrzenie, którym wybiega za okno, jest smutne, ale przynajmniej mam okazję przyjrzeć się jej z profilu: długie rzęsy, zadarty nosek, lekko wydęte wargi. Wiercę się na siedzeniu i czuję, jak krew mi gęstnieje.

Uspokój się.

Zjawia się Megan. Włosy zebrała do tyłu, a jej twarz jest ściągnięta ze złości. Mój problem znika.

Nie mogę! Ona nadal jest rozgoryczona. To były jedne wakacje siedem lat temu. Jedno pieprzone lato.

— Czy mogę przyjąć zamówienie? — pyta, próbując mnie zabić wzrokiem. — Rybą dnia jest dorsz. — Stara się, żeby brzmiało to jak obelga.

Alessia marszczy brwi i szybko zagląda w kartę.

— Poproszę zapiekankę rybną — mówię i z irytacją zadzieram głowę, rzucając Megan wyzwanie. Czekam, aż coś powie.

— Dla mnie to samo — odzywa się Alessia.

— Dwa razy zapiekanka rybna. Jakieś wino?

— Poprzestanę na piwie. Alessio?

Megan zwraca się do ślicznej Alessii Demachi.

— Dla pani? — warczy.

— Może zostać piwo.

— Dziękuję, Megan — wydaję ostrzegawcze burknięcie, a ona strzela we mnie oczami.

Pewnie napluje do mojego jedzenia — albo, co gorsza, do porcji Alessii.

— Cholera — mruczę pod nosem, patrząc za nią, jak maszeruje z powrotem do kuchni.

Alessia obserwuje moją reakcję.

— To sprawa sprzed kilku lat — mówię i w zażenowaniu ciągnę za kołnierz swetra.

— Jaka sprawa?

— Megan i ja.

— Ach — odpowiada Alessia beznamiętnym tonem.

— Stare dzieje. Lepiej opowiedz mi o swojej rodzinie. Masz rodzeństwo? — pytam, rozpaczliwie usiłując zamknąć już ten temat.

— Nie — odpowiada krótko i jest oczywiste, że nadal myśli o Megan i o mnie.

— Rodziców?

— Mam matkę i ojca. Jak wszyscy. — Unosi jedną wygiętą w piękny łuk brew.

Oho. Rozkoszna Demachi pokazuje pazurki.

— Jacy oni są? — pytam, hamując rozbawienie.

— Moja mama jest... odważna. — Głos Alessii robi się miękki i tęskny.

— Odważna?

— Tak. — Jej twarz przybiera ponury wyraz, a spojrzenie znowu wędruje za okno.

Okej. To wyraźnie jest zakazany temat.

— A ojciec?

Kręci głową i wzrusza ramionami.

— Jest albańskim mężczyzną.

— A to znaczy, że...?

— Cóż, jest staroświecki i nie... jak to się mówi? Nie najlepiej się rozgadujemy. — Jej twarz nieco smutnieje, a niepokój, jaki się na niej maluje, mówi mi, że tego tematu też lepiej nie poruszać.

— Dogadujemy — poprawiam ją. — Opowiedz mi w takim razie o Albanii.

Twarcz jej się rozpromienia.

— Co chcesz wiedzieć? — Spogląda na mnie przez długie ciemne rzęsy i czuję, jak znowu napina mi się krocze.

— Wszystko — szepczę.

Przyglądam się i słucham jej, zafascynowany. Z pasją i swadą maluje przede mną obraz swojego kraju i domu. Mówi mi, że Albania to takie szczególne miejsce, gdzie rodzina jest w centrum wszystkiego. To bardzo stary kraj, który przez wieki ulegał wpływom kilku kultur i różnych ideologii. Tłumaczy mi, że Albania zwraca się i ku Wschodowi, i ku Zachodowi, ale coraz częściej szuka inspiracji w Europie. Alessia jest dumna ze swojego rodzinnego miasta. Kukës to niewielka miejscowość na północy, w pobliżu granicy z Kosowem, a ona zachwyca się jego niesamowitymi jeziorami, rzekami i wąwozami, ale najbardziej ze wszystkiego górami, które je otaczają. Ożywia się, mówiąc o krajobrazie, i jest jasne, że tego brakuje jej z rodzinnych stron najbardziej.

— Dlatego tak mi się tu podoba — mówi. — Z tego, co widziałam, w Kornwalii też jest pięknie.

Przerywa nam Megan niosąca zapiekankę. Z brzękiem stawia talerze na stole i odchodzi bez słowa. Ma skwaszoną minę, ale danie jest gorące i pyszne; nie widać, żeby ktoś do niego napluł.

— Co robi twój ojciec? — pytam ostrożnie.

— Ma stację obsługi pojazdów.

— Sprzedaje benzynę?

— Nie. Naprawia samochody. Opony. Jest mechanikiem.

— A twoja mama?

— Jest w domu.

Chcę zapytać Alessię, dlaczego wyjechała z Albanii, ale wiem, że przypomni jej to koszmarną podróż do Anglii.

— A co ty robiłaś w Kukës?

— Cóż, studiowałam, ale moją uczelnię zamknięto, więc czasem pracowałam w szkole z małymi dziećmi. A czasem grałam na pianinie...
— Jej głos cichnie, a ja nie wiem, czy to przez uczucie nostalgii, które ją ogarnęło, czy z jakiegoś innego powodu. — Opowiedz mi o swojej pracy.

To oczywiste, że pragnie zmienić temat, a ponieważ nie chcę jej na razie mówić, czym się zajmuję, opowiadam o swojej karierze didżeja.

— Spędziłem kilka letnich sezonów w San Antonio na Ibizie. To dopiero jest imprezowe miejsce.

— A jaką muzykę lubisz najbardziej?

— Każdą. Nie mam ulubionego gatunku. A ty? Ile miałaś lat, kiedy zaczęłaś grać?

— Cztery.

Wcześniej.

— Studiowałaś muzykę? To znaczy teorię muzyki?

— Nie.

Coraz bardziej mi imponuje.

Przyjemnie się patrzy na Alessię, jak je. Policzki ma rumiane, oczy jej lśnią i podejrzewam, że po dwóch piwach jest lekko wstawiona.

— Czy zamówić coś jeszcze? — pytam.

Kręci głową.

— Chodźmy.

Rachunek przynosi nam Jago. Megan pewnie się zbuntowała albo ma akurat przerwę. Płacę, a gdy wychodzimy z pubu, chwytam Alessię za rękę.

— Skoczmy na chwilę do sklepu — mówię.

— Okej. — Jej krzywy uśmiech sprawia, że sam szczerzę zęby.

Lokale w Trevethick są własnością mojej rodziny, a miejscowi je dzierżawią. Od Wielkanocy do Nowego Roku nieźle na nich zarabiają, ale sklep wielobranżowy jako jedyny rzeczywiście bywa przydatny. Wiele kilometrów dzieli nas od najbliższego miasta, a tutaj można kupić naprawdę sporo różnych rzeczy. Gdy wchodzimy, rozlega się melodyjny dzwonek.

— Jeśli czegoś potrzebujesz, daj znać — mówię do Alessii, która patrzy na ekspozycję, chwiejąc się lekko.

Podchodzę do lady.

— Czym mogę służyć? — pyta sprzedawczyni, wysoka, młoda kobieta, której nie znam.

— Czy macie lampki nocne? Takie dla dzieci?

Kobieta wychodzi zza lady i szuka na półkach w pobliskiej alejce.

— To jedyne, jakie mamy. — Podnosi kartonik z małym plastikowym smokiem w środku.

— Poproszę.

— Potrzebne są do niej baterie — informuje mnie sprzedawczyni.

— Wezmę je od razu.

Bierze opakowanie i wraca za ladę, gdzie w międzyczasie wypatrzyłem prezerwatywy.

Cóż, może mi się poszczęści.

Oglądam się na Alessię, która przegląda jakieś pisemko.

— Poproszę jeszcze paczkę kondomów.

Młoda kobieta się rumieni, a ja oddycham z ulgą na myśl, że jej nie znam.

— Które pan sobie życzy? — pyta.

— Te — pokazuję swoją ulubioną markę.

Dziewczyna szybko wkłada paczuszkę do foliowej torebki z lampką.

Płacę i dołączam do Alessii przed sklepem, gdzie ogląda ułożone na wystawie szminki.

— Coś byś chciała? — pytam.

— Nic. Dziękuję.

Jej odmowa nie jest dla mnie niespodzianką. Nigdy nie widziałem jej w makijażu.

— Idziemy?

Bierze mnie za rękę i idziemy w stronę ścieżki.

Gdy wracamy pod górę w stronę starej kopalni, Alessia pokazuje w oddali część jakiegoś komina.

— Co to za dom?

Znam go, rzecz jasna, stoi na dachu zachodniego skrzydła dworu, czyli Tresyllian Hall. Mojej rodowej siedziby.

Szlag by to.

— Tamten? Należy do hrabiego Trevethick.

— Ach, tak. — Czoło marszczy się jej na moment. Kawałek drogi pokonujemy w milczeniu, a w mojej głowie rozgrywa się wewnętrzna walka.

Powiedz jej, że to ty jesteś pieprzonym hrabią. Trevethick.

Nie.

Dlaczego?

Nie powiem. Jeszcze nie.

Ale dlaczego?

Chcę, żeby mnie najpierw poznała.

Poznała?

Żeby spędziła ze mną trochę czasu.

—Możemy pójść znowu na plażę? — Oczy Alessii znów płoną ekscytacją.

— Oczywiście.

JEST ZAURCZONA MORZEM. Wbiega do płytkiej wody z tą samą co wcześniej niepohamowaną radością. Dzięki kaloszom rozbijające się fale nie moczą jej stóp.

Czuje się taka... pełna życia.

Pan Maxim podarował jej morze.

Czując rozkoszne zawroty głowy, zamyka oczy, wyciąga ramiona i wdycha chłodne, słone powietrze. Nie pamięta, by kiedykolwiek czuła taką... pełnię. Pierwszy raz od dawna cieszy się odrobiną szczęścia. Ma głębokie poczucie więzi z tym zimnym, dzikim krajobrazem, który w jakiś sposób przypomina jej o rodzinnym kraju.

Czuje się, jakby tu było jej miejsce.

Czuje się kompletna.

Obraca się i patrzy na Maxima, który stoi przy brzegu z rękoma wsuniętymi głęboko do kieszeni płaszcza i się jej przygląda. Wiatr mierzwi mu włosy, a słońce rozświetla delikatne złote pasemka. Jego oczy, pełne wesołości, płoną szmaragdową zielenią.

Jest zachwycający.

A jej serce jest pełne. Pełne aż po brzeg.

Kocha go.

Tak. Kocha go.

Kręci jej się w głowie. Jest podekscytowana. I zakochana. Takie to właśnie powinno być uczucie. Radosne. Wypełniające. Nieskrępowane. Ta świadomość przenika ją jak rześki kornwalijski wiatr, który rozwiewa jej włosy wokół twarzy.

Jest zakochana w panu Maximie.

Wszystkie nienazwane uczucia bulgocą w niej i wypływają na powierzchnię, a jej twarz rozbłyska megawatowym uśmiechem. Radosna mina, którą pan Maxim posyła jej w odpowiedzi, jest oszałamiająca i przez chwilę Alessia ośmiela się mieć nadzieję.

Może któregoś dnia i on poczuje to samo?

Podbiega do niego tanecznym krokiem i nie panując nad sobą, wpada na niego, zarzucając mu ręce na szyję.

— Dziękuję, że mnie tutaj przywiozłeś — wykrzykuje zdyszana.

Patrząc na nią z góry, Maxim uśmiecha się do niej szeroko i tuli do siebie mocno.

— Cała przyjemność po mojej stronie — mówi.

— Dopiero będzie! — żartuje Alessia i chichocze, gdy jego oczy robią się wielkie, a usta otwierają ze zdziwienia.

Pragnie go. Pragnie każdej jego cząstki.

Wywija się z jego objęć i wraca na płyciznę.

DOBRY BOŻE, JEST PODPITA, MOŻE NAWET PIJANA. I piękna. Jestem zauroczony.

Nagle ślizga się i upada, a fala obmywa ją od stóp do głów.

O cholera.

Spanikowany pędzę, żeby pomóc. Alessia próbuje wstać i znowu traci równowagę, ale gdy do niej dobiegam, jest roześmiana. I przemoczona.

Pomagam jej wstać.

— Chyba dość już pływania jak na jeden dzień — mruczę. — Jest lodowato. Wracajmy do domu.

Biorę ją za rękę. Alessia uśmiecha się do mnie krzywo i wlecze za mną po piasku w stronę prowadzącej do domu dróżki. Przystaje co kilka kroków, jakby nie miała ochoty opuścić plaży, ale przez cały czas chichocze i wygląda na szczęśliwą. Nie chcę, żeby się przeziębiła.

W ciepłej Kryjówce biorę ją w ramiona.

— Temu twojemu chichotowi nie sposób się oprzeć.

Całuję ją szybko i ściągam z niej przemoczoną kurtkę. Z dzinsów jej kapie, ale reszta ubrań wydaje się sucha. Energicznie rozcieram jej ramiona, żeby ją rozgrzać.

— Powinnaś pójść się przebrać.

— Okej. — Alessia się uśmiecha i rusza w stronę schodów. Biorę jej kurtkę — no dobra, kurtkę Maryanne — i wieszam na grzejniku w korytarzu, żeby wyschła. Moje buty i skarpety też są mokre, więc je zdejmuję i idę do szatni dla gości.

Kiedy wychodzę, nigdzie nie widzę Alessii, więc zakładam, że poszła na górę znaleźć suchą parę spodni. Siadam na wysokim taborecie w kuchni i dzwonię do Danny, żeby zorganizować kolację, a potem wybieram numer Toma Alexandra.

— Trevethick, do diabła. Co u ciebie?

— Wszystko w porządku, dzięki. Jakies wieści z Brentford?

— Nie. Na Zachodzie bez zmian. A co w Kornwalii?

— Zimno.

— Wiesz, stary, tak sobie myślałem. Cholernie dużo trudu zadajesz

sobie z tą swoją dochodzącą. Śliczna z niej dziewczyna i w ogóle, ale mam nadzieję, że jest tego warta.

— Jest.

— Nigdy nie widziałem, żebyś tak się wysiłał dla jakiejś baby w opałach.

— Ona nie jest ba...

— Mam nadzieję, że właściwie ci się odwdzięcza.

— Tom, to nie jest twój pieprzony interes.

— Okej, okej. Uznam to za „nie”. — Śmieje się.

— Tom — warczę ostrzegawczo.

— Dobra, już dobra, Trevethick. Możesz się nie zamartwiać. Wszystko jest w porządku. Ta wiedza ci wystarczy.

— Dzięki. Informuj mnie na bieżąco.

— Jasne. Zegnam. — Rozłącza się.

Sukinsyn.

Piszę mail do Olivera.

Do: Oliver Macmillan

Data: 2 lutego 2019

Od: Maxim Trevelyan

Temat: Miejsce pobytu

Oliverze,

jestem w Kornwalii, załatwiam pewną prywatną sprawę. Zatrzymałem się w Kryjówce.

Nie jestem pewien, jak długo tu zostanę.

Tom Alexander przyśle fakturę za usługi swojej firmy ochroniarskiej, którą należy opłacić z moich prywatnych środków.

W razie potrzeby kontaktuj się ze mną mailowo, bo jak sam wiesz, telefony tutaj słabo działają.

Dzięki.

MT

Następnie wystukuję SMS do Caroline.

Jestem w Kornwalii. Zostanę tu jakiś czas. Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko OK. Mx

Odpisuje natychmiast:

Mam przyjechać?

Nie. Jestem zajęty. Dzięki za propozycję.

Unikasz mnie?

Nie bądź niemądra.

☹ Nie wierzę Ci.

Zadzwonię do Ciebie do dworu.

Nie jestem we dworze.

To gdzie jesteś? I co Ty tam, kurwa, robisz?

Caro. Daj spokój. Zadzwonię w przyszłym tygodniu.

Co Ty kombinujesz? Jestem zaintrygowana i tęsknię za Tobą. Dziś wieczorem znowu muszę się spotkać z Macochą. Buziaki, C.

Powodzenia. Mx

Jak, do cholery, mam wyjaśnić Caroline, co się tutaj dzieje? Dłońmi przeczesuję włosy w nadziei, że coś mnie natchnie. Nic mi nie przychodzi do głowy, więc idę poszukać Alessii. W żadnej z łazienek na górze jej nie ma.

— Alessia! — wołam, schodząc z powrotem do strefy dziennej, ale nikt nie odpowiada.

Pędzę na parter i szybko sprawdzam trzy sypialnie dla gości, pokój gier i kinowy.

Alessii nigdzie nie ma.

W mordę.

Staram się zdusić ogarniającą mnie panikę i wbiegam znowu na górę, gdzie zaglądam do pokoju spa, by się przekonać, czy nie ma jej w jacuzzi albo w saunie.

Ani śladu.

Gdzie się, do ciężkiej cholery, podziała?

Sprawdzam jeszcze w komórce przy kuchni.

Jest. Siedzi z gołymi nogami na podłodze i czyta książkę przy włączonej suszarce do ubrań.

— Tu jesteś.

Ukrywam swoją irytację, czując się idiotycznie, że tak zareagowałem. Podnosi na mnie ciepłe brązowe oczy, a ja siadam tuż przy niej.

— Co robisz? — Bez tchu opieram się plecami o ścianę.

Alessia podciąga kolana pod brodę i naciąga na nie białą koszulkę, chowając nogi. Opiera o nie podbródek, a jej twarz oblewa uroczy rumieniec zakłopotania.

— Czytam i czekam, aż dzinsy mi wyschną.

— To widzę. Dlaczego się nie przebrałaś?

— Nie przebrałam?

— W inną parę.

Wypieki na jej twarzy przybierają głębszą barwę.

— Nie mam innych — odpowiada cichym głosem, do którego zakradła się nuta wstydu.

Jasna cholera.

Przypominam sobie dwie żalosne reklamówki, które włożyłem do bagażnika swojego samochodu. Było w nich wszystko, co posiada.

Zamykam oczy i opieram głowę o ścianę, czując się jak totalny głupek.

Ona nic nie ma.

Nawet ubrań. Ani skarpetek.

Cholera.

Spoglądam na zegarek i widzę, że już za późno na zakupy. Zresztą wypłem dwa piwa, więc nie mogę — po alkoholu nie jeżdżę.

— Już późno, ale jutro zabiorę cię do Padstow i kupimy ci nowe ubrania.

— Nie stać mnie na nowe. Dzinsy zaraz wyschną.

Nie odpowiadam. Zerkam na jej książkę.

— Co czytasz?

— Znalazłam to na regale. — Podnosi *Oberżę na pustkowiu* Daphne du

Maurier.

— Podoba ci się? Akcja dzieje się w Kornwalii.

— Dopiero zaczęłam.

— Z tego, co pamiętam, mnie się podobała. Słuchaj, na pewno znajdę coś, co będziesz mogła założyć.

Podnoszę się i wyciągam rękę do Alessii. Ściskając książkę, wstaje trochę chwiejnie, a ja widzę, że brzeg jej koszulki też jest mokry.

Cholera. Przeziębi się.

Staram się nie patrzeć na jej długie gołe nogi i nie wyobrazać sobie, jak oplata mnie nimi w pasie. Nie udaje mi się.

I ma na sobie te różowe majtki.

Co za katusze.

Moja żądza przybiera postać narastającego z wolna tępego bólu.

Będę musiał wziąć prysznic. Znowu.

— Chodź. — Głos mam ochrypy od pożądania, ale na szczęście ona chyba niczego nie zauważa.

Ruszamy po schodach na górę i Alessia daje nura do pokoju gościnnego, a ja zaczynam przeglądać zawartość garderoby, by sprawdzić, jakie jeszcze ubrania przyniosła Danny.

Po chwili Alessia staje w drzwiach w spodniach od pizamy ze SpongeBobem i w koszulce Arsenalu.

— Mam jeszcze to — mówi z przeproszającym i wciąż jeszcze półpijanym uśmiechem.

Kończę plądrowanie szafy.

Nawet w idiotycznej wypłowiałej pizamie i piłkarskiej koszulce Alessia wygląda obłądnie.

— Może być. — Uśmiecham się znacząco, bo wyobraziłem sobie, jak ściągam te spodnie z jej bioder i nóg.

— Należały do Michała — mówi.

— Tak myślałem.

— Były na niego za małe.

— A na ciebie są za duże. Jutro kupimy ci jakieś ubrania.

Otwiera usta, żeby się sprzeciwić, ale kładę na nich palec.

— Cśś. — Są takie miękkie.

Pragnę tej kobiety.

Układa wargi w pocałunek i składa go na mojej skórze, a jej oczy wędrują do moich ust i ciemnieją. Oddech więźnie mi w gardle.

— Proszę cię, nie patrz tak na mnie — szepczę, zabierając palec.

— Jak? — pyta ledwo słyszalnym głosem.

— Wiesz jak. Jakbyś mnie pragnęła.

Czerwieni się i wbija wzrok w swoje stopy.

— Przepraszam — szepcze.

Cholera. Speszyłem ją.

— Alessio. — Zbliżam się do niej tak bardzo, że prawie jej dotykam.

Czarujący zapach lawendy i róż zmieszany ze słonym morskim powietrzem atakuje i odurza moje zmysły. Głaszczę jej policzek, a ona

wtula swoją śliczną twarz w moją dłoń.

— Naprawdę cię pragnę — szepcze, podnosząc wzrok i patrząc na mnie tymi swoimi urzekającymi oczami. — Ale nie wiem, co robić.

Gładzę kciukiem jej dolną wargę.

— Myślę, że za dużo wypić, moja piękna.

Mruga, a jej oczy chmurnieją i przybierają wyraz, którego nie rozumiem. Zadzierając brodę, Alessia odwraca się i wychodzi z komórki.

Co u diabła?

— Alessia! — wołam i idę za nią, lecz ona ignoruje mnie i schodzi po schodach.

Wzdycham, siadam na najwyższym stopniu i pocieram twarz. Czuję się zagubiony. Staram się — naprawdę się, kurwa, staram — postępować szlachetnie.

Prycham, dostrzegając ironię sytuacji.

Dobrze znam spojrzenie, które mi posłała.

Do diabła. Widuję je aż za często.

Spojrzenie mówiące „przeleć mnie, przeleć mnie natychmiast”.

Czy nie po to ją tutaj przywiozłem?

Ale ona jest wstawiona i nikogo tutaj nie ma. Nie ma nic. Zupełnie nic.

Ma mnie.

Wpadłem po uszy.

Jeśli ją przeleczę, to będzie wykorzystywanie.

Prosta sprawa.

Więc nie mogę.

Ale ją uraziłem.

Cholera.

Dom wypełniają nagle smutne dźwięki Preludium es—moll Bacha. Znam je dobrze, bo jako nastolatek grałem ten utwór na egzaminie końcowym w czwartej albo piątej klasie. Alessia gra przepięknie, poruszając emocje i odsłaniając całą głębię dzieła. Ma fenomenalne zdolności. Muzyką wyraża wszystko, co czuje: jest wkurzona. Na mnie.

Jasna cholera.

Może powinienem skorzystać z jej propozycji —przelecieć ją i odwiedzić z powrotem do Londynu. Ale ledwo ta myśl zaświtała w mojej głowie, a już wiem, że nie mógłbym tego zrobić.

Muszę jej znaleźć jakiś dach nad głową.

Znowu pocieram twarz.

Mogłaby zamieszkać ze mną.

Co? Nie.

Nigdy z nikim nie mieszkałem.

Czy byłoby aż tak źle?

Prawda jest taka, że nie chcę, by Alessię Demachi spotkała jakakolwiek krzywda. Chcę ją chronić.

Wzdycham.

Co się ze mną dzieje?

ALESSIA PRZELEWA MĘTLIK W SWOJEJ GŁOWIE NA PRELUDIUM BACHA. Chce o wszystkim zapomnieć. O jego spojrzeniu. Jego wątpliwościach. Jego odrzuceniu. Muzyka przenika ją powoli i niesie się po pokoju, wypełniając go smutnymi kolorami żalu. Grając, Alessia poddaje się melodii i zapomina. O wszystkim.

Gdy cichnie ostatni dźwięk, otwiera oczy, a pan Maxim stoi przy kuchennym blacie i na nią patrzy.

— Hej — mówi.

— Hej — odpowiada Alessia.

— Przepraszam. Nie chciałem cię zdenerwować. To już dzisiaj drugi raz.

— Jesteś bardzo przekorny — próbuje dać wyraz swojej konsternacji. Po chwili namysłu dodaje: — Czy to moje ubrania?

— Słucham?

— Czy to one ci się nie podobają?

Przecież tak się upiera, żeby kupić jej nowe rzeczy. Alessia wstaje i w chwili nietypowej dla siebie śmiałości robi szybki obrót. Ma nadzieję, że skłoni go do uśmiechu.

On zaś, idąc w jej stronę, przygląda się jej piłkarskiej koszulce i spodniom od chłopięcej piżamy i pociera brodę, jakby rozważał postawioną przez nią hipotezę.

— Bardzo mi się podoba to, że jesteś ubrana jak trzynastoletni chłopak. — W jego głosie słychać ironię, ale i rozbawienie.

Alessia chichocze. Głośno. Zaraźliwie. A on zaczyna się śmiać razem z nią.

— Tak już lepiej — szepcze. Ujmuje w dłoń jej brodę i całuje dziewczynę. — Jesteś bardzo atrakcyjną kobietą, Alessio, niezależnie od tego, w co jesteś ubrana. Nie pozwól, bym ja ani ktokolwiek inny sprawił, że będziesz się czuła inaczej. Jesteś też bardzo, bardzo utalentowana. Zagraj coś jeszcze. Dla mnie. Proszę.

— Dobrze — mówi udobruchana jego miłymi słowami i raz jeszcze siada do pianina. Posyła mu krótki, znaczący uśmiech i zaczyna grać.

TO MOJA PIOSENKA.

Piosenka, którą skończyłem pisać, kiedy poznałem Alessię.

Zna ją. Na pamięć. I gra o niebo lepiej ode mnie. Zacząłem pisać ten kawałek, gdy Kit jeszcze żył... a teraz w wypełniających pokój akordach słyszę własny smutek i żal. Przygnębienie uderza we mnie jak powodziowa fala. Przetacza się nade mną i zatapia ciało. W gardle tworzy mi się klucha; staram się zapanować nad emocjami, one jednak przybierają na sile i dławią mój oddech. Przyglądam się Alessii oczarowany, ale i zbolący, gdy muzyka przeszywa moje serce i dotyka ziejącej pustki powstałej po śmierci Kita. Dziewczyna ma zamknięte oczy. Koncentruje się i zatracą w smutnej, poważnej melodii.

Próbowałem ignorować swój smutek. Ale on tam jest. Jest od dnia, w którym umarł Kit. Powiedziałem Alessii, że go kochałem. I tak było. Naprawdę go kochałem. Mojego starszego brata.

Ale nigdy mu tego nie powiedziałem.

Ani razu.

A teraz tęsknię za nim bardziej, niż mógł się spodziewać.

Kit.

Dlaczego ?

Oczy pieką mnie od łez, gdy opieram się o ścianę i próbuję walczyć z cierpieniem i poczuciem straty. Zakrywam twarz dłońmi.

Słyszę ją, jak głośno wciąga powietrze i przerywa grę.

— Przepraszam — szepcze.

Kręcę głową, nie będąc w stanie nic powiedzieć ani na nią spojrzeć. Słyszę szurnięcie taboretu i wiem, że wstała od pianina. Po chwili czuję ją przy sobie, jak dotyka mego ramienia. To gest pełen współczucia. Zupełnie mnie nim rozbija.

— Przypomniał mi się brat. — Słowa przeciskają się przez gulę w moim gardle. — Pochowaliśmy go tutaj trzy tygodnie temu.

— O nie. — Słysząc, że jest przybita; zaskakuje mnie, oplatając rękami moją szyję i szepcząc: — Tak mi przykro.

Chowam twarz w jej włosach i wdycham kojący zapach. Nie jestem w stanie powstrzymać łez, które zaczynają płynąć mi po policzkach.

Cholera.

Sprawiła, że przestałem zachowywać się jak mężczyzna.

Nie płakałem w szpitalu. Nie płakałem na pogrzebie. Nie płakałem ani razu od śmierci mojego ojca, gdy miałem szesnaście lat. A jednak tutaj. Teraz. Przy niej coś we mnie pękło. I to w jej ramionach głośno szlocham.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

SERCE ALESSII W PANICE WALI JAK OSZALAŁE. Z mętlikiem w głowie trzyma go w objęciach, a w głowie huczy jej od myśli.

Co ona zrobiła?

Pan Maxim. Pan Maxim. Maxim.

Myślała, że go rozbawi, pokazując, że zna jego utwór.

Ale nie, przypomniała mu tylko o żalu. Szybko dopadają ją wyrzuty sumienia, które odczuwa jako urywane, nieprzyjemnie łaskotanie w brzuchu. Jak mogła być tak nieczuła?

Maxim obejmuje ją ciaśniej i płacze bezgłośnie. Trzy tygodnie to bardzo mało czasu. Nic dziwnego, że nadal rozpacza. Alessia przytula go mocniej i głaszcze po plecach. Pamięta, jak się czuła, gdy umarła jej babcia. Nana była jedyną osobą, która ją rozumiała. Jedyną osobą, z którą mogła naprawdę porozmawiać. Od jej śmierci minął rok.

Przełyka, żeby pozbyć się pieczenia w gardle. Maxim jest taki bezbronny i smutny, a ona chce tylko, żeby się znowu uśmiechnął. Tyle dla niej zrobił. Przesuwa ręce po jego ramionach aż do karku, po czym dłońmi obejmuje głowę i podnosi twarz do swojej. Jego spojrzenie nie wyraża żadnego oczekiwania, w błyszczących zielonych oczach widać tylko smutek Alessia powoli przyciąga jego usta do swoich i *go* całuje.

GDY JEJ WARGI MUSKAJĄ MOJE, WYDAJĘ Z SIEBIE JĘK. Jej pocałunek jest nieśmiały, ale zupełnie nieoczekiwany i och, taki słodki. Zaciskam powieki i walczę z zalewającym mnie żalem.

— Alessia.

Jej imię jest błogosławieństwem. Ujmuję w dłonie jej głowę, palcami gładzę miękkie, jedwabiste włosy i przyjmuję niepewny, niewprawny pocałunek. Całuje mnie raz, drugi, trzeci.

—Jestem przy tobie — szepcze.

Jej słowa wysysają powietrze z moich płuc. Pragnę przytulić ją z całych sił i nigdy nie puścić. Nie pamiętam, kiedy ostatnio ktoś mnie tak pocieszył, gdy tego potrzebowałem.

Alessia całuje moją szyję. Brodę. I znowu usta.

A ja się nie wzbraniam.

Mój żal powoli ustępuje, a jego miejsce zajmuje głód. Głód Alessii. Walczyłem z tym uczuciem, odkąd ujrzałem ją z miotłą w moim korytarzu, ale zburzyła wszystkie moje mury obronne. Obnażyła mój żal. Moją potrzebę. Moją żądzę. I w żaden sposób nie umiem się jej oprzeć.

Ujmuję w dłonie i gładzi moją twarz, wciąż wilgotną od łez, a jej pieśczoćta jak tornado wdziera się w moje ciało. Jestem zgubiony. Jestem niczym wobec jej współczucia, jej odwagi i jej niewinności. Jestem niczym wobec jej dotyku.

Moje ciało reaguje na jej bliskość.

Ożeż.

Pragnę jej. Pragnę jej tu i teraz. Pragnę jej od zawsze.

Z palcami we włosach odchylam jej głowę w tył i przesuwam jedną dłoń w dół, by chwycić ją za kark. Drugą ręką oplatom dziewczynę w pasie i przyciągam do siebie, a nasze ciała się stykają. Pogłębiam pocałunek, moje usta stają się bardziej natarczywe. Alessia chwyta powietrze, a ja wykorzystuję to i drażnię jej język końcówką swojego. Smakuje tak słodko, jak wygląda; Alessia jęczy.

Moje ciało rozpala ogień.

Odpycha mnie lekko, nagle przerywając pocałunek. Patrzy zdumiona i oszołomiona.

Cholera. Co jest?

Brakuje jej tchu, ma czerwone policzki i rozszerzone źrenice...

Rany, jest cudowna. Nie chcę jej puścić.

— Wszystko w porządku?

Podnosi kąciki ust w nieśmiałym uśmiechu i kiwa głową.

Ma na myśli tak czy nie?

— Tak? — Chcę mieć pewność.

— Tak — szepcze.

— Czy ktoś cię kiedyś całował?

— Tylko ty.

Nie wiem, co odpowiedzieć.

— Jeszcze — prosi mnie, a ja nie potrzebuję dalszej zachęty.

Mój żal jest już odległym wspomnieniem. Wróciłem do rzeczywistości, do tej pięknej, niewinnej młodej kobiety. Moje palce mocniej chwytają jej włosy i znów odchylają głowę w tył, by jej usta raz jeszcze zetknęły się z moimi. Całuję ją znowu, pieszczę i rozchylam jej wargi, a nasze języki się spotykają.

Wydaję gardłowy pomruk, a moje podniecenie się wzmaga, napinając czarny dżins spodni.

Jej dłonie suną w górę moich bicepsów, a ciało lgnie do mnie, gdy nasze języki muskają się, drażnią i smakują nawzajem bez końca.

Mógłbym się z nią całować przez cały dzień. Codziennie.

Przesuwam dłonią po jej plecach aż do idealnej pupy. *O. Boże.*

Kładąc dłoń na pośladku, przyciskam Alessię do swojego nabrzmiałego członka.

Chwyta powietrze i uwalnia wargi z naszego pocałunku, ale mnie nie puszcza. Dyszy, a oczy ma koloru nocy, wielkie i zdumione.

Ożeż.

Wytrzymuję jej zaskoczone spojrzenie i ze wszystkich sił próbując nad sobą zapanować, pytam:

— Chcesz przestać?

— Nie — odpowiada szybko.

Całe, kurwa, szczęście.

— O co chodzi? — pytam.

Kręci głową.

— O to? — mówię i przyciskam jej biodra do swoich. Głośno chwyta powietrze.

— Tak, piękna. Pragnę cię.

Usta jej się rozchylają, gdy robi kolejny wdech.

— Chcę cię dotykać. Wszędzie — szepczę. — Dłońmi, palcami, wargami... i językiem.

Jej oczy ciemnieją.

— I chcę, żebyś ty też mnie dotykała — dodaję ochryplym głosem.

Jej usta układają się w idealne, bezdźwięczne O, ale wzrok wędruje od moich oczu do ust, a potem niżej, do piersi i z powrotem w górę.

— Za szybko? — pytam.

Kręci głową, po czym chwyta w garść moje włosy, ciągnie i kieruje moje wargi z powrotem ku swoim.

— Ach — mruczę, muskając kącik jej ust, i czuję, jak rozkosz sunie w dół po moim kręgosłupie aż do krocza. — Tak, Alessio, dotykaj mnie. Chcę, żebyś mnie dotykała. — Pragnę jej dotyku jak niczego na świecie.

Całuje mnie i niepewnie wsuwa język pomiędzy moje wargi, a ja biorę wszystko, co chce mi dać.

Och, Alessio.

Całujemy się bez końca, aż mam wrażenie, że zaraz wybuchnę. Wiodę palcem wzdłuż paska jej piżamy i wsuwam rękę pod materiał, kładąc dłoń na ciepłej, delikatnej skórze pośladka. Alessia nieruchomieje na moment, po czym jeszcze mocniej chwyta moje włosy, ciągnie i całuje mnie z żarliwością — chciwie i gorączkowo.

— Spokojnie — szepczę. — Nie spieszmy się.

Przełyka ślinę i kładzie dłonie na moich ramionach; wydaje się lekko speszona.

— Lubię, kiedy trzymasz mnie za włosy — zapewniam ją i żeby się poprawić, przesuwam zębami wzdłuż jej brody aż do ucha.

Pojękuje cicho i chrypliwie, gdy jej głowa opada na moją otwartą dłoń.

To prawdziwa muzyka dla mojego penisa.

— Jesteś taka piękna — szepczę, a moje palce wplątują się w jej loki, ciągnąc lekko.

Unosi brodę, a ja namaszczam jej szyję delikatnymi jak piórko

pocałunkami, kończąc dopiero przy uchu. Drugą ręką ściskam pośladek, podczas gdy usta szukają jej ust, język wnika w nie, drażni i dogłębnie je poznaje. Oboje, dając i biorąc, uczymy się siebie nawzajem. Pocałunkami schodzę do miejsca, gdzie pod skórą wyczuwam jej oszalały puls.

— Chcę się z tobą kochać — szepczę. Alessia zamiera.

Ujmuję jej twarz w obie dłonie i przesuвам kciukiem po ustach.

— Mów do mnie. Chcesz, żebym przestał?

Przygryza górną wargę, a jej wzrok biegnie do okna, gdzie nijakiego koloru niebo zabarwia się różem nadciągającego zmierzchu.

— Nikt nas tu nie zobaczy — uspokajam ją. Uśmiecha się z wahaniem, ale szepcze:

— Nie przestawaj.

Gładzę jej policzek wierzchem palców i zatracam się w spojrzeniu ciemnych oczu.

— Jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

Kiwa głową.

— Powiedz to, Alessio. Muszę to od ciebie usłyszeć. Raz jeszcze całuję kącik jej ust, a ona zamyka oczy.

— Tak — szepcze.

— Och, kotku — mruczę. — Opleć mnie nogami. — Chwytam ją w pasie i podnoszę bez trudu. Kładzie dłonie na moich barkach. — Nogi. Obejmij mnie nimi.

Z twarzą jaśniejącą, jak mam nadzieję, żądzą i podnieceniem, robi, o co proszę, i zarzuca mi ręce na szyję.

— Trzymaj się.

Wchodzę po schodach, podczas gdy ona całuje mnie pod brodą.

— Ładnie pachniesz — mówi jakby do siebie.

— Och, skarbie, ty też.

Wchodzimy do sypialni. Stawiam Alessię obok łóżka i znowu całuję.

— Chcę cię zobaczyć — mówię.

Palce odnajdują brzeg jej piłkarskiej koszulki. Delikatnie zdejmuję ją przez głowę dziewczyny. Alessia ma na sobie stanik, ale mimo to krzyżuje ręce na piersiach, a jej włosy opadają aż do pasa ciemną, wijącą się kaskadą.

Jest nieśmiała.

Niewinna.

Olśniewająca.

Ogarnia mnie jednocześnie wzruszenie i podniecenie, ale chcę, żeby poczuła się swobodniej.

— Chciałabyś to zrobić po ciemku?

— Nie — odpowiada natychmiast. — Nie po ciemku.

Oczywiście. Przecież nie znosi ciemności.

— Dobrze. Już dobrze. Rozumiem — uspokajam ją. — Jesteś boska. — W moim głosie słyszeć zachwyt, który zapiera mi dech.

Rzucam koszulkę na podłogę, zgarniam włosy Alessii z twarzy i dłońmi znajduję podbródek. Delikatnie całuję ją znowu, tak długo, dopóki się nie rozluźni, dopóki nie położy dłoni na moim torsie i nie odwzajemni pieśczoły. Jej palce marszczą mój sweter i ciągną.

Spoglądam na nią z góry.

— Mam to zdjąć?

Z entuzjazmem kiwa głową.

— Dla ciebie wszystko, moja piękna. — Ściągam sweter i T—shirt, po czym rzucam je obok koszulki Arsenalu. Alessia opuszcza wzrok na mój nagi tors, a ja stoję nieruchomo, pozwalając jej patrzeć. — Dotknij mnie — mówię cicho.

Wciąga powietrze.

— Chcę tego. I nie gryzę.

No, chyba że poprosisz...

Jej oczy płoną, gdy ostrożnie kładzie dłoń na moim sercu.

Ożeż.

Czuję, jak mięsień fika pod jej palcami koziółki.

Zamykam oczy i rozkoszuję się tym rozpalającym zmysły doznaniem.

Nachyla się i całuje moją skórę.

O, tak.

Odgarniam jej włosy i muskam wargami szyję, schodząc aż do barku i zatrzymując się przy ramiączku różowego stanika. Uśmiecham się do jej wonnej skóry i zsuwam pasek dwoma palcami, a moje uszy wypełnia jej urywany oddech.

— Obróć się — mruczę.

Alessia podnosi na mnie rozpalony wzrok i staje do mnie plecami. Znowu krzyżuje ręce, żeby się zakryć. Odsłaniam jej ramię, zsuwając włosy na plecy, i całuję szyję, a drugą ręką obejmuję brzuch i chwytam za biodro. Przyciągam ją do siebie; mój nabrzmiały członek opiera się o jej plecy tuż nad pupą.

Jęczę jej do ucha, a ona aż się wije z rozkoszy.

Ożeż. Kurwa.

Bardzo ostrożnie zdejmuję drugie ramiączko, przesuвам palce po jej barku i w ślad za nimi składam czułe, wilgotne pocałunki.

Jej skóra jest taka delikatna. I jasna. I prawie nieskazitelna.

Ma mały pieprzyk u nasady szyi tuż pod złotym łańcuszkiem. Całuję to znamię. Woń jej skóry jest tak czysta i naturalna.

— Cudownie pachniesz — mruczę pomiędzy pocałunkami i rozpinam jej stanik.

Rękę, która oplatała jej brzuch, przesuвам w górę i czuję ciężar jej piersi na swoim przedramieniu. Alessia wstrzymuje oddech i przytrzymuje bieliznę skrzyżowanymi ramionami.

— Spokojnie — mówię cicho i tuląc ją mocno, znów przesuвам palcami po jej brzuchu, zataczając kręgi od jednego biodra do drugiego. Po chwili wkładam kciuk pod pasek piżamy i gładzę jej skórę, jednocześnie drażniąc zębami ucho.

— *Zot*— wzdycha.

— Pragnę cię — szepczę i znów skubię ją zębami. — I czasem jednak mogę ugryźć.

— *Edhe unë të dëshiroj.*

— Po angielsku.

Całuję miejsce za jej uchem, wsuвам rękę głębiej pod piżamę i muskam palcami jej kobiecość.

Jest ogolona!

Czuję, jak jej ciało sztywnieje, ale niezrażony pocieram kciukiem

łechtaczkę. Raz. Drugi. Trzeci. Czwarty, a ona odrzuca głowę na moje ramię i głośno wzdycha z rozkoszy.

— Tak — szepczę i nie przestaję jej głaskać, drażnić, pobudzać palcami.

Opuszcza ręce, stanik zsuwa się na podłogę, a Alessia chwyta mnie za nogi, ciągnie za dżinsy i zaciska palce na materiale. Jej wargi się rozwierają, zaciska powieki. Dyszy ciężko.

— Tak, kotku. Poczuj to.

Zębami drażnię jej ucho. Alessia przygryza dolną wargę, a moje palce nie przestają jej niepokoić.

— *Të lutem, të lutem, të lutem.*

— Po angielsku.

— Proszę, proszę — sapie.

Przez cały czas daję jej to, czego pragnie. Czego potrzebuje.

Nogi zaczynają jej drżeć. Obejmuję ją mocniej. Jest już blisko.

Czy o tym wie?

—Jestem przy tobie — szepczę, a ona ściska mnie tak mocno, że krew prawie przestaje mi krążyć w nogach. Jej ciche jęki przerywa nagle krzyk, ciało powoli faluje w moich ramionach, jakby zaraz miało się rozpaść.

Trzymam ją, gdy dochodzi.

Po wszystkim opiera się o mnie bezwładnie.

— Och, Alessio — szepczę jej do ucha.

Biorę ją na ręce, odsuwam kołdrę i kładę na łóżku. Jej włosy rozsypują się, nieokiełznane, po poduszkach i jej ciele, chowając przede mną

wszystko oprócz ciemnoróżowych sutków.

Ożeż.

Skąpana w miękkim różowym świetle nadciągającego zmierzchu wygląda zachwycająco — nawet w spodniach od piżamy ze SpongeBobem.

— Czy masz pojęcie, jak pięknie teraz wyglądasz? — pytam, a ona zwraca ku mnie zdumione oczy.

— Ua — szepcze. — Nie. Po angielsku. Wow.

—Wow. Tak jest.

Dżinsy wydają mi się o kilka rozmiarów za małe. Mam ochotę zedrzeć z niej piżamę i się w niej zanurzyć. Ale ona potrzebuje czasu. Ja o tym wiem, szkoda tylko, że mój penis nie rozumie. Nie odrywając od niej oczu, rozpinam guzik i suwak, żeby mój wzwód zyskał nieco luzu, którego tak teraz potrzebuje.

Może powinienem zupełnie zdjąć spodnie.

Zostawiam na sobie bieliznę, a dżinsy ściągam i rzucam na podłogę. Nabieram duży haust powietrza i staram się wyrównać oddech.

— Pozwolisz, że się przyłączę? — pytam.

Z wielkimi oczami kiwa głową, a ja nie potrzebuję dalszej zachęty. Kładę się obok niej i opieram na łokciu. Biorę pasmo jej włosów i nie mogę się nadziwić, jakie są miękkie; owijam je wokół palców i odwijam z powrotem.

— Podobało się? — pytam.

Na jej twarzy pojawia się nieśmiały, ale zmysłowy uśmiech.

—Tak. Podobało.

Jej język szybko przesuwa się po górnej wardze. Tłumię jęk, wyciągam rękę i przesuвам grzbietem wskazującego palca po jej policzku, brodzie i szyi. Moja dłoń zatrzymuje się na małym złotym krzyżyku. Jego widok każe mi przerwać.

— Na pewno chcesz to zrobić? — pytam.

Jej przepastne oczy wpatrują się w moje. Czuję się tak obnażony, jakby wniknęła wprost do mojej duszy.

Momentalnie trzeźwieję. Czuję się dużo bardziej nagi, niż naprawdę jestem.

Przełyka ślinę.

— Tak.

— Jeśli coś ci się nie spodoba... albo nie będziesz chciała czegoś zrobić... powiedz mi o tym, dobrze?

Kiwa głową i wyciąga rękę, by obdarzyć pieśzczotą moją twarz.

— Maxim — szepcze, a ja nachylam się i muskam jej wargi swoimi.

Pojękuje i wplata palce w moje włosy, wilgotnym językiem niepewnie dotykając mojej górnej wargi. Pożądanie rozpala się we mnie z nieznaną mi dotąd siłą. Przytrzymuję ją za brodę i pogłębiam nasz pierwszy pocałunek w tej pozycji. Pragnę jej. Całej. Teraz. Tutaj.

Upajam się jej reakcją i jej ustami. Badającymi. Smakującymi. Spragnionymi.

Porzucam jej wargi; zamiast nich pieśzczę jej brodę i szyję, a potem schodzę w dół, aż do mostka. Dłonią odgarniam włosy, odsłaniając swój cel. Alessia głośno wciąga powietrze, a palce przyciska mi do głowy, gdy delikatnie obmywam językiem jej sutek i biorę go do ust. Zaczynam ssać. Mocno.

— Ach — krzyczy.

Delikatnie osuszam go własnym oddechem, a Alessia wije się u mego boku. Moja dłoń przemyka po jej biodrze i wędruje w górę do drugiej piersi. Obejmuję delikatnie jej krągłość, pieszczę i ściskam, z zachwytem patrząc na reakcję Alessii, gdy kciukiem pocieram brodawkę. W ułamku sekundy drugi sutek nabrzmiwa, dorównując pierwszemu. Dziewczyna jęczy, a jej biodra zaczynają się poruszać w tak dobrze mi znanym rytmie. Moja dłoń przesuwa się po jej ciele w dół; nie przestaję jej pieścić i drażnić ustami jej piersi.

Wsuwam palce pod jej pizamę, a ona unosi swoją kobiecość ku mojej ręce. Mam ją. W mojej dłoni. Jęczę. Jest wilgotna.

Jest gotowa.

Ożeż.

Powoli, powoli wsuwam w nią palec.

Jest ciasna. I wilgotna.

O tak.

Wysuwam palec i wsuwam raz jeszcze.

— Ach — pojękuje, sztywnieje i zaciska dłonie na pościeli.

— Och, kotku, tak bardzo cię pragnę. — Moje usta są pomiędzy jej piersiami. — Płonę, odkąd pierwszy raz cię zobaczyłem.

Jej ciało unosi się, napierając na moją dłoń, a głowa na poduszce odgina w tył. Całuję jej brzuch i na znak, że jest moja, pozostawiam na skórze wilgotny ślad prowadzący aż do pępka. Nosem zataczam wokół niego kręgi, podczas gdy moje palce wsuwają się w nią raz za razem. Całuję jej brzuch i przesuwam językiem między biodrami.

— *Zot...*

— Czas się ich pozbyć — mruczę z ustami przy jej brzuchu, wskazując wzrokiem spodnie od pizamy.

Cofam rękę i siadam.

— Nigdy nie myślałam... — zaczyna, ale jej głos milknie, gdy ściągam z jej nóg spodnie od piżamy i rzucam je na moje dzinsy.

— Wow — szepczę. Wreszcie leży naga w moim łóżku i wygląda seksownie jak diabli. — Dla ciebie to nie będzie nowy widok.

— Tak — odpowiada szeptem. — Ale leżałeś na brzuchu.

— Aha.

No tak, to może być dla niej coś nowego.

W końcu zdzieram z siebie bieliznę i zanim ten widok zdąży ją zszokować albo wystraszyć, nachylam się i całuję ją z jeszcze silniejszą namiętnością, wlewając w nasze pierwsze zupełnie nagie pieszczoty całe moje pragnienie i żądzę. Alessia chciwie odwzajemnia pocałunki. Pieszczę jej talię, po czym moja dłoń ześlizguje się w dół do biodra. Przyciskam jej delikatne, słodkie ciało do mojego. Kolanem rozchylam jej nogi. Jej ciało unosi się na spotkanie z moim, podczas gdy dłonie znowu chwytają moją głowę. Rozkoszując się jej skórą, przesuwam wargami — po szyi do złotego krzyżyka. Obracam go językiem i napawam się smakiem metalu, a moja ręka przesuwa się znowu, by chwycić jej idealnie kształtną pierś.

Alessia jęczy, gdy kciukiem pocieram jej sutek, który pod moim dotykiem znów nabrzmiewa niczym pąk słodkiego kwiatu. Za kciukiem podążają moje wargi, całujące i delikatnie ciągnące wrażliwą skórę.

— *O Zot* — zawodzi, zaciskając wplecione w moje włosy palce.

Nie przerywam. Moje niecierpliwe i spragnione usta przenoszą się od jednego sutka do drugiego, drażnią, liżą, całują... ssą. Dziewczyna wije się pode mną i wzdycha z rozkoszy, a moja dłoń wędruje w dół, do ostatecznego celu. Alessia nieruchomieje, gdy moje palce przesuwiają się po jej kobiecości. Jej oddech staje się szybki i urywany.

O tak.

Jest wilgotna. Nadal.

Kciukiem odnajduję to, co najcenniejsze, i zataczam kręgi wokół łechtaczki, raz, drugi, kolejny; znowu wsuwam w nią powoli jeden palec. Jej dłonie puszczaają moją głowę i gładzą plecy; po chwili suną po moich barkach i czuję wbijające się w nie paznokcie. Nie przestaję, wsuwam palec i wysuwam, podczas gdy mój kciuk bez ustanku zatacza kółka i drażni jej łechtaczkę.

Jej biodra prężą się i rozluźniają w odwiecznym rytmie, a nogi sztywnieją pode mną. Jest już blisko. Daję spokój piersiom i całuję jej usta, lekko ciągnąc zębami dolną wargę. Zaciska ręce na moich ramionach i odgina głowę.

— Alessio — szepczę, słysząc krzyk, gdy jej ciałem wstrząsa kolejny orgazm.

Tulę ją do siebie; wciąż jeszcze drży. Po chwili klękam między jej nogami. Otwiera swoje ciemne oczy i wbija we mnie zamglone, zdumione spojrzenie.

Sięgając po prezerwatywę i starając się zapanować nad własnym ciałem, szepczę:

—Jesteś gotowa? Szybko pójdzie.

Równie dobrze mogę powiedzieć prawdę.

Kiwa głową.

Chwytam ją za brodę.

— Powiedz to.

— Tak — dyszy.

Bogu dzięki.

Zębami rozrywam opakowanie, nakładam prezerwatywę i przez jedną koszmarną chwilę mam wrażenie, że dojdę tu i teraz.

Kurwa.

Opanowuję się i nakrywam jej ciało swoim, opierając się na łokciach.

Zamyka oczy i spina się pode mną.

— Hej — szepczę i całuję na zmianę jej powieki. Rękami oplata moją szyję i wzdycha.

— Alessia.

Jej wargi odszukują moje i całują pożądliwie. Gorączkowo. Desperacko. Wiem, że już dłużej nie wytrzymam.

Powoli. Powoli. Powoli się w niej zanurzam.

Och. Jak dobrze. Boże.

Ciasno. Wilgotno. Jestem w niebie.

Alessia krzyczy, a ja zamieram w bezruchu.

— Wszystko dobrze? — sapię i czekam, aż pogodzi się z moją napierającą obecnością.

— Tak — szepcze po chwili.

Nie jestem pewien, czy powinienem jej wierzyć, ale nie spieram się i zaczynam się poruszać. W niej. Raz. Drugi. Trzeci. I znowu. I jeszcze. Kołyszę się, czując pod sobą jej ciało.

Nie dochodź. Nie dochodź. Nie dochodź.

Chcę, żeby to trwało wiecznie.

Alessia jęczy, a jej biodra zaczynają się poruszać w zmiennym,

niewprawnym rytmie.

— Tak, piękna, rób to razem ze mną — zachęcam ją, a jej zrodzone z rozkoszy urywane sapanie podnieca mnie coraz bardziej.

— Proszę — szepcze, błagając o więcej, a ja z przyjemnością ulegam.

Na plecy występują mi krople potu, gdy moje ciało walczy z narzuconą mu powściągliwością. Nie przestaję się poruszać, aż w końcu Alessia sztywnieje pode mną i wbija mi w skórę paznokcie.

Jeden ruch, drugi... trzeci. Krzyczy, poddając się przyjemności; jej głos i szczytowanie kompletnie mnie rozbrajają.

Dochodzę. Z pełną siłą. Głośno. Z jej imieniem na ustach.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ALESSIA DYSZY. CZUJE NA SOBIE MAXIMA, SŁYSZY JEGO SZYBKI, CIĘŻKI ODDECH. Czuje się obezwładniona doznaniem i nieludzkim zmęczeniem, ale przede wszystkim jego... obecnością. Jest wycieńczona. On kręci głową i uwalnia ją od swojego ciężaru, po czym wbija jasne, zatroskane spojrzenie w jej oczy.

— Wszystko w porządku? — pyta.

Alessia w myślach sprawdza swoje ciało. Prawdę mówiąc, jest trochę obolała. Nie miała pojęcia, że akt miłosny to coś tak fizycznego. Matka mówiła jej, że pierwszy raz będzie bolesny.

I miała rację.

Ale potem, gdy tylko przyzwyczała się do nowych doznań, było przyjemnie. Bardziej niż przyjemnie. A pod koniec zupełnie straciła poczucie siebie i eksplodowała w środku. To było... niesamowite.

Wychodzi z niej, a kolejne nieznanne uczucie wywołuje grymas na jej twarzy. Maxim przykrywa ich oboje kołdrą, opiera się na łokciu i patrzy na nią z zatroskaniem.

— Nie odpowiedziałś mi. Wszystko w porządku?

Kiwa głową, ale jego zmrużone oczy mówią jej, że nie jest przekonany.

— Czy zadałem ci ból?

Przygryza wargę, wciąż niepewna, co powinna powiedzieć, a on pada ciężko na plecy i zamyka oczy.

CHOLERA. SKRZYWDZIŁEM JĄ.

Wydobyto mnie z dna rozpacz i wyniesiono na nieziemski wręcz szczyt, ale mój rumieniec, owoc najlepszego bzykanka na świecie, znika jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Sięgam pod kołdrę i ściągam prezerwatywę, czując do siebie wstręt. Gdy rzucam gumkę na podłogę, zszokowany zauważam, że rękę mam całą we krwi.

Jej krwi.

Ożeż.

Wycieram dłoń o udo i przekręcam się, by stawić czoła oskarżeniu, które spodziewam się ujrzeć na jej twarzy. Ona jednak patrzy na mnie przelęknionym i bezbronnym wzrokiem.

Jasna cholera.

— Przepraszam, że cię bolało. — Całuję ją w czoło.

— Mama mówiła, że tak będzie. Ale tylko za pierwszym razem. — Podciąga kołdrę pod brodę.

— Tylko za pierwszym razem?

Kiwa głową, a w mojej piersi zaczyna rozkwitać nadzieja. Pieszczę jej policzek.

— Czyżbyś miała ochotę spróbować jeszcze raz?

— Tak, chyba tak — odpowiada ze wstydliwym uśmiechem, a mój penis nabrzmiwa na znak aprobaty.

Znowu? Tak szybko?

— Ale tylko... tylko jeśli ty będziesz chciał — dodaje.

— Jeśli ja będę chciał? — Nie jestem w stanie ukryć niedowierzania w moim głosie. Śmieję się, nachylam szybko i ją całuję. Mocno. — Słodka, słodka Alessio — szepczę tuż przy jej ustach. Uśmiecha się do mnie szeroko, a w moim sercu nagle rozlega się grzmot. Muszę wiedzieć. — Czy... było ci dobrze?

Jej policzki przybierają już nieco mniej niewinną różową barwę.

— Tak — szepcze. — Szczególnie pod koniec, kiedy...

Kiedy doszłaś!

Uśmiecham się. Wypełnia mnie euforia.

Bogu dzięki!

Skupia uwagę na swoich dłoniach, którymi wciąż ściska kołdrę, a na jej czole pojawiają się zmarszczki.

— O co chodzi? — pytam.

— A tobie? — mówi cicho. — Czy tobie było dobrze? Śmieję się.

— Dobrze? — I chichoczę jeszcze głośniej, odchylając w tył głowę. Jestem szalenie szczęśliwy, a trochę czasu minęło, odkąd ostatnio tak się czułem. — Alessio, to było coś niebywałego. Najlepsze pieprzenie... hm... najlepszy seks, jaki przeżyłem od lat.

A dlaczego?

Robi wielkie oczy i przerażona wciąga głośno powietrze.

— To bardzo brzydkie słowo, *mister* Maxlm.

Próbuje udawać dezaprobatę, ale jej oczy błyszczą radością. Uśmiecham się i przesuwam kciukiem po jej dolnej wardze.

— Powiedz „Maxim”. — Chcę raz jeszcze usłyszeć, jak wypowiada moje imię z tym pociągającym akcentem.

Jej policzki znowu się rumieniają.

— Powiedz to. Wypowiedz moje imię.

— Maxim — szepcze.

— Jeszcze raz.

— Maxim.

— Tak lepiej. Myślę, że musimy cię doprowadzić do porządku, moja piękna. Przygotuję nam kąpiel.

Zabieram z podłogi prezerwatywę, a potem idę do łazienki.

Cholera.

Czuję się...

Odurzony.

Jestem dorosłym facetem i dałem sobie tak zawrócić w głowie!

Seks z nią jest lepszy niż haj po kokainie... albo po jakimkolwiek innym narkotyku.

Pozbywam się gumki i odkręcam kran nad wanną, po czym nalewam płyn do kąpieli i patrzę, jak woda przemienia się w słodko pachnącą pianę. Na brzegu kładę myjkę.

Wanna napełnia się wodą, a ja nie mogę się nadziwić wydarzeniom mijającego dnia. W końcu przeleciałem moją sprzątaczkę. Zazwyczaj po bzykaniu chcę jak najszybciej zostać sam, ale dziś wcale nie mam na to ochoty. Nie przy Alessii. Wciąż jestem pod urokiem, który na mnie rzuciła. Co więcej, zamierzam spędzić z nią cały ten tydzień, a może i następny... To ekscytująca perspektywa.

Mój penis porusza się, jakby chciał potwierdzić, że się ze mną zgadza.

Spoglądam na siebie w lustrze, widzę euforyczny uśmiech i przez moment sam siebie nie poznaję.

Ożeż, co się ze mną dzieje?

Palcami przeczesuję włosy, próbując je ujarzmić, i przypominam sobie krew na mojej dłoni.

Dziewica.

Teraz będę musiał się z nią ożenić.

Prycham w reakcji na tę niedorzeczną myśl i myję ręce. Myślę, ilu z moich przodków znalazło się w podobnej sytuacji. Wiem, że dwóch uwikłało się w dobrze udokumentowane skandaliczne romanse, ale moja znajomość rodzinnej przeszłości jest w najlepszym razie mizerna. Kit doskonale się orientował w historii rodu i jego genealogii. Naprawdę się nimi interesował, ojciec i matka już się o to postarali. Opanowanie tego tematu należało do obowiązków dziedzica. Kit wiedział, że musi kultywować pamięć o przodkach i przekazać następnym pokoleniom rodzinne tradycje. To ma dla naszej rodziny ogromne znaczenie.

Ale już go z nami nie ma.

W mordę. Dlaczego ja nie przywiązywałem do tego wagi?

Wanna jest pełna, a ja wracam do sypialni nieco przygnębiony. Widok wpatrzonej w sufit Alessii poprawia mi jednak humor.

Moja sprzątaczką.

Z. wyrazu jej twarzy nie da się wyczytać kompletnie niczego. Odwraca się, zauważa mnie i natychmiast zamyka oczy.

Co jest?

Ach, racja, jestem nagi.

Mam ochotę parsknąć śmiechem, ale stwierdzam, że to nie najlepszy pomysł, więc opieram się o framugę, zakładam ręce i cierpliwie czekam, aż znowu otworzy oczy.

Po kilku sekundach naciąga kołdrę na nos i zerka znad niej, ale tylko jednym okiem.

Uśmiecham się szeroko.

— Napatrz się. — Rozkładałam szeroko ramiona.

Mruga, a jej oczy lśnią wstydem zmieszany z rozbawieniem, zaciekawieniem i, jak mi się zdaje, odrobiną podziwu. Chichocze i naciąga kołdrę na głowę.

— Drażnisz się ze mną — słyszę jej stłumiony głos.

— Tak, drażnię się.

Nie mogąc się pohamować, wolnym krokiem podchodzę do łóżka i widzę, jak bieleją jej kostki u dłoni, gdy coraz mocniej ściska narzutę. Nachylam się i muskam wargami jej palce.

— Puść — szepczę i dziwię się, gdy od razu robi to, o co proszę. Zrzucam z niej kołdrę, a ona piszczy. Od razu biorę ją w ramiona i prostuję się. — Teraz oboje jesteśmy nadzy — mówię i trącam nosem jej ucho.

Zarzuca mi ręce na szyję, a ja zanoszę ją chichoczącą do łazienki i stawiam obok wanny. Alessia natychmiast zakrywa piersi.

— Nie musisz się wstydzić. — Ciągnę lekko za pasmo jej włosów i owijam je sobie wokół palca wskazującego. — Masz cudowne ciało. I cudowne włosy.

Jej półuśmiech i nieśmiałe spojrzenie mówią mi, że to właśnie pragnie słyszeć. Ciągnę delikatnie za pasemko loków, a Alessia nachyla się w moją stronę, tak że mogę pocałować ją w czoło.

— Poza tym spójrz. — Brodą wskazuję panoramiczne okno za wanną.

Odwraca się, a jej głośny wdech mówi mi, jak bardzo spodobał jej się widok. Okno wychodzi na zatoczkę, gdzie na horyzoncie słońce całuje się z morzem w spektakularnej symfonii barw — złoto, opal, róż i pomarańcz wytryskują z fioletu nieba i rozlewają się po ciemniejszej wodzie. Coś wspaniałego.

— *Sa bukur.* — W jej głosie słychać czyste zadziwienie. — To takie piękne. — Opuszcza ręce.

— Jak ty — mówię i całuję jej włosy.

Moje nozdrza wypełnia rozkoszny zapach Alessii — lawenda i róże zmieszane z wonią niedawnego seksu. Jest nie tylko piękna. Ma w sobie wszystko, co najlepsze. Jest bystra. Zdolna. Zabawna. I odważna. Tak, przede wszystkim odważna. Moje serce gubi rytm. Nagle przytłaczają mnie emocje.

Ożeż.

Przełykam mocno, żeby się opanować, podaję jej rękę i podnoszę do ust jej dłoń. Zanim wejdzie do wanny, całuję po kolei wszystkie palce.

— Usiądź.

Szybko zwija włosy w przeczący prawom grawitacji węzeł na czubku głowy i zanurza się w bąbelkach. Czuję ukłucie winy, kiedy Alessia się krzywi, ale gdy tylko wygląda przez okno na hipnotyzujący zachód słońca, jej twarz się rozluźnia.

Wpadam na pewien pomysł.

— Zaraz wrócę. — I wymykam się z łazienki.

WANNA JEST GŁĘBOKA, WODA CIEPŁA I KOJĄCA, a bąbelki mają egzotyczny zapach, którego Alessia nie zna. Przygląda się butelce płynu do kąpieli i

czyta: „Jo Malone / Londyn / Angielska gruszka i frezja”.

Pachnie jak coś drogiego.

Alessia opiera wygodnie plecy i wygląda przez okno, a jej ciało stopniowo się odpręża.

Co za widok.

Ua!

Bardzo malownicza sceneria. Zachód słońca w Kukës jest przepiękny, ale tam słońce chowa się za górami. Tutaj powoli zanurza się w morzu, malując złotą ścieżkę na wodzie.

Wspomnienie tego, jak przewróciła się rano, brodząc wśród fal, wywołuje u niej uśmiech. Jakaż była niemądra. Niemądra i wolna, przynajmniej przez kilka godzin. A teraz jest w łazience pana Maxima, większej niż ta przy pokoju gościnnym — są w niej aż dwie umywalki, a nad każdą wisi bogato zdobione lustro. Alessia czuje krótkie ukłucie bólu na myśl, że brat Maxima, który zbudował ten dom, nie może się nim dłużej cieszyć. Tutaj jest tak wspaniale.

Alessia zauważa myjkę, bierze ją i delikatnie myje się między udami. To miejsce jest teraz dosyć wrażliwe.

Zrobiła to.

To.

Na swoich warunkach, z kimś, kogo sama wybrała, z kimś, kogo pożąda. Jej matka byłaby w szoku. A ojciec... Wzdryga się na myśl o tym, co mógłby zrobić, gdyby wiedział. Zrobiła to z panem Maximem, Anglikiem, mężczyzną o zadziwiających zielonych oczach i twarzy anioła. Obejmuje się ramionami, wspominając, jaki był delikatny i troskliwy, a jej serce zaczyna bić nieco szybciej. Pobudził jej ciało do życia. Alessia zamyka oczy i przypomina sobie jego czysty zapach, jego palce na swojej skórze, delikatność jego włosów... jego pocałunki. Jego płonące

pożądaniem oczy. Wciąga głośno powietrze... I, co więcej, Maxim chce z nią to zrobić jeszcze raz. Głęboko w brzuchu napinają jej się mięśnie.

— Ach — wzdycha. Co za rozkoszne uczucie.

Tak. Ona też chce to znowu zrobić.

Chichocze i obejmuje się ciaśniej, starając się zapanować nad przyprawiającą o zawroty głowy euforią. W ogóle nie czuje wstydu. Tak właśnie powinno być. Tak wygląda miłość, prawda? Uśmiecha się szeroko.

Maxim zjawia się z butelką i dwoma kieliszkami. Wciąż jest nagi.

— Szampana? — proponuje.

Szampan!

Czytała o szampanie, ale nawet nie pomyślała, że kiedyś dane jej będzie poznać jego smak.

— Tak, poproszę — mówi i odkłada myjkę, starając się patrzeć gdziekolwiek, byle nie na jego penisa.

Zawstydzają ją, a zarazem fascynują.

Spory. Giętki. Nie taki jak wcześniej.

Dotychczas jej doświadczenie z męskimi genitaliami ograniczało się do dzieł sztuki. Dziś pierwszy raz zobaczyła je w naturze.

— Proszę, potrzymaj kieliszki. — Maxim wyrywa ją z zamyślenia, a na jej twarz zakrada się rumieniec.

Uśmiecha się, patrząc na nią z góry. — Przyzwyczaisz się — mówi, a oczy błyszczą mu żartobliwie.

Alessia zastanawia się, czy Maxim ma na myśli szampana... czy swojego penisa. Wypieki na jej twarzy przybierają na sile. Męczyzna

zdziera folię miedzianego koloru, rozkręca drucianą plecionkę i z wprawą uwalnia korek Nalewa musującego płynu do kieliszków. Alessia jest zaskoczona i zachwycona, widząc, że szampan ma różowy odcień. Maxim odstawia butelkę na parapet, wchodzi do wanny i ostrożnie siada naprzeciwko Alessii. Piana podnosi się i sięga krawędzi, on zaś uśmiecha się szeroko i czeka, aż woda się przeleje, ale na próżno. Alessia podciąga kolana, a Maxim kładzie stopy przy jej bokach.

Bierze od niej jeden kieliszek i stuka o ten, który został w jej dłoni.

— Za najdzielniejszą, najpiękniejszą kobietę, jaką znam. Dziękuję ci, Alessio Demachi — mówi tonem już nie żartobliwym, ale śmiertelnie poważnym, i wpatruje się w nią uważnie pociemniałymi oczami, z których znikł już blask.

Alessia przełyka ślinę w reakcji na pulsowanie, jakie czuje głęboko w brzuchu.

— *Gëzuar*, Maximie — odpowiada ochrypłym głosem, podnosi kieliszek do ust i bierze łyk schłodzonego napoju. Jest lekki, musujący, smakuje pięknym latem i obfitymi zbiorami. Przepyszny. — Mmm — mruczy z uznaniem.

— Lepszy niż piwo?

— Tak. O wiele lepszy.

— Pomyślałem, że trzeba to uczcić. Za pierwsze razy.

Podnosi kieliszek, a ona robi to samo.

— Za pierwsze razy — mówi i odwraca wzrok, by popatrzeć przez okno na zachodzące słońce. — Szampan ma taki sam kolor jak niebo — zauważa zdziwiona. Wie, że Maxim ją obserwuje. Po chwili i on spogląda przez szybę, by napawać się wspaniałym widokiem. — To takie dekadencje — mówi Alessia niemal sama do siebie.

Kąpie się z mężczyzną, który nie jest jej mężem, mężczyzną, z którym

dopiero co po raz pierwszy w życiu uprawiała seks, i pije różowego szampana.

Nie wie nawet, jak Maxim ma na nazwisko.

Na myśl o tym wszystkim nie może powstrzymać chichotu.

— Co takiego? — pyta Maxim.

— Czy twoje nazwisko to Milord?

Maxim otwiera ze zdziwienia usta i sam śmieje się pod nosem. Alessia błędnie nieco i bierze kolejny łyk szampana.

— Przepraszam. — Chyba poczuł się skarcony. — To tylko... hm... Nie. Nazywam się Trevelyan.

— Tre—ve—li—an. — Alessia powtarza to kilka razy.

Skomplikowane nazwisko skomplikowanego mężczyzny? Tego dziewczyna nie wie. Maxim nie wydaje się skomplikowany — jest po prostu zupełnie inny niż wszyscy znani jej mężczyźni.

— Hej — mówi nagle Maxim, po czym odstawia kieliszek na parapet i namydla dłoń. — Pozwól, że umyję ci stopy. — Wyciąga rękę.

Umyje jej stopy!

— Pozwól — szepcze, widząc jej wahanie.

Odstawiając kieliszek, Alessia nieśmiało kładzie stopę na czekającej dłoni, a on zaczyna masaż.

Och.

Zamyka oczy, a jego silne palce centymetr po centymetrze przesuwają się po śródstopiu i pięcie, a potem dookoła kostki i od spodu, naciskając z idealnie dobraną siłą.

— Ach — jęczy Alessia.

Gdy przechodzi do palców, myje każdy z nich z osobna, spłukuje, delikatnie ciągnie i skręca. Alessia wije się pod wodą i otwiera oczy. Maxim patrzy na nią spokojnym wzrokiem, który pozbawiają tchu.

— Dobrze? — pyta.

— Tak Lepiej niż dobrze — odpowiada z lekką chrypką.

— Gdzie to czujesz?

— Wszędzie.

Gdy Maxim ściska mały paluszek, jej mięśnie napinają się głęboko w środku. Głośno chwyta powietrze, a on podnosi jej stopę i z szelmowskim uśmiechem całuje wielki palec.

— Teraz druga — domaga się miękkim głosem.

Tym razem Alessia się nie waha. Jego palce znowu czarują tak, że nim skończy, jej ciało zupełnie się rozpływa. Maxim całuje wszystkie palce po kolei, a gdy przychodzi czas na najmniejszy, bierze go do ust i ssie. Mocno.

—Ach!

Alessia czuje łaskotanie w brzuchu. Znowu widzi to samo skupione spojrzenie, choć tym razem kąciki ust Maxima unoszą się w tajemniczym uśmiechu. Całuje poduszkę jej stopy.

— Lepiej?

— Mmm... — Jest w stanie wydać z siebie tylko nieartykułowany pomruk.

Brzuch ściska jej dziwna żądza.

— To dobrze. Myślę, że powinniśmy stąd wyjść, zanim woda zupełnie

ostygnie.

Wstaje, a Alessia zamyka oczy. Chyba nigdy się nie przyzwyczai do oglądania Maxima nago ani do tego głodu objawiającego się bólem w głębi jej ciała.

— Chodź — mówi Maxim.

Owinął się w pasie ręcznikiem i podaje jej granatowy szlafrok. Czując się nieco mniej onieśmielona, wstaje i chwyta go za rękę, kiedy pomaga jej wyjść z wanny. Otula się miękkim szlafrokiem, o wiele na nią za dużym. Staje twarzą do mężczyzny, a on całuje ją — porządnie, mocno, penetrując językiem wewnątrz jej ust. Jego palce spoczywają na jej karku, trzymają, nakierowują. Kiedy ją puszcza, Alessii brakuje tchu.

— Mógłbym cię całować przez cały dzień — mruczy. Maleńkie kropelki wody lgną do jego ciała jak rosa.

W oszołomieniu Alessia zastanawia się, jak by to było je zlizać.

Co?!

Gwałtownie wciąga powietrze, oburzona własnymi myślami.

Jakie to wyuzdane.

Uśmiecha się. Może jednak się przyzwyczai do oglądania go nago.

— W porządku? — pyta ją.

Alessia kiwa głową, a on bierze ją za rękę, prowadzi z powrotem do sypialni i tam wypuszcza z uścisku. Podnosi z podłogi swoje dzinsy, wkłada je i zaczyna wycierać ręcznikiem plecy. Alessia przygląda mu się wielkimi oczami.

— Podoba ci się ten widok? — Maxim uśmiecha się do niej znacząco.

Czuje, jak jej twarz robi się nagle ciepła, ale wytrzymuje jego spojrzenie.

— Lubię na ciebie patrzeć — szepcze.

Jego twarz promienieje czarującą, szczerą radością.

— Cóż, ja też lubię na ciebie patrzeć i jestem cały twój — mówi, ale zaraz niepewnie marszczy czoło i odwraca wzrok.

Szybko się jednak otrząsa, zakłada koszulkę i sweter, po czym podchodzi do Alessii i pieści jej policzek, kciukiem przesuwając wzdłuż linii żuchwy.

— Nie musisz się ubierać, jeśli nie chcesz. Danny przyniesie nam kolację.

— O?

Znowu ta Danny? Kim ona jest? Dlaczego nic o niej nie mówi?

Maxim pochyla się i całuje Alessię.

—Jeszcze szampana?

— Nie, dziękuję. Ubiorę się.

AHA. SĄDZĄC PO JEJ TONIE, DOMYŚLAM SIĘ, ŻE CHCE TO ZROBIĆ W SAMOTNOŚCI.

— Wszystko w porządku? — pytam.

Jej delikatny uśmiech i skinienie głowy potwierdzają, że jest okej.

—To dobrze — mamroczę i wracam do łazienki po kieliszki i butelkę laurent—perriera.

Słońce w końcu znikło, otulając horyzont ciemnością. Wracam na dół, włączam światło w kuchni i wstawiam szampana do lodówki, przez cały czas myśląc o Alessii Demachi.

Rany, jest niesamowita.

Wydaje się już weselsza i bardziej rozluźniona, ale nie jestem pewien, czy to zasługa masażu stóp, kąpieli czy seksu. Oglądanie jej reakcji w wannie było prawdziwą uczta dla zmysłów. Kiedy zamknęła oczy i pojękiwała, wyglądała zachwycająco, widać było, że erotyzm ma we krwi.

Jakież możliwości...

Kurwa mać.

Kręcę głową nad swoimi lubieżnymi myślami. Miałem mocne postanowienie, że jej nie tknę. Naprawdę mocne.

Ale gdy w końcu pokonał mnie własny żal, ona mnie pocieszyła. A ja się poddałem... kobiecie ubranej w spodnie od pizamy ze SpongeBobem i starą koszulkę Arsenалу. Ledwo mogę w to uwierzyć.

Ciekawe, co Kit by powiedział o Alessii.

Chyba nie pieprzysz się z, pracownicami, co, Rezerwowy?

Nie. Kit raczej nie pochwaliłby tego, co zrobiłem, choć Alessia z pewnością by mu się spodobała. Zawsze potrafił docenić ładną dziewczynę.

— To taki ciepły dom — odzywa się Alessia, przerywając moje rozmyślenia.

Stoi przed kuchenną ladą w swoich spodniach od pizamy i białej koszulce.

— Za gorąco ci? — pytam.

— Nie.

— To dobrze. Jeszcze bąbelków?

— Bąbelków?

— Szampana?

— Tak. Poproszę.

Wyjmuję z lodówki butelkę i raz jeszcze napełniam kieliszki.

— Co chciałabyś teraz robić? — pytam, gdy ona bierze łyk. Wiem, na co sam mam ochotę, ale jest obolała, więc to pewnie nie najlepszy pomysł.

Może później, wieczorem.

Z kieliszkiem w dłoni Alessia siada na jednej z kanap w kącie bibliotecznym i przygląda się szachownicy rozstawionej na ławie. Odzywa się domofon.

— To pewnie Danny — mówię i wciskam guzik na urządzeniu.

Alessia zrywa się z kanapy.

— W porządku. Nie masz się czego bać — uspokajam ją.

Przez przeszkloną ścianę widzę, jak Danny niepewnie schodzi po oświetlonych, ale wciąż stromych kamiennych stopniach, niosąc plastikową skrzynkę. Pojemnik wygląda na ciężki.

Otwieram drzwi, wybiegam bosy i spotykam się z nią w połowie schodów.

Cholera. Ziemia jest lodowata.

— Danny, pozwól, że to wezmę.

— Nie trzeba. Przeziębisz się paskudnie na tym zimnie, Maximie — beszta mnie z dezaprobatą na twarzy. — To znaczy, milordzie — dodaje po chwili namysłu.

— Daj mi tę skrzynkę, Danny. — Nie przyjmuję odmowy.

Wręcza mi ją, sznurując usta, a ja szeroko się uśmiecham.

— Dziękuję.

— Wejdę i wszystko przygotuję.

— Nie trzeba. Na pewno sobie poradzę.

— Byłoby dużo prościej, gdyby się pan zatrzymał we dworze, sir.

— Wiem. Przepraszam. I podziękuj ode mnie Jessie.

— Przygotowała pana ulubione danie. Aha, włożyła do skrzynki kratkę do pieczenia ziemniaków. Siedziały już w mikrofalówce, więc szybko powinny nabrać chrupkości. A teraz do środka. Nie ma pan butów.

Marszczy groźnie brwi, zaganiając mnie do domu. Jest przeraźliwie zimno, więc robię, co każe. Przez okna Danny dostrzega Alessię siedzącą na kanapie i macha do niej, a Alessia odpowiada tym samym.

— Dziękuję! — wołam już z przytulnego przedpokoju, stojąc na przyjemnej dla stóp ogrzewanej podłodze.

Nie przedstawiam Danny Alessii. Wiem, że to niegrzeczne, ale naprawdę chcę pozostać w tej naszej bańce trochę dłużej. Uprzejmości mogę zostawić na później.

Danny kręci głową, a zimny wiatr rozwiewa jej białe włosy, gdy odwraca się ku wyjściu. Przyglądam się, jak wchodzi po schodach. Znam ją już tyle lat, a w ogóle się nie zmieniła. Ta kobieta opatrywała mi obdarte kolana, bandażowała skaleczenia i otarcia, robiła zimne okłady na sińce, odkąd zacząłem chodzić — zawsze w tej samej kraciastej spódnicy i topornych butach, nigdy w spodniach. Nie. Uśmiecham się; to Jessie, jej partnerka, z którą jest od dwunastu lat, nosi w tym związku spodnie. Przez chwilę zastanawiam się, czy kiedyś się pobiorą. Prawo umożliwia to już od dość dawna. Nie mają teraz wymówki.

— Kto to był? — pyta Alessia i zagląda do skrzynki.

— To Danny. Mówiłem ci, że mieszka niedaleko i przyniesie nam kolację.

Wyjmuję ze skrzynki naczynie żaroodporne. Dostrzegam też cztery duże ziemniaki i ciasto banoffee, które sprawia, że aż ślinka mi leci.

Rany, Jessie naprawdę wie, jak dogodzić podniebieniu.

— Mięso trzeba odgrzać. Możemy je zjeść z pieczonymi ziemniakami. Okej?

— Tak. Jest bardzo okej.

— Bardzo okej?

— Tak. — Mruga. — Mój angielski?

— Jest doskonały — odpowiadam i uśmiechając się szeroko, z rozmachem wyciągam ze skrzynki najeżoną szpikulcami kratkę do pieczenia ziemniaków.

— Mogę się tym zająć — mówi, choć obserwuje urządzenie z pewnym powątpiewaniem.

— Nie. Sam to zrobię. — Zacieram ręce. — Dziś wieczorem jestem w domatorskim nastroju, a uwierz mi, to się nie zdarza zbyt często, więc korzystaj.

Rozbawiona Alessia unosi jedną brew, jakby widziała mnie w zupełnie nowym — mam nadzieję, że dobrym — świetle.

— Proszę. — W jednej z szafek znajduję kubetek. — Możesz go napełnić lodem. Lodówka w komórce ma wbudowaną kostkarkę. Można w ten sposób schłodzić szampana.

KIELISZEK ALBO DWA PÓŹNIEJ ALESSIA SIEDZI NA JEDNEJ Z TURKUSOWYCH SOF. Z podciągniętymi nogami przygląda się, jak wstawiam do piekarnika duszone mięso.

— Grywasz w szachy? — pytam, podchodząc i siadając obok niej.

Oczy Alessii wędrują do marmurowych figurek i z powrotem do mnie, a jej twarz pozostaje nieodgadniona.

— Trochę — mówi i bierze łyk szampana.

— Trochę co? — Tym razem to ja unoszę brew.

Co ma na myśli? Nie spuszczać z niej wzroku, biorę w dłoń pionki, biały i szary. Przekładam je z ręki do ręki, po czym zaciskam palce i wystawiam pięści w jej stronę. Alessia oblizuje górną wargę i z rozmysłem przesuwam palcem wskazującym po grzbiecie mojej dłoni. Czuję drżenie sunące w górę ręki i dalej, prosto do mojej męskości.

Wow.

— Ten — mówi, patrząc na mnie spod czarnych jak atrament rzęs.

Poruszam się, usiłując zapanować nad własnym ciałem, i otwieram dłoń. Leży na niej szary pionek.

— Czarne. — Obracam szachownicę tak, żeby znalazł się przed nią jej zestaw. — A więc ja zaczynam.

Po czterech ruchach przeczesuję dłońmi włosy.

—Jeszcze jedna rzecz, którą przede mną zataiłaś, co? — mówię cierpkim tonem.

Alessia przygryza górną wargę, starając się powstrzymać uśmiech i wyglądać poważnie, ale w jej oczach błyszczą iskry rozbawienia. Obserwuje, jak próbują ją przechytrzyć.

Oczywiście, że gra jak arcymistrz.

Rety, ta dziewczyna nie przestoje zaskakiwać.

Marszczę groźnie brwi w nadziei, że ją tym onieśmielę i zmuszę do popełnienia błędu. Jej uśmiech tylko się rozszerza, rozświetlając piękną twarz, i sam nie mogę ukryć radości.

Jest obłądna.

— Dość dobrze ci idzie — zauważam.

Wzrusza ramionami.

— W Kukës raczej nie ma nic do roboty. W domu jest tylko stary komputer, ale żadnych konsol do gier ani smartfonów. Pianino, szachy, książki i trochę telewizji to wszystko, co mamy.

Pełnym zachwytu wzrokiem spogląda w stronę regału na drugim końcu pokoju.

— Książki?

— O tak. Dużo, dużo książek Po albańsku i po angielsku. Chciałam zostać nauczycielką angielskiego. — Przez chwilę wpatruje się w szachownicę, a humor znika z jej twarzy.

A teraz jest sprzątaczką uciekającą przed oprychami zajmującymi się handlem ludźmi.

— Ale lubisz czytać?

— Tak. — Rozpromienia się. — Szczególnie po angielsku. Moja babcia przemycała do kraju książki.

— Wspominałaś o tym. To musiało być ryzykowne.

— Tak, dla niej to było bardzo niebezpieczne. Komuniści zakazali książek po angielsku.

Zakazali!

Raz jeszcze uświadamiam sobie, jak mało wiem o jej rodzinnym, kraju.

Skup się, chłopie.

Zbijam jej skoczka i jestem bardzo z siebie zadowolony, ale wystarczy przelotne spojrzenie na twarz Alessii i już widzę, że skrywa chytry uśmieszek Przesuwa swoją wieżę o trzy pola w lewo i chichocze.

— Szach. *Cholera!*

— No dobra, to nasza pierwsza i ostatnia partia szachów — marudzę i kręcę głową rozczarowany zbliżającą się porażką.

Jakbym grał z Maryanne. Też mnie zawsze ogrywa.

Alessia zakłada włosy za ucho, bierze kolejny łyk szampana i obraca w palcach złoty krzyżyk. Cudownie się bawi, zadając mi klęskę.

To upokarzające.

Skup się.

Jeszcze trzy ruchy i jest po mnie.

— Szach—mat — mówi, przyglądając mi się uważnie, a jej poważna mina zapiera mi dech w piersiach.

— Piękna gra, Alessio Demachi — szepczę, gdy moją krew rozgrzewa pożądanie. — Jesteś w tym bardzo dobra.

Spogląda na szachownicę, a moje ciało nieco stygnie. Alessia podnosi głowę i posyła mi zawstydzony uśmiech.

— Grałam z dziadkiem, odkąd skończyłam sześć lat. On był... Jak to się mówi? Demonem gry. Zawsze chciał wygrać. Nawet z dzieckiem.

— Dał ci dobrą szkołę — mruczę, odzyskując równowagę.

Tak naprawdę mam chęć wziąć ją tu, na kanapie. Myślę, czy to dobry moment, by rzucić się na Alessię, ale stwierdzam, że najpierw powinniśmy zjeść.

— Czy on żyje? — pytam.

— Nie, umarł, kiedy miałam dwanaście lat.

— Przykro mi.

— Miał dobre życie.

— Powiedziałaś, że chciałaś być nauczycielką angielskiego. Co stanęło na przeszkodzie?

— Moją uczelnię zamknęli. Zabrakło pieniędzy, więc musiałam przerwać naukę.

— No to lipa.

Chichocze.

— Tak. Lipa. Ale lubię pracować z małymi dziećmi. Uczę je muzyki i czytam im po angielsku. Ale tylko przez dwie godziny tygodniowo, bo nie mam...jak to się mówi? Kwalifikacji. Poza tym pomagam mamie w domu. Jeszcze jedna partia? — pyta.

Kręcę głową.

— Myślę, że długo będę musiał leczyć swoje ego, zanim znowu z tobą zagram. Jesteś głodna?

Kiwa głową.

— To dobrze. Mięso pachnie wspaniale, a ja umieram z głodu.

Duszona wołowina z suszonymi śliwkami to moje ulubione danie ze wszystkich przygotowywanych przez Jessie. Dawniej gotowała je na zimowe polowania w posiadłości, kiedy Kit, Maryanne i ja zostawaliśmy naganiaczami pędzącymi ptactwo wprost pod czekające lufy. Dziś tym bardziej nie mogę mu się oprzeć.

ALESSIA UPIERA SIĘ, ŻEBY NAŁOŻYĆ KOLACJĘ NA PÓŁMISKI, a tymczasem ja nakrywam do stołu. Ukradkiem obserwuję, jak krząta się w kuchni. Porusza się zgrabnie i elegancko, z wrodzonym, zmysłowym wdziękiem. Zastanawiam się, czy nie była kiedyś tancerką. Gdy się odwraca, jej wspaniałe włosy opadają na przypominającą elfa twarz, więc odgarnia je szybkim ruchem dłoni. Długimi, smukłymi palcami chwyta nóż i rozkrawa pieczone ziemniaki, uwalniając smużki pary. Ze zmarszczonym w skupieniu czołem smaruje je masłem, a po chwili przerywa na moment, by zlizać ze wskazującego palca odrobinę roztopionego tłuszczu.

Czuję napięcie w kroczu.

Dobry Boże.

Podnosi wzrok i przyłapuje mnie na tym, że się jej przyglądam.

— O co chodzi? — pyta.

— O nic. — Mój głos brzmi chropawo. Odchrząkuję. — Po prostu lubię na ciebie patrzeć. Jesteś bardzo ładna. — Podchodzę szybko i zniemacka biorę ją w objęcia. — Cieszę się, że tu ze mną jesteś. — Nasze usta spotykają się w krótkim, czułym pocałunku.

— Ja też się cieszę — odpowiada z nieśmiałym uśmiechem. — Maximie.

Dosłownie szczerzę się z radości. Uwielbiam, gdy wypowiada moje

imię z tym swoim akcentem. Chwytam talerze.

— Chodźmy jeść.

DUSZONA WOŁOWINA JEST AROMATYCZNA, SŁODKA I DELIKATNA.

— Mmm — mruczy Alessia i z upodobaniem zamyka oczy. — *I shijshēm.*

— Czy to po albańsku „jakie to niedobre”? — pyta Maxim.

Alessia chichocze.

— Nie. Jest pyszne. Jutro sama coś ci ugotuję.

— Potrafisz?

— Gotować? — Alessia przykłada dłoń do serca, urażona. — Oczywiście. Jestem albańską kobietą. Wszystkie albańskie kobiety potrafią gotować.

— Okej. Jutro pojedziemy na zakupy.

Jego uśmiech jest zaraźliwy, ale gdy się jej przygląda, twarz mu poważnieje.

— Któregoś dnia — mówi — opowiesz mi o wszystkim?

— To znaczy?

— O tym, jak i dlaczego przyjechałaś do Anglii.

— Tak Któregoś dnia — mówi.

Któregoś dnia. Któregoś dnia! Któregoś dnia!

Jej serce gubi rytm. Te dwa słowa sugerują, że czeka ją z tym

mężczyzną jakaś przyszłość.

Czyżby?

Ale w jakiej roli?

Alessia nie do końca rozumie relacje damsko—męskie w Anglii. W Kukës jest inaczej. Widziała dostatecznie dużo amerykańskich programów — gdy mama nie kontrolowała tego, co Alessia oglądała — a w Londynie na własne oczy mogła zobaczyć, jak swobodnie i bez skrępowania zachowują się kobiety i mężczyźni w miejscach publicznych. Całują się. Rozmawiają. Trzymają za rękę. Widać, że te pary nie są małżeństwami. Są kochankami.

Maxim też trzymają czasem za rękę. Rozmawiają.

Kocha się z nią...

Kochankowie.

To jasne, że tym teraz są ona i *mister* Maxim. *Kochankami.*

W jej sercu budzi się nadzieja i jest to uczucie tyleż ekscytujące, co straszne. Kocha go. Powinna mu to powiedzieć, ale jest zbyt nieśmiała, by zdobyć się na takie wyznanie. I nie wie, co on do niej czuje. Jest pewna tylko tego, że poszłaby za nim na koniec świata.

— Masz ochotę na deser? — pyta Maxim.

Alessia klepie się po brzuchu.

—Jestem pełna.

— Mamy banoffeee.

— Banoffeee?

— Banany, toffi i śmietanka.

Kręci głową.

— Nie, dziękuję.

Maxim zabiera puste talerze i odstawia je na ladę, po czym wraca z kawałkiem ciasta. Siada, stawia talerzyk na stole i bierze kęs.

— Mmm... — mruczy z przesadnym upodobaniem.

— Drażnisz się ze mną. Chcesz, żebym nabrała ochoty na twój deser?
— pyta Alessia.

— Chcę, żebyś nabrała ochoty na wiele rzeczy. Akurat w tej chwili jest to deser. — Maxim uśmiecha się chytrze i oblizuje wargi. Widelczykiem nabiera mały kawałek ciasta zanurzonego w bitej śmietanie i jej podaje.
— Spróbuj — szepcze uwodzicielskim głosem, hipnotyzując ją gorącym spojrzeniem.

W odpowiedzi Alessia otwiera buzię i przyjmuje kęs.

Oh, Zot i madh!

Zamyka oczy i rozkoszuje się smakołykiem, który rozpływa się w ustach. Jest jak słodki kawałek nieba. Gdy znowu spogląda na Maxima, widzi na jego twarzy uśmiech, z którego może wyczytać „a nie mówiłem?”. Podsuwa jej drugi, większy kawałek i tym razem Alessia już się nie waha. On jednak wkłada widelczyk do własnych ust i przeżuując, uśmiecha się psotnie. Alessia się śmieje. Udaje, że się dąsa, a on nagradza ją kolejnym kawałkiem ciasta. Przenosi wzrok na jej usta i delikatnie wyciera je w kąciuku palcem wskazującym.

— Coś ci tu zostało — mruczy i podnosi ubrudzony śmietaną palec.

Nagle wesołość z jego oczu znika, zastępują ją mrok i lekkie wrzenie. Puls Alessii bije szybciej. Nie wie, czy to szampan dodał jej odwagi, czy jego rozpalony wzrok, ale poddaje się instynktowi. Nachyla się i patrząc mu w oczy, czubkiem języka zlizuje z palca śmietanę. Maxim przymyka powieki, a z jego gardła dobywa się pomruk zadowolenia. Ośmielona

taką reakcją Alessia liże palec raz jeszcze, a potem całuje koniuszek i delikatnie drażni zębami. Wzrok Maxima się podnosi, a ona zaciska wargi i ssie. Mocno.

Mmm... Ma taki czysty smak. I taki męski.

Maxim rozchyła usta. Alessia ssie dalej i patrzy, jak rozszerzają mu się źrenice, a wzrok skupia na jej wargach. Jest podniecony. Kto by pomyślał, że Alessia ma moc, by go tak poruszyć? To dla niej objawienie. Przesuwa zębami po opuszkę jego palca, a Maxim jęczy.

— Ołać deser — mówi jakby do siebie i powoli zabiera palec z jej ust.

Ujmuje jej głowę w obie dłonie i całuje wargi Alessii, a miejsce palca zajmuje w jej ustach jego język. Mokry. Gorący. Bada ją i się jej domaga. Dziewczyna reaguje natychmiast, chwytając go za włosy i pożądliwie odwzajemnia pocałunek. Czuje smak deseru i Maxima. Taka mieszanka uderza do głowy.

— Łóżko czy szachy? — szepcze tuż przy jej ustach.

Znowu? Tak! Przez jej ciało z prędkością światła przemyka dreszcz.

— Łóżko.

— Dobra odpowiedź.

Pięści jej policzki, przesuwając kciukiem po dolnej wardze, i uśmiecha się, a jego oczy płoną zmysłową obietnicą. Biorą się za ręce i idą na górę. W progu sypialni Maxim wciska włącznik i pokój oświetlają nocne lampki. Odwraca się niespodziewanie i całuje Alessię, dłońmi przytrzymuje jej twarz i przyciska dziewczynę do ściany. Serce zaczyna jej łomotać, gdy Maxim łączy się do niej całym ciałem. Pragnie jej. Alessia to czuje.

— Dotykaj mnie — sapie mężczyzna. — Wszędzie. — Alessia znów czuje jego wargi na swoich; zaborcze i wygłodniałe, sprawiają, że z głębi jej gardła dobywa się jęk — Chcę cię słyszeć.

Jego ręce ześlizgują się do jej pasa. Alessia kładzie mu dłonie na piersi. Usta Maxima wciąż rozkoszują się jej smakiem. Kiedy ją puszcza, oboje dyszą. Dotyka czołem jej czoła, ich oddechy się mieszają, obojgu brakuje powietrza.

— Co ty ze mną wyprawiasz... — Jego głos brzmi delikatnie jak podmuch wiosennego wiatru.

Patrzy na nią z góry, a pragnienie w jego oczach wwierca się w jej duszę, rozpalając ją do czerwoności. Maxim chwyta za brzeg jej koszulki i ściąga ubranie przez głowę. Alessia jest pod nią naga; odruchowo próbuje zakryć piersi, ale Maxim przytrzymuje jej ręce, przez cały czas patrząc jej w oczy.

— Jesteś olśniewająca. Nie chowaj się.

Całuje ją znowu i splata jej palce ze swoimi. Uniemożliwiając jej ruch, kontynuuje słodkie natarcie na jej usta. Gdy Alessia uwalnia się, żeby zaczerpnąć tchu, Maxim przenosi wargi na jej szyję, brodę, zębami przesuwając po linii żuchwy i składa długi, soczysty pocałunek w miejscu, gdzie bije puls.

Krew dudni jej w żyłach. Alessia czuje, że się roztapia. Prostuje palce, ale Maxim jej nie puszcza.

— Chcesz mnie dotknąć? — pyta z wargami przy jej szyi. Alessia wydaje z siebie głośne westchnienie.

— Powiedz mi.

— Tak — szepcze, a on delikatnie ciągnie zębami jej ucho.

Wijąc się pod jego naporem, Alessia jęczy i znowu prostuje palce. Tym razem Maxim puszcza jej dłonie, łapie za biodra i przyciąga do swojego nabrzmiałego członka.

— Poczuj mnie — mruczy.

Czuje. Czuje go całego.

Gotowego. Czekającego. Na nią.

Jej serce gubi rytm; Alessia wciąga powietrze.

Maxim jej pragnie. A ona pragnie jego.

— Rozbierz mnie — zachęca ją, a jej palce znajdują brzeg koszulki.

Waha się tylko przez chwilę, zanim ją ściąga. Rzuca ubranie na podłogę, a on obejmuje dłońmi jej głowę.

— Co teraz ze mną zrobisz? — pyta, układając usta w seksowny uśmiech.

Alessia robi wdech, oszołomiona śmiałą zachętą, a jej wzrok przemyka po jego ciele. Palce dosłownie ją świerzbią, tak bardzo chce go dotknąć. Poczuć jego skórę pod swoją.

— No dalej — szepcze, a w jego głosie słychać uwodzicielskie wyzwanie.

Alessia chce dotykać jego torsu, brzucha i niżej. Chce go tam też całować. Ta myśl powoduje gdzieś w głębi dziwny, rozkoszny ucisk. Z wahaniem podnosi rękę i wskazującym palcem prowadzi linię od piersi Maxima w dół, pomiędzy mięśniami brzucha aż do pępka. Mężczyzna nie spuszcza z niej wzroku, oddech mu się rwie, gdy jej palec sunie coraz niżej, przez włoski nad paskiem do guzika dzinsów. Odwaga ją opuszcza, waha się.

Maxim uśmiecha się szeroko i chwyta ją za rękę, podnosi do ust i całuje koniuszki palców. Obraca dłoń i przykładą wargi i czubek języka do nadgarstka w miejscu, gdzie pulsuje krew. Z rozmysłem zatacza wokół niego kręgi językiem, a Alessia głośno wciąga powietrze. Uśmiechając się, uwalnia jej rękę i znowu ujmuje w dłonie głowę. Wargami raz jeszcze odnajduje jej wargi i językiem penetruje usta.

Alessia dyszy, kiedy ją w końcu puszcza.

— Moja kolej — mówi Maxim.

Z nieskończoną delikatnością, lekko jak piórkiem przesuwa palcem pomiędzy jej piersiami, po brzuchu do pępka, który okrąża dwa razy, po czym sięga do paska piżamy. Serce Alessii zaczyna walić, a szalony łomot odbija się echem w głowie.

Nagle Maxim przed nią klęka.

Co?

Chwyta go za barki, żeby nie upaść. On kładzie dłonie na jej pośladkach, po czym całuje ją pod obiema piersiami i pozostawia wilgotny ślad słodkich pocałunków ciągnący się aż do pępka.

— Ach — jęczy Alessia, gdy jego język okrąża go i wsuwa się do środka.

Przezesuje palcami jego włosy, a on podnosi wzrok i uśmiecha się chytrze. Z dłońmi na jej pupie przysiada na piętach i przyciągają do siebie, przytrzymuje i wiedzie nosem po jej kobiecości.

— Co...! — krzyczy zszokowana Alessia. Zaciska palce w jego włosach, a on jęczy.

— Rozkosznie pachniesz — szepcze, gdy ona głośno zasysa powietrze.

Jego dłonie wsuwają się pod piżamę i obejmują pośladki, masują ciało, podczas gdy nos raz po raz pociera łechtaczkę.

Tego się nie spodziewała. Jego widok na kolanach u jej stóp, gdy robi coś takiego, jest zbyt pobudzający. Zamyka oczy, odchyła w tył głowę i jęczy. Jego ręce się poruszają i Alessia czuje, jak spodnie od piżamy spadają na podłogę.

Zot.

Jego nos pozostaje tam, gdzie kończą się nogi.

—Maxim! — krzyczy zgorziona i próbuje odsunąć jego głowę.

— Cśś — szepcze. — Wszystko w porządku.

Opierając się jej nieśmiałym próbom powstrzymania tego, co robi, Maxim zastępuje nos językiem.

— Ach — jęczy Alessia, gdy nie przestaje jej drażnić, przesuwając językiem w kółko, raz za razem.

Przestaje z nim walczyć. Zatraca się w tym doznaniu i upaja cielesną rozkoszą jego dotyku. Nogi zaczynają jej drżeć, a Maxim chwyta ją za biodra i nie przerywa cudownej tortury.

— Proszę — błaga, a on w jednej chwili już jest na nogach.

Łapie ją za biodra i znów całuje, wkłada ręce we włosy i odgina w tył głowę. Alessia otwiera się przed nim, by poczuć smak jego języka. Jest jakiś inny — słonawy, śliski —a ona zdaje sobie sprawę, że smakuje nią!

O perëndi!

Nie przerywając pocałunku, Maxim przesuwa dłonią po jej ciele, kciukiem muskając sutek, gładząc talię i schodząc niżej, tam, gdzie stykają się uda. Jego palce pobudzają ją w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą był język, a po chwili jeden wsuwa się do środka. Drżąca i wiedzioną instynktem wypycha biodra w jego stronę, szukając ulgi w jego dłoni.

— Tak — sapie Maxim z wyraźną przyjemnością, kręcąc palcem, wsuwając go i wysuwając.

Gdy Alessia odrzuca głowę i zamyka oczy, on zabiera rękę i rozprawia się ze swoimi dzinsami. Suwak nie stawia oporu. Maxim z tylnej kieszeni wyjmuje prezerwatywę, błyskawicznie pozbywa się spodni, a Alessia patrzy oszołomiona i zafascynowana, gdy rozdziera paczuszkę i nakłada gumkę na sterczącą męskość. Dyszy głośno i szybko... i chce go dotknąć. Tam. Ale nie ma śmiałości. Jeszcze nie.

A nie są nawet w łóżku... Co on zamierza zrobić? Całuje ją znowu i chwyta w tali.

— Uważaj — szepcze, kiedy ją podnosi. — Opleć mnie rękami i nogami.

Co? Znowu?

Robi to, o co ją poprosił, zaskoczona raz jeszcze własną zwinnością, on tymczasem podkłada ręce pod jej pupę i przyciska ją do ściany.

— Wszystko dobrze? — pyta, sapiąc.

Alessia kiwa głową z szeroko otwartymi oczami, stęskniona. Jej ciało go pragnie. Pragnie go... okrutnie. Maxim całuje ją, przesuwa biodra do przodu i powoli w nią wchodzi.

Alessia jęczy i się krzywi, kiedy on wypełnia ją coraz bardziej.

Przerywa.

— Za mocno? — pyta, a ona słyszy w jego głosie troskę. — Powiedz mi — ponaglają. — Jeśli chcesz przestać, po prostu powiedz.

Alessia napina uda. Jest dobrze. Da radę. Chce tego. Przytyka czoło do jego czoła.

—Jeszcze. Proszę.

Maxim jęczy i zaczyna poruszać biodrami. Najpierw powoli, ale gdy widzi, że Alessia sapie i jęczy, przyspiesza. Im szybciej się porusza, tym mocniej ona oplata jego szyję. Intensywne doznanie zaczyna oplatać jej całe ciało niczym spirala. Zbliża się do orgazmu, a on porusza się i porusza.

O. Nie. Nie wytrzyma tego. To zbyt obezwładniające. Wbija paznokcie w jego barki.

— Maxim. Maxim — wzdycha. — Nie mogę.

On natychmiast nieruchomieje, oddech mu się rwie. Całuje ją i robi głęboki wdech, po czym nie przerywając intymnego połączenia, odwraca się i podchodzi do łóżka. Siada i kładzie ją delikatnie na plecach, przez cały czas patrząc na nią oczami koloru wiosennego lasu. Ich rozszerzone źrenice zdradzają głód. Alessia wyciąga rękę i pieści mu policzek. Nie może się nadziwić jego sile.

— Lepiej? — pytają, moszcząc się między jej nogami i opierając ciężar na przedramionach.

— Tak — odpowiada szeptem i palcami przeczesuje jego miękkie włosy.

Maxim zębami skubie jej wargi i zaczyna się znowu poruszać. Najpierw powoli, ale stopniowo przyspiesza. Tak jest spokojniej, nie tak głęboko, i nim Alessia się zorientuje, jej ciało już do niej nie należy, porusza się w nadawanym przez Maxima rytmie, dostraja się do jego tempa, kiedy on raz po raz wsuwa się w nią i wysuwa.

Zatraca się w nim i z nim... rozpala coraz mocniej, coraz bardziej napina.

— Tak — sapie Maxim, wciska się w nią jeszcze raz i mruczając gardłowo, nagle nieruchomieje.

Alessia krzyczy i traci poczucie siebie, raz, drugi, kolejny, wirując pod jego spiętym ciałem.

Kiedy otwiera oczy, ich czoła się stykają, a jego powieki są zaciśnięte.

— Och, Alessio — szepcze.

Po chwili otwiera oczy, a ona gładzi go po policzku i obydwójce wpatrują się w siebie. Jest taki kochany. Tak bardzo, bardzo kochany.

— *Të dua* — szepcze.

— Co to znaczy?

Alessia się uśmiecha, a on w odpowiedzi spogląda na nią wzrokiem pełnym zadziwienia i... czyżby czci? Nachyla się i całuje jej usta, powieki, policzki i brodę, po czym powoli z niej wychodzi. Alessia wzdycha w poczuciu straty, po czym odpływa, spełniona, ale wykończona, i w jego objęciach zasypia.

LEŻY SKULONA OBOK MNIE, OTULONA KOŁDRĄ.

Drobna. Bezbronna. Piękna.

Ta młoda kobieta, która tak wiele przeszła, jest teraz tu, przy mnie, gdzie mogę ją chronić. Przeciagam się, obserwując jej miarowo falującą pierś: oddycha przez rozchylone usta, ciemne rzęsy rozłożyły się nad jej policzkami jak wachlarze. Skórę ma jasną, wargi różowe. Jest boska. Wiem, że patrzenie na nią nigdy mi się nie znudzi. Jestem nią urzeczony i oczarowany. Alessia jest pod każdym względem magiczna.

Uprawiałem seks tyle razy, że nie sposób zliczyć, ale nigdy jeszcze nie czułem takiej więzi. To nieznanne mi wcześniej i niepokojące uczucie, podobnie jak to, że wciąż mi jej mało.

Odgarniam kosmyk włosów z jej czoła tylko po to, żeby jej dotknąć. Alessia porusza się i mamrocze coś po albańsku, a ja zamieram w obawie, że ją obudziłem. Ona jednak zapada z powrotem w spokojny sen. Przypominam sobie, że jeśli się przebudzi, przestraszy się ciemności. Ostrożnie, żeby jej nie przeszkodzić, wstaję z łóżka i spieszę na dół po kupioną wcześniej nocną lampkę. Wracam do sypialni, wkładam do urządzenia baterię, włączam lampkę i stawiam na szafce nocnej po stronie Alessii. Jeśli dziewczyna się obudzi, nie będzie miała się czego bać.

Wracam pod kołdrę i przyglądam się Alessii. Jest śliczną; luk jej policzka, brody, miejsce, gdzie złoty krzyżyk spoczywa w zagłębieniu u nasady szyi — wszystko jest wyjątkowe. We śnie wygląda niewinnie i spokojnie. Biorę pasmo jej włosów i owijam je wokół palca. Mam szczerą nadzieję, że czuje się już bezpieczniej. I że nie śnią się jej już te

same koszmary co wczoraj. Wzdycha, a jej usta układają się w uśmiech. Wyraz jej twarzy dodaje mi otuchy. Wpatruję się w nią, dopóki powieki nie zaczną mi ciążyć. A nim zapadnę w sen, szeptem wypowiadam jej imię.

Alessia.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

CZUJĘ JĄ, ZANIM SIĘ CAŁKIEM BUDZĘ. PRZENIKA MNIE CIEPŁO JEJ CIAŁA. Przepętniony miłym uczuciem, że jej skóra dotyka mojej, otwieram oczy, by ujrzeć zamglony poranek i śliczną Alessię. Mocno śpi i wtula się we mnie skulona, z dłonią na moim brzuchu i głową na piersi. Obejmuję ją władczo ramieniem, trzymam blisko siebie. Jest naga. Uśmiecham się, a moje ciało natychmiast reaguje.

Jaką różnicę może zrobić jeden dzień...

Leżę tak przez chwilę, napawając się jej ciepłem i zapachem jej włosów. Wierci się i mruży coś niezrozumiałego, a potem otwiera oczy, mrugając.

— Dzień dobry, piękna — szepczę. — Poranna pobudka na życzenie. — Przewracam ją na plecy. Mruga kilka razy, kiedy całuję czubek jej nosa i pocieram swoim to miejsce za uchem, gdzie można wyczuć puls. Rozpromienia się i zarzuca mi ręce na szyję, gdy moja dłoń wędruje ku jej piersi.

ŚWIECI SŁOŃCE. POWIETRZE JEST RZEŚKIE I CHŁODNE. Z głośników samochodu dobiega piosenka *No diggity*, gdy jedziemy drogą A39 w kierunku Padstow. Zrezygnowałem z niedzielnej mszy. W tym kościele zna mnie zbyt wielu ludzi. Gdy już powiem Alessii, kim jestem i co robię... Może wtedy się tam pokażę. Zerkam na dziewczynę, gdy wybija stopami rytm. Rzuca mi krótki uśmiech, od którego aż robi mi się ciasno w spodniach.

Och, jest porywająca.

Jej uśmiech rozświecła wnętrze jaguara — i moją duszę.

Odpowiadam jej szelmowskim uśmiechem i wspominam dzisiejszy ranek. I ubiegłą noc. Alessia wsuwa rozpuszczone włosy za ucho i na jej

policzki wypełza niewinny rumieniec. Może ona myśli o tym samym. Mam taką nadzieję. Widzę ją w moim łóżku, zjawiskową, z głową odchyloną do tyłu w ekstazie i rozchyłonymi ustami, gdy krzyczy, dochodząc, a jej włosy spływają z krawędzi łóżka. Cała krew spływa mi do krocza na tę myśl. *O, tak*. Podobało jej się to. Bardzo jej się podobało. Wiercę się w fotelu na to wspomnienie i sięgam dłonią, by ścisnąć ją za kolano.

— W porządku? — pytam.

Kiwa głową, a jej ciemnobrązowe oczy aż iskrzą.

— U mnie też. — Biorę ją za rękę, podnoszę do ust i całuję delikatnie wewnątrz jej dłoni.

Czuję radość — więcej, wręcz upojenie. Nie czułem się tak dobrze, odkąd... odkąd umarł Kit. Nie. Jeszcze od czasów przed jego śmiercią. I wiem, że to dlatego, że jestem z Alessią.

I jestem nią oszołomiony.

Ale nie roztrząsam swoich uczuć. Nie chcę tego robić. Są nowe, świeże i trochę niepokojące. Nigdy się tak nie czułem. Prawda jest taka, że jestem podekscytowany. Jadę na zakupy z kobietą i nie mogę się tego doczekać — chyba pierwszy raz w życiu.

Podejrzewam jednak, że będę musiał stoczyć z Alessią walkę. Jest dumna. Może to typowo albańska cecha. Przy śniadaniu upierała się, że nie mogę jej kupić żadnych ubrań. Z tym że siedzi tu obok mnie w swojej jedynej parze dżinsów, przetartym i poszarzałym białym podkoszulku, przeciekających botkach i starej kurtce mojej siostry. Tej bitwy nie wygra.

Parkuję na przestronnym parkingu przy nabrzeżu. Alessia jest zaciekawiona, przygląda się przez szybę otoczeniu.

— Rozejrzemy się? — pytam, gdy wysiadamy z auta.

Widok jak z pocztówki: stare domki z szarego kornwalijskiego kamienia otaczają port, w którym cumuje beczynnie kilka łodzi rybackich. W końcu mamy dzień świąteczny.

— Ładny widok — stwierdza Alessia. Wtula się w kurtkę, a ja otaczam ją ramieniem i przysuwam do siebie.

— Chodź, kupimy ci trochę ciepłych ubrań — proponuję z uśmiechem, ale ona natychmiast wymyka mi się z objęć.

— Maxim, nie stać mnie na nowe ubrania.

— To prezent ode mnie.

— Prezent? — marszczy brew.

— Alessio, nie masz prawie nic. A mnie bardzo łatwo temu zaradzić. Proszę, pozwól mi. Chcę tego.

— To nie w porządku.

— Według kogo?

Przykłada palec do ust. Wygląda na to, że nie była przygotowana na taki argument.

— Według mnie. J a tak uważam — odpowiada w końcu.

Wzdycham.

— To wszystko w prezencie za twoją ciężką pracę...

— W prezencie za to, że odbyłam z tobą stosunek seksualny.

— Co? Nie! — śmieję się, jednocześnie oburzony i rozbawiony. Szybko przesuвам wzrokiem po nabrzeżu, upewniając się, czy nikt jej nie usłyszał. — Oferowałem, że kupię ci ubrania, zanim się kochaliśmy, Alessio. Daj spokój. Popatrz na siebie. Marzniesz. I wiem, że przeciekają ci buty. Widziałem ślady twoich stóp w korytarzu.

Rozchyła usta, żeby coś powiedzieć, ale wyciągam rękę, by ją powstrzymać.

— Proszę — nalegam. — To będzie dla mnie ogromna przyjemność.

Nieugięta zaciska usta. Próbuję innej taktyki.

— I tak ci je kupię, z tobą lub bez ciebie. Więc lepiej chodź ze mną i wybierz coś, co ci się podoba. Chyba że wolisz zdać się na mnie.

Krzyżuje ramiona.

Cholera. Alessia Demachi jest bardzo uparta.

— Proszę. Zrób to dla mnie — zaklinam ją i wyciągam rękę. Patrzy na mnie, a ja uśmiecham się do niej najpiękniej, jak potrafię. I wtedy wzdycha — z rezygnacją, jak mi się wydaje — i podaje mi dłoń.

Tak.

PAN MAXIM MA RACJĘ. POTRZEBUJE UBRAŃ. Dlaczego jest taka uparta wobec jego hojnej propozycji? Bo i tak już tyle dla niej zrobił. Drepcze obok niego wzdłuż nabrzeża, próbując zignorować oburzony głos matki, który rozbrzmiewa w jej głowie.

Nie jest twoim mężem. On nie jest twoim mężem.

Potrząsa głową.

Dość!

Matki tu nie ma, więc Alessia nie pozwoli, by wywoływała w niej poczucie winy. Jest teraz w Anglii. Wolna. Jak angielskie dziewczyny. Jak jej babcia. A *mister* Maxim powiedział, że mają teraz wakacje, a jeśli zakupy sprawią mu przyjemność... Po tej rozkoszy, jaką on jej dał, jak mogłaby odmówić? Rumieni się na wspomnienie tej jego... Jak to nazwał?

Porannej pobudki.

Alessia tłumy uśmiech. Mógłby ją tak budzić codziennie.

I znowu przygotował dla niej śniadanie.

Rozpieszcza ją.

A od dawna nikt jej nie rozpieszczał.

A może nigdy?

Zerka na niego, gdy wchodzi do centrum Padstow, i tętno jej przyspiesza. Patrzy na nią z góry, a jego przystojna twarz rozpromienia się w szerokim, szelmowskim uśmiechu. Wygląda trochę jak łobuz. To pewnie przez zarost na twarzy. Alessia lubi czuć go językiem. Lubi czuć go na swojej skórze.

Alessio!

Nie miała pojęcia, że potrafi być taka wyuzdana. Maxim obudził w niej potwora. Śmieje się w duchu.

Kto by przypuszczał?

Jej myśli zaraz przybierają jednak poważniejszy obrót. Co zrobi, gdy wróci do Londynu i te wakacje się skończą? Przykłada dłoń do jego muskularnego ramienia, a drugą ściska go za rękę. Nie chce teraz o tym myśleć. Nie teraz. Nie dzisiaj.

Mam wakacje.

Idą dalej, a ona powtarza to zdanie jak mantrę.

Mam wakacje.

Ky ësthë pushim.

Padstow jest większe od Trevethick, ale stare, ciasne domy i wąskie

uliczki są do siebie bardzo podobne. To malownicze małe miasteczko. Roi się w nim od ludzi, turystów i mieszkańców, którzy wyszli na słońce pomimo chłodu. Dzieci jedzą lody. Młodzi trzymają się za ręce, jak ona i Maxim, a starsi ludzie idą ze sobą pod rękę. Alessia jest zachwycona, że mogą tak swobodnie wyrażać swoje uczucia na ulicy. W Kukës jest inaczej.

WCHODZĘ DO PIERWSZEGO SKLEPU Z DAMSKĄ ODZIEŻĄ. To lokalna sieciówka. Staję pośrodku i rozglądam się, oceniając, co mają w ofercie. Dostrzegam raczej same ładne rzeczy, ale szczerze mówiąc, jestem trochę przytłoczony.

Alessia uczepliła się mojego ramienia jak rzep. Nie mam pojęcia, od czego zacząć. Liczyłem na jej współpracę, może nawet na jakiś entuzjizm — ale wydaje się w ogóle niezainteresowana wystawionym towarem.

Podchodzi do nas młoda sprzedawczyni, jasnowłosa i zadowolona, z miłym uśmiechem dziewczyny z sąsiedztwa i podskakującym wesoło kucykiem.

— W czym mogę panu pomóc?

— Moja... hm... dziewczyna potrzebuje wszystkiego. Nie zabrała ubrań z Londynu, a spędzimy tutaj cały tydzień.

Dziewczyna? Tak. Pasuje.

Alessia patrzy na mnie zaskoczona.

— Oczywiście. Czego pani potrzebuje? — tym razem dziewczyna z wesołym uśmiechem zwraca się do Alessii.

Alessia wzrusza ramionami.

— Zacznijmy od dżinsów — wtrącam.

— Jaki rozmiar?

— Nie wiem — odpowiada moja towarzyszka.

Sprzedawczyni wygląda na zaskoczoną, ale po chwili cofa się i ocenia na oko.

— Nie jest pani stąd, prawda? — pyta łagodnie.

— Nie. — Alessia się rumieni.

— Myślę, że nosi pani eskę, czyli brytyjską ósemkę albo dziesiątkę. — Patrzy na nas wyczekująco, spodziewając się potwierdzenia.

Alessia kiwa głową, ale chyba tylko dlatego, że nie chce być nieuprzejma.

— Może przejdzie pani do przymierzalni, a ja przyniosę kilka par w tym rozmiarze i od tego zaczniemy?

— Okej — mamrocze Alessia i rzucając mi nieodgadnione spojrzenie, idzie za ekspedientką.

Słyszę, jak ta ją informuje:

— Tak przy okazji, mam na imię Sarah.

Wzdycham z ulgą i obserwuję, jak Sarah zdejmuje kilka par dżinsów z półek.

— Może po jednej parze jasnych, ciemnych i czarnych — sugeruję. Kucyk ekspedientki podskakuje radośnie, gdy dziewczyna posyła mi uśmiech i zgarnia kilka par.

Obchodząc sklep, przeglądam jakieś rzeczy na wieszakach, próbując zgadnąć, w czym Alessii byłoby do twarzy. Bywałem już na zakupach z kobietami, ale zawsze wiedziały, czego chcą. Zazwyczaj ciąga się mnie na takie wyprawy albo po to, żebym zapłacił, albo żebym wydał opinię, która i tak zostanie zignorowana. Kobiety, które znam, są pewne własnego stylu. Zastanawiam się, czy nie powinienem był wysłać jej na zakupy z Caroline.

Co takiego?

Wrócić do Londynu?

Nie. To raczej nie jest dobry pomysł.

Jeszcze nie.

Marszczę brwi. Co ja wyprawiam?

Pieprzę własną sprzątaczkę. To właśnie robię.

Słyszę w głowie jej krzyk, gdy ma orgazm. Penis aż twardnieje na to wspomnienie.

Cholera.

Tak. Pieprzę ją i dalej chcę to robić.

Właśnie dlatego tutaj jestem.

Lubię ją. Naprawdę ją lubię. I chcę ją chronić przed tym całym syfem, który musiała znosić... A poza tym mam tak wiele, a ona nie ma nic.

Prycham. To się nazywa redystrybucja bogactwa. Tak. Jakże to altruistyczne i socjalistyczne z mojej strony. Moja matka nie byłaby zachwycona. Uśmiecham się na tę myśl.

Znajduję dwie sukienki, które mi się podobają — czarną i szmaragdową. Podaję je ekspedientce.

Czy trafię w gust Alessii?

Siadam na wygodnym fotelu przed przymierzalną i czekam, próbując odsunąć od siebie niepokojące myśli. Alessia pojawia się w zielonej sukience.

Wow.

Aż kręci mi się w głowie.

Nigdy nie widziałem jej w takim stroju.

Włosy opadają jej poniżej piersi, które opina miękki materiał. I to dość ciasno.

Uwydatnia wszystko. Piersi. Płaski brzuch. Biodra.

Sukienka kończy się w okolicy kolan. Alessia ma bose stopy. Wygląda fantastycznie — może na trochę starszą, ale zdecydowanie bardziej kobieco i wyrafinowanie.

— Nie jest za głęboki? — pyta, pociągając za dekolt.

— Nie. — Mam ochrypy głos i muszę odchrząknąć. — Nie, jest dobrze.

— Podoba ci się?

— Tak. Tak. Bardzo mi się podoba. Wyglądasz ślicznie. Posyła mi nieśmiały uśmiech. Unoszę palec i pokazuję, żeby się obróciła. Robi to szybko i chichocze.

Materiał opina też jej pośladki.

Tak. Jest cudowna.

— Bierzemy — oznajmiam, a ona wraca do przymierzalni.

CZTERDZIEŚCI PIĘĆ MINUT PÓŹNIEJ ALESSIA MA NOWĄ GARDEROBĘ: trzy pary dżinsów, cztery bluzki z długim rękawem w różnych kolorach, dwie spódnice, dwie proste koszule, dwa kardigany, dwie sukienki, dwa swetry, płaszcz i bieliznę.

— Razem tysiąc trzysta pięćdziesiąt pięć funtów — Sarah uśmiecha się promiennie w stronę Maxima.

— Co?! — piszczy Alessia.

Maxim podaje kartę kredytową ekspedientce, a później przyciąga Alessię do siebie i mocno i długo ją całuje. Brak jej tchu, gdy ją puszcza. Przerażona wbija wzrok w podłogę. Nie może spojrzeć Sarah w oczy. W miasteczku Alessii trzymanie się za ręce jest uważane za niestosowne, a całowanie... Nie. Nigdy. Nigdy publicznie.

— Hej — mruczy Maxim, wsuwając dłoń pod jej podbródek i unosząc jej twarz.

— Za dużo wydajesz — szepcze.

— Na ciebie nigdy. Proszę, nie złość się na mnie.

PRZESUWA WZROKIEM PO MOJEJ TWARZY, ALE NIE MAM POJĘCIA, CO MYŚLI.

— Dziękuję — mówi wreszcie.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odpowiadam z ulgą. — A teraz poszukamy ci jakichś porządnych butów.

Twarz Alessii rozpromienia się niczym słoneczny letni dzień.

No tak, buty... Droga do serca każdej kobiety.

W POBLISKIM SKLEPIE OBUWNICZYM WYBIERA PARĘ PORZĄDNYCH CZARNYCH BOTKÓW ZA KOSTKĘ.

— Potrzebujesz więcej niż jedną parę — stwierdzam.

— Te wystarczą.

— Zobacz, takie też są ładne. — Podnoszę parę balerin. Wołałbym znaleźć tu jakieś wysokie szpilki sugerujące wprost „przeleć mnie”, ale niestety — ten sklep oferuje raczej zachowawcze obuwie.

Alessia się waha.

— Podobają mi się — mówię, mając nadzieję, że moja opinia wpłynie na jej decyzję.

— Okej. Jeśli ci się podobają. Są ładne.

Uśmiecham się szeroko.

— Te też mi się podobają. — Pokazuję brązowe kozaczki do kolan na obcasie.

— Maxim... — oponuje Alessia.

— Proszę.

Uśmiecha się do mnie z wahaniem.

— Okej.

— MOŻEMY ZOSTAWIĆ TU TWOJE STARE BOTKI—MÓWI MAXIM, gdy stoją przy ladzie. Alessia patrzy na nowe buty, które ma na stopach, a potem na starą parę. Tylko to zostało jej z rzeczy zabranych z domu.

— Wołałabym je zatrzymać — odpowiada.

— Dlaczego?

— Są z Albanii.

— Och. — Wydaje się zaskoczony. — Cóż, może uda nam się je podzelować.

— Podzelować? Co to znaczy?

— Naprawić. Wymienić podeszwę. Rozumiesz?

— Tak, tak — odpowiada ucieszona. — Podzelować.

Patrzy, jak Maxim po raz kolejny podaje ekspedientce swoją kartę kredytową.

Czy kiedykolwiek zdoła mu te pieniądze zwrócić?

Pewnego dnia zarobi ich dosyć, żeby mu wszystko oddać. Na razie musi wymyślić coś innego, co mogłaby dla niego zrobić.

— Pamiętaj, że chcę coś ugotować — mówi.

Choćby to.

— Dzisiaj? — pyta Maxim, zabierając torby z zakupami.

— Tak. Chcę ugotować coś dla ciebie. Żeby ci podziękować. Dziś wieczorem.

— Okej. Zabierzmy te torby do samochodu, a potem zjemy lunch i kupimy coś na kolację.

Wrzucają zakupy do małego bagażnika auta i ruszają w kierunku restauracji, trzymając się za ręce. Alessia stara się nie myśleć o hojności Maxima. W jej kulturze niegrzecznie jest nie przyjąć podarunku, ale wie, jak nazwałby ją ojciec, gdyby widział, co robi. Albo by ją zabił, albo dostałby zawału. Pewnie i to, i to. Już splamiła jego honor i do niedawna miała nawet na dowód tego siniaki. Po raz kolejny żałuje, że jest taki nietolerancyjny. I taki gwałtowny.

Baba.

Alessia markotnieje.

JEMY LUNCH W RICK STEINS CAFE. MOJA TOWARZYSZKA MILCZY, a gdy składamy zamówienie, mam wrażenie, że jest wręcz przygnębiona. Zastanawiam się, czy to dlatego, że wydałem pieniądze na ubrania dla niej. Gdy kelnerka odchodzi, biorę Alessię za rękę i ściskam ją, by dodać jej otuchy.

— Alessio, nie martw się pieniędzmi za ubrania. Proszę.

Posyła mi wymuszony uśmiech i popija łyk gazowanej wody.

— Co się dzieje?

Kręci głową.

— Powiedz — nalegam.

Ponownie potrząsa głową i odwraca się, żeby wyjrzeć przez okno.

Coś jest nie tak.

Cholera. Uraziłem ją?

— Alessio?

Odwraca się ku mnie i wygląda na zrozpaczoną.

Kurwa.

— O co chodzi?

Patrzy na mnie, a jej ciemne oczy są zamglone głębokim smutkiem, który rani mnie niczym nóż wbity w samo serce.

— Powiedz mi.

— Nie mogę udawać, że jestem na wakacjach — mówi cicho. — Kupujesz mi te wszystkie rzeczy, a ja nigdy nie będę w stanie oddać ci za nie pieniędzy. I nie wiem, co się ze mną stanie, gdy wrócę do Londynu. Myślę o moim ojcu i o tym, co by mi zrobił... — milknie i przełyka ślinę. — I co zrobiłby tobie, gdyby się dowiedział, co zrobiliśmy. Wiem, jak by mnie nazwał. Jestem zmęczona. Zmęczona strachem. — Mówi ochrypłym szeptem, a w jej oczach lśnią łzy. Patrzy prosto na mnie. — O tym właśnie myślę.

Odzwajemniam jej spojrzenie. Jestem jak sparaliżowany, czuję pustkę

i ból. Jej ból.

— Sporo tego — mruczę.

Kelnerka wraca z naszym zamówieniem i z uśmiechem stawia przede mną kalifornijską kanapkę z kurczakiem, a przed Alessią zupę z dyni.

— Wszystko w porządku? — pyta.

— Tak, w porządku. Dziękuję — odpowiadam szybko. Alessia bierze do ręki łyżkę i miesza zupę, a ja łamię sobie głowę, co powiedzieć.

Jej głos jest ledwie słyszalny, gdy mówi:

— Nie jestem twoim problemem, Maximie.

— Nigdy nie twierdziłem, że jesteś.

— Nie o to mi chodzi.

— Wiem, co masz na myśli, Alessio. Cokolwiek się zdarzy między nami, chcę, żebyś była bezpieczna.

Uśmiecha się do mnie smutno.

— Jestem ci wdzięczna. Dziękuję.

Jej reakcja mnie złości. Nie chcę jej wdzięczności. Wydaje mi się, że ona ma jakieś staroświeckie wyobrażenie siebie jako mojej nałożnicy. I nie mam pojęcia, co ma z nami wspólnego jej ojciec. Jest rok 2019, a nie 1819.

Czego ona, do diabła, chce?

Cholera. Czego ja chcę?

Obserwuję, jak unosi łyżkę do ust. Ma smutną, pobladłą twarz.

Przynajmniej je.

Czego ja chcę? Od niej?

Posiadłem jej piękne ciało.

I nie dość mi.

Prawda trafia we mnie jak uderzenie obuchem. Prosto między oczy.

Pragnę jej serca.

Kurwa.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

MIŁOŚĆ. POGMATWANE, NIERACJONALNE, FRUSTRUJĄCE... PORYWAJĄCE UCZUCIE. To właśnie czuję. Jestem szaleńczo, wariacko, absurdalnie zakochany w kobiecie, która siedzi naprzeciwko mnie.

W mojej sprzątacze. Alessii Demachi.

Poczułem to już w chwili, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy. Pamiętam, jaki byłem tym wtedy zaniepokojony. .. i zły. Miałem wrażenie, jakby ściany się ku mnie schodziły, jakbym musiał uciekać. Nie rozumiałem głębi swoich uczuć. Właśnie takich sytuacji unikałem całymi latami. Myślałem, że ona mnie tylko szaleńczo pociąga. Ale nie. Nie pożądam tylko jej ciała. Nigdy tak nie było. Czuję do niej coś, czego nigdy dotąd nie czułem do żadnej kobiety. Kocham ją. I dlatego pojechałem za nią, gdy uciekła do Brentford. I dlatego przywiozłem ją tutaj. Chcę ją chronić. Chcę, żeby była szczęśliwa. Chcę, żeby była ze mną.

Szlag by to.

To jak objawienie.

A ona nie ma pojęcia, kim jestem i co robię. I ja wiem o niej tak niewiele. Tak naprawdę to nie mam pojęcia, co do mnie czuje. Owszem, jest tu ze mną, a to na pewno coś znaczy. Myślę, że mnie lubi. Ale w sumie jaki ma wybór? Byłem jej jedyną szansą. Bała się i nie miała dokąd uciec. Do pewnego stopnia miałem tego świadomość i starałem się trzymać od niej z daleka, ale nie byłem w stanie, bo wypaliła piętno na moim sercu.

Zakochałem się w swojej sprzątacze.

No to się elegancko popierdoliło.

A teraz ona wreszcie się przede mną otwiera, ale mimo wszystkiego, co zrobiłem, nadal się boi. Nie zrobiłem dość. Tracę apetyt.

— Przepraszam. Nie chciałam uszkodzić atmosfery —mówi, wrywając mnie z zamyślenia.

— Uszkodzić?

Marszczy brwi.

— Nie tak się mówi?

— Chyba chciałaś powiedzieć „popsuć”.

Uśmiecha się półgębkiem.

— Nie psujesz jej — zapewniam ją. — Coś wymyślimy, Alessio. Zobaczysz.

Kiwa głową, ale nie wygląda na przekonaną.

— Nie jesteś głodny?

Patrzę na kanapkę z kurczakiem i nagle burczy mi w brzuchu. Alessia chichocze. To jest najpiękniejszy dźwięk na świecie.

— Tak lepiej. — Napawam się jej rozbawieniem, czując ulgę, że odzyskała poczucie humoru, i zabieram się za jedzenie.

ALESSIA SIĘ ODPREŻA. NIGDY WCZEŚNIEJ NIE MÓWIŁA MU O SWOICH UCZUCIACH. Chyba nie jest na nią zły. Gdy patrzy na nią, ma ciepłe spojrzenie i sympatyczny wyraz twarzy.

Coś wymyślimy, Alessio. Zobaczysz.

Zerka na swoją zupę i czuje, że wraca jej apetyt. Zdumiewa ją łańcuch zdarzeń, który doprowadził ją do tego miejsca. Gdy matka wsadzała ją do busa na marznącej drodze w Kukës, Alessia zdawała sobie sprawę, że jej życie zmieni się nie do poznania. Miała takie wielkie nadzieje w związku

z nowym życiem w Anglii. Nie spodziewała się, że podróż będzie tak trudna i tak niebezpieczna. A przecież właśnie przed niebezpieczeństwem uciekała.

I to wszystko doprowadziło ją do niego.

Do pana Maxima.

Do jego przystojnej twarzy, poczucia humoru i olśniewającego uśmiechu. Alessia obserwuje go, gdy je. Ma nieskazitelne maniery. Jest schludny i żuje z zamkniętymi ustami. Jej angielska babcia, która bardzo pilnowała odpowiedniego zachowania przy stole, byłaby zachwycona.

Gdy na nią patrzy, jego oczy mają barwę świetlistej zieleni. Niesamowity odcień. Kolor rzeki Drin. Kolor jej domu.

Mogłaby mu się przyglądać przez cały dzień.

Maxim posyła jej pełen otuchy uśmiech.

Alessia kiwa głową. Uwielbia ciepło na jego twarzy, gdy na nią patrzy, i kocha to jego gorące spojrzenie... gdy jej pragnie. Rumieni się i wbija wzrok w zupę. Nie spodziewała się, że się zakocha.

Miłość jest dla głupców, powtarzała jej matka.

Może jest głupia, ale kocha go. I powiedziała mu to. Ale on oczywiście nie rozumie jej języka.

— Hej — mówi.

Alessia podnosi wzrok i widzi, że Maxim skończył kanapkę.

— Jak zupa?

— Smaczna.

— To jedz. Chciałbym zabrać cię z powrotem do domu.

— Okej — odpowiada i cieszy ją określenie „dom”. Chciałaby mieć wspólny dom z nim. Taki na stałe. Wie jednak, że to niemożliwe.

Można pomarzyć.



JAZDA Z POWROTEM DO TREVETHICK JEST O WIELE CICHSZA W PORÓWNANIU DO ICH POPRZEDNIEJ PODRÓŻY. Maxim jest zamyślony i słucha jakiejś dziwnej muzyki z głośników. Wyjeżdżając z Padstow, zatrzymali się w Tesco i kupili składniki potrzebne Alessii do przyrządzenia *tavë kosi*, ulubionego dania jej ojca. Ma nadzieję, że potrawa posmakuje też Maximowi.

Obserwuje przez szybę mijany krajobraz, nadal spowity zimową szatą. Przypomina jej dom, choć tu drzewa są krótko przycięte i smagane ostrym kornwalijskim wiatrem.

Zastanawia się, jak radzą sobie w Brentford Magda i Michał. Jest niedziela, więc chłopak prawdopodobnie odrabia lekcje albo gra w coś w internecie, a Magda gotuje albo rozmawia ze swoim narzeczonym Loganem przez Skype'a. A może pakuje się przed wyjazdem do Kanady. Alessia ma nadzieję, że są bezpieczni. Zerka na Maxima, który wydaje się zatopiony we własnych myślach. Mógłby się dowiedzieć, co u nich, gdyby zadzwonił do swojego przyjaciela. Może pozwoli jej później skorzystać z telefonu, żeby mogła sprawdzić, co słychać w domu.

Nie, Brentford to nie jest jej dom.

Nie ma pojęcia, gdzie będzie jej kolejny przystanek.

Zdeterminowana, by nie popaść w przygnębienie, porzuca tę myśl i zamiast tego wsłuchuje się w przedziwne dźwięki dochodzące z głośników. Kolory muzyki są jaskrawe: fiolety, czerwienie, turkusy... Nigdy czegoś takiego nie słyszała.

— Co to jest? — pyta.

— To ścieżka dźwiękowa z *Nowego początku*.

— *Nowego początku*?

— Taki film.

— Och.

— Nie widziałaś go?

— Nie.

— Jest wspaniały. Naprawdę daje do myślenia. Opowiada o czasie, języku i trudnościach w komunikacji. Możemy obejrzeć go w domu. A podoba ci się ta muzyka?

— Tak. Jest dziwna. Ekspresyjna. I kolorowa.

Maxim uśmiecha się przelotnie. Zbyt przelotnie. Rozmyśla nad czymś. Alessia zastanawia się, czy to ich wcześniejsza rozmowa tak go zajmuje. Musi się dowiedzieć.

— Jesteś na mnie zły?

— Nie. Oczywiście, że nie! Dlaczego miałbym być na ciebie zły?

Wzrusza ramionami.

— Nie wiem. Milczysz.

— Dałaś mi sporo do myślenia.

— Przepraszam.

— Nie przepraszaj. Nie zrobiłaś nic złego. Jeśli już... —urywa.

— Ty też nie zrobiłaś nic złego — mówi Alessia.

— Cieszę się, że tak uważasz. — Błyskawicznie rzuca w jej stronę szczery uśmiech, który rozwiewa jej wątpliwości.

— Jest coś, czego nie lubisz jeść? — pyta i żałuje, że nie dowiedziała się tego przed zakupami.

— Nie. Właściwie jem wszystko. Byłem w szkole z internatem — odpowiada, jakby to wyjaśniało jego podejście do jedzenia, ale Alessia zna takie placówki tylko z *Malory Towers* Enid Blyton, ulubionej serii książek jej babci.

— Podobało ci się tam? — pyta.

— W pierwszej nie. Wydalili mnie. Ale w drugiej tak. To dobra szkoła, poznałem w niej swoich przyjaciół. Miałaś okazję ich spotkać.

— Och, tak. — Alessia rumieni się na wspomnienie dwóch mężczyzn w samych bokserkach.

Kontynuują rozmowę, a gdy dojeżdżają do domu, Alessia jest już w lepszym humorze.

WNOSIMY TORBY DO DOMU I GDY ALESSIA ROZPAKOWUJE ZAKUPY SPOŻYWCZE, ja zabieram ubrania na górę.

Odnoszę je do pokoju gościnnego, ale potem zmieniam zdanie i wracam z nimi do swojej garderoby. Chcę, żeby Alessia była tutaj ze mną.

Czy się nie narzucam?

Cholera.

Wszystko mi się płacze. Nie mam pojęcia, jak się wobec niej zachowywać.

Przysiadam na łóżku i chowam głowę w dłoniach. Czy opracowałem jakiś plan, zanim dotarliśmy do tego miejsca?

Nie.

Myślałem fiutem. A teraz... Cóż, mam nadzieję, że kieruję się głową i słucham serca. Podczas jazdy do domu zastanawiałem się, co robić. Czy powinienem powiedzieć jej, że ją kocham? A może nie? W żaden sposób nie dała mi znać, co do mnie czuje. Jest bardzo powściągliwa we wszystkim, co robi.

Jest tutaj ze mną.

To coś znaczy, prawda?

Mogła zostać u przyjaciółki, ale ryzykowałyby, że tamci gangsterzy wrócą i ją znajdą. Aż mrozi mi krew w żyłach, gdy myślę, co by jej zrobili. Nie. Byłem jej jedyną opcją. Ona nie ma nic. Jak miałyby uciekać o własnych siłach?

A jednak do Wielkiej Brytanii też przybyła bez niczego i dała sobie radę. Jest zaradna, ale jakim kosztem? Trudno mi się o tym myśli. Co robiła między dotarciem do Anglii a odnalezieniem Magdy?

Ten strach w jej oczach w restauracji... Przejmujący.

Jestem zmęczona strachem.

Zastanawiam się, od jak dawna się tak czuje. Odkąd tu przyjechała? Nie wiem nawet, jak długo jest w tym kraju. Tylu rzeczy o niej nie wiem.

Ale chcę, żeby była szczęśliwa.

Myśl. Co robić?

Po pierwsze, musimy zalegalizować jej pobyt. Nie mam pojęcia, jak to zrobić. Moi prawnicy powinni się orientować. Wyobrażam sobie twarz Rajaha, gdy mówię mu, że udzielam azylu nielegalnej imigrantce.

Jej babka była Angielką. To może pomóc.

Cholera. Sam nie wiem.

Co jeszcze mógłbym zrobić?

Mógłbym się z nią ożenić.

Co?

Ślub?

Śmieję się głośno, bo to tak absurdalny pomysł.

Dlaczego nie?

Moja matka dostałaby zawału. Choćby z tego powodu warto rozważyć tę opcję. Przypominam sobie słowa Toma z pubu: *Wiesz, skoro zostałeś hrabią, to powinieneś zadbać o dziedzica i o rezerwowe potomstwo.*

Mógłbym uczynić Alessię hrabiną.

Serce zaczyna mi łomotać. To byłby odważny ruch.

I chyba trochę pochopny.

Nawet nie wiem, czy ona coś do mnie czuje.

Mógłbym ją zapytać.

Przewracam oczami. Chyba kręcę się w kółko. Muszę się więcej o niej dowiedzieć. Jak mógłbym prosić ją o rękę? Potrafię wskazać Albanię na mapie, ale to wszystko.

Cóż, temu brakowi wiedzy mogę akurat zaradzić od razu.

Wyciągam telefon z kieszeni i włączam Google.

JEST JUŻ CIEMNO, GDY MÓJ TELEFON ZACZYNA SKARŻYĆ SIĘ NA NISKI POZIOM NAŁADOWANIA BATERII. Leżę wyciągnięty na łóżku i czytam wszystko, co znajdę na temat Albanii. To fascynujący kraj, po części nowoczesny, po części starożytny,

z burzliwą historią. Znalazłem miasto rodzinne Alessii. Leży na północnym wchodzie, pomiędzy górskimi pasmami, ze dwie godziny jazdy od stolicy. Z tego, co czytam, wydaje się, że w tamtym regionie ludzie żyją w bardzo tradycyjny sposób.

To wiele wyjaśnia.

Alessia jest na dole i gotuje. Cokolwiek szykuje, aromatyczny zapach jest bardzo kuszący. Wstaję, przeciągam się i schodzę do kuchni.

Wciąż ma sobie biały podkoszulek i džinsy. Stoi tyłem do mnie przy kuchence i miesza coś na patelni. Ślinka cieknie mi do ust. Pachnie cudownie.

— Hej — mówię i siadam na jednym ze stołków przy barze.

— Hej — uśmiecha się do mnie przelotnie. Włosy zaplotła w warkocz. Podłączam telefon do ładowarki pod barkiem i włączam głośniki Sonos.

— Czego masz ochotę posłuchać? — pytam.

— Ty wybierz.

Decyduję się na spokojną składankę i wciskam „play”. Z głośników nad naszymi głowami rozbrzmiewa RY X, tak głośno, że aż podskakujemy. Ściszam.

— Przepraszam. Co gotujesz?

— Niespodzianka — odpowiada, kokieteryjnie zerkając znad ramienia.

— Uwielbiam niespodzianki. Ładnie pachnie. Mogę ci jakoś pomóc?

— Nie. To w ramach podziękowania. Wypijesz coś?

Śmieję się.

— Tak. Napiję się czegoś. Nie przeszkadza ci, że poprawiam twój

angielski?

— Nie. Chcę się uczyć.

— W takim razie wiedz, że mówimy „napijesz się czegoś?”.

— Okej. — Posyła mi kolejny uśmiech.

— I owszem, chętnie się napiję. Dziękuję.

Odstawia patelnię. Zabiera z blatu otwartą butelkę czerwonego wina i nalewa mi do kieliszka.

— Czytałem o Albanii.

Patrzy na mnie, a jej twarz rozpromienia się niczym dzień o świcie.

— Dom — szepcze.

— Opowiedz mi więcej o życiu w Kukës.

Może to dlatego, że jest skupiona na przygotowywaniu kolacji, ale wreszcie się otwiera i zaczyna opisywać dom, w którym mieszkała z matką i ojcem. Mówi, że budynek stoi nad olbrzymim jeziorem, którego brzegi porastają jodłowe lasy... Opowiada, a ja patrzę i podziwiam, z jaką swobodą i gracją porusza się przy blacie. Zupełnie jakby gotowała w tej kuchni od lat. Czy ścierając na tarce gałkę muszkatołową, czy ustawiając czas w piekarniku, działa jak zawodowiec. Gotując, równocześnie dolewa mi wina, zmywa naczynia i opowiada o klaustrofobicznym życiu w Kukës.

— Czyli nie prowadzisz samochodu?

— Nie — odpowiada, gdy nakrywa dla nas stół.

— A twoja matka?

— Tak. Ale niezbyt często. — Uśmiecha się, widząc moje zaskoczenie.

— Wiesz, większość Albańczyków nie prowadziła aut aż do połowy lat

dziewięćdziesiątych. Do upadku komunizmu raczej nie mieliśmy samochodów.

— Wow. Nie miałem pojęcia.

— Chciałabym to umieć.

— Prowadzić samochód? Nauczę cię.

Robi przerażoną minę.

— Tym twoim szybkim autem? Nie sądzę! — Śmieje się, zupełnie jakbym zaproponował skoczenie na lunch na Księżyc.

— Mógłbym cię nauczyć — powtarzam. Mamy wokół dość terenów, nie musimy wyjeżdżać na drogi publiczne. Będziemy bezpieczni. Wyobrażam ją sobie, jak prowadzi jeden z zabytkowych samochodów Kita, może jego morgana. Tak. To by pasowało do hrabiny.

Do hrabiny?

— Jedzenie będzie gotowe za kwadrans — stwierdza i przytyka palec do ust. Coś chodzi jej po głowie.

— Co chciałabyś zrobić?

Alessia przygryza wargę.

— O co chodzi? — pytam.

— Chciałabym porozmawiać z Magdą.

Oczywiście, że chce z nią porozmawiać. Magda to przecież jej jedyna przyjaciółka. Dlaczego o tym, do cholery, nie pomyślałem?

— Pewnie. Proszę. — Odłączam telefon od ładowarki i znajduję numer Magdy. Wybieram połączenie i podaję komórkę Alessii, która uśmiecha się do mnie z wdzięcznością.

— Magdo... Tak, to ja. — Alessia odchodzi, by usiąść na sofie, a ja staram się nie podsłuchiwać. Domyślam się, że przyjaciółce ulżyło, gdy dowiedziała się, że u Alessi wszystko w porządku. — Nie. Jest dobrze. — Alessia zerka na mnie, a jej oczy aż lśnią. — Bardzo dobrze — dodaje z szerokim uśmiechem, a ja go odwzajemniam.

„Bardzo dobrze”. Mógłbym to słyszeć każdego dnia.

Śmieje się w reakcji na coś, co powiedziała Magda, a we mnie serce rośnie. Jak dobrze słyszeć jej śmiech. Tak rzadko mam ku temu okazję.

Gdy rozmawia przez telefon, staram się jej nie przyglądać, ale nie mogę się oprzeć. Nieświadomie zaczyna owijać warkocz wokół palców, gdy opowiada Magdzie o morzu i o wczorajszej spontanicznej kąpieli.

— Nie. Tu jest pięknie. Trochę jak w domu. — Znowu na mnie patrzy, a ja gubię się w jej głębokim spojrzeniu.

Dom.

Mógłbym sprawić, by to był jej dom...

Robi mi się sucho w ustach.

Chłopie! Trochę się rozpędziłeś!

Odwracam wzrok, żeby wymknąć się spod czaru spojrzenia Alessii. Boję się, dokąd zmierzają moje myśli. Wypijam łyk wina. Zaskoczyła mnie własna reakcja. Chyba jest zbyt pochopna.

— Jak się ma Michał? I Logan? — pyta, ciekawa wieści, i zagłębia się w ożywioną rozmowę o pakowaniu, Kanadzie i... ślubach.

ALESSIA ZNOWU CHICHOCZE, A JEJ GŁOS ŁAGODNIEJE I NABIERA SŁODYCZY. Rozmawia teraz z Michałem, a ja domyślam się po jej tonie, że darzy go wyjątkową sympatią. Nie powinienem być zazdrosny — to dzieciak — ale chyba trochę jestem. Nie wiem, czy podoba mi się to nowe, nieprzyjemne

uczucie.

— Bądź grzeczny, Michał... Tęsknię za tobą... Pa. - Znów na mnie zerka.
— Okej. Dobrze... Do usłyszenia, Magdo. — Rozłącza się i wraca do mnie, by oddać telefon. Wygląda na szczęśliwą. Cieszę się, że z nimi porozmawiała.

— Wszystko dobrze? — pytam.

— Tak. Dziękuję.

— U Magdy też?

— Pakuje się. Jest zadowolona, ale smutna, że wyjeżdża z Anglii. A ten ochroniarz to dla niej wielka ulga.

— Doskonale. Na pewno jest podekscytowana, że rozpocznie nowe życie.

— Owszem. Jej narzeczony to dobry człowiek

— A co robi?

— Coś z komputerami.

— Powinienem kupić ci telefon, żebyś mogła z nią rozmawiać, kiedy tylko będziesz chciała.

Wygląda na przerażoną.

— Nie. Nie. To zbyt wiele. Nie możesz.

Unoszę brew, doskonale wiedząc, że mogę.

Ona odwzajemnia ten gest, niezadowolona, ale ratuje mnie brzęczyk piekarnika.

— Kolacja gotowa.

ALESSIA STAWIA NACZYNNIE ŻAROODPORNE NA STOLE OBOK SAŁATKI, którą wcześniej zrobiła. Jest zadowolona, bo jogurtowa polewa spiekła się na chrupiący, złocisty brąz. Maxim jest pod wrażeniem.

— Dobrze wygląda — stwierdza, ale Alessia podejrzewa, że wyłącznie z uprzejmości.

Nakłada mu porcję i siada.

— To jagnięcina, ryż i jogurt z paroma sekretnymi... hm... składnikami. Nazywamy to *tawë kosi*.

— My tutaj nie pieczemy jogurtu, tylko zalewamy nim płatki.

Alessia się śmieje.

Maxim bierze łyżkę i zamyka oczy, smakując potrawę.

— Mmm... — Otwiera oczy i entuzjastycznie potakuje. Połyka. — Pyszne. Naprawdę umiesz gotować!

Alessia rumieni się pod jego ciepłym spojrzeniem.

— Chciałbym, żebyś jeszcze coś dla mnie upichciła.

— Chętnie — odpowiada cicho Alessia. Bardzo tego pragnie.

ROZMAWIAMY, PIJEMY I JEMY. DOLEWAM JEJ WINA I ZASYPUJĘ PYTANIAMI. Mnóstwem pytań. O jej dzieciństwo. O szkołę. Przyjaciół. Rodzinę. Zainspirowało mnie czytanie o Albanii. Rozmowa z Alessią też jest inspirująca; ta dziewczyna jest tak pełna życia. Jej oczy aż lśnią, kiedy coś opowiada. Jest energiczna, pomaga sobie rękoma, gdy coś opisuje.

Jest zachwycająca.

Od czasu do czasu odsuwa niesforny kosmyk włosów, a jej palce muskają ucho.

Chciałbym, żeby dotykały mnie.

Wyobrażam sobie, jak później rozpuszczam jej warkocz i przeczesuję palcami jej lśniące, miękkie włosy. Aż robi mi się ciepło na sercu, gdy widzę ją dla odmiany tak beztroską i rozgadaną. Sądząc po rozkosznym rumieńcu na policzkach, podejrzewam, że to zasługa wina. Przetykam łyk smacznego włoskiego barolo, które dokonało tego cudu.

Najedzony, odsuwam talerz i ponownie napełniam jej kieliszek.

— Opisz mi, jak wygląda typowy dzień w Albanii.

— Mój dzień?

— Tak.

— Niewiele jest do opowiedzenia. Jeśli pracuję, tata odwozi mnie do szkoły. Jeśli jestem w domu, pomagam matce. Pranie. Sprzątanie. To samo, co robię dla ciebie. — Oczy koloru espresso zerkają na mnie, a ich mądre spojrzenie przenika mnie do głębi. To diabelsko seksowne. — To wszystko — dodaje.

— Brzmi dość nudno. — Za nudno dla bystrej Alessii. I podejrzewam, że też trochę samotnej.

— Owszem. — Śmieje się.

— Z tego, co czytałem, północna Albania jest raczej konserwatywna.

— Konserwatywna. — Marszczy brwi i szybko wypija łyk wina. — To znaczy tradycyjna?

— Tak.

— Tam, skąd pochodzę, jesteśmy przywiązani do tradycji. — Wstaje, by zabrać naczynia ze stołu. — Ale Albania się zmienia. W Tiranë...

— W Tiranie?

— Tak. To nowoczesne miasto. Tam nie jest tak konserwatywnie, tradycyjnie. — Wstawia naczynia do zlewu.

— Byłaś tam kiedyś?

— Nie.

— A chciałybyś?

Siada z powrotem przy stole, przechyla głowę na bok i przesuwa palcem wskazującym po ustach. Zdaje się, jakby na moment ogarnął ją smutek.

— Tak. Kiedyś.

— A podróżowałaś w ogóle?

— Nie. Tylko w książkach. — Jej uśmiech rozjaśnia wszystko wokół.
— Podróżowałam po całym świecie. A w Ameryce byłam dzięki telewizji.

— Amerykańskiej telewizji?

— Tak. Dzięki Netflixowi i HBO.

— W Albanii?

Uśmiecha się, widząc moje zaskoczenie. — Tak Mamy tam telewizję!

— A co robiłaś w domu dla zabawy?

— Zabawy?

— No wiesz, dla przyjemności.

Patrzy na mnie nieco zdezorientowana.

— Czytałam. Oglądałam telewizję. Ćwiczyłam na pianinie. Czasem

słuchałam radia z mamą. BBC World Service.

— A nie wychodziłaś gdzieś?

— Nie.

— Nigdy?

— Czasami. Latem chodzimy do miasta wieczorami, z całą rodziną. Czasem grałam tam na fortepianie.

— Dawałaś koncert? Taki dla publiczności?

— Tak. W szkole albo na weselach.

— Twoi rodzice musieli być dumni.

Przez jej twarz przemyka cień.

— Tak. Byli. Są — poprawia się, a jej głos cichnie i opada, aż staje się łagodny i smutny. — Mój ojciec... lubi być w centrum uwagi. — Alessia jakby się w sobie zapadła.

Cholera.

— Pewnie za nimi tęsknisz.

— Za mamą. Tęsknię za mamą — odpowiada szybko i pociąga kolejny łyk wina.

A za ojcem nie? Nie drażę tematu. Zepsuł jej się humor. Powinienem pomówić z nią o czymś innym, ale skoro tak bardzo tęskni za matką, to może chciałaby tam wrócić. Pamiętam, co mi kiedyś powiedziała.

Myślałyśmy, że jedziemy tu do pracy. Do lepszego życia. Życie kobiet w Kukës bywa ciężkie. Mężczyźni, którzy nas tutaj przywieźli... Zostałyśmy oszukane...

Może tego właśnie pragnie. Wrócić do domu. I choć obawiam się, jaka

padnie odpowiedź, pytam:

— Chciałabyś wrócić?

— Wrócić?

— Do domu.

Jej oczy szeroko otwierają się ze strachu.

— Nie. Nie mogę. Nie mogę. — Mówi przyspieszonym, urywanym szeptem, a mnie włoski na karku aż stają dęba.

— Dlaczego?

Milczy, ale ja muszę to wiedzieć. Naciskam.

— Bo nie masz paszportu?

— Nie.

— W takim razie dlaczego? Tak tam było źle? Zaciska oczy i pochyla głowę, jakby się wstydziła.

— Nie — szepcze. — Dlatego... Dlatego, że zostałam wyswatana.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

CZUJĘ UCISK W KLATCE PIERSIOWEJ, JAKBY MNIE KTOŚ KOPNAŁ W SPLOT SŁONECZNY.

Wyswatana?

Co to za średniowieczna gadka?

Podnosi na mnie wzrok. Jej oczy są rozszerzone, widzę, jaka jest zestresowana. Czuję przyływ adrenaliny. Jestem gotów do walki.

— Wyswatana? — szepczę, doskonale wiedząc, co to znaczy.

Została, do cholery, obiecana innemu.

Znów pochyla głowę.

— Tak. — Ledwo słycać jej głos.

Mam rywala. *Kurwa mać.*

— I kiedy zamierzałaś mi o tym powiedzieć?

Zaciska oczy, jakby ją coś zabiło.

— Alessio, spójrz na mnie.

Podnosi dłoń do ust, może by stłumić szloch? Nie wiem. Przełyka ślinę, a potem unosi oczy, żeby na mnie spojrzeć. Na jej twarzy widać wszystkie emocje, a jej rozpacz jest niemal fizycznie wyczuwalna. Mój gniew natychmiast znika, pozostaje tylko zagubienie.

— Teraz ci mówię — odpowiada.

Jest niedostępna.

Od razu czuję ból. Rozdzierający. Szokujący. Spadam w przepaść.

Co, do diabła?

Cały mój świat się zmienił. Moje pomysły. Moje mgliste plany. Bycie z nią... Ślub...

Niemożliwe.

— Kochasz go?

Odchyła się i gwałtownie wciąga powietrze.

— Nie! — zaprzecza bez tchu, z pasją. — Nie chcę za niego wyjść. To dlatego wyjechałam z Albanii.

— Żeby od niego uciec?

— Tak. Miałam wyjść za mąż w styczniu. Po moich urodzinach.

Miała urodziny?

Wpatruję się w nią znieruchomiały. Nagle mam wrażenie, jakby ściany zamykały się wokół mnie. Potrzebuję przestrzeni. Tak jak wtedy, gdy ją pierwszy raz zobaczyłem. Duszę się w spirali wątpliwości i dezorientacji. Muszę pomyśleć. Wstaję i powolnym ruchem unoszę dłoń, by odsunąć włosy, a jednocześnie zebrać myśli. Alessia kuli się obok mnie. Chowa głowę w ramiona i przykładła do niej dłoń, jakby spodziewała się, że...

Że co?

— Do cholery, Alessio! Myślisz, że cię uderzę? — Podnoszę głos i cofam się, przerażony jej reakcją. Kolejny kawałek zagadkowej układanki, jaką jest Alessia Demachi, trafia na swoje miejsce. Nic dziwnego, że zawsze starała się stawać poza moim zasięgiem. Jestem gotów zabić tego skurwysyna. — On cię bił? Tak?

Wpatruje się w swoje kolana, jakby się wstydziła.

A może czuje jakąś chorą lojalność wobec tego pieprzonego dupka z dziury zabitej dechami, który rości sobie jakieś wyimaginowane prawa do mojej dziewczyny.

Kurwa mać.

Zaciskam pięści, czując morderczy gniew. Alessia jest taka cicha. Siedzi ze spuszczoną głową, jakby zapadła się w sobie.

Uspokój się, stary. Uspokój się.

Robię głęboki, oczyszczający wdech, trzymając dłonie na biodrach.

— Przepraszam.

Gwałtownie unosi głowę. Patrzy mi prosto w oczy, jej spojrzenie jest szczere.

— Nie zrobiłeś nic złego.

Nawet w tym momencie stara się ukoić wzburzone fale moich myśli.

Te kilkadziesiąt centymetrów między nami to zbyt wiele. Obserwuje mnie uważnie, gdy się zbliżam, a ja ostrożnie przysiadam obok niej.

— Przepraszam. Nie chciałem cię wystraszyć. Jestem tylko zszokowany, że gdzieś tam masz... zalotnika, a ja rywala o twoje uczucia.

Mruga gwałtownie i jej twarz łagodnieje, gdy na policzki wypływa różany rumieniec.

— Nie masz żadnych rywali — szepcze.

Zapiera mi dech w piersiach. W sercu czuję ciepło, które uwalnia mnie od resztek adrenaliny. To najmiłsze słowa, jakie od niej usłyszałem.

Jest nadzieja.

— Nie wybrałaś go sobie sama?

— Nie. Ojciec to zrobił.

Sięgam po jej dłoń i unoszę do ust, żeby pocałować delikatnie jej drobne kostki.

— Nie mogę wrócić — szepcze. — Splamiłam honor mojego ojca. Gdybym wróciła, zostałabym zmuszona do tego małżeństwa.

— Ten twój... narzeczony... Znasz go?

— Tak.

— Ale go nie kochasz?

— Nie. — Jej wyrazista, jednosylabowa odpowiedź mówi mi wszystko, czego potrzebuję. Może jest stary. Albo brzydki. Albo i to, i to.

Albo ją bije.

Kurwa.

Wstaję, przyciągam ją do siebie, a ona poddaje mi się i przykładła dłoń do mojej piersi. Przyciskam ją do swojego ciała i przytrzymuję. Nie wiem, czy pocieszam ją, czy siebie. Wyobrażanie jej sobie z kimś innym, z kimś, kto źle ją traktuje, jest koszmarem. Wtulam twarz w jej pachnące włosy i ogarnia mnie wdzięczność, że tu jest. Ze jest ze mną.

— Przykro mi, że musiałaś ścierpieć takie gównno — mruczę.

Spogląda na mnie i dotyka palcem wskazującym moich warg.

— To brzydkie słowo.

— Owszem. Brzydkie słowo, które opisuje brzydką sytuację. Ale teraz jesteś bezpieczna. Jestem przy tobie. — Pochyliłam się i muskam ustami jej wargi. Ten gest działa niczym iskra, która natychmiast rozpala moje ciało. Brakuje mi tchu. Alessia zamyka oczy i odchyła głowę, oferując mi swoje usta. Nie mogę się powstrzymać. W tle RY X nadal śpiewa swoim lekko zachrypniętym melancholijnym falsetem o zakochiwaniu się. Pełna

emocji, a jednocześnie podniecająca muzyka. Idealna.

— Zatańcz ze mną. — Mam ochrypły głos. Alessia głośno wciąga powietrze, gdy obejmuję ją mocniej i zaczynam kołysać się z nią w ramionach. Przykłada dłonie do mojej piersi i przesuwa po koszuli. Czuje moje ciało. Dotyka mnie. Uspokaja. Zaczyna poruszać się wraz ze mną, zaciskając palce na moich ramionach.

Powoli.

Kołysujemy się z boku na bok do niespiesznego, uwodzicielskiego rytmu eterycznej piosenki. Dłonie Alessii suną w górę po mojej szyi aż do włosów. Wtula nos w moją pierś.

— Nigdy tak nie tańczyłam — mruczy.

Przesuwam dłoń w dół jej pleców i przyciągam do siebie.

— A ja jeszcze nigdy nie tańczyłem z tobą.

Drugą ręką delikatnie pociągam za warkocz, by uniosła ku mnie usta. Całuję ją. Długo. Powoli. Smakuję jej wargi. Językiem odkrywam na nowo jej słodkie usta, wciąż kołysząc się razem z nią. Poluzowuję gumkę, którą związała włosy, i zsuwam ją. Wzdycham, gdy Alessia potrząsa głową, a jej włosy opadają swobodnie na plecy. Ujmuję w dłonie jej twarz i znowu ją całuję. Pragnę więcej. O wiele więcej. Muszę ją odzyskać. Jest ze mną, a nie z jakimś brutalnym łajdakiem z zapomnianego przez Boga miejsca na krańcu świata.

— Chodź do łóżka — szepczę niskim głosem.

— Muszę pozmywać naczynia.

Co?

— Ołać naczynia, skarbie.

Marszczy brwi.

— Ale...

— Nie, nie. Zostaw to.

I wtedy przychodzi mi do głowy pewna myśl. *Gdybym się z nią ożenił, już nigdy nie musiałaby zmywać.*

— Kochaj się ze mną, Alessio.

Gwałtownie wciąga powietrze, a potem jej usta układają się w nieśmiały, zapraszający uśmiech.

ODPŁYWAMY. MOJE DŁONIE OBEJMUJĄ JEJ GŁOWĘ, GDY PORUSZAM SIĘ, smakując każdy centymetr jej pysznego ciała. Jest pode mną, delikatna, silna i piękna. Całuję ją, jakbym przelewał w jej usta moje serce i duszę. Nigdy się tak nie czułem. Każdy ruch przybliżyła mnie do niej. Przytrzymuje mnie nogami, a jej dłonie przesuwają się po moich plecach. Paznokcie pozostawiają ślady napiętności na mojej skórze. Odchylam się i przyglądam jej półprzytomnej twarzy. Oczy ma szeroko otwarte, a tęczęwki barwy ciemnego, niezwykle zmysłowego espresso. Chcę ją widzieć. Całą. Przerywam i przykładam czoło do jej czoła.

— Muszę cię zobaczyć. — Wychodzę z niej i przekręcam się razem z nią tak, by znalazła się nade mną. Brak jej tchu i jest zdezorientowana. Podciągam ją ramieniem za pośladki, żeby jej nogi znalazły się po obu stronach moich bioder. Podnoszę się do góry, aż siedzi na mnie okrakiem, obejmując mnie ramionami. Biorę jej twarz w dłonie i całuję ją. Przesuwam rękę, by popieścić jej pierś, i drażnię brodawkę palcem wskazującym i kciukiem, a moje wargi przesuwają się od jej ust wzdłuż szczęki aż po szyję. Odchyła głowę i wydaje z siebie ochryply jęk rozkoszy. Mój penis pręży się w odpowiedzi.

Tak.

— Spróbujmy tak — mruczę w stronę pachnącej skóry jej ramienia. Obejmuję ją w talii i unoszę, wpatrując się w jej oczy, gdy powoli ją na

siebie opuszczam.

Ożeż.

Jest ciasna. I wilgotna. Cudowna.

Rozchyła usta, gdy wciąga powietrze. Jej oczy rozszerza pożądanie.

— Ach — wzdycha, a ja wpijam się w nią ustami, wsuwając palce w jej włosy.

Dyszy i chwytą mnie za ramiona, gdy się odsuwam.

— W porządku? — pytam.

Gwałtownie potrząsa głową.

— Tak — dyszy, a mnie zajmuje chwilę, zanim sobie uświadomię, że zastosowała albańską formę potwierdzenia. Biorę ją za ręce i się odchylam. Leżę i wpatruję się w kobietę siedzącą na mnie okrakiem. Kobietę, którą kocham.

Włosy spływają po jej ramionach i piersiach niesforną, zmysłową falą. Nachyla się i przesuwa dłońmi po mojej klatce piersiowej.

Tak. Dotykaj mnie.

Gładzi palcami i wnętrzem dłoni moją skórę. Czuje mnie. Przesuwa nimi po włosach na moim torsie i po sutkach, które twardnieją z rozkoszy.

— Ach — wzdycham.

Przygryza dolną wargę, by stłumić lubieżny, zwycięski uśmiech.

— Tak, moja piękna, uwielbiam, jak mnie dotykasz.

Kocham cię.

Nachyla się i całuje mnie.

— Lubię cię dotykać — mówi cicho, nieśmiało, a mój członek domaga się więcej.

— Weź mnie — mruczę.

Waha się, nie rozumiejąc, a ja unoszę biodra, by jej podpowiedzieć. Alessia wydaje z siebie krzyk, głośny, płynący z trzewi odgłos przyjemności, przez który niemal szczytuję. Opiera się dłońmi o moją pierś, żeby utrzymać równowagę. Chwytam ją za biodra.

— Poruszaj się. O tak — syczę przez zęby. Unoszę ją w górę i opuszczam z powrotem. Zachłystuje się powietrzem, ale kładzie dłonie na moich ramionach i powtarza te ruchy.

— Właśnie tak. — Zamykam oczy i napawam się jej zmysłową obecnością.

— Ach — krzyczy.

Ożeż.

Niech to się nie kończy.

Porusza się. Najpierw powoli i z wahaniem, ale gdy nabiera pewności, łapie odpowiedni rytm. Otwieram oczy, gdy unosi się po raz kolejny, i tym razem napinam biodra, by wyjść jej naprzeciw. Jej krzyk jest tak ekspresyjny, że pobudza wszystkie moje zmysły.

Cholera. Łapię ją za biodra i poruszam się coraz szybciej. Dyszy. Gwałtowne, urywane hausty powietrza. Ścisła moje ramiona. Jej głowa kołysze się z każdym moim pchnięciem.

Odchylona do tyłu głowa. Wzywając bogów, sama jest boginią w każdym calu. Jeszcze mocniej zaciska palce na moich ramionach, krzyczy i zamiera nade mną w bezruchu, gdy dochodzi.

To wystarczy, bym wytrysnął, więc i ja krzyczę, przytrzymując ją przy

sobie, kiedy szczytuję bez końca.

ALESSIA LEŻY W BLASKU CIELESNEGO ZASPOKOJENIA. Maxim położył głowę na jej brzuchu i otoczył ramionami, a ona bezwiednie bawi się jego włosami. Uwielbia czuć w palcach ich kosmyki. Matka nigdy jej nie wspomniała, że stosunek seksualny może być taki przyjemny. Może ona nie ma takiej relacji z ojcem. Alessia marszczy brwi. Nie chce myśleć o tym, jak uprawiają seks jej rodzice, ale jej myśli wędrują, gdzie chcą, i przypomina jej się babcia Virginia. Wyszła za mąż z miłości. Byli razem szczęśliwi. Nawet gdy się zestarzała, wymieniała z dziadkiem takie spojrzenia, że Alessia aż się rumieniła. Małżeństwo babci było wzorem do naśladowania, w przeciwieństwie do związku jej rodziców. Nigdy nie okazywali sobie uczuć.

Maxim nie waha się, by wziąć ją za rękę albo pocałować w miejscu publicznym. Rozmawia z nią. Czy kiedykolwiek wcześniej usiadła wieczorem z mężczyzną i odbyła z nim prawdziwą rozmowę? Tam, skąd pochodzi, uważa się za oznakę słabości, jeśli mężczyzna rozmawia z kobietą przez dłuższy czas.

Zerka na lampkę nocną w kształcie smoka stojącą na stoliku przy łóżku, latarenkę świecącą w ciemności. Kupił ją dla niej, bo wie, że boi się spać po ciemku. Przywiózł tutaj Alessię, żeby ją chronić. Gotował dla niej. Kupił jej ubrania. Kochał się z nią...

W kącikach oczu zbierają jej się łzy, a serce wypełniają niepewność i tęsknota. Niewypowiedziane emocje palą ją w gardle. Kocha go. Zaciska palce na jego włosach, czując się przytłoczona własnymi uczuciami. Nie rozzłościł się na nią, gdy mu powiedziała, że została wyswatana. Jeśli już, był raczej zaniepokojony, że jej serce mogłoby należeć do innego.

Nie. Moje serce jest twoje, Maximie.

Był zszokowany, gdy pomyślała, że może ją uderzyć. Alessia instynktownie przykładła dłoń do policzka. Jej ojciec woli działać, zamiast rozmawiać...

Przesuwa palcami po ramieniu Maxima i zakreśla kształt jego tatuażu. Chciałaby lepiej go poznać. Może powinna zadawać mu więcej pytań. On wyraźnie unika tematu swojej pracy. Może ima się różnych zajęć? Kręci głową. Nie powinna go tak wypytywać. Co by powiedziała jej matka na takie zachowanie? Na razie dziewczyna powinna cieszyć się tym wspólnym pobytem w Kornwalii.

Maxim muska nosem jej pępek i całuje go, odrywając Alessię od niemiłych myśli o domu. Patrzy na nią szmaragdowozielonymi oczami, których blask podkreśla łagodna poświata z nocnej lampki.

— Zostań ze mną — mówi.

Odsuwa mu włosy z czoła i marszczy brwi.

— Zostanę.

— To dobrze — odpowiada i znów całuje jej brzuch, tym razem przesuwając się niżej... i niżej... i niżej.

OTWIERAM OCZY, GDY ŚWIATŁO WCZESNEGO PORANKA WCISKA SIĘ PRZEZ SZPARY W ROLETACH. Obejmuję Alessię. Jej głowa spoczywa na mojej piersi, a ja przytrzymuję ją w talii ramieniem. Ciepło i słodki zapach jej skóry oszałamiają moje zmysły, a ciało natychmiast się budzi. Delikatnie przesuwam nosem po jej szyi, znacząc ją śladami sennych pocałunków.

Porusza się i otwiera oczy, mrugając.

— Dzień dobry, królewno — szepczę.

Uśmiecha się, ma zaspany, zadowolony wyraz twarzy.

— Dzień dobry... Maximie — odpowiada z czułością, a ja słyszę miłość w sposobie, w jaki wypowiada moje imię. A może to tylko pobożne życzenia.

No proszę. Pragnę jej miłości.

Pragnę jej całej.

I jestem gotów się do tego przyznać.

Ale czy mogę to wyznać jej?

Przed nami cały dzień, zupełnie wolny od zobowiązań — a ja jestem z nią.

— Spędźmy ten dzień w łóżku. — Mój głos jest ochryply od snu.

Muska palcami mój podbródek.

— Jesteś zmęczony?

Szczerzę zęby.

— Nie...

— Och — wzdycha, odwzajemniając uśmiech.

JEGO JĘZYK. JEGO USTA. TO, CO Z NIĄ ROBI. Alessia gubi się w burzy wrażeń. Jej dłonie zaciskają się na jego nadgarstkach, gdy zamiera na krawędzi. Jest blisko. Tak blisko. Drażni ją raz po raz swoim giętkim językiem i powoli wsuwa w nią palec, a ona spada w przepaść, orgazm wręcz ją rozdziera, gdy Alessia wydaje z siebie krzyk.

Maxim całuje jej brzuch i piersi, przesuwał się wzdłuż jej ciała. Cały czas jest nad nią.

— Co za fantastyczny dźwięk — szepcze, nasuwa prezerwatywę i... och, powoli się w nią zapada.

GDY WRACAM Z ŁAZIENKI, JEJ POŁOWA ŁÓŻKA JEST PUSTA.

O!

Czuję fizyczne rozczarowanie. Jestem gotów na więcej. Mam wrażenie, że nigdy nie będę mieć dość Alessii.

Sądząc po szarym świetle wpadającym do pokoju, jest jeszcze rano. I pada. Unoszę rolety i wtedy słyszę Alessię, więc wracam do łóżka. Wchodzi do sypialni przy akompaniamencie brzęku naczyń. Ma na sobie górę od mojej piżamy i niesie na tacy śniadanie.

— Dzień dobry raz jeszcze — mówi z promiennym uśmiechem. Rozpuszczone włosy opadają jej na ramiona.

— Dzień dobry. O, kawa! — Aż ślinka mi cieknie na ten aromat. Uwielbiam dobrą kawę. Siadam, a ona kładzie mi tacę na kolanach. Jajecznica. Kawa. Tosty. — Co za uczta.

— Mówiłeś, że chcesz zostać w łóżku. — Przysiada się do mnie i kradnie kawałek pieczywa z masłem.

— Proszę. — Nabieram odrobinę jajecznicę na widelec i podsuwam jej. Otwiera usta, a ja ją karmię.

— Mmm... — mówi i zamyka oczy z rozkoszą. Na ten widok penis natychmiast mi twardnieje. *Powoli. Najpierw zjedzmy.*

Jajecznica jest pyszna. Chyba dodała do niej ser feta.

— To raj na talerzu, Alessio!

Policzki jej się rumienią i przełyka kawę.

— Chciałam zagrać muzykę.

— Na pianinie?

— Nie, chciałam posłuchać.

— Och. To potrzebny jest telefon. Proszę. — Sięgam po iPhone'a.

Naprawdę muszę jej kupić komórkę.

— PIN jest taki. — Wstukuję kod bezpieczeństwa, żeby odblokować telefon. — I korzystam z tej aplikacji. Sonos. Można słuchać muzyki w całym domu. — Wręczam jej komórkę.

Zaczyna przeglądać listę utworów. — Masz tyle muzyki.

— Lubię muzykę.

Rzuca mi przelotny uśmiech.

— Ja też.

Sięgam po kawę.

Fuj!

— Ile dodałaś cukru? — niemal pluję.

— Och, przepraszam. Zapomniałam, że pijesz bez. —Aż się krzywi. Chyba nie wyobraża sobie picia nieposłodzonej kawy.

— A wy pijecie taką?

— W Albanii? Tak.

— Dziwne, że masz jeszcze czym gryźć.

Uśmiecha się, pokazując swoje idealne uzębienie.

— Nigdy nie piłam kawy bez cukru. Zrobię ci. — Wyskakuje z łóżka. Widzę długie nagie nogi i powiewające kruczoczarne włosy.

— Nie trzeba. Nie idź.

— Ale ja chcę. — I znika znowu, zabierając ze sobą mój telefon. Chwilę

potem słyszę, jak Dua Lipa śpiewa *One Kiss* z zestawu głośników na dole. Alessia lubi nie tylko klasykę. Uśmiecham się... Ta piosenkarka chyba też pochodzi z Albanii.

ALESSIA TAŃCZY PO KUCHNI, PRZYGOTOWUJĄC KOLEJNĄ KAWĘ DLA MAXIMA. Nie pamięta, kiedy ostatnio czuła się tak dobrze. Przypominają jej się czasy, gdy tańczyła i śpiewała z matką w kuchni w Kukës. Ale tutaj jest więcej miejsca, a dzięki oświetleniu widzi swoje odbicie w szybie, za którą rozciąga się balkon. Uśmiecha się; wygląda na taką szczęśliwą. Zupełnie nie przypomina siebie z pierwszego dnia w Kornwalii.

Jest chłodny i mokry poranek. Alessia drobnym tanecznym krokiem zbliża się do okna i wygląda. Niebo i morze są niepokojąco szare, a wiatr chłoczczę i wygina srebrzyste drzewa, które okalają ścieżkę na plażę. Widok i tak jest magiczny. Fale przyływu rozbijają się o brzeg, pokryte białymi czapami z piany, a mimo to Alessia słyszy tylko cichy pomruk morza, a przez drzwi balkonowe nie czuje żadnego podmuchu. Jest pod wrażeniem. Dom zbudowano doskonale. Alessia czuje wdzięczność, że tu jest, że jest jej ciepło i przytulnie z Maximem.

Ekspres bulgocze, więc kołysząc biodrami, wraca do kuchni, by zrobić swojemu mężczyźnie kawę.

MAXIM NADAL JEST W ŁÓŻKU, ALE ZJADŁ JUŻ ŚNIADANIE I ODSTAWIŁ TACĘ NA PODŁOGĘ.

— Nareszcie jesteś. Tęskniłem za tobą — mówi, gdy Alessia wraca ze świeżo zrobioną kawą bez cukru. Podaje mu kubek, a on wypija całą zawartość, zanim ona zdąży wrócić do łóżka.

— Tak lepiej — stwierdza Maxim.

— Smakowała?

— Bardzo. — Odstawia kubek. — Ale ty smakujesz jeszcze lepiej. —

Zahacza palec wskazujący o pierwszy guzik za dużej piżamy, którą Alessia ma na sobie, i pociąga, ukazując delikatną krągłość jej piersi. Wbija w nią rozpalony wzrok, gdy przesuwa palcem delikatnie po jej skórze i sięga aż po brodawkę. Jej oddech zamiera, gdy sutek unosi się i twardnieje pod jego dotykiem.

JEJ USTA ROZCHYLAJĄ SIĘ, GDY CICHUTKO WZDYCHA. Intensywne spojrzenie jej oczu tak bardzo mnie kusi... Członek mi twardnieje.

— Jeszcze raz? — szepczę.

Czy ja kiedykolwiek nasycę się tą kobietą?

Nieśmiały uśmiech Alessii jest wystarczającą zachętą. Nachylam się, przyciskam wargi do jej ust i rozpinam resztę guzików, po czym zsuwam piżamę z jej ramion.

— Jesteś taka piękna. — Moje słowa są niczym modlitewne wyznanie.

Patrząc mi prosto w oczy, unosi powoli rękę, a jej palec przesuwa się po krawędzi mojej żuchwy, zmierzwiając zarost. Przez rozchylone usta dostrzegam, że przesuwa językiem pod spodem górnych zębów.

— Hm... — mruczy gardłowo.

— Podoba ci się, czy chcesz, żebym się ogolił? — szepczę. Kręci głową.

— Podoba mi się. — Przesuwa czubkami palców po moim podbródku.

— Naprawdę?

Kiwa głową i pochyla się, by delikatnie pocałować mnie w kącik ust, a potem sunie językiem po zaroście tam, gdzie dotykała mnie wcześniej palcem. Moje krocze reaguje.

— Och, Alessio. — Obejmuję dłońmi jej twarz i osuwam się razem z nią na łóżko, całując jej usta. Dotykam wargami jej warg, miażdżę

językiem jej język, a ona, łakoma jak nigdy, bierze wszystko, co jej daję. Przesuwam dłoń w dół jej ciała, po piersi, po tali, po biodrze, chwytam za pośladki i ściskam. Moje usta idą w ślad za ręką, pieszcząc na zmianę jej piersi, aż czuję, jak wiję się pode mną. A gdy patrzę na nią, by złapać oddech, widzę, że aż dyszy.

— Chciałbym spróbować czegoś nowego — mruczę.

Jej usta układają się w kształt litery O.

— Dobrze? — pytam.

Gładzi moją twarz.

— Okej — szepcze.

Całuję ją jeszcze raz.

— Obróć się.

Wygląda na zaskoczoną.

— Połóż się na brzuchu.

— Och. — Chichocze i robi, co jej każę. Podpieram się na łokciu i odsuwam jej włosy na bok, by odsłonić piękne plecy i jeszcze piękniejsze pośladki. Przesuwam dłonią wzdłuż linii kręgosłupa aż na sam dół, napawając się miękką, gładką skórą. Pochyliam się i całuję malutki pieprzyk u nasady jej szyi.

— Jesteś taka śliczna — mruczę do jej ucha i zaczynam całować szyję i ramię, podczas gdy moja dłoń schodzi coraz niżej i wsuwa się między jej pośladki. Kołysze pupą pod moim naciskiem, gdy wsuwam rękę głębiej i zaczynam okręzać łechtaczkę palcami. Alessia leży z głową na boku, więc mogę ją obserwować. Ma zamknięte oczy, rozchylone usta i chłonie przyjemność, jaką budzą w niej moje palce.

— Właśnie tak — szepczę i wsuwam w nią kciuk. Pojękuje. Jest mokra, ciepła i cudowna. Napiera pośladkami na moją dłoń, a ja krążę

kciukiem w jej wilgotnej kobiecości. Gwałtownie wciąga powietrze, co jest sygnałem dla mojego sterczącego członka. Utrzymuję rytm. Raz za razem. Zaciska dłonie na prześcieradle i przymyka oczy, jęcząc głośno. Jest blisko. Bardzo blisko. Ale ja wycofuję kciuk i sięgam po prezerwatywę.

Mruga i patrzy na mnie. Spragniona. Gotowa.

— Nie ruszaj się — mruczę i wsuwam się między jej nogi, rozdzielając je kolanem. Podciągam ją ku sobie, by usiadła na mnie okrakiem przodem do ściany. Mój penis wciska się w linię między jej pośladkami.

Pewnego dnia...

— Zrobimy to od tyłu — mruczę.

Gwałtownie obraca ku mnie głowę, zaniepokojona, i unosi brwi.

Śmieję się.

— Nie. Nie tak. Tylko tak. — Unoszę ją i powoli opuszczam na wzwiedziony członek. Wbija mi paznokcie w uda, głowa opada na moje ramię, a ja przygryzam płatek jej ucha. Dyszy, ale napręża nogi i z wahaniem unosi się i opada.

Ożeż. Tak.

— Właśnie tak — szepczę i zsuwam dłonie na jej piersi, obejmując je obie od dołu i drażniąc brodawki kciukami i palcami wskazującymi.

— Aaa! — wydaje z siebie pierwotny, seksualny okrzyk. *Cholera.*

— W porządku?

— Tak!

Powoli pochylam ją do przodu, a ona opiera się dłońmi o łóżko. Wysuwam się z niej i z powrotem wchodzę. Krzyczy i mocno się wygina, kładzie głowę i ramiona na materacu.

To cudowny widok. Jej włosy rozpostarte na pościeli, oczy mocno zaciśnięte, usta otwarte, a pośladki w górze. Sam ten widok sprawia, że mam ochotę dojść.

W dotyku też jest niesamowita.

Każdy pieprzony centymetr jej ciała.

Chwytam ją za biodra. Znowu wysuwam się z niej i z powrotem wchodzę.

— Tak... — jęczy, a ja poruszam się szybciej. Mocniej. Coraz mocniej.

Jestem w raju.

Krzyczy. Przerywam.

— Nie! — woła ochryłym głosem. — Błagam. Nie przestawaj.

Och, skarbie!

Nie hamuję się. Biorę ją. Raz za razem. Pot kapie mi z brwi i spływa po ciele, gdy powstrzymuję wytrysk, aż w końcu ona krzyczy i czuję fale jej orgazmu. Wciskam się w nią jeszcze mocniej i dołączam do niej, kochając ją, wypełniając ją sobą, a potem opadam na nią, wołając jej imię.

ALESSIA LEŻY NA BRZUCHU, BEZ TCHU, WRACAJĄC DO SIEBIE PO ORGAZMIE, a on leży na niej. Jego ciężar jest... przyjemny. Nie wiedziała, że ciało może dać jej tyle przyjemności. Jest spocona, rozleniwiona i nasycona, wyczerpana tym niesamowitym przeżyciem.

Przytomniejąc, musi jednak przyznać, że czuje się trochę winna z powodu tego nicnierobienia. Nigdy nie spędziła całego poranka w łóżku.

Maxim dotyka nosem jej ucha.

— Jesteś niesamowita — szepcze, przesuwał się na bok i obejmując

ją ramionami.

Alessia zamyka oczy.

— Nie, to ty jesteś niesamowity — odpowiada. — Nie wiedziałam... To znaczy... — Przerywa i patrzy na niego.

— Że to może być tak intensywne doznanie?

— Tak.

Marszczy brwi.

— Tak. Wiem, o co ci chodzi. — Wygląda przez okno na szary, zmoczony deszczem krajobraz. — Masz ochotę gdzieś wyjść?

Wtula się w niego, wszystkimi zmysłami napawając się jego obecnością. Zapach i ciepło jego skóry.

— Nie. Podoba mi się tutaj z tobą.

— Mnie też. — Maxim całuje czubek jej głowy i zamyka oczy.

BUDZĘ SIĘ Z DRZEMKI. JESTEM SAM, ALE ZARAZ SŁYSZĘ Z DOŁU MÓJ ULUBIONY KONCERT RACHMANINOWA. Brzmi jakoś dziwnie... Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że gra tylko fortepian. No przecież, że nie cała orkiestra.

Och, muszę to zobaczyć.

Wyskakuję z łóżka i naciągam dzinsy, ale nie mogę znaleźć swetra, więc łapię narzutę leżącą w nogach łóżka, zarzucam ją sobie na ramiona i schodzę na parter.

Alessia gra na pianinie ubrana jedynie w mój kremowy pulower. Znalazła jakieś słuchawki i wpięła je do mojego iPhone'a. Słucha z zamkniętymi oczami, jednocześnie grając. Bez nut. Bez orkiestry. Czy ona słucha tego koncertu?

Pewnie tak.

Jej palce fruwały nad klawiszami, a muzyka wypełnia cały pokój z takim uczuciem i finezją, że zapiera mi dech w piersiach. Ona zapiera mi dech w piersiach. Niemal słyszę orkiestrę w wyobraźni.

Jak ona to robi?

Naprawdę jest geniuszem.

Obserwuję ją. Jestem jak sparaliżowany, a muzyka przybiera na sile.

Jest w niej tyle emocji.

Alessia dociera do crescendo na końcu tej części koncertu, kiwając głową do muzyki, a włosy spływają jej po plecach. Zatrzymuje się. Siedzi tak przez chwilę. Trzyma dłonie na kolanach, aż dźwięki wybrzmiały do końca. Czuję się jak intruz, obserwując ją niczym egzotyczny gatunek we własnym, unikalnym środowisku. Nie mogę się powstrzymać. Przełamuję czar, unoszę dłonie i biję brawo.

Otwiera oczy. Chyba jest zaskoczona moim widokiem.

— To było rewelacyjne.

Wyjmuje słuchawki z uszu i uśmiecha się do mnie nieśmiało.

— Przepraszam. Nie chciałam cię obudzić.

— Nie obudziłaś.

— Grałam ten koncert tylko kilka razy. Uczyłam się go, zanim wyjechałam... — urywa.

— Cóż, idzie ci bardzo dobrze. Niemal słyszałem orkiestrę.

— Z telefonu?

— Nie. W głowie. Tak dobrze grałaś. Słuchałaś go przez słuchawki?

Rumieni się.

— Dziękuję. Tak.

— Powinnaś występować na scenie. Zapłaciłbym za bilet, żeby cię posłuchać.

Uśmiecha się szeroko.

— Jakie kolory widziałaś? — pytam.

— W muzyce?

Kiwam głową.

— Och... To było jak tęcza — odpowiada ze szczerym entuzjazmem. — Tyle różnych kolorów. — Rozpościera ramiona, by pokazać bogactwo tego, co widzi... Ale ja nigdy tego nie zobaczę.

— To jak... Jak...

— Jak kalejdoskop?

— Tak. Tak. — Kiwa energicznie głową, uśmiechając się, a ja uświadamiam sobie, że to słowo pewnie brzmi po albańsku tak samo.

— I takie powinno być. Kocham ten utwór.

Kocham ciebie.

Podchodzę do niej i całuję w usta.

— Jestem oczarowany pani talentem, panno Demachi. Wstaje i zarzuca mi ręce na szyję. Owijam nas oboje narzutą.

— A ja jestem oczarowana pańskimi talentami, Maximie — odpowiada, obejmuje mnie palcami za kark i przyciąga do swoich ust.

Co? Znowu!



PORUSZA SIĘ W GÓRĘ I W DÓŁ. TYM RAZEM Z WIĘKSZĄ GRACJĄ, WYPROSTOWANA I DUMNA. Wygląda wspaniale, gdy jej piersi falują razem z nią. Wzrok skupia na mnie. Napawa się swoją władzą. To zajebicie seksowne. Ma idealne tempo i podnieca mnie coraz bardziej. Pochyliła się i wplata palce między moje, ściska je, a potem całuje mnie z otwartymi ustami. Pocałunek jest mokry, ciepły, pożądliwy.

— Och, piękna... — jęczę. Jestem blisko.

Prostuje się, odchyła głowę i woła moje imię, dochodząc. *Cholera!* Przepadłem. Odpuszczam i dołączam do niej. Gdy otwieram oczy, patrzy na mnie z góry z zachwytem.

ALESSIA LEŻY WYCIĄGNIĘTA NA KLATCE PIERSIOWEJ MAXIMA. Oboje są na podłodze w salonie, obok pianina. Jej tętno spowalnia, oddech się uspokaja, ale przechodzi ją dreszcz. Jest trochę zimno.

— Proszę. — Maxim przykrywa ją narzutą. — Zamęczysz mnie. — Wzdryga się, ściągając prezerwatywę, ale posyła jej uśmiech.

— Lubię cię męczyć. I lubię patrzeć na ciebie z góry—szepcze.

— A ja lubię patrzeć na ciebie z dołu.

Patrzenie na niego, gdy szczytuje pod nią, daje jej poczucie władzy. Władzy, jakiej nigdy nie spodziewałaby się mieć. To oszałamiające. A gdyby tak zebrała się na odwagę, żeby dotykać go wszędzie...

Jego lśniące zielone oczy wpijają się w nią.

— Naprawdę jesteś niezwykła, Alessio — mówi, odsuwając jej włosy z

twarży. Przez chwilę wydaje się jej, że Maxim coś jeszcze doda, ale posyła jej tylko cudowny uśmiech, a potem rzuca: — Zgłodniałem.

Alessia gwałtownie wciąga powietrze.

— Muszę cię nakarmić. — Próbuje się ruszyć, ale on ją przytrzymuje.

— Nie odchodź. Ciepło mi dzięki tobie. Powinienem rozpalić w kominku. — Całuje jej żuchwę, a Alessia wtula się w niego, czując, jak ogarnia ją niewyobrażalny spokój.

— Powinniśmy wyjść coś zjeść — stwierdza Maxim. — Jest już pewnie po czwartej.

Na zewnątrz nadal pada.

— Chcę coś dla ciebie ugotować.

— Tak?

— Tak, lubię to robić — odpowiada Alessia. — Zwłaszcza dla ciebie.

— Okej.

ALESSIA KRZYWI SIĘ, GDY SIADA NA MNIE.

— O co chodzi? — pytam i unoszę się szybko, żebyśmy byli twarzą w twarz. Narzuta zsuwa jej się z ramion, więc podciągam ją, by Alessii było ciepło.

Rumieni się.

— Jestem trochę poobcierana.

Cholera!

— Dlaczego mi nie powiedziałaś?

— Bo wtedy pewnie byś tego nie zrobił... — mówi ściszym głosem i odwraca wzrok.

— I miałbym cholerną rację! — Zamykam oczy i przykładam czoło do jej czoła. — Przepraszam — szepczę.

Co za idiota ze mnie.

Przykłada palce do moich ust.

— Nie. Nie. Nie przepraszaj.

— Nie musimy tego robić.

Co ja mówię?

— Ale ja chcę. Naprawdę. Bardzo mi się podoba — nalega.

— Alessio, musisz ze mną rozmawiać. Mówić mi. Szczerze powiedziawszy, mógłbym to robić z tobą przez cały dzień. Ale dość. Wychodzimy. Najpierw pójdziemy tylko pod prysznic i porządnie się wyszorujemy. — Zsuwam ją z siebie, wstaję, zbieram ubranie z podłogi i razem idziemy na górę.

Włączam wodę pod prysznicem, a owinięta narzutą Alessia przygląda mi się ciemnymi, tajemniczymi oczami. Popołudniowe słońce właśnie blaknie. Włączam światła i sprawdzam wodę. Jest bardzo ciepła.

— Gotowa? — pytam.

Kiwa głową i pozwala, by okrycie zsunęło się z niej aż do stóp. Mija mnie, wchodząc pod gorący strumień prysznica. Dołączam do niej i oboje stoimy pod kaskadami wody, która nas rozgrzewa. Biorę żel pod prysznic, zadowolony, że Alessia coraz swobodniej się czuje, pokazując swoje cudowne ciało.

Tak to jest, gdy się spędza cały dzień na pieprzeniu... Uśmiecham się szeroko i namydlam dłonie.

NIGDY WCZEŚNIEJ SIĘ Z NIKIM NIE KĄPAŁA. CZUJE, JAK MAXIM PORUSZA SIĘ ZA NIĄ, OCIERA O JEJ CIAŁO...ta część jego ciała, której nie śmiała dotąd dotknąć. Pragnie tego — tylko brakuje jej śmiałości.

Woda jest przyjemnie gorąca. Alessia zamyka oczy i chłonie miły dotyk kropeł, które odbijają się od skóry, różowiąc ją delikatnie.

Maxim odsuwa jej włosy z pleców i całuje ją namiętnie w ramię.

— Jesteś taka piękna — mówi.

Czuje jego dłonie na swoim karku, gdy powoli, okrężnymi ruchami zaczyna wmasowywać mydło w jej skórę. Jego silne palce ugniatają mięśnie.

— Ach—jęczy.

— Podoba ci się?

— Tak, najbardziej.

— Najbardziej?

— Znowu mój angielski?

Alessia wyczuwa, że Maxim się uśmiecha.

— Na pewno jest lepszy niż mój albański. Chichocze.

— Racja. To takie śmieszne, mówię jakieś niepoprawne słowo, które dla mnie brzmi dobrze, ale gdy ty je wypowiadasz, od razu słyszę, że jest błędne.

— To pewnie przez mój akcent. Umyć cię całą? — pyta ochryplym głosem.

— Całą? — Alessii zapiera dech w piersiach.

— Mhm... — potwierdza Maxim niskim, seksownym pomrukiem tuż przy jej uchu. Obejmuje ją, namydlą dłonie i zaczyna wcierać pianę w jej skórę. Myje jej szyję, piersi, brzuch, a potem, bardzo delikatnie, miejsce między nogami. Alessia odchyła głowę i opiera ją o jego pierś, poddając się dotykowi i czując na swoich pośladkach podniecenie Maxima. Jęczy, jego oddech tuż przy jej uchu nabiera głębi i staje się chrapliwy.

Nagle przerywa.

— Już, gotowe. Chyba powinniśmy wyjść.

— Co? — Czuje się ogołocoła bez jego dłoni na sobie.

— Dość. — Odsuwa drzwi kabiny i wychodzi.

— Ale... — protestuje Alessia.

Maxim bierze ręcznik i owija sobie nim biodra, zasłaniając nabrzmiałą męskość.

— Mam w sobie krztyne silnej woli, ale moje ciało, o dziwo, jest gotowe do akcji.

Alessia wydyma wargi, a on się śmieje.

— Nie kuś mnie. — Podnosi niebieski szlafrok i czeka na nią. Dziewczyna zakręca wodę i wychodzi z kabiny, a on otula ją miękkim materiałem i przyciąga do siebie. — Nie można ci się oprzeć. Ale choć bardzo cię pragnę... to jednak dość. Jestem głodny. — Całuje czubek jej głowy i wypuszcza ją z objęć. Alessia patrzy, jak wychodzi z łazienki, i czuje, jak miłość do niego wypełnia jej serce.

Może powinna mu to powiedzieć?

Ale gdy przechodzi za nim do sypialni, odwaga ją opuszcza. Podoba jej się to, co ich teraz łączy. Nie ma pojęcia, jak by zareagował na jej wyznanie. Nie chce niszczyć tego, co mają.

— Ubiorę się i ugotuję coś dla ciebie.

Unosi brew.

— Nie musisz się ubierać.

Czuje, jak rumienia się jej policzki. *On nie ma wstydu.* Maxim się rozpromienia, a jego uśmiech jest tak olśniewający, że brakuje jej tchu.

JEST PRAWIE PÓŁNOC, A JA LEŻĘ I WPATRUJĘ SIĘ W ALESSIĘ, KTÓRA ŚPI MOCNO OBOK MNIE.

Co za cudowny, leniwy, pełen miłości poniedziałek.

To był idealny dzień.

Seks. Jedzenie. Seks. Picie. Seks. I słuchanie, jak Alessia gra na pianinie... I obserwowanie, jak gotuje.

Porusza się i mamrocze coś przez sen. Jej skóra lśni w blasku nocnej lampki. Oddycha lekko i równomiernie. Musi być wykończona po tym, co robiliśmy... I nadal jest trochę nieśmiała. Chciałbym, żeby zaczęła mnie dotykać. Wszędzie.

Aż mi twardnieje na tę myśl.

Dość!

Zrobi to. W swoim czasie, jestem tego pewien. Dzisiaj nie wyściubiliśmy nosa z domu. Przez cały dzień. A ona znowu dla mnie gotowała. Kolejny pyszny, zdrowy posiłek. Jutro chciałbym zrobić z nią coś specjalnego — wyjść gdzieś, o ile pogoda się poprawa.

Pokaz jej, gdzie dorastałeś.

Nie. Jeszcze nie. Kręcę głową.

Powiedz jej.

Przychodzi mi do głowy pewien pomysł i jeśli rzeczywiście pogoda będzie lepsza, powinniśmy się dobrze bawić. Może wtedy będę miał okazję powiedzieć jej, kim jestem... Zobaczymy.

Delikatnie całuję ją w skroń i wdycham słodki zapach. Porusza się i mruczy coś niezrozumiałego, ale nieruchomieje i śpi dalej.

Zakochałem się w tobie, Alessio.

Zamykam oczy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ALESSIĘ BUDZI SZMER GŁOSU MAXIMA. Kiedy otwiera oczy, mężczyzna siedzi na łóżku i rozmawia przez telefon. Uśmiecha się do niej, nie przerywając dyskusji.

— Miło, że pani Chenoweth się zgodziła — mówi. — Myślę, że dla damy najlepsza będzie dwudziestka, ja wezmę swojego purdeya.

Alessia zastanawia się, o czym on mówi, zwłaszcza że oczy aż mu błyszczą z podniecenia.

— Jakieś łatwe ptaki. Cyraneczki. — Puszczą do Alessii oko. — Około dziesiątej? Świetnie. Spotkamy się z Jenkinsem na miejscu. Dzięki, Michael. — Kończy rozmowę i wsuwa się z powrotem pod kołdrę. Głowę kładzie na poduszce, twarzą w jej stronę. — Dzień dobry, Alessio. — Nachyla się i całuje ją. — Dobrze spałaś?

— Tak, dziękuję.

— Wyglądasz prześlicznie. Jesteś głodna?

Alessia przeciąga się, a jemu ciemnieją oczy.

— Hmm....

— Wyglądasz niezwykle ponętnie — uśmiecha się Maxim. — Ale mówiłaś, że jesteś obolała. — Daje jej buziaka w nos. — A poza tym mam dla ciebie niespodziankę. Po śniadaniu wychodzimy. Ubierz się ciepło. I będzie lepiej, jeśli zapleciesz warkocz — radzi i wychodzi z łóżka.

Alessia robi nadąsaną minę. Była obolała, owszem, ale to było wczoraj. Dzisiaj czuje się dobrze. Zanim jednak zdoła go zwabić do łóżka chociaż na chwilkę, nagi

Maxim tanecznym krokiem wchodzi do łazienki. Pozostaje jej tylko

podziwiać jego piękną sylwetkę, prężące się na plecach mięśnie, długie nogi i... pośladki. Mężczyzna obraca się, posyła jej szelmowski uśmiech i zamyka za sobą drzwi.

Alessia szczyrzy do siebie zęby.

Ciekawe, co takiego zaplanował?

— DOKĄD JEDZIEMY? — PYTA ALESSIA.

Ma na sobie zieloną czapkę i nową kurtkę. Wiem, że pod spód założyła kilka warstw ubrań. Nie powinna zmarznąć.

—To niespodzianka. — Zerkam na nią spod oka i wrzucam bieg.

Dzisiaj rano, zanim się obudziła, zadzwoniłem do dworu, żeby porozmawiać z Michaeliem, zarządcą posiadłości. Dzień jest zimny i jasny, w sam raz na to, co zaplanowałem. Po wczorajszych igraszkach przyda się odmiana i trochę świeżego powietrza.

Rosperran Farm należy do majątku Trevethicków od czasów epoki georgiańskiej, a Chenowethowie zostali naszymi dzierżawcami ponad sto lat temu. Abigail Chenoweth, obecna mieszkanka farmy, zgodziła się, byśmy skorzystali z nieużytku na jednym z południowych pól.

Szkoda, że nie jedziemy land roverem. Mój jaguar nie najlepiej sobie radzi na polnych drogach.

Zatrzymujemy się nieopodal otwartej już bramy, za którą dostrzegam Jenkinsa i jego land rovera defendera. Na mój widok mężczyzna macha wesoło.

Uśmiecham się radośnie do Alessii.

— Będziemy strzelać do rzutków.

Patrzy na mnie zdeorientowana.

— Rzutków?

— Glinianych gołębi?

W dalszym ciągu nic jej to nie mówi.

Zaczynam wątpić, czy to był dobry pomysł.

— Spodoba ci się.

Uśmiecha się do mnie nieco nerwowo, a ja wysiadam z samochodu. Dzień jest zimny, ale nie widzę, żeby mój oddech skraplał się w powietrzu. Raczej nie zmarzniemy.

— Dzień dobry, milordzie — wita mnie Jenkins.

— Cześć. — Sprawdzam, czy Alessia nas słyszy, ale dopiero wysiada z samochodu. — Wystarczy „sir”, Jenkins — mówię jak najciszej, kiedy moja towarzyszka się do nas zbliża. — To Alessia Demachi.

Jenkins ściska jej wyciągniętą na powitanie rękę.

— Dzień dobry, panienko.

— Dzień dobry. — Uśmiecha się do niego promiennie, a Jenkins się rumieni.

Jego rodzina służy u Trevelyanów od trzech pokoleń, chociaż zazwyczaj pracuje w Angwin, naszym majątku w Oxfordshire. Cztery lata temu Jenkins porzucił gniazdo rodowe i przeniósł się do Tresyllian Hall jako asystent łowczego. Jest ode mnie nieco młodszy i uwielbia surfing. Widziałem go na desce — Kit i ja moglibyśmy się od niego uczyć. Poza tym jest wyśmienitym strzelcem i doskonałym leśniczym. Wiele razy organizował już polowania. Pod płaską czapką i strzechą wyblakłych od słońca włosów kryje się bystry umysł, a z twarzy nie schodzi szczery, ciepły uśmiech.

Alessia patrzy na mnie zdezorientowana.

— Będziemy polować na ptaki?

— Nie. Strzelać do rzutków.

W dalszym ciągu jest skonsternowana.

— To takie krążki zrobione z gliny.

— Aha.

— Przyniosłem dla pani kilka sztuk broni do wyboru. Mam też purdeye dla pana, a pani Campbell nalegała, żebym wziął też pana kurtkę myśliwską.

— Doskonale.

— Są też kawa i paszteciki z kiełbasą. I ogrzewacze do rąk — dodaje Jenkins z uśmiechem.

Kochana Danny.

— Wyrzutnie są już na miejscu. Wybrałem cyraneczki — mówi Jenkins.

— Świetnie. — Zwracam się do Alessii. — Podoba ci się niespodzianka? — pytam ją, chociaż mam wątpliwości.

— Tak — odpowiada, ale widać, że nie jest przekonana.

— Strzelałaś kiedyś ze strzelby?

Kręci głową.

— Mój ojciec ma strzelbę.

— Naprawdę?

— Poluje.

— Poluje?

Wzrusza ramionami.

— No, a przynajmniej wychodzi na noc z bronią. Strzela do wilków.

— Do wilków?!

Alessia śmieje się z mojej miny.

— Tak. W Albanii są wilki, chociaż ja nigdy żadnego nie widziałam. Mój ojciec chyba też nie. — Uśmiecha się do mnie. — Chętnie postrzelam.

Jenkins prowadzi ją do bagażnika defendera, gdzie trzyma dla nas broń i cały potrzebny sprzęt.

Alessia uważnie słucha instrukcji. Przechodzi przyspieszony kurs zasad bezpieczeństwa, potem dowiaduje się, jak działa strzelba i co trzeba zrobić, by wystrzeliła. Ja tymczasem szybko przebieram się w kamizelkę i kurtkę. Jest bardzo chłodno, ale w tych starych ubraniach nie zmarznę. Z futerału na broń wyjmuję jedną z moich dwóch dubeltówek marki Purdey. To rzadkie i zabytkowe okazy. Należały do mojego dziadka, który w 1948 roku kazał zrobić na zamówienie dwie identyczne sztuki. Mają przepiękny srebrny grawerunek z kunsztownie wplecionym rodzinnym herbem i budynkiem Tresyllian Hall w tle. Kolbę wykonano z pięknego, lśniącego drewna orzechowego. Po śmierci dziadka obie strzelby stały się własnością mojego ojca, a kiedy Kit skończył osiemnaście lat, dostał jedną w prezencie urodzinowym. Ja zostałem obdarowany drugą, gdy ojciec zmarł.

A teraz, kiedy Kita też już nie ma, obie strzelby są moje.

Zalewa mnie nagła fala smutku. Przypominam sobie, jak wszyscy trzej siedzieliśmy w zbrojowni. Mój brat czyścił swoją strzelbę, a ja, podniecony ośmiolatek, któremu wreszcie pozwolono tu wejść, przyglądałem się temu z szeroko otwartymi oczami. Ojciec spokojnie tłumaczył, jak rozkłada się broń, naciera olejem kolbę, smaruje metalowe części, czyści lufę i zamek. Był bardzo dokładny, podobnie jak

Kit. Zafascynowany obserwowałem ich obydwu.

— Wszystko w porządku, proszę pana? — Jenkins wyrywa mnie z zamyślenia.

— Tak. Jak najlepszym.

Alessia założyła gogle ochronne i słuchawki. W dalszym ciągu wygląda pięknie. Przechyliła głowę na bok.

— O co chodzi? — pytam.

— Podoba mi się ta kurtka.

Śmieję się.

— Ten stary łach? To zwykły tweed. — Biorę naboje, gogle i słuchawki, a potem lamię broń. — Gotowa? — zwracam się do Alessii.

Potakuje skinieniem głowy i trzymając w ręku otwartego browninga, idzie ze mną i Jenkinsem w stronę miejsca, skąd będziemy strzelać. Nasz przewodnik zabezpieczył je wcześniej kilkoma belami siana.

— Ustawiłem wyrzutnie tuż za tamtym wzniesieniem, żeby cele wylatywały pod niskim kątem — objaśnia Jenkins.

— Mogę zobaczyć ptaka?

— Jasne. — Jenkins naciska guzik na swoim pilocie i rzutek wzlatuje w powietrze jakieś sto metrów przed nami.

Alessia wciąga głośno powietrze.

— Nigdy w to nie trafię!

— Spokojnie, trafisz. Patrz. Cofnij się trochę.

Mam wielką ochotę się przed nią popisać. Lepiej ode mnie gra na fortepianie, lepiej gotuje, w szachy też z nią przegrałem...

— Dwa rzutki, Jenkins.

— Tak jest, sir.

Zakładam gogle i ochraniacze na uszy. Ładuję dwa naboje i podnoszę strzelbę. Jestem gotowy.

— Daj!

Jenkins wypuszcza dwa rzutki, które wzlatają przed nami. Naciskam spust i opróżniam najpierw górną lufę, a potem dolną, trafiając oba cele. Rzutki się rozpadają, a ich odłamki lecą na ziemię jak grad.

— Trafiony, sir.

— Udało ci się! — wykrzykuje Alessia.

— Owszem! — Nie potrafię powstrzymać uśmiešku zadowolenia. — Okej, twoja kolej. — Otwieram strzelbę i staję obok Alessii.

— Stopy szerzej. Ciężar ciała na tylnej. Dobrze. Patrz na wyrzutnię. Widziałaś już trajektorię rzutka. Łagodnie prowadź za nim lufę. — Alessia energicznie kiwa głową. — Jak najmocniej oprzyj kolbę o ramię, żeby odrzut nie był za silny.

— Okej.

Niesamowite, jak posłusznie stosuje się do wszystkich moich zaleceń.

— Prawa stopa trochę bardziej w tył, panienko — dodaje Jenkins.

— Dobrze.

— Tutaj masz naboje. — Podaję jej dwa, a ona wkłada je do komory i przeładowuje broń. Cofam się. — Kiedy będziesz gotowa, krzyknij „daj!”. Jenkins wypuści jeden rzutek, a ty masz dwie szanse, żeby trafić.

Zerka na mnie niespokojnie i szykuje się do oddania strzału. Wygląda jak stuprocentowa wiejska kobieta w tej zielonej czapce, z rumianymi

policzkami i opadającym na plecy warkoczem.

— Daj! — woła i Jenkins wypuszcza ptaka.

Rzutek leci nad nami, a ona strzela, najpierw raz, potem drugi.

Nie trafia.

Ani razu.

Robi naburmuszoną minę, kiedy widzi, jak rzutek roztrzaskuje się o ziemię kilka metrów od nas.

— Nauczysz się. Spróbuj jeszcze raz.

W jej oczach pojawia się twardy błysk, a Jenkins podchodzi, żeby udzielić jej jeszcze kilku rad.

Za czwartym razem wreszcie udaje się jej trafić.

— Tak! — krzyczę na zachętę, a ona rozradowana podbiega do mnie.

— Hej! Hej! Lufa w dół! — wołamy jednocześnie z Jenkinsem.

— Przepraszam. — Chichocząc, otwiera strzelbę. — Mogę jeszcze raz?

— Jasne. Mamy przed sobą całe przedpołudnie. Trafiony!

Uśmiecha się do mnie radośnie. Nos ma różowy, a oczy błyszczące i podniecone nowym doświadczeniem. Jej uśmiech potrafiłby stopić najbardziej zatwardziałe serce, a co dopiero moje.

Cudownie widzieć ją taką uszczęśliwioną po wszystkim, co przeszła.

ALESSIA I MAXIM SIEDZĄ W OTWARTYM BAGAŻNIKU LAND ROVERA PANA JENKINSA I machając nogami, popijają kawę z termosu i jedzą paszteciki z jakimś mięsem. Alessia myśli, że to chyba wieprzowina.

— Dobrze ci poszło — mówi Maxim. — Dwadzieścia trafień na czterdzieści strzałów to niezły wynik jak na pierwszy raz.

— Tobie poszło lepiej.

— No tak, ale ja już to robiłem. Wiele razy. — Maxim upija łyk kawy.
— Podobało ci się?

— Bardzo. Chciałabym to jeszcze kiedyś powtórzyć. Może kiedy nie będzie tak zimno.

— Bardzo chętnie.

Alessia uśmiecha się, czując, jak serce bije jej szybciej. On też chce to powtórzyć. Dobry znak. Pije nieco kawy ze swojego kubka.

— Fuj! — krzywi się.

— Co się stało?

— Bez cukru.

— Aż tak ci nie smakuje?

Ostrożnie bierze jeszcze łyk

— Nie. W sumie nie jest taka najgorsza.

— Twoje zęby ci podziękują. Na co miałabyś teraz ochotę?

— Możemy znowu pójść nad morze?

— Jasne. A potem wybierzemy się gdzieś na lunch.

WRACA JENKINS.

— Wyrzutnie spakowane, sir.

— Świetnie. Dziękuję za dzisiaj, Jenkins.

— Cała przyjemność po mojej stronie, mi... to znaczy, sir.

— Chciałbym zabrać swoją broń do Kryjówki i tam ją wyczyścić.

— Oczywiście. Wszystko znajdzie pan w futerale.

— Doskonale.

— Miłego dnia, sir. — Ściskamy sobie dłonie. — Panienko — zwraca się do Alessii, palcami trącając daszek swojej czapki. Widzę, jak na policzki wypływa mu lekki rumieniec.

— Dziękuję, Jenkins — odpowiada Alessia, a kiedy się uśmiecha, jego twarz robi się jeszcze bardziej czerwona. Najwyraźniej podbiła kolejne serce.

— To co? Zbieramy się?

— To twoja broń? — pyta mnie.

— Tak.

Marszczy brwi.

— Jenkins ją dla mnie przechowuje. Prawo nakazuje, żeby każda broń była trzymana w zamknięciu. W Kryjówce jest szafka na broń.

— Och — mówi tylko, a ja widzę, że nic nie rozumie.

— Gotowa? — pytam, żeby odwrócić jej uwagę. Kiwa głową.

— Muszę to zawieźć do domu. — Unoszę futerał z bronią. — Potem pójdziemy na plażę i coś zjeść.

— Dobrze.

Otwieram przed nią drzwi samochodu. Kiedy wsiada, uśmiecha się do

mnie słodko.

Niewiele brakowało.

Po prostu jej powiedz.

Okłamuję ją każdego dnia, gdy nie mówię o sobie prawdy.

Ożeż.

Przecież to takie proste. Wkładam do bagażnika futerał z bronią.

Po prostu jej, do cholery, powiedz.

Siadam za kierownicą, zatrzymuję drzwi i patrzę na Alessię.

— Alessio...

— Patrz! — wykrzykuje, pokazując palcem przez przednią szybę.

Przed nami stoi wspaniały jelen, pokryty długą, szarą zimową sierścią, która zakrywa zazwyczaj widoczne na ciele zwierzęcia białe plamy. Skąd się tutaj, do diabła, wziął? Sądząc po wielkości, ma mniej niż cztery lata, ale może się pochwalić piękną parą imponujących rogów, które zrzuci w ciągu kilku najbliższych miesięcy. Zastanawiam się, czy należy do stada, które trzymamy w posiadłości, czy jest dziki. Jeśli jest nasz, jak udało mu się wydostać? Spogląda znad swojego wyniosłego nosa, wwiercając się w nas czarnymi ślepiami.

— Ua — szepcze Alessia.

— Nigdy nie widziałaś jelenia?

— Nie.

Patrzemy na zwierzę, które poruszając nozdrzami, wacha powietrze.

— Może wilki zjadły wszystkie — odzywam się szeptem. Obraca się ku mnie i wybucha swobodnym śmiechem. Co za cudowny dźwięk

Rozśmieszyłem ją!

Gdzieś w oddali Jenkins zapala swój samochód, strasząc jelenia. Zwierzę się cofa, odwraca i przeskakuje kamienny murek, by zniknąć w krzakach.

— Nie wiedziałam, że w tym kraju żyją dzikie zwierzęta — mówi Alessia.

— Znajdzie się kilka.

Zapalam silnik, wiedząc, że odpowiednia chwila na wyznania właśnie minęła.

Niech to szlag.

Powiem jej później.

W głębi duszy wiem jednak, że im dłużej będę zwlekał, tym gorzej będzie, kiedy prawda wreszcie się wyda.

W mojej kieszeni brzęczy telefon. Przyszła wiadomość. Domyślam się, że to Caroline.

Kolejna sprawa, z którą będę się musiał w końcu zmierzyć. Ale teraz zabieram moją damę na kolejny spacer po plaży.

KIEDY LEŻĄ W ŁÓŻKU, ALESSIA TRZYMA LAMPKĘ W KSZTAŁCIE SMOKA.

— Dziękuję ci — szepcze. — Za wczoraj. Za dzisiaj. Za wszystko.

— Cała przyjemność po mojej stronie, Alessio — odpowiada Maxim.
— To był cudowny dzień.

— Tak, naprawdę cudowny. Nie chciałam, żeby się skończył. Chyba był najlepszy w całym moim życiu.

Maxim gładzi ją po policzku palcem wskazującym.

— Najlepszy. Cieszę się, że mogłem w nim uczestniczyć. Jesteś urocza.

Alessia przełyka ślinę zadowolona, że w słabym świetle nie widać, jak się rumieni.

— Nic już mnie nie boli — szepcze.

Maxim nieruchomieje i patrzy jej w oczy.

— Och, maleńka — mówi w końcu i całuje ją namiętnie w usta.

JEST PO PÓŁNOCY. ALESSIA DRZEMIE OBOK MNIE. Muszę jej w końcu powiedzieć, kim jestem.

Hrabią Trevethick.

Ożeż.

Zasługuje na prawdę. Przecieram twarz rękami.

Czemu tak bardzo nie chcę tego zrobić?

Bo nie wiem, co ona do mnie czuje.

Na dodatek, poza moim tytułem, jest jeszcze drobna kwestia mojego bogactwa.

Cholera.

Jednak matce udało się zarazić mnie swoją podejrzliwością.

Kobiety będą cię pragnęły wyłącznie dla twojego bogactwa, Maximie. Nie zapominaj o tym.

Boże. Rowena potrafi być prawdziwą suką.

Delikatnie, żeby nie obudzić Alessii, nawijam sobie na palec kosmyk jej włosów. Nie chciała, żebym kupił jej ubranie, mimo że nie ma nic. Protestuje, gdy proponuję kupienie telefonu, a w restauracji zawsze wybiera najtańsze dania. Tak nie zachowuje się ktoś, kto poluje na czyjś majątek.

Czy aby na pewno?

Wczoraj powiedziała, że nie mam żadnych rywali. Chyba jej na mnie zależy, ale chciałbym, żeby powiedziała mi to wprost. Wtedy byłoby mi dużo łatwiej. Jest utalentowana, bystra, dzielna — i taka chętna. Uśmiecham się na wspomnienie jej apetytu na seks. Tak. Bardzo chętna. Nachyliłam się, żeby pocałować ją we włosy.

I potrafi gotować.

— Kocham cię, Alessio Demachi — szepczę, kładę głowę na poduszce i patrzę na nią... na tę zniewalającą kobietę. Moją piękną, ukochaną dziewczynę.

BUDZI MNIE DZWONEK MOJEGO TELEFONU. Jest rano, ale sądząc po bladym świetle sączącym się przez szpary w roletach, bardzo wczesny. Alessia leży wtulona we mnie. Sięgam po telefon. Dzwoni pani Beckstrom, moja londyńska sąsiadka.

Po co, do cholery?

— Dzień dobry, pani Beckstrom. Czy coś się stało? — staram się mówić jak najciszej, żeby nie obudzić Alessii.

— Ach, Maximie. Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie, ale chyba ktoś się włamał do twojego mieszkania.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

— Co? — PRZESZYWA MNIE DRESZCZ I WŁOSY NA CAŁYM CIELE STAJĄ MI DĘBA. W jednej chwili znika cała senność. Drapię się po głowie.

Włamanie? Do mnie? Kiedy?

W głowie mi się kotłuje, myśli pędzą jak szalone.

— Tak. Szłam z Herkulesem na poranny spacer. Wprost uwielbiam spacerować nad rzeką wczesnym rankiem, bez względu na pogodę. Jest tak cicho i spokojnie.

Przewracam oczami. *Do rzeczy, pani B.*

— Drzwi do twojego mieszkania były otwarte. Nie wiem od kiedy. Pomyślałam, że to dziwne, więc zajrzałam do środka, no i oczywiście ciebie tam nie spotkałam.

Czy zamknęłam drzwi, kiedy w panice wybiegałam z mieszkania, żeby szukać Alessii?

Nie pamiętam.

— Obawiam się, że w mieszkaniu panuje straszliwy bałagan.

Ożeż.

— Miałam zadzwonić na policję, ale pomyślałam, że najpierw dam znać tobie, kochanie.

— No tak. Dziękuję. Jestem pani bardzo wdzięczny. Zajmę się tym.

— Wybacz, że przekazuję takie złe wieści.

— W porządku, pani B. Jeszcze raz dziękuję. — Rozłączam się.

Cholera! Kurwa! Niech to szlag!

Co ci pieprzeni dranie ukradli? Nie mam wielu cennych rzeczy — wszystko, co ważne, jest zamknięte w sejfie. Mam nadzieję, że go nie znaleźli.

Cholera. Cholera. Cholera.

Co za pieprzony kłopot. Może będę musiał wrócić do Londynu, a wcale tego nie chcę. Zbyt dobrze bawię się tutaj z Alessią. Siadam na łóżku i patrzę na nią. Mruga oczami zaspana, więc uśmiecham się do niej uspokajająco.

— Muszę gdzieś zadzwonić. — Nie chcę jej martwić szczegółami, więc wstaję, owijam się w pasie kocem i z telefonem wychodzę do innego pokoju. Wybieram numer Olivera i czekam na połączenie, cały czas chodząc w kółko.

Dlaczego alarm się nie włączył?

Czy ja go w ogóle uzbroiłem? Cholera! Wybiegałem w takim pośpiechu, że sam już nie wiem.

— Maximie? — Oliver jest wyraźnie zdziwiony, że do niego dzwonię.
— Wszystko w porządku?

— Dzień dobry. Właśnie zadzwoniła do mnie sąsiadka. Powiedziała, że w moim mieszkaniu było włamanie.

— O cholera.

— Właśnie.

— Natychmiast tam jadę. O tej porze powinno mi to zająć góra piętnaście minut.

— Świetnie. Zadzwonię do ciebie za dwadzieścia.

Rozłączam się. W fatalnym nastroju zaczynam się zastanawiać, której

z ewentualnie skradzionych rzeczy będzie mi najbardziej brakować. Moich aparatów. Gramofonów. Komputera.

Cholera! Aparaty ojca!

Co za cholerne utrapienie — jakieś pieprzone ćpuny albo zdiczałe nastolatki musiały się włamać akurat do mnie.

Niech to szlag.

Planowałem spędzić ten dzień z Alessią, moglibyśmy wybrać się do Eden Project. Cóż, może jeszcze nie wszystko stracone, ale najpierw muszę się dowiedzieć, co tak naprawdę się stało, ocenić straty — a nie chcę tego robić przez telefon. Jeśli połączę się z Oliverem przez FaceTime, zobaczę wszystko na własne oczy. Będzie mógł mi pokazać, jak wygląda mieszkanie.

Wściekły, z ciężkim sercem wracam do sypialni. Alessia wciąż leży w łóżku.

— Co się stało? — pyta.

Kiedy siada, włosy opadają jej na piersi. Jest rozczochrana, ale wygląda tak cholernie seksownie, że aż się prosi, bym znów wskoczył do łóżka. Jej widok działa na mnie jak balsam. Natychmiast czuję się lepiej, ale niestety, będę musiał na chwilę ją porzucić. Nie chcę jej obarczać swoimi kłopotami. Dość się wycierpiała w ostatnim czasie.

— Muszę na chwilę wyskoczyć i coś załatwić. Być może będziemy musieli wrócić do Londynu. Ale póki co nie wstawaj. Prześpij się. Wiem, że jesteś zmęczona. Niedługo wrócę.

Podciąga kołdrę pod brodę i patrzy na mnie zatroskana, marszcząc brwi. Całuję ją i idę pod prysznic.

Kiedy wychodzę z łazienki, nie ma jej w pokoju. Zakładam szybko dżinsy i białą koszulę. Zastaję Alessię w kuchni, ubraną tylko w górę od piżamy. Sprząta po wczorajszej kolacji, a kiedy wchodzę, podaje mi

filizankę espresso.

— Żebyś się obudził — mówi i uśmiecha się uroczo, chociaż po oczach widzę, że jest zaniepokojona.

W pośpiechu biorę łyk kawy. Jest gorąca, mocna i wyśmienita. Trochę jak Alessia.

— Nie martw się. Wrócę, zanim się obejrzysz. — Całuję ją jeszcze raz, chwytam płaszcz i wychodzę. Kuląc się przed deszczem, wbiegam po schodach, wskakuję do samochodu i ruszam na pełnym gazie.



PATRY, JAK MAXIM W KILKU SUSACH POKONUJE SCHODY I ZAMYKA ZA SOBĄ FURTKE. Jest zmartwiony. Alessia chciałaby wiedzieć, dokąd się wybiera. Musiało się stać coś złego. Czuje przebiegający jej po plecach dreszcz niepokoju, nie potrafi jednak powiedzieć, co go wywołało. Wzdycha. Tylu rzeczy nie wie o Maximie.

Na dodatek powiedział, że może będą musieli wrócić do Londynu. A ona będzie musiała stawić czoła rzeczywistości.

Jest bezdomna.

Zot.

Przez tych kilka ostatnich dni udawało się jej nie myśleć o kłopotach, ale jest tyle niewiadomych... Gdzie będzie mieszkać? Czy Dante przestał jej szukać? Co Maxim do niej czuje? Wciąga powietrze przez zęby, starając się odsunąć od siebie wszystkie troski. Ma nadzieję, że *mister* szybko upora się z kłopotami i wróci. Już teraz dom bez niego wydaje się pusty. Ostatnie dni były cudowne. Alessia liczy w duchu, że nie będą musieli jeszcze wracać. Nie jest na to gotowa. Nigdy w życiu nie była tak szczęśliwa jak tutaj, z nim.

Na razie postanawia, że gdy skończy wkładać brudne naczynia do zmywarki, pójdzie na górę wziąć prysznic.

WYBIERAM DROGĘ NA SKRÓTY, BOCZNYMI DRÓŻKAMI. TAK BĘDZIE SZYBCIEJ, NIŻ GDYBYM POJECHAŁ GŁÓWNA DROGĄ. Deszcz się wzmacnia, z coraz większą siłą wali w przednią szybę i dach. Kiedy mijam południową bramę wiodącą do rezydencji, muszę zwolnić na kratownicy nad rowem broniącym dostępu bydłu, ale zaraz potem znów przyspieszam, gnając przez pastwisko. W zimowym deszczu krajobraz jest ponury i mokry, tylko gdzieś tam widać jaśniejsze plamki pasących się owiec. Wiosną bydło znowu wyjdzie na łąki. Przez bezlistne drzewa dostrzegam sylwetkę dworu. Położony w szerokiej niecce, szary i gotycki, dominuje nad krajobrazem, jakby żywcem wyjęty z powieści jednej z sióstr Brontë. Pierwszy dom, który tu stał, zbudowano w miejscu starego klasztoru benedyktynów, ale ziemia i opactwo przeszły we władanie Henryka VIII w czasach likwidacji zakonów. Przeszło sto lat później, w 1661 roku, po przywróceniu monarchii, król Karol II przyznał Edwardowi Trevelyanowi posiadłość wraz z tytułem hrabiego Trevethick w zamian za wierną służbę. Posiadłość, którą zbudował mój przodek, w 1862 roku prawie w całości pochłonął pożar, a w jej miejscu postawiono to neogotyckie monstrum pełne wieżyczek i sztucznie omszałych blanków, dzisiejszą siedzibę hrabiów Trevethick. To ogromna, nieforemna budowla, ale zawsze miałem do niej słabość.

Teraz należy do mnie.

Ja nią zarządzam.

Samochód podskakuje na następnej przeszkodzie dla bydła. Objeżdżam wielki dom od tyłu i zatrzymuję się obok starych stajni, w których Kit trzymał swoją kolekcję samochodów. Wsiadam i pędzę do kuchennych drzwi, które ku memu zadowoleniu okazują się otwarte.

W kuchni Jessie przygotowuje śniadanie, a psy Kita nie odstępują jej na krok.

— Dzień dobry, Jessie — wołam, nawet się nie zatrzymując. Jensen i Healey podskakują i ruszają za mną.

Głos Jessie dogania mnie w holu.

— Maxim! To znaczy, milordzie!

Nie zwracam na nią uwagi, tylko idę prosto do gabinetu Kita. Szlag. Mojego gabinetu. Pokój wygląda tak, jakby mój starszy brat wciąż przebywał w rezydencji, i pachnie dokładnie tak samo. Muszę na chwilę przystanąć, przygnieciony niespodziewaną falą żalu.

Niech cię szlag, Kit. Tęsknię za tobą.

W rzeczywistości pokój sprawia wrażenie, jakby urzędował w nim nie mój brat, lecz ojciec. Poza zainstalowaniem komputera Kit nie wprowadził żadnych zmian. To było schronienie taty. Na krwistoczerwonych ścianach wiszą jego zdjęcia, pejzaże i portrety, kilka z nich przedstawia nawet matkę. Meble pochodzą jeszcze sprzed wojny, chyba z lat trzydziestych. Z psim entuzjazmem, rozmachanymi ogonami i wywieszonymi jęzorami Jensen i Healey skaczą wokół mnie, gdy zmierzam w stronę biurka.

— Cześć, chłopaki. No cześć, cześć. Dobrze już. Dobrze. Spokojnie. — Klepię oba psiaki po łbach.

— Dzień dobry, sir. Miło pana widzieć, ale czy wszystko w porządku?
— pyta Jessie, wchodząc za mną do pokoju.

— Ktoś się włamał do mieszkania w Chelsea. Chcę to załatwić stąd.

— O nie! — Jessie zasłania dłonią usta.

— Nikomu nic się nie stało — uspokajam ją. — Oliver jest na miejscu, ocenia straty.

— Coś strasznego. — Jessie załamuje ręce.

— Tylko niepotrzebny kłopot.

— Coś panu podać?

— Chętnie napiję się kawy.

— Już się robi.

Pospiesznie opuszcza gabinet, a Jensen i Healey ze smutnymi pyskami wychodzą za nią. Siadam przy biurku Kita — poprawka, przy moim biurku.

Włączam komputer, loguję się i otwieram FaceTime, po czym klikam w link z numerem Olivera.

ALESSIA STOI POD PRYSZNICEM, ROZKOSZUJĄC SIĘ SILNYM, GORĄCYM STRUMIENIEM WODY. Będzie jej tego brakowało, kiedy wróci do Londynu. Przygnębiona tą myślą, zaczyna myć głowę. Czas, który spędziła z Maximem w Kornwalii, był magiczny. Wspomnienia z pobytu w tym wyjątkowym domu zawsze będą jej bardzo drogie.

Maxim.

Kiedy spienia szampon we włosach, otwiera jedno oko, niezdolna pozbyć się jakiegoś lęku, który nie daje jej spokoju. Co prawda zamknęła się na zamek, ale i tak jest zdenerwowana. Nie przywykła do samotności, a w dodatku tęskni za Maximem. Zdążyła się przyzwyczaić do jego obecności. Do tego, że jest dosłownie wszędzie. Alessia uśmiecha się do siebie, a policzki płoną jej rumieńcem.

No właśnie. Wszędzie.

Gdyby jeszcze sama zdobyła się na odwagę, żeby go dotknąć... wszędzie.

WŁAMYWACZE SPLĄDROWALI TYLKO CZĘŚĆ MOJEGO MIESZKANIA. CIEMNIA JEST NIETKNIĘTA, nie ucierpiałym więc moje aparaty, a co najważniejsze,

przynajmniej z sentymentalnego punktu widzenia, wciąż mam kolekcję ojca. Na szczęście złodzieje nie znaleźli też sejfu. Ukradli kilka par moich butów i kurtek, choć trudno powiedzieć, co dokładnie, bo ubrania są rozrzucone po całej podłodze.

Salon z kolei przedstawia opłakany widok. Wszystkie moje fotografie zostały zerwane ze ścian, iMaca roztrzaskano o podłogę. Laptop i konsole znikły, a wszystkie winyle ktoś pozrzucał z półek. Na szczęście fortepian nie ucierpiał.

— Wygląda na to, że więcej szkód nie ma — mówi Oliver.

Trzyma telefon przed sobą, żebym mógł ocenić na ekranie komputera skalę zniszczenia.

— Dranie. Można stwierdzić, kiedy się włamali?

— Nie, sąsiadka niczego nie widziała. Mogło do tego dojść podczas weekendu.

— Być może w piątek, kiedy wyszedłem. Jak się dostali do mieszkania?

— Widział pan, w jakim stanie są drzwi wejściowe.

— Racja. Musieli je wyważyć czymś ciężkim. Pieprzone dranie. Tak się spieszyłem, że chyba zapomniałem uzbroić alarm.

— Nie włączył się. Chyba faktycznie pan o nim zapomniał. Wątpię jednak, że to by ich powstrzymało.

— Halo...? — Zza kadru dochodzi jakiś obcy głos.

— To pewnie policja — mówi Oliver.

— Wezwaliśmy ich? Szybko się zjawili. Dobrze. Daj znać, co powiedzą. Zadzwoń do mnie.

— Jasna sprawa, proszę pana. — Rozłącza się.

Przygnębiony wpatruję się w pociemniały ekran. Nie chcę wracać do Londynu. Chcę zostać tutaj z Alessią.

Rozlega się pukanie i w drzwiach staje Danny.

— Dzień dobry, sir. Słyszałam, że został pan obrabowany.

— Dzień dobry, Danny. Tak, chociaż nic nie wskazuje na to, że zginęło coś, czego nie da się zastąpić. Raczej tylko nabałaganili.

— Pani Blake na pewno wszystko posprząta. Ale to i tak kłopot.

— No właśnie.

— Gdzie podać śniadanie?

— Śniadanie?

— Milordzie, Jessie przygotowała panu śniadanie. Francuskie tosty. Pana ulubione.

Och. Chciałem wrócić do Alessii.

Danny, wyczuwając moje wahanie, posyła mi znad okularów spojrzenie. Spojrzenie, przed którym ja, Kit i Maryanne kuliliśmy się jako dzieci.

Spokój, dzieci. Jedzcie kolację. Albo powiem waszej matce.

Zawsze grała kartą pani matki.

— Zjem w kuchni z tobą i resztą służby, ale muszę się spieszyć.

— Oczywiście, sir.

PO KĄPIELI ALESSIA ZAWINIĘTA W RĘCZNIKI PRZEGLĄDA W GARDEROBIE UBRANIA, KTÓRE KUPIŁ JEJ MAXIM. Wciąż nie może pozbyć się uczucia niepokoju. Podskakuje

nerwowo na dźwięk najmniejszego nawet hałasu. Rzadko się zdarza, że jest sama. W Kukës matka zawsze była w pobliżu, wieczorami dołączała do nich ojciec. Nawet w Brentford nieczęsto miała dom dla siebie; albo Magda, albo Michał dotrzymywali jej towarzystwa.

Zmusza się, żeby skupić myśli na tym, co właśnie robi. Ma przecież nowe ubrania. Decyduje się na czarne dżinsy, szarą bluzkę i śliczny różowy sweterek. Ma nadzieję, że jej wybór spodoba się Maximowi.

Włącza suszarkę. Jej wysoki, piskliwy dźwięk zagłusza ciszę.

WCHODZĘ DO KUCHNI, GDZIE KRĘCĄ SIĘ I PRZEKOMARZAJĄ NIEKTÓRZY PRACOWNICY DWORU. Wśród nich widzę Jenkinsa. Na mój widok wszyscy wstają, wiedzeni feudalnym poczuciem uszanowania, które działa mi na nerwy. Daję sobie jednak spokój.

— Dzień dobry wszystkim. Bardzo proszę, usiądźcie. Smacznego.

Zewsząd dobiegają zadowolone pomruki.

W czasach największej świetności Tresyllian Hall w posiadłości pracowało dobrze ponad trzysta pięćdziesiąt osób. Dzisiaj wystarcza dwanaścioro stałej służby i około dwadzieścioro pracowników sezonowych. Mamy również ośmioro farmerów, którzy dzierżawią od nas tereny majątku. Poznałem ich podczas ostatniego pobytu. Hodują zwierzęta i uprawiają ziemię na czterech tysiącach akrów. Wszystko organiczne. Pomysł ojca.

Zgodnie z przyjętą tradycją służba pracująca poza domem nie jada przy jednym stole ze służbą domową, dlatego w tej chwili towarzyszą mi tylko zastępcy rządcy, leśniczy ze swoim asystentem i ogrodnicy. Zauważam, że tylko ja dostałem francuskie tosty.

— Podobno było u pana włamanie — zagaja Jenkins.

— To prawda. Zupełnie niepotrzebny kłopot.

— Przykro mi to słyszeć, milordzie.

— Michael jest na miejscu?

— Rano miał dentystę. Mówił, że wróci koło jedenastej.

Zaczynam jeść. Śniadanie przywołuje wspomnienia z dzieciństwa: Kit plecie o wynikach krykieta albo wyklóca się, kto kogo kopie pod stołem, Maryanne z nosem w książce... i francuskie tosty Jessie podawane z duszonymi owocami. Dzisiaj dostałem jabłka z cynamonem.

— Miło, że jest pan tu z nami, milordzie — odzywa się Danny. — Mam nadzieję, że nie będzie pan musiał zbyt szybko wracać do Londynu.

— Właśnie przyjechała policja. Później się wszystkiego dowiem.

— Powiadomiłam panią Blake o włamaniu. Razem z Alice pójdą doprowadzić mieszkanie do porządku.

— Dzięki. Poproszę Olivera, żeby się z nią skontaktował.

— Miło spędza pan czas w Kryjówce?

Uśmiecham się do niej przelotnie.

— Bardzo miło. Dziękuję ci. Bardzo tam wygodnie.

— Słyszałam, że wczorajszy dzień był udany.

— Świetnie się bawiliśmy. Jeszcze raz ci dziękuję, Jenkins — zwracam się do mężczyzny.

Jenkins kiwa głową, a Danny się uśmiecha.

— Właśnie mi się przypomniało — mówi. — Wczoraj pytały o pana dwa wyjątkowo podejrzane typy.

— Co takiego? — W jednej chwili przykuwa całą moją uwagę, podobnie jak całej reszty zgromadzonych w kuchni osób.

Danny robi się blada.

— Pytali o pana. Kazałam im się wynosić, milordzie.

— Byli podejrzani?

— Groźnie wyglądali, proszę pana. Agresywnie. Chyba z Europy Wschodniej. Tak czy inaczej...

— Cholera!

Alessia!

ALESSIA SZCZOTKUJE WŁOSY. WRESZCIE SĄ PRAWIE SUCHE. Niespokojna wyłącza suszarkę. Ma wrażenie, że coś słyszała, ale to na pewno tylko fale rozbijające się o brzeg zatoczki. Podchodzi do okna i spogląda na morze.

Maxim podarował jej morze.

Z uśmiechem przypomina sobie swoje wygłupy na plaży. Deszcz nieco zelżał. Może dzisiaj znowu pójda na spacer, a potem do tego pubu na lunch. Tutaj każdy dzień jest cudowny.

Słyszy, że na dole ktoś przesuwa meble. Potem rozlegają się przytłumione męskie głosy.

Co się dzieje?

Czyżby Maxim kogoś przyprowadził?

— *Urtë!* — rozlega się stłumiony szept. W jej języku! Strach i adrenalina buzuja w jej ciele, kiedy jak skamieniała stoi w sypialni.

To Dante i Ylli.

Znaleźli ją.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

PĘDĘ W DÓŁ ŚCIEŻKI, Z HUKIEM PRZEJEŹDŹAM PRZEZ KRATOWNICĘ I DODAJĘ GAZU. Muszę jak najszybciej dotrzeć do domu. Ledwie mogę oddychać. Strach ściska mi piersi.

Alessia.

Czemu zostawiłem ją samą? Gdyby coś jej się stało... nigdy sobie tego nie wybaczę.

Mój mózg pracuje na najwyższych obrotach.

Czy to oni? Ci dranie, którzy ją porwali? Robi mi się niedobrze na samą myśl. Jak, do cholery, nas znaleźli? Jak? Może to oni włamali się do mojego mieszkania. Znaleźli informację o majątkach Trevethicków i Tresyllian Hall. W ten sposób tutaj trafili. Wypytywali o mnie. Co za bezczelność tak mnie nachodzić w domu! Mocniej zaciskam ręce na kierownicy.

Szybciej. Szybciej. Szybciej.

Jeśli znajdą ją w Kryjówce... Nigdy więcej jej nie zobaczę.

Moja panika z każdą chwilą wzrasta.

Zawloką ją gdzieś, w jakieś straszne, dobrze ukryte miejsce, i nigdy nie zdołam jej odnaleźć.

Nie. Cholera. Nie.

Skrećam w drogę prowadzącą do Kryjówki, rozpryskując żwir po przydrożnych krzakach.

SERCE ALESSII WALI JAK MŁOTEM, czuje w uszach dudniący puls, mimo że krew odpływa jej z głowy. Pokój wiruje, a pod dziewczyną uginają się nogi.

Znalazła się w najgorszym z możliwych koszmarów.

Drzwi do sypialni są otwarte, więc słyszy, jak jej oprawcy szepczą między sobą na dole. Jak się tu dostali? Skrzypnięcie na schodach pobudza ją do działania. Biegnie do łazienki i cichutko się w niej zamyka. Drżącymi, lepkimi rękami przekręca klucz w zamku, walcząc o każdy oddech.

Jak ją znaleźli?

Jak?

Jest półprzytomna ze strachu. Kompletnie bezbronna rozgląda się po pomieszczeniu w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby jej posłużyć do obrony. *Czegokolwiek.* Maszynka do golenia Maxima? Szczoteczka do zębów? Chwyta oba przedmioty i wsuwa do tylnej kieszeni džinsów.

Sprawdza szuflady, ale są puste.

Może się tylko ukryć. I mieć nadzieję, że drzwi wytrzymają do powrotu Maxima.

Nie! Maxim!

Nie poradzi sobie z nimi. Jest jeden — a ich dwóch. Zrobią mu krzywdę. Do oczu napływają jej łzy i osuwa się na podłogę, kiedy nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Opiera się o drzwi, żeby ciężar jej ciała dodatkowo utrudniał ich wyważenie.

— Słyszałem coś. — To Ylli. Są już w sypialni. Od kiedy jej ojczysty język stał się taki przerażający? — Sprawdź tam.

— Jesteś tu, pieprzona dziwko? — krzyczy Dante i szarpie za klamkę. Alessia wpycha sobie pięść do ust, żeby nie krzyczeć, a po policzkach płyną jej łzy. Zaczyna się trząść. Przeważenie całkowicie ją paraliżuje.

Dyszy. Oddycha coraz płycej. Nigdy nie czuła takiego strachu, nawet w ciężarówce wiozącej ją do Anglii. Jest zupełnie bezradna. Nie potrafi walczyć, a z łazienki nie ma żadnej drogi ucieczki. No i musi jeszcze jakoś ostrzec Maxima.

— Wyłaź! — wrzeszczy Dante, a ona aż podskakuje. Jest tuż obok, dzielą ich tylko drzwi. — Jeśli będę musiał wejść tu siłą, tylko na tym ucierpisz.

Alessia zaciska z całej siły powieki i powstrzymuje wyrywający się jej z gardła szloch. Nagle rozlega się przeraźliwy huk, jakby wór zboża upadł na podłogę. Sypie się stek przekleństw, a Alessia czuje, jak drzwi na nią napierają.

Zot. Zot. Zot.

Dante próbuje się wedrzeć, ale bez skutku. Alessia wstaje i zapiera się o podłogę, przeklinając w duchu, że nie ma ani butów, ani nawet skarpetek. Napiera ciałem na drzwi, a stopy ślizgają się po kamiennych płytkach. Może zdoła ich jakoś powstrzymać.

— Jak tam wejść, to cię zabiję, ty pieprzona suko. Masz pojęcie, ile mnie kosztowałaś? Masz?

Znowu wali w drzwi.

Alessia wie, że to już tylko kwestia czasu. Tłumi szloch, desperacko walcząc z rozpaczą. Nie zdążyła znaleźć w sobie odwagi, by powiedzieć Maximowi, że go kocha.

JAGUAR GNA DRÓŻKĄ PROWADZĄCĄ DO KRYJÓWKI. Zauważam stare bmw pokryte chyba dwuletnią warstwą brudu i zaparkowane byle jak przed garażem.

Ożeż. Już tu są.

Nie. Nie. Nie.

Mój strach i wściekłość są ogromne. Boję się, że nie zdołam nad nimi zapanować.

Alessio!

Uspokój się, brachu. Zachowaj spokój, do cholery. Myśl. Myśl. Myśl.

Parkuję jaguara tak, żeby zablokować bramę. Tędy nie uciekną. Jeśli pójde schodami, zobaczą mnie i stracę przewagę, jaką da mi zaskoczenie. Wyskakuję z auta i biegnę do rzadko używanej bocznej furtki prowadzącej do kuchennej komórki. Pod wpływem adrenaliny oddech mam krótki i urywany, a serce bije mi dwa razy szybciej.

Spokojnie, brachu. Tylko spokojnie.

Drzwi do komórki są uchylone. *Cholera*. Może właśnie wtedy dostali się do domu. Robię głęboki wdech i wślizguję się do środka. Adrenalina wyostrzyła mi zmysły. Zdaje mi się, że ogłusza mnie własny oddech.

Cicho. Bądź cicho, do cholery.

Z góry dochodzą krzyki.

Nie. Nie. Nie.

Jeśli przez tych drani Alessii spadnie z głowy choćby włos, zamorduję ich. Sięgam do zawieszanej wysoko pod sufitem szafki na broń. Wczoraj, zanim poszliśmy z Alessią na spacer po plaży, schowałem w niej swoje strzelby. Usiłując zachować spokój, skupiam się na wyjęciu jednego z purdeyów najciszej jak się da. Płynnymi, zdecydowanymi ruchami łamię lufę i ładuję dwa naboje. Cztery kolejne wkładam do kieszeni płaszcza. Nigdy wcześniej nie byłem tak wdzięczny ojcu, że nauczył mnie strzelać.

Zachowaj spokój. Zdołasz ją uratować, tylko jeśli zachowasz spokój.

Jak mantrę powtarzam te słowa w myślach. Odbezpieczam broń, opieram ją o ramię i wślizguję się do salonu. Na dole nie ma nikogo, ale z góry dobiega głośny trzask i jakieś wrzaski w obcym języku.

Alessia krzyczy.

WRZESZCZY, KIEDY DRZWI PUSZCZAJĄ, A ONA UPADA NA PODŁOGĘ. DANTE NIEMAL JĄ SOBĄ PRZYGNIATA. Alessia zwija się w kłębek i szłocha, sparaliżowana strachem. Pęcherz nie wytrzymuje napięcia i dziewczyna czuje, jak wilgotne ciepło spływa jej po nodze i wsiąka w dżinsy.

Jej los został przypieczętowany.

Oddech ma krótki i przerywany, gardło ściśnięte. Kręci się jej w głowie. Jest ledwo przytomna ze strachu.

— Tu jesteś, pieprzona szmato. — Dante chwyta ją za włosy i ciągnie do góry.

Alessia krzyczy, a on wymierza jej silny policzek

— Wiesz, ile mnie kosztowałaś, ty dziwko? Spłacisz mnie co do pensa swoim ciałem. — Nachyla się tuż nad nią. Oczy ma ciemne, zdziczałe z wściekłości. Dziewczyna aż się krztusi. Jego oddech cuchnie tak, jakby coś zdechło mu na języku. Odór niemytego ciała zalewa jej nozdrza.

Znowu uderza ją mocno w twarz i stawia na nogi, szarpiąc za jej loki. Ból jest nie do opisania — jakby mężczyzna żywcem zdzierał jej skórę z głowy.

— Dante! Nie! Nie! — zawodzi Alessia.

— Przestań się mazgaić, ty brudna dziwko, tylko się ruszaj! — Potrząsa nią z całej siły i ciska do sypialni, gdzie czeka Ylli. Alessia rozpląszcza się na podłodze, ale błyskawicznie zwija ciało w kłębek

To się nie dzieje naprawdę.

Zaciska powieki i czeka na nieuchronne ciosy.

Zabijcie mnie. Po prostu mnie zabijcie. Chce umrzeć.

— I jeszcze się posikałaś. Ale z ciebie brudna *pićka*. Zaraz cię załatwię.
— Dante paraduje wokół niej i wreszcie z całej siły wymierza jej kopniaka w brzuch.

Krzyczy, kiedy ból przeszywa jej całe ciało, pozbawiając oddechu.

— Odsuń się od niej, ty pieprzona kupo gówna! — głos Maxima dudni w pokoju.

Co?

Alessia otwiera zapuchnięte oczy. *Jest tutaj.*

Maxim stoi w drzwiach niczym anioł zemsty, ubrany w czarny płaszcz. Jego zielone oczy ciskają błyskawice, a w rękach trzyma strzelbę.

Jest tutaj. I ma broń.

PIEPRZONY GNOJEK ODWRACA SIĘ KU MNIE TWARZĄ. Na mój widok blednie i odskakuje w tył. Kiedy się na mnie gapi, na jego bladym, łysym łbie pojawiają się kropelki potu. Jego kumpel o szczurzej twarzy także się cofa i podnosi ręce, wykrzywiając wargi. Ledwo się powstrzymuję, żeby nie pociągnąć za spust. Łysol przygląda mi się w skupieniu, oceniając sytuację. Strzelę? Czy nie mam na to jaj?

— Nie prowokuj mnie! — wrzeszczę. — Trzymaj łapy w górze albo z tobą skończę. Odsuń się od dziewczyny. Już!

Robi jeszcze jeden ostrożny krok w tył. Przenosi wzrok ze mnie na Alessię i z powrotem, oceniając swoje szanse.

Nie ma żadnych.

Gnojek.

— Alessio. Wstań. Natychmiast. Rusz się! — rozkazuję, widząc, że wciąż znajduje się w zasięgu jego ręki. Z trudem wstaje na nogi. Jeden policzek ma cały czerwony. Ten złamas musiał ją uderzyć. Zaraz go rozwalę. — Stań za mną — mówię przez zaciśnięte zęby.

Wślizguje się za moje plecy i słyszę, jak dyszy ze strachu.

— Obaj. Na ziemię, na kolana! — wrzeszczę. — JUŻ! I ani słowa.

Wymieniają szybkie spojrzenia.

Poprawiam palec na spuście.

— Dwie lufy. Obie naładowane. Mogę zastrzelić was obu. Albo chociaż odstrzelę wam jaja. — Celuję w krocze łysola.

Brwi uciekają mu na poszarzałe czoło. Obaj posłusznie klękają.

— Ręce za głowę.

Robią, co każe, ale nie mam nic, czym mógłbym ich związać.

Cholera.

— Alessio, nic ci nie jest?

— Nie.

W kieszeni zaczyna mi dzwonić telefon. *Cholera.* To na pewno Oliver.

— Możesz wyjąć telefon z tylnej kieszeni moich dżinsów? — proszę Alessię, ani na moment nie przestając celować w dwóch gangsterów. Dziewczyna sprawnie wyciąga komórkę. — Odbierz. — Nie widzę, co robi, ale już po chwili słyszę jej głos.

— Halo? — mówi. Chwilę milczy, po czym odzywa się znowu, zduszonym, przerażonym głosem. — Jestem sprzątaczką pana Maxima.

Jezu. Jest kimś znacznie więcej.

Łysol mówi coś do swojego szczurowatego kumpla.

— *Është pastruesja e tij. Nëse me pastruese do të thuash konkubinë.*

— *Ajo nuk vlen asgjë. Grueja asht shakull për me bajt* — odpowiada szczurowaty.

— Zamknąć się, do kurwy nędzy! — ryczę na obu. — Kto dzwoni? — pytam Alessię.

— Mówi, że nazywa się Oliver.

— Powiedz mu, że złapaliśmy dwóch włamywaczy w Kryjówce. Niech wezwie policję. W tej chwili. I niech zadzwoni do Danny, żeby natychmiast przysłała tu Jenkinsa.

Robi to z wahaniem.

— Powiedz, że później mu wszystko wytłumaczę.

Dokładnie powtarza każde moje słowo.

— Pan Oliver mówi, że już to robi... Do widzenia. — Rozłącza się.

— Na ziemię! Obaj! Twarzą do dołu. Ręce za plecami.

Łysol zerka szybko na szczurowatego. Czyżby coś kombinował? Podchodzę i zniżając strzelbę, celuję mu w głowę.

— Halo? — z dołu dobiega głos. To Danny. Tak szybko? Niemożliwe.

— Na górze, Danny! — wołam, nie odrywając wzroku od tych dwóch nędznych kreatur. Poruszam ostrzegawczo strzelbą. *Leżeć bez ruchu, do cholery.* Słuchają bez protestów. Podchodzę do nich. — Nawet nie drgnijcie. — Przyciskam wylot lufy do pleców łysola. — Sprowokuj mnie, a kula roztrzaska ci kręgosłup, wbije się w żołądek i będziesz umierał długą, straszną śmiercią, a nawet na to nie zasługujesz, ty pieprzona bestio.

— Nie. Nie. Błagam — jęczy z tym swoim dziwnym akcentem. Przypomina zbitego psa.

— Zamknij się i leż nieruchomo. Rozumiesz? Kiwnij głową, że rozumiesz.

Obaj szybko i nerwowo kiwają głowami, a ja pozwalam sobie błyskawicznie zerknąć na Alessię, która blada, z wielkimi oczami stoi skulona w drzwiach. Za nią pojawia się Danny, a za kobietą Jenkins.

— O mój Boże — Danny unosi dłoń do ust. — Co tu się dzieje?

— Oliver do ciebie dzwonił?

— Nie, milordzie. Pojechaliśmy za panem, kiedy tak gwałtownie zerwał się pan od stołu. Domyśliliśmy się, że coś jest nie tak...

— Ci dwaj porywacze włamali się do domu. Szukali Alessii. — Wciskam lufę w plecy łysola.

— Masz coś, czym dałoby się ich związać? — pytam Jenkinsa, cały czas obserwując leżących na podłodze mężczyzn.

— W bagażniku land rovera mam sznur do wiązania słomy. — Obraca się na pięcie i zbiega po schodach.

— Danny, zabierz Alessię do dworu.

— Nie — protestuje Alessia.

— Idź. Nie możesz tu być, kiedy przyjedzie policja. Dołączę do ciebie najszybciej, jak będę mógł. Z Danny będziesz bezpieczna.

— Chodź, dziecko — mówi do niej gospodyni.

— Potrzebuję ubrania na zmianę — bąka Alessia.

Marszczę czoło. *Dlaczego?*

Alessia wbiega do garderoby i po chwili wraca, niosąc jedną z toreb z naszymi zakupami. Z nieodgadnionym spojrzeniem schodzi za Danny po schodach.

NIEWIDZĄCYM WZROKIEM ALESSIA SPOGLĄDA PRZEZ PRZEDNIĄ SZYBĘ WIELKIEGO, ROZKLEKOTANEGO SAMOCHODU DANNY.

Dokąd my jedziemy?

Boli ją głowa, a skóra pod włosami i twarz wręcz pulsują. Kiedy robi wdech, czuje klucie w boku. Stara się oddychać możliwie jak najpłycej.

Danny otuliła ją kocem, który zabrała z oparcia kanapy w salonie Kryjówki.

— Nie chcemy, żebyś się przeziębiła, kochanie.

Ma miły, łagodny głos i mówi z akcentem, którego Alessia nie rozpoznaje. Musi być bliską znajomą pana Maxima, skoro tak się nią opiekuje.

Maxim.

Nigdy nie zapomni jego wyglądu, kiedy przybył jej na ratunek, zupełnie jak w starym amerykańskim filmie.

A ona się bała, że będzie zdany na ich łaskę!

Przewraca jej się w żołądku.

— Proszę się zatrzymać.

Samochód staje i Alessia prawie z niego wypada. Zgina się wpół i wymiotuje na poboczu drogi, zwracając całe śniadanie.

Danny przychodzi jej z pomocą i przytrzymuje jej włosy, podczas gdy Alessią wstrząsają kolejne konwulsje, aż żołądek ma całkiem pusty.

Wreszcie się prostuje, dygocząc na całym ciele.

— Och, dziecko. — Danny podaje jej chusteczkę. — Lepiej zabierzmy cię do dworu.

Kiedy ruszają w dalszą drogę, Alessia słyszy w oddali syreny i domyśla się, że policja przyjechała właśnie do Kryjówki. Drży, gniotąc w rękach chusteczkę.

— Już dobrze, dziecino — mówi starsza kobieta. — Nic ci nie grozi.

Alessia potrząsa głową i próbuje zrozumieć wszystko, co się właśnie wydarzyło.

Uratował ją. Kolejny raz.

Jak zdoła mu się odwdzińczyć?

JENKINS BŁYSKAWICZNIE WIAŻE OBU DRABOM RĘCE NA PLECACH. Na wszelki wypadek krępuje im też nogi w kostkach.

— Milordzie — mówi i wskazuje miejsce, w którym kurtka szczurowatego uniosła się nieznacznie, odsłaniając wciśnięty za pasek spodni pistolet.

— Włamanie i rozbój z użyciem broni. Robi się coraz lepiej.

Cieszę się, że nie użyli broni przeciwko mnie — a tym bardziej przeciwko Alessii. Oddaję Jenkinsowi swoją strzelbę i po chwili wahania wymierzam łysolowi szybki, silny kopniak w zębra. Zasłużył sobie.

— To za Alessię, ty pieprzona kanalio.

Łysol jęczy, a ja kopię go jeszcze raz, tym razem mocniej. Nie obchodzi mnie, że Jenkins na to patrzy.

— A to za wszystkie kobiety, które sprzedałeś w niewolę.

— Handlarze ludźmi? — pyta z niedowierzaniem Jenkins.

— Tak. Ten tutaj też — Skinieniem głowy wskazuję na szczurowatego, który wpatruje się we mnie z nienawiścią. Jenkins kopie go bez zastanowienia.

Kucam obok łysola i chwytam go za ucho, wykręcając mu głowę do tyłu.

— Jesteś obrazą dla człowieczeństwa. Zgnijesz w więzieniu, a ja dopilnuję, żeby wyrzucili pieprzony klucz do twojej celi.

Łysol wydyma wargi i próbuje na mnie splunąć, ale nie trafia i ślina spływa mu po brodzie. Z całej siły walę jego głowę w podłogę. Liczę, że trochę pocierpi. Wstaję, z trudem się powstrzymując, żeby nie skopać go na miazgę.

— Moglibyśmy z nimi skończyć i pozbyć się ciał, milordzie — proponuje Jenkins, przykładając lufę do głowy szczurowatego. — Nikt ich nigdy nie znajdzie.

Przez chwilę nie wiem, czy Jenkins żartuje, ale oprych z twarzą gryzonia najwyraźniej mu wierzy i przerażony zaczyna przewracać oczami.

Dobrze. Teraz przynajmniej wiesz, jak się czuła Alessia, ty kupo gówna.

— Choć to bardzo kuszące, zrobilibyśmy tu straszny bałagan. Wątpię, żeby sprzątaczkę nam podziękowały.

Na dźwięk zbliżającej się syreny wszyscy podnosimy wzrok.

— Poza tym jest jeszcze taki drobiazg jak prawo — dodaję.

DANNY SKRĘCA W WĘŻSZĄ DROGĘ BIEGNĄCĄ OBOK UROCZEGO STAREGO DOMU. Jej zabytkowy samochód grzechocze, kiedy przejeżdża po jakichś metalowych prętach wpuszczonych w nawierzchnię. Chociaż trwa zima,

wszędzie wokół widać bujną zielen. Jadą przez rozległe, falujące pastwiska. Wszystko jest takie... zadbane, zupełnie inne od dzikich krajobrazów, które dotąd widziała. Tu i ówdzie widać białe, tłuściutkie owce. Alessia dostrzega wznoszący się przed nimi wielki szary dom. Jest niezwykle okazały. Największy, jaki w życiu widziała. Rozpoznaje komin. Widziała go już wcześniej, kiedy spacerowali z Maximem. Powiedział jej, że do kogoś należy, ale zapomniała, do kogo. Może to Danny w nim mieszka. *Dlaczego gotuje dla pana Maxima, skoro żyje w takim domu?*

Danny obejżdża budynek i zatrzymuje się przy tylnych drzwiach.

— Jesteśmy na miejscu — mówi. — Witamy w Tresyllian Hall.

Alessia bez powodzenia próbuje się uśmiechnąć i wysiada z samochodu. Wciąż na chwiejnych nogach idzie za Danny. Po chwili wchodzi do pomieszczenia, które musi być kuchnią — ogromną i przestronną, największą, jaką Alessia kiedykolwiek widziała. Drewniane szafki, podłoga z kamiennych płyt — wszystko lśni czystością. Kuchnia jest stara, ale jednocześnie nowoczesna. Stoją w niej dwie kuchenki. Dwie! I wielki stół, przy którym zmieści się co najmniej czternaście osób.

Podbiegają do nich dwa wysokie rude psy. Alessia kuli się ze strachu.

— Leżeć, Jensen. Leżeć, Healey! — Psy posłusznie się zatrzymują. Kładą się i patrzą na obie kobiety pełnymi wyrazu ślepiami. Alessia zerka na nie podejrzliwie. Są bardzo ładne... ale tam, skąd pochodzi, psy nie mieszkają w domu.

— Są zupełnie niegroźne, kochanie. Po prostu się cieszą, że cię widzą. Chodź ze mną — mówi Danny. — Chciałabyś się wykąpać? — Ton ma zatroskany i życzliwy, ale Alessia rumieni się zawstydzona.

— Tak — mówi szeptem. *Ona wie! Wie, że się zmoczyła.*

— Musiałaś się bardzo bać.

Alessia tylko kiwa głową i usiłuje powstrzymać łzy, które cisną się jej

do oczu.

— Ach, dziewczyno, nie płacz. Jego lordowska mość na pewno by tego nie chciał. Zaraz doprowadzimy cię do porządku.

Lordowska mość?

Idzie za Danny długim, wyłożonym drewnem korytarzem. Na ścianach po obu stronach wiszą stare obrazy: pejzaże, konie, budynki, sceny religijne i kilka portretów. Mijają wiele zamkniętych drzwi, po czym wchodzi długimi, wąskimi schodami i są w kolejnym, również wykończonym w drewnie korytarzu. Wreszcie Danny zatrzymuje się i otwiera drzwi do ładnego pokoju z białymi meblami i jasnoniebieskimi ścianami. Przechodzi do przylegającej łazienki i odkręca kurki. Alessia stoi za nią i otulając się szczelniej kocem, patrzy, jak woda z bulgotem wlewa się do wanny, znad której zaczyna się unosić para. Danny dolewa do wody aromatyczny płyn do kąpieli, taki sam, jaki Alessia widziała w Kryjówce.

— Przyniosę ręczniki. Rzuć ubranie koło łóżka, raz—dwa się je wypierzę. — Uśmiecha się do Alessii życzliwie i wychodzi, zostawiając ją samą.

Alessia patrzy na strumień wody i pianę, która stopniowo tworzy się na powierzchni. Wanna jest stara, z żeliwnymi nogami w kształcie lwich łap. Alessia zaczyna się trząść i jeszcze szczelniej owija się kocem.

Wciąż stoi w tym samym miejscu, kiedy wraca Danny. Gospodyni kładzie ręczniki na białym wiklinowym krześle, zakręca wodę i zwraca się ku Alessii, patrząc na nią ze współczuciem.

— Na pewno chcesz się wykąpać, kochanie?

Alessia tylko kiwa głową.

— Chcesz, żebym wyszła?

Alessia kręci głową przecząco. Nie chce zostać sama. Danny wzdycha z

litością.

— No dobrze. Pomóc ci się rozebrać? O to chodzi?

Alessia kiwa głową.

— BĘDZIEMY TEŻ MUSIELI PRZESŁUCHAĆ PAŃSKĄ NARZECZONĄ — MÓWI POSTERUNKOWA NICHOLLS.

Jest mniej więcej w moim wieku, wysoka i gibka, ma jasne, czujne spojrzenie. Skrzętnie zapisuje każde moje słowo. Bębnię palcami w stół. Jak długo to jeszcze potrwa? Bardzo chcę być już przy Alessii, *mojej narzeczonej...*

Zarówno Nicholls, jak i jej szef, sierżant Nancar—row, cierpliwie wysłuchali wszystkiego, co miałem im do powiedzenia o próbie porwania Alessii. Rzecz jasna, nie mówiłem całej prawdy, choć starałem się jak najmniej od niej odbiegać.

— Naturalnie — odpowiadam. — Jak tylko dojdzie do siebie. Ci dranie naprawdę brutalnie ją potraktowali. Gdybym zjawił się choć chwilę później... — Przymykam oczy, czując, jak po plecach przebiega mi dreszcz.

Mógłbym jej już nigdy nie zobaczyć.

— Oboje przeżyliście piekło. — Nancarrow kręci głową z niesmakiem.
— Lekarz ją zbada?

— Tak. — Mam nadzieję, że Danny wpadła na to, by kogoś wezwać.

— Oby jak najszybciej poczuła się lepiej — dodaje sierżant.

Cieszę się, że to właśnie Nancarrow przyjechał do Kryjówki. Znam go od dziecka. Kilka razy spotkaliśmy się przy okazji głośnych pijackich imprez na plaży, ale zawsze był wobec mnie w porządku. I oczywiście to on przyszedł nas zawiadomić o tragicznym wypadku Kita.

—Jeśli ci mężczyźni byli notowani, będziemy mieć ich w aktach. Drobne wykroczenia, poważniejsze przestępstwa, wszystko znajdziemy, lordzie Trevethick— mówi dalej Nancarrow. — Nicholls, masz wszystko? — zwraca się do przejętej sprawą koleżanki.

—Tak jest, sir. Dziękuję, milordzie — tym razem po—sterunkowa zwraca się do mnie. Jest podekscytowana. Podejrzewam, że nigdy wcześniej nie miała do czynienia z próbą porwania.

— Dobrze. — Nancarrow spogląda na nią, uśmiechając się z aprobatą. — Bardzo piękny dom, milordzie.

— Dziękuję.

—Jak się pan trzyma? Po śmierci brata?

— Daję radę.

— To bardzo smutne wydarzenie.

— W rzeczy samej.

— Był dobrym człowiekiem.

Kiwam głową. — Owszem.

Dzwoni mój telefon. Sprawdzam wyświetlacz. To Oliver. Nie odbieram.

— Pora na nas, proszę pana. Będziemy na bieżąco informować o postępach śledztwa.

— Założę się, że ci sami dranie włamali się do mojego mieszkania w Chelsea.

— Na pewno to sprawdzimy, proszę pana.

Odprowadzam ich do frontowych drzwi.

— Och, i proszę przyjąć gratulacje z okazji bliskich zaślubin. — Nancarrow podaje mi rękę.

— Dziękuję. Przekażę pańskie życzenia narzeczonej. *Tylko najpierw muszę ją poprosić o rękę.*

WODA JEST GORĄCA. PRZYNOŚI ULGĘ. Danny wyszła, zabierając do prania rzeczy Alessii. Obiecała, że zaraz wróci, tylko przyniesie resztę ubrań z samochodu i jakieś środki przeciwbólowe. Alessii aż głowa pęka po tym, jak Dante szarpnął ją do góry za włosy. Już się tak nie trzęsie, ale wciąż dręczy ją niepokój. Gdy zamyka oczy, widzi tylko nachyloną nad sobą twarz Dantego, a gdy znów je otwiera, przypomina jej się jego zapach.

Zot. Ten smród. Odór. Stary pot. Niemyte od dawna ciało. Cuchnący oddech.

Krztusi się. Ochlapuje twarz wodą, żeby przegonić złe wspomnienie, ale ukrop sprawia, że podrażniona po uderzeniu skóra zaczyna ją piec.

W głowie słyszy słowa Ylliego. *Nëse me pastruese do të thuash konkubinë.*

Jeśli przez sprzątaczkę ma się na myśli konkubinę. Konkubina.

Słowo adekwatne do sytuacji. Niechętnie musi przyznać, że to prawda. Jest konkubiną Maxima — i jego sprzątaczką. Nastrój Alessii jeszcze bardziej się pogarsza. Czego mogła się spodziewać? W chwili, kiedy sprzeciwiła się ojcu, jej los został przesądzony. Ale przecież nie miała wyboru. Gdyby została w Kukës, musiałaby poślubić niestabilnego, okrutnego człowieka. Aż się wzdryga na tę myśl. Usilnie błagała ojca, żeby odwołał zaręczyny, ale nie słuchał ani jej, ani matki. Dał tamtemu mężczyźnie słowo honoru.

Swoje *besa*.

Żadna z nich nie mogła nic na to poradzić. Tata nie cofnąłby słowa, bo

wtedy zhańbiłby ich nazwisko. Matka, by ją ratować, nierozważnie oddała ją w ręce tych gangsterów, ale ci są już w rękach policji. Przestali jej zagrażać, a ona może tylko zaakceptować sytuację, w której się znalazła. W czasie pobytu w Kornwalii, kiedy śmiała się na plaży, piła alkohol w pubie, jadła w restauracji, uprawiała seks i zakochiwała się w panu Maximie, straciła kontakt z rzeczywistością. Zaczęła żyć złudzeniami. Tak jak kiedyś jej babka — głowę miała pełną szalonych pomysłów o wolności i niezależności. Uciekła przed niechcianymi zaręczynami, ale naprawdę wierzyła, że w nowym kraju znajdzie pracę. To właśnie musi zrobić — pracować i stać się niezależną kobietą, a nie czyjąś utrzymanką.

Wpatruje się w znikające powoli bąbelki piany. Nie przewidziała tylko, że się zakocha...

Do łazienki wchodzi Danny, niosąc granatowy szlafrok

— Już wystarczy. Wychodź z wanny. Nie chcemy, żebyś się zamieniła w pomarszczoną śliwkę.

Śliwkę?

Alessia się podnosi. Porusza się jak automat. Danny owija ją szlafrokiem i pomaga stanąć na podłodze.

— Już ci lepiej?

— Tak Bardzo dziękuję, proszę pani.

— Mam na imię Danny. Wiem, że nie zostałyśmy sobie oficjalnie przedstawione, ale wszyscy tak mnie tutaj nazywają. Przyniosłam ci szklankę wody, tabletki i worek z lodem na głowę, no i maść na twarz. Pomoże zmniejszyć siniak. Wezwaliśmy też lekarza, żeby obejrzał twój bok. Chodź, położymy cię do łóżka. Musisz być wyczerpana. — Prowadzi Alessię do sypialni.

— A Maxim?

— Jego lordowska mość przyjdzie, jak tylko skończy rozmawiać z policją. Chodź.

— Jego lordowska mość?

— Tak, kochanie.

Alessia marszczy czoło, a Danny jest tak samo zdziwiona.

— Nie wiedziałaś? Maxim jest hrabią Trevethick.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

HRABIĄ TREVETHICK?

— To jego dom — mówi łagodnie Danny, jakby przemawiała do dziecka. — I ziemia wokół niego. I wioska... — Urywa. — Nie powiedział ci?

Alessia kręci głową.

— Rozumiem. — Danny marszczy białe brwi, ale po chwili wzrusza ramionami. — Cóż, zapewne miał swoje powody. Czy mam teraz wyjść, żebyś mogła się ubrać? Torba z twoimi rzeczami leży na fotelu.

Alessia kiwa głową, a gospościa wychodzi i zamyka za sobą drzwi. Dziewczyna patrzy za nią oszołomiona; w głowie ma kompletny zamęt. Jej znajomość angielskiej szlachty ogranicza się do dwóch książek Georgette Heyer, które przemyciła do kraju babcia. Z tego, co jej wiadomo, w Albanii nie ma arystokracji. Jej ostatni przedstawiciele uciekli po drugiej wojnie światowej, gdy komuniści przejęli władzę.

Mister Maxim jest hrabią.

Nie. Nie *mister*. Lord Maxim.

Milord.

Dlaczego jej nie powiedział?

Odpowiedź na to pytanie niesie się w jej głowie bolesnym, głośnym echem.

Bo jest jego sprzątaczką.

Nëse pastruesi do të thotë konkubinë.

Jeśli przez sprzątaczkę ma się na myśli konkubinę.

Robi głośny wdech i otula się ciasniej szlafrokiem w obronie przed zimowym chłodem i tą przytłaczającą wiedzą.

Dlaczego to przed nią ukrył?

Bo nie jest dla niego wystarczająco dobra, rzecz jasna. Jest dobra tylko do jednego...

Żołądek jej się ściska, gdy pomyśli o jego zdradzie. Jak mogła być taka naiwna? Dotknięta i zraniona jego nieuczciwością, ociera napływające do oczu łzy. Przez ostatnie dni wołała nie myśleć o rzeczywistości.

Ten związek był zbyt piękny, by mógł być prawdziwy. W głębi duszy to podejrzewała. A teraz już wie.

Ale on nigdy nie składał jej żadnych obietnic. Wszystkie zrodziły się w jej głowie. Nigdy nie powiedział, że ją kocha... Nigdy tego nawet nie udawał. A jednak w czasie ich krótkiej znajomości Alessia zdążyła się w nim zakochać. I okrutnie się zawieść.

Jestem kretynką. Naiwną, zakochaną kretynką.

Udręczona zamyka oczy, a po policzkach zaczynają jej płynąć gorące łzy wstydu i żalu. Z wściekłością opędza się od tych niechcianych uczuć i zaczyna szybko wycierać twarz.

I właśnie wtedy jakby budzi się z letargu.

Robi długi wdech — dość się już w życiu napłakała. Coraz większa złość napędza ją do działania. Nie będzie po nim wylewać łez. Jest wściekła na niego i na siebie — że była taka głupia.

W głębi serca wie, że złością tylko tłumi poczucie zranienia, ale i tak jest za nią wdzięczna. Wściekłość boli mniej niż zdrada.

Rzuca szlafrok na podłogę, bierze z niebieskiego fotela torbę z ubraniami i ją opróżnia. Dobrze, że pod wpływem impulsu zabrała także

swoje stare rzeczy. Zakłada różowe majtki, stanik, własne dżinsy, koszulkę Arsenалу i tenisówki.

To wszystko, co jej zostało. Nie wzięła swojej kurtki, więc chwyta jeden ze swetrów, które kupił jej *mister Maxim* — Lord Maxim — i koc zabrany przez Danny z Kryjówki.

Dante i Ylli zostaną aresztowani, a gdy tylko policja ustali, jakich przestępstw się dopuścili, na pewno trafią za kratki i nie będą już dla niej zagrożeniem.

Może odejść.

Nie zostanie tutaj.

Nie chce być z mężczyzną, który ją oszukał. Z mężczyzną, który porzuci ją, gdy się nią znudzi. Woli odejść sama, niż zostać odprawiona.

Musi się stąd wydostać. I to już.

Szybko połyka dwie tabletki, które zostawiła jej Danny, jeszcze raz wiedzie spojrzeniem po eleganckiej sypialni i uchyla drzwi. Na korytarzu nikogo nie ma. Wymyka się z pokoju i zamyka za sobą drzwi. Musi jakoś trafić z powrotem do Kryjówki, żeby zabrać swoje pieniądze i resztę rzeczy, ale nie może wyjść stąd tą samą drogą, którą przyszła — w kuchni pewnie jest Danny. Skręca w prawo i rusza długim korytarzem.

JAGUAR Z PISKIEM OPON HAMUJE PRZY BUDYNKU DAWNYCH STAJNI. Otwieram drzwi, wysiadam i pędzę do domu. Rozpaczliwie pragnę zobaczyć Alessię.

W kuchni są Danny, Jessie i psy.

— Nie teraz, chłopaki — mówię do zwierzaków, które skaczą, chcąc się ze mną przywitać, i proszą o pieszczoty.

— Dzień dobry, milordzie. Policja już odjechała? — pyta Danny.

— Tak. Gdzie ona jest?

— W błękitnym pokoju.

— Dzięki. — Pędem rzucam się do drzwi.

— Aha, milordzie... — woła za mną Danny, a w jej głosie słyszę wahanie, które każe mi stanąć.

— Słucham? Jak ona się czuje?

— Jest wstrząśnięta, sir. Po drodze zwymiotowała. — Teraz już jej lepiej?

— Wzięła kąpiel i przebiera się w czyste rzeczy. I... — Danny niepewnie spogląda na Jessie, która wraca do obierania ziemniaków.

— O co chodzi? — pytam.

Kobieta blednie.

— Wspomniałam, że jest pan hrabią Trevethick.

Co?

— Cholera!

Wypadam z kuchni, pędzę korytarzem zachodniego skrzydła i wbiegam po schodach w głębi domu, a za mną gnają Jensen i Healey. Serce mi wali.

Szlag. Szlag. Szlag. Przecież chciałem jej powiedzieć. Co ona sobie teraz myśli?

Zatrzymuję się przed drzwiami błękitnego pokoju i oddycham głęboko, nie zważając na psy, które przybiegły za mną, myśląc, że to zabawa.

Alessia ma za sobą koszmarne przeżycie, a teraz jest w nieznanym

sobie miejscu wśród obcych ludzi. Musi być kompletnie zdruzgotana.

I wkurwiona, że jej nie powiedziałem...

Stukam szybko do drzwi.

Czekam.

Stukam znowu.

— Alessio!

Nikt nie odpowiada.

Ożeż. Jest na mnie naprawdę wkurzona.

Ostrożnie otwieram pokój. Jej rzeczy leżą rozrzucone na łóżku, szlafrok jest rozwleczony na podłodze, ale ani śladu po Alessii. Sprawdzam w łazience. Jest pusta, jeśli nie liczyć odrobiny jej zapachu. Lawenda i róże. Zamykam na chwilę oczy i wdycham kojącą woń.

Gdzie ona się, u diabła, podziała?

Pewnie poszła obejrzeć dom.

Albo odeszła. Cholera.

Wypadam z pokoju i na korytarzu głośno wołam ją po imieniu. Mój głos odbija się echem od ścian, na których wiszą portrety moich przodków, ale odpowiada mi głucha cisza. Zaczyna mnie ogarniać przerażenie. Gdzie ona jest? Może zemdląca?

Uciekła.

Za dużo na nią spadło. A może myśli, że mi nie zależy. ..

Kurwa.

Wielkimi krokami pokonuję korytarz, otwierając po kolei wszystkie

drzwi, a Jensen i Healey, niczym straż przyboczna, nie odstępują mnie na krok.

ALESSIA SIĘ ZGUBIŁA. PRÓBUJE ZNALEŹĆ DROGĘ DO WYJŚCIA. Na palcach mija pokój za pokojem, portret za portretem, pokonuje jeszcze jeden wyłożony boazerią korytarz, aż w końcu dociera do podwójnych drzwi. Przechodzi przez nie i znajduje się u szczytu pięknych, szerokich schodów wyłożonych dywanem w szkarłacie i błękicie, prowadzących do ogromnego holu na parterze. U góry, tam gdzie stoi Alessia, w ścianę wprawiono wielodzietne wykuszowe okno, przy którym stoją dwie zbroje trzymające coś, co wygląda na piki. Na ścianie nad schodami wisi gruby, wypłowiały gobelin, większy niż blat kuchennego stołu, który wcześniej widziała. Przedstawia mężczyznę klęczącego na jednym kolanie przed swoim władcą. Cóż, Alessia zakłada, że to musi być władca, sądząc po koronie, którą ma na głowie. Na ścianie naprzeciwko wiszą dwa portrety. Olbrzymie. Na obu są mężczyźni. Jeden obraz pochodzi z dawnych czasów, drugi jest zdecydowanie nowszy. Alessia dostrzega w twarzach rodzinne podobieństwo i doznaje olśnienia. Z obu patrzą na nią te same władcze zielone oczy. Jego oczy.

To rodzina Maxima. A wszystko, co ją otacza, to jego spuścizna. Alessia zupełnie nie jest w stanie tego pojąć.

Nagle jej wzrok pada na rzeźbione dwugłowe orły przycupnięte na poręczy u szczytu schodów, na zakrętach i na samym dole.

Symbol Albanii.

Wtem słyszy głos Maxima wołającego ją po imieniu. Wzdryga się.

O nie.

Wrócił.

Znowu woła. Słysząc, że jest spanikowany. Zrozpaczony. Alessia zamiera u szczytu imponujących schodów i wpatruje się w otaczające ją

pamiętki. Czuje się rozdarta. Gdzieś daleko, w dole, rozlega się gromkie bicie zegara, a Alessia aż podskakuje. Zegar uderza raz, dwa, trzy razy...

— Alessio! — woła znowu Maxim. Tym razem jest bliżej, a ona słyszy jego kroki. Biegnie. Biegnie w jej stronę.

Zegar wciąż bije. Głośno i wyraźnie.

Co powinna zrobić?

Chwyta się ozdobnego orła przy schodach i w tej samej chwili przez podwójne drzwi wypada Maxim, a za nim dwa psy. Widząc ją, staje. Mierzy Alessię wzrokiem i marszczy brwi.

ZNALAZŁEM JĄ. ZACZYNA MNIE OGARNIAĆ ULGA, ale zaraz hamuje ją wyniosłe, nieodgadnione spojrzenie Alessii i fakt, że ma na sobie swoje stare ubranie, a w ręce trzyma sweter i koc.

O cholera. To nie wygląda dobrze.

Gdy tak stoi, przypomina mi nasze pierwsze spotkanie w korytarzu mojego mieszkania całe tygodnie temu.

Ściska słup poręczy, tak jak wtedy ściskała miotłę. Moje zmysły są bardzo wyostrzone.

Musisz być ostrożny, stary.

— Tu jesteś. Dokąd idziesz? — pytam.

Z tym swoim niedbałym wdziękiem przerzuca włosy przez ramię i zadziera brodę, kierując ją w moją stronę.

— Odchodzę.

Nie! Czuję się, jakby kopnęła mnie w brzuch.

— Co? Dlaczego?

— Wiesz dlaczego — odpowiada wyniośle, a na jej twarzy maluje się słuszne oburzenie.

— Alessio. Przepraszam, powinienem był ci powiedzieć.

— Ale nie powiedziałaś.

Trudno się z tym spierać. Wpatruję się w nią, a poczucie zranienia w jej ciemnych oczach parzy me sumienie.

— Rozumiem. — Unosi jeden bark. — Jestem tylko twoją sprzątaczką.

— Nie. Nie. Nie! — Ostrożnie przesuwam się w jej stronę. — Nie taki był powód.

— Sir? Czy wszystko w porządku? — Głos Danny odbija się od kamiennych ścian w dole i dobiega do nas u szczytu schodów.

Przechyliłam się nad balustradą, a ona ukazuje mi się razem z Jessie i Brodym, jednym z robotników pracujących w majątku. Cała trójka wpatruje się w nas z otwartymi buziami. Przypominają świeżo złowione karpie.

— Odejść. Natychmiast. Wszyscy. Odejść!

Macham ręką. Danny i Jessie wymieniają zaniepokojone spojrzenia, ale wszyscy się rozchodzą.

Bogu dzięki.

Zwracam się znowu do Alessii:

— Właśnie dlatego cię tu nie przywiozłem. W tym domu jest po prostu za dużo ludzi.

Odrywa ode mnie wzrok, marszczy czoło i zaciska usta w wąską linię.

—Dziś rano jadłem śniadanie z dziewięciorgiem pracowników, a to i tak jeszcze nie wszyscy zatrudnieni w majątku. Nie chciałem cię onieśmielać... tym wszystkim. — Macham ręką w stronę portretów mojego ojca i pierwszego hrabiego, podczas gdy ona wiezie palcem po kunsztownych zdobieniach rzeźbionego orła. Wciąż milczy. — I chciałem cię mieć dla siebie — szepczę.

Po jej policzku spływa łza.

Ożeż.

— Wiesz, co on powiedział? — mówi cicho.

—Kto?

—Ylli.

Jeden z pieprzonych intruzów z Kryjówki.

—Nie.

Do czego ona zmierza?

— Powiedział, że jestem twoją konkubiną. — Jej głos jest ledwo słyszalny; wyraźnie czuje się zawstydzona.

O nie!

— To... absurd. Mamy dwudziesty pierwszy wiek... — Muszę się mocno hamować, żeby od razu nie wziąć jej w ramiona. Przysuwam się tylko bliżej, tak blisko, że czuję ciepło jej ciała. Jakimś cudem udaje mi się jej nie dotknąć. — Powiedziałbym raczej, że jesteś moją dziewczyną. Tak to tutaj nazywamy, choć nie chcę niczego brać za pewnik. Nie rozmawialiśmy o tym, co nas łączy, bo wszystko potoczyło się bardzo szybko. Ale tak bym cię właśnie nazwał. Dziewczyną. Moją dziewczyną. Co oznacza, że jesteśmy w związku. Ale tylko jeśli sama tego chcesz.

Jej rzęsy trzepoczą nad ciemnymi, jakże ciemnymi oczami, ale nadal się nie odzywa.

Cholera.

—Jesteś inteligentną, utalentowaną kobietą, Alessio. I jesteś wolna. Możesz dokonywać własnych wyborów.

— Wcale nie.

— Tutaj tak. Wiem, że pochodzisz z innej kultury, i wiem, że pod względem ekonomicznym nie jesteśmy sobie równi, ale to tylko przypadek, następstwo tego, gdzie się urodziłyśmy... Pod każdym innym względem jesteśmy tacy sami. Spieprzyłem to. Powinienem być ci powiedzieć i jest mi przykro, bardzo przykro. Ale nie chcę, żebyś odchodziła, tylko żebyś została. Proszę.

Jej pełne głębi spojrzenie obnaża moją duszę, gdy Alessia patrzy mi w twarz; po chwili skupia się znowu na rzeźbionym orle.

Dlaczego unika mojego wzroku? O czym myśli?

Czy to przez traumę, którą dopiero co przeżyła?

A może skoro tamte sukinsyny jej teraz nie zagrażają, już mnie zwyczajnie nie potrzebuje?

Cholera. Może właśnie dlatego ucieka.

— Posłuchaj, nie zatrzymam cię tu siłą, jeśli chcesz odejść. Magda wyprowadza się do Kanady, więc dokąd pójdziesz — nie wiem. Zostań tu przynajmniej, dopóki sama tego nie ustalisz. Ale proszę, nie odchodź. Zostań. Ze mną.

Nie może uciec... nie może.

Wybacz mi! Proszę.

Wstrzymuję oddech. Czekam.

To nie do zniesienia. Jestem jak oskarżony tuż przed ogłoszeniem wyroku.

Zwraca ku mnie swoją mokrą od łez twarz.

— Nie wstydzisz się mnie?

Miałbym się wstydzić? *Nie!*

Dłużej już nie mogę wytrzymać. Przesuwam wierzchem palca po jej policzku, chwytając łzę.

— Nie. Nie. Oczywiście, że nie. Ja... ja... ja się w tobie zakochałem.

Jej wargi się rozchylają i słyszę, jak delikatnie wciąga powietrze.

Cholera. Mam nadzieję, że nie jest za późno.

Oczy jej połyskują od świeżych łez, a moje serce ściska nowe dla mnie, oneśmielające uczucie. Co, jeśli mnie odtrąci? Mój niepokój się wzmacnia. Nigdy nie czułem się tak bezbronny jak w tej chwili.

Jaki jest wyrok, Alessio?

Otwieram ramiona, a ona przenosi wzrok z moich dłoni na twarz. Minę ma niepewną. Ależ mnie dręczy. Przygryza dolną wargę, robi jeden nieśmiały krok i już jest w moich objęciach. Tulę ją w ramionach i przyciskam do piersi. Nie mam zamiaru jej wypuścić. Z nosem w jej włosach zamykam oczy i wdycham słodki zapach.

— Moje kochanie — szepczę.

Drży i zaczyna szlochać.

— Wiem. Wiem. Jestem przy tobie. Bardzo się dzisiaj wystraszyłaś. Przepraszam, że zostawiłem cię samą. To było głupie. Wybacz mi. Ale te dupki siedzą w areszcie. Nie ma ich. Już cię więcej nie skrzywdzą. Jestem przy tobie.

Oplata mnie ramionami i chwyta za płaszcz. Trzyma mnie i płacze.

— Powinienem był ci powiedzieć, Alessio. Przepraszam.

Stoimy tak, jak długo — sam nie wiem. Psy zostawiły nas w spokoju i zeszły po schodach.

— Możesz się we mnie wypląkiwać, kiedy tylko zechcesz — żartuję.

Pociąga nosem, a ja podnoszę jej brodę i wpatruję się w piękne oczy otoczone czerwonymi obwódkami.

— Myślałem... O Boże, myślałem, że jak cię dorwą... to już cię więcej nie zobaczę.

Przełyka ślinę i uśmiecha się do mnie słabo.

— I musisz wiedzieć — mówię dalej — że będę zaszczycony, mogąc nazywać cię moją dziewczyną. Potrzebuję cię. — Rozluźniam uścisk i gładzę jej twarz, omijając lekkie zaczerwienienie na prawym policzku.

Na widok stłuczenia gotuję się ze złości. Uważając, by go nie dotknąć, kciukami ścieram jej łzy. Przez koszulę czuję jej ciepło. Rozlewa się po mnie. Wszędzie.

Alessia odchrząkuje.

— Tak bardzo się bałam. Myślałam, że już cię nigdy nie zobaczę. Ale najbardziej było mi... hm, smutno... hm, i żal — szepcze — że... że nigdy ci nie powiedziałam, że cię kocham.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

RADOŚĆ WYBUCHA WE MNIE JAK MILION FAJERWERKÓW, ROZSADZA MNIE OD GŁOWY AŻ DO STÓP. Jej ogrom zapiera mi dech w piersiach. Dosłownie nie mogę uwierzyć w to, co usłyszałem.

— Kochasz mnie?

— Tak — szepcze Alessia z nieśmiałym uśmiechem.

— Od kiedy?

Milczy przez chwilę i niepewnie wzrusza jednym ramieniem.

— Odkąd dałeś mi parasol.

Uśmiecham się do niej promiennie.

— Poczuję się wtedy bardzo dobrze z tego powodu. W całym przedpokoju były twoje mokre ślady. A więc... mówisz, że zostaniesz?

— Tak.

— Tutaj?

— Tak.

— Tak bardzo się cieszę, najdroższa. — Muskam kciukiem jej dolną wargę i nachylam się do pocałunku.

Delikatnie dotykam jej ust, a ona się rozpala, zaskakując mnie swoją żarliwością. Jej wargi i język są chciwe, natarczywe, jej dłonie wplątują się w moje włosy, szarpią je i ciągną. Chce więcej. O wiele więcej. Jęczę, moje ciało ożywa, a ja pogłębiam pocałunek i biorę wszystko, co mogę. Jest w jej pożądliwych ustach jakaś desperacja. Pragnienie. A ja chcę być tym, który to pragnienie zaspokoi.

Moje dłonie wędrują do jej włosów i przytrzymują ją, zwalniając nieco tempo, mimo że mam ochotę wziąć ją tutaj, teraz, przy schodach.

Alessia.

Moje ciało natychmiast ogarnia podniecenie. .

Pragnę jej.

Potrzebuję jej.

Kocham ją.

Ale dopiero co przeszła piekło. Krzywi się, gdy przesuwam dłonią po jej boku. Ta reakcja przywołuje mnie do porządku.

— Nie... — szepczę, a ona się odsuwa i patrzy na mnie zmysłowym, ale zdumionym i zawiedzionym wzrokiem. — Jesteś obolała — tłumaczę.

— Nic mi nie jest. — Dyszy i wygina szyję, żeby mnie znów pocałować.

— Dajmy sobie troszkę czasu — szepczę i przykładam czoło do jej czoła. — Masz za sobą koszmarne poranne.

Jest wyjątkowo pobudzona, ale jej żarliwość może być jedynie reakcją na urazy, jakich doznała ze strony tamtych dupków.

Ta myśl mnie otrzeźwia.

A może po prostu mnie kocha.

Ten pomysł bardziej mi się podoba.

Stoimy, stykając się czołami, i łapiemy oddech.

Gładzi mnie po policzku, po czym przechyla głowę, a po ustach błąka się cień uśmiechu.

— A więc to ty jesteś hrabią Trevethick? — drażni się ze mną. —

Kiedy zamierzałeś mi o tym powiedzieć? — Jej oczy błyszczą figlarnie, a ja śmieję się głośno, bo mam świadomość, że właśnie wypowiedziała na głos pytanie, które zadawałem sobie zeszłej nocy.

— Mówię ci teraz.

Uśmiecha się i palcem stuka w wargi. Obracam się i teatralnie macham ręką w stronę datowanego na rok 1667 portretu.

— Pozwól, że ci przedstawię. Oto Edward, pierwszy hrabia Trevethick. A ten dżentelmen — kciukiem wskazuję drugi obraz — to mój ojciec. Był farmerem i fotografem, a także zagorzałym kibicem Chelsea, więc nie jestem pewien, co by powiedział na twoją koszulkę Arsenalu.

Alessia patrzy na mnie, nie rozumiejąc.

— To rywalizujące ze sobą drużyny piłkarskie z Londynu.

— O nie! — Śmieje się. — A gdzie jest twój portret?

— Jeszcze go nie namalowano. Jestem hrabią od niedawna. Mój starszy brat, Kit... To on odziedziczył tytuł, ale nie zdążył dać się sportretować.

— Mówisz o tym, który nie żyje?

— Tak. Tytuł i wszystko, co się z nim wiąże, jeszcze kilka tygodni temu należały do niego. Nie byłem przeznaczony do tej roli, do tego... wszystkiego. — Kiwam głową w stronę zbroi. — Opieka nad tym miejscem, tym muzeum, to dla mnie coś zupełnie nowego.

— Czy to dlatego mi nie powiedziałaś? — pyta Alessia.

— To był jeden z powodów. Wydaje mi się, że w jakimś stopniu sam nie potrafię się z tym pogodzić. Ten dom i pozostałe majątki to wielka odpowiedzialność, a ja nie byłem na nią przygotowany.

Za to Kit był...

Ta rozmowa brnie za daleko i zaczyna mi sprawiać przykrość. Z lekkim uśmiechem mówię jednak dalej.

—Jestem wielkim szczęściarzem. Nigdy dotąd nie musiałem tak naprawdę pracować, a teraz wszystko to należy do mnie. I muszę to zachować dla następnych pokoleń. To mój obowiązek — W przepraszającym geście wzruszam ramionami. — Oto kim jestem. Teraz już wiesz. I cieszę się, że postanowiłaś zostać.

— Milordzie? — woła z dołu Danny.

MAXIM ZWIESZA LEKKO RAMIONA. ALESSIA CZUJE, ŻE LORD CHCE, BY ZOSTAWIONO ICH W SPOKOJU.

— Tak, Danny? — odpowiada.

— Jest już lekarz. Ma obejrzeć Alessię.

Maxim spogląda na nią z niepokojem.

— Lekarz?

— Nic mi nie jest — odpowiada z wahaniem Alessia. Maxim marszczy brwi.

— Przyślij doktor Carter do błękitnego pokoju.

— Przyjechał doktor Conway, nie doktor Carter, sir. Natychmiast zaprowadzę go na górę, milordzie.

— Dziękuję — wola Maxim do Danny i bierze Alessię za rękę. — Co ten łajdak ci zrobił?

Alessia nie może mu spojrzeć w oczy. Jest jej wstyd —wstyd, że sprowadziła na Maxima te okropności.

— Kopnął mnie — szepcze. — Danny chciała, żeby lekarz to zobaczył.

— Podciąga bok koszulki Arsenau i pokazuje żywoczerwony ślad wielkości kobiecej pięści.

— Ożeż. — Twarz Maxima tężeje, a jego usta zaciskają się w wąską kreskę. — Trzeba było bydlaka zabić — cedzi przez zęby.

Bierze ją za rękę i oboje idą z powrotem do błękitnego pokoju, gdzie już czeka starszy dżentelmen z dużą skórzaną torbą. Alessia jest zaskoczona, widząc, że rzeczy, które zostawiła rozrzucone na łóżku i podłodze, zostały sprzątnięte.

—Doktorze Conway, dawno się nie widzieliśmy. —Maxim podaje rękę przybyszowi. Doktor ma rozczochrane siwe włosy, rzadkie wąsy i równie przeredzoną brodę. Jego bystre niebieskie oczka mają ten sam odcień co przekrzywiona mucha. — Czyżbyśmy zmusili pana do zawieszenia emerytury?

— Owszem, milordzie, ale tylko na jeden dzień. Doktor Carter ma wolne. Cieszę się, że widzę pana w tak dobrej formie. — Kładzie dłoń na ramieniu Maxima i obaj wymieniają krótkie spojrzenia.

—Z wzajemnością, doktorze — odpowiada Maxim gardłowym głosem.

Alessia podejrzewa, że lekarz ma na myśli samopoczucie Maxima po śmierci brata.

— A jak się miewa pańska matka?

— Jak zwykle. — Kąciki ust Maxima na sekundę unoszą się w górę.

Doktor wybuchu niskim, chrypliwym śmiechem, po czym zwraca się do Alessii, która mocniej ścisną dłoń Maxima.

— Dzień dobry, moja droga. Ernest Conway, do usług. — Kłania się jej lekko.

— Doktorze Conway, to moja dziewczyna, Alessia Demachi. — Maxim patrzy na nią lśniącem, dumnym wzrokiem. Gdy zwraca się znów do

doktora, jego twarz tężeje. — Została napadnięta i kopnięta w bok przez człowieka, który przebywa już w policyjnym areszcie. Panna Campbell pomyślała, że będzie najlepiej, jeśli obejrzy ją lekarz.

Panna Campbell?

— Danny — odpowiada na niezadane pytanie i szybko ściskają za rękę. — Zostawię was samych — dodaje.

— Nie. Proszę, nie wychodź — wybucha Alessia. Nie chce być sama z obcym mężczyzną.

Maxim ze zrozumieniem kiwa głową.

— Oczywiście, skoro chcesz, żebym został.

Siada w małym niebieskim fotelu i wyciąga długie nogi. Uspokojona Alessia skupia uwagę na lekarzu, który patrzy na nią poważnie.

— Napadnięta?

Alessia kiwa głową i czuje, jak twarz oblewa się jej rumieńcem wstydu.

— Pozwolisz, że to obejrzę? — pyta doktor Conway.

— Dobrze.

— Usiądź, proszę.

Doktor jest miły i cierpliwy. Najpierw zadaje kilka pytań, a dopiero potem prosi, żeby podniosła koszulkę. Kiedy ją bada, przez cały czas przyjemnie z nią gawędzi. Jego miły sposób bycia pomaga Alessii się odprężyć, a przy okazji dowiedzieć się, że to właśnie on pomógł przyjść na świat całej trójce młodych Trevelyanów. Zerka na Maxima, a on uśmiecha się, dodając jej otuchy.

Serce jej rośnie.

Mister Maxim ją kocha.

Odpowiada mu uśmiechem, a na jego twarzy maluje się radość.

Doktor zaczyna badać jej brzuch i żebra, a czar łączący ją z Maximem pryska. Alessia krzywi się pod dotykiem lekarza.

— Nie widzę żadnych trwałych obrażeń. Na szczęście nie masz połamanych żeber. Po prostu się oszczędzaj, a gdyby bolało, weź ibuprofen. Panna Campbell na pewno będzie go miała. — Doktor Conway delikatnie poklepuje ją po ramieniu. — Będziesz żyła — oznajmia.

— Dziękuję — mówi Alessia.

— Powinienem tylko zrobić zdjęcie tego stłuczenia. Policja może go potrzebować do akt.

— Co takiego? — Alessia robi wielkie oczy.

— Dobry pomysł — stwierdza Maxim.

— Lordzie Trevethick, zechce pan? — podaje Maximowi swój telefon.
— Wystarczy sam siniak.

— Kochanie, sfotografuję tylko ten ślad. Nic więcej.

Alessia kiwa głową i raz jeszcze podciąga koszulkę, a Maxim szybko pstryka kilka zdjęć.

— Gotowe. — Oddaje telefon starszemu panu.

— Dziękuję — odpowiada doktor Conway. Z wyrazem ulgi na twarzy Maxim mówi:

— Odprowadzę pana, doktorze.

Alessia szybko wstaje i bierze lorda za rękę. On uśmiecha się do niej i splata jej palce ze swoimi.

— Oboje pana odprowadzimy.

Maxim wskazuje drzwi i wychodzą za doktorem Conwayem na korytarz.

PATRZA, JAK LEKARZ ODJEŹDŹA SWOIM STARYM AUTEM. MAXIM OBEJMUJE RAMIONA ALESSII, A ONA TULI SIĘ DO JEGO BOKU. Czuje się tak... naturalnie. Stoją w szerokim holu we frontowej części domu.

— Wiesz, ty też mogłabyś mnie objąć — mówi Maxim ciepłym, pełnym zachęty głosem.

Alessia nieśmiało otacza go ramieniem w pasie, a on promienieje.

— Widzisz, jak do siebie pasujemy? — Całuje ją w czubek głowy. — Później oprowadzę cię po domu. Teraz chcę ci coś pokazać.

Odwracają się, lecz Alessia zaraz przystaje, widząc wielką rzeźbę nad dominującym w holu kamiennym kominkiem. To ta sama tarcza, którą Maxim ma wytatuowaną na bicepsie, ale bardziej ozdobna. Po obu stronach pilnują jej jelenie, u góry znajduje się rycerski hełm, a nad nim upleciona z czerni i żółci korona z lwem. Pod tarczą można odczytać widniejący na zwoju napis *fides vigilantia*.

— To nasz rodowy herb — wyjaśnia Maxim.

— To samo masz na ręce. A co znaczą te słowa? — pyta Alessia.

— To po łacinie. „W czujności wierność”.

Alessia wygląda na skonsternowaną, a Maxim wzrusza ramionami.

— To miało coś wspólnego z pierwszym hrabią i królem Karolem II. Chodź.

Wydaje się, że nie ma ochoty dłużej o tym mówić. Rozpiera go energia, pragnie jej coś pokazać i ta ekscytacja udziela się Alessii. Gdzieś w głębi

domu zegar, który już wcześniej słyszała, obwieszcza kolejną godzinę, jego bicie niesie się po całym budynku. Maxim uśmiecha się wesoło. Jest taki chłopięcy i uroczy. Naprawdę trudno jej uwierzyć, że się w niej zakochał; jest utalentowany, przystojny, miły, bogaty i już drugi raz uratował ją przed Dantem i Yllim.

Trzymając się za ręce, idą długim korytarzem, w którym na ścianach wiszą obrazy, a na stojących tu i ówdzie konsolkach prezentują się statuetki, popiersia i przedmioty z ceramiki. Wchodzą po szerokich schodach, przy których wcześniej rozmawiali, a u ich szczytu skręcają w stronę przeciwną niż ta, po której znajdują się podwójne drzwi.

— Myślę, że ci się to spodoba — mówi Maxim i z rozmachem otwiera przed nią jeden z pokoi.

Alessia wchodzi do dużego pomieszczenia o wyłożonych boazerią ścianach i bogato zdobionym sztukaterią suficie. Po jednej stronie ciągną się regały z książkami, a po drugiej, skąpany w świetle wpadającym przez ogromne okno, stoi fortepian koncertowy, najpiękniej zdobiony instrument, jaki Alessia kiedykolwiek widziała.

Łapie głośno powietrze i szybko odwraca głowę do Maxima.

— Zagraj, proszę — mówi do niej.

Alessia klaszcze w dłonie i pędzi po drewnianej podłodze, a odgłos jej kroków odbija się echem od ścian.

Przystaje o krok od instrumentu i napawa się jego majestatem. Jest zrobiony z bogato usłojonego drewna lakierowanego na wysoki połysk, które lśni w padającym świetle. Ma mocne nogi pokryte misternie rzeźbionymi liśćmi i winogronami, a na bokach pyszni się kunsztowna intarsja ze złotych liści bluszczu. Alessia przesuwa po nich palcami. Coś wspaniałego.

— Jest stary — odzywa się Maxim nad jej ramieniem.

Była tak zapatrzona w fortepian, że nie usłyszała, jak mężczyzna

podszedł. Nie rozumie, dlaczego powiedział to przepraszającym tonem.

— Jest przewspaniały. Nigdy takiego nie widziałam —szepcze w zachwycie.

— Pochodzi z Ameryki. Z lat siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku. Mój prapradziadek ożenił się z nowojorską dziedziczką fortuny kolejowej. Fortepian przyjechał tu razem z nią.

— Jest piękny. A jak brzmi?

— Przekonajmy się. Proszę bardzo. — Szybko podnosi klawiaturę fortepianu i ustawia podpórkę. Podnosi pulpit na nuty, ustawia go w należytej pozycji i mówi: — Raczej ci się to nie przyda, ale pomyślałem, że może zechcesz zobaczyć. — Pulpit ma krawędzie ozdobione delikatnym filigranem. — Fajny, co?

Alessia z podziwem kiwa głową.

— Usiądź. I zagraj.

Alessia posyła mu pełen zachwytu uśmiech i przysuwa sobie rzeźbiony taboret. Maxim się cofa, a ona zamyka oczy, żeby się skupić. Kładzie dłonie na klawiszach i rozkoszuje się chłodnym dotykiem kości słoniowej. Naciska, a dźwięki akordu Des—dur wypełniają pokój i odbijają się od ścian. Brzmienie jest tak bogate jak ciemna zieleń jodłowego lasu, a żeby je wydobyć, wysiłku trzeba niewiele — zaskakująco niewiele jak na tak stary fortepian. Otwierając oczy, Alessia patrzy na klawisze i zastanawia się, jak to możliwe, że instrument przetrwał tyle czasu, w dodatku mając za sobą tak długą podróż z Ameryki.

Maxim i jego rodzina muszą dbać o to, co posiadają. Z niedowierzaniem kręci głową, po czym znowu kładzie dłonie na klawiaturze i nie przejmując się rozgrzewką, zaczyna grać swoje ulubione preludium Chopina. Nuty pierwszych czterech taktów tańczą po pokoju, przybierając barwę soczystej wiosennej zieleni — takiej jak oczy Maxima — ale z czasem kolory stają się mroczniejsze, bardziej

złowieszcze, wypełniają przestrzeń zapowiedzią tajemniczych wydarzeń. Pochłonięta muzyką Alessia poddaje się każdej bezcennej nucie. Odpędza dzięki nim niepokój i strach. Przerazenie minionego poranka blaknie i ginie w ciemnej szmaragdowej zieleni niezwykłego, poruszającego arcydzieła Chopina.

URZECZONY PATRZĘ, JAK ALESSIA GRA *Preludium deszczowe*. Z zamkniętymi oczami zatracą się w muzyce, a jej twarz wyraża każdą myśl i każde uczucie, jakie swoją muzyką chciał przywołać kompozytor. Włosy spływają jej po plecach, lśniąc jak skrzydło kruk w sączącym się przez okno świetle zimowego słońca. Jest niesamowita. Nawet w tej futbolowej koszulce.

Nuty nabierają mocy, wypełniają pokój... i moje serce. Kocha mnie.

Tak powiedziała.

Będę musiał się dowiedzieć, dlaczego pomyślała, że lepiej będzie odejść, ale póki co słucham i przyglądam się, jak gra. Nagle gdzieś w pobliżu słyszę tłumiony kaszel i podnoszę wzrok. Na progu stoją i słuchają Danny i Jessie. Macham do nich, żeby weszły...

Chcę się pochwalić Alessią.

Zobaczcie, co potrafi moja dziewczyna.

Na palcach wchodzi do środka, stają i wpatrują się w Alessię w takim samym zdumieniu, jakie zapewne malowało się na mojej twarzy, gdy pierwszy raz usłyszałem jej grę. Widzą też, że nie ma przed sobą nut — wykonuje utwór z pamięci.

Tak. To potrafi najlepiej.

Alessia gra dwa ostatnie takty, nuty wybrzmiewają w powietrzu... a my nadal trwamy w oczarowaniu. Gdy otwiera oczy, Danny i Jessie zaczynają klaskać; dołączam do braw. Alessia uśmiecha się do nas

nieśmiało.

— Brawo, panno Demachi! To było niezwykle — wołam, podchodząc do niej.

Nachylam się, żeby delikatnie musnąć wargami jej usta. Gdy się prostuję, widzę, że Danny i Jessie już poszły. Ulotniły się tak dyskretnie, jak pojawiły.

— Dziękuję — szepcze Alessia.

— Za co?

— Za to, że mnie ocaliłeś. Kolejny raz.

— To ty mnie ocaliłaś.

Marszczy brwi, jakby mi nie wierzyła, a ja siadam na taborecie obok niej.

—Uwierz mi, Alessio, ocaliłaś mi życie w sposób, którego sam nie jestem w stanie pojąć, i nie wiem, co bym zrobił, gdyby mi cię zabrali. — Całuję ją znowu.

— Ale sprawiłam ci tyle kłopotów.

— Nic podobnego. To nie twoja wina. Na litość boską, nawet tak nie myśl.

Jej usta zamieniają się na chwilę w cienką kreskę. Wiem, że nie podziela mojego punktu widzenia, ale wyciąga rękę i gładzi mnie po brodzie.

— I jeszcze za to — szepcze i zerka na instrument. — Za to też dziękuję. — Wyciąga szyję, żeby mnie pocałować. — Mogę jeszcze pograć?

— Ile tylko zechcesz. Zawsze. Muszę pójść zadzwonić w kilka miejsc. W weekend włamano się do mojego mieszkania.

— O nie!

— Podejrzewam, że to te same kanalie, które siedzą teraz w areszcie kornwalijskiej policji. Myślę, że w ten sposób nas znaleźli. Muszę pomówić z Oliverem.

— To człowiek, z którym rozmawiałam przez telefon?

— Tak. Pracuje dla mnie.

— Mam nadzieję, że nie zabrali zbyt wiele.

Jedną dłonią pieszczę jej twarz.

— Nie zginęło nic, czego by się nie dało zastąpić — w przeciwieństwie do ciebie.

Jej ciemne oczy lśnią, gdy patrzy na mnie, by za chwilę skłonić głowę i przytulić twarz do mojej ręki. Kciukiem głaszczę jej dolną wargę i nie zwracam uwagi na gorąco, które rozlewa się w dole mego brzucha.

Będzie na to czas później.

— Zaraz wracam.

Daję jej szybkiego buziaka i kieruję się do drzwi. Alessia zaczyna grać *Kukułkę* Louis—Claude’a Daqui—na, której uczyłem się w szóstej klasie, a radosne, lekkie dźwięki podążają za mną jeszcze po opuszczeniu pokoju.

Ze s w o j e g o gabinetu — nie z gabinetu Kita — dzwonię do Olivera. Nasza rozmowa dotyczy samych konkretów. Mówi mi, jak wygląda sytuacja po włamaniu. Pani Blake wzięła jedną ze swoich pomocnic i sprzątają teraz mieszkanie, z budowy w Mayfair oddelegowano dwóch robotników do naprawy drzwi, a ślusarz ma zmienić zamek przy wejściu do budynku. Alarm jest nienaruszony i działa, ale na wszelki wypadek postanawiamy zmienić kod. Wybieram rok urodzenia Kita. Oliver bardzo chce, żebym wrócił do Londynu; czeka na mnie z dokumentami dla sądu królewskiego, które muszę podpisać,

żeby oficjalnie zgłosić odziedziczenie przeze mnie tytułu hrabiego i poprosić o wpisanie na Listę Parów. Skoro prześladowcy Alessii zostali zatrzymani i siedzą w areszcie, nie ma powodu, żebyśmy zostawali w Kornwalii. Kończę rozmowę z Oliverem i dzwonię do Toma, żeby się dowiedzieć, co słychać u Magdy i jej syna. Mówię mu o usiłowaniu porwania.

— No to już, kurwa, bezczelność — wyrzuca z siebie Tom. — A jak tam twoja panna? Nic jej się nie stało?

— Jest twardsza niż my wszyscy razem wzięci.

— To dobrze. Myślę, że powinienem popilnować pani Janeczek i jej syna jeszcze przez kilka dni, dopóki się nie dowiemy, co policja zamierza zrobić z tamtymi zbirami.

— Racja.

— Zawiadomię cię, gdyby działo się coś podejrzanego.

— Dzięki.

— A u ciebie wszystko okej?

— Wręcz bosko.

Tom się śmieje.

— Miło mi to słyszeć. Bez odbioru.

Rozłączam się i upływa zaledwie chwila, a telefon znów brzęczy. Dzwoni Caroline.

Niech to. Mówiłem, że zadzwonię do niej w przyszłym tygodniu.

Cholera —już jest przyszły tydzień.

Straciłem poczucie czasu.

Wzdycham i odbieram, rzucając krótkie:

—Hej.

— No jesteś — warczy. — W co ty, do cholery, pogrywasz?

— Dzień dobry, Caroline, mnie również miło cię słyszeć. Tak, dziękuję, to był cudowny weekend.

— Przestań pieprzyć, Maxim. Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś? — Głos jej się łamie i wiem, że czuje się zraniona.

— Przepraszam. Sytuacja nieco wymknęła mi się spod kontroli. Pozwól, proszę, że wszystko ci wyjaśnię, kiedy się spotkamy. Jutro albo pojutrze będę z powrotem w Londynie.

— Co za sytuacja? Chodzi ci o włamanie?

— I tak, i nie.

— Po co ta zagadkowość, Maximie? — szepcze. — Co się dzieje? — Mówi coraz ciszej. — Tęsknię za tobą.

Z każdej wypowiedzianej przez nią sylaby przebija żal. A ja czuję się jak kawał gnoja.

— Powiem ci, kiedy się spotkamy. Proszę.

Pociąga nosem i już wiem, że płacze.

W mordę.

— Caro. Proszę.

— Obiecujesz?

— Obiecuję. Spotkam się z tobą, jak tylko wrócę.

— Dobrze.

— Na razie. — Rozłączam się i staram się nie zwracać uwagi na ucisk w żołądku. Nie wiem, jak zareaguje na to, co się tutaj dzieje.

Właśnie że wiem. Będzie paskudnie.

Wzdycham raz jeszcze. Alessia Demachi skomplikowała mi życie ponad wszelką miarę, ale gdy tylko myśl o tej dziewczynie wpada mi do głowy, na mojej twarzy pojawia się uśmiech.

Moja ukochana.

Moglibyśmy już jutro pojechać do Londynu. Na własne oczy zobaczyłbym, jak wygląda mieszkanie po włamaniu.

Słyszę stukanie do drzwi.

— Proszę.

Wchodzi Danny.

— Sir, Jessie przygotowała lunch dla pana i Alessii. Gdzie podać?

— W bibliotece. Dziękuję, Danny.

Myślę, że oficjalna jadalnia będzie zbyt przytłaczająca dla nas dwojga, a pokój śniadaniowy jest dosyć nijaki. Alessia lubi książki, więc...

—Jeśli wasza lordowska mość nie ma nic przeciwko, wszystko będzie gotowe za pięć minut.

— Świetnie.

Dociera do mnie, jaki jestem głodny. Szybkie spojrzenie na georgiański ścienny zegar nad drzwiami mówi mi, że jest już piętnaście po drugiej. Jego miarowe tykanie przypomina mi chwilę, kiedy czekałem w tym gabinecie na opieprz, który ojciec fundował mi za każdym razem, gdy coś przeskrobałem — czyli często. Teraz zegar mówi, że dawno minęła pora lunchu.

— Aha, Danny! — wołam ją z powrotem.

— Tak, milordzie?

— Czy mogłabyś po lunchu pojechać do Kryjówki, zabrać nasze rzeczy i przywieźć je tutaj? Zanieś wszystko do mojego pokoju, łącznie z nocną lampką w kształcie smoka, która stoi przy łóżku.

— Tak, sir. — Jedno skinienie głowy i już jej nie ma.

Gdy zbliżam się do podnóża schodów, słyszę muzykę. Alessia gra kolejne skomplikowane dzieło — tym razem nie rozpoznaję utworu, ale nawet tu, na dole, brzmi niesamowicie. Szybko wbiegam na górę, stoję w drzwiach pokoju i obserwuję ją z daleka. Wydaje mi się, że to utwór Beethovena. Nie słyszałem jeszcze, żeby go grała. Może to jakaś sonata? Muzyka w jednej chwili jest wzniosła i pełna pasji, a w następnej cichsza i spokojniejsza. To bardzo liryczny utwór, a ona odtwarza go przepięknie. Na swoje koncerty przyciągałaby tłumy.

— Kolejne wspaniałe wykonanie. Co to było? — pytam, idąc do niej niespiesznym krokiem.

— To Beethoven. *Burza*.

— Mógłbym patrzeć na ciebie i słuchać cię całymi dniami, ale właśnie podano lunch. Dość późny. Na pewno jesteś głodna.

— O tak. Jestem. — Podrywa się z taboretu i chwyta mnie za wyciągniętą rękę. — Uwielbiam ten fortepian. Ma takie bogate... hm... brzmienie.

— Tak, brzmi wspaniale.

— Macie tu tyle instrumentów. Początkowo miałam klepki na oczach i widziałam tylko ten fortepian.

Szczerzę zęby.

— Klapki. Nie klepki. Naprawdę nie przeszkadza ci, że cię poprawiam?

— Nie. Lubię się uczyć.

— Wiolonczela należy do mojej siostry, Maryanne. Ojciec grał na kontrabasie. Gitary są moje, a tamta perkusja była własnością Kita.

— Twojego brata? — pyta.

— Tak.

— Dziwne imię.

— Kit to skrót od Christopher. — Zatrzymuję się przy talerzu i przesuвам palcami po polerowanym brązie. — Grał na tych bębnach jak szatan, bez kitu. — Uśmiecham się, słysząc swój słowny żart, a Alessia patrzy zaintrygowana. — Czasem sobie z tego jego bębnienia żartowaliśmy. — Kręcę głową, wspominając wygłupy Kita przy perkusji. — Chodźmy. Jestem głodny.

OCZY MAXIMA LŚNIĄ JASKRAWĄ ZIELENIĄ, GDY NA NIĄ PATRZY, ale po napiętym czole widać, że jego żal wciąż jest świeży i że tęskni za bratem.

— A więc to był pokój muzyczny — mówi Maxim, gdy schodzą znowu po wspaniałych schodach i zatrzymują się u ich podnóża. — Główny salon jest za tymi podwójnymi drzwiami, ale dziś zjemy lunch w bibliotece.

— Macie bibliotekę? — pyta podekscytowana Alessia. Uśmiecha się.

— Tak, mamy trochę książek. Niektóre są dosyć stare. — Ruszają w stronę kuchni, ale zanim do niej dotrą, Maxim zatrzymuje się przed jednymi z drzwi w korytarzu. — Powinienem cię ostrzec, że mój dziadek bardzo lubił wszystko, co związane z Egiptem.

Otwiera drzwi i przepuszcza Alessię. Dziewczyna robi kilka kroków i staje. Czuje się, jakby weszła do innego świata — skarbnicy literatury i antyków. Wzdłuż wszystkich ścian od podłogi do sufitu ciągną się regały pełne książek. W każdym rogu stoi postument albo gabłota

eksponujące egipskie skarby: kanopy, posągi faraonów i sfinksów. Jest nawet naturalnej wielkości sarkofag!

Ogień buzuje w palenisku ozdobnego marmurowego kominka pomiędzy dwoma wysokimi, lecz wąskimi oknami wychodzącymi na dziedziniec. Nad gzymsem wisi stary obraz przedstawiający piramidy.

— O rany. Personel się postarał — mówi Maxim trochę jakby do siebie.

Alessia podąża za jego spojrzeniem. Przed kominkiem stoi niewielki stół elegancko nakryty dla dwojga: srebrne sztucce, kryształowe kieliszki i talerze z delikatnej porcelany ozdobione motywem drobnych ostów. Maxim odsuwa dla niej krzesło.

— Usiądź — mówi ze skinieniem głowy.

Alessia czuje się jak szlachcianka Donika Kastrioti, żona Skanderbega, piętnastowiecznego albańskiego bohatera. Uśmiecha się wdzięcznie i siada przy stole przodem do ognia. Maxim zajmuje miejsce u szczytu.

— Jako młody człowiek na początku lat dwudziestych mój dziadek pracował z lordem Carnarvonem i Howardem Carterem, prowadząc wykopaliska w różnych częściach Egiptu i kradnąc wszystkie te zabytki. Może powinienem je odesłać. — Milknie na chwilę. — Jeszcze do niedawna to był problem Kita.

— Macie tu tyle historii.

— Owszem. Może nawet jest jej za dużo. To spuścizna mojej rodziny.

Alessia nie potrafi sobie wyobrazić ciężaru odpowiedzialności za takie dziedzictwo.

Słysząc stukanie do drzwi, po którym, nie czekając na odpowiedź, wchodzi Danny, a za nią młoda kobieta z tacą.

Maxim sięga po lnianą serwetkę i kładzie ją sobie na kolanach. Alessia, obserwując go, robi to samo. Danny zdejmuje z tacy dwa talerze i podaje

im obojgu coś, co wygląda na sałatkę z mięsem, awokado i ziarnami granatu.

— Rwana wieprzowina z jednej z lokalnych farm, a do tego zielona sałata z sosem z granatu — informuje Danny.

— Dziękuję — odpowiada Maxim i posyła jej lekko zdziwione spojrzenie.

— Czy mam otworzyć wino, milordzie?

— Sam się tym zajmę. Dziękuję, Danny.

Danny skłania lekko głowę i dyskretnie wyprowadza za drzwi swoją pomoc.

— Kieliszek wina? — Maxim podnosi butelkę i przygląda się etykietce.
— Mamy porządne chablis.

— Tak, poproszę. — Alessia przygląda mu się, jak napełnia do połowy jej kieliszek. — Nigdy nie byłam... kelnerowana, nie licząc tych razów, kiedy byłam z tobą.

— Obsługiwana — poprawiają Maxim. — Kiedy tu jesteśmy, lepiej, żebyś się do tego przyzwyczaiła. — Puszczą do niej oko.

— W Londynie nie masz personelu.

— Nie. Choć może trzeba to będzie zmienić. — Marszczy przez chwilę brwi, po czym wznosi toast. — Za ratunek w ostatniej chwili.

Alessia też podnosi kieliszek.

— *Gëzuar*, Maximie. Milordzie.

Maxim wybuchą śmiechem.

—Jeszcze się nie przyzwyczaiłem do tego tytułu. Jedz. Masz za sobą okropny poranek.

— Myślę, że popołudnie będzie znacznie lepsze.

Maxim posyła jej rozpalone spojrzenie, a Alessia uśmiecha się i bierze ostrożny łyk wina.

— Mmm... — Jest o wiele lepsze od tego, którego próbowała z babcią.

— Smakuje?

Kiwa głową i przygląda się sztuccom. Ma całą kolekcję noży i widelców do wyboru. Zerka na Maxima i widzi, jak się do niej uśmiecha, po czym podnosi te leżące najdalej od talerza.

— Zawsze zaczynaj od zewnątrz i z każdym daniem przesuwaj się do środka.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

PO LUNCHU IDZIEMY SIĘ PRZEJŚĆ. TRZYMAM ALESSIĘ ZA RĘKĘ I CZUJĘ JEJ CIEPŁO. Dzień jest rzeński, wręcz zimny, a słońce wisi nisko na niebie, gdy idziemy bukową aleją prowadzącą do frontowej bramy. Jensen i Healey truchtają to za nami, to obok nas, to znowu z przodu, szczęśliwe, że są na powietrzu. Po traumatycznych przeżyciach poranka ten cichy i spokojny spacer w późnopołudniowym słońcu sprawia przyjemność chyba nam obojgu.

— Spójrz! — woła Alessia i pokazuje stadko danieli pasących się na horyzoncie północnego pastwiska.

— Trzymamy tu zwierzynę od wieków.

— A ten jeleń, którego wczoraj widzieliśmy, też był stąd?

— Nie. Tamten chyba był dziki.

— Psy nie dokuczają zwierzętom?

— Nie, ale nie wpuszczamy ich na południowe pastwisko, gdy przychodzi pora wykotu. Nie chcemy, żeby niepokoiły owce.

— Nie macie tu kóz?

— Nie. Jesteśmy raczej hodowcami owiec i bydła.

— A my jesteśmy hodowcami kóz. — Uśmiecha się radośnie.

Nos ma zaróżowiony od zimna, ale jest opatulona w kurtkę, czapkę i szal. Wygląda cudownie. Aż trudno mi uwierzyć, że rano omal nie padła ofiarą porwania.

Moją dziewczynę cechuje stoicki spokój.

Ale ciągle mnie dręczy jedna rzecz. Muszę to wiedzieć.

—Dlaczego chciałaś odejść? Dlaczego nie chciałaś zostać i się ze mną rozprawić?

Mam nadzieję, że nie wyczuwa lęku w moim głosie.

— Rozprawić?

— Porozmawiać ze mną. Pokłócić się — wyjaśniam.

Przystaje pod jednym z buków i patrzy na swoje buty, a ja nie wiem, czy w ogóle zamierza mi odpowiedzieć.

— Czułam się zraniona — mówi po dłuższej chwili.

— Wiem. Przepraszam. Nie taki był mój zamiar. Nie chcę, byś kiedykolwiek tak się czuła. Ale dokąd byś poszła?

— Nie wiem. — Staje do mnie twarzą. — To był chyba... jak to się mówi? Odruch. Wiesz, Ylli i Dante... Tak długo uciekałam. Trochę oszalałam.

— Nie potrafię sobie wyobrazić, jakie to musiało być dla ciebie straszne. — Zaciskam powieki, dziękując niebiosom, że w porę do niej wróciłem. — Ale nie możesz uciekać za każdym razem, gdy będziemy mieli jakiś problem. Rozmawiaj ze mną. Pytaj mnie. O wszystko. Jestem przy tobie. Będę słuchał. Pokłóć się ze mną. Nakrzycz na mnie. Ja też się z tobą pokłóczę. I też na ciebie nakrzyczę. Źle cię zrozumiem. Ty mnie źle zrozumiesz. To normalne. Ale żeby rozwiązać nasze problemy, musimy się komunikować.

Po jej twarzy przemyka cień niepokoju.

— Hej. — Podnoszę jej brodę i przysuwam się bliżej. — Nie przejmuj się. Jeśli... jeśli masz ze mną zamieszkać... no wiesz. Musisz mi mówić, co czujesz.

— Zamieszkać? — szepcze.

— No.

— Tutaj?

— Tutaj. I w Londynie. Tak. Chcę, żebyś ze mną mieszkała.

— Jako twoja sprzątaczką?

Śmieję się i kręcę głową.

— Nie. Jako moja dziewczyna. Wtedy przy schodach mówiłem poważnie. Zgódź się. — Wstrzymuję oddech. Serce mi wali i nie mam pojęcia, co odpowie. Ale kocham ją. Chcę, żeby przy mnie była. Małżeństwo, póki co, wydaje się krokiem zbyt śmiałym. Lepiej z tym na razie nie wyskakiwać. Nie chcę, żeby znowu uciekła.

Stary, to zbyt śmiały krok także dla ciebie!

— Tak — szepcze.

— Tak?

— Tak!

Z okrzykiem radości biorę ją na ręce i kręcę się w kółko. Psy zaczynają szczekać i skakać na nas, merdając ogonami; pragną przyłączyć się do zabawy. Alessia chichocze, ale nagle się krzywi.

Cholera.

Natychmiast ją stawiam.

— Zabolało cię?

— Nie — odpowiada, a ja ujmuję jej twarz w obie dłonie i czekam, aż dojdzie do siebie. Jej oczy lśnią miłością i chyba pożądaniem.

Alessia.

Pochyliam się i ją całuję, ale to, co miało być delikatnym, czułym całusem, staje się czymś... zupełnie innym. Alessia otwiera się jak egzotyczny kwiat, odwzajemnia pocałunek z namiętnością, która prawie zwala mnie z nóg, a ja rozkoszuję się nią bez reszty.

Jej językiem w moich ustach.

Jej dłońmi, które przesuwiają się po moich plecach i ściskają tkaninę płaszcza.

Cały stres poranka — widok Alessii z tymi bandytami, to, że mogłem jej już nigdy nie zobaczyć — wszystko to znika, a ja wlewam swoje obawy i wdzięczność za to, że wciąż ze mną jest, w ten pocałunek. Kiedy musimy zaczerpnąć tchu, mgliste opary naszych oddechów mieszają się w zimnym powietrzu dokoła, a jej palce obłapiają klapy mojego płaszcza.

Jensen trąca mnie nosem w udo. Ignorując go, odchylam się, by spojrzeć Alessii w twarz, na której maluje się oszołomienie.

— Jensen chyba chce się do nas przyłączyć.

Jej chichot brzmi nieco chropawo. Czuję, jak pobudza moje krocze.

— Wydaje mi się, że mamy na sobie za dużo ubrań. — Przytykam czoło do jej czoła.

— Chcesz je zdjąć? — Gryzie wargę.

— Chętnie.

— Ciepło mi jest. Za ciepło — szepcze.

Co?

Raz jeszcze spoglądam na nią z góry. To była niewiele znacząca uwaga, która miała wywołać jej rozbawienie — nie podniecenie.

Co ona mówi?

— Och, kotku, dopiero co przeszłaś gehennę.

Unosi jedno ramię, jakby mówiła „no to co?”, i odwraca wzrok

— Co próbujesz mi powiedzieć? — pytam.

— Myślę, że wiesz.

— Chcesz iść do łóżka?

Jej szeroki uśmiech jest dla mnie najlepszą zachętą i choć wiem, że nie powinienem, łapię ją za rękę. Rozpromienieni i nieprzytomnie szczęśliwi biegniemy do domu, ścigani przez rozgorączkowane psy.

— To MÓJ POKÓJ.

Maxim staje z boku i przepuszcza Alessię. Stoją kilkoro drzwi od błękitnej sypialni, do której wcześniej zaprowadziła ją Danny.

W ciemnozielonym pokoju króluje wspaniałe łoże z baldachimem. Wykonane z tego samego lakierowanego drewna co fortepian, jest też tak samo jak on kunsztownie zdobione. Płonący w kominku ogień rzuca na rzeźbienia migotliwe cienie. Nad gzymsem wisi obraz przedstawiający dom i otaczające go pola, a po drugiej stronie pokoju stoi ogromna szafa z tego samego drewna. Na każdej ze ścian wiszą półki wypełnione książkami i bibelotami, ale wzrok Alessii przyciąga nocna szafka, na której stoi lampka w kształcie smoka.

Maxim dorzuca kilka polan do ognia; płomienie strzelają w górę.

— Świetnie. Cieszę się, że ktoś pomyślał, by napalić w kominku. — Wraca i staje przed nią, wskazując na wiklinowy kosz na otomance w nogach łóżka. — Kazałem przywieźć twoje rzeczy z Kryjówki. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłem. — Jego głos brzmi nisko i miękko, a poważne oczy aż mu płoną. Stają się coraz większe i ciemniejsze... pełne pożądania.

Alessia czuje mrowienie na plecach.

— Dobrze — mówi półgłosem.

— Masz za sobą ciężki dzień.

— Chcę iść do łóżka. — Przypomina sobie ich pocałunek na schodach. Chętnie zdarłaby wtedy z niego ubranie, gdyby miała odwagę.

Gładzi ją po twarzy.

— Może wciąż jesteś w szoku.

— Tak— szepcze. — Jestem w szoku, że mnie kochasz.

— Całym sercem — mówi Maxim, po czym uśmiecha się i obejmuje ją ramieniem. — I jeszcze tym. — Wypycha do przodu miednicę, żeby poczuła na biodrze jego wzwód. Oczy ożywają mu zmysłową wesołością.

Pragnie go dotknąć; przecież on dotykał jej wszędzie —dłońmi... wargami... językiem, dokładnie tak, jak mówił.

Jej wzrok wędruje do jego ust, jego wprawnych i zmysłowych ust, a płomień w jej brzuchu sięgają coraz wyżej.

— Czego pragniesz, piękna? — Wierzchem palców głaszcze ją po twarzy, a jego oczy parzą jej duszę. Pożądanie rozpala ją od chwili, gdy powiedział, że ją kocha.

— Ciebie — odpowiada ledwo słyszalnym głosem.

Maxim jęczy.

— Nie przestajesz mnie zaskakiwać.

— Lubisz być zaskakiwany?

— Przez ciebie — bardzo.

Alessia ciągnie za jego białą koszulę, dopóki ta nie wyjdzie z dzinsów.

— Zamierzasz mnie rozebrać? — Maxim mówi ze ściśniętym gardłem, jakby nie mógł oddychać.

Alessia spogląda na niego spod opuszczonych rzęs. — Tak.

Da radę. Odważnie, choć drżą jej palce, rozpina najniższy guzik koszuli. Podnosi wzrok.

— Nie przerywaj — zachęca ją delikatnym i uwodzicielskim tonem.

Alessia słyszy w jego głosie narastające podniecenie, które podsyca jeszcze jej żądzę. Rozpina następny guzik, odsłaniając zapięcie dżinsów i wyłaniające się spod nich włoski, które prowadzą wzrok wyżej, do brzucha. Następny guzik odsłania pępek i idealnie ukształtowane mięśnie. Oddech Maxima się zmienia. Staje się głośniejszy i szybszy. Ten dźwięk ją podnieca, a jej palce przemykają po koszuli, rozpinając ją do końca, aż zawiśnie luźno, odsłaniając lekko opalony tors. Pragnie pochylić się i złożyć na jego ciele usta.

— Co teraz, Alessio? — Maxim czeka. — Rób, co tylko zechcesz — mówi, podniecając ją coraz bardziej.

Nachyla się i przyciska wargi do jego ciepłej piersi, tam, gdzie pod skórą łomocze serce.



RĘCE SAME MI SIĘ RWA, ŻEBY JEJ DOTKNAĆ. ALE NIE MOGĘ. Jeszcze nigdy tak śmiało sobie ze mną nie poczynała. Ciało mi się napina. Jak to możliwe, że tak niewinny dotyk ma w sobie tyle erotyzmu? Doprowadza mnie do szaleństwa. Zdejmuje mi z ramion koszulę i ściąga, zatrzymując się na łokciach. Podnoszę lekko ręce.

—Jeszcze mankiety.

Błyska szerokim uśmiechem i rozpina je, najpierw jeden, potem drugi, po czym ściąga ze mnie ubranie i wieszka je na fotelu naprzeciw kominka.

— I co teraz zrobisz? — pyta.

Alessia cofa się o krok i w migotliwym świetle bijącym od ognia podziwia jego pięknie ukształtowane ciało. We włosach lśnią mu złote pasemka, a oczy błyszczą zielenią. Wpatrują się w nią wypełnione obietnicą.

Ośmielona jego spojrzeniem, opuszcza ręce i zdejmuje sweter oraz piłkarską koszulkę. Rozpuszcza włosy, ale w ostatniej chwili brajuje jej odwagi; waha się, przyciskając koszulkę do piersi. Maxim robi krok naprzód i delikatnie ją jej zabiera.

— Jesteś śliczna. Lubię na ciebie patrzeć. Nie będziesz jej potrzebowała.

Rzuca T—shirt na swoją koszulę, po czym bierze pasmo włosów Alessii i owija je wokół palca; podnosi do ust i całuje.

— I taka jesteś odważna. Pod wieloma względami. A ja się w tobie zakochałem. Dokładnie takiej, jaka jesteś. Kocham cię jak szalenię. Żarliwie.

Te słowa sprawiają, że w jej żyłach zaczyna płynąć gorętsza krew. Maxim ciągnie lekko za kosmyk loków i bierze ją w ramiona. Przechyla głowę i całuje ją tak, jakby od tego pocałunku zależało jego życie.

— Mogłem cię stracić — szepcze.

Jego skóra jest ciepła w dotyku, a Alessię coraz mocniej rozpala żądza. Pragnie go. Całego. Całuje go pożądliwie, splata ze sobą ich języki. Kładzie dłonie na jego potylicy i ciągnie go do siebie jeszcze bliżej. Jego wargi przenoszą się na jej policzek i niżej, na szyję, a jej dłonie wędrują w dół, do paska dżinsów.

Chce go dotykać. Chce czuć pod palcami każdy centymetr jego ciała.

Ale zamiera. Nie wie, co robić. Maxim delikatnie ujmuję palcami jej brodę.

— Alessio — mruczy jej do ucha. — Chcę, żebyś mnie dotykała.

Pragnienie w jego głosie jest podniecające.

— Ja też tego chcę.

Zębami drażni jej ucho.

— Ach — jęczy Alessia, czując napięcie w głębi brzucha.

— Rozepnij mi spodnie.

Wargami muska jej szyję, schodząc coraz niżej. Jej palce spieszą do paska dżinsów, ocierając się o nabrzmiątego penisa. Nieruchomieje, zafascynowana jego ciałem, i naprawdę śmiałym gestem kładzie dłoń na jego wzwodzie.

— O Boże — szepcze Maxim.

Jej palce nieśmiało przebiegają po jego męskości. Maxim głośno wciąga powietrze, a ona zamiera.

— Zadałam ci ból?

— Nie. Nie. Nie. Jest dobrze. O, tak... — dyszy. — Naprawdę dobrze. Nie przerywaj.

Alessia uśmiecha się szeroko, już bardziej pewna siebie. Zręcznie rozpina guzik spodni. Maxim stoi jak skamieniały, gdy jej dłoń wędruje do suwaka.

ROBIĘ GŁĘBOKI WDECH. ZARAZ MNIE ZUPEŁNIE ROZBROI. Jej rozkosz jest zaraźliwa i bardzo się cieszę, że w końcu zdobyła się na odwagę, by mnie rozebrać. W blasku ognia jej skóra lśni, a we włosach mienią się ciemna czerwień i

granat. Mam ochotę rzucić ją na łóżko i kochać się z nią czule i beztrosko, ale muszę zwolnić. Niech odkrywa wszystko w swoim własnym tempie. Rozpinając rozporek, nie wydaje się już taka onieśmielona. Zapomniała, że nie ma na sobie stanika. Ma takie piękne, pełne piersi. Mam ochotę adorować najpierw jedną, potem drugą, aż ich sutki staną się twarde jak kamień, a Alessia zacznie się wić pod moim dotykiem. Hamuję się jednak i tłumię jęk. Ściąga mi spodnie, a ja wychodzę z nich i staję przed nią w samej bieliźnie i skarpetkach.

— Teraz twoja kolej — szepczę i szybko rozprawiam się z jej dżinsami. Robi krok w bok, by się z nich uwolnić, a ja delikatnie ujmuję w dłonie jej twarz i całuję.

— Zimno tu. Chodźmy do łóżka.

— Dobrze.

Nie spuszczać ze mnie wzroku, wchodzi pod kołdrę.

— Oj! Łóżko też jest zimne! — piszczy.

— Zaraz je ogrzejemy.

WZROK ALESSII PRZEMYKA DO JEGO NAPIĘTYCH BOKSEREK. MAXIM UŚMIECHA SIĘ SZEROKO.

— Co jest? — pyta.

Dziewczyna się rumieni.

— No co? — nalega Maxim.

— Zdejmij je.

— Resztę ubrań? — Unosi kącik ust.

— Tak.

Z chytrą miną zdejmuje jedną skarpetkę, a potem drugą.

— Proszę!

— Nie o tym mówiłam. — Chichocze, nie mogąc się nadziwić, że wychodzi z niego czasem taki żartowniś.

Maxim śmieje się i jednym szybkim ruchem ściąga bokserki, uwalniając swój wzwód, po czym rzuca majtkami w Alessię.

— Hej! — krzyczy rozbawiona. Uchyła się przed trafieniem, a on wskakuje na łóżko i ląduje obok niej.

— Brrr... przesuń się. — Maxim układa się przy niej pod kołdrą, obejmuje Alessię i tuli do siebie. — Chcę cię przez chwilę potrzymać. To niewiarygodne, że mało brakowało, a już nigdy nie miałbym ku temu okazji.

Delikatnie całuje jej włosy i mocno ją do siebie przyciska. Alessia widzi, że zamknął oczy — jakby cierpiał.

— Ale masz. Jestem tu. Walczyłabym z nimi, żeby z tobą zostać — szepcze.

— Zrobiliby ci krzywdę.

Nagle siada i podnosi jej rękę, żeby obejrzeć stłuczenie na boku. Cały się spina.

— Popatrz, co ci zrobili. — Zatroskany waha się, co dalej robić.

— To nic takiego.

Musiła znosić gorsze rzeczy...

— Może się po prostu zdrzemniemy. — Maxim patrzy z powątpiewaniem.

— Słucham? Nie.

— Myślę, że...

— Maxim! Nie myśl.

— Alessio...

Podnosi rękę i kładzie palec na jego ustach.

— Proszę... — mówi.

— Och, skarbie. — Ujmując jej dłoń, całuje każdą kostkę. Po chwili nachyla się i czułymi pocałunkami otacza siniak na jej boku.

Palce Alessii odnajdują jego włosy i ciągną za nie mocno, tak że Maxim musi na nią spojrzeć.

— Czy to boli, kiedy cię całuję?

— Nie — zapewnia Alessia pospiesznie. — Chcę tego. Pragnę cię.

Maxim wzdycha, a jego usta wędrują do jednej z jej piersi. Zaczynają drażnić i ssać sutek, a Alessia jęczy i wije się u boku mężczyzny; zamyka oczy, poddając się przyjemności płynącej z dotyku jego warg. Jej palce wbijają mu się w plecy, gdy czuje na swoim biodrze nabrzmiały członek. Pragnie dokładnie poznać jego ciało. Całe, od stóp do głów.

Maxim podnosi wzrok.

— Co się stało?

— Ja... ja... — Rumieni się.

— Powiedz mi.

Śmieje się zawstydzona i zamyka oczy.

— No powiedz.

Otwiera jedno oko i zerka na niego z ukosa.

— Zaraz przez ciebie zwariuję. O co chodzi?

— Chcę cię dotykać — mówi i chowa twarz w dłoniach. Spoglądając przez palce, widzi, jak oczy Maxima łagodnieją — chyba jest rozbawiony. Kładzie się na plecach.

— Jestem cały twój — mówi.

Alessia opiera się na łokciu i oboje patrzą na siebie. — Jesteś taka śliczna — szepcze Maxim.

Dłonią głaszcząc go po policzku, czerpiąc przyjemność z szorstkości krótkiego zarostu.

— Pozwól, że ci pomogę... — Bierze ją za rękę, składa pocałunek po wewnętrznej stronie dłoni i kładzie ją na swojej piersi, a Alessia rozkłada palce na jego skórze. Maxim czuje jej ciepło. Rozchyła usta i robi gwałtowny wdech. — Lubię, jak mnie dotykasz.

Zachęcona Alessia przesuwa rękę w dół, jej palce muskają delikatne włoski rozsiane po jego torsie. Przesuwa dłonią po jednym z sutków, który pod jej dotykiem staje się twardy i sterczący.

— Och — wzdycha z rozkoszą.

— Och — odpowiada Maxim zdławionym głosem; mruży powieki, przysłaniając oczy koloru mchu. Przygląda się jej uważnie. Alessia przygryza górną wargę, a z jego gardła wydobywa się jęk. — Nie przerywaj — szepcze.

Czując się coraz śmielej, uradowana, że go tak podnieca, Alessia przesuwa dłonią po jego gładkiej skórze, po górkach i dolinkach mięśni brzucha. Maxim spina się pod jej dotykiem i coraz szybciej oddycha. Jej dłoń dociera do kępki włosów prowadzącej w dół, do jej ostatecznego celu, i tu odwaga ją opuszcza.

— Proszę — mówi Maxim i biorąc jej dłoń, zamyka ją na swoim penisie.

Alessia sapie, zszokowana, ale i podekscytowana tym, jaki jest wielki, twardy, a jednocześnie aksamitny w dotyku. Kciukiem pociera końcówkę, a Maxim zamyka oczy i gwałtownie wciąga powietrze. Jej palce chwytają mocniej; rozkoszuje się dotykiem jego członka, czując jednocześnie jego pulsowanie. Maxim zwraca ku niej płonące oczy.

— Rób tak — szepcze i prowadząc jej dłoń, powoli przesuwa ją nieco w dół, a potem znów w górę.

NIGDY NIE MUSIAŁEM POKAZYWAĆ KOBIECIE, CO MA ROBIĆ. To chyba najbardziej erotyczne doznanie, jakie kiedykolwiek było moim udziałem. Alessia w skupieniu marszczy brwi, ale jej oczy ożywają ciekawością i pragnieniem; usta ma lekko rozchylone i porusza ręką, łapiąc wreszcie rytm i doprowadzając mnie do obłędu. Gdy oblizuje wargi, mam wrażenie, że zaraz wytrysnę w jej dłoni.

— Alessio, wystarczy. Bo dojdę.

Natychmiast cofa rękę jak oparzona. Mam ochotę przewrócić ją na plecy i w nią wejść — ale przez to cholerne stłuczenie nie mogę. Nie chcę zadać jej bólu. Sama przejmuje inicjatywę i wchodzi na mnie, odnajduje moje usta i całuje mnie namiętnie, penetrując językiem. Delektuje się moim smakiem. Jej włosy osłaniają nas niczym wytworna kurtyna. Przez krótką chwilę patrzymy na siebie w blasku ognia. Jej ciemnobrązowe oczy wpatrują się w moje, zielone. Jest taka czarująca. I chętna. I zmysłowa. I jest tutaj ze mną.

Nachyla się i całuje mnie znowu, a ja sięgam do szafki nocnej po prezerwatywę.

— Proszę. — Podaję jej paczuszkę, przez moment myśląc, że ją ode mnie weźmie i założy mi gumkę; ona jednak tylko mruga niepewnie.

— Przesuń się w dół. Pokażę ci, jak to się robi. — Rozrywam opakowanie, wydaję kondom i ściskając końcówkę, szybko nakładam go na mój zniecierpliwiony członek. — Proszę bardzo. Gotowe. Musimy jeszcze tylko pozbyć się reszty twojej bielizny.

Alessia śmieje się, gdy kładę ją na materacu i wkładam kciuki w gumkę różowych majtek. Tych majtek Zsuwam je z jej długich nóg i rzucam na podłogę. Klękam pomiędzy jej udami, ale od razu przysiadam na piętach i sadzam ją sobie na kolanach, przytrzymując w pasie i uważając na stłuczenie.

— Tak może być?

Kładzie mi ręce na barki, a ja podnoszę ją i nakierowuję. Czekam na jej reakcję. Nachyla się i całuje mnie żarliwie, a ja biorę to za odpowiedź i powoli... cholera, tak powoli... ją na siebie opuszczam. Jej zęby zaciskają się lekko na mojej dolnej wardze i przez chwilę myślę, że mnie ugryzie.

Gdy już w niej jestem, wciąga głośno powietrze i rozluźnia zęby.

— Dobrze? — dyszę.

— Tak — Kiwa głową z zapalem.

Znowu wplątuje palce w moje włosy i ciągnie mocno, zbliżając moje usta do swoich. Jest wygłodniała. Pożera mnie. Łaknie. Całuje mnie z tą samą intensywnością, którą poczułem wtedy przy schodach. I nie wiem, czy powodem jest to, co przeżyła wcześniej, czy fakt, że jej wyznałem miłość, ale czuję, że płonie. Porusza się. W górę i w dół. W górę i w dół, bez końca. Bierze mnie... bierze...

Jest obłądnie. Gorąco. Ale tempo jest zbyt szalone.

To się za szybko skończy.

— Hej. — Przytrzymuję ją mocniej, żeby zwolniła, i zgarniam jej włosy z twarzy. — Spokojnie, skarbie. Spokojnie. Jeszcze kawał wieczoru przed nami. I cała noc. I jutro. I pojutrze. — Mrugają przede mną ciemne, oszołomione oczy. Serce wypełnia mi się nowym, odurzającym uczuciem, które pochłania mnie bez reszty. — Jestem przy tobie — szepczę. — Kocham cię.

—Maximie — sapie, nachylając się i całując mnie znowu. Z rękami splecionymi na mojej szyi zaczyna się znowu poruszać, tym razem wolniej; pozwala mi się sobą delectować. Raz za razem. Bardziej miarowo... spokojniej ... Czuję się jak w niebie.

Ożeż.

Alessia wznosi się i opada. Wznosi i opada. Bierze mnie ze sobą... coraz wyżej i wyżej, aż w końcu zastyga i krzyczy, dochodząc, a jej skierowane do nieba usta wyzwalają mój własny wstrząsający orgazm.

— Och, Alessio...!

LEŻYMY CICHU, BEZ RUCHU, ZWRÓCENI DO SIEBIE TWARZAMI. Nic nie mówimy. Tylko patrzymy. Oczy. Nosy. Policzki. Usta. Twarze. Wpatrujemy się w siebie. Chłoniemy nawzajem. Nie oświetla nas nic poza blaskiem bijącym od migotliwych płomieni w kominku, a wokół słychać jedynie trzaski i skwierczenie palącego się drewna, i łomot mojego bijącego coraz spokojniej serca. Alessia podnosi rękę i przeciąga palcami po moich ustach.

— Kocham cię, Maximie — szepcze.

A ja nachylam się i raz jeszcze ją całuję. Jej ciało unosi się na spotkanie z moim i znowu zaczynamy się czule, bardzo czule kochać.

ZROBILIŚMY SOBIE NAMIOT Z POŚCIELI W NASZYM NIBY—OBOZOWISKU, jakim stała się moja sypialnia. Oboje siedzimy po turecku, stykając się kolanami, mocno w siebie zapatrzeni i skąpani w słabym świetle bijącym od małego smoka, który dołączył do nas w naszej tajnej kryjówce.

Alessia mówi.

I mówi.

A ja słucham.

Jest naga i tylko rozpuszczone, opadające do pasa włosy nieco ją osłaniają, czyniąc zadość skromności. Tłumaczy mi, jak uczy się grać na fortepianie nowe utwory.

— Za pierwszym razem odczytuję nuty i widzę kolory. One... jak by to powiedzieć? Pasują do tonacji.

— Masz inną barwę dla każdej tonacji?

— Tak. Des—dur to zieleń. Jak jodłowe igliwie z Kukës. *Preludium deszczowe*. Same zielenie. Choć przybierają ciemniejszy odcień, gdy muzyka się zmienia. Pozostałe tonacje mają inne kolory, a niektóre utwory są wielobarwne. Na przykład dzieła Rachmaninowa. I te barwy... hm... drukują się w mojej głowie. Tak zapamiętuję utwór. — Wzrusza ramionami i uśmiecha się do mnie figlarnie. — Bardzo długo myślałam, że wszyscy to widzą.

— Niestety nie każdy ma tyle szczęścia. — Przesuwam palcem w dół jej policzka. — Jesteś wyjątkowa. A już szczególnie wyjątkowa dla mnie.

Oblewa się znowu tym swoim ślicznym różowym rumieńcem.

— A kto jest twoim ulubionym kompozytorem? — pytam. — Bach?

— Bach. — Wzdycha, wymawiając nazwisko mistrza z nabożną wręcz czcią. — Jego muzyka jest... — Wymachuje rękami, szukając właściwego słowa i usiłując nadać odpowiednią wagę temu, co chce powiedzieć, aż w końcu zamyka oczy, jak gdyby doświadczała jakiegoś religijnego uniesienia...

— Natchniona? — podpowiadam.

Śmieje się.

— O, tak. — Poważnieje, opuszcza rzęsy i zerka na mnie przez ich firankę. — Ale tak naprawdę to ty jesteś moim ulubionym kompozytorem.

Gwałtownie wciągam powietrze. Komplementy z jej strony to dla mnie coś nowego.

— Podoba ci się moja muzyka? Wow. Schlebiasz mi. Jakie kolory w niej widzisz?

— Jest smutna i poważna, więc błękity i szarości.

— Pasuje — mruczę, a moje myśli biegną do Kita.

Alessia wyciąga rękę i pieści mój policzek, zmuszając mnie do powrotu do terażniejszości.

— Obserwowałam cię, jak grałeś wtedy w mieszkaniu. Miałam sprzątać, ale musiałam na ciebie popatrzeć. I cię posłuchać. To piękny utwór. — Jej głos zniża się do ledwo słyszalnego szeptu. — Wtedy jeszcze bardziej się w tobie zakochałam...

— Naprawdę?

Kiwa głową, a we mnie serce rośnie, gdy uświadamiam sobie w pełni, co powiedziała.

— Szkoda, że wtedy o tym nie wiedziałem. Cieszę się, że ci się podobało. A w Kryjówce tak pięknie to zagrałaś.

— Bo bardzo mi się podobało. Jesteś zdolnym kompozytorem.

Biorę ją za rękę i palcem rysuję esy—floresy po jej dłoni.

— A ty jesteś bardzo utalentowaną pianistką.

Uśmiecha się szeroko, a na jej twarz znowu wypływa rumieniec.

Akurat ona powinna być przyzwyczajona do komplementów.

— Jesteś taka zdolna. I piękna. I odważna. — Moje palce gładzą ją po twarzy.

Przyciągam do siebie jej usta i pod namiotem z pościeli zatracamy się w pocałunku. Alessia odsuwa się, by zaczerpnąć tchu, i patrzy na mnie znowu pełnym tęsknoty wzrokiem.

— Czy... możemy... się znowu pokochać?

Nachyla się do przodu i składa pocałunek na mojej piersi tuż nad sercem.

O rany.

ALESSIA LEŻY W POPRZEK ŁÓŻKA Z GŁOWĄ NA MOJEJ PIERSI i palcami wygrywa na moim brzuchu jakąś melodię. Nie wiem, co to jest, ale mi się podoba. Biorę do ręki słuchawkę interkomu i dzwonię do kuchni.

— Danny, poproszę o kolację do mojego pokoju. Może jakieś kanapki i butelkę wina?

— Oczywiście, milordzie. Kanapki z wołowiną?

— Świetnie. I butelkę chateau haut—brion.

— Zostawię tacę przed drzwiami, sir.

— Dziękuję. — Uśmiecham się, słysząc w jej głosie niepohamowaną radość, i się rozłączam.

Nie wiem skąd, ale Danny wie, że Alessia to ktoś wyjątkowy. Przyprawiałem już tutaj kobiety, ale Danny nigdy nie była taka troskliwa jak dzisiaj. Na pewno wie, że jestem zakochany. Po uszy. Całkowicie. Najzupełniej. Absolutnie zakochany.

— Macie własny wewnętrzny telefon? — Alessia patrzy na mnie z dołu.

..

— To duży dom. — Szczęzę zęby w uśmiechu.

Śmieje się.

— To prawda.

Zerka w stronę okna, za którym panuje nieprzenikniona ciemność. Która to godzina? Siódma? Dziesiąta? Zupełnie straciłem poczucie czasu.

ALESSIA SIEDZI Z PODKULONYMI POD SIEBIE NOGAMI W JEDNYM Z FOTELI NAPRZECIWKO KOMINKA; owinięta w zielony pled, zajada kanapkę z wołowiną i sałata i pije czerwone wino. Jej włosy w cudownym nieładzie okrywają ramiona i spływają w dół. Jest olśniewająca. Przepiękna. I moja.

Dorzucam kolejne polano do ognia, siadam w fotelu naprzeciwko niej i biorę łyk pysznego wina. Po śmierci Kita ani przez chwilę nie czułem się taki spokojny... Prawdę mówiąc, nie pamiętam, bym kiedykolwiek się tak czuł.

Maxim odstawia kieliszek i bierze kanapkę. Wygląda wspaniale. Zmierzwione włosy, lekki zarost, figlarne zielone oczy, które w blasku ognia jaśnieją pożądaniem i miłością. Ma na sobie obszerny kremowy sweter i czarne dzinsy z rozdarciem na kolanie, spod którego wygląda goła skóra... Alessia pożera go wzrokiem.

— Szczęśliwa? — pyta ją.

— Tak. Bardzo...

Uśmiecha się szeroko.

— Ja też. Chyba nigdy nie byłem szczęśliwszy. Wiem, że chciałabyś tutaj zostać, ja zresztą też, ale myślę, że jutro powinniśmy wrócić do Londynu. Jeśli nie masz nic przeciwko temu. Mam do załatwienia parę spraw.

— Dobrze. — Alessia przygryza wargę.

— O co chodzi?

— Podoba mi się w Kornwalii. Nie ma tu takiego ruchu jak w Londynie. Mniej ludzi. Niniejszy hałas.

— Wiem. Ale powinienem wrócić i sprawdzić, co z moim mieszkaniem.

Alessia przygląda się swojemu kieliszkowi z winem.

— Wracamy do rzeczywistości — szepcze.

— Hej. Wszystko będzie dobrze.

Wpatruje się w ogień i patrzy, jak z jednego z polan na ruszcie sypie się żar.

— Kochanie, co się dzieje? — Maxim jest wyraźnie przejęty.

— Ja... chcę pracować.

— Pracować? Jako kto?

— Nie wiem. Jako sprzątaczką?

Na jego czoło występują zmarszczki.

— No nie wiem, Alessio. Nie musisz już sprzątać. Masz wielki talent. Naprawdę zależy ci na sprzątaniu? Musimy znaleźć ci coś ciekawszego. I dopilnujemy, żebyś mogła pracować legalnie. Zajmę się tym. Znam ludzi, którzy mogą pomóc. — Jego uśmiech jest szczery i dodaje jej otuchy.

— Ale... chcę zarabiać własne pieniądze.

— Rozumiem, ale jeśli cię złapią, zostaniesz deportowana.

— Nie chcę! — Serce Alessii gwałtownie przyspiesza. Nie może wrócić do Albanii.

— Żadne z nas tego nie chce — uspokaja ją Maxim. — Nie martw się. Jakoś to załatwimy. Może w końcu będziesz mogła robić coś związanego

z muzyką.

Przygląda mu się.

— Będę twoją utrzymanką — mówi cicho. Tego właśnie chciała uniknąć.

W odpowiedzi Maxim uśmiecha się smutno.

— Tylko dopóki nie będziesz mogła podjąć legalnej pracy. Pomyśl o tym jak o redystrybucji dóbr.

— Ależ z pana socjalista, lordzie Trevethick — żartuje.

— Kto by się spodziewał? — Podnosi kieliszek, a gdy Alessia przyłącza się do jego niemego toastu, do głowy przychodzi jej pewien pomysł. Ale czy on się zgodzi?

— O czym myślisz? — pyta.

Alessia robi głęboki wdech. — Będę ci sprzątać, a ty będziesz mi płacił.

Maxim marszczy brwi, kompletnie zaskoczony.

— Alessio, nie musisz...

— Proszę... Chcę tego. — Wpatruje się w niego, w milczeniu błagając, by się zgodził.

— Ales...

— Proszę.

Zirytowany, przewraca oczami.

— Dobrze. Skoro tego chcesz. Ale pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Pozbędziesz się fartucha i chustki.

— Zastanowię się. — Uśmiecha się znacząco z lżejszym już nieco sercem.

Maxim się śmieje, a z jej piersi wydobywa się westchnienie ulgi. Będzie miała co robić, dopóki jego ludzie nie załatwią jej pozwolenia na pracę.

Po jej ciele rozlewa się fala ciepła. Nawet nie myślała, że życie może ją zaprowadzić tu, gdzie jest, do tego starego, wspaniałego domu i tego przystojnego, delikatnego, dobrego mężczyzny. Rzecz jasna, marzyła o tym — dosyć mgliście. Ale myślała, że ten sen nie może się ziścić.

Rzuciła wyzwanie przeznaczeniu i podjęła wielkie ryzyko, wyjeżdżając z Albanii; musiała stoczyć walkę, by nie poddać się wyrokowi losu.

A jednak wtrącił się jej *mister* i teraz jest tutaj z nim. *Bezpieczna*.

Kocha go, a on kocha ją. Przyszłość jawi się jej jako pełna możliwości. Może po tak długim czasie los postanowił w końcu się do niej uśmiechnąć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

WYRYWA MNIE ZE SNU JAKIŚ PIERWOTNY JĘK. BUDZĘ SIĘ NATYCHMIAST.

Alessia.

W łagodnym świetle nocnej lampki widzę, że śpi obok mnie, ale jest zupełnie nieruchoma i trzyma zaciśnięte pięści pod brodą. Przypomina posąg skamieniały w wyniku jakiejś katastrofy naturalnej. Rozchyła usta i znowu krzyczy: to przedziwny, nieziemski dźwięk. Podpieram się na łokciu i delikatnie nią potrząsam.

— Alessio. Skarbie, obudź się.

Otwiera oczy, mrugając powiekami. Rozgląda się przestraszona i natychmiast zaczyna mnie od siebie odpychać.

— Alessio, to ja. Maxim. — Chwytam ją za rękę, zanim komukolwiek z nas stanie się krzywda.

— M... M... Maxim — szepcze i przestaje się szamotać.

— Miałaś zły sen. Jestem tu. Jestem przy tobie. — Obejmuję ją ramionami i przyciągam, by położyła się na mnie, po czym całuję w czubek głowy. Cała drży.

— My... Myślałam... Myślałam... — jąka się.

— Już dobrze. To tylko zły sen. Jesteś bezpieczna. — Przytulam ją i delikatnie gładzę jej plecy, żałując, że nie potrafię rozwiać całego jej bólu i strachu. Drży, ale uspokaja się i po chwili znów zasypia.

Zamykam oczy, z jedną ręką w jej włosach, a drugą na jej plecach. Czuję przyjemny ciężar jej ciała i dotyk skóry. Mógłbym się do tego przyzwyczaić.

ALESSIA BUDZI SIĘ W SZARYM ŚWIETLE WCZESNEGO PORANKA. Jest wtulona w ramię Maxima i trzyma rękę na jego brzuchu. On mocno śpi z twarzą zwróconą w jej kierunku. Włosy ma zmierzwiłone, usta lekko rozchylone, a jego policzki i żuchwę porasta zarost. Wygląda na odprężonego. To bardzo kuszący obraz. Alessia wyciąga się obok niego, mocno napinając mięśnie. Trochę boli ją bok i dokucza siniak, ale czuje się... dobrze.

Nie. Więcej niż dobrze.

Jest pełna nadziei. Spokojna. Silna. Bezpieczna.

Dzięki temu cudownemu mężczyźnie, który śpi obok niej.

Kocha go. Całym sercem.

A co bardziej zaskakujące, on też ją kocha. Alessia ledwo potrafi w to uwierzyć.

Dał jej nadzieję.

Maxim porusza się i otwiera oczy.

— Dzień dobry — szepcze Alessia.

— Teraz jest dobry — odpowiada z szelmowskim błyskiem w oku. — Wyglądasz ślicznie. Dobrze spałaś?

— Tak.

— Miałaś koszmary.

— Ja? Tej nocy?

— Nie pamiętasz?

Alessia kręci głową. Maxim przesuwa zewnętrzną stroną palców dłoni po jej policzku. — Cieszę się, że nie pamiętasz. Jak się czujesz?

— Dobrze.

— Dobrze czy dobrze?— pyta zmysłowym tonem.

— Bardzo dobrze — Alessia szeroko się uśmiecha. Maxim przewraca się na nią, przygważdża do materaca i wpatruje się w jej twarz lśnącymi szmaragdowymi oczami.

— Rany, uwielbiam budzić się obok ciebie — szepcze i całuje ją w szyję. Alessia zarzuca mu ręce na kark i poddaje się pieszczotom jego wprawnych ust.

— CHYBA POWINNIŚMY WSTAĆ I WRÓCIĆ DO LONDYNU —mruczy Maxim, muskając ustami jej brzuch. Palce Alessii bawią się jego włosami, ale jest zbyt zrelaksowana, by się ruszyć. Napawa się chwilą spokoju po pełnej napiętości burzy. Maxim przerywa jednak ten moment zadumy. — Chodź ze mną pod prysznic. — Unosi głowę, by na nią spojrzeć i posyła jej swój najpiękniejszy uśmiech.

Jakże mogłaby się oprzeć?

ALESSIA SUSZY SOBIE GŁOWĘ RĘCZNIKIEM, A JA SIĘ GOŁĘ. Siniak na jej boku wydaje się mniejszy, ale nadal ma żywofioletowy kolor. Zalewa mnie fala poczucia winy — z całą pewnością nie dała mi znać ani w nocy, ani dziś rano, że coś ją boli. Uśmiecha się do mnie uroczo znad ramienia, a moje wyrzuty sumienia nikną w powietrzu niczym nadmorska mgła w porannej bryzie.

Z jednej strony chciałbym zostać tu z nią na zawsze. Z drugiej nie mogę się doczekać wyjazdu. Nie chcę, żeby sierżant Nancarrow i jego koleżanka przyjechali do dworu, by przesłuchać Alessię. Wolę trzymać ją z dala od policji. W razie czego wyjaśnię mu, że interesy wezwały mnie do Londynu.

Szkoda będzie wyjeżdżać. Bardzo podobają mi się zaufanie i swoboda, z jakimi się traktujemy, i nie mogę się nadziwić zmianie, jaka w niej zaszła. Wydaje się o wiele pewniejsza siebie, a minęło tylko kilka dni. Widzę, jak odrzuca włosy na bok i spoglądając na mnie, wychodzi z łazienki, naga jak ją Pan Bóg stworzył. Zerkam zza framugi; ten widok jest zbyt rozkoszny, by się nim nie napawać. Kołyszące się w rytm kroków włosy sięgają jej niemal do pasa. Zatrzymuje się przy łóżku i grzebie w wiklinowym koszu na otomance, szukając czegoś do ubrania. Gdy podnosi wzrok i przyłapuje mnie na podglądaniu, uśmiecha się pod nosem. Cofam się i patrzę na własne odbicie w lustrze z triumfującym uśmiechem. Jej nowo odkryta pewność siebie jest seksowna jak diabli.

Chwilę później pojawia się w drzwiach łazienki i opiera o framugę. Ma na sobie ubrania, które jej kupiłem, a ja od razu wiem, że to będzie udany dzień.

— Na dole w szafie powinna być torba, do której możesz spakować ubrania. Albo poproszę Danny, żeby to zrobiła.

— Poradzę sobie. — Krzyżuje ramiona, gdy się mi przygląda. — Lubię patrzeć, jak się golisz.

—A ja lubię, jak na mnie patrzysz — odmrucuję, kończąc poranną toaletę. Odwracam się, muskam jej usta wargami, a potem wycieram twarz z resztek piany. —Zjedźmy śniadanie i ruszajmy w drogę.

W trakcie podróży powrotnej do Londynu Alessia jest ożywiona. Rozmawiamy, śmiejemy się i znowu rozmawiamy — jej chichot jest niesamowicie zaraźliwy. Gdy wjeżdżamy na M4, przejmuje kontrolę nad radiem i słuchamy Rachmaninowa. Rozlegają się pierwsze takty koncertu fortepianowego, które przypominają mi, jak grała ten utwór w Kryjówce — to wzruszające wspomnienie. Obserwowałem wtedy, jak zatraca się w muzyce. Porwała mnie ze sobą. Kątem oka dostrzegam, że palce Alessii uderzają w niewidoczne klawisze zgodnie z kadencją. Chciałbym zobaczyć znowu, jak to gra, ale tym razem z akompaniamentem pełnej orkiestry.

— Widziałaś film *Spotkanie*?

— Nie.

— To brytyjski klasyk. Reżyser wykorzystuje ten utwór przez cały film. Świetny. Jeden z ulubionych filmów mojej matki.

— Chciałabym go obejrzeć. Uwielbiam ten koncert.

— I doskonale go grasz.

— Dziękuję. — Uśmiecha się do mnie nieśmiało. — A jaka ona jest?

— Moja matka? Bardzo... ambitna. Inteligentna. I zabawna. Niezbyt matczyna. — Mówiąc to, czuję ukłucie nielojalności, ale prawda jest taka, że Rowena zawsze wydawała się znudzona i zakłopotana małymi dziećmi. Chętnie przekazywała nas różnym nianiom i wysyłała do szkół z internatem. Dopiero gdy ojciec umarł, bardziej się nami zainteresowała.

Choć Kit obchodził ją zawsze.

— Och — mówi Alessia.

— Moje relacje z matką są nieco... napięte. Chyba nigdy nie wybaczyłem jej tego, że zostawiła ojca.

— Zostawiła go? — wydaje się zaszokowana.

— Zostawiła nas wszystkich. Miałem dwanaście lat.

— Przykro mi.

— Poznała kogoś młodszego... I złamała mojemu ojcu serce.

— Och.

— W porządku. To było dawno temu. Teraz zawarliśmy niełatwy rozejm. To znaczy po śmierci Kita. — Ten temat jest przygnębiający. — Wybierz jeszcze coś — proponuję, gdy kończy się Rachmaninow. —

Coś wesołego.

Uśmiecha się i przesuwa listę.

— *Melody?*

Śmieję się.

— Rolling Stones? Tak Puść. — Klika ekran i słyszeć odliczanie: „two. One, two, three”, a potem bluesowe pianino. Alessia się uśmiecha. Podoba jej się. Boże, jest tyle piosenek, które chciałbym jej puścić.

NA DROGACH JEST SPOKOJNIE, WIĘC JEDZIEMY DOŚĆ SZYBKO. Mijamy skrzyżowanie z drogą prowadzącą do Swindon i zostaje nam sto dwadzieścia kilometrów do Chelsea. Muszę zatankować, więc skręcam w zjazd na stację Membury Services. Alessia gwałtownie reaguje. Zaciska dłoń na klamce i rzuca mi czujne spojrzenie rozszerzonych oczu.

— Wiem, że czujesz się nieswojo na stacjach benzynowych. Tylko napełnię bak, okej? — Sięgam dłonią i uspokajająco ściskam jej kolano. Kiwa głową, ale nie wygląda na przekonaną. Podjeżdżam do dystrybutora, a ona natychmiast wyskakuje, by stanąć obok mnie. — Chcesz dotrzymać mi towarzystwa?

Kiwa głową i przenosi ciężar ciała z nogi na nogę, żeby utrzymać ciepło. Jej oddech tworzy zwiewną chmurkę wokół twarzy. Bacznie obserwuje stację i zaparkowane przy niej ciężarówki. Jest ostrożna. Czujna. To bolesny widok, zwłaszcza że rano była taka zrelaksowana.

— Wiesz, że jesteś teraz bezpieczna. Policja ich zatrzymała — mówię, by dodać jej pewności siebie, ale w tym momencie pompa paliwa przestaje działać i obwieszcza to głośnym metalicznym brzękiem. Oboje podskakujemy. Bak jest pełny. — Chodźmy zapłacić. — Odwieszam pistolet dystrybutora, obejmuję ją za ramiona i ruszamy w kierunku stacji. Alessia idzie potulnie obok mnie.

— W porządku? — Stoimy w kolejce, a ona emanuje strachem, rzucając ukradkowe spojrzenia na wszystkich w sklepie.

— To był pomysł mojej matki — mówi nagle szybko i cicho. — Myślała, że mi pomaga.

Potrzebuję kilku sekund, by zrozumieć, do czego się odnosi.

Do jasnej cholery. Opowiada mi tę historię teraz? Dreszcz przechodzi mi po plecach. Dlaczego teraz? Muszę zapłacić za benzynę.

— Poczekaj sekundę — unoszę palec i podaję sprzedawcy kartę kredytową. Mężczyzna zerka kilka razy na Alessię.

Człowieku, zdecydowanie za wysokie progi.

— Proszę wpisać PIN — mówi, uśmiechając się do Alessii, która nawet go nie zauważa. Patrzy w kierunku dystrybutorów, sprawdzając, kto tam jest.

Gdy kończę, biorę ją za rękę.

— Porozmawiamy w samochodzie?

Kiwa głową.

Gdy wsiadamy z powrotem do jaguara, zastanawiam się, dlaczego zawsze wybiera na zwierzchnia stacje benzynowe albo parkingi. Ruszam spod dystrybutora, parkuję na miejscu naprzeciwko lasu i wyłączam silnik.

— Okej. Możemy pogadać.

Alessia wpatruje się w bezlistne drzewo przed nami i kiwa głową.

— Ten, za którego mam wyjść, to brutalny człowiek. Pewnego dnia... — głos jej się załamuje.

Moje serce zamiera. Tego się obawiałem.

Co on jej, do cholery, zrobił?

— Nie lubi, jak gram na pianinie. Nie lubi tego, że... hm... przyciągam wtedy uwagę.

Nienawidzę go jeszcze bardziej.

— Jest zły. Chce, żebym przestała...

Zaciskam dłonie na kierownicy.

Głos Alessii jest niemal niesłyszalny.

— Bije mnie. Chce połamać mi palce.

— Co?

Wpatruje się w swoje dłonie. Swoje drogocenne dłonie. Wkłada jedną w drugą, przytrzymując je czule.

Ten pieprzony złamas zrobił jej krzywdę.

— Musiałam uciec.

— No pewnie.

Muszę jej dotknąć, żeby wiedziała, że jestem po jej stronie. Obejmuję dłońmi obie jej ręce i delikatnie ściskam. Ogarnia mnie przemożna ochota, żeby wziąć ją na kolana i przytulić, ale się powstrzymuję. Potrzebuje tej rozmowy. Rzuca mi pełne wahania spojrzenie, a ja odpuszczam.

— Wsiadłam do busa jadącego do Szkodry, a potem przesiedliśmy się do wielkiej ciężarówki. Byli tam Dante, Ylli i pięć innych dziewcząt. Jedna z nich miała tylko siedemnaście lat.

Zatyka mnie. Jestem zszokowany. *Taka młoda.*

— Miała na imię Bleriana. Rozmawialiśmy w tej ciężarówce. Dużo rozmawialiśmy. Ona też była z północy Albanii. Z Fierzy.

Zaprzysiężyliśmy się. Planowałyśmy, że razem znajdziemy pracę. — Urywa, bo zatraca się w koszmarze swojej opowieści. Może myśli o tym, co mogło się stać z jej przyjaciółką.

— Wszystko nam zabrali. Poza ubraniami, które miałyśmy na sobie. Na tyłach ciężarówki było tylko jedno wiadro... Rozumiesz. — Jej głos cichnie.

— Okropność.

— Tak. Ten zapach. — Wzdryga się. — I miałyśmy tylko jedną butelkę wody. Jedną butelkę na każdą z nas. — Noga zaczyna jej drżeć, a twarz blednie. Przypominam sobie, jak wyglądała, gdy spotkałem ją po raz pierwszy.

— W porządku. Jestem tu. Jestem przy tobie. I chcę wiedzieć.

Obraca na mnie swoje ciemne, pełne rozpaczycy oczy.

— Naprawdę chcesz?

— Tak. Ale tylko jeśli chcesz mi powiedzieć.

Przesuwa wzrokiem po mojej twarzy, jakby mnie badała, prześwietlała, jak wtedy za pierwszym razem w korytarzu.

Dlaczego chcę to wiedzieć?

Bo ją kocham.

Bo ukształtowały ją różne doświadczenia, a to jest niestety jedno z nich.

Bierze głęboki oddech i kontynuuje.

— Byłyśmy w tej ciężarówce ze trzy, cztery dni. Nie wiem dokładnie, jak długo. Zatrzymaliśmy się, zanim ciężarówka wjechała na... Jak to się nazywa? Na prom. Taki do przewożenia samochodów i ciężarówek. Dali nam chleb. I czarne plastikowe torby. Miałyśmy założyć je sobie na

głowę.

— Co?

— To ma coś wspólnego ze strażą graniczną. Oni mierzą... hm...
dioksyd i tlenek węgla — Utyka, szukając odpowiedniego wyrażenia.

— Dwutlenek węgla?

— Tak. Właśnie to.

— W kabinie?

Wzrusza ramionami.

— Nie wiem, ale jeśli jest go za dużo, to władze wiedzą, że w ciężarówce są ludzie. Jakoś to mierzą. Wjechaliśmy na prom. Był duży hałas. Za duży. Silniki. Inne ciężarówki... I było ciemno. Głowę miałam owiniętą plastikiem. I wtedy ciężarówka się zatrzymała. Silnik wyłączono, słyszałyśmy tylko skrzypienie i stukot metalu i opon. Morze było niespokojne. Bardzo niespokojne. Wszystkie leżałyśmy. — Dotyka palcami małego krzyżyka na szyi i zaczyna się nim bawić. — Trudno było oddychać. Myślałam, że umrę.

Czuję gulę w gardle. Odzywam się ochrypłym głosem.

— Nic dziwnego, że nie lubisz ciemności. To musiało być koszmarne przeżycie.

— Jedna z dziewczyn źle się czuła. Ten odór... — Urywa, zachłystując się powietrzem.

— Alessio...

Ale ona mówi dalej. Jakby czuła jakiś przymus.

— Gdy jadłyśmy chleb przed wjazdem na prom, usłyszałam, jak Dante mówi po angielsku — nie wiedział, że rozumiem ten język — że będziemy zarabiać, leżąc na plecach. I wiedziałam już, co nas czeka.

Natychmiast ogarnia mnie wściekłość, wręcz gotuje się we mnie krew. Żałuję, że nie zabiłem tego dupka, gdy miałem okazję, i nie pozbyłem się jego ciała, tak jak zasugerował Jenkins. W życiu nie czułem się tak bezsilny jak w tym momencie. Alessia opuszcza głowę, a ja delikatnie unoszę jej podbródek

— Tak mi przykro.

Zwraca ku mnie twarz, a w jej oczach płonie ogień. To, co dostrzegam, to nie jest smutek ani żal nad sobą —ona jest zła. Naprawdę zła.

— Już wcześniej słyszałam plotki, że z naszego miasta i z okolicznych wiosek ginęły dziewczyny. Z Kosowa też. Pamiętałam o tym, gdy wsiadałam do busa, ale zawsze ma się nadzieję... — Przełyka ślinę, a oprócz gniewu dostrzegam w jej oczach ból. Czuje się jak idiotka.

— Alessio, to nie twoja wina. Twojej matki też nie. Działała w dobrej wierze.

— To prawda. A ja musiałam uciec.

— Rozumiem.

— Powiedziałam dziewczynom, co mówił Dante. Trzy z nich mi uwierzyły. Między innymi Bleriana. I gdy miałyśmy okazję uciec, zrobiłyśmy to. Pobiegłyśmy. Nie wiem, czy pozostałym się udało. Nie wiem, czy Bleriana zdołała uciec. — W jej głosie słychać poczucie winy. — Miałam przy sobie kartkę papieru z adresem Magdy. Akurat było Boże Narodzenie, wszyscy świętowali. Szłam kilka dni... Chyba sześć czy siedem. Nie wiem. Aż dotarłam do jej domu, a ona się mną zaopiekowała.

— Bogu dzięki za Magdę.

— Tak.

— A gdzie spałaś, gdy tak szłaś?

— Nie spałam. Nie dało się. Było za zimno. W jednym sklepie ukradłam mapę. — Spuszcza wzrok.

— Nawet nie jestem w stanie sobie wyobrazić koszmaru, który przeżyłaś. I bardzo mi przykro.

— Niepotrzebnie. — Uśmiecha się do mnie leciutko. — To było, zanim cię poznałam. A teraz już wiesz. Wszystko.

— Dziękuję, że mi powiedziałaś. — Pochyłam się i całuję ją w czoło. — Jesteś bardzo, bardzo dzielna.

— Dziękuję, że mnie wysłuchałeś.

— Zawsze uważnie cię słucham, Alessio. Zawsze. Wracamy do domu?

Z wyraźną ulgą kiwa głową, a ja włączam silnik i wyjeżdżam z miejsca parkingowego. Ruszam w kierunku wjazdu na trasę.

— Chciałbym wiedzieć jedną rzecz — dodaję, wracając do koszmarnej historii, którą właśnie się ze mną podzieliła.

— Jaką?

— Czy on ma jakieś imię?

— Kto?

— Twój... narzeczony. — Dosłownie wypluwam to słowo. Nienawidzę go.

Potrząsa głową.

— Nigdy go nie wymawiam.

— To jak z Voldemortem — mruczę pod nosem.

— Tym z Harry'ego Pottera?

— Znasz te książki?

— O tak. Moja babcia...

— Nie mów, że przeszmygłowała je do Albanii?

Alessia się śmieje.

— Nie. Dostawała je pocztą. Od Magdy. Mama czytała mi je, kiedy byłam mała. Po angielsku.

— Ach, kolejny powód, dla którego tak dobrze mówisz w tym języku. Czy ona też biegle nim włada?

— Mama? Tak. Za to ojciec... nie lubi, gdy rozmawiamy ze sobą po angielsku.

— No jasne. — Im więcej dowiaduję się o jej ojcu, tym bardziej go nie lubię, ale zachowuję to dla siebie. — Poszukasz jeszcze jakiejś piosenki?

Przesuwa listę na ekranie, a jej oczy rozjaśniają się, gdy widzi RY X.

— Tańczyliśmy do tej muzyki.

— Nasz pierwszy taniec. — Uśmiecham się na to wspomnienie. Wydaje się tak odległe.

Zapadamy w przyjemne milczenie i oboje wsłuchujemy się w muzykę. Alessia zdaje się wczuwać w rytm, kołysze delikatnie ciałem w przód i w tył. Cieszę się, że odzyskała równowagę po opowiedzeniu mi swojej okropnej historii.

Gdy wybiera kolejny utwór, znów uciekam myślami. Ten człowiek, ten dupek, który ją skrzywdził, ten jej narzeczony... Muszę wiedzieć o nim wszystko, jeśli mam ją przed nim chronić. Trzeba pilnie sprawdzić, jaki jest status prawny Alessii, ale nie mam pojęcia, jak to zrobić. Ślub na pewno by pomógł, ale chyba musiałyby przebywać tutaj legalnie, żebym mógł się z nią ożenić. Postanawiam, że jak najszybciej skontaktuję się z Rajahem.

Uśmiecham się pod nosem, gdy mijamy zjazd do Maidenhead, i kręcę

głową nad własną głupotą. Zachowuję się jak dwunastolatek. Zerkam na Alessię, ale nie zauważyła. Jest głęboko zamyślona, przytyka palec do ust.

— Ma na imię Anatoli. Anatoli Thaçi — mówi.

Co?

— Ten, którego imienia nie wolno wymawiać?

— Tak.

Zapamiętuję sobie nazwisko tego łajdaka.

— Postanowiłaś mi je zdradzić?

— Tak.

— Dlaczego?

— Bo bez imienia miał większą władzę.

— Jak Voldemort?

Kiwa głową.

— A czym się zajmuje?

— Nie jestem pewna. Mój ojciec jest mu winien dużo pieniędzy, wydaje mi się, że to ma coś wspólnego z jego interesem. Ale nie wiem, o co dokładnie chodzi. Anatoli to wpływowi człowiek. I bogaty.

— Naprawdę? — pytam oschłym tonem. Mam nadzieję, że suma na moim koncie bankowym jest jednak wyższa.

— Ten jego biznes jest pewnie... hm... nielegalny. Tak?

— Tak. Tak byśmy to nazwali. Jest oszustem.

— Gangsterem.

— Co ty masz z tymi gangsterami? — chmurzę się. Alessia chichocze: to niezwykle rozbijający, zaskakujący dźwięk. — Co w tym takiego zabawnego?

— Twoja twarz.

— Ach — uśmiecham się. — No faktycznie powód do śmiechu.

— Uwielbiam ją.

— Ja też czuję do niej przywiązanie.

Śmieje się znowu, ale potem poważnieje.

— Masz rację. On nie jest zabawny.

— Nie. Ale jest daleko stąd. I tutaj nie może cię skrzywdzić. Niedługo dotrzemy do domu. Posłuchamy jeszcze raz Rachmaninowa?

— Pewnie — odpowiada, przesuwając ponownie listę na ekranie komórki.

PODJEŹDZAM JAGUAREM POD BIURO, A OLIVER WYCHODZI, ŻEBY SIĘ PRZYWITAĆ I przekazać mi nowe klucze do mieszkania.

— To moja dziewczyna, Alessia Demachi. — Odchylam się do tyłu, a Oliver wsuwa dłoń przez okno auta, żeby uścisnąć jej rękę.

— Miło mi panią poznać — mówi. — Przykro mi, że nie spotkaliśmy się w przyjemniejszych okolicznościach. — Patrzy na nią ciepło.

Posyła mu w odpowiedzi olśniewający uśmiech.

— Mam nadzieję, że już lepiej się pani czuje.

Alessia kiwa głową.

— Dziękuję, że to załatwiłeś — mówię. — Do zobaczenia jutro w biurze.

Oliver macha do mnie na pożegnanie, a ja włączam się do ruchu.

MAXIM NIESIE TORBY Z SAMOCHODU DO WINDY. To dziwne uczucie być tutaj z powrotem, tym razem ze świadomością, że to już na stałe. Drzwi się otwierają, a oni wchodzi do środka. Maxim puszcza jej torbę i bierze Alessię w ramiona.

— Witaj w domu — szepcze, a jej tętno przyspiesza.

Wyciąga się do góry, by go pocałować. Jego usta odnajdują znajome wargi, po czym całują je mocno i długo, aż Alessia zapomina o całym świecie.

Gdy drzwi windy się otwierają, obojgu brakuje tchu.

Przed wejściem stoi starsza pani. Ma na sobie duże okulary przeciwsłoneczne, kapelusz w kolorze krzykliwej czerwieni i takie same kolczyki i płaszcz, a na rękach trzyma przypominającego futrzaną kulkę pieska. Maxim wypuszcza Alessię z objęć.

— Dzień dobry, pani Beckstrom.

— Och, Maxim. Jak miło cię widzieć — odpowiada kobieta wysokim głosem. — Czy może teraz powinnam zwracać się do ciebie, używając twojego tytułu?

— Maxim wystarczy, pani Beckstrom. — Wyprowadza Alessię z windy i przytrzymuje drzwi, by sąsiadka zdążyła wsiąść. — To moja dziewczyna, Alessia Demachi.

— Miło mi panią poznać. — Pani Beckstrom uśmiecha się promiennie do Alessii i dopowiada, zanim ta zdąży zareagować: — Widzę, że naprawiłeś sobie drzwi. Mam nadzieję, że włamywacze nie ograbili cię ze wszystkiego.

— Nie zabrali nic, czego nie można zastąpić.

— Mam nadzieję, że nie wrócą.

— Myślę, że policja już ich złapała.

— To dobrze. Mam nadzieję, że zawisną na stryczku.

Na stryczku? To tutaj wieszają ludzi?

— Wybieram się na spacer z Herkulesem. Wreszcie przestało padać.

— Miłego spaceru.

— Mamy nadzieję, że taki właśnie będzie. Wy też się bawcie dobrze.

— Zerka na Alessię, a na twarz dziewczyny wypływa rumieniec. Drzwi windy się zamykają i pani Beckstrom znika.

— Od zawsze jest moją sąsiadką. Ma chyba z tysiąc lat i jest trochę stuknięta.

— Stuknięta?

— Szalona — wyjaśnia Maxim. — I nie daj się zwieść wyglądowi tego psa. To złośliwa mała bestia.

Alessia się uśmiecha.

— Od dawna tu mieszkasz?

— Od dziewiętnastego roku życia.

— Nie wiem, ile masz teraz lat.

Maxim się śmieje.

— Na tyle dużo, żeby wiedzieć wszystko lepiej.

Alessia marszczy brwi, gdy on otwiera drzwi mieszkania.

— Dwadzieścia osiem.

Dziewczyna szczyrzy zęby.

— Staruch z ciebie!

— Staruch? Ja ci dam starucha! — Nachyla się gwałtownie, zaskakując ją, i zarzuca ją sobie na ramię, starając się nie dotykać obolałego boku. Alessia piszczy i się śmieje, gdy Maxim wtacza się z nią do wnętrza mieszkania.

Alarm zaczyna się uruchamiać, więc Maxim obraca się, żeby Alessia znalazła się przodem do panelu. Zdyszana wstukuje nowy kod, który dyktuje jej mężczyzna, a gdy pikanie cichnie, Maxim zsuwa ją z barku, tak by znalazła się w jego objęciach.

— Cieszę się, że jesteś tu ze mną — oznajmia.

—Ja też.

Maxim wyjmuje z kieszeni klucze, które dał mu Oliver.

— To dla ciebie.

Alessia bierze je do ręki. Są przypięte do niebieskiego skórzanego breloczka z napisem „Angwin House”.

— Klucz do królestwa — mówi.

Maxim uśmiecha się szeroko.

— Witaj w domu. — Pochyla się, by ją pocałować, i stara się pobudzić jej wargi ustami. Alessia pojękuje, reagując na pieszczotę, i zatracają się w sobie wzajemnie.

ALESSIA KRZYCZY, SZCZYTUJĄC. TEN DŹWIĘK SPRAWIA, ŻE OD RAZU MI TWARDNIEJE. Dłonie zaciska na pościeli. Głowę ma odchyłoną do tyłu. Usta otwarte. Całuję jej łechtaczkę, a Alessia wije się pode mną. Składam pocałunki na jej łonie, pępku, brzuchu i mostku, gdy ona popiskuje, a potem tłumię jej krzyki językiem i wchodzę w nią.

MÓJ TELEFON BRZĘCZY. Nawet nie patrząc na ekran, wiem, że to Caroline. Obiecałem, że się z nią spotkam. Ignoruję połączenie i patrzę na Alessię, która drzemie obok mnie. Zrobiła się całkiem wymagająca w łóżku — i to mi się podoba. Pochyliłam się i całuję ją w ramię, a ona się budzi.

— Muszę wyjść — mruczę.

— Dokąd idziesz?

— Muszę spotkać się z moją bratową.

— Och.

— Nie widziałem się z nią od jakiegoś czasu, a musimy omówić kilka spraw. To nie potrwa długo.

Alessia siada.

— Okej. — Wygląda przez okno. Na zewnątrz jest już ciemno.

— Jest szósta — informuję.

— Zrobić nam coś do jedzenia?

— Jeśli cokolwiek znajdziesz, proszę bardzo. Uśmiecha się.

— Chętnie.

—Jeśli ci się nie uda, to gdzieś wyjdziemy. Wrócę za godzinę. — Niechętnie odsuwam narzutę, wstaję z łóżka i zaczynam się ubierać pod pełnym uznania spojrzeniem Alessii.

Nie zdradzam jej, że przeraża mnie to spotkanie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

— DOBRY WIECZÓR, MILORDZIE — MÓWI BLAKE, OTWIERAJĄC DRZWI TREVELYAN HOUSE.

— Dzień dobry, Blake. — Nie poprawiam go, bo choć mnie to uwiera, naprawdę jestem hrabią. — Czy lady Trevethick jest w domu?

— Jest chyba w saloniku

— Świetnie. Sam trafię. Och, podziękuj, proszę, pani Blake za posprzątanie po włamaniu. Doskonale się spisła.

— Oczywiście, milordzie. Bardzo niefortunne zdarzenie. Czy mogę zabrać pańskie okrycie?

— Dziękuję. — Zsuwam kurtkę, a on przewiesza ją sobie przez ramię.

— Podać coś do picia?

— Nie trzeba. Dziękuję, Blake.

Wspinam się po schodach, skręcam w lewo, wciągam głęboko powietrze, by uspokoić oddech, i otwieram drzwi do saloniku.

ALESSIA PRZYGLĄDA SIĘ CHAOSOWI W GARDEROBIE PRZY SYPIALNI MAXIMA. W szufladach, na wieszakach — wszędzie jest pełno ubrań. Nie ma ani skrawka miejsca na jej rzeczy. Zabiera swoją torbę do pokoju gościnnego i kontynuuje rozpakowywanie, rozwieszając nowe ubrania w niewielkiej szafie.

Odkłada kosmetyczkę na łóżko i przechodzi przez mieszkanie. Wszystko jest tak boleśnie znajome, ale teraz patrzy na to miejsce z innej perspektywy. Dotąd apartament Maxima był dla niej miejscem pracy.

Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że pewnego dnia mogłaby sama zamieszkać tu z nim. Nie marzyła o życiu w tak pięknym miejscu. Obraca się w drzwiach do kuchni, czując zawrót głowy, wdzięczność... i radość. To cenne i rzadkie uczucie. Musi jeszcze tyle poukładać w swoim życiu, ale po raz pierwszy od długiego czasu jest pełna nadziei. Z Maximem u boku czuje, że każdą przeszkodę da się pokonać. Zastanawia się, czy on rzeczywiście wróci w ciągu godziny. Tęskni za nim.

Przesuwa palcami po ścianie korytarza. Zdjęcia, które tam wisiały, zniknęły. Pewnie zostały skradzione podczas włamania.

Fortepian!

Pędzi do salonu. Nadal tam stoi, nietknięty. Wzdychając z ulgą, włącza światło. Pokój jest wysprzątny, kolekcja płyt leży na miejscu, ale biurko jest puste — nie ma komputera ani sprzętu audio. Z salonu też zniknęły zdjęcia, które wisiały na ścianach. Alessia z niepokojem podchodzi do fortepianu, uważnie mu się przyglądając. W świetle żyrandola instrument aż lśni — jakby został świeżo wypolerowany. Alessia kładzie dłoń na hebanie i obchodzi fortepian, gładząc jego falistą linię. Gdy staje przy klawiaturze, zauważa, że brakuje kompozycji Maxi—ma. Może nuty tylko uprzątnięto. Unosi wieko i naciska środkowe C: złocisty dźwięk, który wypełnia pusty pokój, uwodząc ją, uspokajając i inspirując. Dziewczyna siada na taborecie, otrząsa się z poczucia osamotnienia i zaczyna grać Preludium H—dur nr 23 Bacha.

CAROLINE SIEDZI PRZY KOMINKU I WPATRUJE SIĘ W OGIEŃ, owinięta tartanową narzutą. Nie ogląda się, gdy wchodzi do środka.

— Hej. — Moje ciche przywitanie ginie w trzasku płomieni. Caroline obraca ku mnie głowę. Ma smutny wyraz twarzy i usta wykrzywione troską.

— Och, to ty — stwierdza.

— A kogo się spodziewałaś?

Nie wstaje, żeby się przywitać, a ja zaczynam się czuć niemile widziany.

Wzdycha.

— Przepraszam. Myślałam o tym, co robiłby teraz Kit, gdyby tu był. — Nagle znikąd wyłania się mój żal i spowija mnie niczym kłujący wełniany koc. Otrząsam się z niego i przełykam gulę tkwiącą mi w gardle. Gdy pochodzę do Caroline, dostrzegam, że płakała.

— Och, Caro... — mruczę i przykucam obok jej fotela.

— Maximie, jestem wdową. Mam dwadzieścia osiem lat i jestem wdową. Nie taki był plan.

Biorę ją za rękę.

— Wiem. Nikt czegoś takiego nie planował. Kit też nie.

Wypełnione bólem niebieskie oczy patrzą prosto na mnie.

— Nie byłabym taka pewna — mówi.

— Co masz na myśli?

Pochyla się, by spojrzeć mi w oczy, i konspiracyjnym szeptem mówi:

— Myślę, że on chciał się zabić.

Ściskam jej palce.

— Caro, to nieprawda. Nie myśl tak. To był okropny wypadek. — Patrzę jej w oczy i staram się wyglądać jak uosobienie szczerości, ale prawda jest taka, że ja też o tym myślałem. Nie mogę jednak tego zdradzić, zresztą sam nie chcę w to wierzyć. Samobójstwo jest zbyt bolesne dla tych, którzy zostają.

— Ciągle przypominam sobie tamten dzień — mówi Caroline, szukając w mojej twarzy odpowiedzi. — Ale nie mam pojęcia, dlaczego...

Niestety ja też nie.

— To był wypadek — powtarzam. — Pozwól, że usiądę. — Puszczam jej rękę i osuwam się na fotel obok, również ustawiony przodem do kominka.

— Chcesz się czegoś napić? To w końcu twój dom. — W jej słowach przebija zgryźliwość, którą ignoruję. Nie chcę się kłócić.

— Blake już mi proponował, ale odmówiłem.

Wzdycha i odwraca się, by patrzeć w płomienie. Obserwujemy je razem, pogrążeni w bólu po stracie Kita. Spodziewałem się lawiny pytań, ale Caroline wcale nie jest rozmowna. Trwamy w niezręcznej ciszy. Po jakimś czasie ogień przygasa. Wstaję, dokładam drew i rozniecam go na nowo.

— Mam sobie iść? — pytam.

Kręci głową.

No to okej.

Siadam z powrotem, a ona przechyliła głowę na bok. Włosy opadają jej na twarz, więc wsuwa je za ucho.

— Słyszałam o włamaniu. Straciłeś coś cennego?

— Nie. Tylko laptop i sprzęt muzyczny. I chyba rozwalili mi iMaca.

— Ludzie są beznadziejni.

— Owszem.

— Co robiłeś w Kornwalii?

— To i owo... — Stawiam na dowcip.

— Cóż, to wiele wyjaśnia. — Przewraca oczami, a ja dostrzegam tę charakterną Caroline, którą znam. — Co robiłeś w Kornwalii?

— Uciekałem przed gangsterami, skoro musisz wiedzieć.

— Gangsterami?

— Tak... I zakochałem się.

ALESSIA SPRAWDZA KUCHENNE SZAFKI I SZUFLADY, szukając czegoś, co mogłaby ugotować na kolację. Do tej pory nie przejrzała ich zawartości w jakiś systematyczny sposób, ale teraz zauważa, że wszystkie sprzęty są idealnie czyste, a garnki nietknięte. Podejrzewa, że nigdy ich nie używano. Dwie patelnie mają nawet jeszcze przyklejone metki z ceną. Udaje jej się znaleźć parę rzeczy w spiżarni: makaron, pesto, suszone pomidory, kilka słoiczków z ziołami i przyprawami. Wystarczy, by przygotować posiłek, ale te składniki są kiepską inspiracją. Zerka na kuchenny zegar. Maxima jeszcze chwilę nie będzie. Ma dość czasu, żeby pójść do sklepu obok i znaleźć coś bardziej smacznego dla swojego mężczyzny.

Uśmiecha się szeroko.

Jej mężczyzna.

Jej.

Na dnie szafy znajduje szczelnie zamkniętą torebkę foliową, którą upchnęła w starej skarpetce od rugby Michała — trzyma tam swoje cenne oszczędności. Wyjmuje dwa dwudziestofuntowe banknoty, wsuwa je do tylnej kieszeni dżinsów, łąpie kurtkę, włącza alarm i wychodzi.

— Co? — DUKA CAROLINE. — TY? ZAKOCHANY?

— A czemu to miałyby być takie nieprawdopodobne? — Zauważam, że o „gangsterów” jakoś nie dopytuje.

— Maxim, ty kochasz tylko swojego fiuta.

— Nieprawda!

Chichocze. Miło słyszeć jej śmiech, ale wołałbym, żeby nie bawiła się moim kosztem. Zauważywszy brak entuzjazmu z mojej strony, stara się nad sobą zapanować.

— Okej, to kto się na niego nadział? — pyta pobłaźliwie.

— Nie musisz być taka ordynarna.

— Unikasz odpowiedzi.

Wpatruję się w nią, a ciepło i humor powoli znikają z jej twarzy.

— Kto? — naciska.

— Alessia.

Marszczy czoło na ułamek sekundy, a potem wysoko unosi brwi.

— Nie! — gwałtownie wciąga powietrze. — Twoja dochodząca?

— Co ma oznaczać to „nie”?

— Maximie. To jest twoja pieprzona sprzątaczką, i to dosłownie! — Chmurnieje, jakby ciemny obłok przesłonił jej twarz, sygnalizując nadchodzącą burzę.

Wiercę się w fotelu, rozdrażniony jej reakcją.

— Cóż, już nie jest moją sprzątaczką.

— Wiedziałam! Już kiedy ją poznałam. W twojej kuchni. Byłeś taki dziwny i poświęcałeś jej tyle uwagi. — Wypluwa każde słowo niczym jad. Jest wstrząśnięta.

— Nie dramatyzuj. To nie w twoim stylu.

— To bardzo w moim stylu.

— Od kiedy?

— Odkąd mój cholerny mąż się zabił — syczy, a w jej oczach szkli się wrogość.

Ożeż.

Zrobiła to. Użyła śmierci Kita jako argumentu w kłótni.

Przełykam szok i żal, gdy wpatrujemy się w siebie, a powietrze aż wibruje od niewypowiedzianych myśli.

Nagle Caroline z powrotem zwraca się do kominka, podkreślając pogardę mocnym zarysem uniesionego podbródka.

— Powinieneś o niej zapomnieć — mruczy.

— Raczej nigdy o niej nie zapomnę. Nie chcę. Jestem w niej zakochany.
— Mówię łagodnym tonem, a moje słowa zawisają w powietrzu, gdy czekam na reakcję Caroline.

— Oszalałeś.

— Dlaczego?

— Wiesz dlaczego! To twoja pieprzona sprzątaczką.

— To ma jakieś znaczenie?

— Tak!

— Nie, nie ma.

— Oto dowód. Oszalałeś, skoro uważasz, że to nie ma znaczenia.

— Oszalałem z miłości. — Wzruszam ramionami. Taka jest prawda.

— Do sprzątaczk!

— Caro, nie bądź taką snobką. Miłość nie wybiera. Po prostu się stało.

— Do jasnej cholery! — Wstaje nagle i pochyla się nade mną. — Nie strzelaj mi tu jakiegoś pełnego banałów kazania. To tylko mała, brudna puszczańska, Maximie. Nie widzisz tego?

— Odpierdol się, Caroline! — Ja też wstaję, urażony taką niesprawiedliwością. Stoimy twarzą w twarz. — Nic o niej nie wiesz...

— Znam ten typ.

— Skąd? Skąd pani zna ten typ, lady Trevethick? — Podkreślam każdą sylabę, a moje słowa odbijają się echem od błękitnych ścian salonu i oprawionych w kunsztowne ramy obrazów.

Jestem wściekły.

Jak ona śmie osądzać Alessię? Cale życie Caroline, podobnie jak moje, to jedno wielkie pasmo pieprzonych przywilejów.

Blednie i cofa się krok, patrząc na mnie tak, jakbym właśnie ją uderzył.

Cholera.

Chłopie! To ci się wymyka spod kontroli.

Przeczesuję palcami włosy.

— Caroline, to nie koniec świata.

— Dla mnie jest.

— Dlaczego?

Patrzy na mnie wzrokiem, w którym są jednocześnie ból i wściekłość. Potrząsam głową.

— Nie rozumiem. Dlaczego to dla ciebie takie istotne?—A co z nami?
— pyta łamiącym się głosem, szeroko otwierając oczy.

— Nie ma żadnych nas. — Boże, jaka ona jest irytująca. — Pieprzyliśmy się. Byliśmy w żałobie. Nadal jesteśmy. Wreszcie spotkałem kogoś, kto sprawił, że się zatrzymałem, przemyślałem sobie swoje życie i...

— Ale ja myślałam... — Przerywa mi, ale milknie, gdy na nią patrzę.

— Co myślałaś? Ze my? Razem? To już było! Już próbowaliśmy! I wybrałaś mojego brata! — Podnoszę głos.

— Byliśmy młodzi... — szepcze. — A kiedy Kit umarł...

—Nie. Nie. Nie. Nie ma mowy. Nawet nie próbuj wzbudzić we mnie poczucia winy. Do tanga trzeba dwojga, Caroline. To ty zrobiłaś pierwszy ruch, gdy czuliśmy pustkę i ból po stracie. Może to była tylko wymówka. Nie wiem. Ale nie jesteśmy dobrą parą. Nigdy nie byliśmy. Mieliśmy swoją szansę, ale ty odeszłaś pieprzyć się z moim bratem. Wzięłaś go sobie razem z tytułem. A ja nie jestem jakąś cholerną nagrodą pocieszenia.

Wpatruje się we mnie z przerażeniem wypisanym na twarzy.

Cholera.

— Wynoś się! — szepcze.

— Wyrzucasz mnie z mojego własnego domu?

— Ty draniu! Wypierdalaj. Już! — piszczy. Podnosi pusty kieliszek po winie i ciska nim w moją stronę. Kieliszek uderza mnie w udo i spada na drewnianą podłogę, o którą się rozbija. Wpatrujemy się w siebie w pełnej napięcia ciszy.

W jej oczach wzbierają łzy.

A ja już więcej nie zniosę. Obracam się na pięcie i wychodzę, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

ALESSIA ZMIERZA SZYBKO BOCZNĄ ULICZKĄ DO SKLEPU SPOŻYWCZEGO PRZY ROYAL HOSPITAL ROAD. Jest ciemny, zimny wieczór, więc wsuwa ręce głębiej do kieszeni, ciesząc się, że Maxim kupił jej tak ciepłą kurtkę. Nagle dreszcz przechodzi jej po plecach i drobne włoski na karku stają dęba.

Zerka za siebie zaniepokojona, lecz w świetle lamp nikogo nie widać; jest sama, poza kobietą, która idzie z dużym psem drugą stroną ulicy. Alessia kręci głową i ruga się za panikowanie. W Albanii po ciemku bałaby się dżinów — demonów, które wędrują po Ziemi, gdy nastanie zmierzch. Ale wie, że to tylko przesady. Nadal jest nerwowa po spotkaniu z Dantem i Yllim. Tak czy siak, przyspiesza i truchta do końca ulicy, a potem skręca w kierunku Tesco Express.

W sklepie jest większy ruch niż zwykle, a Alessia cieszy się, że w alejkach jest gęsto od klientów. Chwyta koszyk, podchodzi do działu z warzywami i zaczyna wybierać produkty.

— Cześć, Alessio. Jak się miewasz? — W ułamku sekundy uświadamia sobie, że ten spokojny, znajomy głos mówi do niej po albańsku. Zaraz potem strach wypełnia jej serce i duszę.

Nie! On tu jest!

STOJĘ PRZED TREVELYAN HOUSE I PRÓBUJĘ NAD SOBĄ ZAPANOWAĆ. Wściekłymi

ruchami zapinam kurtkę, by chronić się przed lutowym chłodem.

Nie najlepiej poszło.

Zaciskam dłonie w pięści i wsuwam je gwałtownie do kieszeni.

Jestem okropnie zły. Nie mogę w takim stanie wrócić do domu do Alessii. Muszę się przejść, żeby ochłonać. Zamyślony i pełen gniewu skręcam w prawo i ruszam Chelsea Embankment.

Jak Caroline mogła myśleć, że mamy jakąkolwiek szansę?

Za dobrze się znamy. Przecież jesteśmy przyjaciółmi. A przynajmniej ona jest moją najlepszą przyjaciółką. I jest wdową po moim bracie, do jasnej cholery.

Co za pieprzony bajzel!

Szczerze mówiąc, nie miałem pojęcia, że ma wobec mnie zamiary wykraczające poza okazjonalne bzykanko.

Cholera. Ona jest zazdrosna.

Zazdrosna o Alessię.

Ożeż.

Mam w głowie mętlik. Z gniewną miną przecinam Oakley Street i mijam warsztat Mercedesa. Nawet znajome piękno i gracia posągu *Chłopca z delfinem* na rogu nie poprawiają mi humoru. Moja złość jest niczym ciemna noc.

ALESSIA ODWRACA SIĘ Z ŁOMOCZĄCYM SERCEM. Strach błyskawicznie rozprzestrzenia się w jej krwiobiegu. Czuje zawroty głowy i suchość w ustach. Anatoli góruje nad nią, naruszając jej przestrzeń osobistą. Jest tak blisko. Zbyt blisko.

— Szukałem cię — mówi do niej w ojczystym języku. Jego grube wargi wykrzywają się w uśmiechu, który jednak nie sięga jego przenikliwych bladoniebieskich oczu. Przygląda się jej, jakby oczekiwał odpowiedzi. Jego wyrazista twarz jest szczuplejsza, a włosy dłuższe, niż Alessia pamięta. Nachyla się nad nią ubrany w jakiś drogi włoski płaszcz i nawet teraz budzi w niej lęk.

Alessia zaczyna się trząść. Zastanawia się, jak ją znalazł.

— Cz—cz—cześć, Anatoli — jąka się, jej głos drży, ociekając strachem.

—Na pewno potrafisz lepiej, *carissima*. Tak bez uśmiechu witać mężczyznę, którego poślubisz?

Nie. Nie. Nie.

Alessia ma wrażenie, że jakby jej stopy przymarzły do podłogi sklepu. Ogarnia ją rozpacz. Gorączkowo myśli, jak uciec. Otaczają ją klienci sklepu zajęci swoimi zakupami, ale nigdy w życiu nie czuła się tak osamotniona. Są obojętni wobec tego, co dzieje się na ich oczach.

Anatoli delikatnie gładzi jej policzek palcem w rękawiczce, a jej aż przewraca się w żołądku.

Nie dotykaj mnie.

— Przyjechałem, żeby zabrać cię do domu — rzuca swobodnym tonem, jakby rozmawiali zaledwie wczoraj. Alessia wpatruje się w niego, niezdolna wypowiedzieć choćby słowo. — Nie powiesz mi nic miłego? Nie cieszysz się, że mnie widzisz? — W jego oczach lśni irytacja i... coś więcej, coś mroczniejszego. Oczekiwanie? Podziw? Przyjęcie wyzwania?

Alessia czuje, jak żółć podchodzi jej do gardła, ale przełyka ją.

Anatoli chwytą dziewczynę za łokieć i ściska.

— Idziesz ze mną. Wydałem niezłą sumkę, żeby cię wyśledzić. Twoi rodzice rozpaczali po twoim zniknięciu, a ojciec twierdzi, że nie dałaś im żadnego znaku, że u ciebie wszystko w porządku.

Nie wie, co o tym myśleć. Przecież to nie tak. Czy on wie, że matka jej pomagała? Czy u mamy wszystko dobrze? Co mu powiedziała?

Anatoli zaciska dłoń na jej ramieniu.

— Powinnaś się wstydzić. Ale tym zajmiemy się później. Teraz chodźmy po twoje rzeczy. Zabieram cię do domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

IDĘ SZYBKO CHEYNE WALK.

A niech to. Potrzebuję drinka, żeby się, do cholery, uspokoić. Zerkam na zegarek. Alessia nie spodziewa się mnie przed siódmą. Mam czas. Robię zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i ruszam ku Oakley Street. Za cel obrałem sobie pub „Coopers Arms”.

Wiatr mnie smaga, ale nie czuję zimna. Nadal jestem wściekły. Nie mogę uwierzyć w reakcję Caroline.

A może jednak spodziewałem się, że będzie źle.

Naprawdę? Aż tak źle? Żeby wywalić mnie z domu? Ma jaja.

Dotychczas jedyną osobą, która potrafiła mnie tak rozwścieczyć, była moja matka.

Obie są obrzydliwymi snobkami.

Podobnie jak ja.

Cholera.

Ja nie! Nie.

Co powie Caroline, gdy się dowie, że chcę wziąć ślub z Alessią?

Co powie moja matka?

Ożeń się z kimś z pieniędzmi, skarbie.

Kit dobrze wybrał.

Mój ponury nastrój pogłębia się, gdy maszeruję przez mrok.



— NIE PÓJDE Z TOBĄ — MÓWI ALESSIA. GŁOS JEJ DRŻY, ZDRADZAJĄC LĘK.

— Porozmawiamy o tym na zewnątrz. — Anatoli mocniej ściskają za łokieć, aż boli.

— Nie! — Alessia krzyczy i wyswabadza ramię. — Nie dotykaj mnie!

Wpatruje się w nią, szyja mu czerwienieje, a oczy zwężają się w lodowate szpilki. — Dlaczego się tak zachowujesz?

— Wiesz dlaczego.

Zaciska usta w kreskę.

— Przebyłem dla ciebie daleką drogę. I nie wyjadę stąd bez ciebie. Zostałaś mi obiecana przez twojego ojca. Dlaczego nie okazujesz mu należnego szacunku?

Alessia się rumieni.

— Czy to przez jakiegoś mężczyznę?

— Mężczyznę?

Serce Alessii zaczyna szybciej bić. *Czy on wie o Maximie?*

— Jeśli tak, to go zabiję.

— Nie ma żadnego mężczyzny — szepcze szybko, czując, że nie panuje nad własnym lękiem, który wciąga ją coraz głębiej w wir rozpaczy.

— Ta przyjaciółka twojej matki. Przysłała maila. Napisała, że jest jakiś mężczyzna.

Alessia wpada w osłupienie.

Magda?

Anatoli zabiera jej koszyk i ponownie mocno chwyta za łokieć.

— Idziemy — stwierdza i ciągnie ją do automatycznych drzwi, po drodze odstawiając koszyk na miejsce. Alessia, wciąż zszokowana obecnością mężczyzny, pozwala się wyprowadzić na ulicę.



STOJĘ PRZY BARZE, SĄCZĄC JAMESONA. Bursztynowy płyn drażni mi gardło, ale gdy spływa do żołądka, uspokaja burzę nerwów.

Jestem głupcem.

Niewyżytym głupcem.

Wiedziałem, że pieprzenie się z Caroline kiedyś się na mnie zemści i dostanę po dupie.

Ożeż.

Ale ona ma rację. Nigdy nie interesowało mnie nic poza własnym fiutem. Dopóki nie zjawiała się Alessia. Wszystko się wtedy zmieniło.

Na lepsze.

Nigdy wcześniej nie znałem nikogo takiego. Kogoś, kto nie miałby nic — poza talentem, zaradnością i urodą. Zastanawiam się, jak wyglądałoby moje życie, gdybym urodził się w gorszych warunkach. Może byłbym walczącym o przetrwanie muzykiem — o ile w ogóle nauczyłbym się grać. *Cholera*. Tyle rzeczy uważam za oczywiste. Płynąłem sobie przez życie, wszystko podawano mi jak na tacy, nic mnie nie trapiło i robiłem

to, na co miałem ochotę. A teraz muszę zarobić na swoje utrzymanie, a kilkaset osób zależy ode mnie i od moich decyzji. To przytłaczające zadanie i olbrzymia odpowiedzialność, które muszę zaakceptować, jeśli chcę utrzymać swój styl życia.

I pośród tego całego zamieszania spotkałem Alessię. W nieprzyzwoicie krótkim czasie zaczęło mi na niej zależeć bardziej niż na kimkolwiek dotąd. Bardziej niż na mnie samym. Kocham ją, a ona kocha mnie i się o mnie troszczy. Jest niezwykłym darem, cudowną kobietą, która mnie potrzebuje. A ja potrzebuję jej. Jest kobietą, która sprawia, że się zmieniam.

Sprawia, że chcę być lepszym człowiekiem.

Czy nie takiego partnera szuka się właśnie na całe życie?

Ale jest też Caroline. Przygnębiony wpatruję się w szklankę i muszę przyznać, że nie cierpię kłócić się z Caro. Ona naprawdę jest moją najlepszą przyjaciółką. Zawsze nią była. Świat mi się wali, jeśli mamy ze sobą na pieńku. Zdarzało się to od czasu do czasu, gdy Kit był jeszcze z nami i mógł mediować, ale nigdy wcześniej nie wyrzuciła mnie z domu.

Najgorsze jest to, że chciałem poprosić ją o pomoc w ustaleniu statusu prawnego Alessii w Wielkiej Brytanii. Ojciec Caroline jest ważnym dyrektorem w ministerstwie spraw wewnętrznych. Jeśli ktoś mógłby nam pomóc, to właśnie ona.

Ale na razie to wykluczone.

Dopijam whisky. Caroline jakoś się z tym pogodzi.

Mam nadzieję, że się pogodzi.

Ze stukiem odstawiam szklankę na blat i kiwam głową barmanowi. Jest siódma piętnaście. Muszę iść. Pora wrócić do mojej dziewczyny.

ANATOLI CAŁY CZAS TRZYMA ALESSIĘ MOCNO ZA ŁOKIEĆ, PROWADZĄC JĄ ULICĄ W

KIERUNKU APARTAMENTOWCA MAXIMA.

— Jesteś jego gospodynią?

— Tak — odpowiada krótko. Stara się nie panikować, tylko coś wymyślić.

A jeśli Maxim jest w domu?

Anatoli zagroził, że go zabije.

Na myśl o tym, co mógłby mu zrobić, ogarnia ją przerażenie.

Magda musiała napisać do jej matki. *Dlaczego?* Alessia błagała ją przecież, żeby tego nie robiła.

Musi uciec, ale wie, że on by ją dogonił.

Myśl, Alessio, myśl.

— Czyli on cię zatrudnia?

— Tak.

— I to wszystko?

Alessia gwałtownie obraca głowę.

— Oczywiście! — odpowiada z przekonaniem.

Anatoli zatrzymuje się, brutalnie przyciągają do siebie i patrzy na nią spod przymrużonych powiek oczami, w których w słabym świetle ulicznych latarni pobłyskuje podejrzliwość.

— Nie dostał tego, co moje?

Dopiero po chwili Alessia uświadamia sobie, o czym mowa.

— Nie — odpowiada szybko i bez tchu, rumieniąc się tak, że policzki

aż jej płoną w mroźnym lutowym powietrzu. Anatoli powoli kiwa głową, jakby przyjmował jej odpowiedź, a ona odczuwa ulgę.

Wchodzi za nią do apartamentu. Alarm pika, a Alessia cieszy się, że Maxim jeszcze nie wrócił. Anatoli rozgląda się w korytarzu. Dziewczyna kątem oka zauważa, że wysoko unosi brwi. Jest pod wrażeniem.

— Bogaty człowiek, co? — mruczy. Alessia nie wie, czy to było pytanie skierowane do niej, czy nie. — I ty tutaj mieszkasz?

— Tak.

— A gdzie śpisz?

— W tamtym pokoju. — Alessia wskazuje drzwi do pokoju gościnnego.

— A on?

Kiwa głową w kierunku sypialni. Anatoli otwiera drzwi i wchodzi do środka. Alessia stoi w holu sparaliżowana strachem. Czy zdoła uciec?

Mężczyzna zaraz jednak wraca, trzymając mały kosz na śmieci.

— A to? — warczy.

Alessia zapanowuje nad sobą i krzywi nos na widok zużytej prezerwatywy w śmieciach. Wzrusza ramionami, desperacko udając lekceważenie.

— Ma dziewczynę. Właśnie wyszli.

Anatoli odstawia kosz, chyba usatysfakcjonowany jej odpowiedzią.

— Zabierz swoje rzeczy. Zaparkowałem na dole.

Alessia stoi bez ruchu, czując, jak łomocze jej serce.

— Idź. Już. Nie chcę czekać, aż wróci. Nie mam ochoty na żadne sceny.

— Rozpina płaszcz, wsuwa rękę do kieszeni marynarki i wyciąga pistolet. — Mówię poważnie.

Alessia blednie na widok broni. Zapiera jej dech w piersiach ze strachu. Anatoli zabije Maxima, nie ma co do tego wątpliwości. Kręci jej się w głowie. Odmawia w duchu modlitwę do Boga, w którego wierzyła babcia, żeby Maxim nie wracał.

— Przyszedłem cię uratować. Nie wiem, dlaczego tutaj jesteś. Porozmawiamy o tym później. Ale w tej chwili masz spakować swoje rzeczy. Wyjeżdżamy.

Jej los został przypieczętowany. Pojedzie z Anatolim. Musi to zrobić, żeby chronić mężczyznę, którego kocha. Nie ma wyboru. Jak mogła myśleć, że zdoła złamać *besa*, słowo dane przez jej ojca?

Gdy idzie do pokoju gościnnego, w jej oczach wzbierają łzy bezsilnego gniewu. Pakuje się sprawnie i po cichu, choć dłonie jej drżą. Czuje w sobie wściekłość i strach. Chce wyjść, zanim wróci Maxim. Musi. Żeby go chronić.

Anatoli staje w progu. Przesuwa wzrokiem po Alessii i po pustym pokoju.

— Wyglądasz... całkiem inaczej. Po zachodniemu. Podoba mi się.

Alessia nie odpowiada, tylko zamyka torbę. Z jakiegoś powodu cieszy się, że nadal ma na sobie kurtkę.

— Nie rozumiem, dlaczego płaczesz — wydaje się szczerze zdumiony.

— Podoba mi się w Anglii. Chciałabym tu zostać. Byłam tu szczęśliwa.

— Pobawiłaś się, a teraz pora wracać do domu i do obowiązków, *carissima*. — Wsuwa pistolet do kieszeni płaszcza i bierze jej torbę.

— Muszę zostawić liścik — wyrywa się jej.

— Po co?

— Bo tak trzeba. Mój pracodawca będzie się martwić. Był dla mnie dobry. — Niemal dławi się własnymi słowami.

Anatoli patrzy na nią, a dziewczyna nie ma pojęcia, o czym on myśli. Może rozważyć to, co powiedziała.

— Okej — mówi wreszcie. Idzie za nią do kuchni, gdzie obok telefonu leżą notes i długopis. Alessia pisze szybko, starannie dobierając słowa w nadziei, że Maxim będzie w stanie odczytać wiadomość ukrytą między wierszami. Nie wie, jak dobrze Anatoli zna angielski. Nie może ryzykować — nie może napisać tego, co naprawdę chce.

Dziękuję za opiekę.

Dziękuję za pokazanie mi, czym jest miłość.

Ale nie mogę uciec przed przeznaczeniem.

Kocham Cię. Zawsze będę Cię kochać. Aż do śmierci.

Maxim. Moja miłości.

— Co tam napisałaś?

Pokazuje mu kartkę i obserwuje, jak jego wzrok przesuwa się po literach. Anatoli kiwa głową.

— Dobrze. Idziemy.

Alessia kładzie swoje nowe klucze na notatce. Miała je tylko przez kilka bezcennych godzin.

JEST CICHY, MROŻNY WIECZÓR. Wszędzie wokół osiada szron, który lśni lodowatą bielą w świetle latarni. Gdy skręcam za róg, na ulicy jest pusto. Dostrzegam tylko mężczyznę, który zamyka drzwi czarnego mercedesa klasy S zaparkowanego przed moim budynkiem.

— Maxim!

Odwracam się i widzę Caroline, która biegnie w moim kierunku.

Caroline? Co, do...?

Ale coś w tym mężczyźnie od mercedesa przyciąga moją uwagę. Odwracam się, bo to jakaś dziwna scena. On przechodzi na drugą stronę auta. Coś jest nie tak. Czemuś nie dostrzegam. Nagle wyostają mi się wszystkie zmysły. Słyszę skrzyknięcie obcasów Caroline, gdy się zbliża, czuję zapach zimy i Tamizy w powiewach wiatru i wyteżam wzrok, by odczytać numery rejestracyjne tego auta. Nawet z takiej odległości dostrzegam, że to zagraniczne tablice.

Mężczyzna otwiera drzwi od strony kierowcy.

—Maxim! — woła ponownie Caroline. Odwracam się, a ona podbiega do mnie i zarzuca mi ręce na szyję tak gwałtownie, że muszę objąć ją, żebyśmy się oboje nie przewrócili. — Przepraszam, przepraszam — szlocha.

Nic nie odpowiadam, bo moją uwagę znów przyciąga tamten samochód. Kierowca wsiada i zatrzaskuje drzwi, a Caroline ciągle mnie przeprosza. Ignoruję ją, widząc, jak miga kierunkowskaz i mercedes zjeżdża z krawężnika na oświetloną lampami ulicę.

I wtedy widzę. Malutką czerwono—czarną flagę Albanii na tablicy rejestracyjnej.

ALESSIA SŁYSZY, JAK KTOŚ NA ULICY WOŁA MAXIMA. Odwraca się na siedzeniu pasażera, gdy Anatoli otwiera drzwi od strony kierowcy. Maxim stoi na końcu ulicy, a jasnowłosa kobieta wpada mu w objęcia i przytula go.

Kto to jest?

On przytrzymuje jej głowę.

Nie!

I obejmuje ją w talii.

I wtedy sobie przypomina — to ta kobieta, która miała na sobie jego koszulę i stała w jego kuchni.

Alessio, to moja przyjaciółka i bratowa, Caroline.

Anatoli zatrzaskuje drzwi auta, sprawiając, że dziewczyna podskakuje i zmusza się, by patrzeć przed siebie.

Jego bratowa? Przecież jego brat nie żyje.

Caroline jest wdową.

Alessia tłumi szloch.

Tam właśnie był. U Caroline. A teraz przytulają się na środku ulicy. Zdrada jest szybka i okrutna, rozdziera Alessię na pół i druzgocze jej wiarę w siebie — i w niego.

W niego. Jej mężczyznę.

Łza spływa jej po policzku, gdy Anatoli włącza silnik. Sprawnie wyjeżdża z miejsca parkingowego i oddala się od jedyne go szczęścia, jakiego Alessia zaznała w swoim życiu.

— SZLAG BY TO! — WRZESZCZE, CZUJĄC W GŁĘBI TRZEWI MROCZNY, ŚMIERTELNY LĘK.

Caroline zamiera.

— O co chodzi?

—Alessia! — Zostawiam Caroline i pędzę ulicą, ale mogę tylko popatrzeć, jak mercedes znika w oddali.

— Kurwa mać! Nie znowu! — Chwytam się za włosy obiema rękami w poczuciu bezradności. Całkowitej bezradności.

— Maxim, co się dzieje? — Caroline staje obok mnie.

— Mają ją! — Grzebię w poszukiwaniu kluczy, żeby otworzyć drzwi wejściowe.

— Kto? O czym ty mówisz?

— Mają Alessię. — Wpadam przez drzwi i omijam windę. Zostawiam Caroline na dole schodów i biegiem pokonuję sześć kondygnacji do mojego mieszkania. Gdy otwieram drzwi, odzywa się alarm, potwierdzając moje najgorsze obawy.

Alessii nie ma.

Wyłączam brzęczyk i nasłuchuję ze złudną nadzieją, że się mylę. Oczywiście nie słyszę niczego poza wiatrem grzechoczącym o świetlik w korytarzu i krwią pulsującą mi w uszach.

Gorączkowo sprawdzam każde pomieszczenie, a moja wyobraźnia pracuje na najwyższych obrotach. Mają ją. Znowu ją dopadli. Moją słodką, dzielną dziewczynę. Co te potwory jej zrobią? W mojej sypialni nie ma jej ubrań. Nie ma ich też w pokoju gościnnym...

W kuchni znajduję klucze i liścik.

Panie Maximie,

*Mój narzeczony tu jest i zabiera mnie do domu, do
Albanii.*

Dziękuję za wszystko, Alessia.

— Nie! — krzyczę ogarnięty rozpaczą. Chwytam telefon i ciskam nim o ścianę. Rozbija się na kawałki, a ja opadam na podłogę i chowam głowę

w dłoniach.

Po raz drugi w ciągu mniej niż tygodnia mam ochotę się rozpłakać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

— MAXIMIE, CO TU SIĘ DZIEJE, DO CHOLERY?

Odrywam ręce od głowy i widzę stojącą w drzwiach Caroline. Włosy ma potargane, a ubranie w nieładzie, ale jest znacznie spokojniejsza niż przed chwilą.

— Zabrał ją — mówię ochryple, starając się zapanować nad wściekłością i rozpaczą.

— Kto taki?

— Jej narzeczony.

— Alessia ma narzeczonego?

— To skomplikowane.

Krzyżuje ramiona i marszczy brwi. Chyba naprawdę się o mnie martwi.

— Wyglądasz na zdruzgotanego.

Zwracam ku niej płonący wzrok.

— Bo jestem. — Wstaję ociężale. — Myślę, że kobieta, z którą chcę się ożenić, właśnie została porwana.

— Ożenić? — Caroline blednie.

— Tak, ożenić, do cholery!

Mój głos niesie się echem po pokoju, a słowa zawisają między nami, przepełnione żalem i wzajemnym oskarżeniem. Caroline wsuwa za ucho kosmyk włosów i zamyka oczy. Kiedy znów je otwiera, mają twarde,

zdecydowany wyraz.

— Cóż, w takim razie musisz za nią jechać — mówi.

ALESSIA NIEWIDZĄCYM WZROKIEM SPOGLĄDA PRZEZ SZYBĘ SAMOCHODU, zalewając się łzami, których nie jest w stanie powstrzymać. Płacze pogrążona w żalu i rozpacz.

Maxim i Caroline.

Caroline i Maxim.

Czy to, czego z nim zaznała, było wyłącznie kłamstwem?

Nie! Nie potrafi tak myśleć. Powiedział, że ją kocha — a ona mu uwierzyła. I nadal chce w to wierzyć, ale teraz, oczywiście, nie ma to już żadnego znaczenia. I tak nigdy więcej go już nie ujrzy.

— Czemu płaczesz? — pyta Anatoli, ona jednak go ignoruje.

Nie obchodzi jej, co z nią teraz zrobi. Ma złamane serce i wie, że nic go już nigdy nie uleczy. Anatoli włącza radio i z głośników zaczyna płynąć żywa piosenka szarpiąca nerwy Alessii. Dziewczyna podejrzewa, że Anatoli chce w ten sposób odgradzić się od jej cichego płaczu. Podaje jej pudełko z chusteczkami, jednocześnie pogłaśniając muzykę.

— Masz. Wytrzymaj oczy. Wystarczy już tych hysterii, bo inaczej dam ci prawdziwy powód do płaczu.

Alessia wyjmuje garść chusteczek i dalej gapi się przez okno. Nie potrafi się zmusić, żeby na niego spojrzeć.

Wie, że ją zabije.

I nic nie może na to poradzić.

Może uda się jej uciec. Gdzieś w Europie. Może zdoła wybrać sposób, w jaki umrze... Przymyka oczy i pogrąża się w swojej własnej wizji piekła.

— JECHAĆ ZA NIĄ? — PYTAM, MYŚLĄC GORĄCZKOWO.

— Tak — mówi Caroline z naciskiem. — Ale muszę zapytać, dlaczego uważasz, że została porwana.

— Zostawiła list.

— List?

— Proszę. — Podaję jej wymiętą kartkę papieru i się odwracam. Pocierając twarz, usiłuję zebrać rozproszone myśli.

Dokąd ją wywiezie?

Czy poszła z nim z własnej woli?

Nie. Czują do niego wyłącznie obrzydzenie.

Ten drań próbował połamać jej palce!

Musiał ją przymusić.

Ale jak, do cholery, ją znalazł?

— Maximie, z tego listu nie wynika, że została porwana. Nie pomyślałeś, że może postanowiła po prostu wrócić do domu?

— Caro, ona nie odeszła dobrowolnie. Uwierz mi. Muszę ją odzyskać.

Ożeż.

Rzucam się do salonu, mijając Caroline.

— Jasna cholera!

— Co znowu?

— Do diabła, przecież nie mam komputera!

— POTRZEBUJĘ TWOJEGO PASZPORTU — MÓWI ANATOLI, KIEDY PĘDZĄ LONDYŃSKIMI ULICAMI.

—Co?

— Będziemy jechać przez Eurotunel. Muszę mieć twój paszport.

Eurotunel! O nie!

Alessia przełyka nerwowo ślinę. To się dzieje naprawdę. Wywozi ją do Albanii.

— Nie mam paszportu.

— Co to znaczy, że nie masz paszportu?

Alessia patrzy na niego bez słowa.

— Dlaczego, Alessio? Powiedz mi! Zapomniałaś go wziąć? Nie rozumiem — mówi ze zmarszczonym czołem.

— Przeszmuglowali mnie tutaj dwaj mężczyźni. To oni wzięli mój paszport.

— Przeszmuglowali? Mężczyźni? — Zaciska szczęki, a na policzku pulsuje mu mięsień. — Co tu się dzieje?

Jest zbyt zmęczona i załamana, żeby mu tłumaczyć.

— Nie mam paszportu.

— Kurwa mać! — Anatoli wali otwartą dłońią w kierownicę.

Na dźwięk uderzenia Alessia cała się kuli.

— ALESSIO, OBUDŹ SIĘ.

Coś się zmieniło. Alessia jest zdezorientowana.

Maxim?

Otwiera oczy i czuje, jak jeszcze bardziej pogrąża się w piekle. Jest z Anatolim, a samochód stoi na poboczu drogi. Panuje noc, ale w blasku przednich świateł Alessia widzi, że znajdują się na jakiejś wiejskiej drodze pośród zamrzniętych pól.

— Wsiądź z samochodu — rozkazuje Anatoli.

Dziewczyna patrzy na niego i czuje, jak budzi się w niej nikła nadzieja.

Zostawi ją tutaj. Będzie mogła wrócić. Raz już to zrobiła.

— Wsiadaj — powtarza, tym razem bardziej zdecydowanie, po czym sam staje na zewnątrz, obchodzi pojazd i otwiera drzwi z jej strony. Chwyta ją za rękę i wyszarpuje z auta. Prowadzi ją do tyłu i otwiera bagażnik. Poza małą walizką na kółkach i jej torbą niczego w nim nie ma.

— Musisz tu wejść.

— Co? Nie!

— Inaczej się nie da. Nie masz paszportu. Włóż do środka.

— Anatoli, proszę. Nienawidzę ciemności. Błagam cię.

Mężczyzna marszczy gniewnie czoło.

— Włóż albo wsadzę cię tam siłą.

— Anatoli, proszę cię, nie. Nie znoszę ciemności!

Podchodzi bliżej. Podnosi ją, wrzuca do bagażnika i zanim Alessia zdąży zareagować, zatrzaskuje klapę.

— Nie! — wrzeszczy dziewczyna.

W bagażniku panują nieprzeniknione ciemności. Alessia zaczyna kopać i krzyczeć, czując, jak mrok wypełnia jej płuca i dusi dokładnie tak jak tamten czarny plastikowy worek, kiedy po raz pierwszy przepływała Kanał.

Nie może oddychać. Nie może oddychać. Krzyczy.

Tylko nie ciemność. Nie. Nie ciemność. Nienawidzę ciemności.

Po chwili klapa się unosi i oślepiające światło razi jej oczy. Mruga.

— Masz. Weź to. — Anatoli podaje jej latarkę. — Nie wiem, jak długo wytrzyma bateria, ale nie mamy wyboru. Jak już będziemy w tunelu, otworzę bagażnik.

Oszołomiona Alessia bierze od niego przedmiot i przytula go mocno do piersi. Anatoli przesuwa jej torbę, żeby mogła oprzeć na niej głowę, a potem zdejmuje płaszcz i przykrywa dziewczynę.

— Może ci być zimno. Nie wiem, czy w bagażniku działa ogrzewanie. Najlepiej się prześpij. I bądź cicho. — Mierzy ją surowym spojrzeniem i znowu zamyka klapę.

Alessia ściska kurczowo latarkę, starając się zapanować nad oddechem. Tymczasem samochód rusza. Dziewczyna w myślach zaczyna grać Preludium d—mol nr 6 Bacha. Cudowne odcienie błękitu i zieleni rozbłyskują w jej głowie. Porusza palcami, wystukując każdą nutę na latarce.

BUDZI SIĘ GWAŁTOWNIE. ZASPANA SPOGLĄDA NA ANATOLEGO, KTÓRY OTWORZYŁ BAGAŻNIK

I NACHYLA SIĘ NAD NIĄ. Jego oddech zamienia się w obłoczek pary podświetlony przez samotną latarnię na jakimś parkingu. Twarz ma surową i poszarzałą.

— Czemu tak długo się budziłaś? Myślałem, że straciłaś przytomność.
— W jego głosie słyszę ulgę.

Ulgę?

— Zostaniemy tu na noc.

Alessia mruga, otulając się szczelniej płaszczem. Jest otumaniona płaczem i ma zapuchnięte oczy. Nie chce spędzać nocy z tym mężczyzną.

— Wyłaż — warczy Anatoli i wyciąga do niej rękę.

Wzdychając, Alessia siada. Lodowaty wiatr sprawia, że włosy zasłaniają jej twarz. Zesztywniała gramoli się z bagażnika, nie przyjmując wyciągniętej ręki Anatolego. Nie chce, żeby jej dotykał. On jednak sięga tylko po swój płaszcz, który szybko na siebie narzuca. Chwyta swoją walizkę, a Alessii podaje torbę, po czym zatrzaskuje bagażnik.

Na parkingu stoją jeszcze tylko dwa inne samochody. Nieopodal widać przysadzisty, nijaki budynek Alessia domyśla się, że to hotel.

— Chodź ze mną.

Anatoli szybkim krokiem rusza w stronę hotelu. Alessia cichutko stawia swoją torbę na ziemi, odwraca się i zaczyna biec.

WPATRUJĘ SIĘ W SUFIT, ROZWAŻAJĄC W KÓŁKO WSZYSTKO, CO PRZEDSIĘWZIĄŁEM OD CHWILI PORWANIA ALESSII. Jutro razem z Tomem lecę do Albanii. Trochę mi nie na rękę, że w tak krótkim czasie nie udało się załatwić prywatnego odrzutowca i musimy lecieć normalnym samolotem rejsowym. Dzięki Magdzie mam adres rodziców Alessii, ale wiem, że to właśnie ona zdradziła narzeczonemu Alessii jej miejsce pobytu. O tym staram się nie myśleć. Wściekłość niemal mnie wtedy zaślepia.

Zachowaj spokój, brachu.

Na lotnisku wynajmiemy samochód i pojedziemy do Tirany, gdzie prześpimy się w hotelu Plaza. Tam też spotkamy się z załatwionym przez Toma tłumaczem, który następnego dnia zabierze nas do Kukës.

Zostaniemy tam tak długo, jak będzie trzeba. Zaczekamy na Alessię i jej porywacza.

Kolejny raz tego wieczoru żałuję, że nie kupiłem jej telefonu. To dla mnie nie do zniesienia, że nie mogę się z nią skontaktować.

Mam nadzieję, że nic jej nie jest.

Zamykam oczy, wyobrażając sobie koszarne rzeczy. Moja słodka dziewczyna.

Moja słodka, kochana Alessia.

Jadę po ciebie. Nie zostawię cię.

Kocham cię.

ALESSIA BIEGNIJE NA OŚLEP PRZEZ CIEMNOŚĆ, NAPĘDZANA ADRENALINĄ. Najpierw po asfalcie, potem po szorstkiej trawie. Za sobą słyszy krzyk. To on. Słyszy, jak jego stopy uderzają w zamrzniętą ziemię. Jest coraz bliżej.

I bliżej.

Nagle cisza.

Wbiegł na trawę.

Nie.

Wyteża siły w nadziei, że jej stopy dadzą radę uciec. Niestety, Anatoli

ją łapie i razem się przewracają. Przygważdża ją do ziemi z taką siłą, że zmarznięta trawa rani jej twarz. Anatoli leży jej na plecach i ciężko dyszy.

— Ty głupia dziwko. Dokąd się wybierasz o tej porze? — syczy jej do ucha. Klęka i szarpie nią tak długo, aż udaje mu się przewrócić ją na plecy. Wtedy siada na niej okrakiem i z całej siły wali w twarz, a jej głowa przekręca się na bok. Nachyla się, chwytają za gardło i zaczyna dusić.

Zabije ją.

Nie walczy z nim.

Patrzy. Nie odrywa od niego wzroku. W jego zimnych błękitnych oczach widzi mrok jego serca. Jego nienawiść. Wściekłość. Poczucie niższości. Anatoli ściska coraz mocniej, wyduszając z niej życie. Alessia zaczyna tracić przytomność. Chwyta jego ręce.

Oto jak umrze.

Widzi swój koniec. Tutaj, gdzieś we Francji, z ręki tego okrutnego mężczyzny. Pragnie śmierci. Nie może się jej doczekać. Nie chce życia w strachu, takiego jakie wie dzie jej matka.

— Zabij mnie — mówi bezgłośnie, poruszając tylko ustami.

Anatoli mamrocze coś niezrozumiale... i puszcza.

Alessia łapie gwałtownie powietrze, przykładając dłonie do gardła. Kaszle i pluje, rozczarowana, że własne ciało jej nie słucha, tylko walczy o życie, o choćby najmniejszy haust powietrza.

Dyszy.

— Właśnie dlatego nie chcę za ciebie wyjść — mówi cichym, słabym głosem, pokonując obolałe struny głosowe.

Anatoli chwytają za szczękę i nachyla się nad nią tak blisko, że czuje na twarzy ciepło jego oddechu.

— Kobieta jest jak worek, który musi wszystko znosić — warczy z wyszczerzonymi zębami i okrutnym błyskiem w oczach.

Alessia patrzy na niego, czując, jak gorące łzy spływają jej po policzkach i gromadzą się w małżowinach uszu. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że płacze. Anatoli zacytował właśnie Kanun Leków Dukagjini, prymitywny feudalny kodeks, który od wieków rządził plemionami na północy i wschodzie jej kraju. Jego zasady wciąż obowiązują.

Anatoli się podnosi.

— Wolę umrzeć, niż być z tobą — mówi Alessia wyzbytym z emocji głosem.

Zaskoczony mężczyzna ściąga brwi.

— Nie gadaj bzdur. — Wolno podnosi się na nogi. — Wstawaj.

Kaszle i podnosi się, obolała. Anatoli chwyta ją za łokieć i prowadzi do miejsca, w którym porzuciła wcześniej torbę. Podnosi pakunek, a kilka kroków dalej chwyta swoją walizkę.

Meldunek w hotelu trwa tylko chwilę. Alessia trzyma się z tyłu, podczas gdy Anatoli pokazuje swój paszport i wręcza kartę kredytową. Mówi biegle po francusku, ale ona jest zbyt zmęczona i obolała, by się temu dziwić.

W spartańskim apartamencie są dwa pokoje; przy salonie wypełnionym szarymi meblami urządzono też małą wnękę kuchenną. Ściana nad kanapą jest pomalowana w wesołe różnokolorowe pasy. Przez otwarte drzwi do drugiego pokoju Alessia dostrzega dwa podwójne łóżka. Oddycha z ulgą. Dwa łóżka. Nie jedno. Dwa.

Anatoli stawia jej torbę na podłodze, zdejmuje płaszcz i rzuca go na kanapę. Alessia patrzy na niego, słysząc w uszach dudnienie własnej krwi. W panującej ciszy ten dźwięk jest ogłuszający.

Co teraz? Co on zrobi?

— Masz brudną twarz. Idź, doprowadź się do porządku. — Anatoli pokazuje na łazienkę.

— A czyja to wina? — pyta z gniewem Alessia.

Anatoli patrzy na nią wściekle, a ona po raz pierwszy zauważa jego bladą twarz i zaczerwienione oczy. Wygląda na wyczerpanego.

— Zrób, co mówię. — Nawet głos ma zmęczony.

Alessia przechodzi przez sypialnię do łazienki i zatrząskuje za sobą drzwi z taką siłą, że aż sama podskakuje wystraszona.

Pomieszczenie jest małe i brudne. W mdłym świetle lampy nad lustrem Alessia widzi swoje odbicie i wstrzymuje oddech. Jedną stronę twarzy ma czerwona od policzka, który jej wymierzył, drugą podrapaną przez zamarznąłą trawę, kiedy runęła na ziemię. Na szyi widnieją krwistoczerwone odciski jego palców. Jutro zmienią barwę na siną. Najbardziej jednak przerażają ją własne oczy. Spoglądają na nią spod napuchniętych powiek, bez wyrazu, pozbawione życia.

Już jest martwa.

Szybkimi, automatycznymi ruchami obmywa twarz, krzywiąc się, kiedy mydło szczypie ją w poranioną skórę. Ostrożnie wyciera się ręcznikiem.

Kiedy wraca do salonu, widzi, że Anatoli zdjął marynarkę i sprawdza zawartość minibarku.

— Jesteś głodna? — pytają.

W odpowiedzi kręci tylko przecząco głową.

Anatoli nalewa sobie drinka — chyba szkoocką — i jednym haustem opróżnia całą szklankę, z zamkniętymi oczami rozkoszując się smakiem. Kiedy je otwiera, wydaje się znacznie spokojniejszy.

— Zdejmij kurtkę — mówi.

Alessia nawet nie drgnie.

Mężczyzna szczypie się w grzbiet nosa.

— Alessio, nie chcę się z tobą kłócić. Jestem zmęczony. Tutaj jest ciepło, a jutro znowu będziemy na zimnie. Proszę, zdejmij kurtkę.

Niechętnie robi, co każe, skrępowana jego spojrzeniem.

— Podobasz mi się w dżinsach — mówi, ale ona nie jest w stanie na niego spojrzeć. Kiedy tak na nią patrzy, czuje się jak wystawiona na aukcję owca. Słyszy brzęk butelek, ale tym razem Anatoli wyjmuje z lodówki butelkę wody Perrier. — Masz, na pewno chce ci się pić. — Nalewa wodę do szklanki, którą wyciąga w jej stronę.

Po chwili wahania Alessia bierze ją i pije.

— Dochodzi północ. Powinniśmy iść spać.

Ich spojrzenia się spotykają. Anatoli uśmiecha się paskudnie.

— Ach, *carissima*, po tych wszystkich wygłupach, jakie urządziłaś mi na zewnątrz, powinienem sobie ciebie wziąć. — Łapie ją za brodę, a ona kuli się, kiedy jego palce muskają jej skórę.

Nie dotykaj mnie.

— Jesteś taka piękna — mruczy Anatoli pod nosem, jakby mówił tylko do siebie. — Ale teraz nie mam siły, żeby z tobą walczyć. Walczyłabyś, prawda?

Alessia zamyka oczy, próbując zapanować na zalewającą ją falą mdłości. Anatoli śmieje się cicho i całuje ją delikatnie w czoło.

— Nauczysz się mnie kochać — szepcze.

Podnosi ich torby i zanosi je do sypialni.

Nigdy.

Facet postradał zmysły.

Jej serce należy do innego. Zawsze będzie należało do Maxima.

— Przebierz się w coś do spania — rozkazuje Anatoli. Alessia kręci odmownie głową.

— Będę spać w ubraniu. — Nie ufa mu.

Przekrzywia głowę, patrząc na nią surowo.

— Nie. Masz się rozebrać. Bez ubrania mi nie uciekniesz.

— Nie. — Alessia krzyżuje ramiona.

— Nie, że nie uciekniesz, czy nie, że się nie rozbierzesz?

— Jedno i drugie.

Wzdycha sfrustrowany i znużony.

— Nie wierzę ci, ale nie rozumiem także, dlaczego chcesz uciec.

— Bo jesteś złym, okrutnym człowiekiem, Anatoli. Czemu miałabym chcieć spędzić z tobą życie? — mówi beznamiętnym głosem.

Mężczyzna wzrusza ramionami.

— Nie mam siły na tę rozmowę. Kładź się do łóżka.

Nie czekając, aż Anatoli zdąży zmienić zdanie, Alessia zmyka do sypialni. Tam ściąga buty i kładzie się na łóżku stojącym dalej od wejścia, odwracając się do narzeczonego plecami.

Słyszy, jak mężczyzna chodzi po pokoju, rozbiera się i składa swoje ubranie. Z każdym jego ruchem i z każdym dźwiękiem jej niepokój rośnie. Po zdającej się trwać wieczność chwili słyszy miękkie kroki bosych stóp zbliżające się do jej łóżka. Anatoli staje nad nią. Ma płytki oddech i Alessia wie, że wodzi po niej wzrokiem. Z całej siły

zaciska powieki, udając, że śpi.

Anatoli cmoka, rozlega się szelest pościeli i Alessia ze zdumieniem stwierdza, że mężczyzna nakrywa ją kocem. Gasi światło, pogrążając pokój w ciemności, a materac się ugina, kiedy Anatoli kładzie się obok niej.

Nie! Powinien spać na drugim łóżku!

Alessia sztywnieje, on jednak wsuwa się pod kołdrę. Dziewczyna wciąż leży na pościeli. Anatoli kładzie na niej rękę i przysuwa się bliżej.

— Poczuję, jeśli spróbujesz wstać — mówi i całuje ją we włosy.

Alessia wzdryga się z obrzydzeniem i chwyta w palce swój złoty krzyżyk. Po chwili jego równy oddech mówi jej, że zasnął.

Leży wpatrzona w ciemność, której się lęka, ale teraz marzy, by ją pochłoneła. Łzy nie chcą już płynąć. Wylała wszystkie.

Co robi Maxim?

Tęskni za nią?

A może jest z Caroline?

Widzi kobietę w objęciach Maxima, który tuli ją mocno do siebie, i ma ochotę wyć.

ALESSIA CZUJE, ŻE JEST JEJ ZA GORĄCO. Słyszy czyjś szemrzący głos. Na sekundę unosi jedną powiekę, nie mając pojęcia, gdzie się znajduje.

Nie. Nie. Nie.

Kiedy sobie przypomina, strach i rozpacz zalewają ją bez reszty.

Anatoli.

To on rozmawia przez telefon w pokoju obok. Alessia siada i zaczyna słuchać.

— Nic jej nie jest... Nie. Nic z tych rzeczy... Nie chce wracać do domu. Nie rozumiem tego. — Mówi do kogoś po albańsku, zmartwiony i zdenerwowany. — Nie wiem... Może... Był jeden mężczyzna. Pracowała u niego. Ten, o którym było napisane w mailu.

Mówi o Maximie!

— Twierdzi, że tylko u niego sprzątała, ale sam nie wiem, Jak.

Jak! Rozmawia z jej ojcem!

— Bardzo ją kocham. Jest taka piękna.

Co? Przecież on nie ma pojęcia, co znaczy „kochać”.

— Jeszcze mi nie powiedziała. Ale ja też chcę wiedzieć. Dlaczego wyjechała? — Głos mu się załamuje. Jest poruszony.

Wyjechałam przez ciebie!

Wyjechała, żeby być od niego najdalej, jak to tylko możliwe.

— Tak. Przywiozę ci ją z powrotem. Dopilnuję, żeby nic się jej nie stało.

Alessia dotyka swojej wciąż obolałej szyi. Co on wygaduje? *Nic się jej nie stało?*

Kłamca.

— Ze mną jest bezpieczna.

Ha! Alessia niemal parska śmiechem, słysząc ironię tego stwierdzenia.

— Jutro wieczorem... Tak... Do widzenia.

Słyszy, jak Anatoli idzie przez pokój i nagle staje w drzwiach ubrany tylko w spodnie i podkoszulek

— Obudziłaś się?

— Niestety, na to wygląda.

Patrzy na nią dziwnie, ale nie komentuje jej słów.

— Na stole czeka śniadanie.

— Nie jestem głodna.

Czuje nagły przypływ odwagi. Już jej nie zależy. Teraz, kiedy wie, że Maximowi nic nie grozi, może się zachowywać tak, jak ma ochotę.

Anatoli pociera dłonią szczękę i patrzy na nią w zamyśleniu.

— Jak sobie chcesz — mówi. — Za dwadzieścia minut wyjeżdżamy. Przed nami długa droga.

— Nigdzie z tobą nie jadę.

Przewraca oczami.

— *Carissima*, nie masz wyboru. Nie utrudniaj nam tego. Nie chcesz zobaczyć matki ani ojca?

Mama.

Anatoli unosi brwi. Dostrzega pęknięcie w jej zbroi i czując zwycięstwo, rusza do ataku.

— Tęskni za tobą.

Alessia wychodzi z łóżka i w milczeniu bierze swoją torbę. Obchodzi go możliwie jak najszerzym lukiem, a potem wchodzi do łazienki, żeby się umyć i przebrać.

Ma pieniądze. Może *powinna* wrócić do Albanii. Mogłaby wyrobić nowy paszport i wizę, a potem pojechać z powrotem do Anglii.

Może jednak powinna zostać przy życiu.

Kiedy pospiesznie suszy włosy ręcznikiem, czuje, że ma nowy cel.

Wróci do Maxima. I przekona się na własne oczy. Dowie się, czy to, co ich łączyło, było kłamstwem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

ALESSIA DRZEMIE NA PRZEDNIM SIEDZENIU. JADĄ AUTOSTRADĄ, PĘDZĄC O WIELE ZA SZYBKO. Są w drodze od wielu godzin, minęli już Francję, Belgię, a teraz są chyba gdzieś w Niemczech. Jest chłodny, mokry zimowy dzień, a okolica wydaje się płaska i ponura. Pasuje do nastroju Alessii. Nie. Alessia nie jest po prostu ponura — jest bezgranicznie smutna.

Anatoli najwyraźniej zawziął się, by jak najszybciej dotrzeć do Albanii. Słucha akurat jakiejś prowadzonej po niemiecku dyskusji w radiu, z której Alessia nic nie rozumie. Monotonia głosów, nieustanny szum jadących drogą samochodów i ponury widok za oknem otępiają zmysły. Dziewczyna marzy tylko o tym, żeby zasnąć. Kiedy śpi, jej cierpienie jest jak cichy szmer, jak zakłócenia w radiu. Przynajmniej to nie ten przejmujący ból, który rozdziera jej serce, kiedy jest świadoma.

Jej myśli biegną do Maxima.

Ból się nasila.

Przestań. To nie do zniesienia.

Zmęczone oczy kieruje na swojego „oblubieńca”, przyglądając mu się badawczo. Jego twarz wydaje się zastygła w tak potrzebnym skupieniu, gdy mercedes pokonuje kilometr za kilometrem. Jasna cera zdradza północnowłoskie korzenie; Anatoli ma prosty nos, pełne usta i rzadko spotykane w jej mieście blond włosy, które są teraz długie i potargane. Alessia potrafi spojrzeć na niego obiektywnie i stwierdzić, że jest przystojny, ale jego usta zdradzają okrucieństwo, a oczy, gdy piorunuje ją wzrokiem, są przenikliwe i zimne.

Przypomina sobie, jak go poznała. Jaki był wtedy czarujący. Ojciec powiedział jej, że Anatoli prowadzi zagraniczne interesy. Podczas tamtego spotkania wydawał się taki szykowny i mądry. Dużo podróżował, a ona jak urzeczona słuchała jego opowieści o Chorwacji,

Włoszech i Grecji — tajemniczych, obcych krajach. Była nieśmiała, ale cieszyła się, że ojciec wybrał dla niej takiego światowego człowieka.

Jak niewiele wtedy wiedziała.

Po kilku spotkaniach zaczęła dostrzegać jego prawdziwe oblicze. Irracjonalny wybuch gniewu, gdy grupka dzieci z czystej ciekawości obstała jego samochód w trakcie wizyty; zawziętość, z jaką spierał się z jej ojcem o politykę; cichy podziw, z jakim patrzył, kiedy ojciec rugał matkę za to, że rozlała trochę raki — wszystko to było zapowiedzią tego, co miało ją czekać. Kilka razy nawet zbeształ Alessię, ale jego prawdziwą naturę hamowały zasady dobrego wychowania.

Mroczne oblicze Anatolego ukazało się w końcu na weselu jednego z miejscowych dygnitarzy. Alessia grała na fortepianie. Kiedy skończyła, podeszło do niej dwóch młodych chłopców, których znała jeszcze ze szkoły. Flirtowali z nią, dopóki Anatoli nie zabrał jej do innego pokoju, z dala od zabawy. Alessia, czując w duchu radosną ekscytację, myślała, że chce jej skraść całusa, jako że pierwszy raz znaleźli się sam na sam. Ale nie — Anatoli był wściekły. Uderzył ją mocno w twarz. Dwa razy. To był szok, mimo że życie z ojcem przygotowało ją na takie fizyczne przejawy złości.

Drugi incydent miał miejsce w szkole. Po recitalu jakiś młody mężczyzna podszedł do niej, by zadać kilka pytań. Anatoli przepędził go i zawlókł Alessię do szatni. Tam uderzył ją kilka razy, po czym złapał za ręce i wygiął palce, grożąc, że je połamie, jeśli jeszcze raz przytapie ją na flirtowaniu. Błagała go, żeby puścił, i łaskawie jej wysłuchał, ale przewrócił ją na podłogę i zostawił w szatni samą, całą we łzach.

Za pierwszym razem nikomu nie powiedziała o jego napadzie. Usprawiedliwiała go. To był tylko ten jeden raz. Źle się zachowała. Prowokowała tamtych chłopców, uśmiechając się do nich.

Za drugim razem była zdruzgotana.

Pomyślała, że może powinna przerwać tę spiralę przemocy, zanim utknie w niej tak jak jej matka. To właśnie ona znalazła ją skuloną i

roztrzęsioną na podłodze.

Nie chcę, żebyś szła przez życie u boku agresywnego mężczyzny.

Rozpłakały się obie.

A potem matka postanowiła działać.

Ale wszystko to na nic.

Oto gdzie się teraz znalazła — z nim.

Anatoli zerka na nią z boku.

— O co chodzi?

Alessia, ignorując go, odwraca wzrok i wygląda przez okno.

— Powinniśmy się zatrzymać. Jestem głodny, a ty nic nie jadłaś.

Alessia nadal go ignoruje, choć rzeczywiście żołądek aż się jej ściska, przypominając sześciodniową wędrówkę do Brentford.

— Alessia! — warczy Anatoli, a ona aż podskakuje. Odwraca do niego głowę:

— Co?

— Mówię do ciebie.

Wzrusza ramionami.

— Porwałeś mnie. Nie chcę z tobą być, a ty spodziewasz się miłej rozmowy?

— Nie wiedziałem, że potrafisz być taka nieprzyjemna — mruczy.

— Dopiero się rozkręcam.

Jego usta drżą i ku zdziwieniu Alessii Anatoli wydaje się rozbawiony.

— Jedno, co można o tobie powiedzieć, *carissima*, to że nie jesteś nudna. — Włącza kierunkowskaz i zjeżdżają z autostrady na MOP. — Tu jest jakaś kawiarnia. Zjedźmy coś.

ANATOLI STAWIA PRZED NIĄ TACĘ, NA KTÓREJ SĄ CZARNA KAWA, KILKA SASZETEK CUKRU, BUTELKA WODY I BAGIETKA Z SEREM.

— Nie mogę uwierzyć, że cię obsługuję — mamrocze, siadając. — Jedz.

— Witaj w dwudziestym pierwszym wieku — odparowuje Alessia i na znak buntu krzyżuje ręce na piersi.

Anatoli zaciska zęby.

— Drugi raz nie powtórzę.

— No pokaż, na co cię stać, Anatoli. I tak nic nie przełknę. Kupiłeś to wszystko, to sobie teraz jedz — odszczekuje mu, nie zważając na burczenie w brzuchu.

Jego oczy rozbłyskują zaskoczeniem, ale zaciska mocno wargi. Alessia podejrzewa, że w ten sposób próbuje powstrzymać uśmiech. Mężczyzna z westchnieniem wyciąga rękę po bagietkę i bierze teatralnie wielki kęs. Z pełnymi ustami wygląda absurdalnie, a przy tym wydaje się idiotycznie z siebie zadowolony, tak bardzo, że Alessii mimowolnie wyrывa się krótki chichot.

Na twarz Anatolego wypływa uśmiech — prawdziwy, obejmujący nawet oczy. Patrzy na nią ciepło i nie próbuje już ukryć rozbawienia.

— Proszę — mówi i podaje jej resztę bagietki.

Akurat w tej chwili jej brzuch odzywa się głośno, a on, gdy to słyszy, szczerzy się jeszcze bardziej. Alessia patrzy najpierw na kanapkę, potem

na niego i wzdycha. Jest taka głodna. Wie, że nie powinna, ale bierze od niego bułkę i zaczyna jeść.

— Tak już lepiej — mówi Anatoli i zabiera się za własny posiłek.

— Gdzie jesteśmy? — pyta po kilku kęsach Alessia.

— Właśnie minęliśmy Frankfurt.

— Kiedy dotrzemy do Albanii?

— Jutro. Mam nadzieję, że po południu będziemy w domu.

Dalej jedzą w milczeniu.

— Kończ już. Chcę ruszać dalej. Nie musisz skorzystać z łazienki?

Anatoli stoi nad nią, gotów do dalszej drogi. Alessia wypija kawę bez słodzenia.

Jak Maxim.

Jest gorzka, ale przełyka ją i bierze butelkę z wodą. MOP, wielki parking i zapach paliwa boleśnie kojarzy się z podróżą, jaką odbyła z Maximem — różnica polega jednak na tym, że z nim jechała z własnej woli. Alessia czuje ból serca. Coraz bardziej oddala się od swojego ukochanego.

SIEDZĘ W POCZEKALNI KLASY BIZNES LINII BRITISH AIRWAYS NA LOTNISKU GATWICK i czekam na popołudniowy lot do Tirany. Tom przegląda „The Times” i sący szampana, a ja rozmyślam. Odkąd odebrano mi Alessię, ciągle czuję wielki niepokój.

Może pojechała z nim z własnej woli.

Może zmieniła zdanie co do naszej relacji.

Nie chce mi się w to wierzyć, ale do moich myśli zaczynają się wkradać wątpliwości.

Robią to wyjątkowo podstępnie.

Jeśli rzeczywiście tak się stało, to przynajmniej ją zapytam, skąd ta nagła odmiana. Żeby odsunąć od siebie nieprzyjemne myśli, pstrykam kilka fotek i wstawiam je na Instagram, a potem wspominam wydarzenia dzisiejszego przedpołudnia.

Przede wszystkim kupiłem Alessii telefon, który mam teraz w swoim plecaku. Spotkałem się z Oliverem i omówiłem pokrótce sprawy związane z interesami; na szczęście wszystko zdaje się iść doskonale. W obecności pana Rajaha, który wystąpił w roli świadka, podpisałem dokumenty dla sądu królewskiego; na ich mocy mam zostać wciągnięty na Listę Parów. Przedstawiłem obu panom ocenzone wersję wydarzeń minionego weekendu i poprosiłem Rajaha o polecenie specjalisty od prawa imigracyjnego, żebyśmy mogli zacząć się starać o wizę umożliwiającą Alessii pobyt w Wielkiej Brytanii.

Po spotkaniu pod wpływem impulsu odwiedziłem swój bank w Belgravii, gdzie zdeponowana jest Kolekcja Trevethicków. Jeśli odnajdę Alessię i nie wszystko okaże się stracone, poproszę ją, żeby za mnie wyszła. W ciągu wieków moi przodkowie zgromadzili sporo pięknej biżuterii wykonanej przez najbardziej znamienitych artystów poszczególnych epok. Kiedy kolekcja nie jest wystawiana w którymś z muzeów na całym świecie, spoczywa bezpiecznie w skarbcu banku w Belgravii.

Stwierdziłem, że potrzebuję pierścionka, który będzie godny urody i talentu Alessii. W kolekcji znalazłem dwa, które spełniają to kryterium, ale zdecydowałem się na platynowe cacko z diamentem od Cartiera z lat trzydziestych, które w 1935 roku mój dziadek Hugh Trevelyan podarował mojej babce Alegrze. To przepiękny, prosty i elegancki pierścionek; waży 2,79 karata i jest obecnie wyceniany na czterdzieści pięć tysięcy funtów.

Mam nadzieję, że Alessii się spodoba. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z

planem, w trakcie powrotu do Anglii będzie go miała na palcu jako moja narzeczona.

Poklepuję się któryś już raz po kieszeni i sprawdzam, czy mój skarb jest bezpieczny, po czym marszcząc brwi, patrzę na Toma, który zapycha się orzeszkami. Spogląda na mnie.

— Spokojnie, Trevethick. Widzę, że się zamartwiasz. Nic jej nie będzie. Ocalimy twoją dziewczynę.

Uparł się, żeby mi towarzyszyć, gdy zadzwoniłem do niego i powiedziałem, co się stało. Zostawił jednego ze swoich ludzi, żeby dalej pilnował Magdy, a sam jest tutaj ze mną. Tom kocha przygody. Właśnie dlatego wstąpił do wojska. Teraz jest na adrenalinowym haju, gotów do walki.

— Mam nadzieję — odpowiadam.

Czy Alessia powita nas jako ocalenie, czy kłopot? Nie wiem. Nosi mnie, żeby już znaleźć się w samolocie w drodze do domu jej rodziców. Nie mam pojęcia, co tam zastanę, ale mam nadzieję, że odnajdę moją dziewczynę.

— DLACZEGO WYJECHAŁAŚ Z ALBANI? — PYTA ANATOLI PO POWROCIE NA AUTOSTRADĘ.

Jego głos brzmi łagodnie i Alessia zastanawia się, czy nie próbuje wzbudzić w niej fałszywego poczucia bezpieczeństwa. Nie jest taka głupia, żeby się na to nabrać.

— Wiesz dlaczego. Przecież ci powiedziałam.

Gdy to mówi, uświadamia sobie, że właściwie nie ma pojęcia, co dokładnie o jej wyjeździe słyszał Anatoli. Może zdoła nieco nagiąć prawdę. Tak żeby nie poniosły z matką zbyt srogich konsekwencji. Wiele jednak zależy od tego, co wyjawiała Magda.

— Co mówiła przyjaciółka mojej matki?

— Twój ojciec przechwycił jej e—mail. Zobaczył twoje imię i poprosił, żebym mu go przetłumaczył.

— Co w nim było?

— Że żyjesz, miewasz się dobrze i masz rozpocząć pracę u jakiegoś mężczyzny.

— To wszystko?

— Mniej więcej.

A więc Magda nie wspomniała o Dantem ani Yllim.

— Co powiedział mój ojciec?

— Poprosił, żebym po ciebie pojechał.

— A matka?

— Nie rozmawiałem z twoją matką. To jej nie dotyczy.

— Ależ oczywiście, że dotyczy! Przestań się zachowywać, jakbyś żył w czasach prehistorycznych!

Spogląda na nią z boku, oszołomiony takim wybuchem.

— Prehistorycznych?

— Tak. Jesteś dinozaurem. Moja matka zasługuje na to, żeby zapytać ją o zdanie.

Zmarszczone w zdumieniu czoło Anatolego mówi samo za siebie; mężczyzna nie ma pojęcia, o co chodzi. Alessia zaś ciągnie, coraz bardziej się ożywiając:

—Ty ciągle żyjesz w innym wieku. W innej epoce. Ty i wszyscy mężczyźni tobie podobni. W innych krajach takie neandertalskie

podejście do kobiet byłoby nie do przyjęcia.

Anatoli kręci głową.

— Za długo byłaś na Zachodzie, *carissima*.

— Podoba mi się na Zachodzie. Moja babka pochodziła z Anglii.

— To dlatego pojechałaś do Londynu?

— Nie.

— To dlaczego?

— Anatoli, przecież wiesz. Powiem ci to jasno i wyraźnie. Nie chcę wychodzić za ciebie za mąż.

— Jeszcze się opamiętasz, Alessio. — Macha ręką, jakby jej niechęć w tym względzie była zwyczajną błahostką.

Alessia się dąsa; czuje się skrzywdzona, ale wie, że postąpiła odważnie. Ostatecznie co jeszcze może zrobić, jadąc z nim samochodem?

— Chcę sama wybrać mężczyznę, którego poślubię. To chyba nie są jakieś wielkie wymagania.

— Okryłabyś hańbą swojego ojca?

Alessia się rumieni. No tak, jej postawa — jej buntowniczność, jej upór — to powód do wstydu dla całej rodziny.

Odwraca znów wzrok w stronę okna, ale ma świadomość, że będzie musiała powrócić do tej rozmowy. Może jeszcze ten jeden raz uda jej się jakoś przekonać ojca.

Na chwilę wraca myślami do Maxima, a jej żal się wzmacnia, staje się gorzki i namacalny. Odwaga ją opuszcza i dziewczyna znowu pogrąża się w rozpacz. Jej serce bije, ale jest puste.

Czy jeszcze kiedyś go zobaczy?

Gdzieś w Austrii Anatoli znowu zatrzymuje się na MOP—ie, tym razem, żeby zatankować. Nalega, żeby Alessia weszła z nim do budynku stacji. Dziewczyna wlecze się niechętnie, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, co ją otacza.

Gdy są już z powrotem na autostradzie, Anatoli oznajmia: — Niedługo będziemy w Słowenii. Przed granicą z Chorwacją będziesz musiała wejść do bagażnika.

— Dlaczego?

— Bo ten kraj nie jest w strefie Schengen i czeka nas kontrola graniczna.

Alessia blednie jak ściana. Nie znosi jazdy w bagażniku. Nienawidzi ciemności.

— Kiedy zatrzymaliśmy się na tankowanie, kupiłem nowe baterie do latarki.

Alessia zerka na Anatolego, a on spogląda jej w oczy. —Wiem, że tego nie lubisz, ale nic nie poradzimy. — Znowu skupia wzrok na drodze. — Tym razem nie powinno to tyle trwać. Gdy zatrzymaliśmy się w Dunkierce, myślałem, że straciłaś przytomność, że się zaczadziłaś albo coś. — Marszczy brwi, a Alessia mogłaby przysiąc, że jest zatroskany. Do tego to ciepłe spojrzenie, jakim obdarzył ją po południu w kawiarni...

— O co chodzi? — pyta, wyrywając ją z zamyślenia.

— Nie przywykłam do tego, że się o mnie troszczysz —mówi Alessia.
— Raczej do tego, że się na mnie wyżywasz.

Dłonie Anatolego zaciskają się na kierownicy.

— Alessio, jeśli nie będziesz robić tego, co ci każę, będziesz ponosić konsekwencje. Oczekuję od ciebie, że będziesz tradycyjną gegijską żoną.

Reszta niech cię nie interesuje. Myślę, że podczas pobytu w Londynie stałaś się zbyt pewna siebie.

Alessia nie odpowiada, tylko odwraca głowę i rozmyślając o swoim nieszczęściu, wpatruje się w krajobraz za oknem, gdzie dzień chyli się ku wieczorowi.

NASZ SAMOLOT LĄDUJE W TIRANIE O 20:45 LOKALNEGO CZASU, A WITA NAS ULEWNY, LODOWATY DESZCZ. Tom i ja podróżujemy tylko z bagażem podręcznym, więc szybko przechodzimy przez cło i znajdujemy się w nowoczesnym, jasno oświetlonym terminalu. Nie wiem, czego się spodziewałem, ale to miejsce wygląda jak każde niewielkie lotnisko w Europie i ma wszystkie udogodnienia, jakie można uznać za potrzebne.

Za to wynajęty samochód okazuje się objawieniem. Mój agent podróży ostrzegł mnie, że w Albanii nie da się wynająć żadnego luksusowego pojazdu, więc wsiałam za kierownicę auta marki, o której nigdy nie słyszałem. Dacia. To najprostszy i najbardziej toporny samochód, jaki zdarzyło mi się prowadzić, choć na szczęście ma wejście USB, więc możemy podłączyć mojego iPhone'a i skorzystać z Google Maps. Ze zdziwieniem odkrywam, że podoba mi się ta bryka — jest taka praktyczna i solidna; Tom nadaje jej imię „Dacy”. Po krótkich negocjacjach przy wyjeździe z parkingu i wręczeniu dozorca niewielkiej łapówki odjeżdżamy.

Jazda po ciemku w ulewnym deszczu po prawej stronie drogi w kraju, gdzie do połowy lat dziewięćdziesiątych nikt nie słyszał o prywatnych samochodach, może być wyzwaniem. Ale czterdzieści minut później Dacy z pomocą internetowych map dowozi nas bez szwanku do hotelu Plaza w centrum Tirany.

— Cholera, ale to była jazda — mówi Tom, gdy zatrzymujemy się przed budynkiem.

— No, było nieźle.

— Choć zdarzało mi się jeździć w gorszych warunkach — mruczy pod nosem.

Wyłączam zapłon, wiedząc, że to była aluzja do jego pobytu w Afganistanie.

— Przypomnisz mi, jak daleko jest do domu tej dziewczyny?

— Ona ma na imię Alessia — warczę już chyba dziesiąty raz i zastanawiam się, czy dobrze zrobiłem, godząc się na jego towarzystwo. — Wydaje mi się, że czekają nas jakieś trzy godziny jazdy. — Zawsze można na niego liczyć w potrzebie, ale dyplomacja nigdy nie była jego mocną stroną.

— Wybacz, stary. Alessia. — Klepie się w czoło. — Już będę pamiętał. Mam nadzieję, że jutro nie będzie tak łało. Zameldujmy się i chodźmy gdzieś na drinka.

W BAGAŻNIKU MERCEDESA ALESSIA ŚCISKA LATARKE, A SAMOCHÓD SIĘ ZATRZYMUJE. PEWNIENIE DOTARLI DO GRANICY Z CHORWACJĄ. Zamyka oczy, naciąga na głowę płaszcz Anatolego i gasi latarkę. Nie może dać się złapać. Chce po prostu dotrzeć do domu. Słyszy głosy — są spokojne i opanowane. Po chwili samochód rusza. Alessia wzdycha z ulgą i ponownie włącza latarkę, która daje jasny snop światła. Przypomina jej się zrobiona z pościeli kryjówka, którą dzieliła z Maximem i małym świecącym smokiem. Siedzieli na jego wielkim, iście królewskim łożu i rozmawiali, stykając się kolanami i... Nagle czuje ukłucie bólu, które w jednej sekundzie przeszywa jej duszę.

Nie mija dużo czasu, gdy mercedes zwalnia i staje. Silnik chodzi na luzie, a po chwili Anatoli otwiera bagażnik. Alessia gasi latarkę i siada, mrugając w ciemności.

Stoją na pustej wiejskiej drodze; naprzeciwko nich wyłania się z mroku mały parterowy domek. Tylne lampy samochodu rzucają na twarz Anatolego demoniczny czerwony blask, a para z jego oddechu unosi się i

gromadzi w złowieszczych obłokach przy jego twarzy. Mężczyzna wyciąga rękę, żeby pomóc jej wyjść, a ponieważ Alessia jest zmęczona i zeszywniała, godzi się na to wsparcie. Chwieje się, stając na ziemi, a on przyciąga ją do siebie.

— Dlaczego jesteś mi tak nieprzychylna? — dyszy tuż przy jej skroni.

Jedną ręką ściskając ją coraz mocniej w pasie, drugą chwyta za głowę i ciągnie za włosy. Pomimo zimna jego oddech jest ciężki i gorący. Zanim Alessia zrozumie, co się dzieje, Anatoli przywiera mocno do jej warg i próbuje wepchnąć język do ust. Dziewczyna walczy; zalewa ją mocna mieszanka strachu i obrzydzenia. Bezskutecznie napiera dłońmi na jego ramiona i wije się jak w amoku, próbując wyzwolić się z uścisku. Mężczyzna odchyła się, żeby spojrzeć jej w oczy, a ona, nim zdoła się powstrzymać, wymierza mu policzek tak mocny, że boli ją ręka. Anatoli cofa się zszokowany. Dziewczyna dyszy głośno, czując, jak w jej żyłach buzuje adrenalina, a miejsce strachu zajmuje złość. Mężczyzna patrzy, jakby chciał ją zabić wzrokiem, i rozciera policzek Nagle, zanim Alessia zdąży choćby mrugnąć, uderza ją mocno w twarz. Raz. I drugi. Jej głowa skręca się najpierw w jedną stronę, potem w drugą; dziewczyna chwieje się przy każdym ciosie. Nie zważając na nic, Anatoli podnosi ją i wrzuca z powrotem do bagażnika. Alessia uderza o jego dno barkiem, kręgosłupem i głową. Zanim zdąży zaprotestować, mężczyzna zamyka klapę.

— Zostaniesz tu, dopóki nie nauczysz się należycie zachowywać! — krzyczy.

Alessia ściska pulsującą bólem głowę i czuje, jak gniew zaczyna piec ją w gardle i oczach.

Oto jak ma teraz wyglądać jej życie.

BIORĘ ŁYK NEGRONI. SIEDZIMY Z TOMEM W BARZE OBOK HOTELU. Lokal jest nowoczesny, lśniący i przytulny, a obsługa — przyjazna i dbająca o klienta, ale nie natrętna. Co więcej, serwują tu cholernie dobre negroni.

— Albania pozytywnie mnie zaskakuje — mówi Tom, upijając kolejny łyk drinka. — Sam nie wiem, czego się spodziewałem. Chyba kóz i lepianek

— Tak. Miałem podobne wyobrażenie. Ten kraj przechodzi wszelkie oczekiwania.

Przygląda mi się badawczo. — Wybacz, Trevethick, ale muszę wiedzieć. Dlaczego to robisz?

— Co?

— Uganasz się za tą dziewczyną po Europie? Dlaczego?

— Z miłości — oświadczam, jak gdyby to był najbardziej zrozumiały powód na świecie.

Dlaczego on tego nie pojmuje?

— Z miłości?

— No. Tak po prostu.

— Do twojej dochodzącej?

Przewracam oczami. Dlaczego to takie ważne, że Alessia u mnie sprzątała? *I nadal chce to robić!*

— Lepiej się z tym pogódź, Tom. Zamierzam się z nią ożenić.

Tom prychnął, zaplując czerwonym drinkiem cały stół, a ja znowu zadaję sobie pytanie, czy mądrze zrobiłem, zabierając go ze sobą w tę podróż.

— Wyhamuj, Trevethick. To ładna dziewczyna, jeśli dobrze pamiętam, ale czy postępujesz rozsądnie?

Wzruszam ramionami.

— Kocham ją.

Kręci głową zdeprimowany.

— Tom, nie osądzaj mnie tylko dlatego, że sam nie masz odwagi zachować się jak facet i poprosić o rękę Henrietty, która swoją drogą jest aniołem, skoro jakoś cię znosi.

Marszczy brwi, a w jego oczach pojawia się wojowniczy błysk.

— Słuchaj, stary, nie byłbym twoim przyjacielem, gdybym nie powiedział ci tego, co wydaje mi się, do cholery, oczywiste.

— Oczywiste?

— Przeżywasz żałobę. — Jego głos brzmi zaskakująco delikatnie. — Czy nie pomyślałeś, że przez to nagłe zauroczenie usiłujesz się uporać ze śmiercią brata?

— To nie ma nic wspólnego z Kitem, a ja nie jestem, kurwa, zauroczony. Nie znasz jej tak jak ja. To wyjątkowa kobieta. A lasek było w moim życiu tyle, że nie sposób zliczyć. Ona jest inna. Nie zajmuje się pierdołami... Jest inteligentna. Zabawna. Odważna. I szkoda, że nie słyszałeś, jak gra na fortepianie. Jest geniuszem, do cholery.

— Mówisz poważnie?

— Tak. To prawdziwe uczucie. Odkąd ją poznałem, inaczej patrzę na świat. I na swoje w nim miejsce.

— Wyhamuj.

— Nie, Tom. To ty wyhamuj. Ona mnie potrzebuje, a miło jest być potrzebnym. Zresztą sam też nie mogę się bez niej obyć.

— Ale nie na tym powinien się opierać związek.

Zgrzytam zębami.

— Nie chodzi tylko o to. Walczyłeś za swój kraj. Teraz prowadzisz dochodowy interes. A co ja, cholera, do tej pory zrobiłem?

— Przecież masz odegrać rolę w dziejach rodu Trevethicków i zachować jego spuściznę dla kolejnych pokoleń.

— Wiem. — Wzdycham. — To dla mnie niełatwe i chcę mieć u swego boku kogoś, komu ufam i kto mnie kocha. Kogoś, kto ceni mnie nie tylko za bogactwo i tytuł. Czy naprawdę proszę o tak wiele?

Tom marszczy brwi.

— Sam znalazłeś taką osobę — dodaję. — I wcale Henrietty nie doceniasz.

Głośno wydycha powietrze i wpatruje się w niedopitego drinka.

— Masz rację — mruczy pod nosem. — Kocham Henry. Powinienem się oświadczyć.

— Powinieneś.

Kiwa głową.

— Okej. Zamówmy jeszcze po drinku.

Daje znak kelnerowi, a ja zastanawiam się, czy będę musiał stawiać czoła takim wątpliwościom dotyczącym Alessii ze strony wszystkich swoich przyjaciół... i swojej rodziny.

— Niech będą podwójne — wołam.

ALESSIA BUDZI SIĘ I ZDAJE SOBIE SPRAWĘ, ŻE SAMOCHÓD STANAŁ. SILNIK JEST WYŁĄCZONY. Bagażnik się otwiera i znowu stoi nad nią Anatoli.

— Może nauczyłaś się już dobrych manier?

Alessia obrzuca go pełnym jadu spojrzeniem i siada, pocierając pięściami oczy.

— Wychodź. Zatrzymamy się tu na noc.

Tym razem nie podaje jej ręki, tylko sięga do bagażnika, ściąga z niej swój płaszcz i go zakłada. Przenikliwy wiatr sprawia, że Alessia zaczyna trząść się z zimna. Wszystko ją boli, ale wychodzi i w ponurym nastroju staje z boku, czekając na następny ruch Anatolego.

Jego spojrzenie podąża za nią, a wargi zaciskają się w cienką, pełną złości kreskę.

— Czy jesteś już bardziej skłonna do uległości? — Uśmiecha się szyderczo.

Alessia się nie odzywa.

Mężczyzna prycha i sięga po ich bagaże. Dziewczyna rozgląda się dokoła. Są na parkingu w centrum jakiegoś miasta. W pobliżu mający wielki hotel. Ma kilkanaście pięter i jest oświetlony jak w hollywoodzkim filmie, a na samej górze widnieje napis „Westin”. Nagle Anatoli łapie ją za rękę i ciągnie do wejścia. Idzie szybkim krokiem, tak że dziewczyna musi podbiegać, żeby za nim nadążyć.

Hol jest nowoczesny, wyłożony marmurami i lustrami, a Alessia dostrzega dyskretny szyld: są w Zagrzebiu. Anatoli ich melduje, mówiąc bezbłędnie, jak się zdaje, po chorwacku, a kilka minut później już jadą windą na piętnaste piętro.

Anatoli wynajął luksusowy apartament urządzone w kremie i brązie. Są w nim kanapa, biurko, mały stolik, a za przesuwными drzwiami Alessia widzi łóżko.

Tylko jedno.

Nie!

Stoi tuż za progiem, zmęczona i bezradna.

Anatoli zdejmuje płaszcz i rzuca go na kanapę.

— Jesteś głodna? — pyta, otwierając drzwiczki szafki pod telewizorem. Znajduje minibar. — No mów! — warczy.

Alessia kiwa głową.

Anatoli pokazuje oprawione w skórę menu na biurku.

— Zamówimy do pokoju. Wybierz coś. I zdejmij kurtkę.

Alessia bierze do ręki folder i przewraca karty, aż dotrze do części z daniami restauracyjnymi. Nazwy potraw są podane po chorwacku i po angielsku; przegląda propozycje i natychmiast wybiera najdroższą. Nie ma żadnych skrupułów w związku z tym, że Anatoli wyda tyle pieniędzy. Marszczy czoło, przypominając sobie, jak się opierała, gdy Maxim próbował za nią płacić... Anatoli wyjmuje dwie małe butelki szkockiej i obie odkręca. Nie, Alessia nie ma najmniejszych skrupułów. Padła ofiarą porwania, a jej ciało doświadczyło z jego strony już dość fizycznego bólu. Jest jej coś winien. Za to przy Maximie było zupełnie na odwrót. To ona była mu coś winna. Tak wiele mu zawdzięczała. Swojemu *misterowi*. Pozwala mu wymknąć się cichutko ze swoich myśli; będzie go opłakiwać później.

— Poproszę o stek nowojorski — mówi. — Z dodatkową porcją sałatki. I z frytkami. Do tego kieliszek czerwonego wina.

Anatoli odwraca głowę, by popatrzeć na nią ze zdziwieniem.

— Wina?

— Tak. Wina.

Przygląda się jej przez chwilę.

— Bardzo przesiąkłaś Zachodem.

Alessia staje wyprostowana.

— Chcę się napić francuskiego czerwonego wina.

— Teraz już francuskiego? — Unosi jedną brew.

— Tak — odpowiada Alessia, a po chwili dodaje: — Poproszę.

— Dobrze, zamówimy butelkę. — Unosi jedno ramię, wzruszając nim nonszalancko, a gdy mówi, wydaje się taki racjonalny.

Ale wcale nie jest. To potwór.

Wlewa do szklanki obie szkockie, po czym, przez cały czas obserwując Alessię, sięga po telefon.

— Wiesz, że jesteś bardzo atrakcyjną kobietą, Alessio. Dziewczyna zamiera. *Co znowu?*

— Czy wciąż jesteś dziewicą? — Jego głos brzmi miękko, przymilnie.

Głośno wciąga powietrze i robi jej się trochę słabo.

— Oczywiście — odpowiada szeptem, starając się wyglądać na oburzoną i zawstydzoną zarazem.

On nie może dowiedzieć się prawdy.

Jego wzrok staje się surowy.

— Wydajesz się inna.

— Bo jestem inna. Otworzyły mi się oczy.

— Kto ci je otworzył?

— Nikt... Tylko moje doświadczenia — szepcze, żałując, że w ogóle mu odpowiedziała. Drażni lwa.

Anatoli dzwoni i zamawia jedzenie, podczas gdy Alessia zdejmuje kurtkę i siada na kanapie, skąd ostrożnie mu się przygląda. Kończąc

rozmowę, mężczyzna chwyta pilot od telewizora, włącza lokalne wiadomości i siada z drinkiem przy biurku. Przez jakiś czas ignoruje ją, oglądając program i od czasu do czasu pociągając whisky. Alessia czuje ulgę, że skupił uwagę na czymś innym. Sama też spogląda w telewizor, próbując zrozumieć prezentera, i wyłapuje kilka słów. Koncentruje się; nie chce pozwolić myślom na swobodną wędrówkę. I tak zaprowadzą ją do Maxima, a ona nie chce opłakiwać jego straty na oczach Anatolego.

Gdy program się kończy, mężczyzna znowu kieruje uwagę na Alessię.

— A więc mnie odtrąciłaś? — mówi.

Chodzi mu o to, co było wczoraj?

— Gdy wyjechałaś z Albanii. — Bierze ostatni łyk szkockiej.

— Groziłeś, że połamiesz mi palce.

Przez chwilę w zamyśleniu pociera brodę.

— Alessio... Ja... — urywa.

— Nie chcę słuchać żadnych tłumaczeń, Anatoli. Nie da się wytłumaczyć takiego traktowania drugiego człowieka. Popatrz na moją szyję. — Obciąga sweter, ukazując sińce, jakie jej wczoraj zostawił, i zadziera brodę, by były lepiej widoczne.

Anatoli się czerwieni.

Słysząc dyskretne stukanie do drzwi. Mężczyzna rzuca Alessii poirytowane spojrzenie i idzie otworzyć. Na korytarzu stoi młody chłopak w hotelowym uniformie, obok niego zaś czeka wózek z tacami. Anatoli kiwa na niego, żeby wszedł, i usuwa się z drogi, by chłopak mógł przeobrazić wózek w stolik nakryty białym lnianym obrusem. Stoją na nim dwa eleganckie nakrycia. W ceramicznym wazoniku stoi przekrzywiona żółta różyczka mająca dodać nieco romantyzmu.

Co za ironia.

Cierpienie Alessii daje o sobie znać, ściskając ją w środku tak, że dziewczyna musi walczyć z napływającymi łzami. Kelner otwiera wino i odkłada korek na ceramiczny spodek; z podgrzewanej szuflady u dołu wózka wyjmuje kilka półmisek, po czym szerokim gestem zdejmuje metalowe pokrywy. Zapach jest kuszący. Anatoli mówi coś po chorwacku i wsuwa kelnerowi w dłoń banknot wyglądający na dziesięć euro, za co chłopak wydaje się wyjątkowo wdzięczny. Gdy tylko młodzieniec wychodzi z pokoju, Anatoli woła Alessię do stołu.

— Chodź i jedz. — Mówi, jakby się dąsał.

Jest głodna i zmęczona walką, więc siada przy prowizorycznym stoliku. Tak już teraz będzie, jej siła woli będzie ulegała powolnej erozji, aż w końcu zupełnie podda się swojemu oprawcy.

— Zupełnie jak na Zachodzie, co? — mówi, siadając naprzeciwko niej i biorąc do ręki butelkę wina. Nalewa jej do kieliszka.

Alessia zastanawia się nad czymś, co jej wcześniej powiedział. Jeśli Anatoli pragnie tradycyjnej albańskiej żony, to ją będzie miał. Nie będzie jadła z nim posiłków ani spała z nim w jednym łóżku, no chyba że będzie miał ochotę na seks. Zapewne nie o to mu tak naprawdę chodzi. Dziewczyna wpatruje się w kolację, a ściany pokoju wydają się zaciskać wokół niej, pozbawiając ją tchu.

— *Gëzuar*, Alessio — mówi, a ona podnosi wzrok.

Anatoli uniósł kieliszek, honorując ją niemym toastem; ma wielkie oczy i ciepły wyraz twarzy. Alessia czuje mrowienie na skórze głowy. Nie spodziewała się takiego. .. zaszczytu! Bierze do ręki kieliszek, niechętnie podnosi go w odpowiednim geście, po czym bierze łyk.

— Mmm — mruczy, opuszczając powieki, uwiedziona smakiem wina. Kiedy je znowu podnosi, Anatoli się jej przygląda, oczy mu ciemnieją i w ich spojrzeniu Alessia widzi zapowiedź czegoś, na co wcale nie ma ochoty.

Traci apetyt.

— Już mi więcej nie uciekniesz, Alessio. Będziesz moją żoną —
mamrocze Anatoli. — A teraz jedz.

Dziewczyna wbija wzrok w stek na swoim talerzu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

ANATOLI DOLEWA JEJ WINA.

— Prawie nie tknęłaś jedzenia.

— Nie jestem głodna.

— W takim razie myślę, że czas iść do łóżka.

Ton jego głosu sprawia, że Alessia nagle podnosi wzrok. Mężczyzna siedzi rozparty na krześle i ją obserwuje. Czeka. Jak drapieżnik. Stuka palcem o dolną wargę, jakby głęboko się nad czymś zastanawiał, a oczy mu błyszczą. Wypił co najmniej trzy kieliszki wina. A wcześniej jeszcze whisky. Wlewa do gardła to, co mu zostało w naczyniu, i powoli podnosi się z krzesła. Jego coraz bardziej mroczne oczy intensywnie się w nią wpatrują. Ich spojrzenie ją paraliżuje.

Nie.

— Nie widzę powodu, żeby czekać do nocy poślubnej. — Podchodzi bliżej.

— Nie, Anatoli — dyszy Alessia. — Proszę. Nie. — Dłońmi chwyta się stołu.

Przesuwa palcem po jej policzku.

— Piękna — szepcze. — Wstawaj. Nie utrudniaj tego.

— Powinniśmy poczekać — odpowiada szeptem Alessia, a w jej mózgu rodzą się różne możliwości.

— Nie zamierzam czekać. A jeśli chcesz, żebym użył siły, to proszę bardzo.

Zbliża się nagle, łapie ją za ramiona i podnosi tak gwałtownie, że krzesło, na którym siedziała, przewraca się na podłogę. Dziewczyna wije się i kopie, trafiając stopą najpierw w jego goleń, a potem w stolik; zastawa i sztućce brzęczą, a z przewróconego kieliszka wylewa się reszta wina.

—Jasna cholera — zawodzi Anatoli.

— Nie! — krzyczy Alessia. Wierzga nogami i młóci pięściami powietrze w nadziei, że go trafi.

Brutal rzuca się na nią, obłapia w pasie i ciągnie do siebie. Podnosi ją z podłogi, a ona kopie we wszystko, co stanie im na drodze, próbując zadać mu ból.

— Nie! — protestuje coraz głośniej. — Anatoli, proszę!

Nie zważając na jej krzyki, mężczyzna po części wlecze ją, a po części niesie do sypialni.

— Nie. Nie. Przestań!

— Cicho bądź! — wrzeszczy, potrząsając nią, po czym rzuca ją twarzą na łóżko.

Siada obok i trzyma ją jedną ręką, przygniatając plecy, podczas gdy drugą zaczyna ściągać jej buty.

— Nie! — krzyczy znowu dziewczyna. Wije się i kopie go, raz, drugi, okłada go pięściami, usiłując uwolnić się spod jego ręki.

— Do jasnej cholery, Alessia!

Jest jak obłąkana, złość i odraza wydobywają z niej siłę, której istnienia nawet nie była świadoma. Walczy, ogarnięta wściekłością i nienawiścią.

— Kurwa mać! — Anatoli kładzie się na niej, przygniatając ją do materaca i pozbawiając tchu.

Alessia próbuje go zrzucić, ale jest za ciężki.

— Uspokój się — sapie jej do ucha. — Uspokój.

Dziewczyna nieruchomieje, zbierając siły i próbując złapać oddech. Anatoli przesuwa się i przekręcają na plecy, tak że znajdują się teraz twarzą w twarz. Nogą przygniata jej uda, po czym łapie za rękę, przekłada nad jej głowę i tam jedną dłonią przyszpila.

— Pragnę cię. Jesteś moją żoną.

— Proszę. Nie — szepcze Alessia, wpatrując się w jego wielkie, dzikie oczy.

Widzi w nich podniecenie — całe jego smukłe ciało aż od niego wibruje. Czuje je na swoim biodrze. Anatoli patrzy na nią z góry, dysząc ciężko, jedną ręką przesuwał po jej ciele, po piersi, po brzuchu aż do rozporka.

— Nie. Anatoli, proszę. Ja krwawię. Proszę. Krwawię. — Kłamie, jeszcze w ten jeden desperacki sposób próbując go powstrzymać.

Anatoli marszczy brwi, jak gdyby nie rozumiał, po czym miejsce pożądrości na jego twarzy zajmuje obrzydzenie.

— Aha — mówi. Puszcza jej rękę, stacza się z niej i wbija wzrok w sufit. — Może jednak powinniśmy poczekać — mamrocze.

Alessia przekręca się na bok, podciąga kolana i zwija w kulkę; chce być jak najmniejsza. Rozpacz, wstręt, strach — z nimi będzie dzielić teraz łóżko. Zaczynają ją dławić łzy, a po chwili czuje, jak mebel się porusza. To Anatoli wstaje i wychodzi do salonu.

Jak długo może płakać, zanim wyschną jej łzy?

Chwile. Sekundy. Godziny.

Po jakimś czasie Anatoli okrywa ją kocem. Materac się zapada, gdy mężczyzna znów kładzie się obok niej i przykrywa kołdrą. Przysuwa się,

obejmuje ją ramieniem i ciągnie jej nieustępliwe ciało do siebie.

— Będiesz mi pasowała, *carissima* — mruczy, a jego wargi muskają jej policzki w zaskakująco delikatnym pocałunku.

Alessia pięścią zatyka usta, tłumiąc krzyk.



BUDZI SIĘ NAGLE. Pokój tonie w szarej poświacie nadciągającego świtu. Anatoli śpi mocno u jej boku. Twarz ma odprężoną i nie tak surową jak za dnia. Alessia wpatruje się w sufit, a jej mózg działa na pełnych obrotach. Wciąż jest w ubraniu i w butach. Mogłaby uciec.

Ruszaj. Już. Zmusza się do działania.

Powoli, ostrożnie wstaje z łóżka i na palcach wychodzi z pokoju.

Na stoliku wciąż stoją resztki wieczornego posiłku. Alessia chwytając kilka zimnych frytek i szybko wkłada do ust. Jedząc, przegląda swoją torbę i znajduje pieniądze. Wsuwa banknoty do tylnej kieszeni spodni.

Zamiera i nasłuchuje.

Anatoli śpi.

Obok własnej torby dostrzega walizkę swojego porywacza. Może trzyma w niej pieniądze... Z nimi łatwiej by jej było uciec. Przykuca i ostrożnie rozpinając suwak, nie wiedząc, co znajdzie w środku.

Wszystko jest w niej porządnie poukładane. Trochę ubrań i jego pistolet.

Pistolet.

Wyjmuje go.

Mogłaby go zabić.

Zanim on zabije ją.

Jej serce zaczyna walić, a w głowie pojawia się szum. Ma teraz władzę. Narzędzie. Pistolet ciąży jej w dłoni.

Wstaje, zakrada się w stronę sypialni i spogląda na śpiącego Anatolego. Nawet się nie poruszył. Wzdłuż kręgosłupa przebiega jej dreszcz, oddech staje się płytszy. Porwał ją. Pobił. Dusił. Prawie zgwałcił. Gardzi nim i wszystkim, co sobą reprezentuje. Śmiertelnie się go boi. Podnosi drżącą dłoń i celuje. Powoli zwalnia bezpiecznik W głowie czuje pulsowanie, na czoło występują kropelki potu.

To ten moment.

Jej moment.

Ręka jej drży, a łzy przesłaniają widok.

Nie. Nie. Nie. Nie.

Ociera łzy i opuszcza ramię.

Nie jest morderczynią.

Odwraca pistolet i wpatruje się w lufę. Na amerykańskich filmach widziała, co się robi w takiej sytuacji.

Nie zamierza ślepo akceptować wszystkiego, co przyniesie jej los. To dla niej jedyne wyjście.

Mogłaby to zakończyć już teraz. Dłużej by nie cierpiała.

Niczego nie poczuje. Już nigdy.

Przed oczami staje jej udręczona twarz matki.

Mama.

Czy nie byłaby zdruzgotana...?

Myśli o Maximie i natychmiast się od tego wspomnienia opędza.

Już nigdy go nie zobaczy.

Gardło jej się ściska. Dławią ją emocje. Alessia mruży oczy i sapie.

Może zginąć z własnej ręki. Nie z ręki Anatolego...

Ale ktoś potem będzie musiał ten bałagan posprzątać.

Nie. Nie. Nie.

Osuwa się na podłogę. Pokonana. Co za porażka. Nie potrafi odebrać sobie życia. Nie ma odwagi. I w głębi duszy nie chce umierać, mając nikłą nadzieję, że jeszcze kiedyś zobaczy Maxima. Właśnie dlatego nie może też uciec. Musi wrócić do domu. Zagrzeb nie leży w odległości pięciu dni pieszej wędrówki od Londynu, jest dużo dalej. Czuje się bezradna. W ciszy kołysze się w przód i w tył, obejmuje rękoma kolana i tuli do siebie pistolet, oddając się we władanie żalu. Jeszcze nigdy nie czuła się tak zrozpaczona. Nigdy nie wylała tak wielu łez. Przenigdy. Nawet po swej traumatycznej ucieczce i podczas długiej wędrówki do Magdy. Owszem, opłakiwała swoją babcię i przeżywała jej stratę — ale nawet wtedy nie czuła takiego bezdennego smutku. Obezwładniającej żałości. Nie umie zabić Anatolego i nie umie zabić siebie. Straciła mężczyznę, którego kocha, a jest związana z takim, do którego czuje wstręt.

Jej serce zostało złamane. *Nie*. Jej serce znikło.

GDY SŁOŃCE ZACZYNA SIĘ WYŁANIAĆ ZZA HORYZONTU, Alessia tłumy szloch i przez łzy przygląda się pistoletowi. Jest podobny do jednego z tych, które ma jej ojciec.

Jest jednak coś, co może zrobić; dość często widziała przy tej czynności swego ojca. Odpina magazynek i ze zdziwieniem zauważa, że są w nim tylko cztery naboje. Wyjmuje je, po czym szybkim ruchem

odciąga zamek i łapie jeszcze jedną kulę, która wypada z komory. Podpina z powrotem magazynek, a naboje chowa do kieszeni, po czym odkłada pistolet do walizki Anatolego i zapina suwak.

Wstając, ociera łzy. *Dosyć już tego płaczu*, beszta samą siebie. Zerka w stronę okna, za którym w świetle wczesnego poranka zaczyna się zarysowywać linia dachów Zagrzebia. Z piętnastego piętra hotelu Westin miasto rozciąga się w dole jak terakotowa patchworkowa kapa. Widok jest ciekawy i przez jedną chwilę Alessia zastanawia się, czy podobnie jest w Tiranie.

— Nie śpisz.

Wzdryga się, słysząc głos Anatolego.

— Byłam głodna. — Spogląda na stolik z resztkami jedzenia. — Teraz idę wziąć prysznic.

Chwytając torbę, spieszy do łazienki i zamyka drzwi na zamek.

KIEDY WYCHODZI, ANATOLI JEST JUŻ UBRANY. Resztki wczorajszej kolacji zostały uprzątnięte, a na stoliku przykrytym świeżym obrusem czeka na nich kontynentalne śniadanie.

— Zostałaś — odzywa się cicho Anatoli. Wydaje się przygaszony, choć obserwuje ją czujnie jak zwykle.

— Niby dokąd miałabym pójść? — odpowiada znużona Alessia.

Anatoli wzrusza ramionami.

— Już raz próbowałaś uciec.

Alessia wpatruje się w niego. Milcząca. Zniechęcona. Wycieńczona.

— Czy to dlatego, że ci na mnie zależy? — szepcze mężczyzna.

— Nie schlebiaj sobie — odpowiada i siadając, bierze z koszyka bułeczkę z czekoladą.

Anatoli siada naprzeciwko, a ona widzi, że próbuje ukryć słaby, lecz pełen nadziei uśmiech.

RAZEM Z TOMEM SNUJEMY SIĘ PO WIELKIM PLACU SKANDERBEGA W POBLIŻU HOTELU. Ranek jest bezchmurny i chłodny, a świecące słońce odbija się od płyt z marmuru w różnych odcieniach, którymi wyłożono całą olbrzymią powierzchnię. Po jednej stronie nad placem góruje brązowy konny pomnik piętnastowiecznego albańskiego bohatera, po drugiej znajduje się Narodowe Muzeum Historyczne. Choć chcę jak najszybciej dotrzeć do rodzinnego miasta Alessii i znaleźć jej dom, to musimy poczekać na tłumacza.

Jestem nerwowy i spięty, nie mogę usiedzieć w miejscu, więc dla zabicia czasu razem z Tomem fundujemy sobie szybką rundkę po muzeum. Staram się zająć czymś myśli, pstrykając liczne fotki i zamieszczając niektóre z nich w sieci. Dwa razy kazano mi przestać, ale nie słucham tutejszych pracowników i dalej robię zdjęcia, choć ukradkiem. Daleko temu miejscu do Muzeum Brytyjskiego, ale ilirskie artefakty są fascynujące. Toma oczywiście pochłania wystawa średniowiecznej broni. Albania może się poszczycić bogatą, choć krwawą historią.

O dziesiątej ruszamy jedną z wysadzanych drzewami alej do kawiarni, gdzie jesteśmy umówieni z tłumaczem. Zaskakuje mnie widok licznych mężczyzn przesiadujących na zewnątrz przy kawie pomimo zimna.

Gdzie są kobiety?

THANAS CEKA MA CIEMNE WŁOSY I OCZY; robi doktorat z literatury angielskiej na tirańskim uniwersytecie. Doskonale mówi po angielsku, dużo się uśmiecha i zdaje się raczej spokojny. Przyprowadził swoją dziewczynę —

ma na imię Drita i studiuje historię. Jest drobna i śliczna, ale nie mówi po angielsku tak płynnie jak Thanas. Chce pojechać z nami.

Cóż, sprawy trochę się komplikują.

Tom zerka na mnie i wzrusza ramionami. Nie mam czasu się kłócić.

— Nie jestem pewien, ile nam to zajmie czasu — mówię, dopijając kawę, która mogłaby robić za rozpuszczalnik do farby. Chyba w życiu nie piłem tak mocnego naparu.

— Nie ma problemu. Poprzekładałem sobie wszystko tak, żeby mieć wolny cały przyszły tydzień — odpowiada Thanas. — Nigdy nie byłem w Kukës, ale Drita tak.

— Co wiesz o tym mieście? — pytam dziewczynę. Posyła Thanasowi nerwowe spojrzenie.

— Jest aż tak źle? — przyglądam się obojgu.

— Krąży o nim pewna opinia. Kiedy komunizm upadł, Albania była... — Thanas urywa. — W Albanii panowała trudna sytuacja.

Tom zaciera rękę.

— Uwielbiam wyzwania — mówi, a Thanas i Drita łaskawie się śmieją.

— Pogoda nie powinna nam przeszkadzać — mówi Albańczyk. — Autostrada jest otwarta i od kilku tygodni nie padał śnieg.

— Ruszamy? — pytam, nie mogąc się już doczekać.

KRAJOBRAZ SIĘ ZMIENIŁ. Znikły szare, leżące odłogiem pola północnej Europy, a teren stał się surowy, skalisty i jałowy, skąpany w blasku zimowego słońca. W każdych innych okolicznościach Alessii mogłaby się ta podróż spodobać. Odbyła błyskawiczną wycieczkę po europejskich

autostradach. Ale jest z Anatolim, mężczyzną, którego będzie zmuszona poślubić — no i po dotarciu do Kukës będzie musiała stawić czoło ojcu. Perspektywa nieuniknionej konfrontacji wcale jej nie cieszy; w głębi duszy dziewczyna wie, że jego gniew najbardziej odczuje matka.

Z zawrotną prędkością pokonują kolejny most. Pod spodem rozciąga się duża tafla wody, która przypomina Alessii Drin — i przywodzi na myśl morze.

Morze.

I Maxima.

To on podarował jej morze.

Czy jeszcze kiedyś go zobaczy?

— Chorwackie wybrzeże jest bardzo malownicze. Prowadzę tu sporo interesów — mówi Anatoli, przerywając ciszę, która wisi między nimi, odkąd wyjechali z Zagrzebia.

Alessia zerka na niego. Nie obchodzą jej jego interesy. Nie chce nawet wiedzieć, co dokładnie robi. Kiedyś ją to ciekawiło, ale to już przeszłość. Zresztą jako jego żona — jako dobra albańska żona — nie będzie mogła zadawać żadnych pytań.

— Mam tutaj kilka nieruchomości. — Uśmiecha się drapieźnie, a Alessia zdaje sobie sprawę, że próbuje jej zaimponować, tak jak na początku ich znajomości.

Odwraca głowę i wpatruje się w morze, a jej myśli wracają do Kornwalii.

PRÓBA WYJAZDU Z TIRANY JEST NAPRAWDĘ PRZERAŻAJĄCYM PRZEŻYCIEM. Piesi mają denerwujący nawyk wkraczania znienacka na jezdnię, a przy rondach tłoczą się wszyscy — samochody osobowe, ciężarówki, autobusy — walcząc o pierwszeństwo przejazdu. Przypomina to jedną wielką grę w

cykora i jeśli tak dalej pójdzie, będę miał nerwy w strzępach, zanim dotrzemy do Kukës. Tom co rusz wali ręką o deskę rozdzielczą, wydzierając się i na pieszych, i na kierowców. Cholernie to wkurzające.

— Kurwa mać, Tom, zamknij japę! Próbuję się skupić.

— Wybacz, Trevethick.

Jakimś cudem udaje nam się bez szwanku opuścić centrum miasta. Po dotarciu do drogi przelotowej zaczynam się nieco odprężyć, ale jadę powoli; tutejsi kierowcy są nieprzewidywalni.

Po drodze widzimy kilka salonów samochodowych i niezliczone stacje benzynowe. Wyjeżdżając z Tirany, mijamy wielki, imponujący budynek w neoklasykistycznym stylu, który przypomina ogromny tort weselny.

— Co to za miejsce? — pytam.

— Hotel — odpowiada Thanas. — Budują go od lat. — Wzrusza ramionami, gdy nasze oczy spotykają się we wstecznym lusterku.

— Ach tak.

Nizina, przez którą jedziemy, wydaje się żyzna i zielona, a przecież jest dopiero luty. Po polach rozsiane są z rzadka niskie domki o czerwonych dachach. Thanas serwuje nam w drodze historię Albanii w pigułce, przy okazji mówiąc co nieco o sobie. Jego rodzice pamiętają upadek komunizmu; oboje nauczyli się angielskiego z audycji BBC, choć pod rządami komunistów słuchanie brytyjskiej rozgłośni było zakazane. Wygląda na to, że BBC i większość tego, co brytyjskie, jest przez Albańczyków darzone wielkim szacunkiem. Wszyscy chcą wyjechać do Anglii. Albo do Ameryki.

Tom i ja wymieniamy spojrzenia.

Drita mówi po cichu do Thanasa, a on tłumaczy. Kukës było nominowane do Pokojowej Nagrody Nobla w 2000 roku po tym, jak miasto przyjęło setki tysięcy uchodźców uciekających przed wojną w

Kosowie.

O tym akurat wiedziałem. Pamiętam, z jaką dumą Alessia opowiadała mi w pubie w Trevethick o Kukës i wszystkim, co albańskie.

Wyjechała dwa dni temu, a ja czuję się, jakby amputowano mi kończynę.

Gdzie jesteś, moja kochana?

WJEŹDZAMY NA GŁÓWNAJ AUTOSTRADĘ DO KUKËS i wkrótce zaczynamy wspinaczkę ku niebu w najchłodniejszym odcieniu błękitu. Pniemy się coraz wyżej, mając nad sobą majestatyczne, pokryte śniegiem szczyty Alp Albańskich, a przed sobą pasma Korab i Szar. Widzimy przełomy rzek z przejrzystą, bystro płynącą wodą, wąwozy o stromych ścianach i poszarpane urwiska. Widoki zapierają dech w piersiach i gdyby nie ta nowoczesna autostrada, okolica wydawałaby się nietknięta zębem czasu. Niekiedy mignie nam jakaś osada złożona z domków o krytych czerwoną terakotą dachach. Unoszący się z kominów dym, pokryte śniegiem kopy siana, suszące się na linkach pranie, kozy biegające wolno albo uwiązane na postronkach — oto kraj Alessii.

Moja słodka dziewczyna.

Mam nadzieję, że nic ci nie jest.

Jadę po ciebie.



IM WYŻEJ WJEŹDZAMY, TYM ROBI SIĘ ZIMNIEJ. Tom zmienił mnie za kierownicą, więc mogę bawić się w didżeja i robić zdjęcia telefonem. Thanas i Drita milczą, podziwiając widoki i słuchając Hustle and Drone sączących się z

samochodowych' głośników, do których podpiąłem swojego iPhone'a. Wyjeżdżamy z długiego górskiego tunelu i znajdujemy się dokładnie pomiędzy dwiema górami. Są pokryte śniegiem, ale zaskakują nagością, porasta je naprawdę niewiele drzew. Thanas tłumaczy, że po upadku komunistycznego reżimu brakowało opału i zdarzały się takie okolice, w których miejscowa ludność wycięła wszystko, by mieć czym się ogrzać.

— Myślałem, że jesteśmy na wysokości, na której i tak nie rosną już drzewa — odzywa się Tom.

Na tym skalnym pustkowiu dojeżdżamy w końcu do bramek i kiedy czekamy w kolejce za kilkoma poobijanymi autami, brzęczy mój telefon. To niesamowite, że w tych górach na skraju wschodniej Europy w ogóle mam zasięg.

— Oliver? Co słychać?

— Przykro mi, że ci przeszkadzam, Maximie, ale skontaktowała się ze mną policja. Mieli nadzieję przesłuchać twoją... hm... narzeczoną, pannę Demachi.

Ach... więc już wie. Puszczam mimo uszu zdanie o narzeczonej.

— Jak wiesz, Alessia wróciła do Albanii, więc będą musieli poczekać, aż ponownie przyjedzie do Londynu.

— Też tak pomyślałem.

— Czy mówili coś jeszcze?

— Odzyskali twojego laptopa i część sprzętu audio.

— Wspaniała wiadomość!

— Sprawa jest teraz w rękach Policji Metropolitalnej. Wydaje się, że ludzie, którzy napadli na pannę Demachi, są tam znani i poszukiwani w związku z innymi przestępstwami.

— Metropolitalni? Świetnie. Sierżant Nancarrow mówił, że te

sukinsyny mogą być notowane.

Tom spogląda na mnie z ukosa.

— Czy postawiono im zarzuty?

— Jeszcze nie, z tego, co mi wiadomo.

— Informuj mnie o wszystkim na bieżąco, jeśli to będzie możliwe. Daj znać, kiedy zostaną oskarżeni. I chcę wiedzieć, jeśli zostaną wypuszczeni za kaucją.

— Tak jest.

— Przekaż policji moją wiadomość dotyczącą panny Demachi. Powiedz, że musiała wrócić do Albanii z przyczyn rodzinnych. Poza tym wszystko jest okej?

— W dechę.

— W dechę? — pryham. — Świetnie.

Rozłączam się i daję Tomowi pięć euro, żeby zapłacił za przejazd autostradą.

Skoro Dante i jego wspólnik nadal tkwią w areszcie, to policja musi traktować sprawę poważnie. Może przymknęli ich na dłużej w związku z podejrzeniami o handel ludźmi; mam taką nadzieję. Liczę na to, że wsadzą sukinsynów za kratki i nigdy nie wypuszczą.

Kilka minut później naszym oczom ukazuje się tablica z nazwą Kukës i od razu poprawia mi się humor. Jesteśmy prawie na miejscu. Już po chwili jedziemy wzdłuż brzegu wielkiego jeziora, które po sprawdzeniu na internetowej mapie okazuje się rozlaną szeroko rzeką Drin zasilającą jezioro Fierza. Pamiętam, jak Alessia z pasją opowiadała o krajobrazach otaczających jej rodzinne miasto. Moja niecierpliwość rośnie na potęgę. Ponaglam Toma, żeby jechał szybciej. Zaraz ją zobaczę. Zaraz ją uratuję. Mam nadzieję.

A może ona wcale nie potrzebuje ratunku.

Może chce tutaj zostać.

Nie myśl w ten sposób!

Mijamy szeroki zakręt drogi i naszym oczom wreszcie ukazuje się Kukës. Miasto przycupnęło w dolinie nad szeroką jak jezioro, niebiesko — zieloną rzeką w otoczeniu niesamowitych gór. Widok jest obłądny.

Wow.

Alessia mogła podziwiać go codziennie.

Pokonujemy rozpięty nad wodą solidny most. Nad urwiskiem nad naszymi głowami straż pełni jeszcze jeden upiorny, opuszczony budynek, a ja zastanawiam się, czy to kolejny niedokończony hotel.

NA OBRZEŻACH NIKŠICIU W CZARNOGÓRZE Anatoli zjeżdża na parking przydrożnej restauracji. Alessia patrzy beznamiętnie w okno.

— Jestem głodny. Ty pewnie też. Chodźmy — mówi.

Alessia nie ma ochoty się spierać; wchodzi za nim do przyjemnego, czystego lokalu. Jest względnie nowy, a wystrój ma miły dla oka motyw przewodni — samochody; nad barem widnieje namalowane wściekle czerwone, podrasowane auto. To gościnne miejsce, ale na Anatolim to nie robi wrażenia — jest rozdrażniony. W ciągu ostatnich kilku godzin nieraz walił ręką o klakson i głośno przeklinał, rozwścieczony zachowaniem innych kierowców. Nie należy do cierpliwych ludzi.

— Zamów coś dla nas obojga. Ja idę do łazienki. I nie uciekaj, i tak cię znajdę. — Groźnie marszczy brwi, patrząc na Alessię, i odchodzi, pozwalając jej wybrać stolik.

Dziewczyna chce jak najszybciej znaleźć się w domu. Mając w pamięci to, jak Anatoli zachował się zeszłego wieczoru, nie chce spędzić z nim

kolejnej nocy. Woli już zmierzyć się z ojcem. Przegląda menu, usiłując znaleźć jakieś znane sobie słowa po angielsku albo albańsku, ale jest zmęczona i nie może się skupić. Anatoli wraca. Wygląda na zmęczonego. Już od kilku dni jest w drodze, Alessia jednak nie zamierza go obdarzać żadnym współczuciem.

— Co zamówiłaś? — warczy.

— Nic. Tu masz menu. — Podaje mu szybko kartę, żeby się nie zdenerwował.

Podchodzi do nich kelner i Anatoli składa zamówienie, nie pytając jej, czego sobie życzy. Alessia jest zdumiona, że w Czarnogórze wydaje się porozumiewać z równą łatwością jak w Chorwacji. Kelner odchodzi dyskretnie, a Anatoli wyciąga komórkę.

Patrzy na nią tymi swoimi zimnymi niebieskimi oczami.

— Bądź teraz cicho — mówi i wybiera numer. — Dzień dobry, Shpreso, jest tam Jak?

Mama!

Alessia siada wyprostowana. Zamienia się w słuch.

— Ach tak... Cóż, przekaż mu, że będziemy w domu około ósmej wieczorem... — Jego wzrok wędruje znowu do Alessii. — Tak, jest ze mną. Nic jej nie jest... Nie... Jest w łazience.

— Co?!

Anatoli kładzie palec na ustach.

— Anatoli, pozwól mi porozmawiać z mamą — nalega Alessia, wyciągając rękę po telefon.

— A więc do zobaczenia. — Rozłącza się.

— Anatoli! — Gardło zaczyna jej się ścisnąć, a do oczu napływają łzy

gniewu. Jeszcze nigdy nie czuła takiej tęsknoty za domem.

Mama.

Jak mógł jej pożałować zamienienia z nią choćby kilku słów?

— Gdybyś wykazała trochę więcej uległości i wdzięczności, pozwoliłbym ci z nią porozmawiać — mówi. — Musiałem pokonać długą drogę, żebyś tu ze mną była.

Alessia spogląda na niego ze złością, po czym spuszcza wzrok. Nie chce napotkać wyzwania w jego oczach; po tamtej napaści w hotelu nie może na niego patrzeć. Jest okrutny, mściwy, drażliwy i dziecinny. Wściekłość powoli wsącza się w każdą żyłę w jej ciele.

Nigdy mu nie wybaczy tego wszystkiego, co zrobił.

Nigdy.

Ma tylko nadzieję, że ubłaga ojca, by nie zmuszał jej do tego małżeństwa.

Z BLISKA KUKËS WYGLĄDA INACZEJ, NIŻ SIĘ SPODZIEWAŁEM. Okazuje się nijakim miasteczkiem pełnym podniszczonych bloków mieszkalnych w sowieckim stylu. Drita informuje nas za pośrednictwem Thanasa, że miasto zostało zbudowane w latach siedemdziesiątych. Stara zabudowa Kukës znajduje się teraz na dnie zalewu; dolina została zatopiona po budowie tamy będącej częścią elektrowni wodnej produkującej prąd dla regionu. Wzdłuż ulic rosną jodły, na ziemi leży warstwa śniegu, a na ulicach panuje spokój. Widzę kilka sklepów sprzedających artykuły gospodarstwa domowego, ubrania i narzędzia rolnicze, do tego parę supermarketów. Jest bank, apteka i wiele kawiarni, przed którymi znowu wysiadują w popołudniowym słońcu mężczyźni. Są opatuleni w obronie przed chłodem i piją kawę.

I znowu: gdzie są wszystkie kobiety?

Najbardziej wyróżniającą cechą miasteczka są góry, wysokie i dumne. Wyłaniają się na końcu każdej ulicy i gdziekolwiek spojrzę, tworzą spektakularne tło. Otacza nas ich majestatyczne piękno, a ja zaczynam żałować, że nie zabrałem ze sobą mojej leiki.

Agent podróży zarezerwował nam pokoje w hotelu o brzmiącej tutaj idiotycznie nazwie Amerika. Internetowe mapy prowadzą nas bocznymi ulicami prosto na miejsce. Mamy przed sobą przedziwną mieszankę starości z nowoczesnością, a wejście przypomina bożonarodzeniową szopkę, zwłaszcza teraz, gdy wokół zalega nieco śniegu.

Wchodzimy i znajdujemy się chyba w najbardziej kiczowatym wnętrzu, jakie dane mi było oglądać, zagraconym pamiątkowymi bibelotami przywiezionymi z USA, wśród których widzę kilka plastikowych Statui Wolności. Wystrój to trudny do określenia mieszmasz stylów, ale atmosferą, która tu panuje, jest... radosna i przyjazna. Właścicielem okazuje się żylasty, brodaty mężczyzna po trzydziestce. Jest miły i gościnnie, wita nas łamaną angielszczyzną, po czym prowadzi do maleńkiej windy, którą jedziemy do naszych pokoiów na górze. Tom i ja bierzemy dwójkę z dwoma osobnymi łózkami, a pokój małżeński zostawiamy Thanasowi i Dricie.

— Zapytasz go, jak dotrzeć w to miejsce? — Podaję mojemu tłumaczowi pomiętą kartkę z adresem rodziców Alessii.

— Tak. Kiedy chcesz jechać?

— Za pięć minut. Jak tylko się rozpakuję.

— Wyhamuj, Trevethick — wtrąca się Tom. — Nie możemy najpierw pójść na drinka?

Hm... Ojciec mawiał, że czasem warto sobie łyknąć na odwagę.

— Ale szybkiego. I tylko jednego, okej? Mam się spotkać z rodzicami mojej przyszłej żony i nie zamierzam być pod wpływem.

Tom z entuzjazmem kiwa głową i zaklepuje sobie łóżko przy

drzwiach.

— Mam nadzieję, że nie chrapiesz — mówię, rozpakowując rzeczy.

GODZINĘ PÓŹNIEJ PARKUJEMY W NIEWIELKIEJ ZATOCZCE PRZED OTWARTĄ, ZARDZEWIAŁĄ DWUSKRZYDŁOWĄ BRAMĄ. Zanią, na końcu betonowego podjazdu stoi samotny dom. Zbudowano go nad brzegiem Drinu, tak że od bramy widać tylko pokryty terakotą dach.

— Thanas, chodź lepiej ze mną — mówię i wysiadamy, zostawiając Dritę i Toma w samochodzie.

W blasku zachodzącego słońca w poprzek podjazdu kładą się długie cienie. Znajdujemy się na dużej działce otoczonej bezlistnymi drzewami, choć dostrzegam też kilka jodeł i spory, ładnie utrzymany warzywnik. Dom jest pomalowany na jasną zieleń, ma trzy kondygnacje i, z tego, co widzę, dwa wychodzące na zalew balkony. Jest większy niż te, które widzieliśmy po drodze. Może rodzice Alessii są całkiem majątni. Nie mam pojęcia. Jezioro, podświetlone blednącymi barwami zimowego zachodu słońca, wygląda wspaniale.

Na dachu dostrzegam antenę satelitarną i przypomina mi się jedna z rozmów z Alessią.

W Ameryce byłam dzięki telewizji.

Amerykańskiej telewizji?

Tak. Dzięki Netflixowi i HBO.

Stukam do, jak mi się zdaje, wejściowych drzwi. Są zrobione z porządnego, litego drewna, dlatego stukam raz jeszcze, tym razem mocniej, by mieć pewność, że zostaną usłyszany. Serce mi wali i pomimo chłodu po plecach spływa mi stróżka potu.

To ten moment.

Przygotuj się, stary.

Zaraz poznam swoich przyszłych teściów — choć oni o niczym jeszcze nie wiedzą.

Drzwi się uchylają i w snopie padającego z tyłu światła ukazuje mi się drobna kobieta w średnim wieku. Ma chustkę na głowie i w wieczornej szarówce widzę, że przygląda mi się nieco zdziwiona, trochę jak Alessia.

— Pani Demachi?

— Tak — Teraz w jej oczach zamiast lekkiego zdziwienia widzę głębokie zdumienie.

— Nazywam się Maxim Trevelyan i przychodzę w sprawie pani córki.

Otwiera ze zdziwienia usta i mruga jak szalona, po czym uchyla drzwi nieco szerzej. Wygląda schludnie, ma szczupłe ramiona, choć ubrana jest raczej mało elegancko — w obszerną spódnicę i bluzkę. Włosy ma schowane pod chustką, przez co przypomina mi się moment, w którym po raz pierwszy ujrzałem jej córkę stojącą w moim przedpokoju jak spłoszony królik.

— Alessii? — szepcze.

— Tak.

Kobieta marszczy brwi.

— Mój mąż... nie ma go w domu.

Jej angielski brzmi bardziej chropawo i słyhać w nim znacznie silniejszy akcent niż u Alessii. Z niepokojem wpatruje się w podjazd za moimi plecami — czego tam wypatruje, nie wiem — po czym spogląda wprost na mnie.

— Nie może pan wejść.

— Dlaczego? — pytam.

— Mojego męża nie ma w domu.

— Ale muszę z panią porozmawiać o Alessii. Myślę, że jest właśnie w drodze powrotnej do domu.

Zadziiera głowę, nagle czujna.

— Spodziewamy się jej niedługo. Słyszał pan, że wraca? Serce chce mi wyskoczyć z piersi, kiedy to słyszę.

Wraca do domu. Miałem rację.

— Tak. I przyjechałem, żeby prosić panią i pani męża... — Przełykam.
— O... rękę waszej córki.

— NASZA OSTATNIA GRANICA, *carissima* — mówi Anatoli. — Wracamy do ojczyzny. Wstydź się, że z niej wyjechałaś, czmychnęłaś jak złodziej, okrywając hańbą swoją rodzinę. Kiedy będziemy na miejscu, będziesz mogła przeprosić rodziców za zmartwienia, których im przysporzyłaś.

Alessia odwraca wzrok, w duchu przeklinając Anatolego za to, że próbuje w niej wywołać poczucie winy z powodu ucieczki. To przed nim uciekła! Wie, że wielu albańskich mężczyzn wyjeżdża z kraju, żeby pracować za granicą — kobiety nie mają tak łatwo.

— Jeszcze ten jeden raz musisz wejść do bagażnika. Ale zaczekaj, muszę najpierw coś wyjąć.

Alessia się odsuwa i spogląda na zachód, gdzie słońce w końcu znikło za górami. Chłód z powietrza przenika przez jej ubrania i oplata się wokół serca. Wie, że to z ogromnej tęsknoty za jedynym mężczyzną, jakiego dane jej było w życiu kochać. Łzy niespodziewanie wzbierają w jej oczach, a ona mruga, żeby je powstrzymać.

Nie teraz.

Nie chce dać Anatolemu tej satysfakcji.

Wyplącze się dziś wieczorem.

Z mamą.

Robi głęboki wdech. Oto zapach wolności — chłodny i nieznany. Gdy znowu głębiej odetchnie, będzie w swoim rodzinnym kraju, a jej przygody będą tylko... jak to powiedział Maxim? Młodzieńczym wyskokiem.

— Wchodź. Noc się zbliża — warczy Anatoli, przytrzymując otwartą klapę.

Noc należy do demona.

A ona w tej chwili na takiego patrzy. Oto czym jest Anatoli. Demonem we własnej osobie. Alessia wchodzi bez słowa skargi do bagażnika, nawet nie dotykając swojego oprawcy. Jest coraz bliżej domu i nie może się już doczekać spotkania z matką.

— Już niedługo, *carissima* — mówi Anatoli, a w jego oku pojawia się niepokojący błysk

— Zamknij bagażnik — odpowiada Alessia, ściskając latarkę.

Jego wargi wyginają się w sardonicznym uśmiechu, gdy opuszcza klapę, by pozostawić Alessię w ciemności.

PANI DEMACHI WCIĄGA GŁOŚNO POWIETRZE i raz jeszcze rzucając okiem na podjazd za moimi plecami, odsuwa się na bok.

— Proszę wejść.

— Zaczekaj w samochodzie — mówię do Thanasa i podążam za nią do ciasnego przedsionka, gdzie pokazuje mi stojak na obuwie.

Ach tak. Szybko zsuwam buty i czuję ulgę, widząc, że założyłem skarpetki do pary.

I wszystko to dla Alessii...

Przedpokój jest pomalowany na biało, a na lśniących kafelkach podłogi leży kolorowy kilimowy dywan. Kobieta gestem zaprasza mnie do sąsiedniego pokoju, gdzie naprzeciwko siebie, po dwóch stronach niskiego stolika, stoją dwie stare sofy przykryte wielobarwnymi, wzorzystymi pledami. Także stolik jest przykryty bogato zdobioną tkaniną. Nieco dalej widzę kominek, a na jego gzymsie liczne fotografie. Mrużę oczy w nadziei, że dostrzegę Alessię. Widzę zdjęcie siedzącej przy pianinie młodej kobiety o wielkich, poważnych oczach.

Moja dziewczyna!

W palenisku ktoś ułożył polana, ale ogień nie płonie pomimo zimna. Podejrzewam, że znalazłem się w salonie, który wykorzystuje się tylko do przyjmowania gości. Honorowe miejsce zajmuje w nim stare pianino stojące pod jedną ze ścian. Choć zwyczajne i sfatygowane, założyę się, że jest idealnie nastrojone. To tutaj grywa.

Moja utalentowana dziewczyna.

Obok pianina stoi regał pełen zaczytanych książek.

Matka Alessii nie poprosiła mnie, bym zdjął płaszcz. Pewnie więc nie zabawię tu długo.

— Proszę. Niech pan usiądzie — mówi.

Zajmuję miejsce na jednej z sof, a ona przysiada na brzegu drugiej, naprzeciwko mnie. Jest wyraźnie spięta. Zaciska splecione dłonie i wpatruje się we mnie wyczekująco. Jej oczy mają ten sam ciemny kolor co oczy Alessii, ale w przeciwieństwie do pełnego tajemniczości spojrzenia dziewczyny wypełnia je tylko smutek. Może to dlatego, że martwi się o córkę, ale sądząc po zmarszczkach na twarzy i siwiźnie widocznej na wystających spod chustki włosach, nie miała łatwego życia.

Życie kobiet w Kukës bywa ciężkie.

Wracają do mnie wypowiedziane cicho słowa Alessii.

Jej matka mruga kilka razy. Przypuszczam, że denerwuje się i krępuje moją obecnością. Czuję się z tego powodu nieco winny.

— Moja przyjaciółka. Magda pisze do mnie o mężczyźnie, który pomaga jej i mojej Alessii. Czy to pan? — Jej głos brzmi niepewnie i cicho.

— Tak.

— Jak się czuje moja córka? — pyta szeptem. Przygląda mi się w skupieniu, najwyraźniej łaknąc wiadomości o Alessii.

— Gdy ją ostatni raz widziałem, miała się dobrze. Nawet lepiej niż dobrze, była szczęśliwa. Poznałem ją, kiedy dla mnie pracowała. Przyszła do mojego mieszkania, żeby posprzątać. — Mówię jak najprościej, żeby matka Alessii nie miała problemu ze zrozumieniem.

— Przyjechał pan aż z Anglii?

— Tak.

— Dla Alessii?

— Tak. Zakochałem się w pani córce i wierzę, że ona też mnie kocha.

Jej oczy się rozszerzają.

— Naprawdę? — Patrzy wyraźnie zaniepokojona.

No dobra... nie takiej reakcji się spodziewałem.

— Tak. Tak mi powiedziała.

— I chce się pan z nią ożenić?

— Tak.

— A skąd pan wie, że ona chce pana poślubić?

O—o!

— Prawdę mówiąc, pani Demachi, nie wiem tego. Nie miałem okazji jej zapytać. Wydaje mi się, że została porwana i jest wieziona do Albanii wbrew swojej woli.

Odchyła głowę i wpatruje się we mnie uważnie, szacująco.

Cholera.

— Moja przyjaciółka Magda dobrze o panu mówi. Ale ja pana nie znam. Dlaczego mój mąż miałby pozwolić panu poślubić naszą córkę?

— Cóż, wiem, że ona nie chce wychodzić za mężczyznę, którego wybrał dla niej ojciec.

— Tak panu mówi?

— Opowiedziała mi o wszystkim. A ja jej uważnie słuchałem. Kocham ją.

Pani Demachi przygryza górną wargę. Ten nawyk tak bardzo przywodzi mi na myśl jej córkę, że muszę ukryć uśmiech.

— Mój mąż niedługo wróci. I to on zdecyduje, co się stanie z Alessią. Wybrał dla niej oblubieńca. Dał słowo. — Spogląda na swoje ciasno splecione dłonie. — Raz pozwoliłam jej wyjechać i to mi złamało serce. Chyba nie będę umiała pozwolić na to znowu.

— Chce pani, żeby została uwięziona w pełnym agresji i przemocy małżeństwie?

Nagle wbija we mnie spojrzenie, a ja dostrzegam w jej oczach ból i głębokie zrozumienie tego, o czym mówię. Ich miejsce jednak zaraz zajmuje szok wywołany faktem, że wiem, jak wygląda jej życie.

Wraca do mnie wszystko, co Alessia mówiła o swoim ojcu.

Pani Demachi mówi cicho:

— Musi pan iść. Proszę wyjść. — Wstaje.

Ożeż.

Obraziłem ją.

— Przepraszam — mówię, także wstając.

Marszczy czoło. Po chwili spogląda znów na mnie, zmieszana i niezdecydowana. Nagle wyrzuca z siebie:

— Alessia będzie tu dziś o ósmej wieczorem ze swoim narzeczonym.

Na chwilę odwraca ode mnie wzrok, zapewne zastanawiając się, czy dobrze zrobiła, zdradzając mi tak ważną tajemnicę.

Wyciągam ręce i mam ochotę uścisnąć jej splecione dłonie, ale się powstrzymuję. Mój dotyk może nie być mile widziany. Zamiast tego uśmiecham się do niej szczerze i z wdzięcznością.

— Dziękuję. Pani córka jest całym moim światem.

Rozluźnia się na moment, odpowiadając niepewnym uśmiechem, a ja znowu widzę w niej Alessię.

Odprowadza mnie do drzwi, gdzie zakładam buty, po czym wypuszcza mnie na dwór.

— Do widzenia — mówi.

— Powie pani mężowi, że tu byłem?

— Nie.

— W porządku. Rozumiem. — Posyłam jej uspokajający, jak mam nadzieję, uśmiech i wracam do samochodu.

W HOTELU NIE MOGĘ SOBIE ZNALEŹĆ MIEJSCA. Próbowaliśmy oglądać telewizję, ale ani Tom, ani ja nic z niej nie rozumieliśmy. Usiłowaliśmy też czytać, a teraz jesteśmy w barze na najwyższej kondygnacji budynku. Za dnia roztaczałby się z niego piękny widok na Kukës, zalew i góry dookoła, ale jest już ciemno, a słabo oświetlona panorama nie jest w stanie poprawić mi nastroju.

Wraca do domu.

Z nim.

Mam nadzieję, że nic jej nie jest.

— Usiądź. Może się napij — sugeruje Tom.

Patrzę na niego z ukosa. W takich chwilach jak ta żałuję, że nie palę. Zniecierpliwienie i napięcie są niemal nie do zniesienia. Po jednym łyku whisky już dłużej nie wytrzymuję.

— Jedziemy.

— Jeszcze za wcześnie!

— Mam to gdzieś. Nie mogę siedzieć tutaj i czekać. Wolę już być z jej rodziną.

ZA DWADZIEŚCIA ÓSMA WRACAMY DO DOMU PAŃSTWA DEMACHI.

Pora, żebym zachował się jak dorosły mężczyzna.

Tom znowu zostaje z Dritą w samochodzie, a Thanas i ja idziemy podjazdem.

— I pamiętaj, że wcześniej mnie tu nie było. Nie chcę, żeby pani Demachi miała przeze mnie kłopoty — mówię do mojego tłumacza.

— Kłopoty?

— Z mężem.

— Ach. Rozumiem. — Thanas przewraca oczami.

— Rozumiesz?

— Tak. W Tiranie jest inaczej. Tutaj tradycja bardziej się liczy. Mężczyźni. Kobiety. — Krzywi się.

Wycieram o płaszcz spocone dłonie. Nie denerwowałem się tak od rozmowy decydującej o moim przyjęciu do Eton. Muszę zrobić dobre wrażenie na ojcu Alessii.

Muszę go przekonać, że jestem dla jego córki lepszym kandydatem na męża niż ten dupek, którego dla niej wybrał.

To jest, jeśli ona mnie zechce.

Cholera.

Pukam do drzwi i czekam.

Otwiera pani Demachi. Jej wzrok wędruje najpierw do Thanasa, potem do mnie.

— Pani Demachi? — pytam.

Kobieta potakuje milcząco.

— Czy pani mąż jest w domu?

Znowu potakuje, a ja, na wypadek gdybyśmy byli podsłuchiwani, przedstawiam się, jakby nasze wcześniejsze spotkanie nie miało miejsca.

— Proszę wejść — mówi. — Musi pan porozmawiać z moim mężem.

Zdejmujemy buty, a ona odbiera od nas płaszcze i wiesza w przedpokoju.

Pan Demachi wstaje, gdy wchodzimy do większego pomieszczenia w głębi domu — przestronnego, nieskazitelnie czystego pokoju dziennego z kuchnią połączoną z nim przejściem zwieńczonym lukiem. Na ścianie nad głową mężczyzny wisi groźnie wyglądająca strzelba. Trudno nie zauważyć, że mężczyzna mają na wyciągnięcie ręki.

Demachi jest starszy od żony; ma ogorzałą twarz, a w czarnych włosach przewagę zaczyna zdobywać siwizna. Ubrany jest w ponury ciemny garnitur, który nada—je mu wygląd mafijnego bossa. Z jego oczu niczego nie można wyczytać. Cieszę się, że jest o pół głowy niższy ode mnie.

W miarę jak pani Demachi wyjaśnia, kim jesteśmy, na jego twarzy odmalowuje się coraz większa nieufność.

Cholera. Co ona mu mówi?

Thanas szeptem tłumaczy:

— Powiedziała, że chcesz z nim porozmawiać o jego córce.

— Okej.

Demachi posyła nam obu niepewny uśmiech, po czym się wita, podając rękę najpierw mnie, potem Thanasowi, i wskazuje starą, wykończoną sosną kanapę, zapraszając, byśmy usiedli. Mierzy mnie spojrzeniem świdrujących oczu w takim samym kolorze jak oczy Alessii, podczas gdy pani Demachi przechodzi do kuchni.

Demachi spogląda najpierw na mnie, potem na Thanasa i zaczyna mówić. Jego głos ma mocne, głębokie, niemal kojące brzmienie. Mój towarzysz natychmiast zaczyna tłumaczyć w obie strony.

— Moja żona mówi, że przybywa pan tutaj z powodu mojej córki.

— Tak, panie Demachi. Alessia pracowała u mnie w Londynie.

— W Londynie? — Przez chwilę wydaje się, że jest pod wrażeniem, ale ten moment szybko mija. — A co dokładnie robiła?

— Była moją sprzątaczką.

Zamyka na chwilę oczy, jakby ta wiadomość była dla niego zbyt bolesna; jestem zaskoczony. Może myśli, że to zajęcie jest jej niegodne... a może za nią tęskni... Nie wiem. Robię głęboki wdech, żeby uspokoić napięte nerwy, i mówię dalej.

— Przyjechałem, żeby prosić o jej rękę i zgodę na ślub.

Mężczyzna ze zdziwienia robi wielkie oczy, po czym marszczy groźnie brwi. Robi to z przesadą, ale w jakim celu — tego nie wiem.

— Jest już przyrzeczona innemu — mówi.

— Ona nie chce poślubić tamtego mężczyzny. To z jego powodu stąd wyjechała.

Demachi jeszcze bardziej wybałusza oczy, zdumiony moją szczerością i otwartością, a z kuchni dobiega głośne sapnięcie.

— Tak panu powiedziała?

— Owszem.

Twarz mężczyzny pozostaje nieodgadniona.

Co on, do cholery, o tym wszystkim myśli?

Zmarszczki na czole ojca Alessii się pogłębiają.

— A dlaczego pan chce się z nią ożenić? — Wydaje się skonsternowany.

— Bo ją kocham.

KUKĚS WYGLĄDA BOLEŚNIE ZNAJOMO. NAWET PO CIEMKU. Alessia czuje ekscytację,

a jednocześnie lęk przed spotkaniem z rodzicami. Ojciec ją zbije, a matka utuli w ramionach i razem będą płakały.

Jak zawsze.

Anatoli przejeżdża przez most na półwysep, na którym położone jest miasto, i skręca w lewo. Alessia siada prosto i wyteża wzrok, wypatrując znajomego budynku. Po niecałej minucie dostrzega jasno oświetlone okna w domu rodziców i marszczy brwi. Na początku podjazdu stoi samochód; dwoje ludzi opiera się o niego, patrzy na rzekę i pali papierosy. Alessii ów widok wydaje się dziwny, ale nie zamierza nad nim rozmyślać, zbyt jest przejęta rychłym spotkaniem z rodzicami. Anatoli omija mercedesem zaparkowane auto i wjeżdża na podjazd.

Zanim samochód zupełnie się zatrzyma, Alessia otwiera drzwi, wyskakuje i biegnie ścieżką, po czym wpada do domu. Nie zdejmuje butów, tylko pędzi przez przedpokój.

— Mamo! — woła i wskakuje do pokoju dziennego, spodziewając się ujrzeć matkę.

Na jej powitanie wstaje Maxim i jakiś inny mężczyzna, którego ledwo zauważa. Siedzieli z jej ojcem, który teraz się w nią wpatruje.

Świat wokół Alessii się zatrzymuje i dziewczyna zastyga w bezruchu, próbując zrozumieć to, co widzi.

Mruga kilka razy, a jej puste, zbolełe serce ożywa i znowu zaczyna bić. Jej oczy widzą tylko jednego mężczyznę.

On tu jest.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

MOJE SERCE WALI JAK OSZALAŁE. Alessia stoi pośrodku pokoju. Zdumiona.

Jest tutaj.

Nareszcie. Jej rozszerzone ciemne oczy wpatrują się we mnie z niedowierzaniem.

Tak. Przyjechałem po ciebie.

Jestem przy tobie. Na zawsze.

Wygląda oszałamiająco. Szczupła. Słodka. Rozwichrzone włosy. Ale jest blada. Bledsza niż kiedykolwiek, jeden policzek ma otarty, a drugi posiniaczony. Pod oczami widać ciemne cienie, które lśnią od niewypłakanych łez.

Czuję gulę w gardle.

Przez co musiałaś przejść, najdroższa?

— *Cześć* — szepczę. — Wyszłaś bez pożegnania.

MAXIM TU JEST. DLA NIEJ. Nagle w pokoju nie ma nikogo innego. Dostrzega tylko jego. Włosy ma potargane. Jest blady i wygląda na zmęczonego, ale zdaje się, że odczuł ulgę. Jego olśniewające zielone oczy chłoną jej widok, a jego słowa trafiają prosto do jej serca. Tych samych słów użył, gdy przyjechał po nią do Brentford, ale jego twarz wyraża pytanie, błagalne pytanie o to, dlaczego wyjechała. Nie wie, co ona do niego czuje, ale i tak przyjechał.

Jest tutaj.

A nie z Caroline.

Jak mogła w niego zwątpić? Jak on mógł zwątpić w nią? Wydaje z siebie krótki, ostry krzyk i biegnie do jego wyciągniętych ramion. Maxim przytula ją do piersi i mocno obejmuje. Alessia wdycha jego zapach — czysty, ciepły i znajomy.

Maxim.

Nigdy mnie nie zostawiaj.

Ruch na skraju pola widzenia przykuwa jej uwagę. To ojciec wstał i wbił w nich oboje wzrok. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć...

— Jesteśmy w domu! — woła Anatoli z korytarza i dumnym krokiem wmaszerowuje do pokoju z jej torbą, spodziewając się powitania godnego bohatera.

— Zaufaj mi — szepcze Alessia do Maxima.

Patrzy jej w oczy z miłością, a potem całuje w czubek głowy.

— Zawsze.

Anatoli nieruchomieje w progu. Zaskoczenie odbiera mu mowę.

ALESSIA ZWRACA SIĘ DO SWOJEGO OJCA, który patrzy to na nas, to na tego łajdaka, który ją porwał. Anthony? Antonio? Nie pamiętam, jak ma na imię, ale ten dupek jest przystojny. Jego lodowatoniebieskie oczy rozszerzyły się ze zdumienia, ale potem się zwężają i zimno oceniają mnie i kobietę w moich objęciach. Osłaniam Alessię ramieniem, by chronić ją przed przybyszem i jej ojcem.

— *Babë* — Alessia zwraca się do ojca — *më duket se jam shtotzënë dhe ai ësthei ati.*

W pokoju rozlega się zbiorowy haust wciąganego w szoku powietrza.

Co ona, do cholery, powiedziała?

— *Co?* — ryczy dupek po angielsku i upuszcza torbę z wściekłym wyrazem twarzy.

Jej ojciec wpatruje się w nas osłupiały, a jego policzki nabierają rumieńców.

Thanas nachyla się ku mnie i szepcze:

— Właśnie powiedziała, że chyba jest w ciąży i że to twoje dziecko.

— *Co?*

Kręci mi się w głowie. Ale zaraz... Przecież... My zawsze... Używaliśmy...

Ona kłamie.

Jej ojciec sięga po strzelbę.

Kurwa.

— *MÓWIŁAŚ, ŻE KRWAWISZ!* — ANATOLI WRZESZCZY NA ALESSIĘ, A ŻYŁA NA JEGO CZOLE PULSUJE GNIEWEM.

Mama zaczyna płakać.

— Skłamałam! Nie chciałam, żebyś mnie dotykał! — Zwraca się do ojca. — *Babë*, proszę. Nie każ mi za niego wychodzić. To zły, brutalny człowiek. On mnie zabije.

Babë wpatruje się w nią, jakby był jednocześnie rozbawiony i zły, podczas gdy mężczyzna, którego Alessia nie zna, cicho tłumaczy Maximowi na angielski to, co powiedziała. Nie ma teraz czasu zastanawiać się, kim on jest.

— *Zobacz* — mówi do ojca i rozpina kurtkę, a potem obciąga sweter,

żeby pokazać ciemne siniaki na gardle.

Jej matka szlocha w głos.

— Co, do cholery...! — wrzeszczy Maxim, przyskakuje do Anatolego, łapie go za kark i przewraca na podłogę.

KURWA, ZABIJĘ GO.

Zaskakuję go, czując przyływ adrenaliny, i gdy upada bez tchu, przygniataam do podłogi.

— Ty pieprzony dupku! — ryczę i walę go pięścią w twarz. Siedzę na nim okrakiem, a jego głowa aż przekręca się w bok od uderzenia. Biję go ponownie, a on próbuje walczyć, zamierzając się na mnie, ale uchylam się od ciosu. Jest silny i wierzga pode mną, więc zaciskam palce na jego szyi i ściskam. Łapie mnie za dłonie i próbuje z siebie zrzucić. Ściąga usta i pluje mi w twarz, ale znów robię unik, a ślina spada mu z powrotem na policzek. Opluł sam siebie, co jeszcze bardziej go rozwściecza. Znowu rzuca się pode mną. Wrzeszczy do mnie coś w swoim języku. Nie rozumiem jego słów — ale mam je głęboko gdzieś.

Jeszcze mocniej zaciskam palce.

Umieraj, sukinsynu.

Twarz mu czerwienieje. Oczy wychodzą z orbit.

Podciągam ręce, unosząc jego głowę, a potem uderzam nią o płytki podłogi. Z radością słyszę głuchy stuk.

Gdzieś z tyłu dobiega krzyk.

Alessia.

— Złaż ze mnie! — stęka dupek łamaną angielszczyzną. Nagle czuję na sobie czyjeś dłonie, które starają się mnie odciągnąć. Opieram się im i

mocniej pochylałam nad mężczyzną, aż czuję jego nieświeży oddech.

— Jeśli jeszcze raz ją dotkniesz, to cię, kurwa, zabiję! —warczę.

— Trevethick! Trevethick! Maxim! Max! — To Tom. Chwyta mnie za ramiona i odsuwa. Wciągam powietrze do płuc, gdy wstaję, a całe moje ciało aż drży z gniewu i pragnienia odwetu. Ten łajdak patrzy na mnie, a ja widzę, jak ojciec Alessii staje między nami ze strzelbą w dłoniach. Rzuca mi jadowite spojrzenie i macha lufą, żebym się cofnął.

Robię to niechętnie.

— Uspokój się, Maxim. Przecież nie chcesz wywołać międzynarodowego skandalu — mówi Tom i razem z Thanasem odciągają mnie do tyłu. Dupek zbiera się z podłogi, a jego grymas wyraża czystą nienawiść.

— Jesteś taki sam jak wszyscy Anglicy — prycha. —Miękki i słaby, za to wasze kobiety są twarde.

— Wystarczająco słaby, żeby ci dowalić, ty śmieciu —odwarkuję w odpowiedzi.

Gdy przesłaniająca mi wzrok czerwona mgiełka się rozprasza, słyszę, jak Alessia płacze tuż za mną.

Cholera.

OJCIEC ALESSII STOI MIĘDZY DWOMA MĘŻCZYZNAMI I PATRZY NA NICH SKONSTERNOWANY.

— Wchodzicie do mojego domu, by szerzyć w nim przemoc? Na oczach mojej żony i mojej córki? — zwraca się do Maxima i jego przyjaciela Toma.

Skąd się tu wziął Tom? zastanawia się Alessia. Pamięta, jak. poznała go w Brentford i przypomina sobie, że widziała go wcześniej w kuchni Maxima, z nogą całą w bliznach. Tom przeczesuje dłonią rdzawe włosy i

patrzy to na nią, to na jej ojca.

Thanas nachyla się do Maxima i tłumaczy po cichu słowa ojca Alessii. Maxim wyciąga ręce i cofa się o krok.

— Przepraszam, panie Demachi. Kocham pańską córkę i nie chcę, żeby stała jej się jakakolwiek krzywda. Zwłaszcza z rąk jakiegoś faceta. — Maxim rzuca ojcu Alessii znaczące spojrzenie. Baba marszczy czoło i kieruje swoją uwagę na Anatolego.

— A ty... Przywozisz mi ją z powrotem całą posiniaczoną?

— Wiesz, jaka ona jest uparta, Jak. Trzeba ją poskromić.

— Poskromić? W taki sposób? — *Babë* wskazuje na szyję Alessii.

Anatoli wzrusza ramionami.

— To kobieta. — Ton jego głosu wyraża całkowite lekceważenie.

Gdy Maxim słyszy tłumaczenie tych słów, zaciska zęby i pięści. Aż kipi od napięcia i gniewu.

— Nie — mruczy Alessia, wyciągając dłoń, by uspokajającym gestem dotknąć Maxima.

— Ty bądź cicho! — kłapie na nią ojciec, obracając się gwałtownie. — To ty sprowadziłaś na nas tę hańbę. Uciekłaś. I wróciłaś jako dziwka. Rozłożyłaś nogi przed tym Anglikiem.

Alessia spuszcza głowę i krew odpływa jej z twarzy.

— *Babë*, Anatoli mnie zabije — szepcze. — Jeśli pragniesz mojej śmierci, to wolę, żebyś zastrzelił mnie z tej strzelby. W ten sposób będę mogła zginąć z rąk kogoś, kto powinien mnie kochać.

Zerka na ojca, który blednie w reakcji na jej słowa, a Thanas cicho je tłumaczy.

— Nie — mówi Maxim z takim przekonaniem, że wszystkie oczy zwracają się ku niemu. Szybko się przesuwa, żeby zasłonić Alessię. — Nie tkniecie jej. Żaden z was.

Baba wpatruje się w niego, lecz Alessia nie wie, czy ojciec jest rozniewany, czy pod wrażeniem.

— Twoja córka to zbrukana ziemia, Demachi — stwierdza Anatoli. — Dlaczego miałbym chcieć resztki po jakimś mężczyźnie, i do tego jeszcze bękarta? Możesz ją sobie zatrzymać i pożegnać się z pożyczką, którą ci obiecałem.

Ojciec patrzy na niego z gniewem.

— Zrobiłbyś mi to?

— Twoje słowo nie jest nic warte — warczy Anatoli. Tłumacz cicho przekazuje te słowa po angielsku.

— Pożyczka? — pyta Maxim. Delikatnie obraca głowę i mówi tak, żeby usłyszała go tylko Alessia. — Ten dupek za ciebie zapłaci?

Dziewczyna się rumieni.

Maxim zwraca się do jej ojca.

— Ja to wyrównam — oznajmia.

— Nie! — woła Alessia.

Jej ojciec patrzy na Maxima wściekłym wzrokiem.

— Okrywasz go hańbą — szepcze Alessia.

— *Carissima* — odzywa się Anatoli z progu. — Powinienem był cię zerznąć, gdy miałem okazję. — Celowo mówi po angielsku, żeby Maxim zrozumiał.

Maxim przyskakuje do niego, znów kipiąc wściekłością, lecz tym

razem Anatoli jest przygotowany. Z kieszeni płaszcza wyciąga pistolet i mierzy z niego prosto w twarz Anglika.

— Nie! — krzyczy Alessia i wbiega między nich, zasłaniając Maxima.

— Nie wiem, czy zastrzelić ciebie, czy jego — Anatoli warczy w ojczystym języku Alessii, a potem zerka na jej ojca w oczekiwaniu na pozwolenie.

Baba patrzy najpierw na Anatolego, a potem na córkę.

Zapada cisza. Napięcie wypełnia cały pokój. Alessia się nachyla.

— I co zamierzasz zrobić, Anatoli? — Wsuwa w jego stronę palec wskazujący. — Zastrzelisz mnie czy jego? — Thanas tłumaczy.

Maxim chwyta ją za ramiona, ale ona go odtrąca.

— Jaki mężczyzna chowa się za kobietą? — prycha Anatoli po angielsku. — Mam dość kul dla was obojga. — Wyraz triumfu na jego twarzy przyprawiają o mdłości.

— Nie, nie masz — odpowiada Alessia.

Anatoli marszczy brwi.

— Co? — Z wahaniem sprawdza ciężar trzymanej w ręku broni.

— Dziś rano w Zagrzebiu, gdy spałeś, wyjęłam naboje.

Celując w Alessię, Anatoli kładzie palec na spuście.

— Nie! — wrzeszczy ojciec i uderza Anatolego kolbą tak mocno, że ten upada na podłogę i wściekły znów mierzy, lecz tym razem do ojca Alessii. Naciska spust.

— Nie! — Alessia i jej matka krzyczą jednocześnie, ale nic się nie dzieje. Kurek klika, a dźwięk odbija się echem od pustej komory.

— Kurwa! — wrzeszczy Anatoli i patrzy na Alessię z dziwną mieszaniną pogardy i podziwu na twarzy. — Ależ ty jesteś cholernie irytująca — mruczy i podnosi się z podłogi.

— Idź! — rozkazuje Baba. — Idź stąd, Anatoli, zanim sam do ciebie strzelę. Chcesz rozpocząć krwawą waśń?

— Przez twoją dziwkę?

— Jest moją córką, a ci ludzie są gośćmi w moim domu. Idź. Natychmiast. Nie jesteś tu już mile widziany.

Anatoli patrzy na niego, a każdy napięty mięsień twarzy oddaje jego wściekłość i bezsilność.

— Jeszcze popamiętacie — warczy do ojca Alessii i Maxima. Obraca się na pięcie, przepycha obok Toma i wychodzi z pokoju. Po chwili słyszą głośne trzaśnięcie drzwi.

GDY DEMACHI POWOLI OBRACA SIĘ KU ALESSII, JEGO WZROK AŻ PŁONIE. Ignorując mnie, skupia groźne spojrzenie na córce.

— Splamiłaś mój honor — tłumaczy Thanas. — Honor rodziny. I honor miasta. I wracasz tu w takim stanie? — Jej ojciec wskazuje ręką w dół i w górę jej ciała. — Sama siebie okryłaś hańbą.

Patrzę, jak Alessia spuszcza głowę ze wstydu, a po policzku spływa jej łza.

— Patrz na mnie — warczy ojciec.

Gdy dziewczyna unosi spojrzenie, on zamierza się, by ją spoliczkować, lecz szybko ją od niego odciągam. Cała się trzęsie.

— Nie tkniesz nawet włosa na jej głowie — mówię, górując nad nim. — Ta kobieta przeszła przez piekło. A wszystko przez ciebie i gównianego narzeczonego, którego jej wybrałaś. Została porwana przez

handlarzy ludźmi. Miała być seksualną niewolnicą. Uciekła. Bez jedzenia. Szła przez wiele dni, nie mając nic. A po tym wszystkim dała radę znaleźć sobie pracę i jakoś się pozbierać niemal bez niczyjej pomocy. Jak możesz traktować ją w ten sposób? Co z ciebie za ojciec? Gdzie twój honor?

— Maximie! To mój ojciec. — Alessia chwyta mnie za ramię z wyrazem przerażenia na twarzy. Ale rozpedziłem się już, a Thanas chyba jakoś za mną nadąży.

— Jak możesz mówić o honorze, skoro tak ją traktujesz? Poza tym ona może nosić pod sercem twojego wnuka, a ty zamierzasz ją bić?

Kątem oka zauważam matkę Alessii, która zaciska dłonie na fartuchu z twarzą pełną strachu. To bardzo przykry widok.

Demachi wpatruje się w moją twarz, jakbym był wariatem. Patrzy na Alessię, a potem z powrotem na mnie, a w jego ciemnych oczach wyraźnie odbijają się złość i pogarda.

— Jak śmiesz przychodzić do mojego domu i mówić mi, jak mam się zachowywać? Ty. Ty, który powinieneś być trzymać fiuta w rozporku. Nie mów mi o honorze. — Thanas blednie, tłumacząc. — Jesteś hańbą dla nas wszystkich. Zhańbiłeś moją córkę. Ale możesz zrobić jedno — warczy przez zaciśnięte zęby ojciec Alessii i szybkim ruchem przeładowuje broń.

Cholera.

Chyba przegiąłem.

On mnie zabije.

Czuję raczej, niż widzę, że Tom cały się spina w progę. Demachi celuje we mnie lufą i wrzeszczy:

— *Do të martohesh me time bijë!*

Albańczycy wydają się osłupieni. Tom jest gotów do skoku. Wszyscy na mnie patrzą: pani Demachi, Alessia, Thanas. Gapią się w zdumieniu. Thanas tłumaczy cicho:

— Ożenisz się z moją córką.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

OCH, BABĚ, NIE!

Alessia uświadamia sobie, że nie przemyślała kłamstwa o ciąży. W panice odwraca się od wymachującego bronią ojca, by wyjaśnić wszystko Maximowi. Nie ma najmniejszego zamiaru zmuszać go do małżeństwa!

Lecz on uśmiecha się od ucha do ucha.

W jego oczach lśni radość.

Wyraz jego twarzy zapiera jej dech w piersiach.

Maxim powoli opada na jedno kolano i z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjmuje... pierścionek z pięknym diamentem. Alessia głośno wciąga powietrze i przykładła dłoń do twarzy z zachwytem.

— Alessio Demachi — mówi Maxim. — Proszę, uczyni mi ten zaszczyt i zostań moją hrabiną. Kocham cię. Chcę już zawsze być z tobą. Spędź ze mną życie. U mojego boku. Na zawsze. Wyjdź za mnie.

Oczy Alessii wypełniają się łzami.

Przywiózł jej pierścionek.

Po to tutaj przyjechał.

Żeby ją poślubić.

Z wrażenia nie może oddychać.

A potem w nią uderza. Niczym rozpedzony pociąg. Euforia. On naprawdę ją kocha. Chce z nią być. Nie z Caroline. Chce być z nią już zawsze.

— Tak — szepcze, a łzy radości płyną jej po twarzy. Wszyscy patrzą równie oniemiałi i zdumieni jak Alessia, gdy Maxim wsuwa pierścionek na jej palec i całuje ją w rękę, a potem podskakuje uradowany i porywa ją w objęcia.

— KOCHAM CIĘ, ALESSIO DEMACHI — SZEPCZE. Odstawiam ją i całuję. Mocno. Zamykam oczy. Nie obchodzi mnie, że mamy towarzystwo. Nie obchodzi mnie, że jej ojciec nadal mierzy do mnie ze strzelby i że jej matka wciąż stoi w kuchni z szeroko otwartymi, zapłakanymi oczami. Nie obchodzi mnie, że jeden z moich najlepszych przyjaciół patrzy na mnie zdumiony i zaniepokojony, jakbym popadł w obłąd.

Właśnie teraz i tutaj, w Kukës w Albanii, jestem najszczęśliwszy w życiu.

Powiedziała „tak”.

Jej usta są miękkie i uległe. Jej język pieści mój. Minęło tylko kilka dni, a ja tak bardzo za nią tęskniłem.

Czuję jej łzy na swojej twarzy. Mokre i chłodne. *Cholera. Kocham tę kobietę.*

Pan Demachi odchrząkuje głośno, a ja i Alessia przytomniejemy, choć zaparło nam dech w piersiach i kręci nam się w głowach od pocałunku. Wsuwa między nas lufę strzelby, więc odsuwamy się od siebie, ale nadal mocno trzymam ją za rękę. Alessia uśmiecha się i rumieni, ja jestem zamroczony miłością.

— *Konteshë?* — pyta ojciec Alessii Thanasa, marszcząc brwi. Chłopak patrzy na mnie, ale ja nie mam pojęcia, co powiedział Demachi.

— Hrabina? — wyjaśnia Ihanas.

— Och... Tak Hrabina. Alessia zostanie lady Trevethick, hrabiną Trevethick.

— *Konteshë?* — powtarza jej ojciec, jakby starał się wczuć w to słowo i jego znaczenie.

Kiwam głową.

— *Babë, zati Maksim është Kont.*

Troje Albańczyków zaczyna gapić się na mnie i na Alessię, jakby wyrosły nam nagle dodatkowe głowy.

— Jak lord Byron? — pyta Thanas.

Byron?

— On chyba był baronem. Ale był arystokratą. Tak.

Pan Demachi opuszcza strzelbę, choć cały czas się we mnie wpatruje. Poza nim nikt się nawet nie porusza.

Hm... Dziwne to trochę.

Tom występuje do przodu.

— Gratuluję, Trevethick. Nie spodziewałem się, że oświadczysz się tak z marszu. — Obejmuje mnie i poklepuje po plecach.

— Dzięki, Tom — odpowiadam.

— To będzie piękna historia do opowiadania wnukom.

Śmieję się.

— Gratulacje, Alessio — dodaje Tom, kłaniając się przed nią lekko, a ona rewanżuje się cudownym uśmiechem.

Pan Demachi odwraca się do swojej żony i wyszczekuje jakąś komendę. Matka Alessii znika w głębi kuchni i wraca z butelką przejrzystego alkoholu i czterema kieliszkami. Zerkam na Alessię — jest radosna. Udręczona kobieta, która była wcześniej w tym pokoju, gdzieś

zniknęła.

Promienieje. Jej uśmiech. Jej oczy. Zapiera mi dech w piersiach.

Szczęściarz ze mnie.

Pani Demachi napełnia kieliszki i podaje je — tylko mężczyznom. Ojciec unosi swój.

— *Gëzuar* — mówi, a w jego przenikliwych ciemnych oczach pojawia się ulga.

Tym razem wiem, co to znaczy. Unoszę swój kieliszek.

— *Gëzuar* — powtarzam, a Thanas i Tom również wznoszą toast. Wszyscy opróżniamy kieliszki. To najmocniejszy i najbardziej zabójczy płyn, jaki kiedykolwiek spłynął moim gardłem.

Staram się nie kaszleć, ale ponoszę porażkę.

— Fantastyczne — kłamię.

— To raki — szepcze Alessia, starając się ukryć uśmiech. Demachi odstawia swój kieliszek i ponownie go uzupełnia, a potem nalewa raki innym.

Jeszcze jeden? Cholera. Przygotowuję się do tego mentalnie.

Ojciec Alessii znów unosi swoje raki.

— *Bija ime tani ësthë problem yt dhe do të martoheni, këtu, brenda javëes.* — Opróżnia kieliszek do dna i zaczyna radośnie wymachiwać strzelbą.

Thanas szybko tłumaczy.

— Moja córka to teraz twój problem. A ślub weźmiecie tutaj, jeszcze w tym tygodniu.

Co?

O cholera.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

W TYM TYGODNIU!

Posyłam Alessii speszony uśmiech, a ona odwzajemnia go i puszcza moją dłoń.

— Mama! — woła, a ja patrzę, jak biegnie do matki, która cierpliwie czeka w kuchni. Obejmują się i przywierają do siebie, jakby już nigdy nie zamierzały się puścić, i obie zaczynają płakać cicho, po kobiecemu.

To... wzruszające.

Widać, że bardzo za sobą tęskniły. Naprawdę bardzo.

Matka Alessii ociera łzy córki i mówi coś szybko w ich języku, a ja nie mam pojęcia, o czym rozmawiają. Moja narzeczona wybucha śmiechem, który przypomina gaworzenie, i ponownie się obejmują.

Ojciec patrzy na nie, a potem zwraca się do mnie.

— Kobiety. Są takie emocjonalne. — Thanas tłumaczy jego słowa, ale Demachi odczuwa chyba ulgę.

— Tak — odpowiadam szorstkim głosem i mam nadzieję, że zabrzmiało to po męsku. — Tęskniła za matką.

Ale za tobą nie.

Matka Alessii wypuszcza ją z objęć i Alessia podchodzi do ojca.

— Baba — mówi cicho, a jej oczy znów się rozszerzają.

Wstrzymuję oddech, gotów interweniować, gdyby chciał tknąć ją choćby palcem.

Demachi unosi dłoń i delikatnie ujmuje jej podbródek

— *Mos u largo përsëri. Nuk ësthë mirë për nënën tënde.*

Alessia uśmiecha się do niego nieśmiało, a on pochyla się i całuje ją w czoło, zamykając przy tym oczy.

— *Nuk ësthë mirë as për mua* — szepcze.

Patrzę na Thanasa w oczekiwaniu na tłumaczenie, ale on odwraca się, by zapewnić im odrobinę prywatności, więc uznaję, że powinienem zrobić to samo.

JEST PÓŹNO I JESTEM WYKOŃCZONY, ALE NIE MOGĘ SPAĆ.

Zbyt wiele się wydarzyło, a myśli kotłują mi się w głowie. Leżę i wpatruję się w roztańczone wodne refleksy na suficie. Wzory, które tworzą, tak doskonale pasują, że aż się uśmiecham. Odzwierciedlają mój ekstatyczny nastrój. Nie jestem w Londynie, tylko u swoich przysłych teściów, a blask pochodzi od księżyca w pełni, który odbija się od ciemnych, głębokich wód jeziora Fierza.

Nie dano mi wyboru, gdzie spać — Demachi uparł się, że muszę tutaj. Mój pokój znajduje się na parterze i choć ma skromne umeblowanie, jest wygodny, ciepły i oferuje piękny widok na jezioro.

Słyszę szelest przy drzwiach. To Alessia zakrada się przez nie, a potem je za sobą zamyka. Budzą się wszystkie moje zmysły, a serce zaczyna mi łomotać. Podchodzi na palcach do łóżka. Jej ciało okrywa najbardziej dziewczęca, skromna i wiktoriańska koszula nocna, jaką można sobie wyobrazić. Czuję się, jakbym nagle trafił w sam środek dziewiętnastowiecznej gotyckiej powieści, i mam ochotę wybuchnąć śmiechem na myśl o absurdalności tej sytuacji. Alessia przykłada jednak palec do ust, i jednym szybkim ruchem ściąga koszulę przez głowę i upuszczają ją na podłogę.

Wstrzymuję oddech.

Jej piękne ciało oblewa blade światło księżyca.

Jest idealna.

Pod każdym względem.

W ustach mi zasycha, moje ciało jest gotowe.

Odchyłam kołdrę, a ona wślizguje się obok mnie cudownie naga.

— Cześć, Alessio — szepczę. Moje usta odnajdują jej wargi.

Bez słowa napawamy się odzyskaną bliskością. Jej namiętność mnie zaskakuje. Jest niepohamowana: jej palce, dłonie, język i usta wędrują po mnie całym. Odwzajemniam się tym samym.

Zatracam się.

I odnajduję.

Och, jej dotyk.

A gdy odrzuca głowę w ekstazie, zasłaniam jej usta, by stłumić krzyki, wtulam twarz w jej gęste, miękkie włosy i dołączam do niej.

GDY CICHNIEMY, UKŁADA SIĘ W MOICH RAMIONACH.

Zasypia splątana ze mną. Na pewno jest wyczerpana.

Pozwalam, by zadowolenie przeniknęło mnie do szpiku kości.

Odzyskałem ją. Miłość mojego życia jest ze mną, tam, gdzie być powinna. Choć gdyby jej ojciec wiedział, że tu jest, z pewnością zastrzeliłby nas oboje.

Obserwując ją i jej rodziców przez ostatnie kilka godzin, bardzo dużo się o niej dowiedziałem. Jej pełne emocji spotkanie z matką — i z ojcem — było wzruszające. On ją chyba jednak kocha. I to bardzo.

Alessia zapewne walczyła ze swoim wychowaniem, jeszcze zanim ją poznałem. Walczyła o to, by być sobą. I udało się jej. Poza tym zabrała mnie ze sobą w cudowną podróż odkrywania samego siebie. Chcę spędzić resztę życia z tą kobietą. Tak bardzo ją Kocham i pragnę dać jej cały świat. Zasługuje na to.

Wierci się i otwiera oczy. Uśmiecha się do mnie promiennie, rozświetlając cały pokój.

— Kocham cię — szepczę.

— Kocham cię — odpowiada i sięga dłonią, by pogłodzić mnie po policzku. Jej palce łaskoczą mój zarost. —Dziękuję, że ze mnie nie zrezygnowałeś. — Jej głos jest łagodny jak letnia bryza.

— Nigdy. Jestem przy tobie. I zawsze będę.

— A ja przy tobie.

— Twój tata chyba mnie zastrzeli, jeśli cię tu znajdzie.

— Nie, zastrzeli mnie. Ciebie polubił.

— Raczej mój tytuł.

— Możliwe.

— Wszystko w porządku? — Poważnieję, a mój głos cichnie, gdy przyglądam się jej twarzy w poszukiwaniu śladów tego, co przeżyła przez kilka ostatnich dni.

— Jak już jestem z tobą, to tak.

— Zabiję go, jeśli kiedykolwiek się do ciebie zbliży.

Przykłada palec do moich ust.

— Nie mówmy o nim.

— Okej.

— Przepraszam, że skłamałam.

— O ciąży?

Kiwa głową.

— Alessio, to było genialne. Poza tym chciałbym mieć dzieci.

Dziedzica i rezerwowego.

Uśmiecha się i nachyla, by mnie pocałować. Kusi i drażni moje usta językiem, a ja nabieram ochoty na więcej.

Przewracam ją na plecy, by znów się z nią kochać.

Uważność. Piękno. Spełnienie. Miłość. Tak jak powinno być.

Jeszcze w tym tygodniu weźmiemy ślub. Nie mogę się doczekać.

Muszę tylko powiedzieć o tym mojej matce...

MUZYKA ALESSI

ROZDZIAŁ DRUGI

Louis—Claude Daquin *Kukułka* (rozgrzewka Alessii)

Jan Sebastian Bach Preludium c—moll nr 2, BWV 847 (grane przez rozgniewaną Alessię)

ROZDZIAŁ CZWARTY

Jan Sebastian Bach Preludium Cis—dur nr 3, BWV 848

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jan Sebastian Bach Preludium i fuga G—dur nr 15, BWV 884 Jan Sebastian Bach Preludium Cis—dur nr 3, BWV 872.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ferenc Liszt *Lata pielgrzymstwa, Rok trzeci, S. 163IV, Les jeux d'eaux à la Villa d'Este*

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jan Sebastian Bach Preludium c—moll nr 2, BWV 847

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Jan Sebastian Bach Preludium es—mol nr 8, BWV 853

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Siergiej Rachmaninow Koncert fortepianowy nr 2 c—moll, op. 18

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Fryderyk Chopin Preludium Des—dur nr 15 (*Deszczowe*)

Louis—Claude Daquin *Kukułka*

Ludvig van Beethoven Sonata fortepianowa nr 17 d—moll, op. 31 nr 2
(*Burza*)

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Jan Sebastian Bach Preludium B—dur nr 23, BWV 868

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Jan Sebastian Bach Preludium d—moll nr 6, BWV 851

PODZIĘKOWANIA

ANNE MESSITTE, MOJEMU WYDAWCY, REDAKTORCE I DROGIEJ PRZYJACIÓLCE. DZIĘKUJĘ CI.
ZA WSZYSTKO.

Zaciągnęłam ogromny dług wdzięczności u całego zespołu wydawnictwa Knopf and Vintage. Wasza dbałość o szczegóły, oddanie i wsparcie nie znają granic. Wykonujecie fantastyczną pracę. Specjalne podziękowania należą się Tony'emu Chirico, Lydii Buechler, Paulowi Bogaardsowi, Russellowi Perreault, Amy Brosey, Jessice Deitcher, Katherine Hourigan, Andy'emu Hughesowi, Beth Lamb, Annie Lock, Maureen Sugden, Irenie Vukov—Kendes, Megan Wilson i Chrisowi Zuckerowi.

Selinie Walker, Susan Sandon i całemu zespołowi Cornerstone dziękuję za wspaniałą pracę, entuzjazm i dobry humor. Bardzo go sobie cenię.

Manushaqe Bako dziękuję za tłumaczenie na albański. Dziękuję mojemu mężowi i mojej opoce, Niallowi Leonardowi, za pierwsze poprawki i nieustające dostawy świeżej herbaty.

Dziękuję Valerie Hoskins, mojej niezrównanej agentce, za mądre rady i wszystkie dowcipy.

Dziękuję Nicki Kennedy i zespołowi ILA.

Dziękuję Julie McQueen za nieustające wsparcie.

Dziękuję Grantowi Bavisterowi z Crown Office, Chrisowi Ecclesowi z Griffiths Eccles LLP, Chrisowi Schofieldowi i Anne Filkins za pomoc w kwestiach godności hrabiowskich, heraldyki, funduszy i wszystkiego, co się wiąże z nieruchomościami.

Wielkie podziękowania dla Jamesa Leonarda za wskazówki na temat wysławiania się młodych Anglików z wyższych sfer.

Danielu Mitchell i Jacku Leonardzie, Wam dziękuję za wskazówki

dotyczące strzelania do rzutków.

Moim pierwszym czytelniczkom, Kathleen Blandino i Kelly Beckstrom, i wstępnym redaktorkom: Ruth Clampett, Liv Morris i Jenn Watson — dziękuję za Wasze uwagi, a przede wszystkim za to, że byliście przy mnie zawsze, kiedy Was potrzebowałam.

Dziękuję też grupie The Bunker — minęło już prawie dziesięć lat — za towarzyszenie mi w mojej podróży. Moi koledzy autorzy — wiecie, kogo mam na myśli. Dziękuję, że codziennie mnie inspirujecie. Dziękuję też rezydentom Bunker 3.0 za nieustające wsparcie.

Moll i Dur, dziękuję Wam za pomoc przy muzyce i za to, że jesteście wyjątkowymi młodymi ludźmi. Lśnijcie pełnią blasku, moi piękni chłopcy. Jestem z was bardzo dumna.

Na koniec pragnę wyrazić swoją wdzięczność każdemu, kto czyta moje książki, ogląda filmy i czerpie radość z opowiadanych przeze mnie historii. Bez Was ta wspaniała przygoda nie byłaby możliwa.